

POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLEROWYCH
WIELKICH KŁAMSTEWEK



LIANE MORIARTY

**MIŁOŚĆ
I INNE OBSESJE**

„Liane Moriarty
jest mistrzynią suspense”
WASHINGTON POST

„Błyskotliwa historia miłosna,
którą czyta się jak thriller”
O, THE OPRAH MAGAZINE

Liane Moriarty

MIŁOŚĆ I INNE OBSESJE

tłumaczenie
Katarzyna Roślan

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2020

Dla George'a
i Anne

ROZDZIAŁ 1

Przeciętnemu człowiekowi hipnoza kojarzy się z rozhuśtanym wahadełkiem, słowami „ogarnia cię coraz większa senność” i wolontariuszami gdaczącymi jak kury na pokazach zbiorowych. Nic więc dziwnego, że spora część moich klientów przed pierwszą wizytą ma porządną tremę! W rzeczywistości zaś w hipnozie nie ma nic nienaturalnego ani budzącego trwogę. Co więcej, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że w codziennym życiu miałeś już okazję doświadczyć stanu transopodobnego. Może zdarzyło ci się jechać samochodem w miejsce, które często odwiedzasz, a później nie pamiętać pokonanej trasy? Zgadnij dlaczego. Byłeś w transie!

*Fragment broszury *Zamiast wstępu. Parę słów o Ellen O’Farrell, hipnoterapeutce**

Jak dotąd nigdy nie poddawałam się hipnozie. Szczerze mówiąc, nawet w nią nie wierzyłam. Miałam zamiar tylko leżeć i udawać, że to działa, i próbować nie parsknąć śmiechem.

– Większość ludzi ze zdziwieniem odkrywa, że hipnoza jest bardzo przyjemna – odezwała się hipnotyzerka.

Cała była miękka i mydlana, nie miała ani makijażu, ani biżuterii. Jej skóra wyglądała jak wypolerowana, wręcz przezroczysta, jakby ta kobieta kąpała się wyłącznie w krystalicznie czystych górskich strumieniach.

A pachniała dokładnie jak wnętrze sklepu z pamiątkami w małym miasteczku – drzewem sandałowym i lawendą.

Pokoik, w którym siedziałyśmy, był maleńki, ciepły i dziwny. Dobudowany do boku domu, sprawiał wrażenie przeszklonego, zamkniętego balkonu. Na podłodze leżał stary dywan w wyblakłe różowe róże, ale okna były nowoczesne, panelowe, od sufitu do podłogi, jak w atrium. Wpadające przez nie światło zalewało pokój. Kiedy weszłam, miałam wrażenie, że okrąża mnie niczym nagły powiew wiatru. Ogarnął mnie zapach morza i starych książek.

Stałyśmy obok siebie – hipnotyzerka i ja, z twarzami tuż przy szybie. Z takiej perspektywy nie było widać plaży, tylko morze – płaską tafłę połyskliwej blachy, rozciągniętą aż po bladoniebieską linię horyzontu.

– Czuję się, jakbym stała za sterem łodzi – odezwałam się do hipnotyzerki.

Sprawiała wrażenie zachwyconej moim komentarzem – dodała nawet, że sama zawsze czuje się dokładnie tak samo. Jej okrągłe, błyszczące oczy przypominały mi oczy klauna.

Zajęłyśmy miejsca naprzeciwko siebie. Ja – w miękkim fotelu z odchylanym oparciem i zielonym skórzanym obiciem, a hipnotyzerka w szerokim, wygodnym fotelu w kremowo-czerwone pasy. Dzielił nas niski stolik. Stały na nim pudełko chusteczek – pewnie niektórzy pacjenci, pomyślałam sobie, oplakują swoją straszną przeszłość – dzbanek lodowatej wody, w którym pływały dwa idealnie okrągłe plasterki cytryny, dwie wysokie szklanki, mała srebrna miseczka pełna czekoladek w połyskliwych papierkach i płaska tacka kolorowych szklanych kulek.

(Miałam raz taką kulkę, tyle że większą i starą. Należała do mojego ojca, kiedy był chłopcem. Zawsze brałam ją na egzaminy i rozmowy

kwalifikacyjne i ścisłałam w dłoni jak talizman. Parę lat temu gdzieś przepadła, a razem z nią przepadło moje życiowe szczęście).

Rozglądając się wokół siebie, stwierdziłam, że odbijające się od oceanu światło pada na ściany, po których tańczą jego oślepiające pryzmaty, co już dawało hipnotyzujący efekt. Hipnotyzerka siedziała z rękami złożonymi na podołku, stopy ustawiła równiutko jedna obok drugiej. Baleriny, czarne rajstopy, haftowana spódnica w stylu etno, do tego kremowy kardigan. Trochę hippisowsko, a zarazem elegancko. New Age w połączeniu z klasyką.

Co za piękne, spokojne życie musi prowadzić, pomyślałam sobie. Dzień za dniem w tym niezwykłym, skąpanym w słońcu pokoju. Żadnych mejli wskazujących co sekunda na ekran. Żadnych wściekłych rozmów telefonicznych. Żadnych spotkań, żadnych arkuszy kalkulacyjnych.

Czułam jej szczęście wręcz fizycznie. Promieniowało z niej mdlącym niczym tanie perfumy, których oczywiście nigdy by nie użyła.

W żołądku poczułam kwas zazdrości. Żeby go przytłumić, sięgnęłam po czekoladkę.

– O, świetnie. Też sobie zjem – stwierdziła hipnotyzerka niezobowiązująco, na luzie, jakbyśmy były starymi znajomymi, i odwinęła papierek. Czyli należy do tego typu dziewczyn.

Założę się, że otacza ją cała gromada rozchichotanych, w każdej sytuacji służących pomocą przyjaciółek, co to ścisną się na dzień dobry, organizują sobie wieczory przy *Seksie w wielkim mieście*, no i godzinami gadają przez telefon o facetach.

Otworzyła notatnik, który trzymała na kolanach, i z buzią rozkosznie pełną czekolady przemówiła:

– Dobrze, zanim w ogóle zaczniemy, zadam ci parę pytań. No tak, głupio zrobiłam, biorąc toffi. Strasznie się ciągnie.

Nie oczekiwałam aż tylu pytań.

Na większość odpowiadałam uczciwie. Były niewinne. Można nawet powiedzieć – żałosne.

– Czym się zajmujesz zawodowo? Jak najchętniej odpoczywasz? Twoje ulubione jedzenie?

W końcu oparła się wygodnie o fotel, uśmiechnęła się i spytała:

– No dobrze, a teraz słucham: po co tu przyszedłeś?

Na to pytanie akurat nie odpowiedziałam w stu procentach zgodnie z prawdą.

*

– Muszę ci coś wyznać – zaczął.

Odłożył sztucce na boki talerza i zamarł, wyprostowany, ze ściągniętymi do tyłu barkami, gotów na konfrontację. Wyglądał, jakby trochę się bał, a trochę wstydził.

Ellen, dotąd uśmiechnięta, poczuła bolesny skurcz żołądka. (Mimowolnie zarejestrowała, że ciało zareagowało jako pierwsze. Oto dowód na istnienie związku: umysł-ciało-dusza. Fascynujące).

Szczęśliwy, szeroki uśmiech idiotycznie zastygł jej na twarzy.

Miała trzydzieści pięć lat. Przeczuwała, co się święci. Ten miły człowiek, prowadzący własną firmę podmiejski geodeta, samotny ojciec, miłośnik wypadów z namiotem, krykieta i muzyki country, za chwilę powie coś, w wyniku czego Ellen natychmiast straci apetyt na barramundę w sosie z białego wina. Coś, co doszczętnie zepsuje jej dzień. Piękny dzień i pyszną barramundę.

Z żalem odłożyła widelec.

– Co takiego? – zapytała przyjemnie zaciekawionym tonem.

Poczuła, że wszystkie mięśnie ma napięte, jakby spodziewała się, że za chwilę spadnie na nią silny cios. Da sobie radę. To jeszcze nie koniec świata. Dopiero czwarta randka. Jeszcze nie zainwestowała dużo w ten związek. Prawie nie знаła człowieka. Na miłość boską, lubił muzykę country. Już to od samego początku powinno być ostrzeżeniem. Tak, prawda, dziś w wannie oddawała się marzeniom na jawie, ale przecież w tę pułapkę wpadają wszyscy randkowicze. Ona już miała to za sobą. W zasadzie już zaczyna dochodzić do siebie. Do środy zapomni o sprawie. Najpóźniej do czwartku. Dzięki Bogu, że z nim jeszcze nie spała.

Nie miała żadnego wpływu na to, co będzie. Jedyne, na co miała wpływ, to własna reakcja.

Przez moment zobaczyła matkę z oczami wzniesionymi do nieba. „Ellen, powiedz mi, kochanie, czy ty naprawdę wierzysz w ten nonsens?”

Owszem, wierzyła. Z całego serca. (Matka przeprosiła później za ten komentarz. „To mogło zabrzmieć jak wymądrzanie się” – wyjaśniła, a Ellen udała, że mdleje z szoku).

– Przepraszam na chwilę – rzekł. Wstał i serwetka upadła mu na podłogę. Podniósł ją i, czerwony na twarzy, uważnie ułożył ją obok swojego talerza.

Spojrzała na niego.

– Ja tylko – zaczął i machnął ręką w kierunku tylnej ściany restauracji.

– W porządku – odparła uspokajająco.

– Na lewo, proszę pana. – Kelner dyskretnie wskazał toalety.

Patrzyła, jak się oddala.

Patrick Scott.

Tak naprawdę nie znosiła imienia Patrick. Było za łagodne, jakby wymuskane. Pasowałoby może do fryzjera. Ale znajomi zwracali się do

niego „Scottie”, co było... cóż, absolutnie do przyjęcia wśród australijskich facetów.

Jeśli on teraz zakończy tę znajomość, będzie bolało, to jasne. Małe ukłucie, ale ostre. Patrick Scott nie był nikim nadzwyczajnym. Miał zwyczajną, miłą twarz (pociągłą, szczupłą, trochę łyśiał na skroniach), zwyczajną posturę (średniego wzrostu, w miarę szeroki w ramionach, ale naturalnie, a nie „patrzcie wszyscy i podziwiajcie, trenuję na siłce i mam szeroką klatę”), zwyczajną pracę, zwyczajne życie. Nadzwyczajne było tylko jedno – jak naturalnie się w jego towarzystwie czuła – prawie od razu, już po paru minutach od pierwszego spotkania w żenująco pustej kawiarni. To ona zaproponowała miejsce i była załamana, kiedy okazało się, że w lokalu jest dosłownie pusto, w związku z czym ich nerwowe głosy brzmiały donośnie, a trzy nastoletnie, znudzone kelnerki nie miały nic lepszego do roboty, jak podsłuchiwać ich sztywną konwersację. Czekali na cappuccino. On bawił się saszetką cukru, zataczając nią koła i postukując nią o stół, kiedy tylko ich oczy się spotkały. Oboje uśmiechali się do siebie ze skrepowaniem, w identyczny sposób sparaliżowani tą okropną sytuacją, gdy nagle Ellen poczuła, że opuszcza ją wszelkie napięcie, jakby zaczął na nią działać silny lek przeciwbólowy. Poczuła się tak, jakby już go znała, i to od lat. Gdyby wierzyła w życie przed życiem (a nie wykluczała jego istnienia, bo w pracy ciągle to widziała, a umysł miała szeroko otwarty na wszelkiego rodzaju dziwaczne możliwości), to uznałaby, że musieli się znać w poprzednich wcieleniach.

Tego rodzaju niespodziewanego ciepła, promieniującego od drugiego człowieka, zdarzyło jej się doświadczyć wiele razy od kobiet – och, tak, jeśli chodzi o damskie przyjaźnie, była prawdziwą mistrzynią – ale nigdy jeszcze od mężczyzny.

Więc tak, ledwie знаła tego miłego geodetę zwanego Patrickiem Scottem, ale jeśli on teraz zerwie, będzie bolało. Zdecydowanie. Pewnie nawet bardziej niż lekkie ukłucie.

Pomyślała o setkach, może nawet tysiącach opowieści o odrzuceniu, których przez lata nasłuchiwała się od klientów. „Zrobiłam trzydaniowy obiad na trzynaście osób z jego rodziny, a kiedy zmywałam, oświadczył, że już mnie nie kocha”. „Właśnie wracaliśmy z fantastycznych wakacji na Fidżi, piliśmy szampana w drodze powrotnej, a on mi mówi, że się wyprowadza! Przy szampanie, jakbyśmy coś opijali!”

Och, ten jawny ból, wciąż żłobiący bruzdy na ich twarzach, nawet kiedy opisywali zdarzenia sprzed lat. Odrzucenie przez kochanka, a właściwie dopiero potencjalnego kochanka, było dla wewnętrznego dziecka tak okrutne. Strach przed opuszczeniem, pamięć o dawnych ranach, poczucie niższości i słowa samokrytyki wypłynęły na powierzchnię niepowstrzymaną falą.

Próbowała spojrzeć na swoją sytuację obiektywnie, jak na przypadek klienta, w nadziei, że zdoła odsunąć na bok emocje. Nie pomogło.

Jasne, że cała ta panika może być w ogóle nieuzasadniona. Patrick być może wcale nie zamierzał z nią zrywać. Nie było ku temu żadnych przesłanek, a ona potrafiła świetnie odczytywać ludzkie intencje. Przecież zajmowała się tym zawodowo. Kiedy dziś wieczorem otwierała mu drzwi, powiedział, że wygląda zjawiskowo, a na twarzy malowało mu się takie zadowolenie, jakby właśnie dostał prezent na Gwiazdkę. Trzeba tu wspomnieć, że nie był typem uwodziciela i nie szastał lubianymi przez kobiety komplementami na wszystkie strony. Przy kolacji wielokrotnie nawiązywali kontakt wzrokowy, a niektóre spojrzenia można by spokojnie określić jako „powłóczyste”. Przez cały posiłek, zauważyła, pochylał się w jej stronę (możliwe jednak, że był trochę przygłuchy – zadziwiające, ilu

mężczyzn źle słyszy. Wiedziała o tym i z pracy, i z osobistego doświadczenia).

Czuła, że zarówno ich język ciała, jak i rytm oddychania są ze sobą zgodne, i to nie dlatego, że go naśladowała – a przynajmniej nie celowo, jak klienta.

Nie zdarzały się między nimi ani krępujące przerwy w rozmowie, ani inne żenujące sytuacje. Wykazywał zainteresowanie hipnozą i wydawał się szanować to zajęcie. Nie powiedział nic w stylu: „No dobra, to pokaż, jak to działa! Spraw, żebym zaczął gdać jak kura!”. Nie kpił ani – co byłoby jeszcze gorsze – nie mówił tonem z lekką protekcjonalnym, że nie, nie stosuje „medycyny alternatywnej”. Nie zadawał pytań typu: „Więc do tego trzeba zrobić jakieś kursy?” lub „Czy z tego są w ogóle jakieś pieniądze?”. Nie wyglądało na to, że się boi. Wśród mężczyzn, z którymi się spotykała, zdarzali się i szczerze przerażeni, że zahipnotyzuje ich bez ich wiedzy. Ten zaś wydawał się tylko ciekawy.

No i parę minut wcześniej pokazał jej zdjęcia swojego syna! Swojego uroczego, chudego ośmiolatka o blond włosach, jeżdżącego na deskorolce, grającego w szkolnej orkiestrze na puzonie, łowiącego ryby. Na pewno nie pokazywałby jej zdjęć, gdyby założył, że z ich znajomości nic nie będzie.

Chyba że myśl ta spadła na niego nagle, niczym grom z jasnego nieba. Teraz, gdy w myślach odtworzyła sobie sytuację sprzed paru minut, jego ruchy wydały jej się dziwnie gwałtowne – sposób, w jaki odłożył nóż i widelec, rzucił szybkie spojrzenie poza jej ramię, jakby gdzieś w oddali zobaczył urywek nieznannej przyszłości. Przecież przerwał jej w pół słowa, na Boga. (Właśnie opowiadała mu o kliencie z obsesją na punkcie Jennifer Lopez. Naprawdę chodziło o Johna Travoltę, ale ze względu na obowiązującą ją tajemnicę zawsze zmieniała szczegóły. A opowieść brzmiała o wiele zabawniej, kiedy dotyczyła Jennifer Lopez).

Wyglądał tak smutno. Nawet jeśli nie miał zamiaru z nią zerwać, zdecydowanie miał jej do powiedzenia coś nieprzyjemnego lub nie do przyjęcia.

Może skłamał, że jest wdowcem? Może wciąż miał żonę i mieszkał z nią, nawet jeśli sypiali oddzielnie?

A może wcale nie był geodetą? Zaraz zacznie się wokół niej kręcić FBI. Założą jej podsłuch. Nigdy nie znajdą jej ciała. (W zeszłym roku w lecie obejrzała na DVD wszystkie odcinki *Rodziny Soprano*). A może był nieuleczalnie chory? To byłoby straszne, ale przynajmniej ona nie zostałaby osobiście skrzywdzona.

Cokolwiek to było, miała pełne przekonanie, że towarzyszący jej od samego rana słoneczny, lekki nastrój lada chwila pryśnie.

Upiła duży łyk wina i podniosła wzrok, by sprawdzić, czy Patrick przypadkiem nie wraca. Nie. Nie ma co, najwyraźniej mu się nie spieszy. Może właśnie ochlapał sobie twarz lodowatą wodą, a teraz, ciężko wsparty o umywalkę, stoi przed lustrem, wpatruje się w swoje odbicie i wzdycha?

Ucieka przed prawem.

Zaczęła nierówno oddychać.

Nieproporcjonalnie do wieku rozwinięta wyobraźnia: komentarz pani Pascoe odnośnie do Ellen na karcie rozwoju siedmiolatka.

Rozejrzała się wokoło. Ludzie przy stolikach pogrążeni we własnych rozmowach, delikatne pobrzękiwanie sztućców i kieliszków, od czasu do czasu wybuch śmiechu. Nikt nie patrzy na kobietę, przed którą stoi puste krzesło.

Ma czas? Czy to naprawdę konieczne? Tak.

Wyprostowała się na krześle i położyła dłonie płasko na udach. Zamknęła oczy i zaczęła oddychać – wdech przez nos, wydech przez usta. Z każdym oddechem wyobrażała sobie, że w jej ciało wlewa się potężny

strumień złocistego światła, który daje jej moc i energię. Światło wypełnia jej stopy, nogi, żołądek, ramiona i wreszcie ze świstem wiruje wokół jej głowy, tak że nie widzi nic prócz złotego blasku, jakby patrzyła wprost na zachodzące słońce. Przez ułamek sekundy poczuła, że unosi się parę centymetrów nad krzesłem.

Nic mi nie będzie. Cokolwiek Patrick powie, nie dotknie to mojej istoty. Poradzę sobie. Policzę do trzech. Raz... dwa...

Otworzyła oczy, odświeżona i pokrzepiona. Rozejrzała się wokoło. Nikt się jej dziwnie nie przyglądał. Wiedziała oczywiście, że nie unosiła się nad krzesłem, świecąc jak żarówka, lecz czasem doznania sprawiały wrażenie tak prawdziwych, że wprost trudno było uwierzyć, że nie znajdują odbicia w rzeczywistości.

Autohipnoza była cudownym narzędziem. Ellen zawsze wiedziała, kiedy uczniowi czy klientowi udało się ją osiągnąć. Jeśli się udało, to zainteresowanemu aż trudno było uwierzyć w potęgę własnego, ludzkiego umysłu. Ona sama, kiedy po raz pierwszy doznała wrażenia, że lewituje, czuła się, jakby nagle odkryła, że potrafi latać. Gdyby uczyć autohipnozy nastolatków, można by całkowicie wyeliminować problem narkotyków.

Patrick ciągle nie wracał. Spojrzała na stojące przed nią jedzenie. Szkoda, żeby się zmarnowało. Przechodzący obok kelner przystanął i napełnił jej kieliszek. Dobre wino, dobra ryba. Żałowała, że nie wzięła sobie czegoś do czytania.

Pomyślała o dzisiejszym dniu.

Do chwili, kiedy Patrick odłożył nóż i widelec, jej dzień był doskonały. Wręcz wyśmienity.

Spała głęboko, bez snów, kołysana miarowym stukaniem kropli deszczu o dach. Obudziła się późno. Na jej twarz padały promienie słońca. Pierwszą rzeczą, na jaką spojrzała po przebudzeniu, była zawieszona u sufitu gałąź,

która miała jej przypominać buddyjską sutrę uważności. Następnie, nie rezygnując z półuśmiechu na twarzy, wykonała kilka łagodnych oddechów.

(Żałowała, że w ogóle wspomniała o tej praktyce swojej przyjaciółce Julii, która nalegała, by Ellen zademonstrowała jej ten swój półuśmiech. Kiedy Ellen wreszcie się poddała, Julia przez dziesięć minut ryczała ze śmiechu).

Wstała z łóżka. Choć szyba w oknie była lodowata, dzięki nowemu systemowi ogrzewania gazowego, założonemu przed śmiercią dziadków (co za szczęście, że cioteczna babcia Mary wygrała w Lotto), w domu było ciepło i przytulnie jak w kokonie. Na śniadanie zjadła owsiankę z brązowym cukrem, słuchając wiadomości Radia ABC – jak zwykle podanych w tonie optymistycznym i lekko drwiącym. Ostatnia epidemia grypy prawdopodobnie nie była epidemią. (Jej matka, internistka, cały czas tak twierdziła). Zaginiony kilkulatek odnalazł się zdrów i cały. Niedawne zabójstwo, za którym rzekomo kryła się zorganizowana przestępczość, okazało się tylko brutalnym rozwiązaniem rodzinnej waśni. Ostatni skandal polityczny przycichł. Na ulicach nie było korków. Wiatr południowo-zachodni, słaby. Przez chwilę świat wydał się wyjątkowo przyjazny.

Po śniadaniu wybrała się na spacer po wietrznej plaży. Wróciła w doskonałym nastroju, przewiana do szpiku kości, zlizując sól z warg.

Miała tego dnia czterech klientów, w tym ostatnią sesję z mężczyzną, który za wszelką cenę pragnął przezwyciężyć fobię przed lataniem, by móc zabrać żonę na rubinowe gody do Francji. Wychodząc z gabinetu, energicznie potrząsał jej dłonią na pożegnanie i obiecywał pocztówkę z Paryża. Zapisały się też dwie nowe osoby, co ją szczególnie cieszyło, bo uwielbiała poznawać ludzi. Jedną z nich była kobieta, która od czterech lat skarżyła się na nieznośny ból nogi. Nieustannie szukała pomocy u lekarzy, fizjoterapeutów i kręgarzy, ale wszyscy byli bezradni – ból nie poddawał się

żadnemu leczeniu. Drugą – również kobieta, która obiecała narzeczonemu rzucić palenie do ślubu. Obie sesje przebiegły bez zarzutu.

Natomiast ostatniej klientki z całą pewnością nie będzie mogła zaliczyć do swych zawodowych sukcesów. Nie była w stanie jasno sprecyzować, w jakim celu Mary-Beth uznała za stosowne poddać się hipnoterapii. Kobieta odmawiała jednak szukania pomocy u innych specjalistów. Była zdeterminowana, by kontynuować spotkania. Ellen postanowiła nie stosować jeszcze niczego skomplikowanego i poddała ją tylko prostej sesji relaksacyjnej, którą nazywała „masażem duszy”. Po jej zakończeniu Mary-Beth oznajmiła, że jej dusza dokładnie tak to odebrała, dziękuję bardzo. Cóż, to była Mary-Beth.

Gdy Mary-Beth wyszła, Ellen posprzątała dom. Niektóre rzeczy celowo, z uwagą zostawiła porozkładane tu i tam, by ogólne wrażenie nie przywodziło na myśl sterylności, lecz naturalną porządną właścicielki. Zastanawiała się, czy nie pozdejmować cytatów buddyjskich, porozwieszanych wszędzie na bladofioletowych samoprzylepnych karteczkach. Jej były chłopak, Jon, strasznie się z nich wyśmiewał – na przykład stawał przed lodówką i odczytywał je głupim głosem. Ale ukrywanie swej prawdziwej natury to marny pomysł na początek nowego, potencjalnego związku, tak czy nie?

Oblekła też najładniejszą, lekko wykrochmaloną pościel. Nadszedł zapewne czas, by spędzić z nim noc. Fakt, to trochę kliniczne podejście, ale cóż, tak to jest, jeśli się randkuje po trzydziestce. Nie ma co oczekiwać romantycznych kwiatów i serduszek. Oboje nie mają po szesnaście lat. Są niewierzący. Poznali się przez internet, na portalu dla singli. Wszystko bardzo jasne, bez niedopowiedzeń. Oboje zainteresowani długotrwałym, poważnym związkiem. Aby to podkreślić, oboje zaznaczyli odpowiednie okienka.

Pocałunki już za nimi (całkiem udane), nadszedł więc czas na seks. Ellen prawie od roku żyła w celibacie, a lubiła seks. Niektórych mężczyzn to dziwiło, bo od początku wyobrażali sobie ją jako eteryczną i niewinną. Nie miała nic przeciwko temu – trochę nawet chciała sprawiać takie wrażenie. Tyle że było ono niezupełnie zgodne z prawdą.

(Lubiła też horrory, kawę i średnio wysmażone steki, podczas gdy wiele osób żyło w przekonaniu, że jest wegetarianką – a w zasadzie, że powinna być wegetarianką oraz wielbicielką herbat ziołowych. Niektórzy posuwali się wręcz do tego, że na przyjęciach proponowali jej inne menu, upierając się, że „dokładnie pamiętają”, jak mówiła, że nie jada mięsa).

Niespiesznie przygotowała się do wieczornego spotkania. Długo leżała w gorącej kąpieli, piła wino i słuchała ostrej muzyki. Gwałtowne akordy i przenikliwe głosy tak diametralnie różniły się od delikatnej, harmonijnej muzyki relaksacyjnej, którą przez cały dzień puszczała klientom, że poczuła się, jakby ktoś oblał ją wiadrzem lodowatej wody. Zespół Violent Femmes przypominał jej lata osiemdziesiąte – czas, kiedy jak każdą nastolatką rządziły nią hormony i nadzieja. Gdy Patrick zapukał wreszcie do jej drzwi, miała już tak dobry nastrój, że zaświtało jej: To wróży katastrofę. Teraz wzlot, za chwilę bolesne lądowanie.

Odpędziła od siebie tę myśl. A teraz... „Muszę ci o czymś powiedzieć”.

Odłożyła widelec. Gdzie ten facet się podziewał? Dostrzegła, że jeden z kelnerów obrzuca ją czujnym spojrzeniem, wyraźnie zastanawiając się, czy powinien zaproponować pomoc.

Przeniosła wzrok na niedojedzoną kolację Patricka. Zamówił boczek. Kiepski wybór, pomyślała, ale nie знаła go na tyle dobrze, by z tego żartować. Boczek! Nie dość, że brzmiało wstrętne, to właśnie przekształcało się w wielki kawał zimnego, zastygającego tłuszczu.

Jeśli jest smakoszem równie niezdrowych, powodujących miażdżycę dań, to może dostał zawału i leży martwy w toalecie? Może powinna wysłać tego czujnego kelnera, żeby poszedł sprawdzić? A jeśli po prostu zrobiło mu się niedobrze po zjedzeniu tłustego mięsa? Na pewno byłby śmiertelnie upokorzony. Cóż, ona sama byłaby śmiertelnie upokorzona w podobnych okolicznościach. Ale facetowi może wszystko jedno.

Naprawdę za stara już była na te wszystkie dylematy związane z umawianiem się na randki. Powinna siedzieć w domu i piec ciasta albo robić cokolwiek innego, co robią wieczorami rodzice dzieci w wieku szkolnym.

Znowu podniosła wzrok. Oto i on, wracał do niej. Wyglądał na wstrząśniętego, jakby przed chwilą miał stłuczkę samochodową. Równocześnie na jego twarzy malowało się coś w rodzaju determinacji przestępcy, który właśnie napadł na bank, został złapany i policja wyprowadza go z podniesionymi rękami.

Usiadł przy stoliku, położył sobie z powrotem serwetkę na kolanach, podniósł nóż i widelec, spojrzął na mięso i odłożył sztućce.

– Pewnie myślisz, że jestem nienormalny – rzekł.

– Nie ukrywam, że jestem zaintrygowana – odparła Ellen jowialnym tonem paniusi w średnim wieku.

– Miałem nadzieję, że nie będę musiał ci o tym mówić, dopóki nie... ale potem uznałem, że powiem ci dziś wieczór.

– Bez pośpiechu – odparła spokojnym, nieco śpiewnym tonem, którym odzywała się do pacjentów. – Jestem pewna, że dobrze to zniosę, cokolwiek byś mi powiedział.

– To nic aż tak straszego! – wykrzyknął pospiesznie. – Raczej zenującego, jeśli już. Chodzi o to, że... okej, dobra, po prostu to powiem.

Przez chwilę milczał z głupim uśmiechem na twarzy.

– Jest ktoś, kto mnie nęka.

Na początku do Ellen nie dotarło, co właściwie miał na myśli. Czuła się, jakby angielski stał się nagle językiem obcym i musiała sobie tłumaczyć słowo po słowie.

Ktoś mnie nęka.

Wreszcie odezwała się:

– Ktoś cię śledzi?

– Już trzy lata. Moja była dziewczyna. Czasem na chwilę znika, potem wraca ze zdwojoną siłą.

Ellen poczuła cudowną, obezwładniającą ulgę. Teraz, kiedy już wiedziała, że nie została odrzucona, dotarło do niej wyraźnie, jak bardzo go lubi, jak wielką ma nadzieję, że z tej znajomości coś wyniknie, jak blisko dopuściła do siebie myśl, że nawet mogłaby się w nim zakochać – myśl, która przyszła jej do głowy, kiedy malowała rzęsy. Olśniło ją, że powodem dzisiejszego wspaniałego nastroju nie była ani pogoda, ani owsianka, ani pozytywne wiadomości radiowe. Powodem był on – Patrick.

Co tam jakaś nagabywaczka.

To było wręcz interesujące.

Choć jednak nękanie...

Widziała listy ułożone z liter powycinanych z gazet. Wiadomości zapisane krwią na ścianie. Szalonych wielbicieli przesiadujących przed domami gwiazd. Brutalnych byłych mężów zabijających ekszony.

Kto mógł prześladować geodetę? (Nawet z wyjątkowo atrakcyjną linią szczęki).

– Mówiąc „nęka”, co masz konkretnie na myśli? Co robi? Stosuje przemoc?

– Nie – zaprzeczył Patrick. Wyglądał jak ktoś, kogo zmusza się do odpowiedzi na serię wyjątkowo osobistych pytań natury medycznej. – Nigdy nie posuwa się do agresji. Czasem krzyczy. Czasem trochę obraża. Dzwoni w środku nocy, wysyła listy, mejle, esemesy, ale głównie po prostu kręci się w pobliżu. Gdziekolwiek się ruszę, ona za mną.

– Masz na myśli, że cię śledzi?

– Tak. Wszędzie.

– Ależ to musi być dla ciebie straszne! – Znowu pojawił się głos paniusi w średnim wieku. – Zgłosiłeś to na policję?

Skrzywił się, jakby pod wpływem nagłego, nieprzyjemnego wspomnienia.

– Tak. Raz. Rozmawiałem z policjantką. Nie wiem, czy ona, to znaczy, niby mówiła wszystko, co trzeba, ale czułem się jak idiota, jak jakaś kompletna dupa. Kazała mi założyć zeszyt i notować konkretne zachowania mojej eks. Zrobiłem to. Policjantka powiedziała też, że mogę wystąpić do sądu o zakaz zbliżania się do mnie. Myślałem o tym, ale kiedy jej powiedziałem, że byłem na policji, zagroziła, że jeśli podejmę dalsze kroki, oskarży mnie o molestowanie, o to, że ją uderzyłem. Sama wiesz, jestem facetem, więc komu uwierzą, jak nie jej? Jasne, że jej. Więc się wycofałem. Ciągle tylko mam nadzieję, że wreszcie przestanie. A lata lecą. Nie mogę uwierzyć, że to już tak długo trwa.

– To musi być – Ellen miała zamiar powiedzieć „przerażające”, ale mogłoby go to obrazić, była bowiem przekonana, że męskie ego jest delikatne jak skorupka jajka. Zamiast tego powiedziała „stresujące”. Nie mogła zapanować nad radosną nutą pobrzmiewającą we własnym głosie.

– Na początku okropnie się tym przejmowałem – przyznał. – Ale teraz jakbym to zaakceptował. Tak po prostu ułożyło mi się życie i już. Niestety w nowych znajomościach to strasznie przeszkadza. Są kobiety, które coś

takiego od razu płoszy. Są takie, które najpierw twierdzą, że co tam, ale potem nie mogą wytrzymać.

– Poradzę sobie – rzekła Ellen szybko, jakby na rozmowie kwalifikacyjnej musiała udowodnić, że sprosta obowiązkom. Na wieść o niedoskonałościach byłych dziewczyn zawsze odczuwała nagłą potrzebę udowodnienia, że stać ją na więcej.

Podenerwowana, upiła łyk wina. Właśnie wyłożyła karty na stół. W zasadzie powiedziała: chcę spróbować związku z tobą.

Udawała, że marszczy brew, wpatrując się w kieliszek, jakby chciała w pogardliwy sposób skomentować jakość wina, ale kiedy w końcu podniosła wzrok, Patrick się do niej uśmiechał. Dużym uśmiechem ze zmarszczkami wokół oczu, wyrażającym czyste zadowolenie. Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

– Taką miałem nadzieję – rzekł. – Bo mam naprawdę dobre przeczucia. To znaczy, odnośnie do nas. Odnośnie do tego, co może się stać.

– Tego, co może się stać – powtórzyła Ellen, rozkoszując się i słowami, i dotykiem jego dłoni. Co za głupota to kliniczne, zblazowane myślenie, kiedy się jest po trzydziestce. Pod wpływem dotyku jego ręki do jej krwiobiegu trafiały ogromne ilości endorfin. Pod względem naukowym o miłości wiedziała wszystko – na przykład, że jej mózg buzuje teraz od „miłosnej chemii” (norepinefryna, serotonina i dopamina), co nie oznaczało wcale, że nie była równie wrażliwa jak każdy inny śmiertelnik.

Na stole leżały więc już karty obojga.

– Dlaczego postanowiłeś mi to powiedzieć akurat dzisiaj? – spytała.

Jego kciuk zataczał kółka wewnątrz jej dłoni.

Kółko, kółko, kółko graniaste.

– O nękaniu – uściśliła.

– Bo ją widziałem – odparł.

– Widziałaś ją! – powtórzyła i nerwowo rozejrzała się po restauracji. – Masz na myśli: tutaj?

– Siedziała przy stoliku pod oknem. – Pokazał kierunek brodą, ponad ramieniem Ellen.

Kiedy się odwróciła, by spojrzeć w tamtą stronę, powiedział:

– Spokojnie, już jej nie ma.

– Co robiła? Tylko... patrzyła?

Ellen była świadoma, że puls jej gwałtownie przyspiesza. Nie potrafiła stwierdzić, czy czuje się bardziej przestraszona czy podekscytowana.

– Pisała esemesa – odparł znużonym tonem.

– Do ciebie?

– Pewnie tak. Nie wiem, wyłączyłem telefon.

– Nie chcesz zobaczyć, co napisała? – Ellen chciała zobaczyć, co napisała.

– Niespecjalnie – odparł Patrick. – W zasadzie to na pewno nie.

– Kiedy sobie poszła? – zapytała Ellen. Gdyby tylko wiedziała wcześniej, mogłaby ją zobaczyć.

– Kiedy wstałem, żeby wyjść do łazienki, ruszyła za mną. Zamieniliśmy dwa słowa w holu. Dlatego tak długo mnie nie było. Powiedziała, że sobie idzie, i rzeczywiście poszła, dzięki Bogu.

Musiała więc przechodzić tuż obok Ellen! Ellen przeszukała pamięć pod kątem obrazu mijającej ją kobiety, ale bez skutku. Pewnie była akurat zajęta, cholera jasna, swoją autohipnozą.

– Co mówiła?

– Zawsze zachowuje się tak samo żałośnie: udaje, że wpadamy na siebie przypadkowo. Pewnie sobie wyobrażasz, że wygląda jak wariatka, może jak bezdomna, no wiesz, taka z rozwichrzonym włosiem, ale ona

wygląda normalnie, całkiem do rzeczy. To sprawia, że zaczynam kwestionować własny rozum. Jakbym wszystko zmyślił. To kobieta sukcesu, nowoczesna bizneswoman. Powszechnie szanowana. Wyobrażasz sobie? Zawsze się zastanawiam, co by powiedzieli ludzie z jej pracy, gdyby się dowiedzieli, czym się zajmuje w wolnym czasie. Ale słuchaj... możemy zmienić temat? Porozmawiać o czymś przyjemniejszym? Jak ryba, smakowała?

Żartujesz sobie? Ellen nie miała zamiaru zmieniać tematu. Chciała poznać każdy szczegół. Zrozumieć, co się dzieje w głowie tej kobiety. Zwykle potrafiła się postawić w sytuacji kobiety w zasadzie w każdych okolicznościach. Solidaryzowała się z kobietami. Lubiła je, za to mężczyźni często stanowili dla niej zagadkę. Ale śledzić byłego chłopaka przez trzy lata? Psychopatka? Źle ją potraktował? Wciąż go kochała? W jaki sposób sama przed sobą tłumaczyła własne zachowanie?

– Ryba była świetna – odparła Ellen. Starła się powstrzymać swą zachłanność, jeśli chodzi o dalsze informacje. Było to trochę niestosowne, jako że stanowiło tak przykrą część życia tego mężczyzny. Doskonale zdawała sobie sprawę, że niepowstrzymana ciekawość w kwestii życia osobistego innych to jej wada.

– Z kim został dziś twój synek? – spytała, by pomóc mu zmienić temat.

– Z moją mamą – odparł Patrick. Rysy nagle mu złagodniały. – Jack uwielbia babcię – dodał, po czym mrugnął i spojrzał na zegarek. – Obiecałem, że zadzwonię wieczorem i powiem mu dobranoc – rzekł. – Nie najlepiej się czuł, kiedy wychodziłem. Pozwolisz? – spytał i wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Oczywiście.

– Normalnie nie wydzwaniam do niego co chwila, kiedy wychodzę – wyjaśnił, włączając telefon. – To znaczy, jest dość niezależnym

dzieciakiem, robi swoje.

– Naprawdę nie mam nic przeciwko.

– Chodzi tylko o to, że się przeziębił i skończyło się poważniejszą infekcją dróg oddechowych. Bierze antybiotyki.

– Naprawdę nie mam nic przeciwko – powtórzyła. Chciała usłyszeć, jak Patrick rozmawia z synem.

Telefon wydawał sygnały przychodzących wiadomości, jeden po drugim.

Patrick się skrzywił.

– Esemesy – wyjaśnił.

– Od, hm, twojej prześladowczyni? – Ellen starała się nie patrzeć na pikający telefon zbyt zachłannie.

Nie odrywając wzroku od ekranu komórki, odpowiedział:

– Tak. Przeważnie kasuję je bez czytania.

– Jasne. – Nie mogła się powstrzymać. – Bo są okropne?

– Czasem. Najczęściej po prostu żałosne.

Obserwowała jego twarz, kiedy czytał wiadomości, przyciskając kciukiem klawisze. Uśmiechał się ironicznie, jakby właśnie brzydko drażnił się z wrogiem. Przewrócił oczami, po czym przygryzł dolną wargę.

– Chcesz zobaczyć? – wyciągnął w jej stronę telefon.

– Pewnie – odparła lekkim tonem. Pochyliła się nad aparatem, a on przewijał wiadomości.

Miło cię widzieć! Siedzę przy stoliku pod oknem.

Dobrze ci w tej koszuli.

Zamówiłeś boczek? Co ty sobie myślisz?

ładna jest. Nieźle razem wyglądacie. Sxx

Ellen się odsunęła.

– Przepraszam – odezwał się Patrick. – Nie powinienem był ci tego pokazywać. Przysięgam, nie jesteś w żadnym, no wiesz, niebezpieczeństwie.

– Nie, nie, w porządku – odpowiedziała pospiesznie i kiwnęła głową w stronę komórki. – Pokazuj dalej.

Miło było dziś na ciebie wpaść. Może umówimy się kiedyś na kawę?

Kocham cię. Nienawidzę cię. Kocham cię. Nienawidzę. Tak, na pewno cię nienawidzę.

Ellen oparła się o krzesło.

– Co o tym sądzisz jako profesjonalistka? – spytał Patrick. – Ewidentnie szalona, co? Pamiętaj, skończyliśmy ze sobą trzy lata temu.

– Jak długo ze sobą byliście?

– Dwa lata. No, trzy. To był mój pierwszy związek po śmierci żony.

Ellen chciała spytać, dlaczego się rozpadł, lecz zamiast tego podsunęła:

– Czemu nie zmienisz numeru telefonu?

– Ciągle zmieniałem, ale potem stwierdziłem, że nie warto. Prowadzę własną jednoosobową firmę. Ludzie muszą mieć ze mną kontakt. Czekał, zadzwonię do syna. To nie potrwa długo.

Ellen patrzyła, jak Patrick wybiera numer i przykłada telefon do ucha.

– Cześć synku, to ja. Co u ciebie?... Co jadłem? Ee, boczek. – Ze skruchą spojrzął na talerz. – Rzeczywiście, nie za dobry. Okej, powiedz, jak się czujesz. Lepiej? Wzięłaś antybiotyk? Co babcia robi? Naprawdę? Dobrze. Taak. Okej. Dobra, ale szybko. – Przestał mówić i słuchał. Kiedy

natrafił wzrokiem na wzrok Ellen, puścił do niej oko. – Na serio? Okej, dobra, w porządku. Wulkan? Na spadochronie? O rany.

Wciąż słuchał, stukając palcami o obrus. Ellen przyglądała się jego dłoni. To była piękna dłoń. Duże, prosto obcięte paznokcie.

– W porządku, kolego. Słuchaj, resztę opowiesz mi jutro. Bo teraz jestem niegrzeczny wobec... znajomej. Okej. Do zobaczenia rano. Gofry, jasne. Jesteśmy umówieni. Pa, dobranoc. Kocham cię.

Odłożył telefon, wyłączył go i schował do kieszeni.

– Wybacz – odezwał się. – Chciał mi opowiadać o jakimś filmie, który oglądał, ze szczegółami. Ma to po mnie, obawiam się.

– Na pewno – odparła Ellen.

Czuła, jakby gdzieś w głąb czaszki wstrzyknięto jej dozę intensywnej przyjemności. Podobało jej się, jak rozmawiał z synem. Zwyczajnie, zabawnie, po męsku, z miłością. Podobało jej się, że obiecał gofry na śniadanie (uwielbiała gofry!). Podobało jej się, jak bez cienia zakłopotania powiedział „kocham cię” na koniec rozmowy.

Kelner zebrał ich talerze i zręcznie ułożył je na przedramieniu.

– Czy boczek panu smakował? – zapytał.

– Tak, był dobry. – Patrick uśmiechnął się w odpowiedzi. – Nie byłem po prostu tak głodny, jak myślałem.

– Skuszą się państwo na deser? Albo na kawę?

Patrick spojrział pytająco na Ellen.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała.

– Więc poprosimy tylko o rachunek, dziękuję – stwierdził Patrick.

Ellen zerknęła na zegarek. Była dopiero dziesiąta.

– Mam w domu pyszne czekoladki – rzekła. – Jeśli masz ochotę, zapraszam na kawę do siebie. O ile masz czas.

– Mam czas – potwierdził i spojrzał jej w oczy.

Rzecz jasna, nie zawracali sobie głowy ani kawą, ani czekoladkami. Kiedy po raz pierwszy kochali się na sztywnej, świeżej pościeli, po dachu bębnił nagły ulewny deszcz, a myśli Ellen poszybowały w stronę prześladowczyni Patricka. Ciekawa była, gdzie w tej chwili jest ta dziwna kobieta. Wyobraziła sobie ją stojącą w świetle latarni bez parasola, z kroplami deszczu spływającymi po bladej, zmęczonej (pięknej?) twarzy. Po chwili jednak każdym zakątkiem jej świadomości zawładnęły doznania dostarczane przez nowego kochanka i Ellen całkowicie o niej zapomniała.

ROZDZIAŁ 2

Większość ludzi w moim wieku jest już zaangażowana w poważne, długoterminowe związki. Ja ze względu na charakter pracy nie mam większych szans, by poznać potencjalnego partnera osobiście. Ten portal to po prostu zabawny sposób, by nawiązać nowe znajomości. Jestem romantyczką, to prawda, ale równocześnie – realistką.

Z profilu użytkownika Ellen68
zarejestrowanego na portalu randkowym

Następnego dnia wcześniej rano Ellen szła bosą brzegiem morza. Spodnie podwinęła do kolan, żeby fale omywały jej kostki. Myślała o Patricku (uwielbiała to imię, nic w nim delikatnego nie było) i o wszystkim, co zdarzyło się poprzedniej nocy.

O jego synu. (Co za uroczy dzieciak!)

O jego szalonej byłej dziewczynie. (Intrygujące, choć jednocześnie trochę straszne? Nie była pewna).

O jego ciele. Boże, myślała, kiedy rozpiął skromną, oficjalną koszulę w drobne prążki, czuła się jak omdlewająca bohaterka romansów z czasów regencji. Na samą myśl o jego torsie doznała gwałtownego przypływu czystego pożądania. Przycisnęła dwa palce do delikatnych, poobcieranych od długotrwałego całowania ust.

Wyszedł dokładnie o północy. Jak Kopciuszek. Powiedział, że choć matka, która została z jego synem, na pewno już położyła się spać w pokoju gościnnym, zawsze ma poczucie, że wracając zbyt późno, za bardzo ją wykorzystuje.

– Głupio mi uciekać w takim pośpiechu. Oczywiście, jeśli my kiedyś, no wiesz, uprzedzę ją, że nie wracam na noc – mówił, naciągając koszulę na tors z epoki jaskiniowej.

– W porządku – odparła Ellen zaspianym głosem. Cieszyła się, że Patrick wychodzi. Wolała leżeć w łóżku i o nim rozmyślać niż leżeć obok niego i martwić się, w jakim stanie będzie rano jej fryzura.

– Zadzwoń – obiecał, kiedy całował ją na pożegnanie.

O szóstej rano piknął sygnał esemesa.

Kiedy się znów spotkamy? Chyba mnie zahipnotyzowałaś!

Trochę kiczowate, ale miłe.

A więc wyglądało na to, że to się dzieje. Stała u progu czegoś nowego. Oto znów zaczynamy. Głęboko wciągnęła słone powietrze i poczuła, jak dociera do jej gardła. Przez chwilę przygniótł ją ciężar wszystkich poprzednich rozczarowań.

Proszę, niech tym razem się uda, pomyślała z patosem.

A za chwilę, z nową energią: No weź, bez przesady!

Ellen miała za sobą trzy dłuższe związki: z Andym, Edwardem i Jonem. Czasem czuła się, jakby wszędzie ciągnęła za sobą ich wspomnienia niczym trzy stare puszki na sznurku.

Andy był dziwacznym, wysokim bankierem. Ich trwająca trzy lata znajomość wydawała się Ellen zawsze w pewien – nie do końca jasny – sposób oszukana, jakby udawali, że są w sobie zakochani, i znakomicie im

szło. Kiedy Andy dostał pracę za granicą, żadne z nich nawet słowem nie pisało o tym, żeby Ellen z nim pojechała. Został jej po tej znajomości dziwny posmak, jak po jedzeniu z McDonald's.

Edward był słodkim, wrażliwym nauczycielem szkoły średniej. Uczucie, które ich połączyło, było głębokie i poważne. Stanowili parę, której dalsza droga jest jasna i nie pozostawia żadnych niedomówień, łącznie z dziećmi, zwierzętami domowymi i paprotką. Aż tu nagle, z wielu złożonych powodów, których wciąż do końca nie pojmowała, ich związek, ku powszechnemu zdumieniu, implodował. W bardzo dotkliwy sposób.

Jona poznała w dniu swoich trzydziestych urodzin. Okej, myślała, to musi być ten. Prawdziwy, dorosły związek. Był inteligentnym, elokwentnym inżynierem. Uwielbiała go. Dopiero kiedy podeptał jej serce, zauważyła, że nigdy nie odwzajemniał jej uczuć.

Zawsze pojmowała swoje nieudane związki, cóż, jako niepowodzenia. Teraz jednak przyszło jej do głowy, że były one koniecznymi krokami do celu – a celem była ta właśnie chwila, dziś rano na plaży. I zielonooki geodeta Patrick Scott.

Pomyślała o byłej dziewczynie Patricka, która nie daje mu chwili wytchnienia. Saskia. Niezwykłe imię. Twarde, ostre sylaby. Ellen smakowała je niczym nieznanym, dziwnym owocem. Saskii nie spodobałoby się zapewne, że serce Ellen właśnie tryska nieokiełznaną nadzieją.

Ellen kopnęła wodę, wysyłając w powietrze deszcz lodowatych kropelek. Ta dziewczyna, co to może być za człowiek? Bez honoru, bez dumy? Ona sama spaliłaby się ze wstydu, gdyby któryś z jej byłych partnerów dowiedział się, że poświęciła mu choćby jedną, najkrótszą myśl.

Tak naprawdę wszyscy trzej zawsze czaili się gdzieś w zakamarkach jej świadomości. Wsiadając z samochodu, za każdym razem automatycznie odsuwała fotel kierowcy, by zrobić miejsce Andy'emu, a właściwie jego

wybitnie długim nogom – ten nawyk został jej z czasów, kiedy jeździli jednym autem. Za każdym razem, gdy kroїła pomidora, myślała o Jonie, który twierdził, że pomidor krojony w poprzek smakuje o wiele lepiej. Co roku w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia pamiętała, że to urodziny Edwarda.

To, rzecz jasna, naturalne, że o nich myślała. W swoim czasie każdy z nich był przecież z nią najbliżej – najlepiej ją znał, co dzień z nią rozmawiał, wiedział, gdzie jej w danej chwili szukać, a gdyby przypadkiem spotkała ją nagle, tragiczna śmierć, siedziałby w pierwszym rzędzie krzeseł za trumną.

Czasem wydawało jej się takie dziwne – i takie niestosowne – że można z kimś być tak blisko, spać z tą osobą i budzić się przy niej, robić razem przeróżne rzeczy natury osobistej, a potem nagle nie znać nawet jej numeru telefonu, nie wiedzieć, gdzie mieszka i pracuje, co robiła dziś, tydzień temu i w zeszłym roku.

Ellen patrzyła na olbrzymią falę wzbierającą na horyzoncie, a potem rozbijającą się z odległym hukiem.

To dlatego rozstaniom towarzyszy uczucie, jakby skórę oddzielano ci od mięsa. W zasadzie to dziwne, że ludzie po rozstaniach nie zachowują się tak jak Saskia, tylko poprawnie i dostojnie.

– Dzień dobry!

Z przeciwnej strony plaży nadeszła prężnym krokiem, energicznie wymachując rękami, starsza para. Ellen przyspieszyła, żeby nie dać się wyprzedzić osiemdziesięciolatkom.

Jej dziadkowie, kiedy jeszcze żyli, też chadzali na spacer. Co dzień po południu, przed wiadomościami o szóstej.

Spędzili razem sześćdziesiąt trzy lata. Sześćdziesiąt trzy lata budzenia się przy sobie w tej samej sypialni – w zasadzie to tej samej, w której dziś

w nocy kochała się z Patrickiem. (Teraz doszła do wniosku, że to okropne. Lubiła myśleć, że dom wciąż zamieszkują duchy dziadków. Miała nadzieję, że biedny dziadek nie został uwięziony w sypialni, gdzie musiał się chować za zasłoną i co chwila zamykać oczy).

Ellen zawsze sobie wyobrażała, że młodo wyjdzie za mąż, a jej małżeństwo będzie podobne do związku dziadków. Myślała, że jest tego typu osobą. Tradycjonalistką. Miłą. Jakby miłe dziewczyny zawsze znajdowały sobie miłych chłopaków. Jakby „bycie miłym” wystarczyło, by związek najpierw zaistniał, a potem – przetrwał.

Uczciwie mówiąc (a osiągnięcie pełnej, prawdziwej samoświadomości nadal stanowiło jej życiowy cel), chodziło nie tak bardzo o bycie miłą, lecz o to, by nie przypominać własnej matki – matki, która wychowała Ellen samotnie, niemal bez mężczyzn na horyzoncie.

I proszę: trzydziestopięciolatka szukająca miłości swego życia w internecie. Za każdym razem, gdy logowała się na portalu dla singli, czuła się, jakby postępowała w pewnym sensie niestosownie.

Niestosownie w tym sensie, że robiła to ona. W tym sęk. Nie widziała nic niestosownego w tym, żeby przez internet poznawali się inni. O nie, jeśli chodzi o cały ludzki motłoch, nie miała nic przeciwko! Ale ona, Ellen, utrzymywała się z pomagania innym w rozwiązywaniu problemów osobistych!

I o to chodziło. Uważała, że, jeśli chodzi o związki, powinna być wzorem, a wyglądało na to, że wcale nim nie jest. Naprawdę, powtarzała sobie z werwą, dlaczego nie miałyby cierpieć z powodu złamanego serca jak inni? Dlaczego nie miałyby jej być ciężko znaleźć odpowiedniego faceta – jak tylu innym kobietom? Dlaczego nie miałyby jej martwić sprawa tykającego nad uchem zegara biologicznego, nawet jeśli był to tylko

wyświechtany frazes? Dlaczego ona nie mogła się znaleźć w takiej typowej sytuacji?

Wstydziała się własnego wstydu. Żeby siebie samą ukarać, zachowywała się bardzo otwarcie, jeśli chodzi o swój status. Wszem wobec głosiła, że chce kogoś poznać przez internet. Na każdą żenującą nową randkę chodziła z głową dumnie podniesioną, z pozytywnym nastawieniem, z sercem i umysłem otwartymi na wszelkie możliwości.

Często nie było to łatwe.

Doszła do małego, kamienistego jeziora, przy którym zawsze zawracała. Oparła ręce na biodrach i wzięła głęboki oddech. Szła szybciej, niż jej się wydawało.

Spojrzała w dal, w kierunku domu dziadków, teraz – swojego domu. Przeszklony pokój pobłyskiwał w porannym słońcu jak diament, na chybił trafił przyczepiony do ściany.

„Cudownie. Zrobiło się z niego jeszcze większe szkaradzieństwo” – skomentowała jej matka nowy pokój, dobudowany przez dziadka (oczywiście dzięki wygranej w Lotto ciotecznej babki Mary), kiedy po raz pierwszy go zobaczyła.

Bezdzienna, niezamężna młodsza siostra dziadka, czyli cioteczna babka Ellen – Mary, wygrała w Lotto pół miliona dolarów. Sześć tygodni później umarła, wciąż nie zdecydowawszy, na co przeznaczyć tę kwotę. (Może by tak kupić nowy telewizor? Płaskoekranowy? Ale przecież teleturniej *Grasz czy nie grasz* będzie wyglądał na nim identycznie, może tylko wszystko będzie trochę większe). Cała wygrana przypadła więc w udziale dziadkom Ellen, którzy przeznaczyli ją na dobudowanie przeszklonego pokoju, instalację ogrzewania gazowego i dziesięciodniowe rejsy, na które wybierali się co roku do śmierci. Wygrana ciotecznej babki Mary w Lotto przyniosła też skutek w postaci decyzji, by dom przepisać na Ellen,

a gotówkę podarować jej matce i Amnesty International. Wszystkim to odpowiadało, bo matka Ellen nie miała ochoty zamieszkać w domu z dzieciństwa. „Żadne pieniądze nie są w stanie go ocalić” – mawiała autorytatywnie, zupełnie jakby ktoś poprosił ją o specjalistyczną ekspertyzę.

Dom rzeczywiście wyglądał dziwnie. Zbudowano go w latach siedemdziesiątych XX wieku, wykorzystując wszelkie najmodniejsze nowinki architektoniczne tamtych czasów – wyeksponowane belki i cegły, kręcone schody ze stali nierdzewnej, lustrzane łuki, puszystą wykładzinę w kolorze limonki i jaskrawopomarańczową kuchnię. Mimo to Ellen zawsze go uwielbiała. Uważała, że dom posiada cudowny urok stylu retro i konsekwentnie odmawiała wprowadzania jakichkolwiek zmian, z wyjątkiem utworzenia na terenie posesji miejsca parkingowego dla klientów. Praca hipnoterapeutki przynosiła jej wprawdzie „bardzo porządne” pieniądze (jak głosiła wszystkim jej matka, przepełniona w równym stopniu dumą, co rozczarowaniem), ale przed śmiercią babci Ellen wynajmowała i mieszkanie, i biuro. Fakt, że odziedziczyła dom po dziadkach, a klientów przyjmowała teraz w ulubionym pokoju babci, sprawił, że cieszyła się obecnie największą w dotychczasowym życiu stabilizacją finansową.

Jej uwagę przykuł biały kamyk na piasku. Schyliła się, by go podnieść. Miał przyjemny kształt i fakturę. Może się przydać dla kogoś z klientów.

Wyprostowała się, spojrzała na ocean i poczuła, jak ogromny ciężar spada jej z piersi – zupełnie jakby nagle ktoś zdjął z niej za ciasny gorset. Nie miałaś zamiaru się przyznawać, nawet przed samą sobą, jak bardzo pragnęłaś miłości. Mężczyzna miał być lukrem, nie ciastkiem. Trochę krępowało ją własne szczęście. Dzięki Bogu nikt nie widział korków od szampana wystrzelających w jej głowie w powietrze.

Kiedy wróci, odpisze Patrickowi na esemesa i zaproponuje kino dziś wieczorem. Nic specjalnie oryginalnego, ale – było nie było – to jeden z najmiłszych sposobów spędzenia czasu z nowym chłopakiem. Będzie próbowała się powstrzymać od nadmiernego entuzjazmu.

Zbliżyła się do krawędzi wody i zatopiła palce stóp głębiej w piasku. Przypomniała sobie dotyk pleców Patricka pod palcami, jego obojczyk pod wargami.

Przykro mi, Saskia, chyba go biorę.

*

A więc sypiał z hipnotyzerką.

No tak. Wszystko stało się jasne, kiedy zobaczyłam, jak kładzie jej rękę na dolnej części pleców, wyprowadzając ją z kina. Trzymał dłoń nisko i pewnie, by zaznaczyć, że do niego należy.

Wydaje mu się, że jest niezły w łóżku. To wina jego żony. Powiedziała mu kiedyś, że jest „cudownym kochankiem”. A potem umarła. Więc każde jej słowo traktuje teraz jak święte... Ewangelię Colleen.

Colleen powiedziała raz Patrickowi, że proszek do prania należy najpierw, przed załadowaniem brudnych rzeczy, rozpuścić w pralce, mimo że większość ludzi wsypuje go na wierzch, na ubrania. Colleen twierdziła jednak, że wszystko lepiej się pierze, jeśli proszek przedtem dobrze się rozpuści. Więc tak musiało być. Wciąż tak robię, na miłość boską. Chociaż mnie to wkurza, bo muszę czekać, aż pralka napełni się wodą, czasem o tym zapominam i nagle stwierdzam, że pół prania minęło, a ja jeszcze nie włożyłam ciuchów.

Rzeczywiście, był całkiem niezły w te klocki. I pewnie dalej jest. Pewnie wciąż to samo mówi, powtarza te same ruchy.

Myślę o nim, jak leży z nią w łóżku, wdycha jej sandałowy zapach, gładzi jej gładką, wolną od toksyn skórę.

Chciałabym to zobaczyć. Chciałabym tam być, siedzieć na brzegu materaca i patrzeć, jak pochyla głowę nad jej piersią. Ona ma większe piersi niż ja. W to mu graj.

Ciekawe, czy go za darmo hipnotyzuje.

Jej głos przypomina ciepły miód powoli skapujący z łyżeczki.

Byli wczoraj na filmie z Russellem Crowe'em. Niezły. Powinien był wiedzieć, jak się skończy, bo film powstał na podstawie serialu, który leciał w poniedziałki wieczorem i który zawsze razem oglądaliśmy. Zastanawiałam się, czy pamięta, i byłam pewna, że nie, więc wysłałam mu przypominającego esemesa.

Potem poszli na kolację do tej tajskiej knajpy na rogu, tam, gdzie pierwszy raz powiedział mi, że mnie kocha.

Ciekawe, czy siedzieli przy tym samym stoliku.

Ciekawe, czy sobie przypomniał, chociaż na sekundę. No, chyba przelotnej myśli jestem warta.

Nie było dla mnie stolika. Musieli zrobić rezerwację – to znaczy ona musiała, bo jemu by się nie chciało. Poszłam więc do kawiarni i napisałam do niego list, żeby wszystko wyjaśnić, żeby mnie zrozumiał. Włożyłam mu list za wycieraczkę samochodu.

Nie mogę się doczekać kolejnej wizyty u hipnotyzerki.

ROZDZIAŁ 3

„Człowiek będzie taki, jakim sobie siebie wyobraża, a jest tym, co sobie wyobraża” – powiedział w szesnastym wieku Paracelsus. Idea potęgi umysłu nie jest niczym nowym, panie i panowie. Dzień dobry.

Wstęp do przemówienia Ellen O’Farrell
w czasie sierpniowego śniadania Northern
Beaches Rotary Club, którego niestety z powodu
zepsutego mikrofonu prawie nikt nie słyszał

– Musimy iść – ziewnęła Ellen.

– Tak, naprawdę musimy – ziewnął Patrick.

Żadne z nich się nie poruszyło.

Był czwartek, prawie jedenasta w nocy. Leżeli oboje na plecach na kocu, na trawiastym wzgórzu pod mostem Harbour Bridge. Wcześniej byli w teatrze w Kirribilli na naiwnej komedii. Zjedli coś w zatłoczonej makaroniarni, po czym poszli promenadą wzdłuż nabrzeża portu, obserwując ruch uliczny na moście i przepływające pod nim oświetlone promy. Ustalili, że dziś rozstaną się wcześniej. Patrick nie mógł do niej przyjechać, ponieważ z małym została sąsiadka, studentka, która następnego dnia szła na zajęcia, więc nie można było trzymać jej zbyt długo na nogach. Mimo to jakoś ciężko było im się rozstać.

Spotykali się już od trzech tygodni. Wszystko pachniało jak nowy samochód. Nawet ziewanie robiło olśniewające wrażenie: patrz, tak mam, jak jestem zmęczona.

– Jutro jesteś bardzo zajęta? – zapytał Patrick.

– Normalnie – odparła Ellen. – Pięciu klientów. Jak dla mnie wystarczy. Zauważyłam, że jeśli przyjmę choć jednego więcej, jestem wykończona.

Wiedziała, że z ostatniego związku wyniosła defensywny ton w rozmowach o życiu zawodowym. Jon zawsze odnosił się do jej profesji z subtelną, ale jednak – pogardą. Jej słabego, ledwie wyczuwalnego powiewu nie potrafiła do końca nazwać, a więc nie mogła również się z nim skonfrontować. Był jeszcze bardziej zaciętym ateistą niż jej matka. (*Bóg urojony* był jego ulubioną lekturą, jednym zaś z ukochanych powiedzonek – „Pokaż mi dowody empiryczne”). Za każdym razem, kiedy Ellen wspominała o swojej pracy, Jon przekrzywiał głowę i raczył ją ciepłym, dobrodusznym uśmiechem, zupełnie jakby była małą dziewczynką paplającą o księżniczkach i wróżkach. A następnie rzucał dowcipną, zaczepną uwagę, której sens ograniczał się do zaprzeczenia istnienia wróżek, lecz która miała jednocześnie rozbawić znajdujących się w pobliżu dorosłych.

„Ellen ma licencjat z hipnoterapii” – ogłaszał wszem wobec, co miało być sarkastycznym sposobem wytknięcia jej, że nie jest magistrem, ponieważ coś takiego jak magisterium z hipnoterapii nie istnieje. (Zapisała się na psychologię, ale w połowie drugiego semestru przeniosła się na hipnoterapię, nad czym jej matka boleje do dziś).

Dopiero po rozstaniu z Jonem Ellen stwierdziła, jak mocno przez cały okres trwania ich związku musiała walczyć o siebie. Wyglądało to tak, że za każdym razem, kiedy coś mówiła, za wszelką cenę próbowała nie traktować samej siebie zbyt poważnie. „Hej, dam sobie radę, nawet jeśli się

ze mnie podśmiewasz!” – a jednocześnie usprawiedliwić całą swą istotę: „Tak, to dla mnie w porządku. Tak, wierzę w siebie i w to, co mówię. Nie jestem frywolnym lekkoduchem, chociaż może nim jestem”.

– Czy to wykańczające z powodu... – zaczął Patrick, drapiąc się po policzku i marszcząc brew, kiedy wpatrywał się w gwiazdy. – To znaczy, jak konkretnie cię to wykańcza?

Był zakłopotany, ale w pełen szacunku sposób.

– Chyba dlatego, że nie potrafię po niczym prześlizgnąć się z grubsza – odparła Ellen. – Muszę się całkowicie skupić na każdym kliencie. Nigdy nie korzystam z gotowych scenariuszy. Każdą indukcję dostosowuję indywidualnie.

– Indukcję?

– To znaczy technikę, którą stosuję do wywołania hipnozy, na przykład, powiedzmy, wyobrażanie sobie, że schodzisz po schodach albo coraz bardziej rozluźniasz ciało. Dopasowuję to do zainteresowań lub przeszłości klienta, do tego, czy jest typem wizualnym czy analitycznym, czy innym.

– Zdarzają się trudni klienci? – zapytał Patrick, przetaczając się na bok i podpierając głowę na dłoni. – Tacy, którzy ciężko poddają się hipnozie?

– Prawie każdego da się do pewnego stopnia zahipnotyzować – odparła Ellen. – Ale niektórzy mają ku temu większe predyspozycje, wydaje mi się, że z powodu bardziej rozwiniętej wyobraźni. Potrafią naprawdę się skupić na wizualizacji.

– Hm – mruknął Patrick. – Ciekawe, czy ja byłbym łatwym klientem.

– Przeprowadzę na tobie próbę sugestywności – zaproponowała Ellen. Podniosła się na kolana, zadowolona. Z Jonem nic takiego nigdy nie nastąpiło.

Patrick skierował na nią wzrok.

– To jak test łatwości?

– Nie, skąd, to tylko małe ćwiczenie obrazujące siłę twojej wyobraźni. Rozluźnij się! To nic strasznego. Na pewno miałeś już z tym do czynienia, na konferencjach dotyczących sprzedaży lub gdzie indziej.

– Okej. – Patrick również wstał na kolana, twarzą w jej stronę i z odważnie wyprostowanymi ramionami.

Zapach jego wody kolońskiej już знаła, ale wciąż był na tyle nowy, że ją podniecał.

– Mam zamknąć oczy?

– Nie. Trzymaj tylko ręce tak. – Złożyła dłonie jak do modlitwy. Palce wskazujące pozostawiła jednak wyprostowane, tak że ustawione równolegle do siebie, nie stykały się.

Patrick zrobił tak samo i spojrzał jej w oczy. Było w tym wszystkim coś niezwykle seksownego.

– A teraz wyobraź sobie, że opuszki twoich palców przyciąga potężna siła magnetyczna. Walczysz z nią, ale nie dajesz rady. Patrz na swoje palce. Są przyciągane coraz silniej! Jeszcze silniej! Za mocno, nie dasz rady. Ooo.

Końce palców Patricka zetknęły się.

– Widzisz! Twoja podświadomość uwierzyła, że magnesy były prawdziwe.

Patrick spojrzał na końce swoich palców, wciąż złączone.

– No tak. To znaczy, nie wiem, wydawały się prawdziwe, ale to tylko dlatego, że robiłem, co kazałaś.

Ellen się uśmiechnęła.

– Właśnie. Każda hipnoza to autohipnoza. To żadna magia.

– Zrób coś jeszcze.

– Dobrze. Teraz zamknij oczy i wyciągnij ręce przed siebie.

Zrobił, co powiedziała. Przerwała na chwilę, przyglądając się równinom i zagłębieniom jego twarzy w świetle księżyca.

– Ej, jesteś tam? – zapytał.

– Przepraszam. Okej. Wyobraź sobie, że przywiązuję ci do prawego nadgarstka olbrzymi balon z helem. Balon ciągnie do góry. Czujesz, jak ciągnie? A teraz do lewej ręki wkładam ci wiadro z wodą. Bardzo ciężkie, wypełnione mokrym piachem z plaży.

Prawa ręka Patricka podniosła się, a lewa – opuściła. Albo robił to, by sprawić jej przyjemność, albo rzeczywiście był niesamowicie podatny na hipnozę.

– Otwórz oczy – zażądała.

Patrick otworzył oczy i spojrzał na swoje ręce.

– Hm – mruknął. Opuścił je, a potem otoczył nimi jej talię. Pochylił głowę, by ją pocałować, lecz nagle zamarł i błyskawicznym ruchem odwrócił się do tyłu.

– Co to? – zapytała, przestraszona.

– Przepraszam – odparł – ale wydawało mi się, że coś słyszałem. Myślałem, że to ona.

Nie padło już pytanie, jaka „ona”. Ellen rozejrzała się w ciemnościach, by wyłowić z mroku zarys kobiecej postaci. Stwierdziła, że po plecach przechodzi jej lekki dreszcz, a ona sama doświadcza przyjemnego skoku adrenaliny na myśl, że są obserwowani przez potajemną wielbicielekę Patricka.

– Dziś jej nie widziałeś, prawda? – zapytała Ellen.

Poprzedniego wieczoru byli w kinie, a potem na kolacji, i Patrick nie wspomniał słowem, że widział Saskię, dopóki nie znaleźli jej listu za wycieraczką jego samochodu.

Patrick rozejrzał się wkoło, po czym znowu usiadł.

– Nie, w ogóle jej nie widziałem. Wygląda na to, że dała nam dziś wolne. – Otoczył ją ramieniem. – Przepraszam. Przez to wszystko zrobiłem się nerwowy.

– Mogę sobie wyobrazić – odparła Ellen ze współczuciem. Czy za filarem coś się nie poruszyło? Nie. To tylko gra światła i cieni, cholera jasna.

– A więc twoja praca kręci się wokół potęgi umysłu – podsumował Patrick.

– Dokładnie – odrzekła Ellen. – Potęgi podświadomości.

– Wierzę w nią, nie zrozum mnie źle – zaczął Patrick.

O proszę. Mięśnie brzucha Ellen się napięły.

– Ale ma pewne ograniczenia, prawda?

– Co masz na myśli? – zapytała. To nie Jon, powiedziała sobie w duchu. Po prostu wyraża swoje zdanie. Uspokój się.

– Chodzi mi o to, że nie da rady uleczyć wszystkiego. Kiedy Colleen, moja żona, zachorowała, ludzie kazali jej myśleć pozytywnie. Jakby mogła zwalczyć raka samym myśleniem. Po jej śmierci widziałem w telewizji kobietę, która mówiła: „Nie pozwoliłam, żeby rak mnie zniszczył. Miałam dwoje małych dzieci. Musiałam żyć”. Wściekłem się. Tak jakby Colleen umarła z własnej winy. Jakby się za mało starała.

Ostrożnie, pomyślała Ellen. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, i zamknęła je z powrotem.

Patrick oparł dłoń na jej kolanie.

– Przy okazji: nie chcę, żebyś za każdym razem, kiedy jest mowa o mojej żonie, czuła, że stąpasz po kruchym lodzie. Jeśli chodzi o mnie, nie ma problemu. Nie będę urażony, obiecuję.

Hmm, pomyślała Ellen.

– Moja mama jest internistą – powiedziała. – Więc...

Więc co? Więc z jej powodu jestem ciut wiarygodna medycznie? Moja matka też nie za bardzo wierzy w to, co robię.

– Pracowałam z nieuleczalnie chorymi pacjentami, pomagałam im radzić sobie z bólem i stresem, ale w życiu, przysięgam, nikomu bym nie obiecała, że jestem w stanie go uzdrowić.

– Tego nie zamierzałem sugerować – odparł Patrick i zacisnął dłoń na jej kolanie.

– Wiem, że nie zamierzałeś – odpowiedziała i przykryła jego dłoń swoją. Ciekawe, czy przed oczami stała mu teraz twarz żony.

Nie powiedziała mu, że wierzy, iż w ludzkim umyśle drzemią cudowne, niewykorzystane moce.

„Pokaż mi dowody empiryczne” – słyszała głos Jona.

Milczeli. Z przeciwnej strony portu dobiegł dźwięk syreny. Zza ich pleców dały się słyszeć czyjeś kroki. Oboje odwrócili się, by ujrzeć kobietę w czarnej, formalnej garsonce i białych adidasach zbliżającą się ścieżką wprost ku nim.

– To nie... – zaczęła Ellen.

– Nie – odparł Patrick. Twarz mu się rozjaśniła, kiedy kobietę oświetliła uliczna latarnia.

Przez chwilę nic nie mówili. Ellen myślała o tym, jak przez lata spędzone z Jonem odcinała ogromną część własnej tożsamości. Jeśli ten związek miał być udany, musiała otworzyć tamte drzwi na oścież. Wpuścić światło! Powietrze! No, wystarczy tych domowych metafor.

– Naprawdę kocham to, co robię – odezwała się. W jej głosie wciąż pobrzmiwała defensywna nutka. Zrobiła świadomy wysiłek, by się jej pozbyć, by po prostu być. – I jestem w tym całkiem niezła.

Patrick obrzucił ją rozbawionym, przeciągłym spojrzeniem.

– Królowa hipnoterapeutek?

– Tak.

– Co za zbieg okoliczności. Bo ja jestem królem geodetów.

– Serio?

Patrick westchnął.

– Nie, niestety. Jestem raczej geodetą starej daty.

– Czemu?

– Nie przepadam za wdrażaniem nowych technologii. Wciąż wolę rysować ręcznie. A przez to jestem wolniejszy. Mniej wydajny. To wielka wada, o czym ciągle przypomina mi mój młodszy brat.

– Też geodeta?

– Nie, grafik, ale kocha wszystkie nowości. Ty też lubisz hi-tech?

– Nie za bardzo, ale lubię Google. Codziennie trochę siedzę w internecie. Google to moja wyrocznia.

– Co dziś wygooglowałaś?

Dziś wygooglowała: „randka z wdowcem – jak nie wpaść w pułapkę” i „przybrane dzieci – katastrofa?”, a następnie „rady na popękane naczynka wokół nosa”.

– E, nie pamiętam. – Machnęła ręką. – Pewnie coś banalnego.

Wróciła do poprzedniego tematu:

– Więc dlaczego postanowiłeś zostać geodetą?

– Przez mapy – odparł natychmiast. – Zawsze uwielbiałem ideę mapy, dokładnej wiedzy, gdzie jestem w stosunku do wszystkich pozostałych miejsc. Miałem wujka geodetę. Jak byłem mały, powiedział mi: „Patrick, masz dobrą orientację w terenie, byłby z ciebie świetny geodeta”. Zapytałem go, czym się zajmuje geodeta, a on wyjaśnił mi tak: geodeta określa położenie rzeczy na powierzchni ziemi w stosunku do wszystkich

innych rzeczy na ziemi albo pod ziemią. To dokładnie jego słowa. Trafiły do mnie. I nie wiedzieć czemu, zaskoczyły. Pomyślałem, tak, zostanę geodetą.

– Ja za to mam tragiczną orientację w terenie – stwierdziła Ellen. – Nigdy nie wiem, gdzie się znajduję w stosunku do innych rzeczy. Na przykład teraz nie jestem w stanie określić, w którym kierunku jest dom.

Patrick wskazał przez jej ramię.

– Na północy. Tam.

– Wierzę ci.

– Masz kawałek papieru? – spytał Patrick. – Narysuję ci mapę.

Ellen zawsze pilnowała, by mieć w torebce ładny zeszyt w twardej oprawie oraz długopis. Lubiła zapisywać myśli, które zniemacka przychodziły jej do głowy, pomysły dotyczące pracy i tak dalej. Ostrożnie wyrwała więc kartkę i podała mu. Nie chciała, żeby czytał jej przypadkowe bazgroły, z których większość stanowiła esencję bezsensu.

Patrick wyciągnął z kieszeni zgrabne, złote wieczne pióro.

– Parker mojego dziadka. W ogień bym za nim skoczył.

Położył kartkę na notesie, oparł go sobie na kolanie i w rogu narysował staromodną różę wiatrów. Następnie szybkimi pociągnięciami zaczął szkicować zarys zatoki i kształt portu. Dodał prom i jachty, most portowy i budynek opery. Czuła się tak, jakby przed jej oczami powstawała starodawna mapa skarbów.

– Tu jedliśmy kolację – powiedział i narysował obrazek restauracji. – Tu byliśmy na tej okropnej sztuce. A teraz idziemy w kierunku północnej plaży. – Naszkicował plażę, a na jej końcu dwupiętrowy dom. – Tu jest twój dom. Napisał: „Hipnotyczny dom Ellen”. – A teraz cofamy się w stronę północnego wybrzeża i tu jest mój dom. Napisał: „Nędzna męska nora

Patricka i Jacka”. Miał piękny charakter pisma, który przywodził na myśl minione, znacznie bardziej eleganckie czasy.

Jeszcze u niego nie była. Ciekawe, czy to rzeczywiście nora.

– A tu spotkaliśmy się po raz pierwszy. – Rysował dalej. – No i to chyba wszystko, a nie, jeszcze to. – Obok portu postawił małe krzyżyk i napisał: TU JESTEŚMY.

– To najpiękniejsza mapa, jaką kiedykolwiek widziałam – rzekła Ellen szczerze. Nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania mapami, ale wiedziała już, że tę zatrzyma na zawsze.

Przez twarz Patricka przemknął ledwie dostrzegalny cień. Zniknął za szybko, by określić, czy był to smutek czy złość, czy może zażenowanie, albo wytwór jej wyobraźni.

Uśmiechnął się do niej.

– Tym razem gratis, kochanie.

Serce jej się rozpułnęło.

*

Mam to pudełko.

Czasem wydaje mi się, że jeślibym je wyrzuciła, mogłabym przestać. Raz udało mi się donieść je prawie do śmietnika. Otworzyłam pokrywę, dotarł do mnie smród gnijących resztek jedzenia, usłyszałam brzęczenie much i pomyślałam: Przecież to nie śmieci, tylko moje życie.

Dziś ich zgubiłam. Szli gdzieś w kierunku Milsons Point lub Kirribilli. Byłam głodna, więc nie chciało mi się jeździć i szukać jego samochodu. Wróciłam do domu i zjadłam tost z sardynkami przed telewizorem. Leciwały *Dowody zbrodni*. Pudełko stało koło mnie, na podłodze.

W czasie każdej przerwy na reklamę wkładałam rękę do pudełka i wyciągałam przypadkowy przedmiot. Oglądałam go dokładnie, jakby

stanowił klucz czy rozwiązanie zagadki, a ja jakbym była jednym z serialowych detektywów starających się rozwikłać sekrety przeszłości.

Kartka urodzinowa, kawałek tektury, sztywny i błyszczący. Niewypłowiąły, nic a nic. Równie dobrze mogłam ją dostać wczoraj.

Kochana Saskio!!

Najlepsze życzenia od Twoich chłopaków.

Kochamy Cię,

Patrick i Jack, xx

Moje zdjęcie z Jackiem przy jednym z naszych miasteczek z ciastoliny. Budowaliśmy je godzinami. Rozkładałam tekturę na stole w salonie i lepiliśmy ulice, skrzyżowania i światła. Sklepy i domy. Całymi dniami wykańczaliśmy jedno takie miasto. Miało się nazywać Jacksville, Jackland albo Jacktown. Uwielbiałam budować miasteczka – tak samo jak on. Czułam się jak urbanistka, tyle że bez polityki i biurokracji.

Karta pokładowa do Queenstown w Nowej Zelandii. Wybraliśmy się tam z Patrickiem na tydzień pojeździć na snowboardzie. Z Jackiem została babcia. Pamiętam, jak Patrick zatrzymał się, by mnie pocałować, kiedy szliśmy do baru na gorącą czekoladę. Ciepłe wargi, zimne płatki śniegu, opadające wokół nas miękko jak pieszczota.

Mapa, którą Patrick narysował, kiedy mi tłumaczył, jak dojechać do firmy deweloperskiej koło lotniska.

Pamiętam, jak mu powiedziałam, że to najpiękniejsza mapa, jaką kiedykolwiek widziałam.

ROZDZIAŁ 4

W rozumieniu niniejszej ustawy „nagabywanie” oznacza śledzenie, obserwowanie, częste przebywanie w pobliżu lub zbliżanie się do miejsca zamieszkania osoby, jej miejsca pracy lub jakiegokolwiek innego miejsca, które odwiedza w celach towarzyskich lub wypoczynkowych.

Artykuł 8 kodeksu karnego (*Pogwałcenie
praw miejscowych i osobistych*)

– Więc za wami chodzi? Wszędzie? Jak to w ogóle możliwe?

– No, nie wszędzie. Ostatni raz, jak byliśmy w kinie.

– Może była tam przypadkiem.

– Może, ale próbowała się dostać do tej samej restauracji, a potem zostawiła mu za wycieraczką auta list, którego zresztą nie przeczytał. Wygląda na to, że czeka za rogiem koło domu Patricka i potem jedzie za nim. On twierdzi, że jak wybiera się w jakieś nowe miejsce, często udaje mu się ją zgubić, ale na stałej trasie, na przykład do kina w Cremorne, łatwo jej się domyślić.

– O mój Boże.

– Właśnie.

– To musi być dla ciebie okropne. Niszczyć ten piękny czas na początku waszej znajomości. Powinniście czule patrzeć sobie w oczy, a nie rozglądać

się po kątach za jego byłą.

– Jakoś mi to nie przeszkadza. A szczerze mówiąc, uważam, że to nawet interesujące.

– Jesteś nienormalna.

Ellen roześmiała się, słysząc stanowczość w głosie Julii, i przeciągnęła się z lubością. Był sobotni ranek. Przed chwilą wyszły z basenu i wylegiwały się teraz na białych ręcznikach w saunie. Nogi i ramiona bolały Ellen po intensywnym pływaniu. Z Julią zawsze pływała szybciej i ostrzej niż sama. Po szyi i dekolcie spływały jej strużki potu. Ręce oparła lekko na udach. Czuła się atrakcyjnie, ślisko i zmysłowo. Na początku nowego związku praktykowanie codziennej uważności było pestką. Wszystko działało się po prostu samo. I ta dawka seksu. To dzięki niej po organizmie krążyły rozmaite związki chemiczne w zwiększonych ilościach.

No i dowartościowanie. Chyba najcudowniejszy aspekt bycia zakochanym. Patrick zdawał się wysoko cenić każde odkrycie związane z jej ciałem, przeszłością, osobowością. Sprawiało to, że Ellen czuła się nie tylko znacznie bardziej seksowna, ale także zabawniejsza, inteligentniejsza, miłsza, bardziej uprzejma – ogólnie rzecz biorąc, bardziej urocza. Była niepokonana! Zdawało się, że dzień za dniem mija jej w doskonałej, płynnej, idealnie zrównoważonej harmonii, jakby osiągnęła stan oświecenia. Klienci stali się cudowni i wdzięczni, znajomi – przemili, matka mniej irytująca. („Więc kiedy go poznam?” – spytała przez telefon ciepłym, pełnym zadowolenia tonem, przypominającym ton normalnej matki). Produkty spożywcze, które Ellen zamierzała kupić, zawsze znajdowały się na półce dokładnie na linii jej wzroku, światła zmieniały się na zielone we właściwym momencie, kluczyki do samochodu, okulary słoneczne i portfel grzecznie i dogodnie leżały na swoim miejscu, to jest na stoliku w przedpokoju. Na przykład tego ranka – miała tylko godzinę, żeby

odwiedzić bank, zarejestrować samochód i odebrać rzeczy z pralni. Nie dość, że udało jej się wszystko załatwić, to jeszcze zostało jej czasu, a każda napotkana osoba – łącznie z panią w wydziale komunikacji – była przemiła, wręcz ujmująca. Co więcej, z urzędnikiem bankowym przeprowadziła dość emocjonującą rozmowę o pogodzie. (Urzędnik pochodził z Wielkiej Brytanii i uważał, że australijskie zimy są „boskie”, w związku z czym Ellen poczuła taką dumę, jakby sama – ona jedna, niezwyciężona, odpowiadała za oblicze ojczystego klimatu).

Och, gdyby tylko dało się zamknąć to uczucie w butelce i zachować je na zawsze. Nie mogło ono trwać wiecznie – z tego zdawał sobie sprawę jej racjonalny umysł, ale serce, jej głupiutkie serce, ćwierkało. „Och, może, może! Czemu nie? Oto kim teraz jesteś! Odtąd tak będzie wyglądać twoje życie!”

– Nigdy w życiu nie dałabym się tak poniżyć – rzekła Julia.

Co takiego? Och. Chodzi o nagabywanie.

– Cóż, wygląda na to, że ona po prostu nie może odpuścić – odparła Ellen, obecnie przepełniona łagodnym współczuciem dla reszty ludzkości.

Julia parsknęła. Leżała na ławie naprzeciwko Ellen z głową obwiązaną turbanem z ręcznika. Miała długie, szczupłe, wysportowane ciało i szaloną burzę blond loków, co sprawiało, że plasowała się na krawędzi bycia prawdziwą piękną. Ellen, zawsze kiedy szła w jej towarzystwie ulicą, była świadkiem wielu bezwiednych męskich spojrzeń omiatających koleżankę od stóp do głów i szacujących jej urodę. Niestety wszystko wskazywało na to, że uroda Julii przyciąga określony typ mężczyzn, a mianowicie panów ceniących jakość i gotowych za nią dodatkowo zapłacić. Problem polegał na tym, że tacy panowie nieustannie zmieniali komputery, samochody i kobiety na lepsze. Leżało to po prostu w ich naturze. Ci oddani konsumenci wspaniale nakręcali gospodarke. Po niemal

pięciu latach małżeństwa mąż Julii, William, postanowił, że czas najwyższy wymienić kobietę na trochę wyższy model – dwudziestotrzyletnią brunetkę.

(Ellen zawsze żywiła głębokie przekonanie, że sama przyciąga diametralnie inny, lepszy typ mężczyzn – mianowicie takich, którzy nie potrzebują billboardów, by określić swoje upodobania. Głębokie, indywidualne jednostki. Niestety nie mogła przedstawić żadnych argumentów na prawdziwość swojej teorii, gdyż historia jej związków była równie rozpaczliwa jak historia związków Julii).

(Szczерze mówiąc, gdyby chcieć doszukać się w tej teorii czegoś więcej, wychodziłoby na to, że stworzyła ją tylko i wyłącznie dla poprawienia własnego samopoczucia. Większość mężczyzn nie czuła bowiem najmniejszej potrzeby, by choć na sekundę omieść ją wzrokiem).

(Tak czy siak William to straszny dupek).

(Szczерze mówiąc, na początku bardzo jej się podobał).

– Gdzie jej szacunek dla samej siebie? – warknęła Julia. – Trzeba iść dalej, na miłość boską. Przez takie jak ona wszystkie wychodzimy na wariatki. – W jej głosie pobrzmiwała prawdziwie ostra nuta, jakby fakt, że była dziewczyna śledziła Patricka, stanowił dla niej osobistą urazę.

– Masz na myśli to, że wszystkie kobiety stawia w złym świetle? – zapytała Ellen. – Zwykle to faceci nas nękają. Więc to nawet dobrze. Jej przypadek dowodzi, że kobiety potrafią to robić równie skutecznie jak mężczyźni.

Julia głośno i pogardliwie westchnęła. Podniosła się, wyciągnęła długie ramię i sięgnęła po chochlę leżącą tuż obok wiadra z wodą. Prysnęła na gorące kamienie. Rozległ się syk, a w saunie przybyło pary.

– Julia – Ellen z trudem zaczerpnęła powietrza – przestań, bo się uduszę.

– Hartuj się – rzuciła Julia, po czym położyła się z powrotem i spytała:
– Jak jej na imię?

– Saskia – odparła Ellen, oddychając płytko ciężkim, rozgrzanym powietrzem. Wymawiając imię na głos, poczuła się onieśmielona, jakby mówiła o kimś sławnym.

– Widziałaś ją już w ogóle? Albo jej zdjęcie?

– Nie. On nigdy mi nie mówi, że ją widział, dopóki ona nie zniknie. Nie masz pojęcia, jak bym chciała ją wreszcie zobaczyć.

– Może jest tylko wytworem jego wyobraźni i to on ma fioła.

– Nie sądzę – odpowiedziała. Patrick nie miał fioła. Był uroczy.

– Domyślam się więc, że to on zerwał tę znajomość.

– Powiedział tylko, że związek umarł śmiercią naturalną.

– W takim razie złamał jej serce – upierała się Julia.

– No nie...

– Mimo wszystko dla czegoś takiego nie ma usprawiedliwienia. Zerwania zdarzają się wszystkim. Patrick powinien wystąpić do sądu o zakaz zbliżania się. Zakładam, że to zrobił.

Julia uważała, że z każdej sytuacji jest wyjście.

– Twierdzi, że był na policji – zaczęła Ellen, ale przerwała. Odechciało jej się wdawać w szczegóły. Nie była do końca przekonana, czy Patrick powiedział jej całą prawdę o powodach, dla których nie kontynuował procedury niezbędnej do uzyskania sądowego zakazu zbliżania się do niego.

– Tak czy owak ta szalona kobieta powinna w końcu wziąć się w garść – rzekła Julia, jakby w gestii Ellen pozostawało przekazanie Saskii tego zalecenia.

– Zgoda.

Przez jakiś czas leżały w ciszy. Ellen planowała, co ugotuje dziś wieczór dla Patricka. On już raz poczęstował ją samodzielnie przygotowaną kolacją. Było to w dniu, kiedy Jack nocował u kolegi. Smaczna, zwyczajna pieczeń, nic wymyślnego. To dobrze, bo Ellen miała już okazję poznać smakoszy. Na początku umiejętność gotowania wydawała się u mężczyzny wielką zaletą, ale później, gdy taki krążył po kuchni, próżny i dumny jak paw, krytykując nawet twój sposób siekania czosnku, okazywała się cechą nie do zniesienia.

Może by zrobić coś wieprzowego, przecież zamówił boczek? Może delikatne, mięciutkie medaliony wieprzowe.

– Pamiętasz Eddiego Mastersa? – zapytała Julia.

– Tego pomocnika w mięsnym? – odpowiedziała pytaniem Ellen, przypominając sobie chudzielca z długimi włosami, ubranego w biało-niebieski rzeźnicki fartuch w pasy. Julia chodziła z nim jako nastolatka. Tak, wieprzowina. Wracając z basenu, wstąpi do eleganckiego sklepu mięsnego w pasażu handlowym.

– Po mnie chodził z Cheryl z apteki – wyjaśniła Julia.

– Z tą straszną? Wiesz, wydawała mi się okropna chyba przez to, że miała dwa razy przekłute uszy.

– Uhm. Wiesz co? Jak Eddie mnie rzucił, wydzwaniałam do niej całymi dniami. Kiedy odebrała, nie odzywałam się i czekałam, aż odłoży słuchawkę. Obrzucała mnie przekleństwami, a ja tylko siedziałam i oddychałam do słuchawki. Nie sapałam, tylko oddychałam zwyczajnie, żeby wiedziała, że tam jestem.

– Julio Margaret Robertson! – wykrzyknęła Ellen, prostując się gwałtownie w pół udawanym, pół autentycznym szoku. Spojrzała na przyjaciółkę, wciąż leżącą nieruchomo na plecach z rękami złożonymi na brzuchu.

W snobistycznej prywatnej szkole dla dziewcząt, którą obie skończyły, Julia była przewodniczącą samorządu. A po lekcjach zadawała się z rzeźnikiem.

Julia nie otworzyła oczu, uśmiechnęła się tylko diabelsko.

– Myślałam tak o tej twojej nagabywaczce i sobie to przypomniałam – rzekła. – Od lat nie wspominałam tamtych czasów.

– Ale to takie nie w twoim stylu!

– No wiem, ale jak mnie rzucił, byłam zdruzgotana. Nie mogłam przestać o niej myśleć, nie mogłam przestać się zastanawiać, dlaczego wybrał ją, nie mnie. Czułam się, jakbym przestała istnieć. Wydzwanianie do niej sprawiało, że istniałam. Było jak narkotyk. Nienawidziłam się za to i myślałam, że już nigdy tego nie zrobię, ale za chwilę okazywało się, że co robię? Wykręcam jej numer.

– Jak to się stało, że przestałaś?

– Nie wiem. Chyba po prostu mi przeszło – odparła Julia, po czym zamilkła. – Wiesz co? – dodała po chwili. – Ten Eddie z mięsnego cudownie całował.

– Czy on przypadkiem nie miał hiszpańskiej bródki? – spytała Ellen. – Takiej cienkiej, szpiczastej?

– A, miał. A pamiętasz, że zawsze trzymał w rękawie koszulki paczkę papierosów?

– Wyglądała jak narośl na ramieniu.

– Wtedy uważałam, że to niemożliwie seksowne.

Zamilkły na parę sekund, po czym obie wybuchły niepowstrzymanym, rżącym śmiechem, jakim śmieją się tylko kobiety, które razem spędziły szkolne lata.

– Powinnaś sprawdzić Eddiego na Fejsie – stwierdziła Ellen, kiedy już przestały rechotać. – Pewnie teraz prowadzi własny mięsny.

– O nie, aż taka zdesperowana nie jestem – odparła Julia. – I za bardzo mnie cieszy bycie singielką.

Kłamiesz, moja kochana, oj, kłamiesz, pomyślała Ellen, niepostrzeżenie obserwując język ciała Julii – kurczowo ściśnięte dłonie, zaciśnięte wargi. Od czasu, gdy mąż Julii wymienił ją na brunetkę, minęły już dwa lata.

Julia nagle podniosła głowę.

– Ej, nie zmyśliłaś przypadkiem tej całej historii z prześladowcą go eks? Czy to nie twoja bajeczka, której ukrytym przesłaniem ma być to, że szaloną prześladowczynią jestem ja, więc muszę wziąć się w garść i zacząć randkować?

– O czym ty gadasz? – zapytała Ellen, choć doskonale wiedziała, o co chodziło Julii.

– Pamiętam, jak raz mi opowiadałaś o szalonym hipnotyzerze, twoim guru czy coś tam, o tym facecie w czerwonej czapce.

– O Miltonie Ericksonie – westchnęła Ellen. – O Boże, ale ty masz dobrą pamięć.

Nikt nigdy nie doceniał Julii. To dlatego, że była taka piękna, ale też dlatego, że poczucie humoru miała jak czternastoletni chłopiec.

– Pamiętam, że mówiłaś, że leczył za pomocą rozmaitych historii – ciągnęła Julia.

– Stosował metafory terapeutyczne – mruknęła Ellen.

– Cóż, zauważyłam, że odkąd zostawił mnie William, od czasu do czasu z głupia frant raczysz mnie opowiadkami motywacyjnymi o ludziach, którzy przezwyciężają przeszkody i odnajdują szczęście, mimo że ich serce zostało złamane.

– Nieprawda – warknęła Ellen.

Prawda.

– Mmmmm – mruknęła Julia. Uniosła podbródek i uśmiechnęła się do Ellen, a Ellen, skrzepowana, odwzajemniła jej uśmiech. – Więc ta nagabywaczka Patrycka nie jest metaforą terapeutyczną?

– Nie.

Przez parę sekund leżały w ciszy.

– W takim razie Patrick ma niezrównoważoną eks i zmarłą żonę – podsumowała Julia. – Niezły kasek. Żadnych komplikacji, absolutnie.

– Wiesz, nie czuć tych komplikacji – powiedziała Ellen.

– Na razie.

– Dzięki za entuzjazm i wsparcie – rzekła z sarkazmem Ellen.

– Tak tylko mówię. – Julia podniosła się, zdjęła ręcznik z głowy i zaczęła przykładać go sobie do różowych, błyszczących policzków. – Założę się, że szczególnie cieszy cię fakt, iż jest wdowcem, prawda? – dodała. – Nabiera przez to cech postaci romantycznej i tragicznej. Zupełnie jak Miles.

– Miles?

– No, Miles. Ten jednonogi chłopak, w którym byłaś zakochana w liceum.

– Giles – sprostowała Ellen. – A poza tym wszystkie byłyśmy zakochane w jednonogim. Był cudowny.

I tu tkwił problem – przyjaźniąc się z kimś, kogo znasz z liceum, narażasz się na to, że nigdy nie zostaniesz poważnie potraktowana. Zawsze będziesz postrzegana jak głupia nastolatka.

To prawda. Nie była szczególnie nieszczęśliwa, że Patrick był wdowcem. Nawet podobał jej się fakt, że trochę utrudniało to sprawy. Dzięki temu czuła się nicią wplecioną w skomplikowany gobelin życia (i śmierci). Miała też pole do popisu, jeśli chodzi o umiejętności zawodowe. Wyobrażała sobie, jak ludzie pytają: „Nie przeszkadza ci, że ciągle kocha

żonę?”, a ona pogodnie odpowiada: „Nie, szczerze mówiąc – wcale”. Gdyby wciąż żywił uczucia do żony, byłoby to całkowicie zrozumiałe. Wiedziałyby instynktownie, kiedy się wycofać, kiedy pozwolić mu ją opłakiwać.

– Nigdy nie byłam zakochana w chłopaku bez nogi – oznajmiła Julia.

– Nie, za bardzo byłaś zajęta oddychaniem do słuchawki, gdy po drugiej stronie linii stała nowa dziewczyna twojego byłego chłopaka.

– Aha! Trafiony! – Julia, szkolna mistrzyni szermierki, zręcznie wywijała wyimaginowaną szablą. Z powrotem zawinęła turban na głowie i położyła się na ławce. – Tak czy inaczej jestem usprawiedliwiona, jeśli chodzi o prześladowanie tej dziewczyny – stwierdziła. – Miałam wtedy siedemnaście lat. Mózgi nastolatków nie są w pełni ukształtowane. To fakt stwierdzony medycznie. Ile lat ma ta twoja stalkerka?

– Patrycka, nie moja. Jest po czterdziestce, chyba. – Aby wydobyć od Patrycka podstawowe fakty o Saskii, trzeba było się niezłe natrudzić. Ellen zauważyła, że o ile było to możliwe, starał się nie wypowiadać nawet jej imienia. Mówił o niej „ona” lub „tamta”.

– No właśnie. To dojrzała kobieta. W średnim wieku właściwie. Żadnego usprawiedliwienia. Musi być szurnięta. Nadaje się do wariatkowa i tyle!

Ellen westchnęła i wyciągnęła ręce i nogi najdalej, jak tylko mogła, a potem rozluźniła całe ciało i starała się wtopić w ławę.

– Wszyscy jesteśmy trochę szurnięci, Julio.

ROZDZIAŁ 5

„Schudniesz!” / „Sama postanowisz, jak szczupła będziesz!”

Proszę spojrzeć, jak różnią się te dwie sugestie. Pierwszą można określić jako autorytatywną, bezpośrednią, ojcowską. Drugą – jako przyzwalającą, bezpośrednią, matczyną. Milton Erickson twierdził, że podświadomość opiera się sugestiom autorytatywnym. Jako pierwszy użył określenia „podstępna niejasność”. Czy nie jest ono po prostu cudowne?

Fragment wykładu wygłoszonego podczas kursu hipnoterapii (poziom zaawansowany) przez Ellen O’Farrell. Trzej studenci pokiwali głowami, reszta wpatrywała się w nią z podstępną niejasnością.

Na wieść o tym, że dziś wieczór ma niespodziewanie poznać syna Patricka, Ellen doznała kompletnie niewspółmiernego ataku paniki.

– Jasne! Pewnie, pewnie! – odpowiedziała, kiwając głową jak maniakalna pacynka, kiedy zadzwonił z pytaniem, czy może przyprowadzić Jacka na kolację, bo jego szkolny kumpel, u którego miał przenocować, nagle się rozchorował.

– Zje to samo, co my – rzekł Patrick. – Albo zamówimy mu pizzę, albo cokolwiek. Nie przejmuj się. A, i weźmie sobie jakiś film na DVD.

Czy powinna odkroić po kawałku z ich medalionów wieprzowych i podać Jackowi? A może lecieć po kotlet cielęcy? Nie było czasu. Po południu miała jeszcze dwoje klientów, pierwsza klientka miała się zjawić za pięć minut.

W domu nie było nic do picia poza winem i szampanem. Przydałaby się cola lub syrop owocowy do rozcieńczania, a przynajmniej jakiś sok. Na deser miały być truskawki w likierze ze śmietaną – czyli danie kompletnie nienadające się dla dziecka.

Będzie oczekiwał lodów. Ciasta. Babeczek? A może to zbyt dziecinne? Nie może go obrazić zbyt dziecinnym traktowaniem. O Boże. Żeby przygotować się na jego przyjście, potrzebuje paru godzin. Musi zadzwonić do koleżanki, Madeline, ekspertki od dzieci, musi napisać esemesa do Julii, która odpowie, że jest idiotką, musi napisać mejla do Carmel z Nowego Jorku, która natychmiast zamówi jej przez internet książkę w stylu *Jak być dobrą przybraną mamą*, musi wpisać w Google hasło „ośmioletni chłopcy i jak z nimi rozmawiać, żeby się nie zorientowali, jak bardzo chciałoby się być ich matką”.

Kiedy omawiała z Patrickiem kwestię pierwszego spotkania z Jackiem, ustalili, że stanowczo powinno ono odbyć się w dzień, nie w nocy – o, na przykład przy okazji wspólnej wycieczki do oceanarium. Coś, co rozładuje napięcie. Planowała, że będzie od niechcienia rzucać zabawne, ciekawe (w rzeczywistości starannie przygotowane) uwagi o mieszkańcach podwodnego świata, intrygujące dla ośmioletniego chłopca.

Nagle po plecach przeszedł jej dreszcz przerażenia. Uświadomiła sobie, że jej odbiornik DVD jest zepsuty. Biedny, osierocony dzieciak zanudzi się u niej na śmierć.

Gry! Będą musieli w coś pograć. Czy w dzisiejszych czasach dzieci grają jeszcze w planszówki? A może po prostu posiedzą i pogadają? Tylko

o czym?

Przez chwilę była bliska łez.

Musiała zrobić drugie podejście do problemu. Spojrzeć na niego w bardziej pozytywnym świetle.

Ellen, to dziecko, a nie królowa Anglii czy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Cóż, niewiele to zmieniało, bo Ellen z wielką ulgą powitałaby w swoich progach królową albo prezydenta zamiast Jacka. Królowa przypominała jej babcię, za którą dzień w dzień tęskniła, natomiast prezydent Obama wydawał się przyjaznym gościem, z którym da się miło pogadać. Do tego Ellen była jedynaczką, wychowała się wśród samych dorosłych, a ze względu na pracę ciągle poznawała kogoś nowego. Nie była nieśmiała i choć miała tendencję do nadmiernego samokrytycyzmu (z którym walka stanowiła podstawę jej pracy nad sobą), nie odczuwała wobec nikogo poczucia niższości.

Poza dziećmi. Tak, prawdę mówiąc, cierpiała na straszliwy kompleks niższości wobec dzieci.

Stanowiły odrębny gatunek, wyposażony we własną kulturę i język. W dzisiejszych czasach dzieci wydawały się takie pewne siebie. Dziś po basenie, kiedy Ellen robiła zakupy, mała, najwyżej ośmioletnia, dziewczynka przemknęła obok niej, szczebiocząc przez różową komórkę. Miała na sobie płaszcz z kapturem, cały na futrze, twarz wymalowaną niczym tygrysica, a przemknęła, bo w podeszwach jej adidasów skrywały się niewidoczne kółeczka. To nie wszystko – buty przy każdym ruchu migąły na różowo. Ellen w niemym zdziwieniu przyglądała się tej egzotycznej, tygrysiej księżniczce na niewidzialnych wrotkach.

Jej znajome miały oczywiście małe dzieci, ale małe dzieci to co innego. Można je przytulać, rozśmieszać, łaskocząc w dłonie lub dmuchając

w miękkie, słodkie szyjki. Och, uwielbiała maluchy, ale starsze dzieci...

Prawda była taka, że chociaż Ellen dawno przekroczyła trzydziestkę, wiele jej koleżanek w tym samym wieku wciąż nie miało dzieci.

„Wy, dziewczyny, wszystkie myślicie, że jeszcze macie czas” – mówiła jej matka. „Czy zdajecie sobie sprawę, że kiedy przychodzicie na świat, jesteście już wyposażone w jajeczka na całe życie? Nie żeby mi się spieszyło, żeby zostać babcią, bynajmniej”. – Urywany śmiech.

Dobrze. Ellen nie miała doświadczenia w obcowaniu z dziećmi. Ale nie to było jedyną przyczyną nieprawdopodobnej paniki, jaką odczuwała. Warstwa po warstwie, z brutalną skutecznością zdzierając z siebie podświadomość, by odsłonić nagą, włochatą prawdę.

Chciała być przybraną matką tego dziecka. Chciała widzieć go w uroczym, małym garniturku na swoim ślubie. Chciała, żeby był starszym bratem jej własnego, małego dzidziusia, bo miała już trzydzieści pięć lat i urodziła się wyposażona w cały zapas jajeczek. Chciała, aby jego ojciec okazał się tym jedynym, ponieważ nie zniesie dalszego grzebania w profilach użytkowników obrzydliwego portalu internetowego dla samotnych. Nie zniesie widoku kolejnego łysego, nalanego faceta w średnim wieku, patrzącego na nią z ekranu pożądlwym wzrokiem i domagającego się „szczupłej, samowystarczającej pani do przytulania i długich spacerów po plaży”. Tak, chciała, aby ten dzieciak ją pokochał, zaakceptował i uchronił przed przytulaniem przez nalanych mężczyzn o pożądlwym wzroku.

Jasne, że to wszystko za dużo, za szybko, że to strasznie krępujące i że jeśli mały wyczuje jej szaloną desperację (a miała poważne podejrzenia, że dzieci, jak psy, mają swoisty instynkt), to...

Natarczywie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Ellen zerknęła na zegarek. To klientka na drugą. Zbiegła ze schodów, pokonując po dwa stopnie, po czym zatrzymała się i wyrecytowała afirmację, którą powtarzała przed każdą wizytą. Wdech, od tej chwili jestem w pełni przy kliencie, wydech, dam z siebie wszystko, co mam do zaoferowania.

Otworzyła drzwi ze spokojnym, profesjonalnym uśmiechem. Ellen neurotyczka została szczęśliwie upchnięta do zamykanej na klucz szafy w zakamarkach jej umysłu.

Pacjentką była Rosie – przyszła panna młoda, która obiecała narzeczonemu, że do ślubu rzuci palenie.

Była niską, krągłą kobietą o dużych, ufnych oczach i maleńkiej przerwie między górnymi jedynekami, przez co jej twarz nabierała wyglądu niewinnego dziecka. Ellen nie była w stanie wyobrazić sobie jej z papierosem w ustach. Jak kilkulatka z cygarem.

Na pierwszym spotkaniu Rosie wspomniała, że wychodzi za Iana Romana i obrzuciła Ellen spojrzeniem pełnym oczekiwania.

To nazwisko powinno mi coś mówić, pomyślała Ellen.

– Pracuje w mediach – wyjaśniła Rosie. – Odgrywa całkiem, hm, znaczącą rolę.

I wtedy Ellen olśniło. Ian Roman! To jedno z nazwisk, które zapadają w podświadomość przez osmozę. Był właścicielem jakichś tytułów prasowych, stacji telewizyjnych czy czegoś takiego. Jego nazwisko pojawiała się w wiadomościach finansowych. Nie żeby Ellen je czytała.

– A więc po ślubie będę się nazywać Rosie Roman. – Rosie zaśmiała się sztucznie.

– Nie musisz przecież zmieniać nazwiska – zauważyła Ellen.

– O nie, nie jestem żadną bizneswoman. – Machnęła pobłażliwie ręką, jakby właśnie zaproponowano jej coś zbyt kosztownego jak na jej gust. –

Jestem zwyczajna i tyle.

Rosie wydawała się dziś w złym nastroju. Nieustannie kręciła głową, jakby szyja ją bolała, mocno ciągnęła za szew swetra, jakby skurczył się w praniu.

– Jak tam przygotowania do ślubu? – spytała Ellen, prowadząc ją w górę po schodach.

– Nie pytaj – odparła Rosie.

– O mój Boże.

– Głupi pomysł, rzucać palenie, kiedy się żyje w takim napięciu.

– Niekoniecznie. Czasem dobrze jest pożegnać stare nawyki, kiedy jest się wybitym z codziennej rutyny.

– Może. – Rosie nie wydawała się przekonana.

Ellen zauważyła, że ramiona Rosie wyraźnie się rozluźniły, kiedy obie weszły do szklanego pokoju. Połączenie światła i widoku na ocean wywierało tak potężne wrażenie, że często myślała, że właściwie wystarczyłoby pozwolić klientom tu posiedzieć i nie musiałyby robić dla nich nic innego.

– No więc jak ci idzie? – spytała Ellen, kiedy już usiadły.

– Palę jak smok – warknęła Rosie.

Zanim Ellen zdołała odpowiedzieć, Rosie odezwała się znowu:

– Przepraszam. To nie twoja wina. Nie słuchałam nawet tej płyty, którą mi dałaś.

Ellen dała jej CD ze specjalnym nagraniem pomagającym rzucić nałóg. Przygotowała je lata temu i niektórzy pacjenci byli zachwyceni efektem, choć ona sama nigdy nie mogła się zmusić do słuchania własnego głosu.

– Dlaczego nie słuchałaś?

Wielu klientów nie słuchało płyt, które im dawała, i zawsze kiedy jej to wyznawali, na ich twarzach malowało się poczucie winy i bunt, jakby przyznawali się, że nie odrobili pracy domowej, a z drugiej strony wiedzieli, że nie spotka ich za to kara, bo są już dorośli, a w dodatku przecież za to płacą.

Rosie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Po prostu nie jestem w stanie skupić się na niczym poza ślubem. Na przykład rozmyślałam o tym, że wybrałam ohydny kolor na sukienki druhen. Brzoskwiniowy! Chyba doznałam jakiegoś chwilowego zamroczenia!

Wzięła z miski czekoladkę, ale za chwilę wrzuciła ją z powrotem.

– Mój narzeczony rzucił palenie lata temu. Po prostu nagle podjął taką decyzję. Jechał wtedy autostradą F3. Otworzył okno, wyrzucił pół paczki papierosów i nigdy więcej nie zapalił.

– Śmiecenie w miejscach publicznych! – skomentowała Ellen.

Rosie spojrzała na nią zdziwiona i zachichotała.

– Tak. – Po czym jej uśmiech zniknął równie gwałtownie, jak się pojawił.

Coś tu było nie tak. Ellen miała wrażenie, że Rosie nie mówi całej prawdy. Ludzie zawsze kłamią, to fakt, podświadomie lub nie.

– Chcesz rzucić palenie? – spytała.

Rosie szeroko otworzyła oczy.

– Oczywiście!

– Cóż, czasem podświadome przyczyny nie pozwalają nam uwolnić się od nałogu. Tak sobie myślę, że może spróbujemy czegoś trochę innego. Dziś nad tym popracujemy.

– Dobrze. – Rosie westchnęła. – Chociaż powtarzam, nie ma w tym nic tajemniczego. Potrzebna mi tylko silna wola.

– Dobrze, zobaczymy – powiedziała Ellen i zamilkła na chwilę, zastanawiając się, jakiej użyć indukcji. Przyszło jej do głowy idealne porównanie. – Jaki kolor wolałabyś wybrać na sukienki dla drухen?

– Niebieski – odparła bez zastanowienia Rosie.

– W porządku. Wybierz sobie jakiś punkt na ścianie. Dowolny.

Rosie westchnęła, wzruszyła ramionami i rozejrzała się po pokoju. W końcu utkwiała wzrok w punkcie znajdującym się w odległym, prawym rogu. Niemal wszyscy pacjenci go wybierali.

– Już – stwierdziła.

– Za chwilę zaczniesz mrugać.

Rosie mrugnęła.

– Świetnie – powiedziała Ellen ciepło. – Wcześniej czy później oczy ci się zamkną. Może się to stać za moment, a może za dłuższą chwilę.

Rosie zamknęła oczy.

Ellen patrzyła, jak pierś Rosie unosi się i opada i dostosowała do tego rytmu własny oddech. Mówiła szybko i bez zająknięcia, wyobrażając sobie, że jej słowa przelewają się do głowy Rosie niczym płyn ze słoja.

– Ciekawe, czy dasz radę wyobrazić sobie ścianę. Bardzo mi przykro, ale jest brzoskwiniowa. Jednak mam dla ciebie dobrą wiadomość: przemalowujesz ją właśnie na piękny niebieski kolor. Poruszasz pędzlem w górę i w dół, rytmicznymi pociągnięciami. W górę... i... w dół... W górę... i... w dół...

Zbyt skomplikowane? Ellen odkryła, że musi uważać na metafory. Mężczyźni często rozumieli je zbyt dosłownie. Mężczyźna mógłby powiedzieć: „Najpierw trzeba było położyć warstwę podkładową”. Kobiety natomiast miały tendencję do nagłych zmian tematu. Jedną z jej pierwszych

pacjentek wyznała, że uwielbia się opalać. Ellen zastosowała więc – wydawałoby się, że bezpieczną – metodę indukcji polegającą na tym, że kobieta miała sobie wyobrazić, iż leży na tropikalnej plaży. Po seansie pacjentka wyznała, że przez cały czas nie mogła się zdecydować, w którym jest kostiumie.

Ellen obserwowała, jak gałki oczne Rosie szybko poruszają się pod powiekami. Zwróciła uwagę na napięcie jej ciała – naprężone ramiona, zaciśnięte na brzegach fotela dłonie, paznokcie wbite w skórzaną tapicerkę obicia. Za oknem chmura przysłoniła na moment słońce i promień padł prosto na brylanty w jej masywnym pierścionku zaręczynowym.

– Za każdym pociągnięciem pędzla twoje ciało coraz bardziej się rozluźnia, coraz głębiej się zapada. Za chwilę odkryjesz, że oddychasz w rytm pociągnięć pędzla. W górę... w dół... W górę... w dół. W górę... i... w dół. Wdech... i wydech.

Zauważyła, że maleńkie, czarne buciki Rosie rozchylają się na boki, tworząc kształt litery V. „Zawsze patrz na stopy” – uczył ją Flynn. „To wiele mówi”.

– Ściana już prawie skończona. Gdy będzie cała niebieska... a może sekundę później... doświadczysz najcudowniejszego odprężenia, jakie kiedykolwiek przeżyłaś.

Usta Rosie rozchyliły się, twarz jej się zapadła, a głowa przekrzywiła się na bok. Gdyby pacjenci zdawali sobie sprawę, jak wyglądają w transie, byłiby załamani. Ellen nigdy o tym nikomu nie wspominała, nawet innym terapeutom. Było to coś dogłębnie osobistego, co dzieliła z klientami.

Dobrze, Ellen, co konkretnie masz zamiar zrobić z tą niebieską ścianą, która przed tobą stanęła?

Wiedziała jednak. Czasem wydawało się, że praca idzie niezdarnie i w wymuszony sposób. W inne dni, jak na przykład teraz, posuwała się

płynnie, naturalnie. Ellen sama była w lekkim transie.

– Rosie, możesz zmienić tę ścianę w piękną, ciemnoniebieską kurtynę, taką jak w teatrze. Za kurtyną czeka na ciebie ktoś ważny. Nie wiem kto, ale jest to człowiek o wielkiej mądrości, ktoś, komu bezgranicznie ufasz. Odsłaniasz kurtynę i widzisz tego kogoś. Być może nawet podchodzisz, by go uściskać.

Czekała i obserwowała.

– Jesteś już przy nim?

Rosie podniosła palec wskazujący prawej ręki, dając uzgodniony wcześniej sygnał „tak”.

– Dobrze. Myślę, że ta osoba pragnie się z tobą czymś podzielić. Być może ci powie, dlaczego tak trudno ci rzucić palenie, być może doda ci siły lub zapewni środki, by pożegnać się z nałogiem. Nie będę na razie nic mówić, żebyś miała czas jej wysłuchać.

Chmura znowu przesłoniła słońce. Pokój wypełniło ciepło. Ellen czuła, że rytm jej oddechu idealnie zgadza się z unoszeniem się i opadaniem piersi Rosie. Twarz Rosie pozostawała obojętna, ale kobieta przygryzała wargę.

Po paru sekundach Ellen odezwała się znowu.

– Rosie, ciekawa jestem, czy zechcesz podzielić się ze mną tym, czego się dowiedziałaś. To zależy tylko od ciebie.

Po chwili milczenia Rosie przemówiła głosem ochrypłym, powolnym i monotonnym.

– Nie chcę za niego wychodzić. Dlatego nie chcę rzucić palenia. Nie chcę brać ślubu.

Brwi Ellen podniosły się ze zdziwienia, a spojrzenie poszybowało w kierunku połyskujących na palcu pacjentki brylancików.

– Aż tak za nim nie przepadam – dodała Rosie.

*

– To jest właśnie mój syn Jack! – oznajmił Patrick, wchodząc do holu Ellen z rękami opartymi na chudych ramionach chłopca.

– Witaj, Jack, cieszę się, że mogę cię poznać. – Ellen brzmiała dokładnie tak, jak się obawiała. Jak bibliotekarka czytająca dzieciom bajeczkę.

– Dzień dobry – odparł chłopiec, obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok. Miał oczy ojca – migdałowe, bladozielone, a gęste blond włosy przycięte ciut ponad uszami, jak gwiazda rocka z lat sześćdziesiątych.

– Dobrze! Więc... świetnie! Mam nadzieję, że lubisz kanapki z kielbasą – rzekła Ellen, która ku swej uldze w ostatniej chwili przed przybyciem gości odkryła w zakamarkach zamrażarki kielbaski.

Jack zdawał się jej nie słyszeć. Spuścił brodę i ciągnął za przód swojej koszulki, jakby chciał sprawdzić, ile wytrzyma.

Patrick odchrząknął.

– Kolego, Ellen o coś pytała.

– Nie, nie pytała.

– Tak, pytała. Pytała, czy lubisz kielbaski. Uwielbiasz je, no nie?

Jack wzruszył ramionami, strząsając z nich dłonie ojca.

– Nie, nie lubię kielbasek, tato. I nie pytała, czy lubię kielbaski. Powiedziała: Mam nadzieję, że lubisz kanapki z kielbasą. To nie pytanie. To zdanie.

– Okej, w porządku – rzuciła błagalnym tonem Ellen.

– Lubię pizzę. Mówiłeś, że zamówimy.

– Powiedziałem, że być może zamówimy, ale skoro Ellen przygotowała dla ciebie kanapki, to zjesz kanapki. – Patrick obrzucił syna

zdecydowanym, ojcowskim, nieco spanikowanym spojrzeniem.

– Nie, jeszcze ich nie zrobiłam – pospiesznie powiedziała Ellen. – Możemy zamówić pizzę, Jack, jeśli tak wolisz, nie ma sprawy.

– Dobrze. Dziękuję, wolę. – Jack westchnął głęboko, jakby wreszcie usłyszał coś sensownego. – To co, mogę już iść oglądać film?

– Jack, proszę, nie musisz od razu siadać przed telewizorem. To niegrzeczne.

Ellen widziała, jak policzki Patricka zapadają się, jakby zaciskał szczękę. Za wszelką cenę chciał, by Jack zrobił na niej jak najlepsze wrażenie. Napięcie natychmiast ją opuściło.

– W porządku – zwróciła się do chłopca. – DVD mam wprawdzie zepsute, ale możesz obejrzeć na laptopie, jeśli ci to odpowiada.

– Tak, odpowiada – uprzejmie zgodził się Jack. – Mogę na laptopie – dodał, po raz pierwszy podnosząc na nią wzrok na dłużej.

– Musisz być rozczarowany, że kolega się rozchorował, co? – zagadnęła.

– Tak – odparł niecierpliwie. – Czy może pani mnie zahipnotyzować? I nauczyć mnie hipnotyzować kolegów? Żeby robili to, co im każe? To byłoby super! Miałbym niewolników.

– To byłoby nieetyczne – odpowiedziała.

– Co?

– Dobra, nastawmy już ten film – odezwał się Patrick, klaszcząc w dłonie.

– Dziwnie się zachowujesz, tato. – Chłopiec zmarszczył brwi.

Patrick rzucił Ellen skrzępowany uśmiech.

– Dziwniej niż zwykle, co, Jack?

Jack ponuro skinął głową.

– Mówię poważnie, tato.

Ruszyli w głąb domu. Jack przystanął na chwilę, by musnąć palcami srebrne, metaliczne kropki na pomarańczowej tapecie. Zerknął na Ellen.

– Fajny dom – rzucił.

– Dzięki. – Była pod takim wrażeniem, że ledwie zdołała się powstrzymać przed powiedzeniem „kochanie”.

Dwadzieścia minut później Jack siedział już w salonie z laptopem Ellen na kolanach i słuchawkami na uszach, z oczami utkwionymi w migającym ekranie. Wielgaśne adidas oparł na pięknie odrestaurowanym, starym stoliku.

Patrick nie kazał mu zdjąć nóg ze stołu, a Ellen nie wiedziała, jak go o to poprosić, by nie zachować się jak zła macocha. Trudno, co tam parę rys. Dla dobra sprawy.

– Jest świetny – powiedziała, kiedy siedzieli już za stołem w jadalni, gdzie Ellen wcześniej postawiła talerz razowego chleba na zakwasie i miseczkę dużych zielonych oliwek. Z miejsca, gdzie siedzieli, przez drzwi do salonu widzieli czubek głowy Jacka. Mówiła lekko ściszone głosem, choć i tak było jasne, że chłopiec nie słyszy.

– Ma swoje gorsze chwile – rzekł Patrick, po czym chrząknął i spojrzał na nią. – Jesteś pierwszą kobietą, którą mu przedstawiłem od śmierci matki.

– To naprawdę zaszczyt. Ale czekaj, czekaj, czy nie poznał Saskii? Przecież mówiłeś, że nawet mieszkaliście razem przez dwa lata? Więc musiała mieszkać też z małym. – Przedtem się nie zastanawiała, czy Saskia poznała synka Patricka.

Nozdrza Patricka zadrżały, jakby wyczuł wybitnie nieprzyjemny zapach. Wypluł do ręki pestkę z oliwki.

– Jej nie liczę – powiedział.

Ellen poczuła niepokój. Nie mógł przecież udawać, że Saskia nie istnieje i nigdy nie istniała. Musiał ją kochać, kiedyś, na początku. I Ellen nie była pierwszą kobietą, którą przedstawił dziecku. To nie była prawda. Nie spodobało jej się to.

– Ile lat miał Jack, kiedy Saskia z wami mieszkała?

– Ech, był naprawdę mały.

– I jak... im się układało? Płakał, kiedy odeszła?

– Nie pamięta jej – odparł z pobłażaniem, bynajmniej nie odpowiadając na pytanie. Przerwał kontakt wzrokowy i krzyknął nagle:

– Jack! Zdejmij nogi ze stołu!

Przecież nie mógł stąd widzieć, gdzie chłopak trzyma nogi. Więc zauważył to wcześniej, tylko nie chciało mu się reagować?

– Przepraszam – rzucił i wyszedł do drugiego pokoju.

Kiedy wrócił, nie było już mowy o powrocie do tematu.

– I jak minął ci dzień? Miałaś mieć klientów. Sesje się, hm, udały?

Gdyby go lepiej znała, zareagowałyby: „Ej, jeszcze nie skończyliśmy rozmowy o Saskii i Jacku!”, ale za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na jego eks, ze wszystkich sił starała się pohamować wścibstwo. On przecież nigdy nie domagał się informacji o jej byłych partnerach.

Opowiedziała mu więc o sesji z Rosie i o tym, w jaki sposób odkryła, że jej brak sukcesów w walce z paleniem jest w rzeczywistości spowodowany niechęcią do zamążpójścia. Nie wyjawiała, rzecz jasna, żadnych nazwisk, nie wspominała też o tym, że odwołanie ślubu stanie się najprawdopodobniej tematem numer jeden rubryk towarzyskich najpoczytniejszych gazet Sydney. Wydawało jej się, że to ciekawy temat do rozmowy, stawiający ją w pozytywnym świetle.

Patrick słuchał z pełnym zainteresowaniem. W pewnej chwili zmrużył oczy, jakby patrzył na nią pod słońce. Postarzało go to. W kącikach oczu

miał głębokie zmarszczki, prawdopodobnie spowodowane częstym przebywaniem na dworze, w skwarze.

– Więc odwołuje ślub? Przez ciebie? – spytał.

– Cóż, nie mam pojęcia, co zrobi. To już jej sprawa. Ja tylko pomogłam jej zrozumieć, co naprawdę się w niej dzieje.

– Ale wyobraź sobie, jak się poczuje ten biedny facet. Jesteś przekonana, że nie chodzi o samą treść przed ślubem? A może tylko szuka usprawiedliwienia, bo nie jest w stanie pożegnać się z nałogiem?

Ellen poczuła narastającą irytację. Oczekiwała fascynacji, wręcz zachwyty potencjalnymi osiągnięciami hipnoterapii. Podrapała się po nadgarstku (irytacja zawsze wywoływała u niej swędzenie prawego nadgarstka w miejscu, w którym jako dziecko miała zapalenie skóry).

– Moi klienci nie robią niczego przeze mnie – powiedziała. – Pomagam im tylko pominąć głos wewnętrznej krytyki i uzyskać dostęp do podświadomości. Akurat ta klientka doznała czegoś, co można by nazwać „minisatori”. W filozofii zen oznacza to oświecenie.

Ellen wróciła myślami do końcowej części spotkania z Rosie. Po niespodziewanym wyznaniu na temat czekającego ją ślubu Ellen odpowiedziała jej, co ma robić po zakończeniu sesji: „Kiedy wyjdiesz z transu, ogarnie cię spokój. Poczujesz, że masz kontrolę nad własnymi decyzjami dotyczącymi przyszłych postanowień”.

Kiedy Rosie się obudziła, zaczęła mrugać, po czym natychmiast podniosła rękę i spojrzała na pierścionek. Zsunęła go z palca, chwyciła delikatnie i zaczęła z ciekawością oglądać pod światło, jak dziwny, raczej nieprzyjemny okaz naukowy. Potem uśmiechnęła się do Ellen i powiedziała: „Wiesz co? Nie podoba mi się nawet ten pierścionek”.

– Przepraszam. Nie chciałem, by zabrzmiało to jak krytyka – odezwał się Patrick. – Chyba po prostu za bardzo wczułem się w sytuację tego

gościa.

– Nie ma sprawy – odparła Ellen.

Pierwszy raz coś między nimi zgrzytnęło. To musiało się stać, powiedziała sobie Ellen. Nie było powodu do paniki.

– Oglądałem raz widowisko z hipnozą – rzekł. – Wiesz, coś takiego, że wywołują ludzi z widowni i ich hipnotyzują. Muszę przyznać, i mam nadzieję, że cię to nie urazi, że tacy hipnotyzerzy pracują zupełnie inaczej niż prawdziwi, tacy jak ty, ale szczerze mówiąc, to, co widziałem, było odpychające.

Ellen uśmiechnęła się, widząc poczucie winy na jego twarzy.

– Nie urazi – odparła. – Bo to zupełnie co innego niż to, czym ja się zajmuję.

– Nie mogłem patrzeć na twarze tych ludzi. – Zaprezentował, jak wyglądali, odchylając się na krzesła i spuszczać brodę na piersi, po czym wyprostował się z powrotem i upił łyżeczek wina. – Zrobiło mi się ich szkoda, byli jak naćpani. Miałem wrażenie, że hipnotyzer zrobił to po to, by wykonywali jego polecenia.

– Nie dałby rady pozbawić ich kontroli nad sobą. Pomógł im tylko pozbyć się zahamowań – odrzekła.

– Osobiście wolę mieć kontrolę nad sobą – wyznał Patrick. – Dlatego nigdy dużo nie piłem i nigdy nie brałem narkotyków. Zawsze chcę być za kierownicą, inaczej rzecz ujmując. – Przerwał, wziął kolejną oliwkę, by za chwilę delikatnie odłożyć ją na talerzyk przed sobą. Nie spuszczać wzroku z oliwki, rzekł: – I to najbardziej mnie wkurza, jeśli chodzi o moją eks. To ona ma kontrolę. Ma wpływ na moje życie, a ja nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Nic nie mogę zrobić. Dlatego przepraszam, jeśli zachowuję się dziwnie w tym względzie. Nawet kiedy o niej rozmawiamy, czuję, jakby siedziała z nami w tym pokoju.

Podniósł na nią wzrok, w którym malowały się takie samo błaganie i desperacja, jakie widziała w oczach niejednego klienta, kiedy zwracał się do niej o pomoc w rzekomo beznadziejnej sprawie. Ellen ogarnęło niespodziewane współczucie. Kiedy Patrick po raz pierwszy się przyznał, że ktoś go nęka, przemawiała przez niego fałszywa zuchwałość. Nie było wątpliwości, że ta eks go niszczy – padł ofiarą prześladowania! Jakiż brak wrażliwości okazała, ignorując do tej pory ten aspekt sprawy. Była tak ciekawa Saskii i tak skupiona na motywach jej działania, że prawie zignorowała jej potencjalny wpływ na Patricka. Zachowała się tak, jakby tylko kobiety odczuwały prawdziwe emocje, natomiast mężczyźni przejawiali znacznie mniej skomplikowaną formę życia.

– Przepraszam – rzekła. – Wypytyując cię o Saskię, nie myślałam o tym, że jest to ostatnia osoba, o której życzysz sobie rozmawiać. Mam na myśli wpływ, jaki to wszystko musiało na ciebie wywrzeć. To musiało być... oczywiście nawet nie zdaję sobie sprawy, jakie to musiało być.

Patrick wciąż patrzył jej prosto w oczy. W jego spojrzeniu dało się odczytać jakieś skomplikowane przesłanie, które próbował jej przekazać. Może właśnie przeżywał minisatori.

Pochylił się nieco. Ona również. Dobrze. Zamierza się czymś podzielić. Dzięki temu ich związek osiągnie nowy, znacznie bardziej uduchowiony, głębszy poziom.

– Może byśmy skoczyli na parę minut na górę? – zaproponował.

*

– I myślę, że właśnie zamierza podzielić się ze mną czymś głębokim i znaczącym, a tu proszę, okazuje się, że chodzi mu o szybki numer! I nie przeszkadza mu w tym syn! Naprawdę, seks był ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam!

– Dla nich seks zawsze jest na pierwszym miejscu – odparła Madeline, koleżanka Ellen.

Gadały przez telefon. Ellen zajmowała się papierkową robotą w biurze, a z syczenia i brzęku naczyń po drugiej stronie słuchawki domyślała się, że Madeline gotuje, zapewne coś eleganckiego i ekologicznego, zapewne opasana kwiecistym fartuchem, zawiązanym wokół wielkiego brzucha. Madeline była w olśniewającej drugiej ciąży. Jako dwudziestolatki wspólnie wynajmowały mieszkanie. W tamtych latach Madeline padłaby ze śmiechu, gdyby ktoś jej powiedział, że kiedykolwiek włoży fartuch w kwiaty.

Ellen zadzwoniłaby do Julii, gdyby wcześniej nie stwierdziła, że zainteresowanie przyjaciółki informacjami o Patricku w miarę rozwoju ich związku słabnie. Julia zawsze, nawet przed rozwodem, była osobą, do której się dzwoni, kiedy sprawy mają się raczej źle niż dobrze. Teraz, gdy Patrick awansował na oficjalnego „chłopaka” Ellen, za każdym razem, kiedy Ellen o nim wspominała, w głosie Julii dało się słyszeć ledwo wyczuwalną pogardę – chyba że sprawa dotyczyła jego byłej partnerki, bo o Saskii Julia słuchać uwielbiała. Nie to, żeby nie życzyła przyjaciółce szczęścia, po prostu o szczęściu nie miała nic do powiedzenia.

Madeline przeciwnie, była typem, któremu bardzo zależało na szczęściu przyjaciółki, lecz w sytuacjach, kiedy sprawy miały się źle, wykazywała bezradną nieudolność. Panikowała i zmieniała temat w tej samej sekundzie, w której dosłyszała w czyimś głosie najmniejsze drżenie emocji.

Teraz natomiast Ellen zmarszczyła czoło, słysząc w głosie Madeline ton lekceważenia.

– To nieprawda. To utarty frazes. Nieraz zdarzało mi się spotkać faceta, który nigdy nie myślał o seksie. Tak czy siak doznałam w tamtej chwili

objawienia, że mam przestać patrzeć na niego jak na mężczyznę, a zacząć postrzegać go jako człowieka, odrębną istotę ludzką.

– To, że miał ochotę na seks, nie zmienia faktu, że jest istotą ludzką.

Madeline zdawała się nie pojmować.

– No dobra, ale przy synu?

– Cóż, jeśli masz zamiar z nim mieszkać, to może trzeba się do tego przyzwyczajać.

– Czy rodzice nie czekają, aż dzieci pójną spać?

– Przepraszam, ale czy w całej tej sprawie nie chodziło przypadkiem o coś związanego z wyrazem jego twarzy?

– Tak, tak. Więc kiedy nie przyjąłem jego czarującej propozycji, zrobił minę, którą mogłabym określić jako obrażoną.

– Co to znaczy: „mogłabyś określić”?

– No, mina pojawiła się tylko na ułamek sekundy. Słyszałam gdzieś chyba, że specjaliści od wykrywania kłamstw nazywają coś takiego „mikrominą”. Potem zachowywał się już bez zarzutu. Kolacja się udała, graliśmy z małym w monopole, było miło. Ale ciągle myślę o tej jego minie, o tej mikrominie, i zastanawiam się, czy to nie znak. Czy kiedyś nie przypomnę sobie tego dnia i nie stwierdzę: tak, to była chwila, w której powinnam była się wycofać? Bo o tym świadczą mikrominy. Odsłaniają twoje prawdziwe wnętrze!

– Ellen, to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Biedak ma taką obsesję na twoim punkcie, że bez przerwy myśli o seksie, a kiedy mu odmawiasz i okazuje najmniejsze oznaki rozczarowania...

– Wiem, wiem, jestem okropna. Nadmiernie analizuję. Histeryzuję. To dlatego, że tak bardzo pragnę, żeby tym razem się udało. Żeby to wyszło.

– Cóż, wcale ci się nie dziwię – odparła rześko Madeline.

*

A więc sprawa jest już poważna. Hipnotyzerka poznała Jacka. O ile mi wiadomo, to pierwsza kobieta, której go przedstawił. Po mnie.

Ciekawe, jakie zrobiła na nim wrażenie.

Nie wygląda mi na osobę z podejściem do dzieci. Zbyt uduchowiona, za bardzo unosi się nad ziemią. Dzieci lubią ludzi stojących na twardym gruncie, takich z krwi i kości, którzy usiądą z nimi na podłodze i się pobawią. Nie mogę sobie wyobrazić kogoś, kto gada o „wypełnianiu swego ciała światłem” w piaskownicy.

Jack wyrósł już co prawda z piaskownicy, ale wciąż bawi się na podwórku. Czasami, kiedy Patrick jest w pracy, a Jack w szkole, idę do domu i jem lunch w ogrodzie. Siadam na ławce ogrodowej, którą kupiliśmy na e-Bayu – tej samej, na której zawsze siadałam z poranną kawą, i wspominam sobie czasy, kiedy to był mój dom, moje podwórko i moje życie.

Zawsze mu mówiłam, że trzeba założyć kłódkę na furtce od tyłu.

Siadywałam z Jackiem w piaskownicy i godzinami bawiliśmy się jego samochodzikami. Co prawda Patrick lepiej naśladował dźwięki, ale ja miałam więcej cierpliwości. Patrick sam był jak dzieciak. Zbudował gigantyczny tor wyścigowy wokół piaskownicy – z mostami nad jeziorami i tak dalej, a potem się wściekał, kiedy Jack bez uprzedzenia wstawał i coś niszczył. Ja mówiłam: „Patrick, on ma dwa lata”.

Jack wydawał się taki wysoki i chudy, kiedy wysiadał z samochodu przed domem hipnotyzerki. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy. Po prostu zostałam tam po wizycie. Miałam przecucie, że Patrick będzie na kolacji. Kiedy prowadziła mnie na górę, poczułam winno-czosnkowy zapach, jakby coś się marynowało. Nie oczekiwałam jednak Jacka. Doznałam szoku. Nagłego paroksyzmu bólu nie do opisanie,

porównywalnego z bólem dziecka w zimny poranek trafionego z całej siły piłką w nos. Nie do wiary, jak to boli, a wszystkie dzieciaki stoją wokół ciebie i się śmieją, gdy ty tak bardzo chcesz do mamy.

Nie przypuszczam, aby Jack specjalnie się cieszył na spotkanie z hipnotyzerką. Nie wyglądał na zadowolonego. Miał zwieszane ramiona. Wydawało mi się, że dmucha nos. Mam nadzieję, że to nie początek grypy, bo dla ludzi cierpiących na problemy z dolnymi drogami oddechowymi, z astmą, to nic przyjemnego.

Dawno temu, kiedy Jack właśnie skończył trzy latka, miał atak astmy w środku nocy. Patrick wyjechał gdzieś służbowo, więc musiałam zawieźć małego na nocny dyżur. Do dziś pamiętam przerażenie, które mną zawładnęło na widok jego maleńkiej klatki piersiowej unoszącej się ciężko przy próbie zaczerpnięcia powietrza i wpatrzonych we mnie błagalnie pięknych, zielonych oczu. Pamiętam, jak siedział mi na kolanach, a ja powstrzymywałam go od zdejmowania silikonowej maseczki, przez którą podawano mu ventolin. Oczywiście lekarze i pielęgniarki byli przekonani, że jestem jego matką. „Jak tam mama sobie radzi? Może mama napije się herbaty?” – słyszałam w kółko.

Głupio mi było wyprowadzać ich z błędu, mówiąc, że jestem tylko przybraną mamą. „Czy przybrana mama napije się herbaty?”

Jack mówił na mnie Sas, ponieważ tak zwracał się do mnie Patrick. Co wieczór, kiedy szłam ucałować go na dobranoc, wyjmował z buzi smoczek (odzwyczailiśmy go od smoczka dopiero przed czwartymi urodzinami, byliśmy wobec niego bardzo łagodni) i mówił: „Sas, kocham cię”, po czym szybko wpychał sobie smoczek z powrotem do ust. Za każdym razem, kiedy to słyszałam, myślałam, że pęknie mi serce.

Jack znaczył więcej niż wszystko, na cokolwiek kiedykolwiek miałam nadzieję, więcej niż wszystko, o czym marzyłam.

Tamtej nocy, kiedy miał atak astmy, wypuścili nas do domu dopiero o wschodzie słońca. Nie chciałam kłaść go do łóżeczka, więc wzięłam go do siebie i zasnęliśmy razem. Kiedy się obudziłam, Patrick był już w domu. Stał w sypialni i przyglądał się nam, a na jego twarzy malowały się czułość, miłość i duma. Powiedział: „Dzień dobry, rodzinno”.

Nigdy nie zapomnę jego miny.

Dwa lata później, trzy tygodnie po tym, jak Jack poszedł do szkoły, Patrick powiedział: „Myślę, że to koniec”.

„Z czym koniec?” – spytałam radośnie. Bo było to tak nieoczekiwane. Nie miałam pojęcia, o czym mówił. O jakimś serialu? O lecie?

A on miał na myśli nas. Koniec z nami.

ROZDZIAŁ 6

*„Stalker to często odrzucony były partner, którym kieruje rozchwiane, złożone pragnienie pojednania, a jednocześnie zemsty”.
(?!! Zemsty za co? Co on jej zrobił?)*

Odręczne notatki Ellen O’Farrell,
sporządzone na podstawie informacji
wyszukanych w internecie po wstukaniu
w Google hasła „nagabywanie – motywy”

Więcej mikromin nie było, a jeśli były, to ich nie wyłapała. Jej wątpliwości rozwiały się niczym dym.

Lipiec zaczął się w tym roku cudownie: połyskliwe, niebieskie zimowe niebo, a dni rześkie niczym chrupiące jabłko. Jednym słowem, pogoda sprzyjająca zawieraniu nowych znajomości, trzymaniu się za ręce w środkach komunikacji publicznej i wszelkim zachowaniom, na których widok wszystkim, którym ostatnio złamano serca, chce się płakać, a pozostali przewracają oczami.

Ellen gromadziła wspomnienia. Czyli: wyjątkowo zmysłowy pocałunek pod ceglana ścianą Muzeum Sztuki Współczesnej, niedzielne śniadanie, podczas którego tak się śmiała, że wszyscy w kawiarni spojrzeli w ich stronę, gra w karty na lekkim rauszu, zakończona w łóżku, olbrzymi bukiet

z karteczką „Dla mojej dziewczyny” znaleziony pod drzwiami po powrocie z jogi.

Przestali już tak bardzo na siebie uważać.

– O Jezu – westchnął Patrick, kiedy po raz pierwszy zobaczył, jak Ellen w błyskawicznym tempie zjada gigantyczny stek.

– Nie jesteś przypadkiem poprawnym katolikiem? – spytała.

– Nie użyłem bynajmniej imienia Pańskiego nadaremno. Miałem na myśli: o Jezu, czy widzisz, ile ta kobieta potrafi zjeść? Myślałem, że umawiam się z uduchowioną wegetarianką, nie z mięsożernym, żądnym krwi potworem!

– Pospiesz się, bo zjem i twoje.

Przez pewien czas Saskia nie dawała znaku życia.

– Może ją odstraszyłam – rzekła Ellen, która w wolnych chwilach na próżno wyszukiwała informacje na temat stalkowania.

– Może! – Patrick życzliwym, pełnym troski ruchem poklepał ją po ramieniu, jak lekarz pocieszający śmiertelnie chorego pacjenta słowami „może to właśnie pan będzie wyjątkiem od reguły”.

W myślach Ellen, niczym tekst piosenki, zaczęły krążyć słowa „kocham cię”. Nie mogła ich w żaden sposób odgonić. Pamiętała, że gdzieś czytała – pewnie w jakimś idiotycznym czasopiśmie – że to fatalnie, kiedy kobieta pierwsza powie „kocham cię”. Było to najbardziej seksistowskie z uprzedzeń... ale, fakt, nie ma powodu się spieszyć. Chodzili ze sobą dopiero sześć tygodni. Właściwa chwila jeszcze nadejdzie.

Wróciła myślami do poprzednich sytuacji, kiedy wyznawała miłość.

Jako pierwsza powiedziała „kocham cię” Andy’emu, który na ułamek sekundy zmartwiał z przerażenia, ale szybko się otrząsnął i posłusznie odpowiedział, że on ją też.

Również jako pierwsza uczyniła to wyznanie Edwardowi. Zrobiła to po wypiciu niezmiernie pysznego daiquiri z truskawkami. Prawdę mówiąc, nie zamierzała tego mówić. Chciała powiedzieć, że kocha truskawkowe daiquiri i tyle.

W rzeczywistości teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, zawsze przejmowała pałeczkę! Napisała „kocham cię” w kartce na trzydzieste ósme urodziny Jona, któremu przyznanie się do wzajemności zajęło czterdzieści dwa upokarzające dni.

Może będzie bezpieczniej poczekać, aż Patrick powie to pierwszy.

I powiedział.

Pewnego dnia w środku tygodnia został u niej na noc i rano był spóźniony na jakieś spotkanie. Nachylił się nad łóżkiem, w którym jeszcze leżała, pocałował ją w policzek i rzucił pospiesznie: „Dobra, muszę lecieć, pa, kocham cię”, i wybiegł.

Powiedział to tym samym, zwyczajnym głosem, jakim rozmawiał przez telefon z Jackiem i mówił mu, że go kocha. Nie było wątpliwości, że się przejęzyczył.

Rozmyślała nad tym, na wpół rozbawiona, kiedy usłyszała na spiralnych schodach odgłos jego kroków. Kiedy pojawił się w drzwiach, usiadła w pościeli.

– Przepraszam – powiedział zdyszany, ściskając framugę drzwi. – Przejęzyczyłem się. To znaczy, nie przejęzyczyłem się! Czekałem na odpowiednią chwilę, przy pełni księżyca, tęczy czy czymkolwiek, nieważne, a teraz wszystko spaliłem! Głupek ze mnie. – Płasnął dłonią w czoło.

Podszedł i usiadł obok niej na łóżku. Spojrzał na nią tak, jak chyba nikt jeszcze na nią nie patrzył – ani przyjaciel, ani kochanek. Z ogromną koncentracją.

Powiedział:

– Chciałbym postawić pewną sprawę bardzo jasno.

– Dobrze – odrzekła z powagą.

– Oto składam deklarację, publiczną. Jeśli jest taka potrzeba, jestem gotów, oczywiście, zrobić to na piśmie.

– Rozumiem.

Odchrząknął.

– Ellen. Kocham cię. Oficjalnie: kocham cię.

– Ja też cię kocham. Oficjalnie, oczywiście – oznajmiła.

– Dobrze. W takim razie w porządku. Cóż, wszystko przebiegło znakomicie – dodał i wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęli sobie dłonie, jakby wieńcząc ubicie korzystnego interesu, lecz zamiast puścić jej rękę, Patrick przyciągnął ją, przetoczył na plecy i mocno pocałował.

Usiedli z powrotem, uśmiechając się idiotycznie do siebie, po czym Patrick spojrział na zegarek.

– Okej, to nie zabrzmiało dobrze, ale...

– W porządku. Kochasz mnie, ale musisz mnie porzucić.

Pocałował ją jeszcze raz i odszedł. Położyła się znowu, oszołomiona szczęściem. Oto jak powinno się odczuwać miłość – prosto, spokojnie i zabawnie. Oczywiście. Nie ma tu czego analizować. Pomyślała, że nigdy dotąd w ten sposób nie kochała i nie była kochana. Wszystkie poprzednie związki wydawały się zaledwie kiepską imitacją prawdy.

Aż trudno sobie wyobrazić, że przeżyła całe życie, nie wiedząc o tym!

(Nie miało to oczywiście znaczenia, ale warto odnotować na przyszłość: to on powiedział to pierwszy).

Przełożyłam wizytę u hipnotyzerki, ponieważ wypadł mi służbowy wyjazd do Melbourne.

Próbowałam się z tego wykręcić, ale Trish rzekomo dopadła grypa i ja jedna mogłam jechać z tak krótkim wyprzedzeniem. Singielka, bez dzieci. Co taka może mieć do roboty? Prawda – nic.

Nigdy nie byłam w Melbourne z Patrickiem, więc wspomnienia nie czyhały na mnie za każdym rogiem. Najpierw myślałam, że wyjazd dobrze mi zrobi. Nisko wiszące, czarne chmury, szalejące wichry stanowiły przyjemną odmianę w porównaniu z zawsze pogodnym niebem nad Sydney. Byłam skoncentrowana na pracy, wciąż zajęta, zmęczona. Zasnęłam od razu.

Lecz im dłużej byłam poza Sydney, tym bardziej pragnęłam znowu ich zobaczyć. Patryka i Ellen. W czwartek obudziłam się wcześnie, żądna wiedzy. Co teraz robili? Czy został u niej na noc? A może ona spała u niego? Odczuwałam fizyczne pragnienie, by się tego dowiedzieć. Dosłownie głód.

W piątek rano poleciałam pierwszym samolotem do domu. Siedziałam wychylona do przodu, z palcami zaciśniętymi na podłokietnikach, jakby dzięki temu samolot mógł prędzej pokonać dystans. Byłam żądnym krwi wampirem.

*

Był piątek po południu. Ellen wykorzystywała chwilę przerwy między wizytami klientów na głębokie oddychanie i afirmacje.

Czekał ją bowiem stresujący weekend.

Dziś wieczór Patrick miał poznać jej matkę i matki chrzestne na kolacji, natomiast kolejnego wieczoru Ellen miała zostać przedstawiona jego rodzinie. W niedzielę zaś czekało ją pierwsze spotkanie Patryka i Julii.

Wybierali się wspólnie na rybę z frytkami do Watsons Bay. Umówili się też z kumplem Patricka o wdzięcznej ksywie Śmierdziel – po to, by poznał Ellen, oczywiście, ale również by zapewnił towarzystwo Julii, choć jego przezwisko nie wróżyło niczego dobrego. („Ej, przecież tak naprawdę nie śmierdzi” – powiedział roześmiany Patrick, jakby ksywa nie nasuwała wyraźnego skojarzenia. – „Tylko go tak nazywamy”. „To dlaczego go tak nazywacie?” – chciała wiedzieć Ellen, ale Patrick jedynie się zaśmiał. Mężczyźni są czasem dziwni).

Nie zamierzali organizować sobie tak intensywnego weekendu. Po prostu z różnych powodów tak się złożyło – na przykład matka Ellen nagle przełożyła kolację, a Śmierdziel niespodziewanie zadzwonił, że spędza weekend w mieście.

Weekend wisiał więc nad Ellen niczym tydzień wypełniony egzaminami i wizytami u dentysty. Tego ranka obudziła się z niejasnym niepokojem, przejawiającym się nieprzyjemnym uczuciem, że jest jej niedobrze. Czuła się tak, jakby do ich świeżego, delikatnego związku miał wtargnąć tłum nieproszonych gości, z których każdy niewątpliwie zechce wyrazić swoją opinię, zadać pytanie i wytknąć niedoskonałości. Będą z Patrickiem mieli okazję spojrzeć na siebie oczami innych – oczami ludzi dla każdego z nich ważnych. A oczy te rozświetlą wszystkie mroczne zakątki niczym ostre, niepochlebne światła reflektorów.

Wdech.

Nie obchodziło jej, co sądzą inni!

Wydech.

Bzdura. Obchodziło. Chciała, by wszyscy, których kocha, pokochali Patricka, a wszyscy, których on kocha, pokochali ją.

Wdech. Wydech. Wdech...

– Daj sobie spokój – powiedziała na głos.

Dała więc sobie spokój z próbami osiągnięcia wyższego stanu świadomości. Zamiast tego wzięła z miski na stoliku czekoladkę i czekała, aż ta powoli rozpuści się w ustach. Czekoladka znalazła się tam z powodów terapeutycznych. Miała za zadanie uwolnić neuroprzekaźniki – endorfiny i serotoninę, których obecność nie tylko poprawia samopoczucie, lecz nawet wprowadza w stan euforii. Co, zdaniem Julii, było tylko bardziej skomplikowanym sposobem powiedzenia, że czekoladka jest pyszna.

Elen na moment zamknęła oczy. Poczowała na twarzy dotyk promieni słońca. Siedziała na odchylanym fotelu, który zwykle zajmowali klienci. Często siadywała tu i próbowała sobie wyobrazić, jak muszą się czuć, patrząc na nią z naprzeciwka. Czy dostrzegali czasem na jej twarzy cień wątpliwości lub, co gorsza, przekonanie o tym, że jej wysiłek jest daremny? Czy wyglądała głupio, siedząc tam z profesjonalnie, elegancko skrzyżowanymi nogami? Czy światło słoneczne wpadające przez okna uwydatniało jej włoski i zmarszczki wokół ust?

Mogła się założyć, że Patrick, zajęty pracą, pochylony, by patrzeć przez teodolit, z jedną ręką w górze, nigdy się nie zastanawiał, jak wygląda. Inaczej jednak miały się sprawy z ludźmi wykonującymi „miękkie” zawody, jak ona. Wielu wciąż żywiło przekonanie, że Ellen jest kimś w rodzaju wiedźmy, uzdrowicielki czy szarlatana. Spotkała kiedyś starą znajomą, która z najszczerzym zdumieniem zapytała: „Nie zajmujesz się już przecież tą hipnozą, prawda?”. Zupełnie jakby hipnoza stanowiła nieistotny, dawny epizod w jej życiu.

„To mój zawód” – zareagowała Ellen, ale znajoma, prawniczka w korporacji, pomyślała, że to żart i uprzejmię się zaśmiała.

W rzeczywistości było to coś więcej niż zawód. To była jej pasja, jej powołanie.

Fotel wciąż jeszcze był ciepły po ostatniej klientce, która dopiero wyszła. Była nią Deborah Vandenberg – kobieta, która uskarżała się na niewyjaśniony, wycieńczający ból prawej nogi, pojawiający się przy chodzeniu dłużej niż przez dziesięć minut. Zanim zwróciła się o pomoc do Ellen, leczyła się u fizjoterapeutów, ortopedów i lekarzy medycyny sportowej, robiono jej rentgeny i rezonanse magnetyczne, a także poddawano ją chirurgicznym zabiegom rozpoznawczym. Wydawało się, że ból nie ma uzasadnionej przyczyny fizycznej. Lekarze wzruszali ramionami, mówiąc: „Przykro nam, niczego nie udało się ustalić”.

– Byłam bardzo aktywna – zwierzała się Deborah. – Uwielbiałam chodzenie, wędrówki. A teraz, kiedy mam gorszy dzień, ciężko mi nawet zrobić zakupy. Ten ból całkiem odmienił moje życie.

– Tak się właśnie dzieje w przypadku chronicznego bólu – wyjaśniła Ellen.

Sama nigdy go nie doświadczyła, ale przez lata nasłuchiwała się opowieści klientów o tym, jak niszczycielska obecność bólu potrafiła pozbawić życie wszelkiej radości.

– Ale niewykluczone, że będę mogła pomóc – dodała.

– Każdy tak myśli – Deborah uraczyła ją uprzejmym, cynicznym uśmiechem. – Dopóki się nie okaże, że w moim przypadku to niemożliwe.

Deborah w pewnym sensie przypominała Ellen Julię. Była wysoka i pewna siebie, miała krótkie, ciemne włosy i wdzięk chłopczycy. Z gracją siadała w fotelu, zakładając smukłą, odzianą w czarne dżinsy nogę na nogę.

Wspomniała, że lubi gotować, więc podczas ostatniej sesji Ellen kazała jej wyobrazić sobie elektroniczny wyświetlacz piekarnika, by za pomocą podobnego obrazu myślowego mogła nauczyć się zmniejszać odczuwanie bólu. Dziś, gdy tylko zajęły miejsca, Deborah oświadczyła, że „być może” udało jej się o jeden stopień zredukować ból, kiedy rano szła przez parking.

– Bardzo możliwe, że tylko sobie to wyobraziłam – dodała, jakby nagle ogarnęło ją zwątpienie. Od samego początku nie skrywała sceptycyzmu wobec zaproponowanej przez Ellen metody. Na koniec każdej sesji mówiła z dumą:

– Nie udało się, przez cały czas byłam w pełni świadoma.

– W porządku – odparła Ellen. (Często to słyszała – również od pacjentów, którzy dosłownie chwilę wcześniej ślinili się z rozluźnioną szczęką, stuprocentowo pogrążeni w głębokim transie).

– Dziś spróbujemy innego narzędzia – oznajmiła Ellen. – Nazwijmy je, dajmy na to, twoim włącznikiem dobrej energii.

Usta Deborah nieznacznie się wykrzywiły w drwiącym uśmiešku.

– To brzmi bardzo... miło.

– Jestem pewna, że ci się spodoba – zapewniła Ellen stanowczo, ignorując drwinę. Negacja skrywa obawę.

Przeprowadziła szybką, prostą indukcję, polegającą na pogłębianiu odczucia odprężenia z każdym stopniem pokonywanych w dół schodów, obserwując równocześnie, jak zmieniają się ostre rysy twarzy kobiety. W transie wyglądała na znacznie młodszą (i wbrew swojemu sceptycyzmowi z całą pewnością zapadała w trans). Zmarszczki na jej twarzy wygładzały się i pojawiała się naga bezbronność, ostro kontrastująca ze świadomą, pełną napięcia pewnością siebie. Sprawiało to, że Ellen żywiła do niej wręcz matczyne uczucia.

– Chcę, abyś wróciła myślami do czasu, kiedy przepelniała cię pewnością i radość – rzekła. – Przesiej wspomnienia, aż natkniesz się na właściwą chwilę. Kiedy ją znajdziesz, kiwnij głową.

Ellen czekała i patrzyła, a kiedy tak czekała, cofnęła się w czasie, by wyłowić z niego własną najszczęśliwszą chwilę. To wtedy po raz pierwszy w życiu przeprowadziła hipnozę. Miała jedenaście lat i siedziała w tym

samym pokoju z babcią – mamą mamy, która uważała, że wszystko, co robiła wnuczka, było godne najwyższego uznania. Ellen skończyła właśnie czytać wypożyczoną z biblioteki książkę *Jak hipnotyzować* i babcia zgodziła się zostać jej pierwszą pacjentką. Jako wahadła użyła naszyjnika i obserwowała, jak brązowe oczy babci podążają za nim tam i z powrotem, tam i z powrotem.

„Świetnie ci idzie” – rzekła później babcia, mrugając w najszczerzym zdziwieniu.

Co do tego Ellen nie miała najmniejszych wątpliwości, bo reakcja babci różniła się znacznie od entuzjastycznych oklasków wieńczących zwykle występy Ellen na flecie.

„Myślę, że możesz mieć talent” – orzekła babcia.

Myślę, że możesz mieć talent...

Najwspanialsze, najbardziej zdumiewające słowa, jakie można sobie wyobrazić. Jak na filmie, kiedy superbohater odkrywa wreszcie swą nadprzyrodzoną moc. A może tak czuje się zakonnica, po raz pierwszy słysząc niesamowity, charyzmatyczny szept samego Boga wprost do jej dziewiczego ucha.

Deborah, z zamkniętymi oczami i lekkim rumieńcem na policzkach, skinęła głową, sygnalizując, że tak, złapała ową chwilę. Ellen poczuła przebłysk ciekawości, jakie wspomnienie przywołała pacjentka.

– To uczucie, które ci teraz towarzyszy, masz sobie przypomnieć w potrzebie. Wciskając kciuk w prawą dłoń, będziesz w stanie je przywołać. Zwiększając nacisk, wzmacniasz je, aż do chwili, kiedy zaczniesz przepływać przez siebie niczym prąd.

Ellen trochę podniosła głos, nadając mu mocy i energii, jaką pragnęła wywołać u Deborah.

– A więc następnym razem, kiedy odczujesz ból, tak właśnie postąpisz. Najpierw za pomocą wskaźnika bólu zredukujesz jego poziom, a potem włącznikiem dobrej energii przywołasz uczucie mocy.

Zauważyła na twarzy kobiety cień wahania i natychmiast nadała swemu głosowi bardziej autorytarne, ojcowskie brzmienie.

– Masz dość siły, by to zrobić, Deborah. Niczego ci nie brakuje. Udoskonalisz te dwie techniki. Uwolnisz się od bólu. Możesz nie odczuwać bólu.

Parę minut później Ellen wyprowadziła kobietę z transu. Deborah mrugnęła kilka razy, zdezorientowana – jak pasażer samolotu, który nagle przebudził się z drzemki i zamglonym wzrokiem odruchowo zerka na zegarek. Następnie obiema rękami przeczesła włosy i powiedziała:

– I znowu nie zapadłam w trans.

Po czym szybkim ruchem wyciągnęła z torebki portfel.

Ellen tylko skinęła głową i zaproponowała jej czekoladkę. Później, kiedy stały już przy drzwiach i Deborah wkładała płaszcz, powiedziała powoli, ze spuszczoną głową, skupiona na zapinaniu guzików:

– Wiesz, być może rzeczywiście mnie wyleczysz.

– Ja cię nie leczę – zaprotestowała Ellen. – Fizyczna przyczyna bólu może pozostać bez zmiany. Ja tylko pomagam ci znaleźć sposób radzenia sobie z bólem.

– Tak, miałam na myśli, że to rzeczywiście może działać – wyjaśniła Deborah. Na jej twarzy malowało się zdziwienie, a w oczach taki sam szacunek, jaki Ellen dostrzegła lata temu w oczach babci.

Ellen uśmiechnęła się na to wspomnienie. To się nazywa satysfakcja z pracy.

Otworzyła kalendarz i jej uśmiech zgasł na widok następnego nazwiska w dzisiejszym grafiku wizyt. Mary-Beth McMasters. O nie. Nie będzie już

zdziwionych, pełnych szacunku spojrzeń.

Zerknęła na zegarek. Mary-Beth wciąż jeszcze mogła odwołać wizytę. Trzy ostatnie odwołała dokładnie w ten sposób – dzwoniąc w ostatniej chwili i przeprasząc, że niestety nie może wyjść z pracy. Była sekretarką w kancelarii prawnej i za każdym razem, kiedy informowała, że nie przyjdzie, w jej głosie dało się słyszeć pełną napięcia wyższość, jakby firma nie mogła przez godzinę poradzić sobie bez jej obecności.

Ellen zganiła się w duchu za nieżyczliwe myślenie. A może Mary-Beth rzeczywiście była niezastąpiona? Zawsze upierała się, że zapłaci wyszczególnioną w cenniku stawkę za odwołaną wizytę (pięćdziesiąt procent ceny za odwołanie wizyty z wyprzedzeniem krótszym niż dwadzieścia cztery godziny), choć Ellen nigdy się nie upominała – nie znosiła brać pieniędzy za nic.

Zadzwoił dzwonek i Ellen zaklęła, jakby ukłuła się nagle w duży palec u nogi. Była równie zła, kiedy Mary-Beth odwoływała wizyty, jak kiedy wreszcie się pojawiła. Nie wiedzieć czemu, czuła antypatię do tej biednej, smutnej kobiety. O co chodziło? Miewała już klientów denerwujących i takich, których nieszczególnie lubiła, ale nie pamięta, aby kiedykolwiek na czyjś widok doświadczyła równie silnej irytacji.

Jeśli nie będzie nad sobą panować, jej niechęć przesądzi się do terapii Mary-Beth, co byłoby skandaliczne.

Przypomniała sobie buddyjską doktrynę: „Wszyscy jesteśmy jednością”. Była Mary-Beth, a Mary-Beth była nią.

Hmmm.

Otworzyła drzwi z ciepłym, powitalnym uśmiechem.

– Mary-Beth! Jak się cieszę, że cię widzę!

– Jestem pewna, że mój widok to prawdziwy powód do radości – odparła Mary-Beth z szerokim, sarkastycznym uśmiechem.

Nie mogła dosłyszeć, jak Ellen zaklęła, prawda?

Mary-Beth jak zwykle ubrała się cała na czarno. Była przysadzistą, niezgrabną kobietą o długich, cienkich włosach z przedziałką pośrodku – jak dziecko kwiat z lat siedemdziesiątych, z tym że włosy te nie otaczały świeżej, dziecięcej buzi, lecz twarz przybitą i pełną rozżalenia.

Och, ależ przygnębiające robisz wrażenie, pomyślała Ellen. Zapragnęła odmienić wizerunek pacjentki – obciąć jej włosy, nadać im objętości i koloru, ubrać ją w coś innego niż czerń. Rysy miała całkiem ładne, nawet zwykłe muśnięcie szminką wiele by dało!

O Boże, za chwilę zmieni się w czyjaś okropną matkę.

– Masz może ochotę skorzystać z toalety? – spytała. Zawsze pytała o to przed wizytą, bo pełny pęcherz był największym wrogiem udanej sesji.

– Nie, dziękuję – odparła Mary-Beth. – Możemy od razu zaczynać.

Usiadła w zielonym fotelu, który w niewytłumaczalny sposób natychmiast zaczął się wydawać najbardziej niewygodnym meblem świata, a Ellen otworzyła teczkę, którą trzymała na kolanach.

– Co tam słychać od czasu naszego ostatniego spotkania? – zapytała.

– Nic nowego. Nadal jestem gruba jak foka. A u ciebie?

Ellen podniosła na nią wzrok.

– Niepokoi cię nadwaga?

– Nie, to znaczy tak, to chyba oczywiste, ale co tam. – Mary-Beth westchnęła i ziewnęła. – Więc mamy piątek. Masz jakieś ciekawe plany na weekend, Ellen? Spotkania ze znajomymi? Albo z rodziną?

– Nie, nie mam konkretnych planów – odparła Ellen. – Więc chciałabyś popracować nad utratą wagi?

Na pierwszej wizycie Mary-Beth wyznała, że szuka pomocy, ponieważ od pewnego czasu, gdy pokonuje tunel pod portem Sydney, Sydney

Harbour Tunnel, ogarnia ją niewyjaśniona panika. Chciałaby położyć temu kres, zanim stanie się prawdziwą wariatką. Nie wspominała nic o swojej tuszy, ale było to wśród klientów zjawisko dość częste. Prawdziwy powód wizyt wychodził na jaw dopiero po kilku sesjach.

– Może w poprzednim wcieleniu głodowałam – rzekła Mary-Beth. – I teraz próbuję to nadrobić. Dlatego tak kocham ziemniaki.

– Cóż, hipnoterapia może tu wiele zdziałać...

– Nie wierzę w poprzednie wcielenia – odparowała zadziornie Mary-Beth. – To straszna bzdura.

– Chyba rozmawiałyśmy o tym ostatnio – przypomniała łagodnie Ellen. Nie przepadała za słowem „bzdura”. Sporo czasu poświęciły na rozmowę o braku wiary Mary-Beth w poprzednie wcielenia.

– A więc nie przenosisz ludzi do poprzedniego życia?

– Nie, nie proponuję konkretnie regresji do przeszłych wcieleń – zaczęła Ellen – ale niektórzy moi pacjenci są zdania, że pod wpływem hipnozy cofnęli się do przeszłości. Jestem na to w pełni otwarta.

Mary-Beth prychnęła i zaśmiała się drwiąco.

– Odkąd się ostatnio widziałyśmy, przejeżdżałaś przez tunel portowy? – zapytała Ellen.

Mary-Beth wzruszyła ramionami.

– Tak, przejeżdżałam. I nic się nie działo. Chyba już mi przeszło.

Ellen patrzyła na nią wnikliwie.

– Czego więc oczekujesz po dzisiejszej sesji, Mary-Beth?

Mary-Beth znowu westchnęła. Rozejrzała się z pogardą po pokoju, jakby był to najtańszy hotelowy pokój, pochyliła się, wzięła czekoladkę, po czym zmieniła zdanie i wrzuciła ją z powrotem do miski.

W końcu się odezwała:

– Chyba jednak skorzystam z toalety.

*

Co za ulga, że mogłam ją znów zobaczyć.

Nie wiem, co ona do mnie czuje, ale ja w pewien sposób ją lubię. Oczywiście jej obecność uprzykrza mi życie, ale jednocześnie dziwnie mnie pociąga.

To jak jakieś perwersyjne zauroczenie. Widzisz faceta, który jest odrażający, ale mimo to chętnie poszłabyś z nim do łóżka. Idziesz, jest cudownie, jednak potem jesteś chora z żalu. Na przykład ten facet podobny do goryla, którego rok temu poznałam na imprezie świątecznej w firmie klienta. Był za bardzo wyperfumowany i miał na sobie więcej biżuterii niż ja. Seks był w porządku, lecz potem czułam się jak ofiara gwałtu, szorowałam się pod prysznicem i płakałam z tęsknoty za Patrickiem. Coś w rodzaju wstrętu, jaki się odczuwa po napchaniu się niezdrowym, tłustym fast foodem.

Ellen nie tknęłaby żadnego fast foodu. Na pewno żywi się tofu i soczewicą. Ciekawe, czy już bulwersuje ją miłość Patricka do pizzy.

Nie chodzi o to, że chciałabym z nią iść do łóżka. Nie, chciałabym tylko wszystko o niej wiedzieć. Chcę na nią patrzeć w każdej możliwej sytuacji. Chciałabym wejść do wnętrza jej głowy i jej ciała. Chciałabym nią być. Choćby przez jeden dzień.

Nie czułam tego w stosunku do żadnej z kobiet, z którymi spotykał się Patrick. Z Ellen jest inaczej...

Cieszę się, że mogę się do niej zwracać po imieniu. Na ostatniej sesji robiłam to niejednokrotnie. „Dziękuję, Ellen”. „Do zobaczenia, Ellen”. Za każdym razem, kiedy wymawiam jej imię, to jakbym wymierzała Patrickowi policzek w tę jego promieniującą samozadowoleniem twarz.

Nie myśl, że idziesz naprzód, mój chłopcze. Że budujesz sobie nowe życie, które nie ma ze mną nic wspólnego. Wciąż tu jestem. Co chwila wymawiam jej imię. Byłam w jej łazience. Wiem, jakich używa tamponów i jakiego dezodorantu. Nic nadzwyczajnego.

Nadzwyczajna to może jest ona sama. Za dobra dla ciebie, być może. Nie twojego pokroju. Nie naszego.

Z Ellen jest tak, że wydaje się dokładnie taka sama w środku jak na zewnątrz. Przynajmniej robi wrażenie, jakby nie było w niej nic sztucznego, żadnej manieri, jakby nie musiała filtrować każdego słowa, które wychodzi z jej ust, by mieć pewność, że wywiera ono wrażenie zgodne z intencją.

Musi oczywiście mieć jakiś rodzaj filtra. Każdy ma coś takiego. Tylko że jej filtr jest prosty i szybki, i uważnie odrzuca wszystko, cokolwiek mogłoby obrazić drugą osobę. Mój filtr natomiast złożony jest z labiryntu rur, tuneli i sit przetwarzających wszystko, co myślę, na coś, co da się w akceptowalny sposób wypowiedzieć w zależności od sytuacji, osoby i tego, co próbuję w konkretnym momencie udowodnić.

Ona nie musi niczego udowadniać. Szczerze wierzy w te bzdury o „potędze umysłu”. To jej pasja. Jej religia.

Na początku robi trochę świętoszkowate wrażenie, ale sądzę, że jest dobrym człowiekiem – w tradycyjnym, starodawnym rozumieniu tego słowa. Życzy światu wyłącznie dobra, gdy tymczasem ja i ty, Patrick, jesteśmy niedoskonali. Nie wszystkim dobrze życzymy, prawda?

Kiedy z nią przebywam, czuję się jak falsyfikat, nie tylko z oczywistych powodów. Gdybym poznała ją jako prawdziwa ja, w identyczny sposób odczuwałabym różnicę pomiędzy nami.

Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego mogłeś ją pokochać, Patrick. Naprawdę rozumiem. Sama też ją trochę kocham.

Tylko że w naszą pierwszą wspólną Wigilię zasnęliśmy razem, leżąc na plecach, jakbyśmy się opalali. Trzymaliśmy się za ręce, w ustach mieliśmy smak malin po tym pysznym likierze, który dostaliśmy od Śmierdziela, a wiatrak kręcił się pod sufitem. Pokój zdawał się leciutko kiwać i pamiętam, jak myślałam sobie, że jesteśmy dwójką dzieci płynących na tratwie magiczną rzeką.

Tamta noc się zdarzyła. Nic mnie nie obchodzi, jak słodka jest Ellen i jakie ma czyste serce, bo tamta noc się zdarzyła. Nam.

Kiedy jej jeszcze nie było.

A pamiętasz, jak oboje zakochaliśmy się w Cameron Diaz? No więc tak to powinno wyglądać z Ellen. Powinniśmy byli ją poznać na jakimś przyjęciu, a w drodze powrotnej do domu rozmawiać o tym, jaka jest urocza i co to za interesująca, ale i dziwaczna sprawa ta cała hipnoza. I od razu po przestąpieniu progu domu powinniśmy o niej zapomnieć.

Jest naprawdę wyjątkowo miła, ale jest jak Cameron Diaz, Patrick. Nie może być rzeczywistością naszego życia. Nie ma z nami nic wspólnego.

*

Ellen i Patrick jechali do jej matki. Patrick prowadził. Należał do mężczyzn, którzy automatycznie zakładają, że to oni siadają za kółkiem. Ellen, jako dość nerwowy kierowca, nie miała nic przeciwko temu. (Wciąż pamiętała, jak Jon sprawiedliwie i skrupulatnie obliczał, kto tym razem powinien prowadzić. „Twoja kolej” – mówił, rzucając jej kluczyki, po czym wzdychał, parsknął i przez całą drogę krytykował jej jazdę).

– A więc twoja mama po ojcu już z nikim się nie spotykała – stwierdził Patrick. – Jezu, ten ruch jest nie do zniesienia. – Mocno nacisnął na hamulec i samochód gwałtownie stanął. – Przepraszam.

Był wyraźnie podenerwowany. Jaka szkoda, że Ellen nie mogła go pocieszyć czymś w rodzaju: „Och, nie martw się, jestem pewna, że spodobaś się mojej matce!”.

Raczej nie spodoba się jej matce. Spośród dotychczasowych partnerów Ellen Anne najbardziej polubiła Jona z jego dowcipnymi, uszczypliwymi uwagami. Jakże mogłoby być inaczej. To Jon był sprawcą największego spustoszenia w poczuciu własnej wartości Ellen – ten, którego kochała, lecz który nie odwzajemniał jej uczucia.

Och, gdyby tylko miała miłą, pulchną, gadatliwą mamę, z gatunku tych, które nie bardzo orientują się w polityce, biznesie i wszystkim, co pozostaje poza zasięgiem domowego ogniska. Gdyby tylko miała siwego ojca w okularach, który ciepło uściśnie rękę Patricka i zacznie z nim męską rozmowę o przetrwaniu, podczas gdy poczciwa mamusia będzie narzekać, że nikt nie chce zjeść drugiej porcji sernika.

Tymczasem zapowiadało się zupełnie inaczej.

– Mama miała przez te lata parę dłuższych związków – wyjaśniła Patrickowi – ale od jakiegoś czasu z nikim się nie wiązała.

– A twój ojciec... tak po prostu go nie ma?

– Nie ma i nigdy nie było – odparła Ellen. Przerwała, świadoma, że czuje lekką irytację. – Jak mówiłam.

Parę tygodni po tym, jak zaczęli się spotykać, opowiedziała mu historię swojej rodziny. Z biegiem lat wyćwiczyła ją do perfekcji, zmieniając w idealną anegdotę do opowiadania przy kolacji – niezwykłą, ciekawą i osobistą, idealnej długości, pozbawioną wszelkich emocji, które mogłyby wprowadzić słuchaczy w zakłopotanie.

Zawsze zaczynała w ten sam sposób:

„Moja mama zawsze wyprzedzała swoje czasy”.

Następnie wyjaśniała, że wczesnym rankiem pierwszego stycznia 1971 roku niezwykle pragmatyczna doktor Anne O'Farrell poczyniła postanowienie noworoczne, że zostanie samotną matką. Była niezależną, trzydziestoparoletnią kobietą sukcesu, która niespecjalnie pragnęła wyjść za mąż, ale (co dziwne) pragnęła mieć dziecko. Z pomocą dwóch najbliższych przyjaciółek sporządziła listę potencjalnych kandydatów na ojca, uwzględniając ich wady i zalety – poziom wykształcenia, przeszłość medyczną i cechy osobowości.

Anne zachowała tę listę i przekazała Ellen, gdy córka była już nastolatką. Jej „ojcem” był spis cech, nagryzmołony lekarskim pismem matki, z widniejącą obok, zakreśloną liczbą „osiemdziesiąt pięć procent”. Najwyższa otrzymana nota.

Do zalet jej ojca należały: ukończona specjalizacja (był chirurgiem, Anne poznała go na uniwersytecie), zdrowe zęby, małe uszy (matkę napawały obrzydzeniem wielkie, falujące małżowiny), doskonały stan skóry, brak zachorowań na serce, cukrzycę i problemów z oddychaniem w rodzinie oraz dobre umiejętności społeczne.

Do jego wad zaliczły się natomiast: słaby wzrok (okulary), tendencje spirytualistyczne, stawiająca tarota matka, trochę dziwaczne poczucie humoru i fakt, że był zaręczony.

W ostatnich latach Ellen zaczęła przy opowiadaniu pomijać informację o zaręczynach ojca. Nie wiedziała, o co chodzi: czy cały świat stawał się coraz bardziej moralny – zwiększał się poziom globalnej pruderii, czy to jej kręgi towarzyskie z czasem robiły się coraz bardziej konserwatywne.

Najwyraźniej poważny związek ojca nie stanowił dla jej matki przeszkody. Uwiedzenie go okazało się dla niej pestką, i to nie jeden raz, a optymalnie wiele razy, w odpowiednim czasie przed owulacją i po niej.

„Trzeba pamiętać, że były to lata siedemdziesiąte” – rzekła matka.

I tyle. Zadanie wykonane. Dwa miesiące później „ojciec” Ellen wziął ślub i wyjechał na stałe do Wielkiej Brytanii, nigdy nie dowiedziawszy się o istnieniu córki.

„A co by było, gdybym zechciała odnaleźć tatę?” – spytała matkę, kiedy jako nastolatka przechodziła, krótki zresztą i dość potulny, okres buntu i drżała, wypowiadając obco brzmiące i niemal przesycone seksem słowo „tata”.

„Nie będę ci w tym przeszkadzać” – odparła Anne, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety. „Byłoby to jednak bardzo okrutne i raniące względem jego żony”.

Ellen oczywiście nigdy, przenigdy świadomie nikogo by nie zraniła, a poza tym myśl o spotkaniu z nieznanym mężczyzną w średnim wieku ją onieśmiała. Ojcowie jej koleżanek byli duzi, włochaci i mówili grubym głosem, czasem byli śmieszni, ale przeważnie – nudni, i kompletnie nieznaczący w jej życiu.

Przyjaciółki matki, Melanie i Phillipa, nie miały dzieci. Były matkami chrzestnymi Ellen i przez większą część jej dzieciństwa mieszkały z nią i jej matką w tym samym domu. Miewały chłopaków, którzy wpadali i zabierali je na randki, czasem z nienacka zjawiali się przy śniadaniu (schodzili do kuchni nieogoleni i zachrypnięci), ale w większości przypadków stanowili tylko oryginalną, przelotną atrakcję w życiu Ellen. Zanim z niego znikali, wygląd i maniery każdego z nich zawsze były gruntownie, z humorem omawiane (choć po pięćdziesiątce Mel wyszła wreszcie za nieśmiałego, nieodgadnionego mężczyznę, który, jak się wydawało, bardzo ją uszczęśliwiał, nie wpływając jednak znacząco na jej życie towarzyskie).

„Zupełnie jakbym miała trzy matki” – mawiała Ellen, zresztą zgodnie z prawdą. W kwestii jej wychowania równy głos miały trzy zadufane

w sobie, samotne kobiety sukcesu. „Dosłownie jakbym żyła w jakiejś komunie lesbijskiej” – ciągnęła, ale z czasem przestała o tym wspominać, bo jej zamiarem było tylko dodanie całej historii smaczku, nie zaś obrażanie lesbijek, co później przyszło jej do głowy. W rzeczywistości nie miała bowiem pojęcia, jak byłoby mieszkać w komunie lesbijskiej ani nawet czy coś takiego w ogóle istniało. „Mój ojciec był więc wyłącznie dawcą spermy, tylko o tym nie wiedział”.

Tymi słowami zawsze kończyła opowieść, która zwykle wywoływała wzburzoną, inspirującą dyskusję, zwieńczoną najczęściej wnioskami typu: „A więc to stąd się wzięła hipnoza – uduchowiony ojciec i babcia stawiająca tarota!” (jakby to było nie wiadomo jakie odkrycie). Część osób przyklaskiwała decyzjom jej matki, a część mniej lub bardziej uprzejmie wyrażała swą dezaprobatę.

Nie przeszkadzało jej, że ludzie potępiali matkę. Sama nie była pewna, czy tego nie robi, ale równocześnie wiedziała, że nie ma na świecie osoby, której byłoby bardziej wszystko jedno, co na jej temat sądzą inni. Ellen już tyle razy opowiadała historię swojego poczęcia, że prawie odczuwała wobec niej obojętność. Podobną opowieść z dzieciństwa miała w zanadrzu Julia. Ona z kolei w konsekwencji zacieklej walki o opiekę nad dziećmi między rodzicami została wraz z bratem porwana przez własnego ojca, który przefarbował im włosy na ciemne i spektakularnie ukrywał ich przed policją. Ellen wiedziała, że kiedyś Julia musiała odczuwać w tej kwestii jakieś emocje, i pewnie gdzieś w głębokiej podświadomości nadal je odczuwała, ale teraz pozostała już tylko znakomita opowieść do wykorzystania przy wszelkich okazjach towarzyskich.

Patrick słuchał z uwagą, a na koniec powiedział:

„Jeśli chodzi o twoją mamę, okej, ale szkoda, że nie miałaś taty”.

„Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” – rzekła Ellen. Choć wcale nie wierzyła w to, co mówi, bynajmniej nie spędziła dzieciństwa, łkając w poduszkę z tęsknoty za „tatusiem”. „Może inaczej by było, gdybym była chłopcem”.

„Myślę, że córki również potrzebują ojców” – odparł poważnie Patrick.

Powaga ta sprawiła, że Ellen zakochała się w nim jeszcze trochę bardziej i wyobraziła sobie, jak z czułością trzyma malutką dziewczynkę (tak, oczywiście, jej własną malutką dziewczynkę) – jak facet z reklamy zasypki dla niemowląt.

A teraz pyta, czy jej ojca zwyczajnie nie było? Jakby się nie skupiał, kiedy mu opowiadała, lub jakby słyszał tę historię piąte przez dziesiąte na imprezie, w hałasie i nie do końca pamiętał, o co chodziło. Wielkie rozczarowanie. Ellen znowu poczuła niepokojący przypływ mdłości. A co, jeśli po prostu rozpaczliwie chciała być do szaleństwa zakochana w tym facecie? Co będzie, jeśli się okaże, że tylko się oszukuje? A Patrick jest sztucznym, powierzchownym dupkiem?

Czy znajdowałaby sobie lepszych partnerów, gdyby wychowała się w pełnej rodzinie? Pewnie tak. Właściwie to na pewno tak. Po blefie matki odnośnie do nawiązania kontaktu z ojcem Ellen zaczęła się interesować psychologicznymi aspektami wychowania córek przez samotne matki. Szczególnie obciążające fragmenty artykułów na ten temat zakreślała kolorowym markerem i zostawiała w widocznych miejscach.

„Czego konkretnie ode mnie oczekujesz w tym względzie?” – chciała wiedzieć matka. „Żebym cofnęła się w czasie i cię nie poczęła?”

„Żebyś czuła się winna” – odpowiedziała.

Anne się roześmiała. Poczucie winy nie mieściło się w jej leksykonie emocjonalnym.

– Przepraszam – rzekł Patrick, kiedy światło zmieniło się na zielone i ruszyli ze skrzyżowania. – Wiem przecież, że ojca nie było. Denerwuję się po prostu. Czuję się jak przed rozmową o pracę. Nie jestem w tym dobry, zwłaszcza jeśli szczególnie mi zależy.

Ellen zerknęła na niego i zobaczyła na jego twarzy pełną przerażenia bezbronność. Przez ułamek sekundy wyglądał dokładnie jak jego syn.

– A kiedy się denerwuję, to zaczynam gadać bzdury, kompletnie bez sensu – ciągnął. Zmarszczył brwi i spojrzał w lusterko wsteczne. – Jestem też trochę rozkojarzony, bo nasza znajoma wróciła.

– Znajoma?

– Ona. Za nami.

– Saskia znowu nas śledzi? – Ellen odkręciła się do tyłu na siedzeniu i zaczęła wnikliwie przyglądać się samochodom. – Który to samochód?

– Cudownie. Fantastycznie. Nie można sobie wymyślić nic lepszego niż to, że twoja była cię śledzi, kiedy pierwszy raz w życiu jedziesz do rodziców nowej dziewczyny – mruczał.

– Tak, ale które to auto? – dopytywała Ellen, a pas wrzynał jej się mocno w szyję.

Bezpośrednio za nimi jechała ciężarówka, której kierowca z zamkniętymi oczami walił rękami w wielką kierownicę, najwyraźniej na całe gardło wyśpiewując jakąś piosenkę.

– Jest na sąsiednim pasie, parę samochodów za nami – wyjaśnił Patrick. – Ale nie martw się, zaraz ją zgubię. – Gwałtownie wcisnął gaz i samochód skoczył do przodu.

Ellen odwróciła się, by stwierdzić, że światła właśnie zmieniają się z żółtych na czerwone. Kiedy znów się odwróciła, mijali skrzyżowanie, zostawiając za sobą rząd nieruchomych samochodów.

– Jakiego koloru? – drążyła zdesperowana. – Ma samochód?

- Zgubiłem ją – odparł zadowolony Patrick. – Patrz, jedziemy dalej.
- Świetnie – odparła Ellen i zaczęła masować zdrętwiałą szyję.

*

Zgubili mnie na światłach. Nie wiedziałam, którędy pojechali.

Może mieli się spotkać z jakimiś jej znajomymi. Bo Patrick nikogo nie zna w tamtych okolicach.

Widziałam, jak odwracała się na siedzeniu. Ciekawe, czy próbowała mnie dojrzeć. Patrick pewnie wiedział, że tam jestem. Jeździ szybciej niż zwykle, nie sposób nic przewidzieć. Czasem wystawia mi palec. Raz, kiedy przede mną uciekał, widziałam, że policja zatrzymała go za skręt w prawo w niedozwolonym miejscu. Czułam się winna, bo zawsze się chwalił, że od ponad dwudziestu lat, odkąd ma prawo jazdy, ani razu nie dostał mandatu. Na przeprosiny wysłałam mu do pracy butelkę wina. Specjalnie wybierałam. Pepper Tree, białe. Odkryliśmy je na wyjeździe do Hunter Valley w lecie zeszłego roku, kupiliśmy całą skrzynkę i dosłownie się uzależniliśmy. Nie sądzę, aby mógł wypić to wino, nie myśląc o mnie. Czekałam jednak tego wieczoru pod jego biurem i widziałam, jak jedna z dziewczyn wychodzi z moim winem w ręce. Rozpoznałam je, bo było zapakowane w ten sam niebieski papier. Nawet nie otworzył. Oddał je po prostu tej dziewczynie.

Ciekawa jestem, jak mnie opisuje hipnotyzerce. To znaczy Ellen. Pewnie jej mówi, że jestem „pomyłona”. Tak raz na mnie wrzasnął. Łaziłam za nim po lokalnych sklepikach, aż nagle się odwrócił i ruszył prosto na mnie. Zatrzymałam się i czekałam z uśmiechem. On też się uśmiechał. Myślałam, że wreszcie normalnie porozmawiamy. Tymczasem, kiedy się zbliżył, stwierdziłam, że jego uśmiech jest zły, sarkastyczny.

Z palcem wycelowanym prosto w moją twarz, zawołał: „Ty pomyłona wariatko!”.

W innych okolicznościach mogłoby to być nawet zabawne, ale wtedy się bałam, że zaraz mnie uderzy.

Był tak zły, że cały się trząsał.

W rzeczywistości nawet chciałam, żeby mnie uderzył. Pragnęłam tego. Jeśli miał już nigdy nie wziąć mnie w ramiona, niech mnie chociaż uderzy. Wtedy znowu poczuję związek. Ciało z ciałem.

Nie zrobił tego jednak. Splótł ręce za szyją i zaczął kiwać głową na boki niczym autystyczne dziecko. Chciałam go pocieszyć. Nie musiał się aż tak przejmować. To tylko ja. Wciąż ta sama. Dlaczego on tego nie rozumie? Zagadnęłam: „Kochanie”.

Opuścił ręce, i zobaczyłam, że oczy ma mokre i czerwone. Powiedział: „Nie mów tak do mnie”. I odszedł, a ja zostałam, gdzie byłam, ze wzrokiem utkwionym w witrynie knajpki, do której w soboty wieczorem zawsze chodziliśmy na rybę z frytkami.

W tym rzecz. Zostałam zaszufadkowana. Już zawsze będę wariatką. Kiedyś myślał, że jestem „śmiesznym gnojkiem” i mam „piękne oczy”, i jestem „jedną z najbardziej wielkodusznych osób, jakie kiedykolwiek znał”. Tak mi mówił i rzeczywiście tak uważał.

Ale teraz zostałam już tylko wariatką.

Jedynym sposobem, by przestać być świruską, byłoby zniknięcie z jego życia. Tak jak powinna to zrobić każda porządna eks. Dyskretnie zniknąć w przeszłości.

To właśnie doprowadza mnie do... szału.

*

Ellen doskonale widziała, że kiedy zbliżali się do drzwi domu jej matki, Patrick przybrał postawę „walcz lub wiej”.

Och, ty mój biedaku, pomyślała. Pamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy szła do matki z Jonem, który wodził za nią leniwym wzrokiem spod opadających powiek, pewien swej wyższości. Czyste, zielone oczy Patricka strzelały na wszystkie strony, jakby szukały wszelkich możliwych dróg ucieczki. On sam raz po raz chrząkał.

Co oznaczało, że zdanie matki Ellen się liczyło. Liczyło się, a to z kolei oznaczało, że liczyła się sama Ellen.

Biedak. Zrozumiałe, że się denerwuje. Jon był wyjątkiem. Takie sytuacje krępowały większość mężczyzn.

Oto i trzy niezmiernie eleganckie, pewne siebie kobiety po sześćdziesiątce, wszystkie delikatnie, koniuszkami palców trzymające nóżki kieliszków z winem, wszystkie dziwnym trafem ubrane prawie całe na biało, jakby pod kolor aranżacji wnętrza domu matki – białych kanap, białych ścian, białych dodatków. Wszystkie trzy na wysokich barowych stołkach, z których nie wstały, by ucałować Patricka w oba policzki, podczas gdy on oczekiwał pocałunku tylko w jeden i za każdym razem nadstawiał ten zły, nie przestając uginać kolan, by zrównać się z nimi wzrostem.

– Czemu wszystkie jesteście ubrane na biało? – zapytała Ellen. – Za bardzo wtapiacie się w tło.

Salwa śmiechu.

– Wprost nie wierzyłyśmy własnym oczom, kiedy spojrzałyśmy na siebie – zarechotała Phillipa.

– Jak w tym filmie z Bette Midler. *Klub pięciu żon*. Nie żebyśmy same były żonami.

Ellen obserwowała, jak wzrok matki omiata strój Patricka, złożony z dżinsów i koszuli w kratkę z rękawami podwiniętymi do łokcia. Jon ubierał się tylko w rzeczy od Armaniego, Versace i paru innych włoskich projektantów, tak wyszukanych, że Ellen w życiu o nich nie słyszała.

– Ależ, Anne, przecież Mel jest żoną – zauważyła Phillipa.

– Oczywiście, że jest, ale ja nigdy nie myślę o niej jako o żonie. To komplement, Mel.

– Anne, schlebiasz mi.

– Kto jeszcze grał w tym filmie? – zastanawiała się Phillipa. – Bestie Midler, Goldie Hawn i jeszcze ktoś. Ktoś, kto mi się podoba. Wiesz, Patrick?

Patrick był spłoszony.

– Nie, ja nie...

– W końcu stwierdziłyśmy, że ubrałyśmy się tak samo, bo wszystkie przeczytałyśmy ten sam artykuł w „Vogue’u” – oświadczyła Mel. – O sprzyjających kolorach dla pań po pięćdziesiątce. Nie żebyśmy technicznie były po pięćdziesiątce.

– Mów za siebie – rzekła Anne. Matka Ellen wspomnienie o jej wieku uważała za czystą obrazę.

– Jesteś o trzydzieści cztery dni ode mnie starsza, Anne O’Farrell.

– Diane Keaton! – wykrzyknęła Phillipa. – To była trzecia żona. Dzięki Bogu, przypomniałam sobie. Inaczej nie mogłabym zasnąć przez całą noc.

– Patrick, czego się napijesz? Piwo, wino, szampan, wódka? Brzmisz, jakby ci zaschło w gardle. – Matka Ellen utkwiała w Patricku swoje fiołkowe oczy, jak drapieżny ptak w ofierze.

(Oczy Anne stanowiły jej najbardziej uderzającą cechą. W młodości znajomi namawiali ją do udziału w konkursie na twarz najbardziej podobną do Elizabeth Taylor. Gdyby nie była zdania, że takie konkursy uwłaczają

ludzkiej godności, zapewne by go wygrała. Niestety nie udało jej się przekazać niezwykłych oczu córce. Oczywiście decyzja nie należała do niej, lecz Ellen uważała, że gdyby matka miała wybór, i tak zostawiłaby całą chwałę dla siebie. Była bardzo próżna, jeśli chodzi o te oczy).

Patrick znowu chrząknął.

– Chętnie napiję się piwa, dziękuję bardzo, hm...

– Ellen, nadal nas sobie nie przedstawiłaś. Biedak musi myśleć, że przez przypadek trafił do jakiegoś podstarzałego haremu.

– Nie dałyście mi szansy – odparła Ellen, a następnie położyła rękę na ramieniu Patricka. – Patrick, oto moja mama, Anne.

– Widzisz podobieństwo, nieprawdaż? – Anne zatrzepotała rzęsami, wręczając Patrickowi szklanekę piwa.

– Nie jestem... pewien – Patrick zacisnął dłoń na piwie.

– I moje chrzestne, Mel i Pip – ciągnęła Ellen, ignorując matkę. – Czy może dziś wieczór jesteś Phillipą? Ona wciąż nie może się zdecydować.

– Uzależniam to od tego, czy jestem gruba czy chuda – wyjaśniła Phillipa z rozpromienioną twarzą, falistym ruchem ręki wskazując swą pulchną sylwetkę. – Nie ma więc wątpliwości, kim jestem dzisiaj, prawda?

Na twarzy Patricka dała się zauważyć czysta panika.

– Phillipą – ogłosiła Ellen.

– Aha! Czyli na Pip nie jestem dość szczupła! Muszę się do ciebie zapisać na dalszą terapię, Ellen. – Phillipa zwróciła się do Patricka ze śmiertelną powagą. – Cierpię na nieuleczalne uzależnienie od węglowodanów.

– To rzeczywiście... – zaczął Patrick. Najwyraźniej nie miał pojęcia, jak zakończyć zdanie, więc zaczął pić piwo tak łapczywie, jakby od tego zależało jego życie.

– Próbowałam namówić Ellen, by wyprowadziła mnie z nałogu za pomocą hipnozy.

– Kiedy ona cały czas chichocze – westchnęła Ellen, a matka podała jej kieliszek wina, nie pytając nawet, czego się napije. Ellen wolałaby sok.

– Chodź, Patrick, pogadamy normalnie – odezwała się Mel i poklepała stołek obok tego, na którym sama siedziała. – Ellen wspominała, że jesteś geodetą, to prawda? Mój dziadek miał piękną kolekcję starych map i zostawił mi ją w spadku. Najstarsze są datowane na tysiąc osiemset dwudziesty.

Patrick odjął szklanekę od ust i odezwał się normalnym głosem:

– Naprawdę?

Mel usadziła Patricka obok siebie i podsunęła mu talerz z chlebem i dipem łososiowym. Ellen widziała, jak barki mężczyzny się rozluźniają, kiedy Mel normalnie do niego zagaduje, sprowadzając rozmowę na spokojne, konkretne, męskie tematy, w których Patrick czuje się pewnie. Zawsze uważała, że Mel powinna być żoną dyplomaty – miała dar prowadzenia elokwentnej, uprzejmej rozmowy na dowolny temat.

(Choć sama Mel uznałaby to zapewne za bardzo seksistowską uwagę. „Sama powinnam być dyplomata, dziękuję ci bardzo” – odpowiedziałyby).

– Chodź, pomożemy twojej matce – Phillipa chwyciła Ellen za ramię.

– O, jak miło z twojej strony, Pip – odparła Anne, nie spuszczać fiołkowych oczu z gościa.

– Kochana, on jest fantastyczny! – wykrzyknęła Phillipa, gdy tylko znalazły się w nieskazitelnej kuchni Anne. – I pewnie należy do miłkliwych i silnych, prawda? Widzę go na górskim szczycie, jak mruży oczy, patrząc pod słońce. W ten swój sprzęt mierniczy.

– Nie – odparła Ellen (choć sama uwielbiała wyobrazić go sobie dokładnie w tej sytuacji). – Wcale taki nie jest. Dużo gada, oczywiście o ile

ma szansę. I nie mierzy gór, tylko raczej domy.

– Och, co to znaczy być młodą i zakochaną – westchnęła nostalgicznie Phillipa. – Uwielbiałam być zakochaną. Zawsze wtedy pięknie chudłam.

– Pamiętam, jak siedziałaś w tej samej kuchni i wzdychałaś „och, co znaczy być młodą i zakochaną” do mnie i do Julii, kiedy miałyśmy po siedemnaście lat – rzuciła Ellen. Przerwała na chwilę, po czym dodała: – A to znaczy, że nie byłaś wtedy o wiele starsza niż ja teraz.

– A skoro mówimy o Julii – wtrąciła matka, która nigdy nie potrzebowała pomocy w kuchni, a teraz dokonywała końcowych muśnięć, nadając ostateczny kształt misternie przyrządzonym potrawom, spoczywającym na olbrzymich, kwadratowych białych talerzach; potrawom, które niewątpliwie będą smakować rewelacyjnie, lecz pozostawią uczucie lekkiego niedosytu, na skutek czego Patrick w drodze powrotnej do domu zaproponuje pizzę, a Phillipa sięgnie do koszyczka z pieczywem – to w sobotę spotkałam jej matkę na jodze. Powiedziała, że twojego nowego chłopaka ktoś stalkuje.

– Ach, ta poczta pantoflowa, jaka ona skuteczna – rzekła Ellen. Czasem czuła się tak, jakby nigdy nie opuściła murów niewielkiej prywatnej szkoły, w której matki uczennic znały się z rady rodziców.

– Stalkuje! – Phillipa wybałuszyła oczy. – Niesamowite!

– O tak, droga Pip, to będzie niesamowite, dopiero kiedy moja córka zostanie znaleziona martwa w rowie. – Ze spiżarki dobiegł głos Anne.

– To jego była miłość? – dopytywała Phillipa, ignorując Anne. – Którą odtrącił? Czy przypadkowa, niebezpieczna dla otoczenia maniaczka się na niego uwzięła?

Anne wyłoniła się ze spiżarki i z niepotrzebnym impetem postawiła na blacie butelkę octu.

– Czy ta osoba przejawia tendencje do agresji? – zapytała. – Patrick zgłosił to na policję?

– To tylko jego była dziewczyna, która nie potrafi zapomnieć – wyjaśniła Ellen. – Nie ma się czym przejmować.

Zastanawiała się, jak zareagowałyby mama na wieść o tym, że Saskia jechała za nimi dziś wieczór, lub co gorsza o tym, że kiedy udało im się ją zgubić, Ellen odczuła wyraźne rozczarowanie.

Anne powiedziała:

– Obiecuj mi tylko, że będziesz ostrożna. Ty zawsze widzisz w ludziach jedynie dobro, Ellen. To bardzo ujmujące, ale strasznie naiwne.

Ellen uśmiechnęła się do niej.

– Musiałam odziedziczyć tę ujmującą skłonność po ojcu.

Anne nie odwzajemniła uśmiechu.

– Z całą pewnością nie po mnie.

– Zgadza się – podsumowała Phillipa i zachichotała tak, że aż parsknęła.

*

Nie miałam pojęcia, gdzie na nich czekać. U niego czy u niej. Wiedziałam, że to zależy od tego, co zrobią tej nocy z Jackiem. Najczęściej przyjeżdża mama Patricka i z nim zostaje, ale czasem bierze go do siebie i wtedy mały śpi w pokoiku na tyłach domu. To niezbyt ładnie wobec Maureen. Pamiętam, jaka była wykończona, kiedy go z nią zostawialiśmy, jak był mały. Owijał ją sobie wokół małego palca. Teraz ma osiem lat i na pewno sam zajmuje się sobą – ogląda telewizję lub robi coś innego. Mam nadzieję, że Patrick nie pozwala mu za dużo siedzieć przed telewizorem. I że mały czyta. Kiedyś uwielbiał książeczki. Pamiętam, jak postanowiłam sprawdzić, ile razy trzeba mu przeczytać *Bardzo głodną gąsienicę*, żeby się nią znudził.

Po piętnastym musiałam się poddać. Gdy tylko kończyłam, z niezmiennym entuzjazmem wołał: „jeszcze raz!”. Wciąż mam przed oczami jego pyzate rumiane policzki, kiedy w czerwonej pizamce z lokomotywą Tomkiem siedział mi na kolanach i z namaszczeniem, z wydętymi wargami, wtykał palec w dziurki, które gąsienica wygryzła w jabłkach.

Mogłabym zostać dziś wieczór z Jackiem, a Patrick z Ellen poszliby sobie, dokąd chcą. Nie miałabym nic przeciwko. „Do widzenia!” – zawołałabym wesoło, jak nastoletnia opiekunka, siedząc z Jackiem na kanapie, pod kocem, z paczką chipsów.

Może powinnam wysłać do Patricka esemesa z taką propozycją. Ha, ha.

Od lat mogłabym być opiekunką jego syna. Czasem mi się wydaje, że to całkowicie zmieniliby sytuację. Gdyby tylko Patrick nie zabrał mi mojego chłopczyka, mojego kochanego chłopczyka, wszystko byłoby inaczej.

Pamiętam, jak jedna z matek, którą poznałam w przedszkolu Jacka, dowiedziawszy się o naszym rozstaniu, zadzwoniła do mnie zbulwersowana.

„Nie, on nie może ci tego zrobić, Saskia! To musi być niezgodne z prawem! Na pewno masz jakieś prawa. Przecież jesteś dla niego jak matka!”

Tylko że nie byłam matką Jacka. Byłam jedynie dziewczyną jego taty. Jaki sąd wzięłby to pod uwagę? Trzyletni związek. Przez pierwszy rok nawet oficjalnie z nimi nie mieszkałam, więc mniej niż trzyletni.

Wystarczająco jednak długi, żeby odpieluchować małego, przejść z nim naukę pływania, opowiadania dowcipów i posługiwania się widelcem i nożem. Wystarczająco długi, by być świadkiem, jak włosy przestają mu się kręcić i robią się mocne. Wystarczająco długi, by nauczył się mnie wołać, kiedy miał złe sny. Mnie. Nie tatę. Zawsze tylko mnie.

Nagły krzyk, rozdzierający mój sen, i już byłam w połowie holu, nie zdążyłam nawet się do końca obudzić. Pamiętam, że raz, kiedy weszłam do jego pokoju, siedział w łóżku, tarł oczy i przeraźliwie płakał. „Chciałem tylko zdmuchnąć świece!” – powiedział. Ja na to: „Wszystko dobrze, możesz je zdmuchnąć” – i wyciągnęłam przed siebie wymaglinowany tort. Jack nadął policzki, dmuchnął i o to chodziło, po sprawie. Uśmiechnął się do mnie oczami pełnymi łez, wtulił głowę w poduszkę i natychmiast zasnął z powrotem. Patrick nic nie wiedział, powiedziałam mu dopiero następnego dnia.

Założę się, że dziś nocne koszmary Jacka nie są już tak słodkie i nieskomplikowane.

W tym rzecz. Kiedy przekracza się granicę między opiekunką a matką? Jeśli pilnujesz dziecka przez parę godzin, to z całą pewnością nie stajesz się od razu jego matką. Tylko dlatego, że wykąpałaś je i nakarmiłaś. To samo, jeśli robisz to przez tydzień. Albo miesiąc. Ale rok? Dwa lata? Trzy? Czy istnieje punkt, w którym się tę linię przekracza? A może nie ma żadnej linii prócz tej prawnej – tej, pod którą podpisujesz się na dokumentach adopcyjnych? Naturalni rodzice nawet po latach mogą odebrać dzieci oddane do adopcji.

Powinłam była adoptować Jacka. Popełniłam błąd. Ale wtedy ta myśl nawet nie przyszła mi do głowy.

Opiekę nad chłopcem traktowałam jak przywilej, dar. Kolejny cudowny aspekt związku z Patrickiem.

Kiedy więc ze mną zerwał, wiedziałam, że będę musiała stracić również Jacka, tak samo jak straciłam wszystko, co kochałam w Patricku – nawet jego dłonie, pokryte z wierzchu wypukłymi żyłkami. Uwielbiałam jego ręce i jego charakter pisma. Pisał pięknie – jak na mężczyznę. I ten osobliwy sposób, w jaki uśmiechał się do mnie po seksie. I jego śpiew –

podśpiewywał sobie cicho piosenki country, kiedy krzątał się wokół domu. Nienawidzę muzyki country, ale uwielbiałam słuchać, jak śpiewa. To była ścieżka dźwiękowa mojego życia.

Nigdy się nie dowiedziałam, czy przysługiwały mi jakieś prawa do Jacka. Może i tak.

Byłam wstrząśnięta, kiedy Patrick oznajmił, że już mnie nie kocha.

Nie mogłam wstać z łóżka. Nie mogłam rozmawiać. Jeść. Jakby nagle dopadła mnie okropna choroba. Jakby w środku mojego życia nagle wybuchła bomba i zdruzgotała wszystko, co było mi bliskie.

Gdyby Patrick pozwolił mi chociaż widywać Jacka w weekendy. Jak po rozwodzie. Mogłoby mi to wystarczyć. Może wtedy nie robiłabym tego, co robię, czymkolwiek to jest, i czego nie mogę przestać robić niezależnie od tego, jak bardzo się staram. A starałam się, naprawdę starałam. Nigdy nie rozumiałam alkoholików ani hazardzistów. Po prostu tego nie rób, myślałam sobie, kiedy słyszałam o kimś, kto rujnuje sobie życie głupim nałogiem. Ale teraz rozumiem. To tak, jakby kazać komuś przestać oddychać. Po prostu przestań oddychać, a twoje życie wskoczy z powrotem na właściwy tor. Więc wstrzymaj oddech na tak długo, jak dasz radę, ale nie minie dużo czasu, a będziesz łapczywie chwytał powietrze. Wiem, że to upokarzające. Wiem, że jestem żalosna. Co z tego. Po prostu fizycznie nie potrafię przestać.

Siedziałam więc w samochodzie przed domem Ellen. Mówiła mi, że dostała go po babci, i to podsumowuje różnicę między nami. Ja po babci dostałam miskę na owoce. Otworzyłam okno. Słyszałam, jak na plaży rozbijają się fale. Ellen musi słyszeć to samo, kiedy zasypia. To samo musi słyszeć Patrick, kiedy u niej zostaje.

W końcu zasypiam, a kiedy się budzę, mam sztywne plecy, słońce wschodzi, a samochodu Patricka nadal nie ma. Co oznacza, że zostali

u niego.

Myślę o nich, śpiących w łóżku, które kiedyś było moje. Pewnie leżą w pościeli, którą sama kupiłam. Ciekawe, czy wyciąga do niej rękę właśnie teraz, o świcie, i przesuwa koniuszkiem palca po jej ramieniu tak delikatnie, że ona nie jest pewna, czy to sen czy jawa. Rozmarzony, senny seks o świcie to jego specjalność.

Otworzyłam drzwiczki i wysiadłam, zgarbiona jak jakaś staruszka. Zimorodki śmiały się jak głupie.

ROZDZIAŁ 7

Pamiętaj...

- 1. Każda hipnoza to autohipnoza.*
- 2. Pozostanie w transie na zawsze jest niemożliwe.*
- 3. Zawsze masz kontrolę nad sobą. W każdej chwili możesz przerwać hipnozę.*
- 4. Hipnoza to naturalny stan umysłu.*
- 5. Poczęstuj się czekoladką!*

Laminowana kartka przyklejona do ściany
w gabinecie Ellen O'Farrell

Ellen obudził delikatny, powolny dotyk palca Patricka wzdłuż jej ramienia.

Przesuwanie palca po ramieniu to stały element jego gry wstępnej.

Jon zawsze całował ją w szyję, od tyłu. Malutkimi, ledwie wyczuwalnymi pocałunkami.

Edward lizał płatek jej ucha, entuzjastycznie i wilgotno, co ją strasznie łaskotało. Jej krzyki i konwulsyjne ruchy brał za oznaki podniecenia, a ona nigdy nie wyprowadziła go z błędu.

Andy za to szeptał jej do ucha nieznośnie gorącym oddechem: „Masz ochotę...?”. (Na co, zawsze chciała spytać, czy mam ochotę na co? Dokończ zdanie!)

Zastanawiała się, czy Jon w tej chwili też całuje kogoś w tył szyi, Edward liże czyjeś ucho, a Andy szepcze swoje niedokończone pytania.

Dlaczego ciągle myślisz o dawnych kochankach?

Nie otwierając oczu, przyturlała się bliżej Patricka, chcąc ułatwić mu pieszczotę. Lubiła ten koniuszek palca. Uwielbiała go.

Uwielbiała też drobne pocałunki Jona.

Co z tego? Skup się na palcu.

Należy się domyślać, że tę samą technikę Patrick stosował z Saskią – w tym samym łóżku, może nawet w tej samej pościeli.

Było to interesujące, ale doprawdy nieistotne.

Kiedy opanowało się do perfekcji pewne ruchy seksualne, raczej się ich nie zmieniało. Ona sama wciąż całowała dokładnie tak, jak nauczył ją pewien chłopak na kempingu. Miała wtedy piętnaście lat, a jemu śmierdziało z ust piwem. Było zarazem wstrętne i cudownie. Jak miał na imię? Chris? Craig? Coś takiego.

Patrick lekko pociągnął za jej koszulę nocną.

– Może byśmy to zdjęli?

Chciała być w łóżku z Patrickiem właśnie teraz. Nie było na świecie innego miejsca, w którym pragnęłaby być. Z drugiej strony nie cieszyła jej szczególnie myśl, że Jon właśnie całuje czyjąś szyję.

Pomogła Patrickowi ściągnąć z siebie koszulę przez głowę.

Zastanawiała się, co teraz robi Saskia. Dokąd pojechała wczoraj wieczorem, jak ją zgubili na skrzyżowaniu? Może wróciła do domu, by oglądać swoje stare zdjęcia z Patrickiem? Płakała?

Czy Ellen była odpowiedzialna za ból innej kobiety? Powinna jej oddać swojego mężczyznę? Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru tego zrobić. On nie chciał Saskii. Chciał Ellen.

Tak to już było na tym świecie. Związki się kończyły. Gdyby tak nie było, wciąż byłaby z tym chłopakiem z kempingu, tym o piwnym oddechu.

Julia miała rację. Saskia musiała dorosnąć i żyć dalej.

Ale z drugiej strony, czy w tym, że nie chciała odpuścić, nie było czegoś szlachetnego? Szalała z miłości. Ellen nigdy, przenigdy nie doprowadziłaby się do stanu, w którym byłaby gotowa wariować z miłości.

– O czym myślisz?

Patrick opierał się na łokciu, patrząc na nią z uśmiechem. Odgarnął z jej czoła kosmyk włosów.

– O Saskii – odpowiedziała szczerze, bez zastanowienia.

Patrick cofnął rękę.

– Nie mogę się uwolnić od tej kobiety, prawda?

– Przepraszam – odpowiedziała Ellen. Chciała przyciągnąć go z powrotem do siebie, ale jego wargi zacisnęły się w wąską linię, tak że wyglądał jak groźny nauczyciel doprowadzony do szału przez uczniów.

– Proszę bardzo, teraz ta suka jest z nami nawet w łóżku – warknął, podniósł się i wszedł do łazienki, niepotrzebnie trzaskając drzwiami.

Ellen ułożyła się z powrotem na poduszce i podniosła wzrok na wiatrak powoli obracający się pod sufitem. (W kółko, w kółko i w kółko. Zachowała to sobie w pamięci jako dobry pomysł na indukcję. „Wyobraź sobie, że obserwujesz kręcący się wiatrak”).

Widzisz, Saskia. Przez ciebie nie będziemy się kochać. Przez ciebie jest na mnie zły.

Za każdym razem, gdy była przy Patricku, w głębi duszy zastanawiała się, jak zareagowałaby w danej sytuacji Saskia, gdyby była jej świadkiem. Zupełnie jakby występowała we własnym reality show przed widownią złożoną z jednego widza. Gdyby Patrick wiedział, ile czasu Ellen traci na rozmyślania o Saskii, byłby wściekły.

Za oknem głośno śmiały się zimorodki.

*

Kiedy obserwujesz kogoś przez dłuższy czas z tyłu, ta osoba wyczuje twój wzrok i odwróci się. Choć nie widzi, że patrzysz, wyczuwa jakąś zmianę w atmosferze.

Dlatego zawsze uważałam, że jeśli będę myśleć o Patricku wystarczająco długo, on to wyczuje. Jeśli da się wyczuć czyjś wzrok z drugiego końca pokoju, to dlaczego miałyby się nie dać wyczuć fali najprawdziwszego uczucia, tsunami emocji z odległości paru dzielnic?

Wyobrażam sobie moje uczucia jako gęstą chmurę unoszącą się nad ulicami Sydney i Patricka biorącego prysznic (lubi długie, gorące prysznice z kłębamii pary) przy otwartym oknie w łazience. Nagle wyczuwa moje uczucie, wdycha chmurę mojej miłości, zakręca kurki i myśli: „Saskia. To ona”.

A wycierając się, myśli: „Popełniłem błąd”.

A potem, zanim się ubierze, dzwoni do mnie. I wszystko jest z powrotem dobrze.

Ludzie do siebie wracają. Nawet po latach. To się ciągle zdarza. Dlaczego i nam nie miałyby się tak zdarzyć?

*

Ellen usłyszała szum wody z prysznicza.

Musiała go zdenerwować. Czekał na ten poranek. Jack został na noc u dziadków i nie trzeba było po niego jechać. Dziadkowie mieli go odwiedzić wieczorem i zostać na kolację. Planował, że najpierw będą spać do późna, a potem jeść śniadanie i czytać w łóżku. Specjalnie kupił croissanty. A teraz wszystko zepsuła.

Czy to takie dziwne, że ten biedny człowiek, kochając się ze swoją dziewczyną, nie chce słuchać o kobiecie, która go nęka?

Przygnieciona wyrzutami sumienia, odrzuciła pościel i nie wkładając koszuli, ruszyła do łazienki. Drzwi były otwarte. Prysze szumiał. Nagromadziło się tyle pary, że prawie nic nie widziała.

– Przyłączysz się? – zapytał Patrick spod prysznica. Jego głos nie przypominał już głosu niezadowolonego belfra.

Odsunęła zasłonę.

Parę minut później oplatała nogami tułów Patricka. Nie myślała już o Saskii.

*

Poszwendałam się chwilę po trawniku przed domem hipnotyzerki.

Zerwałam stokrotkę i wsadziłam ją sobie za ucho – zupełnie jakbym należała do kobiet, które wiedzą, że z kwiatkiem za uchem będą wyglądać uroczo – dziewczęco i frywolnie. Jakbym sądziła, że ta stokrotka zmieni całą sytuację, że doda mi wdzięku, urody. Że to mały, zabawny trójkącik miłosny, w którym ja i Ellen na imprezie zabiegamy o względy tego samego chłopaka. Potem weszłam na frontową werandę Ellen i spostrzegłam swoje odbicie w szybie przy drzwiach. Wyglądałam na osobę w średnim wieku, bardzo zaniedbaną. Wyjęłam kwiatek zza ucha i zgmiotłam go w dłoni, po czym zapukałam – dość głośno, choć dobrze wiedziałam, że Ellen nie ma w domu. Zapukałam jeszcze raz, ze złością. O coś mi chodziło. Może o to: Halo, ja tu jestem!

Wzruszyłam ramionami, jakbym była umówiona na wizytę, a hipnotyzerki nie było w domu. Zeszłam z werandy. Zauważyłam z boku domu ścieżkę prowadzącą na plażę.

Poszłam tą ścieżką. Zdjęłam buty i stapałam boso po zimnym piasku.

Wyobraź sobie coś takiego. Wychodzisz tylnymi drzwiami i już jesteś na plaży.

Ciekawe, czy ona to docenia. Nie wygląda na sportowy typ. Nie sposób sobie wyobrazić, że mogłaby sapać lub się pocić. Pewnie tylko siedzi ze skrzyżowanymi nogami, medytuje i intonuje. Albo uprawia jogę. Powitanie słońca i inne bzdury.

Plaża była pusta i cicha, oczywiście nie licząc szumu fal i pokrzykiwania mew. Za wcześnie na biegających, maszerujących i spacerujących z psami. Był przypływ. Perłowobiałe niebo wydawało się wisieć bardzo nisko.

Nie zastanawiając się ani przez chwilę, zdjęłam z siebie ciuchy, wbiegłam do oceanu i zanurkowałam wprost pod falę.

Woda była tak niespodziewanie zimna, że mnie zatkało. Kiedy wynurzyłam głowę, wrzasnęłam na całe gardło i zanurkowałam jeszcze raz, i jeszcze. Z otwartymi oczami. Widziałam wirujący piasek i cieniutkie promienie światła.

Zapomnij o nim.

Puść go.

Uwolnij się od niego.

Te słowa, krystalicznie czyste i wyraziste, przychodziły mi do głowy za każdym razem, gdy nurkowałam – jakby szeptały mi je do ucha syreny.

Potem, kiedy naga szłam w stronę ubrań, a poranne słońce łagodnie pieściło moje ramiona, postanowiłam, że pojedę do jakiejś kafejki i poczytam gazetę przy kawie. Nagle poczułam coś dziwnego, coś, czego już nie pamiętałam. Dopiero po paru minutach wpadłam na to, że to szczęście. Zwykłe, banalne szczęście. Zapomniałam już, jak bardzo lubię kąpać się w morzu. Od lat tego nie robiłam. Aby Patrick się na to zgodził, musiało być naprawdę upalnie, a woda powinna być przynajmniej letnia.

„Chodź, marudo!” – wrzeszczałam do niego z wody, a on zbywał mnie ironicznym gestem, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety.

Jego matka raz mi mówiła, że zawsze zachowywał się dziwnie, jeśli chodzi o temperaturę wody. Musiała pisać mu zwolnienia ze szkolnych festynów. Kiedy brał prysznic, brat czasem polewał go zimną wodą z wiadra. Patrick piszczał wniebogłosy. „No baba, prawdziwa baba” – mówił jego tata.

Ciekawe, czy hipnotyzerka już poznała jego rodziców. Jego mama mnie lubiła. Raz w Boże Narodzenie, kiedy wypiła trochę za dużo ponczu, powiedziała, że jestem dla niej jak córka.

Może posłucham syren i zrobię sobie wolne od Patricka i hipnotyzerki. Mogłabym wieczorem iść na imprezę, ktoś z pracy mnie zaprosił. Może włożyć tę czerwoną sukienkę, której wciąż nie chce mi się nosić?

A po drodze może wstąpię do mamy Patricka. Tak tylko, przywitać się. Mogłabym jej pokazać, że idę swoją drogą.

*

– A więc jesteś hipnotyzerką, Ellen – powiedziała matka Patricka. – Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie znałam żadnej hipnotyzerki.

– Jest hipnoterapeutką, mamó – poprawił ją Patrick.

– Och, najmocniej przepraszam! – Matka nie kryła przerażenia.

– Nic się nie stało! – wykrzyknęli natychmiast Patrick i Ellen, by ją uspokoić.

Maureen Scott była najzwyklejszą mamą i babcią. Miała fryzurę bez kształtu i koloru, miękką, obwisłą twarz, złą figurę i nosiła pastelowe ubrania z gumką w pasie.

„Moja mama jest znacznie starsza od twojej” – uprzedził Patrick po drodze. „Należy do innego pokolenia”.

„Ile ma lat?” – spytała Ellen.

„W tym roku kończy siedemdziesiąt”.

Matka Ellen miała lat sześćdziesiąt sześć, a więc była zaledwie o trzy lata młodsza, lecz Ellen nie sprostowała, co bardzo ją teraz cieszyło. Maureen rzeczywiście wyglądała dwadzieścia lat starzej od Anne. Matkę Ellen charakteryzowały wyraziste linie i kąty ostre, Maureen wydawała się bezkształtna. Łatwo można było ją sobie wyobrazić jako pacjentkę Anne. Anne krótko i zwięźle poleciłaby jej przyjmować wapń, by zapobiegać osteoporozie, i regularnie robić mammografię, jakby tego typu starcze problemy jej samej jeszcze długo miały nie dotyczyć.

– A więc, hip-no-terapeutka – powtórzyła Maureen uważnie. – Bardzo bym chciała dowiedzieć się więcej na ten temat, Ellen. – Podała jej tacę ze zdjęciem Sydney Harbour Bridge, na której stała miseczka z francuskim dipem cebulowym i talerzyk krakersów Jatz.

– Będziemy musieli uważać – odezwał się tata Patricka – żeby nie zahipnotyzowała nas w czasie kolacji. – Klasnął w ręce i się zaśmiał.

George był komicznie, wręcz żenująco podobny do Patricka. Ellen musiała się hamować, żeby wciąż nie przenosić wzroku z jednego na drugiego. Chyba nigdy w życiu nie widziała równie podobnych ojca i dziecka. Gdyby Patrick nie siedział w tym samym pokoju, trudno byłoby go nie podejrzewać o głupi dowcip. Bielusińskie włosy George'a były przycięte identycznie jak włosy syna, a z pooranej zmarszczkami twarzy patrzyły na nią zielone oczy Patricka. Wszystko inne też się zgadzało: kształt nosa, linia szczęki, kształt ramion, nawet sposób siedzenia na krześle z wyciągniętymi daleko przed siebie nogami i ułożenie ręki trzymającej szklankę z piwem.

– Tak naprawdę są klonami – szepnął jej do ucha brat Patricka, kładąc przed nią podkładkę ze zdjęciem Ayers Rock.

Młodszy brat Patricka, Simon, był drobny i ciemny, ze schludnie przystrzyżoną bródką jak u projektanta mody. Miał tylko dwadzieścia cztery lata i Ellen pomyślała: co on tu robi, powinien raczej zażywać narkotyki w klubie nocnym, niż serwować napoje w bungalowie z czerwonej cegły, z krucyfiksem nad telewizorem, w którym właśnie leci teleturniej, i kredensami pełnymi bibelotów i ozdobnych talerzy.

– Ellen mnie nauczy hipnotyzować kolegów – pochwalił się Jack, nie podnosząc wzroku znad gry komputerowej, w którą grał, leżąc na brzuchu na kanapie.

– Ja cię tego nauczę, bracie – stwierdził George, po czym wziął ze stołu łyżkę i zaczął bujać nią w palcach w tył i w przód. – Jesteś śpiący... coraz bardziej śpiący... – Uderzył się z rozmachem po kolanie. Należał do ludzi, którzy lubili oklaskiwać samych siebie.

– Masz rację, dziadku – odparł Jack.

– Założę się, że Ellen nigdy w życiu nie słyszała tego dowcipu – rzucił Simon.

– George! – zawołała Maureen. – Jestem przekonana, że w hipnozie chodzi o coś więcej! – Spojrzała z niepokojem na Ellen. – Prawda?

– Troszkę tak. – Ellen się uśmiechnęła. Francuski dip cebulowy był zrobiony ze śmietany zmiksowanej z zawartością torebki francuskiej zupy cebulowej w proszku. Przypomniało jej to szkolne lata.

– Czasem czuję się jak w transie, kiedy za długo oglądam telewizję – wtrąciła Maureen. – Jestem wtedy oszołomiona.

– Tak, to rzeczywiście jest odmiana hipnozy – potwierdziła Ellen.

– Naprawdę? – zapytała Maureen z wdzięcznością.

– Ellen pomaga ludziom rzucić palenie albo schudnąć – oznajmił Patrick. – Tego typu rzeczy. Albo wysoko postawionym biznesmenom pomaga przełamać lęk przed wystąpieniami publicznymi.

Cytował słowo w słowo jedną z broszur Ellen. Nie wiedziała nawet, że miał którąś z nich w rękach.

Czuła, że ich związek osiągnął dziś kolejny poziom – głębszy, bardziej złożony, jeszcze bardziej intymny. Seks pod prysznicem był tak niewiarygodny, że chciało się wszystkim o tym opowiadać. (Sprzedawca w warzywniaku zagadał do niej: „Co słyhać ciekawego?”, a ona miała ochotę odpowiedzieć: „Cóż, w zasadzie rano doświadczyłam niezwykle przyjemnych doznań pod prysznicem! Miło, że pan pyta!”). Potem wrócili do łóżka i rozmawiali. Patrick przeprosił ją za ostrą reakcję i wyznał, że Saskia doprowadza go czasem do takiego szału, że myśli nawet o tym, czyby nie zasięgnąć porady specjalisty.

– A więc pomagasz ludziom przemawiać publicznie. Ja też muszę robić prezentacje dla klientów w pracy – wtrącił się Simon, jak się okazało, twórca stron internetowych. – Zawsze mi się wydaje, że jestem spokojny i opanowany, ale potem zaczynają się dziać dziwne rzeczy. – Wstał, by zademonstrować. – Na przykład mimowolny skurcz w lewej nodze. – Uderzył jednym kolaniem o drugie.

– Ha! – krzyknął Patrick. – Ja mam to samo! Tylko że u mnie wygląda to tak. – Wstał i lekko zatrzęsł nogą.

– Chłopcy, wyglądacie jak wcielenia Elvisa – zaśmiała się Maureen.

Jack przetoczył się na plecy, by popatrzeć.

– Ja tam świetnie przemawiam! – oznajmił. – Mnie żadna noga nie skacze. A tobie, dziadku?

George pokręcił głową.

– Nie. Musiałeś po mnie odziedziczyć nerwy ze stali.

– A ty, Maureen? – zapytała Ellen.

– Ja, szczerze mówiąc, jestem całkiem niezła, jeśli chodzi o wystąpienia publiczne – oznajmiła nieoczekiwanie Maureen. – Od ponad czterdziestu

lat wygłaszam przemówienie na świątecznym przyjęciu w klubie tenisowym. Zwykle bardzo dobrze mi wychodzi.

– Rzeczywiście, mama świetnie opowiada dowcipy – wtrącił Patrick, siadając z powrotem i biorąc do ręki szklankę.

– Większość matek robi to beznadziejnie – dodał Simon. – Ale nie nasza.

Obaj spojrzeli z dumą na matkę. Maureen się rozpromieniła.

– Czasem nieprzyzwoite – zaśmiał się George. – Tak, moja żona dobrze opowiada dowcipy z brodą.

– Oj, wcale nie – zachichotała Maureen.

– Ja znam dowcip! – zawołał Jack. – Puk, puk!

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy wybuchli śmiechem.

– Jeszcze nie doszedłem do końca – krzyknął rozżalony Jack.

– Ktoś zapukał do drzwi, kiedy powiedziałaś „puk, puk” – wyjaśniła mu babcia. – Z tego się zaśmialiśmy. Ciekawa jestem kto to, bo nikogo się nie spodziewam. A wy, chłopcy, spodziewacie się kogoś?

– Pewnie akwizytor – stwierdził Patrick – żeby was przekonać, że warto zmienić operatora sieci komórkowej.

– Cóż, po prostu nie mam pojęcia – odparła Maureen, nie poruszając się, jakby najpierw rzeczywiście musieli podjąć decyzję.

– Może świadkowie Jehowy – dodał George, lecz również się nie poruszył.

Osoba za drzwiami zapukała znowu.

– Nie mam pojęcia, kto mógłby składać nam wizytę nieproszony – zastanawiała się Maureen. – O tej porze? Tuż przed kolacją?

– Człowieku! To najdziwniejsza rzecz, jaka nam się kiedykolwiek przytrafiła! – wykrzyknął Simon z tak autentycznym zdumieniem, że Ellen

pomyślała, że mówi na poważnie. – To dopiero ekscytujące życie! To prawdziwy...

– Idę otworzyć – rzekł Patrick, opierając dłonie na kolanach.

– Ja pójdę. – Jack poderwał się na równe nogi i wyskoczył z pokoju.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi, a po nim niezrozumiały kobiecy głos.

– Pewnie jakaś piękność bezskutecznie próbuje mnie wytropić – powiedział Simon z ręką przy ustach, przysuwając się do ucha Ellen. – To się dość często zdarza.

– W snach – dodał Patrick.

Słyszeli, jak Jack coś opowiada.

– Pewnie opowiada tajemniczemu gościowi dowcip o stukaniu w drzwi – zaśmiał się Simon.

– Cóż, chyba tam pójdę, ale naprawdę nie mam pojęcia kto to – powiedziała Maureen i wyszła z pokoju, przyklepując włosy.

Usłyszeli kobiecy śmiech i nagle Patrick odstawił szklanekę z piwem na stolik z takim impetem, że napój rozlał się na boki.

– Nie, to chyba żarty.

– Jakie żarty? – zapytał ojciec.

Patrick wstał i odsunął zasłonę w oknie wychodzącym na ulicę. Potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się brzydki, gorzki uśmiech. Zasunął zasłonę i nie spoglądając na Ellen, ruszył w kierunku drzwi.

Ellen czuła, jak przyspiesza jej tętno. Patrick całą drogę jechał, nie spuszczać oczu z lusterka wstecznego.

– Nie ma ani śladu naszej stalkerki – powiedział, zadowolony, kiedy parkowali przed domem rodziców.

– Co się dzieje? – spytał ojciec Patricka.

– Coś mi się zdaje, że wiesz-kto nas odwiedził – odparł Simon i obrzucił Ellen ciekawskim, a jednocześnie skruszonym spojrzeniem.

– Do jasnej cholery – wykrzyknął George. – Lepiej pójdę sprawdzić, czy nie jestem potrzebny jako arbiter.

– Pewnie już o niej wiesz – zaczął ostrożnie Simon, kiedy zostali w pokoju sami. – To znaczy o jego byłej.

– Tak – odparła Ellen. Przyciskała ręce do ud, żeby tylko nie wyskoczyć z krzesła i nie rzucić się do drzwi. „Chcę zobaczyć, jak ona wygląda!”

Za wszelką cenę usiłowała usłyszeć, o czym mówią.

Simon potrząsnął głową.

– To musi być dla ciebie dziwne, denerwujące, co?

– O nie, nie bardzo – zaprzeczyła Ellen. – Nigdy jej nie widziałam. – Nie chciała, aby zabrzmiało to jak skarga.

Głos Patricka, donośny i wyraźny, docierał aż do pokoju. Ellen nie słyszała dotąd, by w ten sposób się odzywał. Ostro i nieprzyjemnie. Przywodził na myśl wielkiego, tłustego faceta o czerwonej twarzy, machającego do kamery w popołudniowym programie telewizyjnym o bieżącym życiu towarzyskim.

– Saskia. Jeśli w tej chwili stąd nie pójdziesz, dzwonię po policję. Przekroczyłaś granicę. To nie do przyjęcia.

Potem rozległ się głos Jacka – piskliwy ze strachu i podniecenia.

– Tatusiu? Czemu chcesz wzywać policję?

Simon się skrzywił.

– Spróbuję zabrać Jacka – powiedział i wyszedł z pokoju.

Ellen siedziała jak przyszpilona do krzesła. Nie znajdowała żadnego przekonującego powodu, by włączyć się do sprawy.

Zastanawiała się, czy powinna się obawiać o ich bezpieczeństwo. Może Saskia zaraz wyciągnie zza pleców broń lub wielki, błyszczący nóż kuchenny? Z książki, którą na ten temat czytała, dowiedziała się wprawdzie, że większość stalkerów nie stosuje przemocy fizycznej (tylko psychiczną), ale znalazła w niej również mnóstwo okropnych przykładów kończących się śmiercią ofiar.

A może jej matka miała rację i Ellen powinna się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo? Może to ona była celem Saskii? Matka Ellen byłaby taka zła, gdyby córka przypłaciła całą sprawę śmiercią.

– Dobrze, uspokójmy się wszyscy – odezwał się tata Patricka.

Ellen wciąż nie słyszała dobrze głosu Saskii.

Odstawiła drinka na podstawkę z Ayers Rock leżącą na szydełkowej serwecie i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Zauważyła półkę wypełnioną oprawionymi zdjęciami. Na jednym rozpoznała Patricka w towarzystwie jakiejś kobiety. Może to Saskia?

Po chwili dostrzegła zdjęcie zrobione w szpitalu i doszła do wniosku, że długowłosa blondynka siedząca w łóżku z niemowlęciem w błękitnym kocyku to niechybnie Colleen, żona Patricka. Zmarła żona. Ellen zastanowiła się, czy komórki rakowe, które zaledwie rok później odebrały jej życie, były już obecne w jej organizmie, zbierając siły na ostateczny, śmiertelny cios.

Na zdjęciu siedzieli blisko siebie, oparci plecami o metalowe pręty szpitalnego łóżka. Colleen jedną ręką obejmowała dziecko, a drugą, splecioną z dłonią Patricka, położyła na jego kolanach. Widać było, że ściska ją mocno.

Colleen uśmiechała się do dziecka. Patrick uśmiechał się do fotografa. Choć zdjęcie było zrobione zaledwie osiem lat temu, Patrick wyglądał na nim o wiele młodziej. Oczy miał bardziej okrągłe, policzki pyzate, włosy

gęstsze i dłuższe i bardziej młodzieżową koszulkę. Colleen była potargana, a Patrick nieogolony. Scena musiała się rozegrać parę godzin po narodzinach Jacka. Roztaczali wokół siebie tę samą niesamowitą aurę, jaką Ellen rozpoznawała na zdjęciach innych ludzi zrobionych tuż po przyjsciu na świat ich dzieci. Popatrzcie, czego dokonaliśmy! Oto nasze pierwsze dziecko. Zwyczajne zdarzenie, niesamowite wyłącznie dla zainteresowanych.

Ellen poczuła pewne skrępowanie. Cały dzień spędziła na myśleniu o seksie pod prysznicem z mężem tej kobiety. Fuj, co za żenada. Jego i Colleen łączył prawdziwy związek. To z nią się ożenił, to z nią miał dziecko. Dojrzały, dorosły związek. Już po samym sposobie, w jaki ciało Patricka wtapiało się w ciało Colleen, było widać, jak bardzo ją kochał.

Ellen nagle poczuła pokrewieństwo z żalosną wariatką Saskią, która stała przed drzwiami, nie poddawała się i coraz bardziej się błaźniła. Gdyby uroczka Colleen (a wystarczyło rzucić okiem na zdjęcie, by stwierdzić, że była urocza) nie zmarła, Patrick w życiu nie spojrzalby ani na Saskię, ani na Ellen.

Śmierć to taki elegancki sposób zakończenia związku. Żadnej zdrady, nudy, długich i trudnych nocnych rozmów. Żadnego „podobno ciągle jest sama”. Żadnego wpadania na siebie na imprezach i ślubach znajomych. Żadnego „ale przytyła” czy „ale się postarzała”. Śmierć była ostateczna, tajemnicza i zostawiała ci ostatnie słowo. Na zawsze.

– To moja mama.

Ellen drgnęła. Jack stał koło niej i patrzył na zdjęcie, które trzymała w ręce.

– To dzień moich urodzin. Moja mama nie żyje.

– Tak – powiedziała Ellen i ostrożnie odstawiała zdjęcie na półkę. Była ciekawa, czy w związku z tym, że jego mama zmarła, Jack odczuwał to

samo, co ona w związku z tym, że nie miała ojca: rodzaj emocji polegający na braku emocji. – Wiem.

– Przed drzwiami jest dawna dziewczyna taty – poinformował ją Jack. – Saskia. Trochę z nami mieszkała.

– Pamiętasz ją? – zapytała Ellen ciekawie.

Jack się zamyślił.

– Trochę. Jakby. Na przykład pamiętam, jak mnie odbierała ze szkoły i mówiła: „Jack, fajnie cię znowu widzieć”. Zawsze miała dla mnie talerzyk z ciasteczkami, owocami i innymi rzeczami. – Rzucił jej krótkie, ostrzegawcze spojrzenie. – Tata nie lubi o niej rozmawiać – dodał.

– Wiem – odparła Ellen.

Dlaczego Saskia odbierała go ze szkoły? Nie musiała być w pracy? Dlaczego to nie Patrick go odbierał?

Z dworu, przed domu dobiegł podniesiony kobiecy głos. Trzasnęły drzwi samochodu. Zapiszczały opony.

*

Zagroził, że jeśli sobie nie pójdę, wezwie policję.

Nawet nie wiedziałam, że tam będzie. Byłam tak zadowolona z siebie w tej czerwonej sukience i czułam się tak krystalicznie czysto po kąpieli nago w lodowatym oceanie, a w dodatku uważałam, że odwiedziny u rodziców Patricka to taka zwyczajna, codzienna towarzyska rzecz. Wpadłam na pomysł, by powoli zacząć odgrzebywać stare znajomości, i wydawało się, że to będzie dobry początek.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że można to potraktować jako część mojego „nałogu”. Mojego wstrętnego, brudnego nałogu.

Dowodem niech będzie to, że nawet nie zwróciłam uwagi na jego samochód zaparkowany przed domem! A przecież mam na tym punkcie

fiola. Tak się przyzwyczaiłam do śledzenia tego auta, że mój wzrok wyłowi je zewsząd, nawet gdy stoję w korku parę kilometrów za nim.

Idąc chodniczkiem do ich drzwi, myślałam tylko o dniu, kiedy Patrick po raz pierwszy przywiózł mnie tu i przedstawił rodzicom. Jack biegł przed nami. Denerwowałam się, bo nie minął jeszcze rok od śmierci Colleen. Bałam się, że mogą pomyśleć, że za szybko wyrwałam wdowca w żałobie.

Pamiętam, że Simon kończył wtedy podstawówkę. Tamtego dnia miał na sobie szkolny mundur, ale wytrzasnął skądś mnóstwo gumek i zrobił sobie na głowie masę sterczących małych kucyków. Przypominał nastroszonego jeża. Maureen przez cały czas za niego przepraszała.

To sobie wspominałam, idąc ich podjazdem. Jacy byli dla mnie mili. Drzwi wejściowe wyglądały zupełnie tak samo.

Głupota. Dla kobiety inteligentnej, którą czasem jestem, to dosłownie czysta głupota. Czy naprawdę myślę, że skoro drzwi wejściowe wyglądają identycznie, to do wydarzeń z ostatnich lat nie doszło? Że jestem przyjaciółką domu, która wpada przejazdem? Doprawdy, jeśli chodzi o oszukiwanie samej siebie, mam potencjał.

Zapukałam do drzwi i w odpowiedzi usłyszałam salwę śmiechu, jakby wszyscy w środku śmiali się ze mnie. Natychmiast wróciłam do rzeczywistości. Dopiero wtedy odwróciłam głowę i zobaczyłam samochód Patricka. Nie mogłam uwierzyć, że go przegapiłam. Pomyślałam, że przywiózł Ellen. Żeby ją przedstawić rodzicom.

Pomyślałam o ucieczce, tylko że i tak by mnie zobaczyli, a w głębi duszy miałam chęć wejść do tego domu i zapytać: Jak możecie udawać, że nigdy nie istniałam? Zapoznawać się z nią, zadawać pytania o jej pracę, ostrożnie dolewać tego taniego wina, podawać na specjalnej tacy ze zdjęciem Harbour Bridge krakersy Jatz (założę się) – wszystko

identycznie, tyle że innej kobiecie? Czy to nie dziwne? Czy to nie jest niestosowne?

I wtedy Jack otworzył drzwi. Oczywiście widywałam go częściej, niż mu się wydaje, ale od dnia naszego rozstania nie podchodziłam do niego tak blisko. Nieraz mogłam to zrobić, ale zawsze starałam się go nie stresować, nie krępować.

Uśmiechnął się do mnie. Swoim najpiękniejszym, najbardziej otwartym uśmiechem. Jego śliczne oczy nic a nic się nie zmieniły. A potem zaczął ze mną rozmawiać – naturalnie, swobodnie opowiadać mi, jak zastukałam dokładnie w tej samej chwili, kiedy on powiedział „puk, puk” w dowcipie. Jakie były szanse, żeby coś takiego się zdarzyło? Jeden na tysiąc, na milion? Śmiałam się, kiedy pojawiła się Maureen, z uprzejmym, ale skonsternowanym wyrazem twarzy, który prysł w tej samej chwili, kiedy mnie rozpoznała. Wyglądała na przerażoną, zupełnie jakbym chciała obrabować jej dom.

Następnie pojawił się Patrick z twarzą wykrzywioną złością, potem jego ojciec, poważny, ze zmarszczonym czołem, jakby właśnie zdarzył się wypadek, i Simon – dorosły, bez kucyków. Omijając mnie wzrokiem, złapał tylko Jacka za rękę, jakby musiał go przede mną ratować.

Cokolwiek bym powiedziała, nie miałyby najmniejszego znaczenia. Po prostu chcieli, żebym sobie poszła.

Miałam ochotę krzyknąć: Przecież was kochałam! Byliście moją rodziną!

*

– Kochaliśmy ją – wyznała Maureen. – Naprawdę.

– Proszę, czy moglibyśmy zmienić temat? – zapytał Patrick, ale został zignorowany.

Kończyli jeść kolację. Jack zasnął na kanapie, a Ellen pomyślała, że z powodu stresu związanego z nieoczekiwanym najściem Saskii wszyscy wypili chyba trochę więcej niż normalnie, na skutek czego rozwiązały im się języki.

– Oczywiście, że się martwiliśmy, kiedy Patrick z nią zerwał. Współczułam jej strasznie – opowiadała Maureen. – Nie miała tu żadnych krewnych, pochodzi z Tasmanii, więc byliśmy dla niej jak rodzina.

– Założę się, że Ellen w ogóle nie ma ochoty tego słuchać – wtrącił się Patrick.

– Nie mam nic przeciwko – odpowiedziała Ellen, co było oczywiście grubym niedopowiedzeniem.

– Ludzie się odkochują – rzekł George. – Nie możesz go winić za uczucia.

– Wiem o tym, George – odparła zirytowanym głosem jego żona. – Ale to nie zmienia faktu, że współczuję dziewczynie.

– Musi zostawić Patricka w spokoju – stwierdził George. – To już za długo trwa.

– Była dla Jacka jak matka. – Maureen zignorowała męża i zwróciła się bezpośrednio do Ellen.

– Powinieneś być jej pozwolić widywać małego – odezwał się Simon do brata.

– Ile razy mam wam to powtarzać? Ona nigdy o to nie prosiła – odparował Patrick. – Od chwili, kiedy powiedziałem, że to koniec, zaczęła się zachowywać jak wariatka, totalna wariatka.

– Miała złamane serce – powiedziała Maureen.

– Tak czy siak nie uważałem, że Jack będzie przy niej bezpieczny.

– No i przecież w tym samym czasie zmarła jej matka – przypomniała sobie Maureen.

– Tak, kiepski czas sobie wybrałeś, bracie – dodał Simon.

– Była z matką bardzo blisko – rzekła Maureen do Ellen. – Codziennie rozmawiały przez telefon. Moi chłopcy chybaby zwariowali, gdybym próbowała do nich codziennie wydzwaniać! Choć oczywiście z córkami jest pewnie inaczej – zakończyła tęsknym głosem. – Rozmawiasz co dzień ze swoją mamą, Ellen?

– Nie. – Ellen się uśmiechnęła, choć w rzeczywistości wysyłały sobie mejle lub esemesowały prawie codziennie.

– Ojciec Saskii zmarł, kiedy była mała, nie miała rodzeństwa, więc matka była dla niej całą rodziną – ciągnęła Maureen. – Bardzo przeżyła jej śmierć.

– Rozstałem się z nią miesiąc po śmierci jej matki – rzekł Patrick. – Chorowała od roku, więc jak długo miałem czekać? Nie uważałem, żeby to było fair, cokolwiek przed nią udawać.

– Miesiąc to tyle co nic – rzucił Simon.

Z czym Ellen się osobiście zgadzała.

– Ej, wszyscy słuchajcie, oto mówi Pan Delikatniś! Który z ostatnią dziewczyną zerwał za pomocą esemesa! – zawołał Patrick.

– Esemesa wyrażającego moją specjalną troskę. I przypominam ci, że nawet z nią nie mieszkałem.

– Kiedy Patrick rozkręcał własny biznes, był bardzo zagoniony, więc Saskia zaczęła pracować na pół etatu, żeby zajmować się Jackiem. – Maureen skierowała całą uwagę na Ellen. – Była dla niego naprawdę cudowną matką.

– Colleen była jego matką – warknął Patrick.

– Oczywiście, kochanie, ale Colleen już nie było.

– Nie z jej winy.

– Oczywiście, że nie z jej winy, próbuję tylko oddać Saskii sprawiedliwość i powiedzieć, że zrobiła kawał dobrej roboty.

– Colleen zrobiłaby lepszą. I nie była świrnięta.

– Nie porzuciłeś jej – zauważył Simon. – Więc nie wiesz.

– Wiem – upierał się Patrick. – Wiem i koniec. A poza tym w życiu bym nie rzucił Colleen – krzyknął głosem tak przesyconym uczuciem, że przy stole zapadła cisza.

Ellen stwierdziła, że wszyscy omijają ją wzrokiem. Nagle poczuła, że w żołądku ciężą jej wyśmienita cielęcina i pyszne pieczone ziemniaki Maureen. No cóż, oczywiście Patrick nadal kocha zmarłą żonę. Ta cholerna dziewczyna musiała odejść, zanim zaczęła go nudzić i denerwować.

Ojciec Patricka wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do Ellen, unikając jej spojrzenia.

– Dobrze. A teraz chciałbym usłyszeć coś więcej o tej całej hipnozie.

Ellen odpowiedziała słabym uśmiechem. Przy kolacji dość sporo już rozmawiali o „tej całej hipnozie”.

– Gdzieś czytałem, że Hitler stosował hipnozę – rzekł Simon.

– Większość polityków znakomicie posługuje się hipnozą konwersacyjną – zaczęła automatycznie Ellen. Bardzo często nawiązywano do tego na pogadankach, które czasem prowadziła.

– Ostatnio w telewizji leci taka reklama... – przerwał jej Patrick, nie odrywając wzroku od blatu stołu. – Nie wiem, czego to reklama, w każdym razie facet pływa w basenie, a obok pływa stary, zakrwawiony plaster opatrunkowy. Plaster przyklepia się facetowi do ust, on go zrywa i odrzuca, wzdrygając się z obrzydzeniem, jakby mówił: zabierzcie to ode mnie, zabierzcie!

– Wiem, o którą ci chodzi. To reklama samochodu – odparł Simon.

– Co ma stary plaster do samochodu? – dziwiła się Maureen.

– Chodzi o to, że za każdym razem, kiedy widzę w lusterku samochód Saskii albo dostaję od niej list, w którym Bóg wie czego się domaga, albo mejla, albo esemesa, albo muszę wysłuchiwać jej głosu na poczcie głosowej, albo przysyła mi pieprzone kwiaty, przepraszam, mamó, że przeklinam, ale róże, do pracy, czuję się jak ten facet z reklamy, chcę się jej pozbyć! Pozbyć!

– Przysłała ci kwiaty? – nie dowierzała Maureen. – Kwiaty mężczyźnie?

– Więc oto dlaczego nie chcę słuchać, jaką cudowną matką była Saskia albo że zerwałem z nią w złym momencie – rzekł Patrick. – Jeśli wyrządziłem jej krzywdę, to już ją odpokutowałem. Odpokutowałem po stokroć! – Tymi słowami zakończył, wstał i wyszedł z pokoju.

– O mój Boże – westchnęła Maureen.

– Witaj w rodzinie, Ellen – powiedział wesoło Simon.

– Zaczął spotykać się z Saskią za wcześnie po śmierci Colleen – stwierdziła Maureen. – W tym sęk. O wiele za wcześnie. Nigdy się nie żalił. Mężczyznom ciężko to przychodzi. Kiedy tylko czują coś złego, próbują to zdławić i tyle.

– Podczas gdy kobiety omawiają wszystko do upadłego – dodał George.

– Mówienie pomaga! – zawołała Maureen, po czym zwróciła się z powrotem do Ellen. – Po stracie Colleen Patrick nagle stwierdził, że musi zapewnić Jackowi wszystko. Oszalał na tym punkcie. Rzucił się w wir pracy. Wtedy Saskia tak wiele dla małego robiła. Bo Patrick cały czas pracował.

– Mamó, wydaje mi się, że jak na jeden wieczór powiedzieliśmy Ellen już strasznie dużo – zauważył Simon.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Maureen. Wstała i zaczęła sprzątać talerze, ale nagle, nie patrząc Ellen w oczy, zapytała:

– Ellen, przepraszam cię, jesteś może przez przypadek katoliczką?
Simon prychnął.

– Nie, nie jestem – odparła Ellen przeproszającym tonem.

– Och! No więc w takim razie, w takim razie pozwól, że zapytam, jaką wyznajesz religię. – Maureen sięgnęła po talerz męża. – Oczywiście nie ma to najmniejszego znaczenia, tak tylko pytam, z ciekawości.

– Tak naprawdę to żadnej – odparła Ellen. – Nie wychowano mnie w duchu żadnej religii. Moja matka jest zagorzałą ateistką.

Maureen nie kryła zdumienia.

– Zagorzałą? To znaczy, nie wierzy w Boga? Wcale? Ale ty wierzysz, prawda?

– Coś mi się zdaje, że słyszałem o zasadzie, że przy stole nie rozmawia się o religii ani polityce – wtrącił się Simon.

– Jestem na pewno bardziej uduchowiona niż moja mama – wyjaśniła Ellen. – Interesuję się buddyzmem, na przykład. Lubię filozofię buddyjską: ćwiczenie uważności i tak dalej.

– O tak, tak, słyszałam, że to bardzo na czasie – odparła Maureen.

Ellen wyczuła, że traci argumenty.

– Ommmmmmmm – zaintonował George. Złożył ręce pod brodą i skłonił głowę. – Czy tak, Ellen? Ommmmmm. Ommmmmmmm.

– George! Ellen nie jest żadną buddystką! – wykrzyknęła Maureen i spojrzała na Ellen spłoszona. – Prawda, kochanie?

Simon nie mógł się utrzymać na nogach ze śmiechu.

– Nie, buddyzm tylko mnie interesuje – odparła Ellen słabo.

– No właśnie! – Maureen wyprostowała plecy, jakby chciała powiedzieć, że trzeba dzielnie dźwigać wszystko, co życie nam kładzie na barki. Następnie przyłożyła palec do ust i zapytała:

– Lubisz dzieci, Ellen?

– Mamo! – Simon uderzył się dłonią po głowie.

Ellen dostrzegła łobuzerski błysk w oczach Maureen. Dokładnie zrozumiała, co knuje starsza pani.

– Och tak, uwielbiam dzieci – odparła zdecydowanie.

– Cudownie – westchnęła Maureen. – Ja też.

Rozumiały się bez słów.

– Zamierzasz je podać na deser? – zażartował George.

Maureen przewróciła oczami.

– Na deser mamy szarlotkę z bitą śmietaną i lodami.

– Ja poproszę bardzo małą porcję – szybko powiedziała Ellen.

– Ej tam, jesteś chuda jak patyk – prychnęła Maureen. – Nałożę ci porcję specjalną.

Tej samej nocy Ellen i Patrick leżeli w łóżku, płasko na plecach, ssąc tabletki przeciw zgadze. Maureen nalegała, żeby Jack został u nich jeszcze na jedną noc i tak też się stało. Patrick przeniósł go z kanapy do pokoju gościnnego, a chłopiec wcale się nie przebudził. Potem pojechali z Ellen taksówką do jej domu. Oboje wypili za dużo, by prowadzić.

– Przepraszam za ten wieczór – odezwał się Patrick.

– W porządku – odparła Ellen. – Uważam, że twoja rodzina jest urocza.

I nie kłamała. Rodzina Scottów miała w sobie coś, co sprawiało, że czuła się wśród nich zadziwiająco swobodnie, jakby nie pierwszy raz siedziała przy ich stole i podawała dalej miskę pieczonych ziemniaków.

– Nie powinienem był dopuścić do tej rozmowy o Saskii – ciągnął Patrick. – Mam do nich żal za każdym razem, kiedy wydają się trzymać jej stronę.

– Wiem – odparła Ellen, przewracając się na bok, by dotknąć jego barku. Był twardy jak skała, jakby mężczyzna był cały spięty. Zaczęła delikatnie ugniatać bark palcami, by rozluźnić napięcie. – Rozumiem.

– I nie powinienem był wrzeszczeć na Saskię przy Jacku – dodał. – Ogarnęła mnie wściekła furia, kiedy rozpoznałem jej głos. Przez jakiś czas myślałem, że po prostu muszę zaakceptować jej obecność w swoim życiu, jak kalectwo. Ale chyba dochodzę do kresu wytrzymałości. Czasem mam wrażenie, że byłbym gotów ją zabić. Teraz rozumiem, jak to się dzieje, że ludzie są do tego zdolni. Do morderstwa.

– Błagam, przestań – powiedziała Ellen. Przerwała masaż, bo wydawało jej się, że i tak nic nie daje. – Nie chcę cię odwiedzać w więzieniu.

– Upewniłbym się, że by mnie nie złapali – rzekł Patrick, po czym wyciągnął z opakowania kolejną tabletkę, włożył sobie do ust i ponuro ssał dalej.

Ellen z niepokojem zerknęła na jego twarz. Dostrzegł to i uśmiechnął się.

– W porządku – uspokoił ją. – Tylko żartuję. I tak by mnie złapali. Należę do ludzi, którzy nie potrafią niczego zrobić w tajemnicy. Wystarczy, że złamię zakaz skrętu, a gliny czekają za rogiem.

– Skoro już mówimy o policjantach...

– Tak, tak, wiem. – Zaciśnięta szczęka Patricka przesunęła się nerwowo. – Tylko... sam nie wiem. Nie jestem pewien, czy to dobra metoda.

Było jasne, że nie chce znowu iść na policję, ale Ellen nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Czy chodziło tylko o strach, by Saskia nie wprowadziła w czyn swoich gróźb, że wniesie przeciw niemu sprawę? Czy o coś więcej?

– Przemyśl to – poradziła.

– Przemyślę – odparł, ale wiedziała, że tego nie zrobi.

Ziewnęła – zniecka i szeroko.

– Sama nie wierzę, jaka jestem zmęczona.

– Ja na pewno długo nie zasnę – oznajmił Patrick. – Myśli mi krążą jak na karuzeli. Nie mogłabyś przypadkiem mnie jakoś uśpić hipnozą?

– Ha – odparła Ellen.

– Poważnie. Dałabyś radę?

– Hipnotyzowanie partnera to nie najlepszy pomysł z etycznego punktu widzenia – odparła, czując, że jest pruderyjna. Takie propozycje pojawiały się i w poprzednich związkach, lecz były na tyle niepoważne, że można było bez trudu je zbyć.

– Nie doniosę na ciebie – obiecał Patrick. – Chciałbym tylko wykasować z głowy te wszystkie myśli.

– Sądziłam, że z gruntu odstręcza cię sama idea hipnozy. Mówiłeś, że nienawidzisz tracić kontroli – przeciągała Ellen.

– Tak było, zanim cię poznałem. Teraz lepiej to wszystko rozumiem. I ufam ci.

Ellen pomyślała o swoim mentorze Flynnie – sześćdziesięcioletnim hipnoterapeucie starej szkoły, który całym sobą nie znosił hipnozy zbiorowej i uważał, że sposobem na zachowanie pełnej etyki zawodowej jest niestosowanie hipnozy nigdzie poza gabinetem. Pomyślała też o Danny' – fajnym, młodym chłopaku, swoim uczniu, który z dumą opowiadał, jak stosuje hipnotyczny uścisk ręki, by wybrać odpowiednią dziewczynę w barze (najwyraźniej z sukcesem, więc Ellen wiedziała, iż jej potępienie dla tej metody nie odniesie najmniejszego skutku). Gdyby tylko wyznała Flynnowi, jakie praktyki toleruje u Danny'ego, byłby zdruzgotany – jak dziadek, któremu rozpuszczają wnuczka. Zapewne na osi postępowania zgodnie z etyką zawodową znalazłaby się gdzieś pomiędzy Flynnem a Danny'.

– Chyba nic się nie stanie, jeśli wykonamy proste ćwiczenie relaksacyjne – doszła do wniosku.

ROZDZIAŁ 8

A przy okazji, ja cię nie „nękam”. Proszę, przestań wreszcie używać tego słowa, wiesz, że jest śmieszne. Chcę tylko z tobą porozmawiać, to wszystko.

Fragment wiadomości do Patricka Scotta,
którą ten skasował, nie przeczytawszy

– Więc ten facet w Stanach idzie do sądu, bo prześladowuje go była dziewczyna – opowiadał Patrick. – A sędzia mówi: „Powinien pan być zadowolony, że poświęca panu tyle uwagi”. Parę dni później facet nie żyje. Prześladowczyni zastrzeliła go czy zadźgała, nie pamiętam. Prawdziwa historia.

Było niedzielne popołudnie. Ellen, Patrick, Julia i Śmierdziel, kumpel Patricka (którego prawdziwe imię nie zostało dotąd ujawnione, a zarówno Julia, jak i Ellen za bardzo były podobne do swoich matek z Północnego Wybrzeża, by zmusić się do mówienia na człowieka „śmierdziel”), jedli rybę z frytkami, siedząc na kocu nad Watsons Bay.

To Julia rozpoczęła temat stalkowania.

– Patrick, słyszałam, że ktoś nie daje ci spokoju – odezwała się dosłownie parę minut po tym, jak usiedli na trawie. Dokładnie tym samym, przyjaznym tonem mogłaby powiedzieć: „Patrick, słyszałam, że jesteś geodetą”.

Ellen była zdziwiona, że Patrick nie próbował zmienić tematu, zwłaszcza po wydarzeniach poprzedniego wieczoru, czyli po kolacji u jego rodziców. Szczerze mówiąc, odpowiedział wręcz z entuzjazmem. Ciekawe było obserwować drobne zmiany jego zachowania w zależności od otoczenia. Wśród najbliższej rodziny więcej mówił, był bardziej miękki, chłopięcy. Ze Śmierdzielem i Julią – wyluzowany, swobodny.

– Ale nie boisz się o życie, co, Scottie? – zapytał Śmierdziel.

Śmierdziel był pulchny i łysiejący, z dołeczkami w policzkach. Przypominał wielkiego dzieciaka z szarawym zarostem i niskim głosem. Jak na faceta był też trochę niski, o czym Patrick wcześniej nie wspomniał. Ellen natomiast nie wspomniała, że Julia, jak na kobietę, była zdecydowanie bardzo wysoka. Kiedy kosmopolityczna Julia w dopasowanym żakiecie, apaszce i skórzanych kozakach na szpilce, w których górowałyby nad przeciętną topmodelką, witała się ze Śmierdzielem w wymiętej koszuli flanelowej, wypłowiałych džinsach i zniszczonych butach roboczych, uniosła jedną brew i rzuciła Ellen krytyczne spojrzenie. Ta tylko wzruszyła ramionami, przekonana, że przez następne lata będzie wysłuchiwać przesadzonej opowieści o tym, „jak to próbowałaś mnie zeswatać z łysym karłem imieniem Śmierdziel”.

W pewnym sensie to, że Julia z góry spisała Śmierdziela na straty, wyszło obojgu na dobre, ponieważ zachowywała się zupełnie swobodnie, jak automat zajadała gorące frytki i nawet trochę flirtowała z obiektem swojego rozczarowania. Gdyby zaś uznała go za interesującego kandydata, unikałaby kontaktu wzrokowego i wykazywała agresywny brak zainteresowania. Nie mówiąc o tym, że całkowicie straciłaby apetyt.

– Nie, nie obawiam się o życie – rzekł Patrick. – Prędejj o zdrowie psychiczne. Chodzi o to, że ludzie nie traktują poważnie mężczyzn, którzy są ofiarami nagabywaczek.

– Poznałeś tę dziewczynę, no, ty? – zapytała Śmierdziela Julia. – Słuchaj, może zdradzisz, jak masz naprawdę na imię? Nie mogę się do ciebie zwracać per Śmierdziel, a poza tym pachniesz zupełnie przyzwoicie.

– Bruce – wyznał Śmierdziel.

– Niemożliwe.

– Co jest złego w tym imieniu? Czuję się urażony.

– Okej, Bruce, poznałeś ją? – spytała Julia. – Mam na myśli byłą Patricka?

– Znałem ją bardzo dobrze – odparł Śmierdziel. – I lubiłem. Nawet bardzo, szczerze mówiąc.

Zerknął na Patricka, który wzruszył ramionami i rzucił:

– Ej, chcesz jej numer? Nie mam nic przeciwko, stary.

– Więc nie miałbyś obaw, że mogłaby zrobić coś... szalonego? – spytała Julia.

– O, nie wiem. – Dołeczki w policzkach Śmierdziela się pogłębiły. – Czy wszyscy nie jesteśmy do tego zdolni? Zawsze uważałem, że miłość to rodzaj szaleństwa.

– Miłość to rodzaj szaleństwa – powtórzyła Julia. – Cóż, to bardzo poetyckie jak na faceta o imieniu Bruce, szczerze mówiąc.

– Próbuje tylko zrobić wrażenie na kobietach – zaśmiał się Patrick.

– Chodzi o to – Julia nie dawała za wygraną – że wszyscy zostaliśmy przez kogoś skrzywdzeni, ale musimy z tym żyć, prawda? Takie jest życie.

– Nigdy nie próbujecie śledzić swoich eks w internecie? Jak zerwała ze mną ostatnia dziewczyna, to godzinami prześladowałem ją w sieci – wyznał Śmierdziel. – Nie robiłem tego fizycznie, tylko w myślach.

– I co? Podniosłam głos na byłego męża, przyznaję, ale czy przez to zaliczam się do tej samej kategorii co kobiety, które zamordowały byłego

męża?

– Ale czy dzięki temu nie łatwiej ci zrozumieć mechanizm, który tym kieruje?

– Nie – zaprzeczyła Julia.

– O, widzę, że twarda z ciebie babka.

– Oj, tak – potwierdziła Ellen, spoglądając na Julię z ukosa.

– Okej, dobra – skapitulowała Julia. – Swego czasu wydzwaniałam anonimowo do nowej dziewczyny mojego byłego chłopaka. Przez parę tygodni. I miałam wtedy siedemnaście lat!

– Aha! – Śmierdziel triumfalnym gestem wycelował w nią frytkę. – Czyli sama masz przeszłość prześladowczą!

– Nie mam! Byłam tylko głupią nastolatką.

– Więc nie zaliczasz się do tej samej kategorii co tamta – rzekł Patrick. Zamilkł na chwilę. – Czasem podejrzewam, że nachodzi mój dom, kiedy mnie tam nie ma.

– O tym mi nigdy nie mówiłeś! – Ellen odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego.

– Złóż doniesienie na policję, na Boga! – zawołała Julia. – I pozmieniam zamki!

– Dlaczego sądzisz, że tam chodzi? – spytał Śmierdziel.

– Już nie raz zmieniałem zamki – oznajmił Patrick. – I nie wiem, dlaczego tak myślę. Po prostu mam takie uczucie, kiedy wchodzę do domu. Wszystko jest na tym samym miejscu. Tylko wyczuwam, że tam była. W powietrzu. Może chodzi o zapach? Leciutki zapach jej perfum.

Ellen odnotowała, że zbył milczeniem sugestią Julii co do zgłoszenia sprawy na policję.

Julia dramatycznie wzruszyła ramionami.

– O Boże, brzmi jak z horroru. – Brodą wskazała w kierunku Ellen. – Całe szczęście, że twoja nowa dziewczyna lubi horrory.

– Naprawdę? – zapytał Patrick, opierając dłoń na kolanie Ellen. – Nie wiedziałem. Sam jestem tchórzem. Boję się przeraźliwie.

– Lubię oglądać horrory, ale muszę mieć popcorn i lody – oznajmiła Ellen. – Nie podoba mi się myśl, że Saskia nawiedza twój dom. W ogóle mi się nie podoba.

Wzruszyła ramionami, choć w głębi duszy wiedziała, że wzrusza nimi, bo takiej reakcji wszyscy od niej oczekują. Czuła głębokie współczucie wobec Patricka, rozumiała jego strach, niepokój, ale nie wiedzieć czemu nie odczuwała nawet cienia obawy o siebie. Może dlatego, że nie poznała Saskii i wciąż postrzegała ją jako istotę nierzeczywistą. A może dlatego, że Saskia była kobietą, a Ellen nie wierzyła w agresję kobiet, choć oczywiście wiedziała, że niektóre ją przejawiają. Niezależnie od przyczyny wszystko, co dotyczyło Saskii, wciąż było dla niej bardziej intrygujące niż przerażające.

– Przepraszam – powiedział Patrick. – Nie zamierzałem ci tego mówić. Tak czy siak to pewnie tylko moja wyobraźnia.

– Nigdy nikogo nie skrzywdziła, prawdę mówiąc – odezwał się do Ellen Śmierdziel. – Jeśli cię to w jakikolwiek sposób pocieszy. Była pacyfistką. Brała udział w marszu przeciwko wojnie w Iraku.

– To była sprawa polityczna – sprzeciwił się Patrick – a ta jest osobista.

– Nie pracowała przypadkiem jako wolontariuszka w schronisku dla psów?

– Schronisko dla psów – prychnęła Julia.

– Co w tym śmiesznego? – chciała wiedzieć Ellen.

– Nie wiem – odparła Julia. – To takie wyświechtane.

– Nie dla małych kotków i piesków – odparł Śmierdziel smętnie.

– O co tu chodzi? – Patrick wyciągnął rękę i dał kumpłowi kuksańca w ramię. – Zewsząd otaczają mnie obrońcy osoby, która uprzykrza mi życie.

– Przepraszam, Scottie. – Śmierdziel uniósł dłonie. – Chciałem tylko dodać Ellen otuchy, zapewnić, że nic jej nie grozi.

– Cóż, Scottie, w przeciwieństwie do Śmierdziela nie będę próbowała bronić twojej eks – zwróciła się do Patricka Julia. – Uważam, że to jakaś totalna wariatka i Ellen powinna się jej panicznie bać.

– Dzięki – rzekł Patrick.

*

Poszłam dziś znowu na plażę i zasnęłam na piasku w czerwonej sukience.

Nie na tę plażę koło domu hipnotyzerki ani na żadną inną plażę, na którą chodziłam z Patrickiem. Pojechałam do Avalon. W rzeczywistości nigdy przedtem tam nie byłam, więc nie mam żadnych wspomnień.

Poprzedniej nocy rozchorowałam się od wspomnień. Przedawkowałam je.

Kiedy odjechałam spod domu rodziców Patricka, nie wybrałam się na żadną imprezę. Może w głębi duszy już wcześniej wiedziałam, że się nie wybiorę. Nie chadzam na imprezy. Przez sześć godzin bez przerwy jeździłam samochodem. Raz się zatrzymałam, żeby zatankować i kupić butelkę wody.

Odwiedziłam wszystkie miejsca w Sydney, w których bywałam z Patrickiem.

Co najmniej trzydzieści razy z rzędu przejechałam w tę i we w tę przez Harbour Bridge.

Kiedy pierwszy raz zjawiłam się w Sydney, od razu zakochałam się w tym mieście. Sydney. Sama nazwa brzmiała cudownie – jak „Nowy Jork”

dla światowców, którzy nie wychowywali się w małym, szarym miasteczku pośrodku Tasmanii.

„Jesteś z Tasmanii?” – mówili sydneyczycy z lekkim uśmiechem i uniesioną brwią, jakby w rzeczywistości chcieli zapytać: „Serio? Z tego uroczego zadupia?”. A ja chowałam głowę w ramiona, jakbym ich za to przepraszała, jakbym chciała powiedzieć: „Nie miejcie mi tego za złe”. Już tak nie jest. Teraz ludzie wzdychają: „Och, Tasmania to takie piękne miejsce”. Nie wiem, czy to ja się zmieniłam czy Tasmania.

Sydney to mój wielki, nieokrzesany, połyskujący biżuterią i popisujący się kartami kredytowymi były kochanek. Sydney oszołomiło mnie plażami, barami i słońcem, restauracjami, kafejkami i muzyką, i tym wielkim szafirowym błyskiem zatoki.

Rzuciłam się odkrywać wszystko, co było tu do odkrycia, jak głupiutka, zamroczone dziewczynka. Poruszam się po Sydney lepiej niż większość jego rodowitych mieszkańców, a nawet taksówkarzy. Wiem, gdzie iść na najlepsze yum cha, sushi i tapas. Znam teatry, muzea i dobre puby. Wiem, gdzie się nurkuje, gdzie chodzi na wędrowniki, gdzie do parku. Patricka poznałam po pół roku mieszkania tu. Choć stąd pochodził, nie miał pojęcia, że połowa miejsc, które mu pokazałam, w ogóle istniała.

Patrick i Sydney to najlepszy, najbardziej błogosławiony czas mojego życia. Całowaliśmy się na promach, piliśmy szampana w porcie. Chodziliśmy do teatru, kina i potańczyć. Patrick brał Jacka do nosidełka na plecach, skąd mały uśmiechał się do mnie, i chodziliśmy na długie wyprawy po zalanych plamami zielonego światła parkach narodowych. Trzymaliśmy Jacka za ręce na plaży i na „raz, dwa, hop” podnosiliśmy go, kiedy nadchodziła fala, tak że w wodzie zostawały mu tylko stopy.

Taka byłam w nich obu zakochana. Pamiętam, jak mówiłam mamie: „Nie wiedziałam, że to takie łatwe być tak szczęśliwą”. A ona na to: „Żadna

matka nie może usłyszeć nic lepszego”. Wyobrażałam sobie, jak uśmiechnięta szoruje zawzięcie kuchnię, ze szmatką i butelką sprayu do czyszczenia w ręce.

Ponieważ mama nigdy nie pragnęła niczego innego, jak tylko być szczęśliwą.

Zawsze mi się zdawało, że była dziwnie bezinteresowna. Dopiero gdy zaczęłam opiekować się Jackiem, po trochu do mnie dotarło, w jaki sposób nastrój dziecka kształtuje twój własny nastrój i że od tego można się uzależnić.

Pamiętam, że raz zapytała: „Myślisz, że Patrick jest równie szczęśliwy jak ty?”. A ja na to, że oczywiście, tak sędzę.

Po chwili milczenia mama odezwała się bardzo, bardzo ostrożnie, niepewnie: „Nie minął jeszcze nawet rok od śmierci jego żony. Na pewno wciąż o niej myśli. Saskia, żałoba trwa tak długo, że może... pamiętaj o tym”.

Miała pełne prawo o tym mówić, bo mój ojciec zmarł, kiedy byłam jeszcze brzdącem. Ani trochę go nie pamiętam, ani jednej rzeczy. Na pewno nie cierpię z powodu tłumionego uczucia porzucenia przez ojca.

Wiem, że ojciec był miłością życia mojej mamy – według niej – i wiem, że zawsze mówiła, że dzień w dzień tak samo za nim tęskni. To wcale nie musiało oznaczać, że identycznie było ze mną i z Patrickiem. Po pierwsze, mama nie poznała nikogo, kto by ją uszczęśliwił. Patrick poznał mnie. Uszczęśliwiłam go. Wiem o tym. Nie jestem głupia, to nie kwestia mojej wyobraźni.

Wiedziałam oczywiście, że gdzieś głęboko w sercu oplakuje Colleen. Szanowałam jej życzenia co do wychowania Jacka. Przygotowała listę swoich oczekiwań. Krzywym, rozchwianym pismem – musiała być już wtedy w kiepskim stanie. Nie najlepsza ortografia. Wiem, że to nieżyczliwe

zwracać w tej sytuacji uwagę na błędy, wiem, ale nigdy nie uważałam się za specjalnie miłą osobę. Colleen wierzyła w witaminy, dawałam więc Jackowi codziennie po tabletkę. Colleen uważała, że podkoszulki chronią dzieci od wszelkiego zła, więc wkładałam mu podkoszulek – nawet gdy zanosilo się na upał. Jestem przekonana, że biedna Colleen nie życzyła sobie, żeby dzieciak chodził w ciepłe dni w podkoszulku, ale Patrick traktował tę listę zupełnie dosłownie.

Patrick był ze mną szczęśliwy. Mówił, że jest szczęśliwy. Mówił: „Uratowałeś mi życie”. „Nigdy cię nie oddam”. „Bez ciebie bym się pogubił”.

Spałam dziś na plaży i przyśniła mi się Colleen. We śnie wrzeszczałam na nią: „Podkoszulek piszemy przez »u«!”.

Strasznie zenujący, kretyński sen – wytykać błędy ortograficzne zmarłej.

Ktoś zapytał: „Ostra noc, co?”.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam obok siebie mężczyznę. Stał na piasku i gapił się na mnie. Patrzyłam prosto pod słońce, więc niewiele widziałam poza tym, że miał na sobie mokrą piankę, pod pachą deskę surfingową, a na głowie bujną czuprynę, zbyt młodzieżową do jego wieku.

Usiadłam i spojrzałam na swoją czerwoną sukienkę. Wyglądałam pewnie na osobę, która trzeźwieje na plaży po imprezie, tylko że ja byłam na coś takiego o wiele za stara.

„Można powiedzieć” – odparłam.

Nie wiedział, co jeszcze dodać. Uśmiechnął się więc, zasalutował żartobliwie i ruszył w stronę wody. Siedziałam na piachu i patrzyłam, jak surfuje. Nie był mistrzem. Kładł się na desce, płynął do fal, przegapiał je, ale za każdym razem, kiedy wreszcie udało mu się jakąś złapać, radość

dosłownie opromieniała mu twarz, a wełniaste włosy kładły się płasko na jego czole.

Tego samego popołudnia poszłam do sklepu dla surferów i nie wiem, jak to się stało, że wyszłam z pianką i deską.

Teraz pewnie będę musiała się nauczyć, jak tego sprzętu używać. Albo na tym pływać. Albo cokolwiek. Nie posiadam się ze szczęścia.

*

W poniedziałek rano Ellen obudziła się wycieńczona i wyżęta. Była przerażona, kiedy otworzyła kalendarz i okazało się, że czeka ją dzień wypełniony wizytami – jedną po drugiej, nawet bez przerwy na lunch.

Przypominała sobie mętnie, że umawiając pacjentów na ten dzień, myślała beztrosko: Ech, co tam, poradzę sobie. Teraz zaś tęsknie myślała o łóżku. Och, jak wspaniale, absolutnie cudownie byłoby móc wślizgnąć się z powrotem do pościeli i przespać cały dzień. Gdyby tylko czuła się poważnie, zakaźnie chora, z konkretnymi objawami, mogłaby się do telefonu i odwołać wszystkie wizyty po kolei. Wiedziała jednak, że to tylko zmęczenie. Weekend nadmiernie obfitował w picie, jedzenie i nerwowe kontakty towarzyskie. Za dużo emocji. Za mało snu, za dużo seksu. Podejrzewała, że zaczyna się rozkładać na ostre zapalenie pęcherza.

Okazało się też, że nie ma w domu mleka, co przez straszliwą chwilę, spędzoną przed otwartą lodówką, urosło do rangi końca świata. Nawet tupnęła nogą ze złości. Potrzebowała kontrastu chrupiącego musli i zimnego mleka.

Prędkimi, posepnymi ruchami włożyła do tostera czerstwe pieczywo, jakby osoba odpowiedzialna za brak mleka w lodówce stała obok i czuła się winna. Wyszła przed dom po gazetę, którą gazeciarz celowo rzucił na sam

środek żywopłotu okalającego podwórko, tak że aby ją wydobyć, musiała gmerać między nieprzyjemnie wilgotnymi, pokrytymi rosą liśćmi.

A potem, na domiar złego, kiedy jadła tosta (który notabene smakował jakoś kwaśno) i czytała gazetę (pełną złych wiadomości: o morderstwach, nieszczęściach, wojnach i podłożonych bombach – świat kolebał się na morzu łez), natknęła się na artykuł zatytułowany *Elitarny ślub gromadzi gwiazdy*.

Poniżej widniało zdjęcie jej pacjentki Rosie. Odkąd Ellen widziała ją po raz ostatni, minęły jakieś dwa miesiące. W tym czasie Rosie sporo schudła. Zniknęły wszystkie jej krągłości. Z odkrytej sukni ślubnej bez ramiączek wystawały kościste, przygarbione ramiona. Pannę młodą otaczały cztery wysokie, chude druhny w sukniach do ziemi. A więc jednak. Zdecydowała się na ślub. Objawienie, którego doznała pod wpływem rzekomo umiejętnej hipnozy Ellen – że niepowodzenie w walce z nałogiem było w rzeczywistości związane z niechęcią do narzeczonego, okazało się bez znaczenia. Może doszła do wniosku, że to jednak nieprawda, może wychodziła za mąż mimo to, może dla pieniędzy, prestiżu bądź dlatego, że brakowało jej odwagi, by odwołać ślub, kiedy już zaproszenia zostały rozesłane do wszystkich gwiazd wielkiego formatu.

Tak czy inaczej Ellen czuła się z tego powodu jeszcze bardziej przygnębiona. Ba – czuła się beużyteczna i niekompetentna.

Zadzwonił telefon. Ellen odebrała szybko, z nadzieją, że to któryś z klientów chce odwołać spotkanie – może nawet pierwsze, poranne, tak że będzie mogła wskoczyć z powrotem do łóżka?

– Dzień dobry – powiedziała żywo. – Ellen O’Farrell.

– Nie wygląda bynajmniej na dobry – odezwał się głos po drugiej stronie słuchawki.

To była Harriett, młodsza siostra jej ekschłopaka Jona. Utrzymywały kontakt, mimo że Ellen i Jon się rozstali.

Harriett była drobną, kruchą i ciętą kobietą i naprawdę rzadko się zdarzało, aby jej złośliwy, tak go nazwijmy, sposób widzenia świata współgrał z tym, co czuła i myślała Ellen. Można by to porównać z nieczęstymi, ale jednak czasem zdarzającymi się chwilami, gdy miała dziwną, nieodpartą chęć posmakować ostrej, kwaskowej lukrecji. W tym jednak momencie na dźwięk lekko nosowego głosu Harriett nerwy Ellen doznały takiego samego wrażenia, jakby ktoś drażnił je za pomocą tarki do sera.

Wzięła głęboki, wzmacniający oddech, niczym osoba przygotowująca się do biegu pod wysoką górę, i spytała:

– O, Harriett, cześć, co słyhać?

– Wszystko dobrze, pomyślałam sobie tylko, że zadzwonię pogadać. Strasznie długo się nie słyszałyśmy.

Tylko Harriett była zdolna sądzić, że poniedziałek rano, godzina siódma trzydzieści, to znakomity moment na towarzyską pogawędkę.

– No właśnie, strasznie długo – odparła Ellen i pozwoliła sobie lekko przymknąć oczy. Rozpaczliwie chciało jej się krzyżeć.

Zawsze kiedy rozmawiała z Harriett, oczami sumienia niespodziewanie widziała Jona, którego głos pobrzmiwał w tonie jej głosu. Widziała jego przysłonięte ciężkimi powiekami oczy i charakterystyczny uśmieszek. Harriett przypominała jej, że Jon wciąż istnieje.

W kontaktach z Harriett Ellen wołała udawać żywą, rozgadaną i śmiało idącą przez życie. Pragnęła, aby do Jona docierały odpowiednie relacje. (Wiedziała bowiem, że Harriett dopilnuje, by żadna ich rozmowa nie pozostała dla brata tajemnicą. Tym się właśnie zajmowała: zbierała informacje, po czym rozsiewała je wokół niczym drobinki pyłu). Ideałem

byłoby wspomnieć w tej chwili o Patricku (Słyszałeś? Ellen ma nowego chłopaka!), ale nie miała siły, by opowiadać o nim z entuzjazmem, na jaki zasługiwał.

– Co tam u Jona? – spytała za to. Wprowadźmy go zatem na środek areny, zamiast ukrywać gdzieś w zakamarkach rozmowy.

– Śmieszne, że o nim wspominasz. Nie uwierzysz, ale mój braciszek, wieczny kawaler, się żeni! Wszyscy jesteśmy w szoku. Dasz wiarę?

– Nie – odparła Ellen. Odchrząknęła. – O Boże.

Mieszkała z Jonem przez cztery lata i słowo „małżeństwo” nie padło ani razu. W jego przekonaniu instytucja ta nie była wystarczająco wiarygodna, nigdy też nie przyszło mu do głowy spytać Ellen o zdanie. A tu proszę – okazuje się, że tylko w małżeństwo z nią nie wierzył.

Poczuła się dość mocno zraniona. Przyszedł jej na myśl szereg delikatnych, porcelanowych filiżanek, które jednocześnie się tłuką. Tak się właśnie poczuła. W całe ciało wbijały jej się drzazgi bólu: malutkie kłuty ją w zatoki, większa ulokowała się gdzieś w klatce piersiowej. Och, nie, przecież ci nie zależy! Zakochałaś się w innym! Pierwszy raz w życiu jesteś naprawdę zakochana! Nie obchodzi cię to, nie obchodzi, nie obchodzi. Tyle że ją obchodziło.

– Zna tę dziewczynę dopiero od paru miesięcy – ciągnęła Harriett. – Jest higienistką dentystyczną.

Parę miesięcy. Po paru miesiącach. Może więc Jon po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochał. Łatwo było pogodzić się z tym, że Ellen nigdy prawdziwie go nie kochała, trudniej z tym, że to Jon prawdziwie nie pokochał jej. Dlaczego? Przecież była taka miła!

– Tak czy owak wszyscy jesteśmy przekonani, że ten związek nie przetrwa – zawyrokowała Harriett. Głos jej się nieco załamał, jakby dopiero teraz, kiedy krzywda już została wyrządzona, próbowała się wycofać.

Czy specjalnie zadzwoniła w poniedziałek z samego rana, kiedy mechanizmy obronne każdego normalnego człowieka nie pracują jeszcze na pełnych obrotach, by przekazując jej tę piorunującą wiadomość, celowo ją zranić? Musiała się przecież domyślać, że dla Ellen nie będą to miłe wieści. A Ellen wiedziała, iż Harriett szczerze ją lubi.

– No cóż, dla ich dobra trzeba mieć nadzieję, że przetrwa – odparła. Była zdziwiona chłodnym, obojętnym tonem swojego głosu. – Słuchaj, Harriett, czy mogę do ciebie oddzwonić później? Wiesz, kiepsko zaczęłam dzień. Okazało się, że nie mam mleka, a w dodatku obudziłam się w podłym nastroju.

– Co, PMS? – spytała Harriett. Należała do kobiet, które uwielbiają nawiązywać w rozmowie do cyklu menstruacyjnego.

– Nie, tylko wstałam lewą nogą – odpowiedziała Ellen.

Odłożyła słuchawkę i wybuchnęła płaczem. Urywane, ostre, pełne złości szlochanie. Śmieszne. Zupełnie nieadekwatne.

– To twoje ego – powiedziała do siebie. W pustej kuchni jej głos wydawał się dziecinny, głośny i złamany. – To tylko twoje ego.

Nie mogła sobie wyobrazić gorszej rzeczy, niż być żoną Jona. Bardzo dużo czasu zajęło jej odbudowanie własnej osobowości po tym, jak systematycznie ją niszczył, sprawiając, że wątpiła w każdą swoją myśl.

Był samolubnym, pompatycznym, egocentrycznym, złym człowiekiem, a mimo to kochała go jak szalona. Nie chciałyby być jego żoną, a równocześnie nie chciała, by ożenił się z kimś innym. Nie chciała go, ale chciała, żeby on ją chciał.

To wszystko było głupie, niedojrzałe, jednak istniało. Odzyskanie kontroli nad uczuciami wydawało jej się nierealne. Płakała i płakała. Odstawiła orgię dziwaczego szlochania i zawodzenia. Chciała chwycić za

słuchawkę i zadzwonić do niego. Chciała wrzasnąć: Powiedz, co było ze mną nie tak!

Chciała zobaczyć tę dziewczynę. Chciała patrzeć na nich, kiedy są razem. Chciała słuchać ich rozmów.

Och, Saskia. Rozumiem. Wiem. Wiem, o co chodzi.

W końcu, po wielu ciężkich westchnięciach, wielu głośnych, zasmarkanych pociągnięciach nosem, wielu nagłych, niepowstrzymanych potokach łez nadszedł koniec. Była oczyszczona, wycieńczona, roztrzęsiona i blada, ale czuła się dobrze – jakby wreszcie zwymiotowała nieświeży posiłek.

O Boże. Jakie to dziwne. Może Harriett miała rację i to naprawdę był PMS, choć jej hormony zwykle zachowywały się poprawnie i nigdy nie powodowały aż tak raptownych fal uczuć.

Sięgnęła po kalendarz, by sprawdzić datę okresu.

Kartkowała strony tam i z powrotem. Na początku powoli, uważnie, potem coraz szybciej. To nie było możliwe. Niemożliwe!

Wreszcie odłożyła kalendarz i przez kuchenne okno zagapiła się na morze.

*

Przestaną. Już mi przeszło. Skończyłam z tym.

Jak na ironię takie myśli towarzyszyły mi w drodze na dzisiejszą wizytę u hipnotyzerki.

Kiedy otwierała mi drzwi, nie wyglądała najlepiej. Nierówna, plamista cera, jakby przeredzone włosy, na bluzce tłusta plama od jakiegoś jedzenia. Jej widok trochę poprawił mi nastrój.

A potem, przed sesją, kiedy spytała, czy nie chciałabym skorzystać z toalety – jak zwykle zresztą – odpowiedziałam, że tak, bo rzeczywiście

potrzebowałam z niej skorzystać.

Z przyzwyczajenia, automatycznie otworzyłam szafkę nad umywalką, tę z drzwiczkami z lustrem. Jej zawartość aż tak bardzo mnie nie interesowała, wiedziałam, co tam znajdę: krem nawilżający z supermarketu, płyn do soczewek, dezodorant i maszynki do golenia, parę szminek i parę buteleczek z olejkami.

Prawie bym przegapiła. Już miałam zamknąć szafeczkę, kiedy zauważyłam coś kątem oka. Długie, płaskie, prostokątne pudełeczko.

Wzięłam je do ręki – bez większego zainteresowania – i wtedy poczułam ostre szarpnięcie w klatce piersiowej, jakby ktoś zanurzył w niej harpun i próbował wyjąć nim serce.

Test ciążyowy. Rozpoznałam go błyskawicznie, bo używałam identycznego. Wielokrotnie.

Był otwarty.

Sięgnęłam więc do pudełka i wyciągnęłam dwa długie, białe paski plastiku. Zrobiła już oba testy. Chciała być pewna wyniku.

Okienko na obydwóch pokazywało ten sam symbol. Symbol, którego tak bardzo pragnęłam, lecz którego nie było mi dane ujrzeć.

Hipnotyzerka była w ciąży.

ROZDZIAŁ 9

*Nie będziesz nic widzieć, nic słyszeć ani mieć na nic myśli poza:
Svengali, Svengali, Svengali!*

Polecenie, które Svengali wydał Trilby
O’Ferrall w klasycznej powieści *Trilby* George’a
du Mauriera

Na parę minut zapominała, ale za chwilę znowu sobie przypominała.

Minęło dopiero siedem godzin od chwili, kiedy zrobiła test. Odłożyła wreszcie kalendarz, przynajmniej przez dziesięć minut wpatrywała się w okno, po czym zerwała się gorączkowo, jakby wstąpił w nią nowy duch. Narzuciła na siebie pierwsze lepsze ciuchy, wsiadła w samochód i ruszyła do lokalnego centrum handlowego, gdzie nieprawidłowo, łamiąc przepisy, zaparkowała przed dosłownie chwilę wcześniej otwartą apteką. Miła, siwowłosa sprzedawczyni, która zawsze podawała Ellen tabletki przeciwko alergii, z kamiennym, obojętnym wyrazem twarzy zapakowała test ciążowy do białej papierowej torby i szczelnie zawięła jej koniec, ani na chwilę nie przestając komentować dziwnej jak na tę porę roku pogody.

Pierwszy klient stuknął już do drzwi, a ona siedziała jeszcze na skraju babcinej wanny, w wiotkiej dłoni trzymając dwa niezaprzeczalnie pozytywne testy ciążowe.

Kolejne wydarzenia poranka minęły niczym błyskawica. Nie miała pojęcia, czy praca szła jej beznadziejnie czy genialnie. Zagadywała, słuchała, wprowadzała w trans, wypisywała zalecenia, a głos w głębi jej duszy wyśpiewywał w kółko to samo: „Jestem w ciąży, jestem w ciąży, naprawdę jestem w ciąży”.

O wiele za szybko. Zaledwie po trzech miesiącach! Ich związek był zdecydowanie za młody na wyrok: ciąża. To brzmiało kiczowato i niesmacznie. Takie rzeczy przytrafiają się tylko nastolatkom z serialu.

Brzmiało to również zbyt medycznie. Wskutek tego, że zapewne z powodu niewłaściwego użycia kondomu twoja sperma przypadkowo natknęła się na moje jajeczko, spóźnia mi się okres. Wykonałam więc test na obecność hormonów ciążowych w moczu, oto i on.

A poza tym, czy Patrick w ogóle chciał mieć drugie dziecko? Tak generalnie rzecz biorąc? Wydawało jej się, że tak, ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, stwierdziła, że jej przekonanie opierało się na lichych przesłankach – na przykład na tym, że uwielbiał syna, że uśmiechał się czule na widok cudzych niemowląt, i na tym, że jego matka życzyłaby sobie, żeby miał więcej dzieci, a on, jak się wydawało, przepadał za matką. No i był uroczym facetem, a uroczy faceci powinni automatycznie chcieć mieć więcej dzieci, ponieważ imperatyw biologiczny każe im przekazywać geny odpowiedzialne za ów urok następnym pokoleniom.

W rzeczywistości mogło się przecież okazać, że uśmiechał się na widok cudzych niemowląt, ponieważ myślał: „Mnie już to nie dotyczy, dzięki Bogu”.

Na tę myśl przeszedł ją zimny dreszcz. Nonsens. Znała go za dobrze – bał się pajaków, nie rozumiał sensu istnienia ogórka, raz przyłożył chłopakowi imieniem Bruno – ale nie znała jego opinii na ten konkretny, jakże istotny temat.

Założmy więc, że chciałby mieć drugie dziecko. Co wtedy zrobią? Realnie, dosłownie?

Zamieszkają razem? W jej domu czy u niego? Pobiorą się? Nie chciała mieszkać w jego domu. Miał za płytką wannę, za małą kuchnię, a kolor wykładziny w salonie źle wpływał na stan jej duszy. Kochała dom swoich dziadków, pracę w gabinecie i szum fal przed zaśnięciem. Lecz może dla Jacka wyprowadzka z rodzinnego domu byłaby zbyt traumatyczna? I w ogóle co z Jackiem? Czy był gotowy na młodsze rodzeństwo?

Młodsze rodzeństwo. Te słowa przyprawiły ją o kolejny szok. Dziecko będzie dziewczynką lub chłopcem. To już postanowione. O Boże, będzie miała dziecko. Nagle poczuła się słaba z emocji, składających się prawdopodobnie w równych częściach z histerycznego strachu i oślepiającej radości. Dziecko.

– Ellen? Możemy zaczynać?

To była klientka zapisana na drugą. Luisa. Właśnie wróciła z łazienki i przyglądała się Ellen z wyrazem lekkiej irytacji na atrakcyjnej twarzy o klasycznych rysach. Ellen zawsze wyczuwała w niej głęboko ukryty prąd ledwie kontrolowanej furii. Była dość świeżą klientką, córką znajomej matki Julii. Spotykała się z Ellen z powodu „bezpłodności o nieznanym przyczynach” i nie kryła faktu, że choć nie wierzy w żadne „metody alternatywne”, doszła już do takiego punktu, że gotowa jest próbować wszystkiego. Chodziła też na akupunkturę, do zielarza i dietetyka. Gdyby tylko się dowiedziała, że Ellen zaszła w ciążę przypadkowo, idiotycznie, głupio i kłopotliwie... Świat był zdecydowanie niesprawiedliwy.

*

Kiedy poznałam Patricka, byłam przed czterdziestką, wiedziałam więc, że jeśli kiedykolwiek mam mieć dziecko, to właśnie słyhać ostatni dzwonek.

Nie żebym musiała go prosić. Od razu się zgodził. Wyglądał na ucieszonego, dużo mówił o tym, że nie chce, żeby Jack był jedynakiem, ale później, kiedy mijały miesiące, a nic się nie działo, jakby stracił zainteresowanie.

Nie chciał o tym rozmawiać, nie chciał iść do lekarza. Nie chciał nawet próbować w te właściwe dni. Zastrzegając: „Nie chcę słyszeć o twojej owulacji”. Jakby owulacja była czymś obrzydliwym.

Mówiąc całkiem szczerze, zachowywał się trochę jak drań.

Przebaczyłam mu. Rozumiałam, że mężczyźni mają inaczej. Nie czują biologicznej potrzeby rodzicielstwa.

Mówił: „Saskia, kochanie, widocznie tak ma być i nic z tym nie zrobisz”.

Co było prawdą. Mieliśmy przecież Jacka.

Tylko że to nie było prawdą. On miał Jacka. Ja nie, w ogóle. I nie byłam żadnym „kochaniem”.

Okazało się, że wcale nie miało tak być. On miał mieć drugie dziecko, tylko nie ze mną.

*

– Słucham? Co mówiłeś? Zapraszasz mnie na imprezę ze sprzedażą bezpośrednią?

Ellen rozmawiała przez telefon z młodym hipnoterapeutą imieniem Danny, przez ostatni rok – swoim uczniem.

– Taa! Właśnie! – wrzasnął Danny. Wyglądało na to, że dzwoni z jakiegoś klubu nocnego.

Przypominał Ellen młodszego brata Patricka, Simona. Obaj należeli do tego samego pokolenia, które, jak się przynajmniej wydawało, używało odrębnego dialektu, akcentu i niemal języka. Wszyscy brzmiali nieco

z amerykańska, a na świat patrzyli z ogromną swobodą, jakby nie istniało nic, co by ich przerastało. Być może rzecz dotyczyła technologii, która nadała mocy koniuszkom ich palców.

A może i Ellen tak brzmiała w wieku lat dwudziestu czterech? Nie. Ona nigdy nie była na luzie, w żadnej kwestii.

– Poczekaj, wyjdę stąd na chwilę – powiedział Danny.

Jestem w ciąży, Danny. W ciąży. Co oznacza, że będę miała dziecko. A spotykam się z facetem dopiero od trzech miesięcy. Co byś zrobił, gdyby dziewczyna powiedziała ci, że jest w ciąży, po trzech miesiącach znajomości?

– Dobra, teraz lepiej? – Hałas w tle ustał. – Nie, nie, o co innego mi chodzi. Wiesz, na czym polegają spotkania Tupperware, prawda? Więc stałem właśnie przy barze i słuchałem rozmowy dwóch kobiet w średnim wieku, wyglądały na matki. Gadały o tym, ile która chce schudnąć, o swoich osobistych trenerach, o tym, ile trzeba ćwiczyć na bieżni, żeby spalić pieczonego ziemniaka, i tak dalej. Gadały o tym tak, jakby ich życie od tego zależało.

– Obawiam się, że nie rozumiem – wtrąciła Ellen.

– Imprezy z hipnozą! Będę prowadził odchudzające imprezy z hipnozą! Kobiety tego pokroju będą się umawiać, a ja będę im wszystkim serwował sesję grupową, odchudzającą. Zastosuję szybkie techniki indukcji Flynna, te, o których mi opowiadałaś, nie miałyby nic przeciwko temu, prawda? I tak laski będą idealnie podatne. Potem standardowo, parę afirmacji, może sugestia niechęci na widok pieczonego ziemniaka albo otwartej lodówki? Ale przecież i tak muszą gotować dla dzieciaków. Tak czy inaczej wszystko obmyślę ze szczegółami. Co o tym sądzisz?

– Nie jestem... – zaczęła Ellen.

– Cudowny plan! Jak myślisz, ile powinienem za to brać?

– Cóż, nie wiem – stwierdziła Ellen. – Osobiście wolę zawsze indywidualnie dopasowaną terapię...

– Ach, ile kasy one tracą na tych trenerów osobistych. Zagwarantuję im lepsze efekty.

– Być może.

Wszystkie kobiety z miejsca się w nim zakochają. Był jedynym facetem na prowadzonym przez Ellen kursie „Wstępu do hipnoterapii”, był atrakcyjny i charyzmatyczny, ale w tak subtelny sposób, iż myślało się, że nikt prócz ciebie tego nie widzi. Na zajęciach u Ellen zawsze siadał na końcu sali, w prawym rogu, a słuchaczki pochylały się podświadomie w jego stronę niczym trawy na wietrze.

Usłyszała w tle damski głos, wołający:

– Danny! Gdzie się podziewasz, wszędzie cię szukam!

Jasne, pomyślała Ellen. Kiedy Danny na kogoś patrzył, potrafił utrzymać kontakt wzrokowy. Prawdziwy dar. Większość mężczyzn, robiąc tak, była posądzana o skrzywienie psychiczne.

– Dobra, Ellen, muszę lecieć. Właśnie mnie oświeciło i chciałem poznać twoją opinię! Zadzwoń jeszcze, okej? A w ogóle, jak leci, Ellen? Przepraszam, nawet nie zapytałem.

Nie brzmiał powierzchownie. Brzmiał, jakby rzeczywiście był ciekaw. Może i był. A może był tylko genialnym sprzedawcą.

– W porządku, Danny. Idź już.

*

Tego samego wieczoru Ellen leżała na kanapie, oglądała *Piękną i kujona* i jadła palcami pieczone ziemniaki, których cały talerz przygotowała sobie na kolację. Na nic innego nie miała ochoty.

Nie był to pierwszy raz w jej życiu, kiedy miała szczególnie apetyt na konkretny rodzaj jedzenia, ale teraz z racji ciąży mogła nazwać to zjawisko „zachcianką”. Być może dziecko potrzebowało właśnie ziemniaków.

A być może Danny wspomniał o pieczonych ziemniakach, a jej posłuszna, podatna podświadomość po prostu odpowiedziała.

Pozwoliła tym myślom i słowom przemknąć przez umysł – teraz, kiedy jestem w ciąży... dziecko... zachcianka – i poczuła się tak, jakby pozwalała sobie na coś nie do końca legalnego. Powinna przecież wkroczyć w skomplikowany świat macierzyństwa tanecznym krokiem, nie potrzebuje oficjalnej przepustki, prawda? Zresztą, czy w ogóle istniało coś takiego jak przepustka? Jeśli tak, to w postaci czego? Świadczenia ślubu? To było niedorzeczne, że jeszcze wczoraj ideę siebie jako matki uważała za odległą nierzeczywistość, natomiast dziś wystarczyła jedna wizyta w aptece, by poczuć gwałtowną zachciankę i zacząć rozmyślać o „dziecku”. Jutro pewnie zachce jej się ogórków kiszonych i lodów na deser.

Węglowodany i kiepski program telewizyjny wprowadziły ją w półsen. Czowała się, jakby miała głowę wypchaną watą.

Mózg dziecka.

Ellen, dosyć!

Zadzwonił telefon. Odstawiła talerz i z pomrukiem niezadowolenia zwlokła się z kanapy. Teraz nawet szła już jak kobieta ciężarna, jedną ręką wspierając wgłębienie w dole pleców. Wyprostowała się na siłę. Nie ma co, była chyba najbardziej podatną na sugestie osobą na świecie.

Dzwoniła jej matka chrzestna, Melanie. Dobrze. Mel w zasadzie nie lubiła gadać przez telefon i zawsze szybko kończyła rozmowę. Załatwi to raz-dwa i będzie mogła wrócić na kanapę do bezdennie głupich lasek i nieatrakcyjnych mózgowców.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że Patrick bardzo mi się spodobał –
oznajmiła Mel. – Naprawdę ogromnie go polubiłam. O niebo lepszy od
Jona, tego emanującego samozachwytem durnia. Mam nadzieję, że nie
masz mi za złe.

– Ten dureń emanujący samozachwytem właśnie poprosił kogoś o rękę
– oznajmiła Ellen.

– Należą jej się wyrazy współczucia – odparła ze szczerym przejęciem
Mel. – A tobie gratuluję cudownej ucieczki.

W taki oto sposób Jon został bezpiecznie zamknięty w szufladce gdzieś
na tyłach pamięci Ellen, czyli w miejscu, które słusznie mu się należało.
Ellen poczuła zaś przyływ wdzięczności i uczucia do obu swoich matek
chrzestnych. Phillipa też zadzwoniła – trochę wcześniej, i zostawiła na
sekretarce długą, chaotyczną i pełną chichotów wiadomość
o pokrewieństwie dusz, dzwonach ślubnych i o tym, czy nie jest za stara na
druhnę. Jeśli chodzi o matkę Ellen, ta oczywiście jeszcze nie dzwoniła.

– Twojej matce również przypadł do gustu – stwierdziła Mel.

– Mówiła coś? – chciała wiedzieć Ellen.

– No nie – przyznała Mel. – Ale było to po niej widać. A jeśli już o niej
mowa, to czy w piątek wydawała ci się normalna?

– Chyba tak. – Ellen z trudem cofnęła się myślami do piątkowej kolacji.

Czy Anne była sobą? Ellen do tego stopnia koncentrowała się na
Patricku, że niespecjalnie zastanawiała się nad zachowaniem matki.

– A czemu pytasz?

– Tak sobie. Tylko ostatnio sprawiała wrażenie takiej trochę, hmmm,
tajemniczej. Jakby miała coś do ukrycia.

Słuchaj, w tej chwili sama mam coś do ukrycia. Nie mam czasu na
myślenie o sekretach matki. To ja jestem ta młoda i interesująca. Dlaczego

moja matka nie mogłaby być nudna i stateczna, z dużym bagażem życiowych doświadczeń, jak, powiedzmy, matka Patricka?

Takie oto dziecinne myśli błąkały się po głowie Ellen, kiedy tęsknym wzrokiem spoglądała w stronę pieczonych ziemniaków i mrugającego telewizora.

– Nie myślisz chyba, że jest chora albo coś takiego? – spytała z paniką w głosie, jakby spodziewając się, że może zostać ukarana za egoizm.

– Nie, nie – uspokoiła ją Mel. – Strasznie to głupie z mojej strony, że cię niepokoję. Ma się doskonale. W zeszłym tygodniu ograła mnie w tenisa. Albo to kwestia mojej wyobraźni, albo jestem głodna plotek i tyle. Pewnie trzeba mnie zignorować. Dzwonię tylko po to, by cię zapewnić, że Patrick wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. A teraz już nie zawracam ci głowy. Pa!

I odłożyła słuchawkę. Nikt nie kończył rozmów telefonicznych bardziej niespodziewanie niż Mel. Na pewno nie Phillipa, której odłożenie słuchawki zajmowało dobrych dwadzieścia minut. Gdyby sugestia, że z jej matką dzieje się coś dziwnego, wyszła od Phillipy, Ellen z miejsca uznałaby, że nie warto sobie tym zawracać głowy, ale Mel nie należała do osób o zbyt wybujałej wyobraźni. Oczywiście to nie musiało być nic złego. Każdemu wolno mieć sekrety.

– Ja na przykład też mam sekret – powiedziała Ellen na głos. Uczucie było niezwykle. Nie potrafiła przywołać chwili, kiedy skrywałaby tej wagi tajemnicę – tajemnicę, która mogłaby przyprawić innych o mały wstrząs.

Tylko ty i ja, dziecko. Tylko my dwoje o tym wiemy.

I niech tak zostanie jeszcze przez jakiś czas.

Była już w połowie drogi do pieczonych ziemniaków, kiedy telefon znów zadzwonił. Tym razem była to Julia.

– Nie uwierzę, że poznałaś mnie z facetem, który sięga mi pod pachę – wrzasnęła.

– Przepraszam – odparła Ellen z pełnymi ustami. – Nie wiedziałam.

Och, jak ją kusiło, by trzema krótkimi słówkami sprawić, by Julia wrzasnęła jeszcze głośniej! Jestem w ciąży.

– I w dodatku wyglądał, jakby właśnie opuścił plan programu *Rolnik szuka żony*.

– A mi się wydawał całkiem sexy – oznajmiła Ellen. Oczywiście bezwzględnie należy oprzeć się pokusie poinformowania przyjaciółki o ciąży. Pierwszy musi się dowiedzieć Patrick.

– Nie powiedziałam, że nie jest sexy – sprzeciwiła się Julia.

Ellen uniosła brwi.

– Aha.

– Kiedy poszliście sobie z Patrickiem, odprowadził mnie do samochodu i zaprosił na drinka.

– A ty co na to?

– Zgodziłam się. Oczywiście pójść jak z kumplem.

– Oczywiście – przytaknęła Ellen. Po okolicach serca rozpląnęło jej się błogie ciepło, kiedy usłyszała zmianę w głosie Julii, w którym nie pozostało ani śladu dawnego najeżenia. Czegóż takiego nie słyszała od lat.

– I dowiedziałam się, jak ma naprawdę na imię. Otóż Sam. Od razu wiedziałam, że nie Bruce. Oj, a przede wszystkim zapomniałam ci powiedzieć, że strasznie spodobał mi się Patrick. Jest fantastyczny. Prawdziwie męski facet. Spróbuj tym razem nic nie schrzanić!

– Dzięki za wotum zaufania.

– Mówię poważnie, Ellen. Trzymaj się go.

– Okej.

Co nie byłoby takie głupie, biorąc pod uwagę, że urodzę jego dziecko.

– Wiesz, od Jona było jakieś takie samozadowolenie – zastanawiała się na głos Julia.

– Dlaczego prawda zawsze wychodzi na jaw za późno? Kiedy byłam z Jonem, wszyscy zachowywali się tak, jakby go po prostu wielbili – stwierdziła Ellen. – Pękali ze śmiechu, słysząc jego dowcipy.

– No bo poczucie humoru to on miał – odparła Julia z rozmarzeniem. – Oglądasz *Piękną i kujona*? Widzisz tę blondynkę z wyłupiastymi oczami? Nie uważasz, że wygląda, jakby zaraz miała zamiar kogoś zabić? A wracając, nigdy mi nie mówiłaś, że była Patrycja łązi mu po domu!

– Nie miałam pojęcia – odparła Ellen, przyglądając się blondynce z wyłupiastymi oczami na ekranie. Zdążyła już zapomnieć o nowym odkryciu, dotyczącym Saskii. Co ona by powiedziała na wieść o ciąży Ellen? Czy to by wystarczyło, żeby ją uzdrowić? A może przeciwnie, pchnęłoby ją jeszcze bardziej w stronę szaleństwa? Ciekawe, czy ona kiedykolwiek chciała mieć z Patrickiem dziecko.

– Dobra, muszę kończyć. Komórka mi dzwoni. Może to Sam! Pa, na razie!

Julia się rozłączyła. Kiedy tylko Ellen przysiadła na kanapie i wzięła do ręki talerz z ziemniakami, telefon znowu zadzwonił.

– Witaj, kochanie. – To był Patrick. Nie wiedzieć czemu jednym z ich rytuałów stało się, że kiedy do niej dzwonił, zawsze witał się głębokim głosem amerykańskiego kowboja. – Co porabiasz?

– Oglądam telewizję i... jem ziemniaki. – Ellen poczuła się winna, jakby każda sekunda zwłoki w poinformowaniu go o ciąży zasługiwała na miano zdrady. Ale chyba lepiej nie mówić mu przez telefon, co?

I szczerze mówiąc, nie chciała na razie wiedzieć, co Patrick na ten temat sądzi. Wystarczająco skomplikowane były jej własne refleksje.

Gdyby dołożyć do nich jeszcze *jego* uczucia, sytuacja wymknęłaby się spod kontroli. Gdyby Patrick okazał entuzjazm, ona musiałaby się zdystansować: twierdzić, że jest za wcześnie, że to wszystko nie tak, że najsensowniej byłoby nie dopuścić do dalszego rozwoju ciąży. Gdyby zaś wiadomość zwała go z nóg, gdyby zasugerował przerwanie ciąży, Ellen byłaby zdruzgotana. Przecież chciała tego dziecka! Gdyby powiedział: „Cokolwiek postanowisz, będę przy tobie”, poczułaby irytację. To był ich wspólny problem, nie tylko jej. W zasadzie nie przychodziła jej do głowy żadna potencjalna zadowalająca reakcja Patricka.

– Jak ci minął dzień? – zapytała jak najbardziej naturalnym głosem.

– Dobrze, dopóki wiesz-kto nie pojawił się w biurze.

– Wiesz-kto? – powtórzyła Ellen. – Och, no tak, wiem. – Biedna Saskia. Nigdy nie używał jej imienia.

– Zachowywała się gorzej niż zwykle. Płakała. Mówiła o dzieciach.

– O dzieciach – powtórzyła znowu Ellen. Zmroziła ją myśl, że może Patrick już wie. I czy to przypadkiem nie jakiś zawołowany sposób, by jej o tym powiedzieć? – Co mówiła o dzieciach? – spytała. Owinęła palec zwiniętym spiralnie przewodem telefonu po babci (był zielony, miał ponad trzydzieści lat i okrągłą tarczę, którą powoli się przekręcało, by wybrać numer).

– Ej, nie wiem. Szczerze mówiąc, nigdy nie słucham, co ona gada. Powiedziałem jej, że potrzebuje pomocy psychiatry. Wręczyła mi kolejny list i błagała, żebym przeczytał.

– I co, przeczytałeś?

– Oczywiście, że nie. Od lat nie czytam jej listów. Zawsze to samo. Nieważne. Słuchaj, nie chciałabyś gdzieś wyjechać na długi weekend? Właśnie przyszło mi do głowy, czyby nie wsiąść w samolot i nie uciec z tej zimnicy, a po chwili dostałem mejl z reklamą tanich lotów do Noosa.

Uznałem to za znak, że może powinniśmy polecieć na długi, romantyczny weekend we dwoje. Po weekendzie, który właśnie przeżyliśmy, stwierdzam, że chętnie wziąłbym cię gdzieś na parę dni, żeby cię mieć tylko dla siebie.

Ellen milczała przez chwilę. Na samą myśl o wyprawie poczuła obezwładniającą falę zmęczenia. Musiałyby się spakować. Wziąć kapelusz z szerokim rondem, jaki powinno się nosić podczas romantycznych wypraw. Nie miała pojęcia, gdzie są jej okulary przeciwsłoneczne. Nie widziała ich już od dawna. Zagubione okulary urosły do rangi nierozwiązywalnego problemu.

– No wiesz, koktajle nad basenem, leniwe poranki, plaża – kusił Patrick. Zawahał się, po czym ciągnął, już nie tak pewnym siebie głosem: – Zresztą, pewnie jak się mieszka nad samym oceanem, jak ty, Noosa nie jest specjalną atrakcją?

Ellen tknął wyrzut sumienia. Jej uroczy nowy chłopak proponował wyjazd na weekend. Trzeba wykazać entuzjazm.

– Nie, nie, to cudowny pomysł. Chyba oboje tego potrzebujemy.

W głosie Patricka dało się słyszeć wyraźną ulgę.

– Pytałem już mamę, czy może wziąć Jacka na weekend, i nie ma nic przeciwko. A, przy okazji: ogromnie się spodobałaś mojej rodzinie. Mój brat twierdzi, że jesteś niezłą laska. Ja na to: „Łapy przy sobie, gówniarzu!”.

– Naprawdę tak powiedział? – Komentarz młodszego brata Patricka schlebiał Ellen. Simon był przecież o wiele młodszy! No, proszę bardzo, Jon.

Ciekawe, jak zareagowałyby rodzina Patricka na wieść o ciąży. Ellen przypomniała sobie krzyż nad telewizorem. Patrick wspominał, że są tradycyjnymi katolikami. Na pewno żyjąc w tych czasach, domyślali się, że

ona i Patrick ze sobą sypiają, ale z całą pewnością niespecjalnie marzyli o tym, by tak szybko się z tym konfrontować. Czy jego matka nazwie ją puszczalską panienką?

– Mogłabyś wziąć sobie wolne w następny poniedziałek? – zapytał.

– Mam parę wizyt, ale pewnie dam radę je przesunąć.

– Świetnie. Nie mogę się doczekać. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Odłożyła słuchawkę i skierowała się prosto w stronę ziemniaków, aby je wyrzucić.

Powie mu w czasie wyjazdu. To miało sens. I w neutralnym miejscu, nie u niego i nie u niej. Będą leżeć w gigantycznym łóżku, w wykrochmalonej, białej hotelowej pościeli, nieprzygniczeni nużącą codziennością. Dlatego rozwiązanie, które obmyślą, będzie odpowiednio czyste i eleganckie.

Patricku, mój kochany, powie. Jej piersi będzie zakrywać białe prześcieradło, wetknięte pod pachy, a włosy będzie miała seksownie zmierzwione. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Prostując się znad kosza na śmieci, do którego zeskrobywała resztki ziemniaków, kątem oka zauważyła na lodówce zagubione okulary przeciwsłoneczne.

Tak. Wszystko się jakoś ułoży.

*

Prosto po wizycie u hipnotyzerki pojechałam do pracy. Wchodząc do biura, poruszałam się powoli i ostrożnie, bo wiedziałam, że jestem pogruchotana na milion kawałków i każdy najmniejszy, nieostrożny ruch może sprawić, że się rozsypię – niczym efekt specjalny w kinie.

– Wyglądasz, jakby cię coś bolało – powiedział mój szef, który myśli, że chodzę do fizjoterapeuty z powodu bólu kręgosłupa.

Celowo wybrałam tę wymówkę, bo przez cały zeszły rok miałam problemy z plecami. Mój szef uważa teraz, że wszystko, co ma związek z bólem pleców, jest supertematem do rozmowy.

Powiedziałam, że owszem, plecy, po czym porozmawialiśmy sobie o przesuniętych dyskach, rozciąganiu i tabletkach przeciwzapalnych, póki nie przypomniał sobie, że jest już spóźniony na spotkanie.

Potem pracowałam.

Odpowiadałam na mejle, oddzwaniałam, wyczyściłam tackę na korespondencję przychodzącą i napisałam pierwszych pięć stron raportu.

Pracowałam dobrze. Byłam bystra, wydajna i staranna. W życiu zawodowym cieszę się wielkim szacunkiem. Zastanawiam się czasem, co by powiedzieli koledzy na wieść o tym, że przerwę na lunch spędziłam, płacząc w biurze byłego chłopaka. Ciekawe, co by pomyśleli, gdyby się dowiedzieli, że pod fasadą jestem cała spękana.

Dałam Patrickowi list, który napisałam, siedząc przed gabinetem hipnotyzerki. Wiadomość kipiała wściekłością i pewnie niewiele w niej było sensu.

Nie miała sensu również dlatego, że podejrzewam, iż Patrick i tak nie czytuje moich listów. Już nie.

I tu właśnie tkwi problem. Moja złość nie znajduje ujścia, ponieważ Patrick już mnie nie zauważa. Jest tak, jakbym waliła głową w olbrzymi, obojętny, milczący mur – raz za razem, coraz mocniej, aż spłynę krwią. Cokolwiek bym zrobiła, nie zmienię jego zdania na mój temat. Cokolwiek bym zrobiła, nie sprawię, że mnie znów dostrzeże.

Najwyraźniej nie jestem w stanie tego zaakceptować.

Gdyby nie żył, jak moja matka, zrozumiałabym. Odszedłby. Ale on nie odszedł. Wciąż tu jest. Żyje własnym życiem, jakbym to ja umarła, tak jak jego żona. Jakby to on miał pełne prawo, by żyć dalej, zastąpić mnie inną, zapłodnić inną.

Gdyby ktokolwiek mi powiedział, co zrobić, by oddalić ból i wygasić złość, posłuchałabym.

To dziwne. Czasem, gdy siedzę w gabinecie hipnotyzerki wśród tego wpadającego przez wszystkie ściany światła, chcę o to poprosić ją. Ellen – chce mi się powiedzieć – proszę, pomóż mi.

Pomogłaby mi, tak sądzę.

ROZDZIAŁ 10

Chcesz schudnąć? Próbowałaś już wszystkiego? Teraz ty i twoje znajome możecie STRACIĆ NA WADZE DZIĘKI SUGESTII, a to wszystko w zaciszu własnego domu, z pomocą w pełni wykwalifikowanego, doświadczonego hipnoterapeuty klinicznego! Zorganizuj HIPNOIMPREZĘ! (Dla gospodyni specjalny prezent!)

Kolorowa ulotka (wydrukowana w 10 tysiącach egzemplarzy) Danny'ego Hogana

W czwartek wieczorem, kiedy Ellen usiłowała spakować się na weekendowy wyjazd, rozległo się stukanie do drzwi.

– Co się stało? – zapytała, widząc za drzwiami uśmiechniętą matkę z butelką wina w ręce, jakby przyszła na kolację.

– Tak sobie wpadłam – odparła Anne. – Nie panikuj. Byłam tu w okolicy na kolacji, więc postanowiłam spontanicznie zajrzeć do córki. Na Boga, jesteś blada jak ściana. Przecież to nie pierwszy raz, prawda?

– Właśnie że pierwszy – odparła Ellen, odsuwając się o krok, by przepuścić matkę. – Ty nigdy tak sobie nie wpadasz.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż nie zerwałaś tej starej tapety – stwierdziła Anne, pogardliwie wodząc palcami po ścianie korytarza. – Ja już dawno bym się jej pozbyła.

– I pomalowałybyś hol na ładny, neutralny kolor – dokończyła Ellen. – Wiem, mówiłaś mi, a ja tobie, że mnie się ta tapeta podoba. Przypomina mi babcię.

– Właśnie – mruknęła Anne. Weszła do kuchni i jak zwykle skrzywiła się na widok pomarańczowych blatów, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Wszystko to miało pokazać, jak dalece odeszła od swoich korzeni. Jej matka spędziła w tym cudownym, przestronnym domu, uwaga – domu na plaży, idylliczne dzieciństwo, a mimo to z jakiegoś powodu lubiła udawać, że wychowała się w nędznej dzielnicy wśród białej hołoty, a teraz przeniosła się do Paryża.

– Napijesz się wina? – spytała Anne.

– Nie, dziękuję – odparła Ellen. – Za dużo wypiałam w weekend i w tym tygodniu próbuję być abstynentką.

A ponadto jestem w ciąży, mam.

Myśl ta przyszła jej do głowy, ale okazała się dziwnie bez znaczenia. Choć od poniedziałku, kiedy wykonała test, nic się nie zmieniło, początkowy szok minął i ciąża wydawała jej się coraz mniej i mniej prawdopodobna. Po pierwsze, od pamiętnego wieczoru, kiedy miała wielką ochotę na pieczone ziemniaki, nie doświadczyła żadnych objawów. Czuła się zupełnie normalnie. Przyszło jej również do głowy, że prawdopodobnie poroni. Była przecież dobrze po trzydziestce, a kiedy się planuje ciążę, trzeba przedtem brać witaminy, zrobić badania i iść do lekarza. Gdy tylko to sobie uświadomiła, była święcie przekonana, że tak się właśnie stanie. Jeśli nie będzie nad nią się za bardzo roztkliwiać, za dużo rozmyślać, ciąża sama rozejdzie się po kościach do chwili, kiedy jej ciało zostanie na ciążę odpowiednio przygotowane.

– W takim razie sama też nie będę piła – odparła matka, po czym odstawiła butelkę i delikatnie zastukała kostkami palców w stół.

Gest wydawał się dla niej nietypowy, bezcelowy i Ellen przypomniała sobie telefon Mel z początku tygodnia oraz pytanie, czy nie zauważyła przypadkiem, że matka zrobiła się bardziej niż zwykle tajemnicza.

– Co słyszeć? – spytała.

– U mnie? W porządku. Bardzo dobrze – odparła Anne, przestała stukać i lekko pokręciła głową. – W takim razie napijemy się herbaty? Co robiłaś, kiedy zrobiłam ci to szokujące najście?

– Pakowałam się – odparła Ellen, po czym wstawiła czajnik i wyjęła z szafki dwie najbardziej kwieciste, najbardziej staroświeckie porcelanowe filiżanki i spodeczki. – Wyjeżdżam z Patrickiem na weekend. Do Noosa.

– A, z Patrickiem – odparła Anne, po czym usadowiła się przy stole. – Nie rób sobie kłopotu z filiżankami i spodkami od kompletu. Nie mam jeszcze osiemdziesięciu lat.

Ellen zignorowała ją i wyjęła czajniczek na herbatę.

– Z torebki wystarczy! Co ty, nagle się postarzałaś?

– Więc co sądzisz o Patricku, tak generalnie? – zapytała Ellen, ogrzewając jednocześnie czajniczek specjalnie po to, by rozdrażnić matkę. – I Mel, i Pip już dzwoniły, żeby go pochwalić.

– Naprawdę? – zapytała Anne nieco głośniej, niż trzeba było, by przekrzyczeć szum czajnika elektrycznego. – Cóż, na pewno nie zrobił na mnie złego wrażenia. Szczerze mówiąc, powinnaś już chyba wymienić ten czajnik.

Ellen odstawiła czajniczek.

– Co to niby ma oznaczać?

– Że strasznie głośno chodzi. Jakby samolot startował.

– Nie, to, że „nie zrobił na tobie złego wrażenia”.

– Jest kompletnie nieszkodliwy – odparła Anne.

– To strasznie obraźliwe! – Ellen niemal roześmiała się z niedowierzania.

– Jeśli chcesz poznać prawdę, coś mi w nim nie gra. Wyczuwam w nim jakiś taki chłód.

Chłód! I to mówi jej ciepła, przytulna, prawdziwie matczyzna matka!

– Och, widzę, że potrafisz wnikliwie ocenić cudzy charakter!

Ellen usiadła przy stole i patrzyła na własną drżącą rękę, nalewającą herbatę z czajniczka. To była wściekłość. Przepęniała ją wściekłość, którą odczuwała w imieniu Patricka.

– Cóż, sama mnie spytałaś – odparła Anne. – Nie twierdzę, że na pewno mam rację. Mówię ci tylko, jakie miałam odczucia.

– Uważałaś, że Jon był cudowny.

– Miło było przebywać w jego towarzystwie. – Anne uśmiechnęła się z sympatią, jakby wspominała starego dobrego przyjaciela.

– Mel niedawno mi powiedziała, że Jon był dupkiem, z którego bił samozachwyty. Był brutalnie sarkastyczny. Traktował mnie jak idiotkę. Na granicy agresji werbalnej.

– Och, Ellen, wcale taki nie był. Nie próbuj zmieniać historii. A zwłaszcza w sposób stawiający cię w roli ofiary. Nie znoszę tej mentalności ofiary, którą przejawia dziś tyle kobiet. To był tylko nieudany związek. On nie był żadnym potworem.

– Ale mnie tak strasznie unieszczęśliwił! – rzekła Ellen trzęsącym się głosem. Był TAKIM potworem! Przypomniał jej się czas, kiedy skończyła piętnaście lat, hormony zaczęły jej buzować i każda rozmowa z matką kończyła się płaczem. – A przy Patricku jestem szczęśliwa.

– Cóż, w takim razie nic innego się nie liczy – orzekła Anne tym samym trzeźwym, rozsądnym, polubownym tonem, który doprowadzał

Ellen do szau, kiedy miała piętnaście lat. – Nie musisz przecież brać pod uwagę mojego zdania. Spójrz na mnie. Co ja wiem o mężczyznach?

– Nic – odparła Ellen. – Nie wiesz nic.

Matka uniosła brwi i podniosła filiżankę.

– Nie zamierzałam cię urazić.

– Niestety uraziłaś – odparła Ellen pośepnie. Naprawdę zachowywała się jak nastolatka. Gdzie się dziś podziała jej dojrzała inteligencja emocjonalna?

– Przepraszam, naprawdę cię przepraszam. – Anne niezdarnie poklepała Ellen po ramieniu. – Wciąż wyglądasz strasznie blado.

– Pewnie dlatego, że jestem w ciąży – rzuciła Ellen i zalała się cudownym, wyzwalającym potokiem słonych łez.

*

We wtorek zadzwoniłam do pracy, że jestem chora, i znowu pojechałam do Avalon Beach. Wzięłam swoją nową deskę surfingową.

Nigdy przedtem tak nie robiłam. Nie w takim duchu mnie wychowano. Mama byłaby zdumiona. Uważała, że regularna wypłata to coś cudownego, coś, co należy w każdych okolicznościach doceniać. Do dziś pamiętam nabożną cześć w jej głosie, kiedy opowiadała znajomym o mojej pierwszej pracy. „Saskia załatwiła sobie pracę”.

Pamiętam, jaka była zdezorientowana, słysząc, jak wspominam o „satysfakcji z pracy”. „Kochanie, przecież ci płacą!” Obawiała się, że mogę być niegrzeczna wobec szefa. Na pewno byłaby przekonana, że niepojawienie się w pracy z powodu rzekomej choroby to szaleństwo, ryzyko i brak manier.

Przepraszam, mamó. Potrzebowałam dnia przerwy dla poratowania zdrowia psychicznego.

„Jakiego znów zdrowia psychicznego?” – prychnęłyby.

Nie wierzyła w nowoczesne choroby typu depresja czy anoreksja. U syna znajomych zdiagnozowano depresję kliniczną, czym była totalnie zdegustowana: „I czym ten niemądry człowiek tak się smuci? Przecież ma dobrą pracę! Żonę! Dziecko!”.

Wierzyła w żałobę po czyjejsź śmierci, radość z powodu narodzin, miłości i małżeństwa oraz zwyczajnego dostatku jedzenia i zadbanego domu. Wszystko, co ponad to, było dla niej po prostu „niemądre”.

Ciekawa jestem, czy stwierdziłaby, że ja jestem niemądra, bo nie mogę przeboleć rozstania z Patrickiem. Uwielbiała go. I Jacka, oczywiście. Traktowała Patricka jak zięcia, a Jacka – jak wnuka.

Sądzę, że Patrick poznał już rodziców hipnotyzerki. Myśl o tym, że rozmawia z jej matką, uprzejmie, starając się zrobić jak najlepsze wrażenie, jakby moja droga, kochana mama w ogóle nigdy nie istniała i tylko służyła do wprawek przed prawdziwą teściową – cóż, ta myśl napętnia mnie po prostu przepotężną falą wściekłości.

Przestałam sięgać po słuchawkę, by zadzwonić do mamy. Robiłam to przez długie miesiące po jej śmierci. Parę razy wybrałam nawet numer, po czym przypominałam sobie i szybko się rozłączałam, zanim zdążył odebrać ktoś obcy. Kiedy dzwoni telefon, nie myślę już: „To pewnie mama”, ale ciągle za nią tęsknię. Codziennie.

Rozumiem, że śmierć rodzica to naturalny aspekt życia, który trzeba przyjąć. Nikt nie nazwie śmierci schorowanej osiemdziesięciolatki tragedią. Na jej pogrzebie było ciche popłakiwanie i czerwone, załzawione oczy. Bolesnych, rozdzierających szlochów – nie. Teraz myślę, że powinnam była pozwolić sobie na lament, zawodzenie, bicie się w piersi i rzucanie się całym ciałem na jej trumnę.

Przeczytałam wtedy wiersz. Piękny, wzruszający wiersz, który na pewno by jej się spodobał. Powinnam była powiedzieć coś własnymi słowami, od siebie. Powiedzieć: „Nikt nigdy nie pokocha mnie równie mocno jak matka”. I jeszcze: „Wszystkim wydaje się, że przyszli na pogrzeb miłej, kruchej staruszki, ale nie, jesteście na pogrzebie dziewczyny imieniem Clara, która nosiła długie blond włosy splecione w gruby warkocz do pasa i zakochała się w nieśmiałym chłopaku pracującym na kolei. Przez lata starali się o dziecko, a kiedy wreszcie się okazało, że Clara jest w ciąży, tańczyli wokół salonu, ale powoli, tak, by nie zaszkodzić maleństwu. Pierwsze dwa lata życia ich córeczki były najszczęśliwszym czasem w życiu Clary, chociaż umarł jej mąż i musiała wychowywać małą sama – zanim jeszcze wprowadzono coś takiego jak zasiłek dla samotnych matek, ba, zanim nawet zaczęto używać terminu »samotna matka«”.

Powinnam była im powiedzieć o swoich szkolnych latach i o tym, że kiedy po południu niespodziewanie robiło się chłodno, mama czekała na mnie przed szkołą z kurtką. Że miała taki wstręt do gotowanych brokułów, że nie była w stanie nawet na nie patrzeć, i że uwielbiała głównego bohatera brytyjskiego serialu *Sędzia John Deed*. Że uwielbiała czytać i że okropnie gotowała, ponieważ próbowała jednocześnie gotować i czytać książkę z biblioteki, w wyniku czego książki z biblioteki zawsze były schlapane tłuszczem, a mama godzinami czyściła te plamy za pomocą zwilżonego rogu kuchennej ścierki. Powinnam była im powiedzieć, że mama uważała Jacka za własnego wnuka, i o tym, że uszyła mu na łóżko narzutę z samochodem wyścigowym, którą uwielbiał. Powinnam była mówić i mówić, chwycić obiema rękami mównicę i uświadomić wszystkim: „Nie była zwykłą staruszką. Była Clarą. Moją matką. Była cudowna”.

Zamiast tego przeczytałam tylko krótki wierszyk, do przyjęcia, po czym usiadłam i trzymałam Patricka za rękę. Potem on pomógł mi roznosić znajomym mamy filiżanki z herbatą i miło gawędził ze starszymi paniami. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że nie mam rodziny, bo Patrick ani na chwilę nie puszczał mojej ręki i wiedziałam, że na lotnisku w Sydney Jack przybiegnie i rzuci nam się w ramiona. Wiedziałam też, że mama Patricka zostawi w lodówce ogromny gar swojego pysznego boeuf Strogonow, bo to moje ulubione danie.

Cztery tygodnie później Patrick powiedział: „To już chyba koniec”.

Myśli krążyły mi w głowie bez końca. Poczulałabym się lepiej, gdybym zadzwoniła do mamy i powiedziała jej o Patricku, ale mama nie żyje. Gdybym powiedziała Patrickowi, że nie mogę uwierzyć, że mama nie żyje, poczułabym się lepiej, ale Patrick już mnie nie chce. Ulgę sprawiłoby mi towarzystwo Jacka, zabranie go na spacer lub do kina, ale nie jestem już jego mamą. Poczulałabym się lepiej, gdybym poszła odwiedzić Maureen, ale nie mogę, bo nie jest już częścią mojego życia.

Nie miałam wystarczająco dużo bliskich, by zrekompensować utratę tylu osób naraz. Nie miałam dalekich ciotek, kuzynów ani dziadków. Nie miałam żadnego zaplecza. Nie byłam ubezpieczona na wypadek takiej straty.

Ból wydawał się dosłownie fizyczny – jakby ktoś odrywał mi skórę wielkimi płacami, a rany nigdy się nie goiły.

A teraz jeszcze hipnotyzerka będzie miała dziecko.

Więc, mammo, wiem, że to dobra praca i że mi płacą, ale od chwili gdy zobaczyłam testy ciążowe hipnotyzerki, w pracy przychodziły mi do głowy różne dziwne rzeczy. Czasem wyobrażałam sobie, że chlustam koleżance z biurka obok gorącą kawą w twarz albo że zrywam z siebie wszystkie ubrania, lecę nago do sali, gdzie obraduje zarząd, wykrzykując

przekleństwa, albo że chwytam parę ostrych nożyczek i wbijam je sobie w udo. Ty byś tego nie zrozumiała. Tobie szalone myśli nigdy nie przychodziły do głowy.

Zadzwoiłam więc, że jestem chora, i poszłam na plażę, aby nauczyć się surfować.

Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewałam. Deska była śliska. Czemu taka śliska? Nie dawałam rady utrzymać jej we właściwej pozycji pod brzuchem. Ciągłe się zsuwałam. Kiedy patrzyłam, jak robią to inni, wyglądało to na banał. Wściekałam się i klęłam. Myślałam sobie: nawet deska do surfingu mnie nie chce.

A kiedy już udawało mi się utrzymać deskę nieruchomo, nie umiałam obliczyć czasu, by złapać falę.

Pomyślałam: Skoro potrafi to zrobić sześciolatek, to co jest ze mną nie tak?

Pomyślałam: Skoro inni potrafią odnaleźć miłość i mieć dzieci, zakładają rodziny, to co jest ze mną nie tak?

Pomyślałam: Skoro inni nie mają obsesji na punkcie byłych partnerów, to co jest ze mną nie tak?

Zastanawiałam się, czyby w ramach kaprysu nie pozwolić desce po prostu odpłynąć w morze, ale uznałam to za zbyt dużą rozrzutność, a i tak już wstyd mi było z powodu wagarów w pracy.

Kiedy wracałam do samochodu, pociągając nosem z zimna, rozdrażniona, że nie potrafię nawet wygodnie trzymać głupiej deski pod pachą, ujrzałam tego faceta o wełniastych włosach – tego samego, który mnie widział śpiącą na plaży w czerwonej sukience. Szedł w kierunku morza z deską wygodnie wetkniętą pod ramię.

„Jak się pływało?” – spytał.

„Głupio” – odparłam, nie zatrzymując się.

Kiedy dotarłam do samochodu, zaczęła dzwonić komórka.
To była hipnotyzerka.

*

W czasie pierwszego wspólnego lotu Ellen i Patrick byli rozgadani i podekscytowani. Oboje chichotali, kiedy stewardesa o wyjątkowo ponurej fizjonomii dokonała prezentacji kamizelek ratunkowych i wyjść ewakuacyjnych, choć nikogo poza nimi najwyraźniej to nie bawiło. Kupili sobie książki, żeby mieć co czytać w samolocie, ale wciąż odkładali je na kolana i rozmawiali.

Patrick był w doskonałym nastroju.

– Nawet nie wiem, czy byłaś kiedyś w Noosa – zagadnął, kiedy już wystartowali.

– Nie byłam – odparła Ellen. – A ty?

– Tylko raz – odpowiedział. – Właśnie tam poznałem Saskię.

Ellen zwróciła uwagę, że wspomniał o niej jak o zwyczajnej dziewczynie, co należało do rzadkości.

– Jak się poznaliście? – spytała lekko, starając się, by w jej głosie nie dało się wyczuć nadmiernego zainteresowania.

– Oboje byliśmy na konferencji – wyjaśnił. – Jest urbanistką, mówiłem ci? Nieważne, w każdym razie siedziałem obok niej na jakiejś sesji. To niesamowite, ale ja wtedy czułem się trochę jak świr, pewnie wciąż byłem w szoku po śmierci Colleen, a Saskia wydawała się taka silna, trzeźwa, twardo stąpająca po ziemi. Bardzo lubiła wędrówki i raz zabrała mnie na długą, cudną wycieczkę po parku narodowym. Nie miałem wtedy w ogóle ruchu, a tu nagle serce zaczęło mi pompować krew, zaczerpnąłem powietrza, zobaczyłem przepiękne widoki i poczułem się tak, jakby zwrócono mi szansę na szczęście.

– Endorfiny – stwierdziła Ellen. – Może w czasie weekendu też nam się uda trochę powędrować.

A jak już będziesz po uszy napompowany endorfinami, powiem ci o dziecku.

– Mam nadzieję. Był czas, kiedy chodziliśmy z Saskią na wyprawy w każdy weekend, ale potem coś jej się stało z nogą. Nie była w stanie normalnie pokonać w zasadzie żadnego dystansu. Naprawdę nieprzyjemna dolegliwość.

– Co to było? – spytała Ellen.

Coś w tej historii brzmiało znajomo. Czy Patrick już nie wspominał o nodze Saskii? Gdyby tak było, na pewno by pamiętała. Uważnie gromadziła wszelkie informacje o jego eks, które tak skąpo jej dawkował.

– Nikt nie miał pojęcia. Chodziła po lekarzach, fizjoterapeutach, ale żaden nie był w stanie jej pomóc. Jakiś specjalista powiedział, że to wszystko tkwi w jej głowie. Tak się wściekła, że wstała i wyszła.

Ellen z pełną świadomością stwierdziła, że doznaje dziwnego, oślizgłego uczucia paniki, jakby właśnie sobie uświadomiła, że zapomniała wyłączyć piekarnik.

– Czasem, żeby ugotować coś do jedzenia, musiała przynosić sobie krzesło do kuchni – wspominał Patrick. – Ból kompletnie ją odmienił. Przedtem uwielbiała ruch. Najpierw okazywałem jej współczucie, ale później ogarnęła mnie kompletna frustracja, bo nie mogłem nic zrobić. Ona myślała, że tracę do niej cierpliwość, ale nie o to chodziło. Współczułem jej, naprawdę. Tylko mnie wściekało, że nie umiem pomóc. Przypominało mi to chorobę Colleen. Uczucie bezradności, nieprzydatności. Jakby przegrywało się walkę i nie było się w stanie zadać choćby jednego ciosu.

Uwagę Patricka odwróciła nadchodząca stewardesa. Odkręcił się w jej stronę.

– Napijemy się czegoś? Tyle że będziemy musieli za to płacić, więc trochę straci smaczek. To minus tanich lotów.

To nie może być zbieg okoliczności, niemożliwe.

O mały włos nie powiedziała na głos: „O! To zabawne, ale mam pacjentkę, która skarży się na identyczną dolegliwość”.

Wiedziała, że to nie zbieg okoliczności. Wiedziała też, że on pomyślałby tak samo.

Deborah.

Jak miała na nazwisko?

Deborah Vandenberg.

Miała przed oczami jej twarz. Spóźniła się na pierwszą wizytę. Wydawała się troszkę dziwna, jakby niestabilna, niebudząca zaufania, ale przecież większość pacjentów na pierwszej wizycie robiła podobne wrażenie. Ludzie, którzy nie byli wcześniej u hipnoterapeuty, nie wiedzą, czego się spodziewać. Rozglądają się więc ostrożnie wokoło, jakby podejrzewali, że zaraz ktoś zrobi im głupi dowcip.

„Cierpię na ból nogi” – powiedziała do Ellen i powiodła dłonią wzdłuż długiej, obleczonej w niebieski dżins kończyny.

Mówiła, że czasem musi gotować na siedząco. Opowiadała o lekarzu – wazeliniarzu, który pytał, czy ostatnio zdarzyło jej się doświadczać „stresu”, i o tym, jak rozwścieczona jego sugestiami, że być może ból jest tylko kwestią wyobraźni, bez słowa opuściła gabinet.

Deborah to Saskia.

Saskia to Deborah.

Ellen cały czas miała na jej punkcie obsesję, a tymczasem się okazało, że ją zna, że z nią rozmawiała, ba, że Saskia była u niej w domu. Wysoka sylwetka, zapadająca w pamięć. Interesujące oczy. Piuwne, prawie złote. Takie tygrysy. (Ellen zwracała uwagę na oczy, bo wychowała się w cieniu

fiolkowych oczu matki). Dobrze ubrana. Elokwentna. Ellen nigdy w życiu nie wzięłaby jej za stalkerkę. Nie miała wprawdzie konkretnego wyobrażenia o byłej dziewczynie Patricka, ale jej myśli kierowały się raczej w stronę niepozornej, niskiej, mrużącej oczy, drobiącej małymi kroczkami szarej myszki. (Czemu uważała, że osoby wysokie nie mogą być nienormalne? Bo wyglądały, jakby rządziły światem? Bo je podziwiała i zazdrościła im długich nóg?)

Poczuła na ramieniu rękę Patricka.

– Ellen? Napij się czegoś?

Co ciekawe, nawet ją lubiła. To znaczy Deborah – Saskię. Lubiała sesje z nią. Ich pogawędki. Raz podziwiała jej buty, a Deborah – Saskia powiedziała, że prócz tego, że są ładne, są jeszcze wygodne, po czym Ellen poszła do sklepu i kupiła sobie identyczne, wydając na nie znacznie więcej, niż kiedykolwiek zapłaciła za obuwie.

I właśnie miała je na sobie.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała i wsunęła stopy pod siedzenie.

Więc Saskia naprawdę szukała pomocy w sprawie nogi? Czy to była tylko wymówka? Jeśli tak, to jaki konkretnie cel jej przyświecał? Chciała sobie obejrzeć Ellen? (Tak samo jak Ellen czuła nieodpartą chęć, by dyskretnie popodglądać przyszłą żonę Jona, higienistkę dentystyczną, z tym że w życiu nie umówiłyby się na wizytę, ponieważ nie była aż tak zainteresowana, a żenada, gdyby ktoś się dowiedział, byłaby niewyobrażalna).

Patrick westchnął i wyciągnął przed siebie nogi.

– Najlepszą rzeczą, jeśli chodzi o wyjazd z Sydney, jest to, że nie będę się musiał martwić, że Saskia nagle się gdzieś pojawi. Nie wziąłem nawet komórki. Mamie i Jackowi zostawiłem numer hotelu i twoją komórkę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, miałem cię zapytać.

– Oczywiście, że nie mam.

O nie, nie, nie.

– Dobra, to była ostatnia rzecz, jaką zamierzałem powiedzieć na temat tej kobiety przez cały weekend. Nie będę więcej o niej wspominał, nie będę o niej myślał, nie będę na nią patrzył. Oto wkraczamy w strefę wolną od Saskii.

O Boże. Ellen stukała rytmicznie dwoma palcami w czoło. Gdyby to wszystko nie było takie okropne, mogłoby nawet być zabawne. Przynajmniej odrobinę.

– Co się dzieje?

– Coś sobie właśnie przypomniałam. Coś, co miałam załatwić przed wyjazdem.

Powiedziała przecież Deborah, to znaczy Saskii, dokąd się wybierają na weekend. Ba – wymieniła nawet nazwę hotelu.

Poprzedniego dnia zadzwoniła do niej na komórkę, żeby poprosić o przełożenie poniedziałkowej wizyty.

„Wyjeżdżam niespodziewanie – wyjaśniła – na długi weekend, do Noosa”.

„Zazdroszczę” – odparła Saskia chłodnym głosem Deborah. „Uwielbiam Noosa. Gdzie się zatrzymasz?”

„Zdaje się, że mój partner zarezerwował pokój w Sheratonie” – odparła.

Partner! Nazwała Patricka swoim partnerem! Czemu to zrobiła? Przecież szczerze nie znosiła tego słowa. Otóż dlatego, że Deborah wydawała jej się typem kobiety, dla której „chłopak” jest określeniem zbyt infantylnym. Po co w ogóle wspominała o Patricku? Z jakiegoś powodu chciała zaznaczyć, że jest w stałym związku. Pewnie dlatego, że Deborah była atrakcyjną, profesjonalną czterdziestolatką, taką, co to kojarzy się z niezwykle eleganckim związkiem, winnicami, jachtami i wyrafinowanym

seksem, oczywiście bez opcji nieplanowanej ciąży. Pragnęła zatem, by Deborah sądziła to samo na jej temat.

Tak oto z powodu głupiego, zupełnie nieprofesjonalnego pragnienia, by zaimponować klientowi (niedopuszczalne, naprawdę), poinformowała Saskię, że wyjeżdżają na romantyczny weekend w to samo miejsce, w którym ona poznała Patricka.

Zerknęła na niego. Oparł głowę na zagłówek, na jego twarzy malował się wyraz odprężenia.

– Nie zdaję sobie sprawy, jak ona mnie stresuje, dopóki nie wyjadę – powiedział, nie otwierając oczu.

Ellen zwiesiła głowę i w cichej udręce uderzyła się wewnętrzną stroną nadgarstka w czoło. Zamiast ułatwić Patrickowi życie, pomogła jego nagabywaczce, podżęgała ją. Poczowała, że ma sucho w ustach. Podniosła głowę. Saskia nie pojedzie przecież za nimi do Noosa, prawda? Niemożliwe, żeby na przykład kupiła bilet na ten sam lot. Ellen odpięła pas i rozejrzała się po twarzach siedzących wokół pasażerów. Ludzie unikali kontaktu wzrokowego albo byli zajęci rozmową czy lekturą. Tylko mała dziewczynka, siedząca na kolanach mamy i nerwowo ssąca smoczek, odpowiedziała jej ciekawskim spojrzeniem. Ellen opuściła się na fotel, tłumiąc histeryczne pragnienie, by się rozpłakać lub wybuchnąć śmiechem.

W takim razie przez cały weekend będzie dźwigać na barkach nie jedną poważną tajemnicę, a dwie. W każdej chwili jednym nieuważnym słowem gotowa jest bez uprzedzenia zmazać z twarzy siedzącego obok niej mężczyzny błogi spokój.

Patrick otworzył oczy. We wlewającym się przez okienko światłe wydawały się jeszcze bardziej zielone.

– W porządku?

– Jak najbardziej. – Poklepała go po kolanie i odwróciła twarz do okna, skąd widać było skrzydło samolotu. – Świetnie.

*

Zdołałam się dostać na ten sam samolot.

Przeszli tuż koło mnie. Patrick pierwszy, marszcząc czoło, by dojrzeć numery miejsc na karcie pokładowej. Ellen za nim, rozglądając się rozmarzonymi oczami. Nie muszę sprawdzać numerów miejsc na karcie pokładowej, bo mój „partner” o to zadba. Jestem taka nowoczesna, szczęśliwa i w ciąży.

Wyjeżdża z „partnerem”. Nienawidzę tego słowa. Jest takie typowe dla Sydney. Co jest złego w „chłopaku”? Kiedy był ze mną, był moim chłopakiem. A ja – jego dziewczyną.

Wszyscy więc jedziemy do Noosa na weekend. Wesoły trójkącik.

Kiedy usłyszałam „Noosa”, z wrażenia upuściłam deskę do surfingu. A myślałam, że nie znajdzie więcej sposobów, by mnie zranić. Czemu Noosa? Ten kraj pęka w szwach od miejsc, w których można spędzić romantyczny weekend, a on wybiera akurat Noosa.

Byłam przekonana, że moim wspomnieniom z tamtego tygodnia nic nie grozi. Myślałam, że nikt i nic nie ma do nich dostępu. Pamiętam każdą minutę. Każdy smak, dźwięk, zapach.

Wciąż dokładnie czuję w dłoni kształt klucza do pokoju, a na wargach mieszankę soli, lodu i alkoholu po wielu margaritach, kiedy jechaliśmy razem hotelową windą, patrzyliśmy na wyświetlające się numery pięter i oboje byliśmy w pełni świadomi, że za chwilę znajdziemy się w moim pokoju i po raz pierwszy będziemy się kochać. Wciąż widzę spaloną słońcem twarz chłopca hotelowego, który następnego ranka przywiózł

śniadanie. Czuję zapach świeżej kawy i bekonu. Widzę okruchy croissantów, rozrzucone na gazecie, którą czytaliśmy w łóżku.

Zatrzymają się w Sheratonie. Nawet to. Dlaczego musiał rezerwować pokój akurat tam? Nie mogę się nadziwić, bo dla mnie wspomnienia tamtego tygodnia są czymś szczególnym. On pewnie myśli – czasem potrafi być taki głupi – że podobne szczęście można przeżyć jeszcze raz, z kimś innym.

Nie można. Nie można wymazać mnie ze wspomnień i zastąpić inną kobietą.

Dlatego właśnie, kiedy tylko hipnotyzerka do mnie zadzwoniła, od razu wiedziałam, co zrobię. Musiałam jechać. Musiałam tam być. Musiałam mu pokazać, że też tam jestem. I że zawsze będę.

Wybiorę idealny moment, by dać im o sobie znać. Będzie zły, ale to nic. Wolę jego wściekłość niż obojętność. Wolę, żeby na mnie wrzeszczał, niż żebym w ogóle nie istniała.

*

Patrick mył zęby, a Ellen leżała już w łóżku, oglądając film i jedząc czekoladę z minibaru.

Pokój był idealny. Ogromne łóżko z szeleszczącą, białą pościelą, wielkie, puchate ręczniki, lampki z abażurami, dającymi miękkie światło i neutralne kolory.

Jak wszystkie pokoje hotelowe, w których bywała z innymi mężczyznami.

– Gdzie nocowałeś ostatnim razem? – zapytała Ellen w windzie.

– Tutaj – odparł Patrick, nie odrywając wzroku od wyświetlających się nad głową numerów pięter.

– Więc w tym samym hotelu poznałeś Saskię?

– Cóż, wiedziałem, że będzie dobry – odpowiedział Patrick, po czym położył palec na jej wargach. – A teraz cicho. Pamiętaj, że przez cały weekend nie wymawiamy jej imienia.

Biedna Saskia musiała więc usłyszeć, że Ellen i Patrick będą mieszkać w tym samym hotelu, w którym się poznali. Na niebiosa, to z całą pewnością również ten sam hotel, w którym po raz pierwszy się kochali. Jak na tę wiadomość zareaguje jej skrzywiona psychika?

Ellen spojrzała na drzwi i przypomniała sobie sceny z horrorów. Zamówią obsługę do pokoju, Saskia przebierze się za kogoś z personelu, z opuszczoną głową wprowadzi do pokoju wózek z jedzeniem, a muzyka wzmoże czujność widzów i zapowie nadchodzącą tragedię, kiedy zaś osiągnie przerażający moment kulminacyjny, Saskia rzuci się na nich z nożem i...

– Wzięłaś pastę? – Patrick wystawił głowę przez drzwi.

– Tak, jest w mojej kosmetyczce.

Wciąż był zbyt uprzejmy, żeby bez pytania grzebać w jej rzeczach.

A ona nosiła jego dziecko.

Za wcześnie. Za wcześnie.

„Cóż, oczywiście, urodzisz je” – oznajmiła Anne.

„Niekoniecznie” – odpowiedziała Ellen, zdziwiona nieznoszącym sprzeciwu tonem matki. Przypuszczała, że Anne prędzej powie coś w rodzaju: „Cokolwiek postanowisz, pomogę ci, a poza tym, jaką stosowałaś antykoncepcję?”.

„To zależy, co Patrick powie. Bo jeśli o mnie chodzi, to znasz moje nastawienie. Jestem za wolnym wyborem”. To było bardzo amerykańskie. Przez chwilę sama się zawahała, czy gra do właściwej bramki. Jak się nazywała bramka przeciwnika? Pro-life? Cóż, była za życiem.

Anne prychnęła.

„Nie masz już szesnastu lat, tylko trzydzieści pięć. Za wszelką cenę chcesz mieć dziecko...”

„Co? Skąd ci to przyszło do głowy? Za grosz nie jestem zdesperowana”.

„Obserwowałam twój wyraz twarzy na imprezie z okazji przyjścia na świat dziecka Madeline, jak trzymałaś na rękach tę, no, jakżeż ma na imię – a muszę ci powiedzieć, że to wyjątkowo szpetne niemowlę”.

„Mamo”.

„Wyglądało jak mała ropucha. Nieważne. O co mi chodzi: po pierwsze, chcesz mieć dziecko, po drugie, jesteś finansowo niezależna, po trzecie, lubisz ojca dziecka, a może nawet go kochasz. Gdybyś zdecydowała się na aborcję, a później nie mogła zająć w ciążę, nigdy byś sobie nie wybaczyła. To oczywiste, że urodzisz to dziecko. Powiedz mu, że zamierzasz je urodzić, żadne z was tego nie planowało, ale cóż, to już się stało, nie żyjemy w latach pięćdziesiątych, więc nie musi się z tobą żenić i tak dalej, może się angażować tylko w takim stopniu, w jakim sobie życzy. Wszystko jest bardzo proste. W stosunku do dziecka będzie miał co prawda zobowiązania prawne, ale na twoim miejscu zbytnio bym się tym nie przejmowała. Masz dom po dziadkach. Masz mnie i swoje chrzestne. Nie potrzebujesz jego pieniędzy”.

„Chyba nie” – odparła Ellen. Pieniądze Patricka były ostatnią rzeczą, którą się przejmowała.

„Nie ma w tym nic skomplikowanego” – podsumowała Anne, postukując radośnie opuszkami palców o blat.

Ellen ze zdumieniem stwierdziła, że matka jest zadowolona perspektywą dziecka. Może nawet zachwycona.

Chwila milczenia, po której cała łagodność zniknęła z twarzy matki.

„Oczywiście jest jeszcze bardzo wcześnie” – dodała. „W twoim wieku ryzyko poronienia w pierwszym trymestrze jest relatywnie duże”.

„Dzięki, mamó”.

„No co, przecież sama rozważasz aborcję, więc nie powinnaś się przejmować, że możesz poronić”.

„Nie powiedziałam... a zresztą, dobra”.

Matka miała rację. Nie miała wątpliwości. Planowała urodzić dziecko. Komplikacje nie miały nic wspólnego z tym, czy ona pragnęła urodzić, tylko z tym, w jaki sposób ten fakt wpłynie na jej związek z Patrickiem.

Bo Ellen nie chodziło o samo dziecko. Chciała je dostać w pakiecie ze wszystkim innym: z mężem – tatą dziecka, z mężczyzną trzymającym ją za rękę w sali porodowej.

I tego właśnie nie była w stanie wyznać matce. Nie chcę tego robić po twojemu. Nigdy nie chciałam. Nie chcę sama wychowywać dziecka. Nie chcę się wyróżniać. Chcę być taka jak wszyscy.

Patrick wyszedł z łazienki i wskoczył do łóżka. Odłamał sobie kawałek czekolady z tabliczki, którą pożywiała się Ellen.

– Ej, przed chwilą myłeś zęby – zaprotestowała Ellen.

– Wiem. Nie mów Jackowi. Niegrzeczny ze mnie tata.

Skoro już przy tym jesteśmy, to co byś powiedział na drugie dziecko? Omal nie powiedziała tego na głos, ale nie, była zbyt zmęczona, nie miała energii na rozmowę. Jutro. Porozmawiają o tym jutro. Dobrze, że dużo nie pił. Kiedy przy kolacji podziękowała za wino, powiedział tylko:

– W porządku, w takim razie ja też nie będę pił.

Butelka dobrego wina do kolacji stanowiła integralną część związku z Jonem, który natychmiast wzmógłby czujność, gdyby odmówiła alkoholu.

Oglądali film, jednak wątek był zbyt pokręcony. Nie mogli pojąć, kto jest kim i o co chodzi. Oboje ciągle pytali:

– Co? Kto to?

W końcu wyłączyli, stwierdzając zgodnie, że albo są zbyt zmęczeni, albo za starzy, i odwrócili się do siebie.

Kochali się jak przez sen – powoli i czule, jak małżeństwo z długim stażem. Ellen była bliska łez. Wszystko ułoży się wspaniale.

– Zahipnotyzujesz mnie, żebym zasnął? – poprosił Patrick, kiedy zgasili światło.

– Zmęczona jestem – ziewnęła Ellen.

Bardzo szybko weszło im w nawyk, że przed zaśnięciem przeprowadzała z nim pięciominutowe ćwiczenie relaksacyjne, które uwielbiał. Twierdził, że to magia i że słuchanie jej głosu przed zaśnięciem to najlepsza część dnia, i że nie sypiał tak wspaniale od czasów dzieciństwa, i że pomagała mu się uwolnić od stresu związanego z „tą kobietą”, z pracą, ze wszystkim. Nikt nigdy aż tak nie chwalił jej umiejętności.

– W porządku – odparł Patrick. – Za bardzo cię eksploatuję. Sam nie miałbym teraz ochoty iść na pomiary.

Ej, był przecież miły, a poza tym niczego nie pragnęła bardziej, niż żeby jutro czuł się odprężony.

Usiadła więc i położyła mu dłoń na czole. Czasem ten gest wydawał jej się bardziej intymny niż seks. W pracy z klientami rzadko posługiwała się dotykiem, choć znała terapeutów, którzy stale go stosowali. Leżąc w łóżku pod osłoną atramentowoczarnej ciemności, ze świadomością, że jej słowa są na tyle silne, by rysować obrazy w jego głowie, spowolnić jego tętno i obniżyć ciśnienie krwi, czuła, że ma odżywczą, tajemniczą moc. Jak dobra wróżka, jak czarownica. Nie hipnoterapeutka, a hipnotyzerka.

– Za chwilę policzę do dziesięciu. Na trzy lub cztery zaczniesz oddychać wolniej, a twoje powieki staną się ciężkie. Na pięć lub sześć zaczną opadać, a ty będziesz z nimi walczył. Na siedem, osiem lub dziewięć poczujesz, że nie dajesz rady i zamkniesz oczy. Kiedy doliczę do dziesięciu, będą zamknięte, a ty będziesz oddychać miarowo i głęboko.

Widziała w ciemności błysk jego oczu. Już teraz wyczuwała, że oddech mu zwalnia. Za każdym razem stosowała inną technikę indukcji – cokolwiek przyszło jej do głowy. Była z nim swobodniejsza, wolniejsza i bardziej twórcza niż z płatnymi klientami.

Zaczęła odliczanie, zwiększając nacisk dłoni na jego czole. Mówiła coraz łagodniejszym tonem, coraz wolniej, coraz bardziej nagłaco.

Kiedy doliczyła do siedmiu, opadły mu powieki.

– A teraz chcę, abyś sobie wyobraził ciepły miód powoli skapujący z łyżki.

Uwielbiał miód. Dokładał sobie go sporo do porannego musli. Zwróciła uwagę, że stał w kuchni jak zaklęty, obserwując, jak miód powoli spływa z zawieszanej w powietrzu łyżki.

– Ten miód nie jest zwyczajny. Ma kolor poranka. Jest ciepłym, słodczym, bezpieczeństwem. Jest każdą szczęśliwą chwilą w twoim życiu. Każdym pięknym wspomnieniem. Każdą sekundą, w której czułeś, że naprawdę żyjesz.

Wiedziała, że Patrick widzi ten miód. Sama również go widziała. Siebie też wprowadziła w lekki trans. Czasem się to zdarzało, kiedy praca szła dobrze, i zawsze stanowiło ogromną przyjemność.

– Cały czas obserwuj ten miód. Przyglądaj mu się, dopóki w głowie nie zostanie ci nic innego.

Przerwała na chwilę. Czując pod dłonią wypukłość jego czaszki i ciepło jego ciała przy swoim ciele, pomyślała: Oto ojciec mojego dziecka. Będzie

tatą, a ja będę mamą.

Możliwe, że jeśli chodziło o koncepcję ojcostwa, była po prostu nadmiernie romantyczna.

– Teraz chciałabym, abyś skoncentrował się na stopach. Wyobraź sobie, że wtapiają się w łóżko niczym ciepły miód. Rozpuszczają się... stają się płynne.

Powoli pracowała nad resztą jego ciała, stosując tę samą metaforę miodu, zachęcając, by coraz głębiej zapadał w trans. Jeszcze nigdy nie wprowadziła go w aż tak głęboki stan.

Uszczypnęła go w ramię. Nie zareagował. Spontaniczna narkoza.

Gdyby był zwyczajnym klientem, nadszedłby czas na tak zwaną sugestię posthipnotyczną. Gdyby miała przed sobą palacza, mogłaby powiedzieć na przykład: „Za każdym razem, sięgając po paczkę papierosów, poczujesz wstręt i odrazę”. Gdyby miała do czynienia z nałogowym obżartuchem, powiedziała by: „Będiesz jeść powoli, z uwagą i tylko to, czego naprawdę potrzebuje twoje ciało”.

Patrick nie poprosił jednak o pomoc w żadnej konkretnej sprawie. Chciał jedynie obniżyć poziom stresu. Chciał tej nocy dobrze spać.

Jako terapeutka wiedziała by tylko to, co jej powiedział.

Tak się jednak złożyło, że jako jego dziewczyna miała świadomość, że najprawdopodobniej czeka go niezmiernie stresujący weekend.

Powiedziała więc:

– Przez cały weekend będzie ci towarzyszyć uczucie cudownego odprężenia, wspaniałego samopoczucia.

Nic w tym nie było złego. Przecież właśnie tak zamierzał spędzić nadchodzące dni. Dodała:

– Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli zobaczysz lub usłyszysz coś, co cię zmartwi albo zdenerwuje, to dotyk mojej ręki na twoim prawym ramieniu,

o, taki, natychmiast przywróci cię do stanu głębokiego odprężenia.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Czymkolwiek zaskoczyłoby cię życie, poradysz sobie z tym. Jeśli zdarzy się coś niespodziewanego, masz w sobie potencjał, by jak najlepiej rozwiązać sprawę. Nie będziesz pamiętał moich sugestii. A teraz, kiedy doliczę do trzech, wyjdiesz z transu i natychmiast zaśniesz. Prześpisz całą noc, nie budząc się i nie śniąc o niczym, a rano wstaniesz świeży i pełen energii. Raz. Dwa. Trzy.

Jego oddech wyraźnie się zmienił, stał się płytszy. Z jego gardła wydobył się komiczny dźwięk, coś między chrapnięciem a parsknięciem.

– Dziękuję – wymamrotał, przewrócił się na bok, ustawił poduszkę w pionie i wsunął sobie pod głowę. – Dobranoc, kochanie.

I natychmiast zasnął.

Ellen również przekręciła się na drugi bok, tak, by jej plecy przylegały do jego pleców.

Czy przekroczyła granicę etyki zawodowej?

Flynn uznałby, że przekroczyła ją już za pierwszym razem, kiedy zgodziła się zastosować wobec Patricka jakąkolwiek formę hipnozy.

Danny roześmiałby się i stwierdził, że nic takiego jak granice nie istnieje. Przecież w każdym związku chodzi o to, by nakłonić drugą osobę do postępowania zgodnie z twoją wolą. „Przecież każdy jakoś hipnotyzuje partnera” – powiedział kiedyś. „My jesteśmy w tym po prostu ciut lepsi od przeciętnego śmiertelnika”.

A ona sama co o tym sądziła? Cóż – nie uważała, żeby przekroczyła jakąś granicę, ale... może dotknęła jej czubkiem dużego palca u nogi?

Czubkiem palca. Pomyślała o Saskii. Teraz mogła już dopasować twarz do imienia. Inteligentną, atrakcyjną twarz. Saskia nie obawiała się przekroczyć żadnej granicy, by odzyskać Patricka.

Granice były po to, żeby je przekraczać.

W takim razie Ellen robiła to, co uważała za stosowne, dla swego nienarodzonego dziecka. Była lwicą chroniącą młode, matką rzucającą się w ogień, by je ratować. A może to głupota, może próbowała tylko racjonalnie uzasadnić, co z góry uważała za niewłaściwe?

No cóż. Trudno. Nie zrobi tego więcej i tyle. Nauczy Patricka stosować autohipnozę. To było właściwe wyjście. Ten ich niewinny, wydawałoby się, zwyczaj, miał w sobie coś ciut niesmacznego. Za dużą sprawiał jej przyjemność. To był ostatni raz. Czuła się jak ministrant, który sobie obiecuje, że przestanie się masturbować.

Zasnęła. Śniła jej się Deborah, obecnie Saskia. Siedziała po turecku w odchylanym fotelu Ellen, tym dla pacjentów, i zanurzała łyżkę w olbrzymim słoju z miodem. Nabrała miodu, podniosła łyżkę wysoko nad głowę i czekała, aż lepka substancja długą, cieniutką strużką skapnie prosto w jej otwarte usta.

Następnie zamknęła usta, spojrzała na Ellen i powoli, namiętnie, oblizwała lepkie wargi.

„Przekroczyłaś granicę” – rzekła. „Dobrze o tym wiesz”.

„Nie zalej mi fotela miodem” – odpowiedziała szybko Ellen, by ukryć wstyd.

*

Po wyjściu z samolotu schowałam się za grubym filarem na końcu terminalu. Doskonale widziałam, jak czekają przy karuzeli na bagaże, ale oni nie widzieli mnie.

Ellen wciąż się rozglądała, jakby spodziewała się spotkać kogoś znajomego. Za to Patrick był całkowicie skupiony na karuzeli. Z przymrużonymi oczami, złożony do skoku, czekał – prężny i gotowy.

Zawsze tak się zachowywał na wyjazdach. Według niego odbiór bagażu był testem czujności i siły, jakby obowiązkowo musiał dopaść swojej torby i ściągnąć ją na ziemię w tej samej chwili, kiedy się pojawi. Zawsze strasznie się z tego śmiałam.

Ellen też się z tego śmiała. Widziałam jej uśmiech, kiedy Patrick nagle rzucił się w przód i zaatakował obie ich torby jednocześnie, po czym triumfalnie powrócił z ofiarą.

Tę torbę dostał ode mnie na urodziny. Ostatnie wspólne urodziny.

Ellen należy do osób, które wiążą na rączce walizki wstążkę, żeby łatwiej było ją rozpoznać na karuzeli. Na jej bagażu kołysała się więc duża, błyszcząca, niebieska kokarda, niezwykle kobieca, wymyślna, a równocześnie taka rozsądna. Śmiało mogę powiedzieć, że wstążka ta podsumowuje wszystko, co kocham w Ellen i czego w niej nienawidzę.

Patrzyłam, jak podchodzą do stanowiska wypożyczalni samochodów. Patrick niósł obie torby. Widać, że stara się teraz, kiedy ona jest w ciąży, być ekstraopiekuńczy i rycerski.

Pomyślałam sobie, że z racji tego, iż urodziłam się kobietą, również miałam – przynajmniej raz w życiu – prawo do bycia traktowaną jak księżniczka, do tego, by ktoś masował mi stopy w środku nocy i kładł rękę na brzuchu, zabraniając zjedzenia czegoś ciężkostrawnego.

Najwyraźniej jednak nie miałam.

Tak czy inaczej na pewno doprowadzałyby mnie to do szaleństwa. Podoba mi się jedynie myśl o tym. Ale na to, żeby być traktowana jak księżniczka, jestem stanowczo za wysoka.

Kiedy zatrzymali się przy ladzie i rozmawiali z pracownicą obsługi, widziałam, jak Patrick pieści tył jej szyi. W pewnym momencie cała trójka z czegoś się zaśmiała. Wyszli z terminalu, a ja podeszłam do karuzeli po mój bagaż. Był ostatni. Obracał się powoli, samotny, zignorowany

i niewidoczny. Bez wstążki. Stary, zniszczony, zapadnięty wpół. Ciekawe, kogo mi przypomina.

„Przestań wyglądać, jakbyś bolał nad sobą” – warknęłam do niego, a przechodzący obok mężczyzna szybko odwrócił wzrok.

Podeszłam do tego samego stoiska wypożyczalni samochodów. Kobieta za ladą nie obdarzyła mnie równie serdecznym uśmiechem. Trzasnęła ponuro dokumentami, wydała parę ostrzeżeń na temat udziału własnego w kosztach ubezpieczenia oraz poinstruowała mnie, że dokładne oględziny samochodu przed wypożyczeniem to mój obowiązek.

„Prawdę mówiąc, uważam, że to powinien być pani obowiązek” – stwierdziłam.

Spojrzała na mnie z osłupieniem, a ja szybko dodałam:

„Och, nieważne”.

Pojechałam do Sheratonu. Wchodząc do holu, byłam przygotowana na falę wspomnień, ale hotel odnowiono i wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Jakby zrobili to celowo. Saskia, już nie istniejesz. Specjalnie wynajęliśmy projektantów wnętrz, żeby cię stąd wykurzyli.

Po Ellen i Patricku nie było ani śladu.

Poszłam na plażę na spacer. Próbowałam zastosować technikę wskaźnika Ellen, by wyciszyć ból nogi. Może to i działa? Nie jestem pewna, czy to nie kwestia wyobraźni. Powiedziałyby, że dokładnie o to chodzi: mam tak używać wyobraźni, by pomóc sobie w uśmierzeniu bólu.

Zgaduję, że przy okazji porodu będzie miała okazję sama zastosować jedną ze swych technik. Wspominała, że kobiety przechodziły cesarskie cięcie bez narkozy, „korzystając z naturalnego znieczulenia, jakie zapewnia organizm”. Jasne. Ktoś rozcina ci brzuch, a ty nic nie czujesz. Musisz tylko uwierzyć. Brzmi to jak jakiś tekst z filmu o Bożym Narodzeniu.

Nigdy nie sądziłam, że rzeczywiście mogłaby mi pomóc z tym bólem. Była to po prostu pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, kiedy spytała: „W jakim celu pani dziś tu przyszła?”.

Zamiast odpowiedzieć: „Przyszłam, bo widziałam cię na paru randkach z Patrickiem, widziałam, jak na ciebie patrzy, i sądzę, że będziesz moją pierwszą poważną rywalką, więc jechałam za tobą do domu, zobaczyłam uroczą, małą tabliczkę z napisem: »Ellen O’Farrell, Hipnoterapia«, a pod tym podany numer telefonu, więc zadzwoniłam i umówiłam się na spotkanie. Dzień dobry”.

Po każdej z sesji twierdziłam, że nie wydaje mi się, aby hipnoza zadziałała, ale ona uśmiechała się tylko przebiegle tym swoim uśmiechem Mony Lizy, jakby wiedziała swoje.

Szczerze mówiąc, nie byłam do końca pewna, co się rzeczywiście działo w tym zalanym słońcem, przeszkłonym pokoju. Za każdym razem, gdy siadałam w zielonym fotelu, powtarzałam sobie, że nie muszę słuchać i wypełniać jej poleceń, że mogę myśleć o czymś zupełnie innym, że nie przyszłam do niej po to, żeby mnie zahipnotyzowała. Że jestem tam wyłącznie ze względu na pogawędkę przed i po, w czasie której poruszałyśmy wszelkie tematy – od kataru alergicznego po trudności ze znalezieniem wygodnych butów. Mimo wszystko jej słowa zawsze jakoś przeciekały mi do głowy, zaczynałam słuchać i myśleć: ej, nic się nie stanie, jeśli powieki zrobią mi się ciężkie, a następną rzeczą, jaką pamiętałam, było zapadające się w fotel ciało i głos Ellen, który kazał mi podnieść powieki, ale nie mogłam. Cóż, pewnie bym dała radę, gdybym naprawdę zechciała.

Kiedy ona zaczyna mówić, przestaję myśleć o Patricku.

Ostatnim razem, gdy prosiła, żebym przypomniała sobie jakąś „ulotną, szczęśliwą chwilę”, w której czułam, że przepelniają mnie radość, pokój

i siła, pomyślałam o letnich niedzielnych śniadaniach z mamą w dzieciństwie. Smażyłam stos naleśników, a mama zawsze udawała, że jest pod ogromnym wrażeniem. Siadałyśmy na kocu, na trawniku za domem, czytałyśmy każda swoją książkę i jadłyśmy naleśniki z cukrem i cytryną. Czasem zostawałyśmy tam aż do lunchu.

Mam korzystać z „siły tego wspomnienia” do walki z bólem nogi.

Jasne, że to bzdury.

Tak uważam.

Pamiętam pierwszy raz, kiedy w ogóle poczułam ten ból. Doszło do tego chwilę po tym, jak dowiedziałam się o chorobie mamy. Byłam z Jackiem na zakupach. Trwały w nieskończoność, bo Jack ciągle znajdował coś, co koniecznie chciał mieć, i musieliśmy się o to kłócić, a tego dnia Patrick zaprosił na kolację klienta, na którym mu szczególnie zależało, więc szukaliśmy mało popularnych, wyszukanych produktów. „Zrób coś prostego” – mówił zawsze Patrick, ale ja twierdziłam, że gość poczuje się wyróżniony, jeśli gospodarz zada sobie z jego powodu trochę trudu, jeśli na stole, przykrytym świeżym lnianym obrusem, staną żywe kwiaty, serwetki będą materiałowe, a nie papierowe, a kieliszki lśniące. Uwielbiałam patrzeć na pięknie nakryty stół. Teraz jem na kanapie, z talerzem na kolanach, lub na stojąco przy blacie w kuchni, lub w łóżku.

Poczułam ból w nodze, promieniujący jakby wzdłuż, z dołu do góry. Nie był nie do zniesienia, tylko irytujący, jakbym naciągnęła ścięgno czy mięsień. Musiałam jednak przysiąść na ladzie z mrożonkami, aby go przeczekać, a Jack zapytał: „Sas, co robisz?”.

Następnego dnia ból się powtórzył. Mimo to nie poświęciłam mu zbyt dużo uwagi. Nie przyszłoby mi do głowy, że pięć lat później wciąż będę się z nim męczyć.

Pamiętam, z jaką pewnością siebie zgłosiłam się z tym problemem do pierwszego fizjoterapeuty. Byłam przekonana, że szybko się go pozbędę. Traktowałam go jak coś, co należy wykreślić z listy spraw do załatwienia, jak oddanie samochodu do przeglądu albo depilacja nóg. Szybko, proszę zlikwidować ten ból, bo mnie denerwuje.

Patrick początkowo okazywał współczucie, ale później stracił i cierpliwość, i zainteresowanie. Nie mogliśmy już chodzić na wędrownki. Nie mogliśmy iść pieszo do restauracji oddalonej o więcej niż dwie przecznice, żebym nie musiała odpoczywać na przystanku. Nie mogliśmy stać ze znajomymi na imprezie, bo mówiłam: „Muszę usiąść”. Pewnego razu, kiedy przyszedł do domu i zastał mnie krojącą marchewkę na podłodze w kuchni, dostrzegłam na jego twarzy przeblysł zniecierpliwienia. Domyślałam się, że to mało interesujące, mieć dziewczynę, która zachowuje się jak staruszka.

Później umarła mama i wkrótce on zakończył nasz związek. Pewnie już przedtem się mną znudził, a noga była tylko ostatnim gwoździem do trumny.

Ból nie jest teraz taki nieznośny jak kiedyś, ale udaje mi się go opanować tylko do pewnego stopnia. Potem już się nie zmniejsza. Jest jak stałe, fizyczne przypomnienie o chwili, w której moje życie zmieniło się na zawsze. Wyznacza granicę między osobą, którą jestem teraz – dziwną, obsesyjną, sflaczałą i bez kondycji, a dawną mną – normalną, szczęśliwą, wysportowaną, latami niewidującą lekarza. W tej samej chwili, kiedy zaczynam odczuwać ów narastający ból, wzmagają się moje poczucie beznadziei, bezsensu i nicości.

Na dodatek ze wszystkich specjalistów, do których zgłosiłam się w związku z bólem, Ellen była jedyną, która wykazała choćby cień zainteresowania sposobem, w jaki na mnie wpływa.

„To musi być potwornie frustrujące” – rzekła. Wydawała się tak pełna współczucia, że przez krótką, straszliwą chwilę myślałam, że się rozplaczę.

Tak, Ellen, ten ból jest potwornie frustrujący, zwłaszcza że jednym z moich ulubionych zajęć jest śledzenie byłego chłopaka, który – tak się przypadkiem złożyło – jest twoim obecnym chłopakiem. Robię to często pieszo, a ból mi to utrudnia, choć muszę z dumą wyznać, że nigdy, nigdy się jeszcze nie poddałam. Po prostu trwam w tym, niezależnie od bólu, a ludzie się na mnie gapią, bo przypuszczalnie wykrzywiam twarz. O, idzie ta wstrętna stara wiedźma, wlecze się z rozczapierzonymi pazurami za swoim starym życiem, życiem bez bólu, i myśli, że uda jej się złapać je z powrotem.

ROZDZIAŁ 11

Jesteśmy hipnotyzowani od chwili przyścia na świat. Wszyscy do pewnego stopnia trwamy w transie. Klienci mówią, że ich „usypiamy”, gdy tymczasem naszym ostatecznym celem jest coś zupełnie przeciwnego. My próbujemy doprowadzić do ich przebudzenia.

Fragment artykułu autorstwa Ellen O’Farrell,
opublikowanego w czasopiśmie „Hypnotherapy
Today”

Sobota była przepiękna. Spali do późna. Potem śniadanie i gazety w łóżku. Długi spacer po plaży, szybka kąpiel (ekspresowa, Patrick zaczął się trząść już po paru minutach). Kawa i ciasto nad rzeką. Lunch nad basenem. Popołudniowa drzemka.

Zmysły Ellen się wyostrzyły. Słońce i nadmorska bryza pieściły jej skórę. Szła Hastings Street, wyczulona na wszelkie bodźce: zapach kawy, oceanu, perfum, wody kolońskiej, a nawet balsamu do opalania u przechodniów. Słyszała każdy fragment rozmowy, każdy wybuch śmiechu.

W Noosa, wydawało się, panował wyjątkowy wyż demograficzny. Wszędzie pełno było niemowląt, małych dzieci i ciężarnych kobiet o wydatnych brzuchach. Wszystkie napotkane dzieci były rozkoszne – wpatrywały się w Ellen łagodnymi oczami, jakby znały jej słodki sekret.

Kobiety w ciąży również zdawały się wiedzieć – wysyłały do niej pełne spokoju, tajemnicze uśmiechy, patrząc zza okularów przeciwsłonecznych.

Zawsze czuła się wykluczona z klubu matek. Wciąż łapała się na myślach typu: czy też będę mogła? Pchać taki duży, skomplikowany wózek z dzieckiem? Podnosić dziecko, nie pytając nikogo o zgodę? Brać dziecko za rączkę, przechodząc przez ulicę?

Czemu nie ty, pytała samą siebie. Czemu nie?

Mimo wszystko mu nie powiedziała.

Mijały minuty, a tego nie robiła. Mieli mnóstwo czasu. Nie widziała go dotąd tak zrelaksowanego, spokojnego. Czoło mu się wygładziło. Bez przerwy jej dotykał.

Saskii jakoś nie było widać. Żołądek Ellen powoli się rozluźniał, przestała też gorączkowo wpatrywać się w tłum w poszukiwaniu znajomej twarzy. Odczuwała ogromną ulgę ze względu na Patricka. Biedak zasługiwał na weekend bez ciągłego oglądania się przez ramię.

A jak ona sama radziła sobie ze świadomością, że Saskia była u niej w domu? Co czuła? Przewrzenie? Wściekłość? Krzywdę?

Rozmyślała o tym, kiedy obudziła się z popołudniowej drzemki. Ciało Patricka wciąż do niej przylegało, a ich palce nie rozplotły się od chwili, kiedy oboje zasnęli.

Wszystkie te uczucia wydawały się możliwe. Tak, na myśl o Saskii w przeszklonym pokoju, o Saskii, która ją zwodziła, oszukiwała, a jednocześnie sekretnie podpatrywała, ogarniał ją przejmujący strach i szarpiący gniew. Czego ta kobieta od niej chciała? Co planowała? I w ogóle jak śmiała? Co za zuchwałość.

Mimo wszystko była też zaintrygowana. Nawet bardziej niż przedtem. Zafascynowana. Gdzieś poza strachem odczuwała również... nie, na pewno nie. Ależ tak, oczywiście, jasne, że było to niestosowne, co z tego, skoro to

właśnie czuła: swego rodzaju przyjemność. Podobało jej się, że stanowi dla kogoś obiekt zainteresowania. Nadawało to życiu ostrości, wyrazistości. Iskry. Może chodziło o prawie nieuchwytny, ale kuszący smaczek życia gwiazdy – przekonanie, że wszystko, co się robi, jest istotne i warte zauważenia. A może o jakąś cechę Ellen, która doskonale uzupełniała się z jakąś cechą Saskii? Może Ellen była yin, a Saskia – yang i razem tworzyły idealny zestaw cech?

(A może Ellen próbowała tylko wydawać się równie interesująca i intrygująca co Saskia?)

W każdym razie Patrick w pewnym momencie będzie musiał się dowiedzieć o podstępie Saskii. To jednak zrujnowałoby całkowicie ów mały przerywnik w codzienności. Poczekaj, aż wrócą do Sydney. No i trzeba mu jeszcze powiedzieć o ciąży. O dziecku.

Poczuła, jak dłoń Patricka zaciska się wokół jej dłoni, a on sam porusza się i budzi.

– Hej. – Ziewnął, kładąc drugą rękę na jej ramieniu, a następnie przesuwał ją po jej plecach, talii i biodrze. – Dobrze spałaś?

– Jak dziecko – odparła bez drżenia w głosie.

– Mmm. Ja też.

Wstali. Patrick zaproponował spacer. Przyciągnął ją do okna.

– Widzisz ten cypel? Jest tam takie miejsce, tuż przy wejściu do parku narodowego, skąd moglibyśmy obejrzeć zachód słońca. Co o tym sądzisz?

– Cudny plan – odparła Ellen.

I prawie tak było.

Na cyplu stały nawet stół piknikowy i ławka. Bujna zieleń lasu kontrastowała z głębokim błękitem oceanu. Niebo tworzyły same łagodne pastele: róże, błękity, pomarańcze.

Patrick kupił butelkę drogiego szampana, ser, krakersy i truskawki. Pieczołowicie owinał ręcznikiem plażowym dwa kieliszki z hotelowego barku.

– Jestem pod wrażeniem – oznajmiła Ellen, kiedy z obowiązkowym trzaskiem odkorkował butelkę.

– Zawsze się mnie trzymaj, mała – zażartował, napełniając kieliszki. – My, geodeci, wiemy, jak traktować kobiety.

Postanowiła wypić kieliszek szampana. Matka wspominała, że lampka wina od czasu do czasu nie spowoduje płodowego zespołu alkoholowego.

– Za nas. – Patrick stuknął kieliszkiem w jej kieliszek. – I za więcej takich weekendów.

– I za więcej kieliszków takiego szampana – dodała Ellen. Szampan był przepyszny, wytrawny i kremowy.

– Abyśmy... oj, czekaj, podniosę.

– Coś ci spadło? – zapytała zdezorientowana Ellen, kiedy Patrick gmerał przy czymś u jej stóp.

Nie odpowiedział. Wydawało się, że wstaje, ale w dziwaczny sposób, jakby nagle złapały go korzonki i nie mógł się rozprostować.

– Coś ci jest? – Podniosła się i podeszła do niego.

– Kobieto, siadaj! Nic mi się nie stało. – Patrick próbował się powstrzymać od śmiechu.

– Więc o co chodzi?

– Ellen – zaczął zmienionym, głębszym i uroczystym głosem. Na jego twarzy malowało się zażenowanie, jak podczas gry w kalambury.

Jednym kolaniem klęczał na ziemi, drugie wystawił przed siebie. W dłoni trzymał małe, czarne, aksamitne pudełeczko.

O Boże, on się jej oświadczał. Właśnie przystępował do staromodnych oświadczyń, na kolanach i z kupionym wcześniej pierścionkiem. Jak cudownie.

I jak dziwnie.

Jej wzrok padł nagle na coś w tle, za jego plecami. Nieznaczny ruch. Ktoś stał na punkcie widokowym i fotografował zachód słońca.

– Ellen – zaczął Patrick raz jeszcze, po czym odchrząknął. – Okej, jakoś głupio się czuję. I coś mi się wbija w kolano. Na filmach wydaje się to o wiele łatwiejsze.

Ellen się zaśmiała i lekko drżącą ręką odstawiła kieliszek na stół. Mrugając, walczyła ze wzruszeniem, zakłopotana okolicznościami, zawstydzona pochlebstwem. Mężczyzna oświadcza mi się o zachodzie słońca.

Zobaczyła, jak kobieta z aparatem z uśmiechem odwraca się w ich stronę.

– Ellen, czy, to jest, czy możesz, czułbym się zaszczycony... to znaczy, czy za mnie wyjdiesz?

– Najpierw muszę ci powiedzieć o dwóch rzeczach – odparła Ellen, zdziwiona trzeźwym brzmieniem własnego głosu.

– Dobra. – Patrick natychmiast opuścił rękę, w której trzymał czarne, aksamitne pudełeczko, i równocześnie prawie stracił równowagę. Złapał się za brzeg stołu piknikowego. – Hmm, czy mam się podnieść?

– Jestem w ciąży – wyznała Ellen. Po krótkiej przerwie dodała: – Jestem również prawie pewna, że ta kobieta z tyłu, tam za tobą, to Saskia. Idzie w naszą stronę.

Następnie mocno wsparła się ręką o jego prawe ramię i miała nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

ROZDZIAŁ 12

Jednym z efektów postępującej urbanizacji jest coraz większa izolacja i samotność człowieka. Sugeruje się więc, aby do komitetów planowania rozwoju miast dołączyli psychiatrzy i psychologowie, którzy wniosą w ten złożony temat swoją wiedzę i doświadczenie.

Fragment wystąpienia Saskii Brown na konferencji „Rozwój miasta w roku 2004 i kolejnych latach”, Noosa 2004

– Cześć, Patrick, cześć Ellen, tak mi się właśnie zdawało, że to wy!

Saskia podeszła do nich energicznym krokiem, zatrzymała się przy stole piknikowym, zdjęła ciemne okulary i posłała im z góry promienny uśmiech. Miała na sobie szorty (Ellen zwróciła uwagę na jej piękne, gładkie nogi), koszulkę i czapkę z daszkiem. Nic w jej wyglądzie nie wskazywało na to, że jest osobą skłoną do niezwykłego, ba, nienormalnego zachowania. Wyglądała sportowo i atrakcyjnie. Przyglądając się całej scenie z boku, nie dało się odnieść innego wrażenia niż to, że kobieta wybrała się na spacer i nieoczekiwanie natknęła się na znajomych. Jeśli już posądzać kogoś o niezrozumiałe zachowanie, to Ellen i Patricka, którzy wpatrywali się w nią tępo, w milczeniu.

– Jaki piękny wieczór – odezwała się znowu, polerując okulary brzegiem koszulki. Po chwili włożyła je na nos i wskazała niebo. –

Pocztówkowy zachód słońca.

– Saskia – odezwał się Patrick chrapliwie, po czym podniósł się z klęczek i stał ze zgarbionymi niczym starzec plecami.

– Och nie, nie, Patrick, nie przerywaj sobie! – zawołała Saskia, przyjaznym gestem nakazując mu z powrotem uklęknąć. – Wracaj do oświadczyn. Miło było was widzieć!

I odeszła.

Patrick ciężko usiadł na ławie naprzeciwko Ellen, podniósł do ust kieliszek z szampanem i opróżnił go jednym haustem.

Saskia zatrzymała się i zawołała.

– Do zobaczenia, Ellen, do piątku! – Uderzyła się dłonią w udo. – Noga coraz lepiej! – Pomachała.

Ręka Ellen uniosła się automatycznie i pomachała w odpowiedzi.

– Ty ją znasz? – zapytał Patrick, a na jego twarzy odmalowała się panika. – Od dawna? To jakiś dziwny układ między wami?

– Nie, nie, nie! – pospieszyła z wyjaśnieniami Ellen. – Poznałam ją jako Deborah. Tak się przedstawiła. Deborah Vandenberg. Ma u mnie sesje w związku z bólem nogi.

– Deborah – powtórzył Patrick. W jego oczach błysnęła podejrzliwość. – Ale wiedziałaś, że to Saskia. Dokładnie wiedziałaś, że to ona.

– Domyśliłam się tego w samolocie – wyjaśniła Ellen – kiedy opowiedziałeś o jej nodze. Nie chciałam cię denerwować, więc się nie przyznałam. To moja wina, że ona tu jest. Ja jej powiedziałam, że jedziemy do Noosa... kiedy jeszcze myślałam, że to Deborah. Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Czuła się tak, jakby rzeczywiście brała udział w podłym spisku z Saskią.

Patrick podniósł wieczko czarnego pudełeczka i z trzaskiem zamknął je z powrotem. Zaśmiał się z niedowierzaniem, jakby sam do siebie.

– A myślałem, że jestem tu bezpieczny. Że zdołam chociaż się oświadczyć w tajemnicy, ale nawet to się nie udało.

– Mogę zobaczyć pierścionek? – poprosiła Ellen.

– To antyk – wyjaśnił Patrick. – Ma przeszłość. Niezwiązaną z moją rodziną, ale pomyślałem, że ci się spodoba, bo jest stary. – Znowu otworzył pudełeczko i zamknął je z trzaskiem bez zaglądnienia do środka. – Wydawało mi się, że nie należysz do kobiet, którym spodoba się pierwsze lepsze świecidełko z brylantem. Jack pomagał mi wybierać.

W jego głosie brzmiały smutek i nostalgia, jakby opowiadał o czymś, co wydarzyło się wieki temu.

– Brzmi fantastycznie – odparła Ellen. – Więc czy mogłabym...

Popchnął pudełeczko w jej stronę. Otworzyła wieczko.

– Och, Patrick – westchnęła. Pierścionek był z białego złota, z małym, owalnym kamieniem akwamaryny koloru oceanu. – Jest piękny. Gdybym sama miała sobie wybierać pierścionek, też bym się na niego zdecydowała.

Ellen nigdy nie fascynowała się biżuterią. Nie należała do kobiet, które autorytarnie zabierały głos w sprawie karatów i szlifów. „Wow, jaki błyszczący!” – wołała zawsze, kiedy jakaś świeżo zaręczona koleżanka podsuwała jej palec pod nos. Zresztą wszystkie pierścionki wydawały jej się takie same.

Jednak wybór, jakiego dokonał Patrick, był tak trafny, że zachciało jej się płakać. Namacalny dowód na to, że postrzegał ją właśnie tak, jak trzeba. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić ani opisać idealnego pierścionka, ale ten, na który patrzyła, wołał: „Widzisz? Taka właśnie jesteś”.

Ellen z żalem zamknęła pudełko. Nie była pewna, co dalej. Przecież nie odpowiedziała mu nawet „tak”. Pierwszy raz, odkąd dowiedziała się

o istnieniu Saskii, poczuła satysfakcjonującą, stosowną do sytuacji wściekłość. Tamta chwila powinna należeć do niej. Moment oświadczyn trzeba spędzić, na wpół szlochając, na wpół się śmiejąc, z głową ukrytą na piersi wybranka, co chwila spoglądając na lśniący na palcu pierścionek. Wspomnienie, którym powinna się cieszyć przez całe życie, zostało kompletnie zdewastowane.

– Bałem się, że to za wcześnie – odezwał się Patrick. – Ale byłem tak bardzo pewien, i pomyślałem sobie, do diabła, przecież wiem, że to właśnie ona, więc...

Przerwał i powoli zamrugał. Jak pacjent wychodzący z transu.

– Zaraz, zaraz. Powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

*

A więc zostanie mężem hipnotyzerki.

Bawił się w odgrywanie sceny jak z filmu. O zachodzie słońca. Z szampanem. Na kolanach.

Pomyślałam: oni naprawdę żyją tym życiem. A więc takie życie naprawdę się niektórym zdarza. Będą mieć piękny, elegancki ślub, pewnie na plaży, nie będzie padać, a nawet jeśli, to tylko doda to wydarzeniu uroku, mężczyźni z wielkimi parasolami będą stać nad rozchichotanymi kobietami na wysokich obcasach. Ona wypije tylko jeden kieliszek szampana, bo jest w ciąży. A potem urodzi się dziecko, wszyscy przyjdą do szpitala z kwiatami, żartami i aparatami fotograficznymi. Potem urodzi się drugie dziecko, oczywiście płci przeciwnej niż pierwsze. Będą urządzać przyjęcia i zapraszać znajomych, będą strasznie zajęci w weekendy i będą ocierać łzę z oka w czasie występów w szkole i przedszkolu. A potem, kiedy dzieci urosną, zaczną podróżować i realizować własne pasje, aż w końcu

przeprowadzą się do przyjaznego miasteczka emerytów, a kiedy umrą, dzieci i wnuki będą odwiedzać ich grób i wspominać dawne czasy.

A mnie kto by opłakiwał, gdybym umarła – dajmy na to – dzisiaj? Koledzy z pracy? Założę się, że dużo czasu by mi nie poświęcili. Raczej zaczęliby się tłuc o moje biurko. Znajomi? W ciągu paru ostatnich lat większość wykreśliła mnie z listy osób, którym wysyła się kartkę na święta. To moja wina. Nie chciało mi się. Oddzwaniać i odpowiadać na mejle. Za bardzo byłam zajęta śledzeniem Patricka, to dość czasochłonne hobby. Fryzjerka chyba mnie lubi, ale skąd miałyby się dowiedzieć o mojej śmierci? Pomyślałaby tylko, że przeniosłam się do konkurencji. Czego, nawiasem mówiąc, nigdy bym nie zrobiła. Może powinnam gdzieś zostawić karteczkę: w przypadku mojej śmierci proszę powiadomić moją fryzjerkę.

Jeśli chodzi o hipnotyzerkę i jej męża, nie będą odczuwać ani smutku, ani bólu, a jeśli będą, to tylko chwilowo. Będą się nawzajem wspierać w trudnych chwilach. Lekarz wypisze im receptę na środki przeciwbólowe.

To dziwne, ale teraz, kiedy to się stało, stwierdzam, że nie umiem już sobie wyobrazić powrotu do Patricka. Coś się zmieniło. Mnie się nie oświadczył. Nigdy nawet o tym nie rozmawialiśmy. Przeżył już huczne wesele z Colleen. Godzinami przeglądałam ich wielki, oprawiony w skórę album ze zdjęciami i wpatrywałam się w ubraną w białą suknię z bufiastymi rękawami pannę młodą, zastanawiając się, co by sądziła na mój temat.

Pewnego ranka, gdy jeszcze leżeliśmy w łóżku, Patrick ni z tego, ni z owego wypalił: „Zatrzymam cię na zawsze”.

Niczego więcej nie potrzebowałam. Te słowa wystarczyły mi za romantyczne oświadczyzny, pierścionek, ślub i miesiąc miodowy. Dla mnie od tamtej chwili byliśmy małżeństwem.

Najwyraźniej jednak dla Patricka – nie.

Ellen należy do kobiet, przy których mężczyźni odczuwają potrzebę, by paść na kolana i się oświadczyć; ja taka nie jestem.

Kiedy podchodziłam do stołu piknikowego, czułam się jak obrzydliwa, na wpół ludzka kreatura. Czułam zapach własnego ohydztwa.

Przyjmuję to. W porządku. Oni zawsze będą w środku, ja zawsze pozostanę na zewnątrz.

Ale dopilnuję, by zawsze wiedzieli, że jestem, że do nich zaglądam, patrzę przez okno, stukam w szybę. Że nigdy nie odejdę.

*

– Ona nigdy nie odejdzie – odezwał się Patrick. – Jeśli za mnie wyjdiesz, będziesz musiała ją przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza. Mojego syna. Mamę. Tatę. Brata. I stalkerkę.

– Tak – powiedziała Ellen. – Rozumiem.

– Mam nadzieję, że to dziewczynka – rzekł Patrick. – Mam na myśli dziecko. Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka. Bardzo chciałbym mieć śliczną, małą dziewczynkę. A ty?

– Ja też – przyznała.

Patrick nie był pijany, ale wypowiadał się jakoś inaczej, jakby słowa zmiękczały mu się na końcach. Siedzieli na balkonie w hotelu, on dopijał resztę szampana.

Wyglądało więc na to, że są zaręczeni. Na palcu lewej ręki Ellen tkwił pierścionek. Wciąż na niego popatrywała. Odpowiedziała „tak”.

Patrick był zachwycony dzieckiem. Popadł nawet w swego rodzaju ekstazę. Kiedy wreszcie dotarła do niego wiadomość o ciąży, wziął Ellen w ramiona i trzymał niczym coś cennego.

– Dziecko – wymamrotał. – Do diabła, co innego ma znaczenie? Będziemy mieć dziecko.

Wszystko było cudownie, nie licząc faktu, że przed oczami Ellen wciąż pojawiała się twarz Saskii – niczym wspomnienie straszliwego wypadku samochodowego ze zgrzytem metalu i gwałtownym odrzuceniem głowy w tył. Wciąż odtwarzała w pamięci chwilę, kiedy Saskia do nich podchodziła – szeroki, przyjacielski uśmiech i puste, zasłonięte okularami oczy.

Słuszna wściekłość Ellen nieco zelżała. Teraz czuła się dziwnie wycieńczona, obojętna, pozbawiona emocji, jakby rzeczywiście przeszła traumatyczny wypadek.

– To dziwne, ale dziś nie czułem takiej strasznej złości jak zwykle na widok Saskii – odezwał się Patrick. – Tylko spokój. Jakąś akceptację.

A więc sugestia po hipnozie zadziałała. Ellen ogarnęła zawodowa duma, a jednocześnie poczucie winy. Nie odezwała się. Bolały ją plecy. Wierciła się na krześle, próbując znaleźć wygodną pozycję, i bawiła się pierścionkiem na palcu.

– Za ciasny? – zapytał Patrick, obserwując ją. – Rozmiar można łatwo zmienić.

– Nie, jest idealny – odparła Ellen. – Po prostu nie jestem przyzwyczajona do pierścionków.

Patrick nalał sobie resztkę szampana i oparł się wygodnie na krześle. Nogi wyciągnął przed siebie i ułożył je na balustradzie.

– Tak. Śliczna mała dziewczyneczka o blond włosach, podobna do ciebie – rzekł szczęśliwym głosem, wpatrując się w księżycową noc.

– Tylko że ja nie jestem blondynką – zaśmiała się Ellen.

– No pewnie, że nie jesteś. – Patrick przewrócił oczami na własną głupotę i wyciągnął rękę, by leciutko dotknąć włosów Ellen. – Chyba wyobraziłem sobie dziecko podobne do małego Jacka.

Ellen przypomniała sobie zdjęcie, które widziała u jego rodziców. Colleen w szpitalnym łóżku z Jackiem w ramionach. Jej włosy – pamiętała – były długie, falujące i zdecydowanie jasne.

*

Po powrocie do Sydney donieśli wszystkim bez wyjątku o zaręczynach, a najbliższym znajomym i rodzinie o – ćśśś, żeby nie zapeszyć – ciąży.

Wiadomość wzbudziła zadziwiającą radość. Ludzie mieli łzy w oczach. Wysyłali kartki z gratulacjami i kwiaty. Pojawiali się w drzwiach z szampanem i ekstrawaganckimi bukietami.

– Czemu się tak dziwisz? – pytał Patrick.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Chyba dlatego, że nie sądziłam, aby kogokolwiek aż tak to obchodziło, w naszym wieku...

– Cieszę się po prostu, że wreszcie słyszą jakąś dobrą wiadomość – stwierdził Patrick. – Ludzie uwielbiają szczęśliwe zakończenia.

Nie wiedzieć czemu, Ellen nie do końca dobrze się czuła, powodując cały ten szum wokół własnej osoby. Wolą być raczej obserwatorem zdarzeń niż centrum zainteresowania. Wszystkie pytania typu: „Kiedy rodzisz?” albo: „No to kiedy ślub?”, wprawiały ją w zakłopotanie, bo sami nie znali jeszcze odpowiedzi. Martwiła się też, że może tych miłych, pełnych entuzjazmu ludzi zawieść.

W fiołkowych oczach matki na wieść o zaręczynach nie pojawiły się łzy. Uniosła tylko znacząco brwi, po czym natychmiast przywdziała swą najwdzięczniejszą maskę – tę, w której przypominała członka asysty królewskiej – i definitywnie uwiodła Patricka swym nienagannym urokiem. „Ach, nie mogłabym być bardziej zachwycona!” – wykrzyknęła i wręczyła im czek na pięć tysięcy dolarów.

Na osobności powiedziała zaś do Ellen:

– Nie musi się z tobą żenić tylko dlatego, że jesteś w ciąży! Znasz go nie dłużej niż pięć minut!

– Oświadczył się, kiedy jeszcze nie wiedział o ciąży – odparła Ellen – a poza tym wiem o nim wszystko, co powinnam wiedzieć.

– Tak ci się tylko wydaje – skomentowała półgębkiem Anne.

Ellen udała, że nie słyszy. Wzięła głęboki oddech i starała się puścić to w niepamięć.

Trudno było natomiast oszacować, co na temat przyszłego małżeństwa przyjaciółki sądzi Julia. Kiedy dowiedziała się o oświadczeniach, wykrzykiwała słowa zachwytu, ścisnęła Ellen i podziwiała, jak należy, pierścionek, ale na wieść o ciąży przez jej śliczną twarz przemknął cień.

– Co ty gadasz, że nieplanowana? – zapytała. – Przypadkowo zachodzić w ciążę to mogą nastolatki. Zastosowałaś siłę woli zamiast antykoncepcji?

Ellen nie wspomniała, że po pierwszej wizycie u przemiłego położnika, poleconego przez Madeline, stwierdziła, że do poczęcia doszło prawdopodobnie po owej grze w remika na rauszu, kiedy w pewnym sensie „zapomnieli” się zabezpieczyć.

– No dobra, powiedz, byłaś na tym drinku ze Śmierdzielem, to jest Samem? – zmieniła temat.

– W ostatniej chwili odwołał – odpowiedziała sucho Julia. – Rzekomo rozłożyła go grypa. Był przykuty do łóżka.

– Zaproponował inny termin?

– Nieważne – odparła Julia. – Nie mów do mnie tym swoim łagodnym, kojącym głosem, bo doprowadza mnie do szału. Nie jest zainteresowany, to nie jest zainteresowany.

– Julia, prawdopodobnie naprawdę się rozchorował.

– Przestań! Kiedy to mówisz, masz taki protekcyjny, spokojny wyraz twarzy.

Ellen dała spokój. Zamiast tego opowiedziała przyjaciółce o pojawieniu się Saskii w Noosa i o tym, że w zasadzie sama do niego doprowadziła, co zdecydowanie poprawiło Julii humor.

Rodzina Patricka zareagowała wspaniale. Jego matka przyznała się, że od chwili, kiedy pierwszy raz ujrzała Ellen, modliła się o zaręczyny.

– O nowego wnuka też się modliłaś? – spytał Patrick głosem niewiniątka.

– Oczywiście – nie dała się zaskoczyć Maureen. – Muszę przyznać, że nie sądziłam, że pojawi się tak szybko, ale jeśli ci się wydaje, że mam coś przeciwko, Patrick, to bardzo mi przykro, ale muszę cię rozczarować. Taka zacofana to nie jestem! – Zerknęła na Ellen rozpromieniona. – Pobierzcie się, rzecz jasna, zanim dziecko przyjdzie na świat, prawda?

Tata Patricka uściskał ją po ojcowsku, ogarniając zapachem wody kolońskiej, która tak mocno przypominała jej dziadka, że Ellen oderwała twarz od jego koszuli tylko siłą rozsądku. Brat Patricka, Simon, wręczył jej bukiet i wydał na ich cześć wyśmienity, uroczysty obiad u siebie w domu (kucharzem był znacznie lepszym niż Patrick). Droczył się z Ellen po bratersku, czego nigdy przedtem nie doświadczyła. Było wspaniale.

Ellen mocno się obawiała, jak Jack przyjmie wiadomość o nowej, przybranej mamie i rodzeństwie, ale mały okazał wyjątkową nonszalancję.

– Mam nadzieję, że to będzie chłopak – powiedział. – Nauczę go różnych rzeczy. Na przykład prowadzić samochód. Latać samolotem. – Przerwał i spojrzał na Ellen przeciągle. – Strzelać.

– Strzelać! – Ellen zrobiła najbardziej przerażoną minę, jaką potrafiła.

– Ee, tylko sobie żartuję – odparł zachwycony.

Wyglądało też na to, że logistycznie wszystko się ułoży.

Zarówno Patrick, jak i Jack entuzjastycznie odnieśli się do pomysłu przeprowadzki do Ellen.

– Jeśli nas przyjmiesz – stwierdził Patrick. – Nasz dom zatrzymamy jako inwestycję, wynajmiemy go. Zostaniemy magnatami na rynku nieruchomości!

– Będę codziennie chodził na plażę, całe życie! – zapowiedział Jack. – Nawet jak będzie padać. Nawet jak będzie grad! Nie, jak grad, to nie. Tylko żartowałem.

Jack nie będzie musiał zmieniać szkoły. Dwudziestominutowy dojazd nie stanowił problemu, bo biuro Patricka znajdowało się w tamtej okolicy.

Tak to mniej więcej wyglądało.

Ellen stała się więc częścią nowej rodziny. Całe jej życie miało za chwilę ulec diametralnej zmianie. Chodziła po domu, okręcała na palcu pierścioneł i wyobrażała sobie to miejsce, wypełnione nowymi ludźmi i nowymi rzeczami. Pokój dla Jacka. Pokój dla dziecka. Będzie miała dwoje dzieci. Na lodówce będzie przypinać informacje ze szkoły Jacka. Kolekcja zdjęć starego sprzętu geodezyjnego, duma Patricka, zawiśnie na którejś ze ścian. Łóżeczko, przewijak, wanienka. Na trawniku przed domem będzie leżał porzucony niedbale rower Jacka. W samochodzie – fotelik dla dziecka, a wózek i tornister – w przedpokoju.

To było zdumiewające.

A także absolutnie przerażające.

*

„Deborah Vandenberg” była umówiona w piątek na jedenastą.

– Zakładam, że się nie zjawi – stwierdziła Ellen. – Teraz, kiedy wie, że ja wiem, że jest Saskią. (Chociaż powiedziała: „Do zobaczenia w piątek”).

– Będę musiał wziąć wolne – rzekł Patrick. – Nie chcę, żebyś była z nią sama.

– Nie przyjdzie – zapewniła go Ellen. – A jeśli nawet, to nic mi nie będzie. Nigdy nie zachowywała się agresywnie.

Ellen nie chciała obecności Patricka. Jeśli Saskia rzeczywiście się pojawi, miała zamiar z nią porozmawiać. Jak kobieta z kobietą. „Czemu to robisz?” – zapytała. „Pomóż mi to zrozumieć”.

Ellen oczywiście nie będzie mogła się z nią dalej spotykać na gruncie profesjonalnym, ale chętnie poleci innego terapeutę, który pomoże jej zarówno w sprawie nogi, jak i Patricka. Będzie życzliwy, lecz zdecydowany i położy kres temu całemu nonsensowi.

(W głębi duszy dostrzegała, jak krótkowzrocznie rozumuje – gdyby tylko Saskia potrafiła docenić, jak miła i wyrozumiała jest Ellen, uprzejmie odstąpiłaby od swoich działań).

– To mój problem, nie twój – gryzł się Patrick. – Pamiętaj, że jesteś w ciąży, powinnaś unikać stresu.

– Nie przyjdzie – upierała się Ellen. – Jestem tego pewna.

– Muszę wreszcie coś zrobić w sprawie tego zakazu zbliżania się – stwierdził.

Od dnia, kiedy wrócili z Noosa, wciąż o tym mówił, ale z niewiadomej, przynajmniej dla Ellen, przyczyny, nadal nie przystąpił do działania. Była przekonana, że nie chodziło tylko o jego dumę. Za tą zwłoką niewątpliwie kryło się coś jeszcze, ale Ellen nie nalegała. Z tego, co czytała, sądowy zakaz zbliżania się i tak w niewielkim stopniu chronił przed szczególnie napalonymi stalkerami.

Ostatecznie Patrick postanowił jednak iść do pracy, ponieważ okazało się, że Ellen i tak nie będzie w domu sama. Swą obecność zapowiedział hydraulik. Miał naprawiać instalację ciepłej wody, która niespodziewanie zepsuła się w dzień po ich powrocie z Noosa.

Hydraulik był znajomym Patricka. Obiecał, że gdyby Saskia jednak się pojawiła, będzie trzymał rękę na pulsie. (A jeśli Saskia wyciągnie z torebki broń z tłumikiem i zastrzeli Ellen albo wstrzyknie jej substancję powodującą paraliż całego ciała, łącznie ze strunami głosowymi? Ellen naoglądała się za dużo horrorów, by uspokoił ją fakt, iż w domu przebywa hydraulik).

Zbliżała się godzina wizyty Saskii. Ellen siedziała przy biurku i udawała, że nic jej to nie obchodzi. Usiłowała zająć się pracą biurową, lecz łomot serca uniemożliwiał koncentrację.

– Nie przyjdzie, myślała.

Ale w głębi serca w to nie wierzyła. Po ostatniej sesji pożyczyła Saskii książkę o hipnozie w leczeniu bólu. Przy okazji rozmawiały o tym, że obydwie nie cierpią ludzi, którzy nie zwracają pożyczonych rzeczy. „Nie martw się” – rzekła Saskia. „Oddam na pewno”.

Minuty płynęły, a dzwonek u drzwi milczał. Co czuła – rozczarowanie czy ulgę? Wiedziała, że każde z tych uczuć jest równie prawdziwe.

Dwadzieścia po jedenastej zadzwonił telefon. Ellen poderwała słuchawkę.

– Ellen O’Farrell, hipnoterapia, słucham?

Drżenie jej głosu było jedynie ledwo słyszalne.

Cisza. Ellen wydawało się, że w tle słyhać stłumione odgłosy ruchu ulicznego.

– Halo? – zawołała.

Cisza. Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. Zdecydowanie tak – ruch uliczny. Odgłos klaksonu.

– Spytała cicho:

– Saskia?

Połączenie się urwało.

*

Po drodze na wizytę do Ellen zepsuł mi się samochód. Stałam na autostradzie, na środkowym pasie. Wszyscy wściekle na mnie trąbili, jakby dźwięk klaksonu mógł nakłonić mój samochód, żeby ruszył.

Wysiadłam z auta i zaczęłam wrzeszczeć do trąbiących: „I CO NIBY MAM ZROBIĆ? MYŚLICIE, ŻE STOJĘ TU CELOWO?”.

I tak mnie nie słyszeli, szum był za głośny. Widzieli tylko moje nieme usta, wykrzykujące coś z furją, i machające ramiona. „Wariatka” – mruzcili pewnie do siebie i trąbili dalej.

Doprawdy.

Czekając na pomoc drogową, postanowiłam zadzwonić do Ellen i dać jej znać, że nie dotrę. Czułam, że to uprzejma, normalna rzecz i że powinnam to zrobić. Gdyby chodziło o każdą inną wizytę, na pewno bym tak postąpiła. Tak samo zrobiłabym wciąż jako Deborah.

Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy jak gdyby nigdy nic zjawię się w jej gabinecie. Ciekawa byłam, jak sobie z tym poradzi. Zastanawiałam się, czy w ogóle wpuści mnie do domu. Może zatrzasknie mi drzwi przed nosem? Nie sądziłam, aby to zrobiła – trzaskanie drzwiami nie leżało w jej uduchowionej, słodkiej naturze. Podejrzewałam, że w domu może jej towarzyszyć Patrick, gotów w każdej chwili zadzwonić po policję, wystąpić wreszcie do sądu o ten zakaz zbliżania się, którym tak często mi groził, ale o który nigdy najwyraźniej nie wystąpił, gotów chronić swoją drogocenną, piękną narzeczoną w ciąży.

Gdyby jednak Patricka nie było, a ona by mnie wpuściła, miałam zamiar podziwiać pierścionek, spytać, kiedy poród i czy planują duże wesele. Zapytałabym, czy miałyby coś przeciwko, gdybym i ja ubrała się na

biało – a może ją to urazi? A może w ogóle nie będę zaproszona? Ha, ha, ha. Miałam spytać, czy Patrick wciąż jest fanem seksu pod prysznicem i porannych igraszek w łóżku w niedzielę. Chciałam patrzeć, jak pogodny wyraz jej jasnej twarzyczki rozpada się na milion kawałeczków, przypominających tłuczone szkło.

Albo nie wspomniałabym o Patricku ani słowem. Zostałabym przy roli Deborah, oddała pożyczoną książkę i z satysfakcją patrzyła, jak Ellen udaje, że nie jest totalnie przerażona.

Improwizowałam. Poradziłam sobie ze wszystkim, potrafiłam zrobić wszystko, wszystko powiedzieć. Tak przynajmniej myślałam, dopóki nie usłyszałam jej głosu w słuchawce. Wtedy odebrało mi mowę.

Moje struny głosowe doznały paraliżu. Nie dałam rady wymówić słów: „O, cześć Ellen, to ja, Saskia. Niestety nie dotrę dziś na spotkanie, zepsuł mi się samochód”.

Nie mogłam znów udawać normalnej, teraz, kiedy znała mnie już jako wariatkę, bo to oznaczałoby, że mam wybór. Że mogę sama zdecydować, czy jestem normalna czy świrnięta. A jeśli rzeczywiście mam wybór, to oznacza, że wcale nie jestem szalona, że powinnam w końcu przestać i zająć się własnym życiem.

Ale jakim? Moje życie to Patrick i Ellen. Bez nich mam tylko pracę, zakupy w spożywczym i samochód ze skrzynią biegów do wymiany. Tyle.

*

Tego samego dnia, późnym popołudniem zadzwonił dzwonek do drzwi. Hydraulik już poszedł, a Ellen stała i przyglądała się wymyślnemu panelowi kontroli nowej instalacji ciepłej wody.

Patrick wybrał taką, w której można zaprogramować temperaturę ciepłej wody leżącej z kranu. Stwierdził, że to idealne rozwiązanie,

zwłaszcza przy małym dziecku. Ellen nawet nie wiedziała, że coś takiego istnieje. (No i ta kąpiel! Zastanawiała się w duchu, jak on może tak spokojnie mówić o czymś tak zwyczajnym, a jednocześnie nadzwyczajnym). Sporządził długą listę zmian, które należy wprowadzić w domu przed przyjściem na świat dziecka. Obejmowała na przykład zabezpieczenie kontaktów, wymianę kręconych schodów (śmiertelna pułapka dla malucha) na proste i tak dalej.

„W takim razie będziemy musieli zrobić wycenę”. Poziom stresu Ellen podniósł się, kiedy tylko zerknęła na listę.

„Wszystkim się zajmę” – zagwarantował Patrick, wypiął pierś i wysunął szczękę do przodu, udając superbohatera. „Niech twoja śliczna główka w ogóle się tym nie przejmuje”.

Przyłożyła rękę do czoła i udała, że mdleje w jego ramionach. (W rzeczywistości też prawie zemdląła).

Ellen spojrzała na zegarek. Nikogo się nie spodziewała. Saskia, pomyślała, idąc na dół. I nie ma już hydraulika, który by mnie obronił. Na wszelki wypadek chwyciła ze stolika w holu jeden z ciężkich, szklanych świeczników po babci. Zaśmiała się na widok własnego komicznego odbicia w lustrze w korytarzu. Mimo wszystko nie odstawiła świecznika.

Otworzyła drzwi.

To nie była Saskia. To była chuda, niska, nerwowa dziewczyna z papierosem w ustach ułożonych w przeproszający uśmiech.

Ellen doskonale znała tę twarz, ale przez chwilę nie mogła jej nigdzie umiejscowić. Była tak pewna, że to Saskia, że teraz nie potrafiła wybić sobie z głowy tego imienia.

Dziewczyna upuściła papierosa i zdeptała go, po czym podniosła niedopałek i ukryła w dłoni.

– Sama nie wierzę, że zapaliłam, kiedy czekałam pod drzwiami – oznajmiła. – Idiotka ze mnie. Tak czy inaczej, jak widzisz, nadal palę.

Ellen, z oczami utkwionymi w zgniecionym niedopałku, wymamrotała:

– Rosie.

– Tak – potwierdziła Rosie. – Przepraszam, wiem, że nie byłam umówiona, właśnie dziś rano wróciłam z podróży poślubnej i pomyślałam, że zajrzę sprawdzić, czy przypadkiem nie miałabyś czasu...

– Tydzień temu widziałam w gazecie zdjęcia ze ślubu – powiedziała Ellen, starając się zatuszować niechęć w głosie. – Mimo wszystko za niego wyszłaś! Czemu to zrobiłaś, skoro wiedziałaś, że go nawet nie lubisz?

– Okropne były te zdjęcia – stwierdziła Rosie. – Wyglądałam strasznie, a widziałaś kolor sukienek druhen?

– Zdjęcia były czarno-białe.

– Och, no tak, rzeczywiście. W każdym razie był okropny. Ale nie po to przyszłam. Możesz mnie... przyjąć?

– Oczywiście, nie ma problemu – odparła Ellen. Czowała się winna z powodu niechęci, z jaką zareagowała na widok Rosie. – Miło cię widzieć.

Cofnęła się o krok i zaprosiła Rosie do środka, dyskretnie odstawiając świecznik na stół.

– Pewnie się zastanawiasz, czemu ostatecznie za niego wyszłam – zaczęła Rosie, kiedy już siedziała w zielonym fotelu z odchylanym oparciem.

– Proszę. – Ellen podała jej chusteczkę, aby Rosie mogła w końcu pozbyć się niedopałka, który wciąż trzymała w dłoni.

– Z najgłupszego na świecie powodu – ciągnęła. – Na pewno się załamiesz, jak to usłyszysz.

– Nie przesadzaj.

Chociaż może się załamię, pomyślała Ellen.

– Kiedy wyszłam od ciebie, po tej ostatniej sesji, naprawdę byłam gotowa odwołać ślub. Wiedziałam, że będzie z tego wielka afera. Zaproszenia dawno rozesłane, na liście gości była nawet pani premier. Musiała co prawda w tym czasie lecieć do Japonii czy gdzieś tam, ale sama rozumiesz... Moja mama schudła dwadzieścia kilo i kupiła sobie najdroższą sukienkę, jaką miała w życiu, a mój tata całymi dniami dopracowywał swoją koszmarną przemowę przy toaście. Wszyscy znajomi mi zazdrościli. Zdaję sobie sprawę, że to jeszcze nie powód, żeby brać ślub, ale wszyscy uważali, że świetnie wychodzę za mąż, i to była prawda, ale nie dlatego to zrobiłam. Prawdziwym powodem było coś, co się stało, kiedy stąd wyszłam.

– Co takiego? – spytała Ellen.

– Pomyślałam sobie, że przejdę się na plażę – ciągnęła Rosie. Stukała się palcami ułożonymi w kształt litery V po wargach jak palacz, którego ciągnie do papierosa. – Żeby przewietrzyć umysł, pomyśleć, jak mogłabym ewentualnie wytłumaczyć się przed Ianem. I zobaczyłam tam całującą się parę. Całowali się tak na poważnie, wiesz, o co mi chodzi, to znaczy, jak się całują ludzie na początku znajomości?

– Wiem – odparła Ellen. Przypomniała sobie, jak całowała się z Patrickiem, przyparta do ściany muzeum.

– I pomyślałam sobie: „Boże, jak cudownie”, ale potem, kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że to Joe! Mój były chłopak, z którym rozstałam się rok temu. Myślałam, że już mi przeszło, myślałam, że mnie nie obchodzi, ale kiedy zobaczyłam, jak on całował tę dziewczynę... jakby w życiu nie zaznał takiej rozkoszy, po prostu ścięło mnie z nóg!

– Ach! – westchnęła Ellen.

– I wtedy pomyślałam, tak po prostu, że nie mogę tego zrobić, nie mogę odwołać ślubu – mówiła Rosie. – W podróż poślubną wybieraliśmy się do drogiego kurortu w Malezji, z moim dawnym chłopakiem zawsze marzyliśmy, żeby tam pojechać, ale nie było nas stać, i chciałam, żeby się teraz dowiedział, że tam byłam. Chciałam, żeby wyobrażał sobie mnie tam z innym mężczyzną. Chciałam zmasać z jego twarzy tę rozkosz. Zawsze miał kompleks, jeśli chodzi o pieniądze, uważał, że bogaci są lepsi od niego. Wiedziałam, że nasi wspólni znajomi opowiedzą mu o moim weselu. I nie mam pojęcia, to było tak, jakbym nagle straciła rozum. Postanowiłam niczego nie odwoływać, zdecydowałam, że jednak Kocham Iana, oczywiście, no bo jak mogłabym go nie kochać? Przekonałam samą siebie, że sesja z tobą tylko namieszała mi w głowie. Obwiniłam o to ciebie, szczerze mówiąc. Więc ostatecznie wyszłam za mąż, w porządku, ale wiesz co?

– Co takiego? – spytała Ellen.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, ten kurort w Malezji wcale nie był żadną rewelacją, tak naprawdę był beznadziejny i musieliśmy skrócić wyjazd z powodu jakiegoś zamachu stanu czy zjednoczenia, czy czegoś tam politycznego. Drugiej rzeczy dowiedziałam się dziś rano. Mianowicie, że mój eks chodził z tą dziewczyną tylko parę tygodni, a teraz znowu jest sam. A mnie to w ogóle nie obchodzi, kompletnie, bo i tak nigdy nie chciałabym do niego wrócić i znowu z nim być. Nie byłam tylko w stanie znieść myśli, że on jest tak szczęśliwy z kimś innym, a ja zostałam sama. Czy to nie jest najżałośniejsza rzecz, jaką słyszałaś w życiu?

– Oczywiście, że nie – odparła Ellen. – Kierują nami najrozmaitsze motywacje.

Nastąpiła cisza. Rosie zaczęła się wiercić na fotelu, a potem nagle zawołała:

– Jesteś zaręczona! – I wskazała na pierścionek od Patricka.

Ellen dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały czas okręcała go na palcu, przyciągając tym samym uwagę rozmówcy. Szybko weszło jej to w nawyk.

– Gratulacje! Założę się, że go kochasz. Że go kochasz tak, jak się powinno.

– Cóż. – Ellen uśmiechnęła się głupawo. Nie chciała sprawiać wrażenia osoby, z której bije samozadowolenie.

– Tak czy inaczej – mówiła dalej Rosie – Ian chce od razu mieć dziecko.

– Więc wreszcie jesteś gotowa na dobre rzucić palenie – stwierdziła Ellen.

– Nie – zaprzeczyła Rosie. – Chcę, żebyś mnie zahipnotyzowała, żebym się w nim zakochała. Przecież miłość to stan umysłu, tak czy nie? Nie chcę mieć dziecka z kimś, kogo nie kocham. Będziesz mogła to zrobić, prawda? Sprawić, żebym uwierzyła, że go kocham? Że nie popełniłam najgorszego błędu w życiu?

ROZDZIAŁ 13

Relacja kobiety z ojcem ma przemożny wpływ na wszystkie jej przyszłe związki z mężczyznami. Córce wychowanej tylko przez matkę brakuje męskiego wzorca. Z dużym prawdopodobieństwem można sądzić, że będzie miała wielu partnerów – więc WIELKIE dzięki, mamo, przez ciebie będę dziwką!!!!!!

Fragment dziennika Ellen O'Farrell, napisany
na tydzień przed jej piętnastymi urodzinami

Matka Ellen była zdenerwowana.

Było to niespodziewane i doskonale widoczne. Ellen obserwowała ją od chwili, kiedy weszły do restauracji, i próbowała się domyślić, co się w niej zmieniło. Na pierwszy rzut oka była spokojna i swobodna – pytała Ellen o ciążę, sprzeczała się żartobliwie z chrzestnymi o wybór wina, a kelnerowi zadawała dociekliwe pytania na temat dań. W jej sposobie siedzenia było jednak coś niepokojącego – plecy trzymała nienaturalnie prosto, zbyt prosto nawet jak na gorącą orędowniczkę właściwej postawy, brodę – za wysoko, a ramiona miała za bardzo ściągnięte. Ślicznymi, fiołkowymi oczami co chwila omiatała Ellen. Normalnie Ellen rozpoznawała, kiedy matka rzuca jej badawcze spojrzenia, by pobieżnie oszacować jej stan zdrowia – odcień cery, wagę, białka oczu. Zawsze jej się wydawało, że matka, zamiast

uściskać ją na powitanie, chętnie założyłaby jej na ramię opaskę ciśnieniomierza, a do ust wetknęła termometr.

Tymczasem zwróciła uwagę na swoje chrzestne. Phillipa bez dwóch zdań tłumiała podniecenie, jakby za chwilę miała obejrzeć jakieś odrobinę podejrzanego show. Ellen na początku nie dostrzegła nic niezwykłego u Mel, ale za chwilę okazało się, że ta raz po raz popatruje na Anne, jakby czegoś się po niej spodziewała. Ellen przypomniała sobie ich rozmowę telefoniczną sprzed zaledwie dwóch tygodni, kiedy to Mel rzuciła, iż Anne dziwnie się zachowuje. Przy całym zamęcie związanym z ciążą i zaręczynami zupełnie wyleciało jej to z głowy.

Kiedy tylko kelner przyjął ich zamówienia i poszedł, Ellen odezwała się:

– Dobra, a teraz chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

Ręka Anne powędrowała prosto do szyi i Ellen zwróciła uwagę na przepiękny, niewątpliwie bardzo drogi naszyjnik, którego nigdy dotąd nie widziała. Przy okazji dostrzegła, że skóra na szyi matki wygląda o wiele starzej, bardziej bezbronne niż reszta ciała, jak zmięty kawałek jedwabiu. Odruchowo chciała wyciągnąć rękę i ją wygładzić.

– Co to za naszyjnik? – zapytała.

– Widzisz, nic przed nią nie ukryjesz – rzekła z dumą Phillipa. – Zawsze taka była. Pamiętacie, jak kiedyś próbowałyśmy ją przekonać, że...

– Pip – przerwała jej Mel. – To sprawa między Anne i Ellen.

– Dokładnie! Zgadzam się! Nie mam pojęcia, po co jesteśmy tutaj my dwie. Nie wolałybyście przypadkiem, żebyśmy sobie poszły? Mogłybyście pogadać w cztery oczy.

Anne westchnęła.

– Wychowałyśmy Ellen razem, we trzy. Dlatego chciałam, żebyście też przyszły. Byłyście dla Ellen jak matki. We cztery stanowiłyśmy rodzinę.

Jesteśmy więc rodziną, a to... sprawa rodzinna.

Ellen była przerażona. Matka nigdy, przenigdy w ten sposób się nie zachowywała.

– To rak? – spytała.

– Nie, to dobre wieści – uśmiechnęła się Anne. Nieoczekiwanie zaczęła promienieć wewnętrznym światłem. – Miałam ci powiedzieć wcześniej, wtedy, pamiętasz, ale zajęły nas inne sprawy.

– Rzeczywiście – odparła Ellen.

– No więc chodzi o to, że spotkałam się z twoim ojcem, to wszystko.

– Niezupełnie wszystko – wtrąciła się Phillipa.

– Mam z nim coś w rodzaju... romansu – sprecyzowała Anne.

– Boże, jakie to romantyczne – westchnęła Phillipa.

– Nie rozumiem – stwierdziła Ellen. – Myślałam, że jest żonaty i mieszka w Wielkiej Brytanii.

– Rozwiedziony – powiedziała Anne błogo, jakby rozwód stanowił jedną z największych przyjemności życia.

– I przeniósł się z powrotem do Sydney – dodała Mel. – Twoja matka spotyka się z nim od wielu tygodni. Oczywiście wszystko przed nami ukryła. Chociaż osobiście wiedziałam, że coś się święci.

– A wszystko dzięki mnie! – pochwaliła się Phillipa. – Znalazł mnie na Facebooku, zapytał, czy mam kontakt z Anne O'Farrell, a kiedy powiedziałam twojej mamie, to po jej minie od razu poznałam, że coś jest na rzeczy, mimo że minęło tyle lat!

– Na rzeczy? – powtórzyła Ellen z niedowierzaniem. Czuła, jak narasta w niej głębokie, coraz głębsze rozdrażnienie. Te trzy kobiety zachowywały się jak nastolatki. – Przecież wybrałaś go z listy potencjalnych kandydatów!

– Tak, tak, pod tym względem nic się nie zmieniło – uspokoiła ją Anne.
– Nie martw się, twoje życie nie opiera się na kłamstwie. Nie powiedziałam ci jednego: rzeczywiście trochę się w nim podkochałam.

– Trochę bardziej niż trochę – wtrąciła Mel. – Pip i ja rozpracowaaliśmy ją od razu, rzecz jasna.

Teraz wszystkie trzy przygryzały wargi, umalowane drogimi szminkami, jak uczennice, które usiłują powstrzymać się od śmiechu podczas lekcji. Anne dolała im wina, a Ellen, która piła tylko wodę mineralną, poczuła się jak ich matka. Zachowywały się po prostu głupkowato.

– I okazało się, że on też zawsze podkochał się we mnie – oznajmiła Anne z dumą. – Myślał o mnie, kiedy był żonaty. Podobno często nawiedzałam go w snach.

– Biedna ta jego żona – powiedziała Ellen.

– Biedny kto? – zmarszczyła czoło jej matka.

– No, jego żona! Ta sama, z którą był zaręczony, kiedy z nim sypiałaś, żeby mnie począć!

– Och, nie bądź taka – zaczęła Anne i machnęła ręką, jakby chciała odgonić natrętną muchę.

Ellen podejrzewała, iż ostatnim słowem w tym zdaniu miało być: „nudna”.

Odezwała się Mel.

– Ellen, twoja matka nie miała nic wspólnego z rozpadem tego małżeństwa. Nie zrobiła nic niewłaściwego.

Ellen pomyślała o biednej nieznanym z Londynu, śpiącej noc w noc obok męża, który śni o fiołkowookiej dziewczynie ze słonecznego Sydney. Doprawdy, nic w tym niewłaściwego.

– Więc dobrze – Ellen starała się nie być zgryźliwa – a o mnie mu powiedziałaś?

Rozanielony wyraz twarzy Anne znowu ustąpił miejsca nerwowości.

– Był oczywiście wstrząśnięty i zły, że nie wiedział. Twierdzi, że odwołałby ślub i ożeniłby się ze mną. Wyobraź sobie! Mogłam zostać całkiem normalną gospodynią domową.

– Och, mamo – powiedziała tylko Ellen.

W tonie jej matki dała się wyczuć jakaś przytulność, samozadowolenie. Sprawilo to, że całokształt własnego istnienia wydał się nagle Ellen kiczowaty i banalny, a nie, jak dotąd, odważny i niesztampowy.

– Spotkasz się z nim, prawda, Ellen? – zapytała Phillipa. – Będzie jak w tym programie telewizyjnym, gdzie odnajdują się zaginieni członkowie rodzin. Już mi się chce płakać. Na samą myśl.

– Oczywiście, że się z nim spotkam, ale nie ma w tym ani nic romantycznego, ani wyciskającego łzy – oznajmiła Ellen. – Łączy nas po prostu DNA i tyle.

– Ale teraz chociaż wiesz, że twoi rodzice się kochali! – Phillipa przycisnęła obie dłonie do serca.

– Myślałyśmy, że będziesz zachwycona. – Mel obrzuciła Ellen ciekawym, badawczym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, jakby odkryła rozbieżność, którą absolutnie należy wyjaśnić. – Zawsze tak bardzo chciałaś poznać ojca. Nawet przez jakiś czas miałaś obsesję na jego punkcie.

– Owszem, w wieku czternastu lat – przytaknęła Ellen. Teraz perspektywa spotkania z tym człowiekiem stanowiła tylko żenującą powinność towarzyską.

– Nie chcesz się przekonać, jaki on jest? – spytała Phillipa.

– Chyba rzeczywiście jestem ciekawa – potwierdziła Ellen, mimo że nie była specjalnie zainteresowana. W tej chwili za bardzo pochłaniało ją własne życie: dziecko, przyszły przybrany syn i mąż. I była dziewczyna przyszłego męża. Nie miała czasu na budowanie nowych relacji.

– Cóż, nie ma pośpiechu – odezwała się Anne. – Poznasz go, kiedy będziesz gotowa. – Jej ręka co chwila wędrowała ku szyi, by pogłodzić kamień naszyjnika.

– A więc to od niego? – zapytała Ellen. – Od... hm... Davida? – Nie musi przecież mówić o nim „tata”?

Anne odsunęła rękę.

– Tak. Dostałam na pierwszą miesięcznicę naszej znajomości. – Oblała się rumieńcem. – Wiem, wiem, jesteśmy za starzy na taką dziecinadę.

– Aaaach – westchnęła rozdzierająco Phillipa.

Matka Ellen niewątpliwie była zakochana, i to do tego w ojcu Ellen, co większość osób zapewne uznałaby za stosowne oraz korzystne, a w dodatku zgodne z regułami społecznymi świata. Ellen nie rozumiała więc, dlaczego czuje się z tego powodu taka nieszczęśliwa. Czy to po prostu niechęć do zmian? Czy może w głębi duszy nie życzy sobie, aby matka darzyła uczuciem kogokolwiek poza nią? Będzie musiała to przemyśleć na spokojnie po powrocie do domu.

– Cieszę się, mamo – powiedziała. Zrobiła wszystko, by zabrzmiało to szczerze.

– Nie chwal dnia przed zachodem słońca – odparowała Anne, ale natychmiast uśmiechnęła się tym swoim dziwnym, nowym uśmiechem i wyciągnęła rękę, by dotknąć dłoni Ellen. – Twój ojciec jest najmiłym facetem pod słońcem – dodała.

Mieszkam w bliźniaku o trzech sypialniach.

Nigdy nie przepadałam za bliźniakami, ale cóż, jest, jak jest.

Kiedy rozstaliśmy się z Patrickiem, musiałam szybko znaleźć jakieś mieszkanie, więc zwróciłam się do znajomego agenta nieruchomości, który wyszukał dla mnie pierwszą lepszą okazję w moim przedziale cenowym. Był to ten nijaki, sterylny domek na ulicy pełnej identycznych budynków włączonych jeden na drugi – ulicy, przy której stoją również trzy dwudziestopiętrowe bloki. Tutejsi mieszkańcy to ciężko pracująca klasa średnia – najpracowitsza warstwa społeczna, tyrająca, by dorobić się lepszego statusu. W tej okolicy najważniejsza jest wygoda. Do stacji kolejowej krótki spacer, dziesięć minut pociągiem do centrum. Pełno tu całkiem przyzwoitych, ale nie dobrych restauracji, ekspresowych pralni chemicznych, bankomatów i postojów taksówek. Ludzie idą chodnikiem, gapią się w telefon i popijają kawę na wynos. To nie miejsce dla zakochanych. Nie znajdziesz tu ulicznych grajków ani księgarnek, kin ani galerii. To dobrze. Ta dzielnica to jakby przedłużenie biura.

Odkąd się tu wprowadziłam, moim sąsiadem z drugiej połówki domu jest mężczyzna imieniem Jeff. Niski, łysy, ze schludnie przystrzyżoną, rudą brodą. Najbardziej osobista rzecz, jaką o nim wiem, to to, że nie odczuwa zimna. Przez cały rok nosi krótki rękaw. Kiedy jest w domu, zza ściany nie dochodzą żadne oznaki jego obecności – żadnej muzyki, żadnej telewizji. Raz jeden słyszałam, jak krzyczał, jakby przechodził jakieś męczarnie: „Ale tak się nie robi!”.

Nie robi się czego? Aż tak bardzo mnie to nie interesowało. Nie obchodził mnie na tyle, żeby z nim porozmawiać lub spojrzeć mu w oczy.

Kiedy mijamy się czasem przy skrzynce na listy albo przy drzwiach, oboje natychmiast przyspieszamy i odchodzimy szybkim krokiem, jakbyśmy nagle sobie przypomnieli, że jesteśmy poważnie spóźnieni.

Ewentualnie wykazujemy duże zainteresowanie jednym z listów, które właśnie wyjęliśmy ze skrzynki, i rozdieramy kopertę, jakbyśmy spodziewali się wiadomości największej wagi. Zagadujemy do siebie głosem pełnym pośpiechu i skrępowania: „Ale dziś upał, prawda?”. Lub: „Co za ziąb!”. Albo: „Co tam słyszać?” – jeśli pogoda jest za mało konkretna. Nigdy też nie czekamy na odpowiedź, ponieważ nam na niej kompletnie nie zależy. Czasem odpowiadam mu w myślach: „Wciąż obsesyjnie prześladowę byłego chłopaka, oplakuję zmarłą matkę i dokuczam mi niewyjaśniony ból nogi. A co u ciebie?”.

A więc – tak, Jeff jest idealnym sąsiadem zza ściany. Tyle lat mieszkamy obok siebie. Jeśli jedno z nas wyjeżdża, drugie wyjmuję mu listy ze skrzynki. Rozprawiamy o takich sprawach jak wywóz śmieci czy koszenie trawy, równocześnie utrzymując najcudowniejszą i najbardziej powierzchowną znajomość.

Aż tu nagle dzisiaj, dokładnie w momencie, kiedy wróciłam z samochodem od mechanika, Jeff pojawił się nagle i stanął zdecydowanie za blisko mnie. Próbowałam dyskretnie się odsunąć.

– Cześć, Saskia – przywitał się. Chyba po raz pierwszy powiedział do mnie po imieniu.

– Hej, Jeff – odparłam. Tak samo.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że się wyprowadzam – oświadczył. – Zmieniam morze.

– Zmieniasz morze – powtórzyłam.

– Tak, przenoszę się do miejsciny na południowym wybrzeżu. Będę prowadził kawiarnię. „Pomost Jeffa”.

Byłam zdumiona. Sama nie wiem czemu. Chyba po prostu nigdy bym nie oczekiwała, że mój sąsiad jest kimś na tyle odważnym, by dokonać w swoim życiu znaczących zmian. On, rzecz jasna, nie wie, że w moim

życiu stanowi tylko epizod, podczas gdy w swoim własnym gra główną rolę. Ja również jestem bohaterką trzecioplanową na jego scenie. I słusznie.

– Knajpka nie będzie wprawdzie na pomoście, ale ma go przypominać. No, ten klimat, liny, kotwice... wiadra i tak dalej. – Przez jego twarz przemknął cień niepewności. Nie miał pojęcia, w co wchodzi.

– Brzmi cudownie – odparłam. Będzie cudowną klapą.

– Tak, postanowiłem, że pora skończyć z pracą w policji – dodał.

– Jesteś policjantem? – spytałam z niedowierzaniem. Ani razu nie widziałam go w mundurze. Byłam przekonana, że jest audytorem lub informatykiem, a może bibliotekarzem. Czy policjanci nie powinni informować sąsiadów o charakterze swojej pracy? A jeśli przez przypadek, przy skrzynce na listy, ujawniłabym przed nim przestępstwo? Albo zaproponowała mu nielegalną substancję?

No i Patrick. Zawsze groził, że zgłosi sprawę na policję. Jakie to melodramatyczne. Czemu policję miałyby interesować prywatna sprawa dwojga dorosłych ludzi? No ale powiedzmy. Technicznie rzecz biorąc, wkraczam do jego domu bez pozwolenia.

– Nie miałam o tym pojęcia – stwierdziłam. Nie byłam w stanie ukryć niechęci w głosie.

– Tajnym – wyjaśnił Jeff. – Dość stresujące zajęcie. Sporo miesza w głowie. Nie sposób nawiązać z nikim bliskich relacji. A lat nie ubywa. Chciałbym wreszcie poznać tę jedyną. Marzę o tym, żeby kiedyś zostać tatą!

Nie miałam ochoty słuchać, że Jeff pragnie za wszelką cenę poznać tę jedyną. Czułam się, jakby dzielił się ze mną intymnym, nieco odrażającym sekretem.

– Wprowadza się tu miła, młoda rodzina – ciągnął. – Z dwójką dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Będzie ci trochę weselej niż ze mną.

Najwyraźniej nagle przypomniał sobie, jakimi byliśmy sąsiadami, i zrobił gwałtowny krok w tył.

– Cóż – dodał – nie będę cię zatrzymywał. Pomyślałem, że powinienem cię uprzedzić, żebyś się jutro nie dziwiła na widok ekipy od przeprowadzek. Pojutrze zjawią się nowi lokatorzy.

– Powodzenia ze wszystkim – powiedziałam.

– Dzięki – odparł z uśmiechem.

Jego uśmiech okazał się nieoczekiwanie ładny, nieśmiały, a ja poczułam dziwny, smutny żal. Mogłam się z nim zaprzyjaźnić. Mogłam zaprosić go na kawę albo na drinka. Może wtedy nie musiałyby się wyprowadzać na inne wybrzeże.

Przed Patrickiem na pewno tak bym właśnie postąpiła. To wszystko jego wina.

A teraz będę miała miłą, młodą rodzinę za ścianą. Pusty, nijaki bliźniak przestanie być bezpiecznym schronieniem przed cudzym szczęściem. Już sama myśl o tym, że będę musiała dzień w dzień widzieć i słyszeć zadowolonych z siebie, kochających się ludzi, jest nie do zniesienia. Nienawidzę rodzin z dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką, jak z reklamy samochodu. To takie właściwe. Tacy są zawsze z siebie zadowoleni.

Czułam, jak w głowie gromadzi mi się wielka chmura burzowa. Coś się wydarzy. Muszę sprawić, żeby coś się wydarzyło. Niebawem. Tylko jeszcze nie wiem co.

*

Ellen wróciła z lunchu z matką i chrzestnymi i z torbą na kolanach przysiadła na schodkach przed drzwiami. Nie chciało jej się szukać kluczy i otwierać pustego domu. Chciała nacisnąć dzwonek i czekać, aż usłyszy

powolne człapanie dziadka. Zawsze otwierał drzwi z nieufnym, wojowniczym wyrazem twarzy, który na widok gościa natychmiast zniknął.

„Przyszła Ellen!” – krzyczał wesoło do babci, otwierał drzwi, a Ellen czuła zapach świeżego ciasta.

Nie żyli już od ponad roku, ale dziś, nie wiedzieć czemu, wydało jej się absurdalne, że nie ma ich w domu. Setki razy otwierali jej te drzwi. Dziś nie czuła, że to tylko wspomnienia. Rozum dyktował jej, że wciąż gdzieś są, może na innej płaszczyźnie egzystencji, więc jeśli będzie tu siedzieć wystarczająco długo i mocno się skoncentruje, uda jej się prześlizgnąć przez czas, materię lub cokolwiek innego, jeszcze raz położyć głowę na ramieniu dziadka i zobaczyć, jak leciutko się czerwieni – jak zwykle, kiedy go przytulała.

„Co cię trapi, Ellie?” – spyta babcia, która zwracała się tak do niej jako jedyna. („Nie dawałam dziecku na imię »Ellie«”, wzdrygała się na to Anne).

Pragnęła opowiedzieć dziadkom o nowym życiowym wydarzeniu – że ów David Greenfield – do tej pory jedynie dziwne, tajemnicze nazwisko na akcie urodzenia, zmienił się właśnie z precyzyjnie wyselekcjonowanego dawcy nasienia w „najbardziej uroczego faceta, jakiego kiedykolwiek znała jej matka”. Jakby się właśnie dowiedziała, że Święty Mikołaj jednak istnieje – w momencie, kiedy było jej już wszystko jedno, kiedy wyrosła już z bajek, kiedy to odkrycie nie wywoływało nic poza mętlikiem w głowie.

„Och, ta twoja mama!” – Babcia potrząśnie głową i postawi wodę na herbatę.

Ellen uśmiechnęła się i westchnęła. Tak, to o to chodziło. Chciała, żeby ktoś dał jej matce reprimendę. Że tak namieszała jej w życiu. A dziadkowie zawsze byli po stronie wnuczki.

Powodem zaś, dla którego pragnęła, by matka dostała reprimendę, był strach. Strach przed zmianą. Strach przed nieznanym. Ten sam strach, który malował się na twarzy dziadka, kiedy otwierał drzwi. Czy to zmiana puka?

Westchnęła, wyjęła klucze z torby i podniosła się. Jej wzrok zatrzymał się na czymś, co leżało na stoliku z mozaikowym blatem tuż przy drzwiach frontowych. Stolik był dziełem babci, która zapisała się na kurs mozaiki. (Niezbyt, co prawda, udanym. Zielone i pomarańczowe prostokąty nie trzymały poziomu. Prowadzący musiał przywoływać babcię do porządku, bo gadała na zajęciach).

Na środku stolika ustawiono książkę – pionowo, jak na wystawie w księgarni. Obok leżała ukośnie różowa kamelia.

Ellen poczuła lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. To była książka, którą pożyczyła Saskii. Zgodnie z obietnicą Saskia ją oddała. Ellen podniosła książkę i przekartkowała ją. Nie wypadła żadna karteczka. Tylko niesamowity, uważny sposób, w jaki została ułożona na stoliku. I ten kwiat. Co on miał oznaczać?

– Przepraszam, hipnoterapia to tu? – Czyjś głos przerwał jej myśli.

Ellen drgnęła i piskliwie krzyknęła, jak przestraszona dziewczynka.

– Och! Bardzo przepraszam, że panią przestraszyłem! – U stóp schodów stał mężczyzna koło pięćdziesiątki z pokornym, przeproszającym wyrazem twarzy. Miał ze sobą notatnik z równiutko wpiętym długopisem, a ubrany był w elegancką, o dwa rozmiary za dużą koszulę, bez krawata. Wyglądał jak ktoś spóźniony na spotkanie nowo powstałej grupy biblijnej.

Ellen przycisnęła dłoń do piersi, by uspokoić skołatane serce.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu się zamyśliłam.

Uśmiechnęła się i z wyciągniętą ręką zeszła po schodkach, aby się przywitać.

– Dobrze pan trafił. Alfred, prawda? Alfred Boyle. Jestem Ellen.

Alfred był nowym klientem, który znalazł ją w internecie i parę tygodni wcześniej mejlował w sprawie ceny wizyty. W korespondencji wspomniał, że jest partnerem w biurze rachunkowymi i „potrzebuje pomocy, jeśli chodzi o wystąpienia publiczne w pracy”.

Ellen otworzyła przed nim drzwi i poprowadziła go na górę po schodach, rozglądając się przy tym z nadzieją, że uda jej się uchwycić wzrokiem niknące, ulotne postaci dziadków (nawiasem mówiąc, ciekawe, co powiedzieliby na temat Saskii). Dom jednak był pusty i niezależnie od tego, jak usilnie wachała, by poczuć zapach babcinych wypieków, czuła tylko pozostałości tajskiej zapiekanki z kurczaka, którą zrobiła wczoraj wieczorem.

Książkę i kamelię zostawiła na stoliku w holu. Postanowiła, że pomyśli o tym później.

ROZDZIAŁ 14

Freud zawsze twierdził, iż powodem, dla którego zaprzestał stosowania hipnozy u pacjentów, było to, że ci zawsze zrywali się i całowali go. Prawdziwą zaś przyczyną okazał się fakt, iż sztuczna szczeka źle leżała mu na zniszczonych od kokainy dziąsłach, w związku z czym nie mówił na tyle wyraźnie, by wprowadzić pacjenta w trans. Jaki z tego morał? Używaj nici dentystycznej!

Fragment wykładu wygłoszonego przez
Flynna Hallidaya w czasie spotkania Northern
Beaches Hypnotherapists w sierpniu 2010 roku

– Ellen, witaj. Świetnie wyglądasz.

– Dzięki, Flynn.

Flynn schylił głowę, by musnąć policzkiem jej policzek.

Od powrotu z Noosa minął miesiąc. Brała udział w regularnym cyklu spotkań Australijskiego Towarzystwa Hipnoterapeutycznego. Flynn był przewodniczącym, Ellen – skarbnikiem. Zebrania odbywały się w niewielkim pomieszczeniu w miejscowym domu kultury. Flynn i Ellen przyjechali pół godziny wcześniej, żeby przygotować salę.

– I jak tam leci? – spytał, kiedy ustawiali stoły i krzesła w podkowę. – Coś nowego?

Ellen się zawahała. Ogarnęło ją poczucie winy. Zawsze przy Flynnie tak się działo – czuła, że zawiodła go pod tyłoma względami.

Znała Flynna jakieś piętnaście lat. Długo zatrudniał ją w swojej firmie hipnoterapeutycznej, najpierw jako asystentkę, potem – stażystkę, a w końcu – hipnoterapeutkę. Zaproponował nawet, żeby została jego współniczką. Wiedziała, że jej odmowa i decyzja rozpoczęcia własnej praktyki dotkliwie go zaboląły.

Było jeszcze coś – coś, o czym nigdy nie mówiła na głos, a nawet do czego sama przed sobą się nie przyznawała. Dotyczyło to sposobu, w jaki Flynn na nią patrzył. Czasem myślała, że to tylko kwestia jej wyobraźni, że zachowuje się jak typowa córka wychowana bez ojca i niewłaściwie ocenia niewinne, absolutnie akceptowalne oznaki sympatii starszego mężczyzny w stosunku do młodszej koleżanki. Czasem zaś była prawie pewna, że gdyby tylko w jakikolwiek, choćby najsubtelniejszy sposób zachęciła Flynna, bez wątpienia zacząłby ją podrywać – za pomocą poezji, wyszukanych komplementów i doskonale przemyślanych prezentów.

Flynn nie miał żony ani, o ile Ellen było wiadomo, nie był z nikim w związku. Dobiegał sześćdziesiątki, miał gęste, jasne włosy i różową twarz cherubina. Przywodził na myśl podstarzałego chłopca z chóru kościelnego. Sama idea seksu wydawała się sprzeczna z jego wizerunkiem.

Nie było potrzeby jeszcze wspominać o ciąży. Choć już od paru tygodni czuła się zdecydowanie inaczej (dziwne dziobania w brzuchu, tkliwe piersi, lekkie mdłości, trwające całymi dniami, i stałe uczucie przerażenia na granicy łez), to jej wygląd się nie zmienił. Poza tym była przekonana, iż Flynn wolałby ją uważać za dziewicę.

Dziwne jednak byłoby zataić przed nim fakt zaręczyn.

– Tak, tym razem jest coś nowego – rzekła. – Zaręczyłam się.

Flynn stał tyłem do niej. Czekał ciut za długo, aby się odwrócić.

Oczy Ellen wypełniły się łzami. Och, Flynn, niemądry człowieku. Gdyby tylko mogła prowadzić podwójne życie, takie dodatkowe, i pozwolić Flynnowi, by ją uwodził, ożenił się z nią i dzięki niej stał się szczęśliwy. Oczywiście bez seksu.

– Gratuluje! – Flynn przeszedł przez salę i ucałował ją niezdarnie. Leciutko pachniało od niego miętą.

Odsunął się i złożył ręce przed sobą zupełnie jak wiejski ksiądz.

– Znakomita wiadomość – powiedział.

Kiedy Flynn rozpaczliwie szukał słów, Ellen pomyślała o Saskii. Gdyby tylko jej relacja z Flynnem była odrobinę mniej skomplikowana, chętnie poprosiłaby go o poradę. Jeśli chodzi o znajomość ludzkiej psychiki, był dla niej autorytetem.

Ellen żałowała, że w ogóle wspomniała Patrickowi o sposobie, w jaki Saskia zwróciła jej książkę. W rezultacie Patrick przestał sypiać – krążył nocami po domu, poirytowany własną bezradnością.

– Okropne, że musisz to znosić – mówił z twarzą nagle postarzałą, obciążoną stresem. – Chciałbym żyć w świadomości, że uprzyjemniam ci życie, a nie utrudniam.

– Po prostu zwróciła książkę – stwierdziła Ellen. – I nie boję się jej. – Bo rzeczywiście się nie bała. Nie na poważnie. Odczuwała tylko łagodny, lekko drżący niepokój, związany niekoniecznie z Saskią, ale ze wszystkimi zmianami, które nagle zaszły w jej życiu.

– Ach, masz więc dla mnie wspaniałe wieści – powtórzył Flynn, a na jego twarzy błysnęła panika. – Ale nie z tym Dannym, mam nadzieję?

– Nie, wychodzę za geodetę – wyjaśniła Ellen. – Będę żoną geodety.

Co? Kiedy była zmieszana, wygadywała najdziwniejsze rzeczy.

– Coś takiego! Za geodetę! Nareszcie jakaś konkretna profesja, cudownie! – Flynn trzymał ręce przed sobą i potrząsał nimi, jakby sam

siebie chciał przywitać ciepłym uściskiem dłoni. – Tak, tak, bo ten Danny, słyszałaś, co on wyprawia?

Ellen przedstawiła mu Danny'ego na jakiejś uroczystości. Panowie z miejsca zapałali do siebie wyraźną niechęcią.

– Nie, wieki z nim nie rozmawiałam.

– Traktuje hipnoterapię jak sprzedaż bezpośrednią. Organizuje spotkania, nazywa je...

– Hipnoimprezy! – Do sali wpłynęła Marlene Adams, hipnoterapeutka z tego samego pokolenia co Flynn i o identycznym światopoglądzie. (Dlaczego w niej się nie zakocha?) – Czyż to nie straszne? Słyszałam go wczoraj w jakimś programie radiowym i pomyślałam sobie: Co takiego? Czy ja dobrze słyszę? Hipnoimprezy? Tak, tak, to bardzo podniesie naszą wiarygodność zawodową, prawda?

*

– A więc za tydzień wypada ostatnia niedziela miesiąca – rzekł Patrick tego samego popołudnia.

– Stare džinsy – powiedziała Ellen. – Tu mają być „stare džinsy”?

Stała w korytarzu i patrzyła na równiutki, sporządzony czarnym markerem napis na dużym, zakurczonym kartonie. Patrick i Jack już od tygodnia oficjalnie u niej mieszkali, jednak proces przeprowadzki okazał się dość skomplikowany. Patrick był bowiem gorącym przeciwnikiem ekip od przeprowadzek, czyli, jak to mówił: „band łobuzów, którzy zarabiają o wiele za dużo”. Zamiast tego co parę dni, kiedy nadarzała się okazja, przewoził po parę pudeł z rzeczami swoją firmową półciągarówką.

Ellen wolałaby, żeby wziął trochę wolnego i jednak wynajął tę „bandę łobuzów”, którzy wykonaliby pracę szybko i sprawnie. Zamiast tego jej korytarz powoli zapełniał się gigantycznymi kartonami, których Patrick nie

miał czasu poustawiać, a które były za ciężkie, by zrobiła to Ellen. Klienci przechodzący tędy do gabinetu musieli przeciskać się pod ścianami.

– Czy to oznacza, że w tym pudle są stare dżinsy?

– Czy to pytanie pułapka? – spytał Patrick.

– Po co trzymasz stare dżinsy?

– Do różnych prac przy domu, w ogrodzie i tak dalej – odparł Patrick cierpliwym, męskim tonem.

– Dobra, ale cały karton? – Ellen przejechała palcem po wierzchu pudła, wyznaczając ścieżkę w grubej warstwie kurzu.

Miała przeczucie, że to samo pudło latami leżało w garażu Patricka. Nigdy nie włoży tych starych dżinsów, ale też nie pozwoli ich wyrzucić. Zaswędziało ją w nosie i kichnęła.

– Na zdrowie – odezwał się Patrick. – Co to ja mówiłem... a, że będzie ostatnia niedziela miesiąca.

Rzuciła okiem na następne pudło. „Stare koszule”. Czowała już wilgotny zapach stęchlizny. Co więcej, widziała zieloną, grubą pleśń rosnącą w środku.

Miała więc do czynienia z typem zbieracza. Nie cierpiał niczego wyrzucać. Nie miała o tym pojęcia. Jego dom wydawał się całkiem w porządku. Wszystko na swoim miejscu, względnie poukładane. Te pudła musiały najwyraźniej stać w szafach albo piętrzyć się w stosach do sufitu w garażu.

Poczowała łaskotanie w nosie. Jeszcze raz kichnęła.

– Jak myślisz, ile jeszcze przywieziesz pudeł? – zapytała. Starła się oczywiście, by zabrzmiało to od niechcenia.

– Ledwie je ruszyłem – odparł pogodnie. – Przecież mieszkałem w tamtym domu od ponad dwudziestu lat. Sporo rzeczy się zebrało.

Ellen poczuła narastającą falę hysterii.

– Czemu pytasz? Męczy cię to? Przecież to tylko na chwilę. Jeśli o to ci chodzi, to nie zamierzam urządzić magazynu w przejściu, nie martw się – powiedział, otaczając ręką jej talię.

– Powinieneś część... tych rzeczy od razu wyrzucić. – Ellen odsunęła się nieco, tak żeby ręka Patricka spadła. – Nawet byś nie zauważył, że ci czegoś brakuje.

Rozpoznawała ten chłodny, konkretny głos. Należał do jej matki. Ostatnio Julia stwierdziła, że Ellen coraz częściej mówi jak własna matka. Ellen odpowiedziała:

– Bez obaw, nic podobnego mi nie grozi.

Anne z całej duszy nie znosiła słowa „rzeczy”. (Zawsze wypluwała je z wściekłością, jak bluźnierstwo). W dzieciństwie przedmioty należące do Ellen często znikwały.

„Nie pamiętam, kiedy ostatnio dotykałaś tych rzeczy” – tłumaczyła matka, kiedy Ellen odkrywała, że jakieś jej zabawki czy ubrania zostały oddane „dla biednych”. Bywając w domach koleżanek, z zazdrością spoglądała na blaty i parapety zastawione pamiątkami i szpargałami, oprawione zdjęcia, zalegające na i tak już zapchanych książkami półkach, a nawet magnesy w kształcie truskawek, przytrzymujące na drzwiach lodówki szkolne dyplomy i rysunki młodszego rodzeństwa. W porównaniu z tym jej dom, a co za tym idzie, jej życie, wydawał się sterylne. Bałagan, rozgardiasz tudzież chaos kojarzyły jej się z miłością i ciepłem, roztaczanym przez urocze, nijakie, pulchne mamy, które częstują kanapką z masłem orzechowym, a potem lecą pilnować obiadu albo nastawiać pranie.

W czasie tych rzadkich okazji, kiedy to Anne była nie w pracy, a w domu, zaś do Ellen przychodziły koleżanki, matka zwracała na nie o wiele

za dużo uwagi, przeszywała spojrzeniem fiołkowych oczu, oferując sok z limonki (które dziecko lubi sok z limonki?) i pytając o zdanie na temat bieżących problemów na świecie (nie miały, oczywiście, żadnego zdania, z wyjątkiem Julii, która uważała, że Ellen ma fantastyczną matkę), przy czym specjalizowała się w cynicznych żarcikach, niezrozumiałych dla najmłodszych.

W związku z tym Ellen nie mogła uwierzyć, że właśnie użyła słowa „rzeczy” dokładnie w taki sam sposób, w jaki robiła to matka. Dowodziło to wprost, że doświadczenia z dzieciństwa są wryte w podświadomość. Kiedy tylko znajdzie czas, powinna nad tym poważnie popracować, zanurzyć się we własnych, niczym niezmaconych emocjach dotyczących tej kwestii, bo jeśli tego nie zrobi, to pewnego dnia i ona zaproponuje kumplom własnych dzieciaków sok z limonki.

– Widzę, że naprawdę cię to męczy – odezwał się Patrick. – Słuchaj, obiecuję, że do weekendu te wszystkie pudła znikną.

Zrobił przy tym tak uroczą, przeproszającą minę, że Ellen poczuła nagły przypływ miłości i oczy natychmiast wypełniły jej się łzami, oczywiście wynikającymi z poczucia winy. (Te hormony ciążowe! Przyglądanie się, w jaki sposób oddziałują na jej emocje, było fascynujące).

– W porządku, nie ma pośpiechu, zachowuję się głupio. – Zaczęła szybko mrugać i poszła dalej korytarzem, nie spoglądając już na pudła. – Mówiłeś coś o niedzieli?

Weszli do kuchni i Patrick natychmiast nastawił czajnik. Zawsze to robił w tej samej chwili, kiedy wchodził do kuchni, przyjmując z góry, że zaraz napiją się herbaty. Było w tym coś staroświeckiego i uroczystego, i przypominało jej kogoś. Tylko kogo? Oczywiście, dziadka. Jej kochanego dziadka, który zawsze robił babci herbatę.

Tak. Uwielbiała Patricka. Dzięki Bogu. Wiedziała, że to głupie i mało realistyczne, ale za każdym razem, kiedy odczuwała wobec niego najlżejszą choćby irytację, ogarniała ją panika. Przecież mieli razem dziecko. Musi zachować czujność – każda rysa na ich świeżutkim związku powinna natychmiast zostać zatarta. Było to absolutnie niezbędne. To dziecko, jej dziecko, ma się wychować w pełnej rodzinie – z matką i ojcem.

– Więc co takiego mówiłeś o niedzieli? – spytała jeszcze raz, kiedy Patrick postawił przed nią kubek parującej herbaty.

W najbliższą niedzielę miała po raz pierwszy spotkać się z ojcem. Na samą myśl żołądek ścisnął jej się z nerwów. Niemożliwością było udawać, że temat jest mało istotny. Ciało mówiło samo za siebie – i to na każde wspomnienie tematu.

– To ostatnia niedziela miesiąca – rzekł Patrick i odwrócił się w stronę lodówki. – Masz jakieś pieczywo? – mówił, przeszukując półki. – O, jest, świetnie. Tak się zastanawiałem, czy z nami pojedziesz. Pełnoziarniste? Po co marnować dobry chleb i robić pełnoziarnisty?

– O czym ty mówisz? – zapytała Ellen. Za chwilę Patrick zje cały chleb i nie zostawi nic na jutro rano. A poza tym nie rozumiała, o co mu chodziło. – Dlaczego cały czas powtarzasz coś o ostatniej niedzieli miesiąca? Powinno mi się to z czymś kojarzyć?

Patrick podniósł na nią zdziwiony wzrok znad tostera, do którego wkładał dwa ostatnie kawałki pieczywa.

– No przecież wiesz, że w ostatnią niedzielę miesiąca zawsze jeżdżę z Jackiem na lunch do rodziców Colleen. W góry.

– Nadal odwiedzasz jej rodziców? – spytała Ellen, zbita z tropu. – Co miesiąc?

– To dziadkowie Jacka – odparł Patrick. – Po drodze wstępujemy na grób Colleen.

– Nigdy mi o tym nie napomknęłaś – rzekła Ellen. Z pełną świadomością stwierdziła, że przyspiesza jej tętno. Troszeczkę. – Nigdy.

– Przepraszam, myślałem, że ci mówiłem – stwierdził Patrick. – Tak czy inaczej to bez znaczenia...

– Nigdy nawet o tym nie napomknęłaś – powtórzyła. Nie istniała możliwość, żeby zapomniała o czymś tej wagi. Była kobietą. Była Ellen. Mogła zapomnieć, jakim Patrick jeździ samochodem albo jakiej drużynie piłkarskiej kibicuje, ale w życiu nie zapomniaby, że co miesiąc odwiedza grób żony i jej rodzinę.

– Wszystko jedno – mruknął Patrick.

– Nie, nie wszystko jedno – powiedziała. – Nigdy o tym nie wspominałaś. Wiem, bobym zapamiętała.

– Nie mówiłem, że wspominałem. Mówiłem, że myślałem, że ci o tym wspominałem – sprostował Patrick. – Najwyraźniej nie zrobiłem tego. Ale naprawdę to nie ma...

– Kiedy? – zapytała. – Jak myślisz, kiedy mi o tym mówiłaś?

Kromki wyskoczyły z tosterka. Patrick podszedł, żeby je wyjąć, i oparzył się w koniuszki palców.

– Au. Słuchaj, nie wiem. Mówię szczerze, myślałem, że ci mówiłem!

– Ale nie mówiłaś. – Ellen wiedziała, że zachowuje się okropnie.

– Dobrze, więc zapomniłem ci powiedzieć. Przepraszam. Możemy już dać spokój?

– Nie mogę wytrzymać, kiedy tak mówisz! – wykrzyknęła Ellen i natychmiast uderzyło ją to, że Patrick dotąd tak się nie zachowywał.

To Edward zawsze powtarzał takim samym, wycieńczonym tonem: „Możemy już dać spokój?”. Zadziwiające, jak pamięć o dawnych wydarzeniach potrafi ni stąd, ni zowąd wypłynąć na powierzchnię.

– Nie możesz wytrzymać, kiedy co konkretnie mówię? – Patrick był zbity z tropu.

– Nieważne – odparła. – Przepraszam.

Była ciekawa, czy Patrick specjalnie czy nieświadomie przed zaręczynami niemal nie wspominał o Colleen. Zauważyła, że choć przyjęła oświadczyzny, imię Colleen coraz częściej przewijało się przez ich codzienność. O, na przykład niedawno przechodził obok pralki, kiedy wstawiała pranie, i oznajmił, iż Colleen zawsze twierdziła, że dobrze jest wsypać proszek do pralki przed włożeniem ubrań, by się najpierw cały rozpuścił, czy coś w tym rodzaju. Poczowała lekką irytację. Wyglądało na to, że ta Colleen była boginią ogniska domowego. Najwyraźniej szyła też na maszynie. Na jednym z kartonów w korytarzu było napisane: „maszyna do szycia”. „Colleen uszyła sobie na niej suknię ślubną”, usłyszała, gdy o to zapytała. „Cóż, ja na pewno nie będę szyła sobie sukni” – odpowiedziała lekko. „Nie umiem nawet nawlec igły”. Patrick odpowiedział: „Wcale tego nie oczekiwałem”. W związku z tym Ellen poczuła się tak, jakby chciał powiedzieć: nie oczekiwałem, że będziesz równie nadzwyczajna. Jak cholernie piękna, rozpuszczająca proszek przed załadowaniem prania Colleen.

– Dobra. Myślałem w każdym razie, że może teraz, kiedy już jesteśmy zaręczeni, będziemy mieli dziecko i tak dalej – Patrick odchrząknął i, co znamienne, nie patrzył jej prosto w oczy – że może mogłabyś pojechać z nami w tę niedzielę i ich poznać.

Ellen wzięła głęboki, uspokajający oddech. Widziała, że to dla niego ważne. Denerwował się, kiedy ją o to pytał.

– Bardzo chętnie, ale w tę niedzielę nie mogę – odparła. – Jestem umówiona na lunch z mamą i z moim ojcem. Wiesz, że mam go zobaczyć pierwszy raz w życiu. Pamiętasz?

Patrick był podekscytowany nagłym pojawieniem się w życiu Ellen ojca. Długo wałkowali temat, wspólnie zastanawiali się, jak też będzie wyglądał (czy Ellen okaże się do niego podobna?), jak będzie się czuł w tej sytuacji, rozmyślali, jakie to wszystko dziwne i krępujące i jak bardzo niezrozumiałe było postępowanie Anne.

– Och, no jasne – powiedział Patrick ze zmarszczonym czołem, o wiele za grubo smarując tosty masłem. – Zapomniałem. Nie mogłabyś jakoś tego przełożyć? Spotkać się z nimi na przykład na kolacji?

Nie chciała się spotykać na kolacji. Kolacja była znacznie bardziej intymna, formalna, uroczysta. Lunch to właściwa pora – lekka i niezobowiązująca. „Cześć, tato, miło cię poznać!” A poza tym nie chciała zadawać sobie trudu i zmieniać wszystkich ustaleń. Mama dostałaby szału. Ellen nie pamiętała, żeby matka w życiu była na coś bardziej nastawiona (co wiele mówiło, bo generalnie podchodziła do wszelkich ustaleń bardzo sztywno). Jakby od tego, czy ich pierwsze spotkanie przebiegnie pomyślnie, miała zależeć cała przyszłość. Wielki szum wokół wyboru miejsca, jedna restauracja zarezerwowana, potem odwołana, druga wybrana, lecz również odwołana, bo nie było stolika z widokiem. Kiedy wreszcie zapadła decyzja o restauracji malezyjskiej, Anne podała Ellen godzinę spotkania, po czym ją potwierdziła. Mel i Phillipa siedziały jak na szpilkach. Koleżanki Ellen domagały się natychmiastowych doniesień, kiedy tylko Ellen wróci do domu. Nie mogła tak po prostu przełożyć spotkania.

– Ten lunch to dla mnie ważna sprawa – powiedziała.

– Wiem, wiem – przytaknął Patrick. Podszedł i usiadł obok niej przy stole. Postawił na nim talerz z tostami, po czym spojrział na nią błagalnym wzrokiem. – Ale może twój tata nie będzie miał nic przeciwko zmianie godziny, prawda? A może moglibyście się spotkać w sobotę?

„Twój tata”. Już sam dobór słów świadczył o tym, jak bardzo Patrick nie rozumiał wagi tego wydarzenia. To nie był zwyczajny lunch z „tata”. Nie miał nic wspólnego z lunchem w lokalnym centrum handlowym, na jaki mógłby się wybrać na przykład Patrick ze swoim uroczym ojcem.

– Dlaczego w takim razie ty nie zmienisz terminu spotkania z rodziną Colleen? – spytała Ellen naturalnym, miłym głosem. To nie powinno być trudne. Zwyczajna zmiana poprzednio poczynionych ustaleń. Może być powodem konfliktu w innym związku, ale nie u niej, osoby o wyjątkowej dojrzałości emocjonalnej.

Patrick wykrzywił twarz i podrapał się w szczękę.

– Chodzi o to, że zawsze spotykamy się w tym samym terminie. Ostatnia niedziela miesiąca. Nawet kiedy Colleen jeszcze żyła. To taka tradycja. Nigdy jej nie zmieniałem. Jej rodzice są starzy, konserwatywni, lubią robić wszystko zawsze tak samo. A poza tym ja w pewnym sensie... – Spojrzał na nią zawstydzony, po czym odłożył tost. – W pewnym sensie zapowiedziałem twój przyjazd. To dla nich nie było co. Nie przedstawiłem im dotąd żadnej kobiety. To nie będzie dla nich łatwe, bo będą wiedzieli, że zastąpisz mi Colleen. Wciąż ją opłakują. Strata dziecka chyba nigdy nie przestaje boleć. Millie powiedziała: „Ellen stanie się częścią życia Jacka, więc chcielibyśmy, żeby była też częścią naszego życia”. – Patrick potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa. Obrzucił Ellen smutnym, sentymentalnym spojrzeniem, spodziewając się, że i ona będzie zdumiona odwagą Millie.

Elen natomiast poczuła niechęć do wszystkich wokół. Nie miała specjalnej ochoty poznawać obcego człowieka, który był jej własnym ojcem. Tym bardziej nie miała ochoty poznawać rodziny zmarłej żony Patricka. (Jak może nie czuć się winna, że żyje, podczas gdy ich jedyne, ukochane dziecko zmarło?)

Była w ciąży. Nigdy w życiu nie czuła się równie zmęczona. Jej korytarz był zawałony cudzymi rzeczami. Nie marzyła o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wszyscy dali jej święty spokój i pozwolili jej spać, spać, spać. A kiedy ona będzie spać, Patrick niech coś zrobi z tymi wszystkimi pudłami.

Właśnie tak wyobrażała sobie nadchodzącą niedzielę.

Patrick zlizął miód z palców.

– Jack się strasznie cieszy, że poznasz Millie i Franka. Już ich uprzedził, że ich zahipnotyzujesz.

– Powiedziałaś Jackowi, że przyjadę, zanim mnie o tym poinformowałaś? – zapytała z niedowierzaniem.

– Wiem, przepraszam. Jestem idiotą. Zakodowałem sobie, że pojedziesz.

– Ale nie mogę! – zawołała.

– Ale jeśli poprosisz tatę...

– On nie jest moim tatą – powiedziała dobitnie. Zauważyła, że ma zaciśnięte zęby, i uczyniła świadomy wysiłek, by rozluźnić szczękę. – W życiu nie widziałam człowieka. Proszę, nie nazywaj go moim tatą.

– Dobrze. Rozumiem, że spotkanie z ojcem jest dla ciebie ważne. Oczywiście! To wielkie wydarzenie. Ale jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko temu, aby...

– Nie przełożę tego – ucięła Ellen. – Wyjaśnisz po prostu Millie i Frankowi, że tym razem nie mogłam. Przyjadę za miesiąc.

– To dlatego, że się ich wstydzisz? Bo oni nie wprawiają cię w zażenowanie. Boże, byli nawet mili w stosunku do wiesz kogo, i to w dodatku na krótko po śmierci Colleen.

– Wiesz kogo? Masz na myśli Saskię? Właśnie dwie sekundy temu powiedziałaś mi, że nie przedstawiłaś rodzicom Colleen żadnej innej

kobiety!

– Żadnej innej normalnej kobiety. Ona się nie liczy – warknął Patrick podniesionym głosem.

Ellen również podniosła głos.

– Wtedy się liczyła! – zawołała.

Twarz Patricka pociemniała od kontrolowanej furii – tej samej, która zawsze pojawiała się na dźwięk imienia „Saskia”.

– Dlaczego stajesz po jej stronie?

– Chcę tylko powiedzieć, że... – zaczęła Ellen.

– Zapomnij o tym. Zapomnij o niedzieli. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałem. Pojedziemy innym razem. – Wstał. – Jadę do domu, przywiozę trochę rzeczy.

Nie spojrzawszy na nią, wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Dzięki, że zjadłeś mi całe pieczywo! – wrzasnęła za nim.

Po czym, ku swemu autentycznemu zdziwieniu, wzięła talerzyk i rzuciła nim o ścianę.

*

Wszyscy się przeprowadzają.

Jeff, mój najbliższy sąsiad, wyjeżdża na południowe wybrzeże. Wkrótce do jego połówki domu wprowadzi się młoda, pełna życia rodzina.

Patrick i Jack wyprowadzają się do Ellen.

Tylko ja zostaję na miejscu.

Dziś po pracy siedziałam w samochodzie koło domu Patricka i patrzyłam, jak ładuje pudła na swojego pikapa. Najwyraźniej wciąż nie wierzy w ekipy od przeprowadzek. Pamiętam dzień, kiedy to ja się do niego wprowadzałam. Nalegał, że sam wszystko przewiezie. Śmierdziel mu

pomagał, a ja zostałam z Jackiem – poszliśmy do parku. Była tam dziewczynka mniej więcej w tym samym wieku, więc odbyliśmy przymusową lekcję dzielenia się. Jack uważał, że cały park należy do niego, dziewczynka to samo. Oboje krzyczeli: „Moje, moje!”.

A ja i tamta matka wołałyśmy na zmianę wszystkie te rodzicielskie banały typu: „Zostaw, trzeba się dzielić!”, „Bawimy się ładnie!”, „Na zmianę!”.

Tamta matka westchnęła: „To potwornie męczący wiek, prawda?”.

A ja się zgodziłam, choć oczywiście tak nie uważałam, bo byłam oszołomiona szczęściem. Zakochana w Patricku, zakochana w małym Jacku, zaczynałam z nimi nowe, wspólne życie.

Tego wieczoru jedliśmy pizzę i popijaliśmy piwem. Pozwoliliśmy Jackowi spróbować pizzy – pierwszy raz w życiu. Patrick robił zdjęcia, mówił, że to historyczna chwila. Jack miał rozanieloną minę i oczy szeroko otwarte ze zdziwienia – nie pojmował, że przeżył całe trzy lata, nie mając pojęcia o istnieniu czegoś równie wspaniałego jak jedzenie zwane pizzą. Przeżuwał kawałek po kawałku jak maszyna. „Wiem, kolego, co czujesz, ja myślę tak samo” – żartował Patrick. „Poczekaj tylko, aż będziesz mógł ją popić pysznym, zimnym piwem”.

Byłam z wami, Patrick, kiedy twój syn po raz pierwszy w życiu jadł pizzę. Uczyłam go, że trzeba się dzielić. Nie możesz mnie przekreślić. Byłam wtedy i jestem nadal.

Patrick, kiedy ładował dziś te pudła na pakę, nie wyglądał na zadowolonego. Nie wyglądał na kogoś, kto niedługo się żeni i kto będzie miał dziecko. Szczerze mówiąc, wyglądał jak naburmuszony pan w średnim wieku.

Powodem mogło być to, że mnie widział. Wiem, że moja obecność doprowadza go do szału, ale tym razem wyczułam, że chodzi o coś innego.

Nikt nie zna go lepiej ode mnie.

Kiedy załadował ostatnie pudło, podszedł do mojego samochodu. Odkręciłam szybę, a on nachylił się i powiedział:

– Hej, Saskia.

Byłam zdumiona. Od dawna nie odezwał się do mnie po imieniu. A jeśli już, to wykrzykiwał moje imię, jakby samo słowo „Saskia” było złe, obrzydliwe.

Tym razem wypowiedział je zwyczajnym tonem, jakby zwracał się do starej dobrej znajomej. Na ułamek sekundy rozświetliła mnie radosna, niewiarygodna nadzieja. Zostawia ją, pomyślałam. Wraca. To znowu on. Już po wszystkim. Trzeba było tylko to przeczekać.

Kiedy jednak się odezwał, stwierdziłam, że jest o wiele bardziej rozwścieczony niż kiedykolwiek dotąd. Jakby niósł bombę i w związku z tym musiał zachowywać się ostrożnie i cicho, żeby nie wybuchła. Wycedził:

– Nie chcę, żebyś się kręciła w pobliżu Ellen. Rozumiesz? Jeśli musisz, śledź mnie, ale ją zostaw w spokoju. Niczym sobie na to nie zasłużyła.

Zachowywał się jak rycerz w lśniącej zbroi, który broni nieskałanej dziewicy przed złym smokiem. Czyli przede mną. Byłam smokiem.

– Ja nie...

– A książka?

– Tylko chciałam ją oddać!

– A kwiat? – wypluł to słowo, co najmniej jakbym zostawiła nie kwiat, a ścierwo.

– Patrick, ja lubię Ellen – powiedziałam. Pragnęłam go zapewnić, że nie stanowią dla niej żadnego zagrożenia. Kwiatek miał być dowodem sympatii, ba, nawet gestem przeprosin. Owszem, chciałam, żeby sobie

poszła, najlepiej gdzieś bardzo daleko, ale nie miałam zamiaru robić jej nic złego.

– Nie rób tego – powiedział ostro. – Nawet o niej nie wspominaj. Nie... o Jezu. – Wziął głęboki oddech i wydał policzki, by wypuścić nagromadzone powietrze.

Pamiętam, jak mówił do Jacka, kiedy mały miał napad złości: „Głęboki oddech, głęboki oddech”.

– Pamiętasz – zaczęłam.

– Kiedy to się wreszcie skończy? – przerwał mi niby obojętnym, rozsądnym tonem.

Powiedziałam:

– Nigdy nie przestanę cię kochać, jeśli o to ci chodzi.

On na to:

– Nie kochasz mnie. Nawet mnie już nie znasz. Kochasz wspomnienie o mnie i tyle.

– Nieprawda, mylisz się – zaprotestowałam.

– Dobrze, kochasz mnie, ale po co to wszystko? Żenię się z Ellen – westchnął.

– Wiem. I gratulacje z powodu dziecka – dodałam.

Twarz znowu nabrzmiała mu złością. Zapytał:

– Skąd wiesz?

A potem szybko dodał:

– Nie, nie mów, nawet nie chcę wiedzieć.

Odepchnął się od mojego samochodu i odszedł. Zawołałam za nim:

– Pamiętasz, jak Jack pierwszy raz jadł pizzę?

Zatrzymał się nagle i chwilę trwał bez ruchu, po czym odwrócił się i zawołał:

– Pamiętam! To były dobre czasy! I co z tego? Co z tego?

Podniósł w górę ręce, rozczapierzając palce. Dłonie mu się trzęsły.

– Nie mogę tak dalej – rzekł nieswoim głosem. – To musi się skończyć.

– Wiem – odparłam bez emocji. Czułam idealny spokój. – Musisz do mnie wrócić.

*

Talerzyk, którym Ellen rzuciła o ścianę, był po babci. Należał do kompletu, który dostała od rodziców w prezencie ślubnym. Ellen uwielbiała ten komplet. Gdyby wybuchł pożar, byłby jedną z rzeczy, które bez wahania rzuciłaby się ratować. Wprost nie mogła uwierzyć, że cisnęła jednym z cennych, niezastąpionych naczyń o ścianę! I to przez taki głupi, trywialny drobiazg. Przecież Patrick nie ogłosił, że ma romans. Pokłócili się o terminy spotkań towarzyskich, nic więcej!

To nie było dla niej typowe. A gdyby któryś z klientów zobaczył ją w akcji?

Uklękła na podłodze i z żalem pozbierała skorupy.

– Babciu, przepraszam – powiedziała na głos. – To było okropne.

Przed oczami stanęła jej postać babci na tamtym świecie (na pewno pracowała na rzecz jakiegoś tamtejszego komitetu, zawsze bardzo angażowała się społecznie). Babcia oderwała wzrok od papierów i przyglądała się wnuczce znad okularów.

– Kochanie, to do ciebie niepodobne – powiedziała.

– Wiem – odparła Ellen. – Też się sobie dziwię.

Zadzwonił telefon. Mama.

– Właśnie stłukłam jeden z talerzy bo babci – oznajmiła Ellen. – Z kompletu ślubnego.

– Na widok tych talerzy zawsze czuję zapach stęchlizny – oświadczyła Anne. – Na twoim miejscu trzymałabym je pod ręką, żeby mieć czym rzucać w Patricka, jak się pokłócicie. Ale ciebie o to nie posądzam, skąd. Wy, jak się pokłócicie, pewnie od razu przystępujecie do mediacji, intonujecie mantry albo ustawiacie aury.

– Rzuciłam nim o ścianę, jeśli chcesz wiedzieć – wyznała Ellen.

– Niemożliwe! – Wydawało się, że matka jest pod wrażeniem.

– Właśnie – potwierdziła Ellen. Nagle poczuła, jak ogarnia ją wściekłość na matkę. – Nie, nie prowadzimy z Patrickiem mediacji, nie intonujemy, a poza tym nie wierzę w aurę, no, przynajmniej nie jako rzeczywisty przejaw fizyczny, i aury się nie ustawia, ustawia się czakry. Jeśli masz ochotę być złośliwa, to przynajmniej stosuj prawidłową terminologię.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Nie miałam zamiaru być złośliwa – odparła Anne łagodniejszym, polubownym głosem. – Przepraszam. Chciałam tylko być dowcipna. Ale wiesz, nawet twój ojciec, znaczy David, wczoraj wieczorem to skomentował. Powiedział, że czasem potrafię być trochę „za ostra”. Pewnie miał rację.

Słyszając przeprosiny matki, Ellen, nie wiedząc czemu, poczuła jeszcze większą złość.

– Cóż, nie przypuszczam, abyś była skłonna zmienić osobowość, by przypodobać się mężczyźnie! – warknęła. – Wbijając mi to młotkiem do głowy, odkąd skończyłam osiem lat. Kiedyś Jason Hood chciał koło mnie siedzieć w szkole na lunchu, a ja na to, że nie, bo mi stłumi osobowość. Powiedział, że nic nie stłumi, po czym spiekł raka, rozplakał się i uciekł.

Anne zachichotała:

– Tak właściwie to nic podobnego nigdy ci nie mówiłam. O tłumieniu osobowości mogłaś się nasłuchać tylko od Melanie. Osobiście nigdy nie wierzyłam, żeby jakimkolwiek mężczyźnie udało się stłumić moją osobowość.

– Pewnie masz rację – westchnęła Ellen, choć była przekonana, że słyszała to od matki. Och, trudno było mieć trzy matki. Wszystkie mieszały jej się w pamięci. Przycisnęła palec do czoła. – Mamo, boli mnie głowa. W jakiej sprawie dzwonisz, bo zapomniałam?

– Cóż, chciałam spytać, czy dałoby się przełożyć niedzielny lunch. Widzisz, zostaliśmy z Davidem zaproszeni na długi weekend do Whitsundays. Na jacht. Dwadzieścia metrów, wyobrażasz sobie? Jacyś jego znajomi, Brytyjczycy, są w Australii. Bankierzy, bardzo zamożni. Takich jak oni kryzys finansowy nie dotyczy.

W chłodnym, zdystansowanym głosie matki dała się słyszeć nuta czystego zadowolenia. Ellen nagle przyszło do głowy, że Anne powinna była zawsze prowadzić takie życie. Popijać szampana na jachcie, gawędzić z bankierami. Może jeszcze ubierać się w Paryżu.

– David nie chciał przekładać waszego spotkania, ale mu wytłumaczyłam, że nie będziesz miała nic przeciwko. Oczywiście nie wspominałam, że podchodzisz do tego wszystkiego na całkowitym luzie.

– W porządku – odparła Ellen, ale w głębi duszy czuła się urażona.

Ojciec dostał ciekawszą propozycję. Ale przecież z nieznaną córką mógł się spotkać kiedykolwiek. A ona teraz nie będzie miała powodu, żeby w niedzielę nie jechać w góry, do rodziców Colleen. Cudownie.

– Na pewno? – upewniła się matka. – Bo słyszę, że coś jest nie tak. Jesteś niezadowolona, prawda? Bo to ja nalegałam, żebyśmy przyjęli zaproszenie. Wiem, że to z mojej strony strasznie powierzchowne, ale nie

ukrywam, propozycja jest niepowtarzalna, cudowna, po prostu... dekadencja, o, to jest właściwe słowo.

Zarówno uczciwość, jak i lekkie zmieszanie w głosie matki sprawiły, że robiła wrażenie takiej... bezbronnej. Anne z założenia nie bywała zmieszana. Serce Ellen zmiękło. Wzięła głęboki oddech. Na miłość boską. Jej emocje szalały, robiły, co chciały.

– Absolutnie nie mam nic przeciwko. W zasadzie dobrze się składa, bo Patrick też miał w stosunku do mnie inne plany na niedzielę.

– To świetnie! – powiedziała matka. – Och, przy okazji chciałam ci coś powiedzieć, pomyślałam, że cię to zainteresuje. W tym tygodniu nie jedna, lecz trzy pacjentki przyznały się, że schudły dzięki hipnozie.

– Naprawdę? – spytała Ellen, niespecjalnie zainteresowana.

– Tak. Były na jakichś „hipnoimpresach”. Podobno ostatni krzyk mody. Coś jak spotkania ze sprzedażą bezpośrednią, ale zamiast oglądania pojemników na żywność i silikonowych foremek do ciasta wszyscy są hipnotyzowani. A potem chyba piją szampana i jedzą marchewkę w słupkach. Panie w pewnym wieku i o pewnym statusie materialnym tracą dla tych imprez głowę.

– No proszę, kto by pomyślał – rzekła Ellen.

Cóż, Danny, brawo, przeszło jej przez myśl.

Lecz uczucia, które jej towarzyszyły, wcale nie były wesołe. Po co na świecie standardowi hipnoterapeuci – tacy jak ona, skoro biznesem rządzą prężni i młodzi – jak Danny?

– Muszę kończyć – powiedziała matka. – Jedziemy do teatru.

– Okej, pozdrów Pip i Mel.

– Jadę z Davidem, nie z nimi.

– Och – rzekła Ellen – a co robią Pip i Mel?

– Tego nie wiem, ale wiem, że wybieram się z Davidem na nową sztukę Williamsona. Mamy bilety w pierwszym rzędzie.

– Jasne – mruknęła Ellen.

– Słucham?

– Nie, nie, nic. Pozdrów tatę!

– Ellen?

– Przepraszam, mam dziwny nastrój. Nic mi nie jest. Bawcie się dobrze.

– Odłożyła słuchawkę i spojrzała na wciąż niepozbierane drobne kawałki porcelany.

W jej życiu właśnie działo się wszystko, co, jak zawsze myślała, powinno ją uszczęśliwić. Matka i ojciec wybierali się razem do teatru. Miała narzeczonego, przybranego synka i dziecko w drodze. W takim razie dlaczego nie była w siódmym niebie? Dlaczego czuła się poirytowana i spłoszona? To nie mogła być tylko kwestia hormonów ciążowych i lęku przed zmianą. Mogła czy nie?

Niemożliwe, żeby ona, Ellen, była taka zwyczajna, prawda?

Aha! A więc myślisz, że jesteś nadzwyczajna, Ellen, tak?

W korytarzu rozległ się huk. Ellen, wyrwana z zamyślenia, drgnęła. Wypadła z kuchni i stwierdziła, że dwa kartony Patricka, ustawione na samym wierzchu, zsunęły się i otworzyły, a ich zawartość w nieładzie rozsypała się po podłodze.

Obok siebie leżały: jeden stary, brudny adidas, płyty CD bez pudełek, splątane przedłużacze, podróżna suszarka do włosów, ozdoby świąteczne, patelnia, mały metalowy samochodzik, pękaty album na zdjęcia, stara śmietniczka, monety, jakieś paragony... mnóstwo rzeczy.

Kiedy zaś podeszła, by podnieść jedno z pudeł, zobaczyła, że opatrzone je napisem „różne”. Zaśmiała się. W zamierzeniu miał to być śmiech łagodny, pełen wyrozumiałej miłości śmiech z niedoskonałego, ale przecież

uroczego przysłego męża. Z jej gardła wydobyło się jednak nieprzyjemne, pełne goryczy szczeknięcie, jakby była jego żoną od wielu smutnych lat, a dzisiejszy dzień stanowił ostatni gwóźdź do trumny.

Następnym zdaniem, które wypowiedziała, było:

– O nie, błagam...

Dno pudła zapadło się i na podłogę poleciała kolejna fala przedmiotów.

Puściła więc miękki, pokryty kurzem karton i tupnęła. Jej dom już nigdy nie będzie jej domem. Niedługo zniknie pod stosami śmieci. Podrapała się zawzięcie po nadgarstku, czując, jak ogarnia ją swędzące uczucie złości – zupełnie jakby po całym jej ciele zaczęły pełzać maleńkie robaczki.

To niewłaściwa reakcja. Odetchnij głęboko. Wdech, wydech. Wyobraź sobie białe światło, wypełniające...

– Zamknij się! Cisza! Zamknij się! – Na pustym korytarzu rozległ się jej wrzask.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby odwrócić jej uwagę. Zatrzymała wzrok na albumie ze zdjęciami. Podniosła go.

Pierwsze zdjęcie na stronie, którą otworzyła na chybił trafił, przedstawiało niewiarygodnie młodego Patricka w białej koszuli z szerokimi rękawami, z blondynką na kolanach. Dziewczyna miała na sobie białe dżinsy z nogawkami wpuszczonymi do kozaków, bluzkę z poduszkami na ramionach, kolczyki z wiszącymi, pomarańczowymi piórkami. Patrick i Colleen. Młodzi i zakochani, późne lata osiemdziesiąte.

Przewróciła parę stron.

Zdjęcie za zdjęciem przedstawiało pozującą Colleen. Fotografował najpewniej Patrick. Ręce na biodrach, wydęte usta, oczy szeroko otwarte, kuszący uśmiech.

Siedemnastoletnia Ellen, która w liceum nosiła prawie identyczne kolczyki, ale nigdy nie miała dość pewności siebie, by pozować do zdjęć swojemu chłopakowi, zareagowała wrednie: No, byłaś cholernie seksowna.

Równocześnie zabrała głos jej wrodzona uczciwość: Ellen! Co się z tobą dzieje? To przecież dziewczynka! Siedemnastolatka, w dodatku młodo umrze. Dajże jej spokój.

Przewróciła stronę.

– O mój Boże – jęknęła, tym razem głosem własnej babci.

Przed oczami miała zdjęcia nagiej Colleen. Jej jasne włosy gładko spływały z głowy, jakby dziewczyna właśnie wyszła spod prysznic. Bez niemodnych ubrań i fryzury nie wyglądała już głupio, jak czasem ludzie na starych zdjęciach. Ze ślicznotki z lat osiemdziesiątych zmieniła się w klasyczną piękność z wydatnymi kośćmi policzkowymi i wielkimi oczami. Ellen badawczo przypatrywała się każdej fotografii. Czuła się dziwnie podniecona, a jednocześnie jakby ją mdliło. Colleen miała idealnie proporcjonalną figurę. Jej ciało zaokrąglало się i zwężało dokładnie tam, gdzie trzeba. Spokojnie mogłaby być modelką.

Zdjęcia te nie przywodziły na myśl pornografii. Były niewinnie zmysłowe. Ellen czuła bijącą od nich intensywność pierwszej miłości.

Jedno z nich w szczególny sposób przykuło jej uwagę. Przedstawiało zupełnie nagą Colleen, leżącą z zamkniętymi oczami na wąskim łóżku. Przez jej twarz przebiegały promienie słońca. Ellen wyobraziła sobie, jak musiał się czuć Patrick, napalony młody ogier, patrząc na tę cudną postać. Ellen jako nastolatka była bardzo atrakcyjna, „ładna”, lecz nigdy, nigdy nie miała takiego ciała. Teraz natomiast jej skóra się starzała, a ciąża zaczynała zniekształcać sylwetkę. Przepeliła ją czysta, niczym niezmacona zazdrość. Chciała być tą młodą pięknoscią, leżącą nago na łóżku z promieniem słońca na twarzy. Ale prawda była taka, że nigdy nią nie była ani nie będzie.

Przestań na to patrzeć, rozkazała sobie. To są rzeczy bardzo osobiste. To brak szacunku, a twoja reakcja jest emocjonalnie niedojrzała. To nic wielkiego. Każdy ma stare pudło, na którego dnie trzyma zdjęcia szkolnych sympatii. Zamknij ten album, schowaj go w takie miejsce, żeby Jack nie znalazł niestosownych zdjęć zmarłej matki, i zajmij się poszukiwaniem wózka dla dziecka w internecie albo rozlicz podatki, albo coś innego, równie pożytecznego.

Usiadła po turecku na podłodze, wśród rozsypanych przedmiotów, i patrzyła dalej. Nagle poczuła dziwną tęsknotę, by pogadać z Saskią. Jak kobieta z kobietą.

„Myślisz, że wciąż kocha żonę?” – mogłaby zapytać. „Myślisz, że wciąż o niej nie zapomniał? Sądysz, że któraś z nas w ogóle ma u niego szanse?”

Wiedziała, że Saskia jako jedyna osoba na świecie świetnie zrozumiałaby, dlaczego Ellen nie może przestać patrzeć na te zdjęcia.

ROZDZIAŁ 15

Pierwszej regresji w czasie się nie zapomina!

Flynn Halliday

– Opisz, co się dzieje w twojej głowie – powiedziała Ellen.

Alfred Boyle, skromny księgowy, który zwrócił się do niej o pomoc w sprawie wystąpień publicznych, siedział teraz w zielonym fotelu, wykazując wszelkie oznaki pełnego stanu hipnozy. Miał zarumienione policzki, chaotycznie poruszał gałkami ocznymi za zamkniętymi powiekami, a jego wypastowane, czarne buty rozchyliły się bezwładnie na boki.

Trwała właśnie druga sesja hipnozy. Ellen wykonywała dziś cofnięcie w czasie.

Już po pierwszym spotkaniu nie miała najmniejszych wątpliwości, że strach Alfreda przed wystąpieniami to autentyczna, rozdmuchana fobia. Nawet kiedy opowiadał o przemówieniu, które ma niedługo wygłosić, trząsał się i jąkał. Groziło mu przez to zwolnienie. Zdarzało się, że w dniu zaplanowanej prezentacji symulował chorobę, nie przychodził do biura i ktoś musiał go zastępować.

Alfred cofnął się już do czasów swojej pierwszej pracy, kiedy to jako księgowy na stażu tak spartaczył pierwszą prezentację, że szef przerwał mu, mówiąc życzliwie: „Nic się nie przejmuj, stary”.

Teraz opisywał przemówienie, które wygłosił w szkole średniej. Zadanie polegało na wygłoszeniu spontanicznej, mniej więcej dwuminutowej mowy na wylosowany temat. Alfred wylosował muzykę.

– Niedobrze mi – rzekł. Jego głos brzmiał znacznie młodziej, nie był taki niski. Nawet sposób, w jaki poruszał szczęką, przywodził na myśl nastolatka. – Nie mam nic do powiedzenia o muzyce. Muzyka. Co to w ogóle jest? Znaczą się dźwięki i tak dalej? Wszyscy się na mnie gapią. Myślą, że jestem idiotą. Jestem idiotą.

– W którym miejscu czujesz strach?

– Tu. – Alfred przycisnął dłoń do brzucha. – Zaraz zwymiotuję. Poważnie. Zwymiotuję na podłogę w klasie.

Ellen spojrzała na niego niespokojnie. Jej też zrobiło się niedobrze.

– Wobec tego potraktujemy to uczucie jak most – zdecydowała – który zaprowadzi nas do pierwszego razu, kiedy cię to spotkało.

Miała zamiar wysledzić tak zwane początkowe zdarzenie sentetyzujące.

– Będę liczyła w tył od pięciu do jednego, a ty będziesz się cofał w czasie. Na pięć stajesz się coraz młodszy i mniejszy, na cztery, idziesz dalej, na trzy już prawie tam jesteś, dwa, jeden. – Ellen pochyliła się i lekko postukała Alfreda paznokciem w czoło. – Zostań tam.

Chwilę czekała.

– Gdzie jesteś? – spytała.

– W przedszkolu – odparł Alfred.

Na dźwięk jego głosu przeszedł ją po plecach lodowaty dreszcz. Taka sytuacja za każdym razem na nowo ją zaskakiwała. Oto miała przed sobą pięćdziesięciodwulatka, ale zwracała się do małego dziecka.

– Ile masz lat?

Alfred wystawił palce dłoni, schowawszy kciuk.

– Cztery? – spytała.

Alfred wstydliwie przytaknął.

– I co się dzieje?

– Jest spokój, ale Pam płacze w kącie z książkami. Jest naprawdę smutna. Myślę, że trzeba ją pocieszyć. Chyba dam jej prezent.

– O, świetny pomysł. Jaki prezent?

– Mojego ślimaka.

O rety. Nic dobrego z tego nie będzie.

– Ślimaka?

– Tak, znalazłem go rano na dworze i schowałem do kieszeni. Jest ogromny! I wiesz co? – Twarz Alfreda rozpromienił chłopięcy entuzjazm. – Ma owłosioną muszlę! Jeszcze nigdy nie widziałem owłosionego ślimaka.

– Co teraz robisz?

– Mówię: „Patrz, Pam, to dla ciebie”.

– A Pam?

Sądząc po zdziwieniu i przerażeniu na twarzy Alfreda, nie wygląda na to, żeby trafił w upodobania Pam.

– Wrzeszczy i odpycha mnie!

Och, Pam, pomyślała Ellen.

– Upadam do tyłu, na półkę z książkami, która się na mnie przewraca, a razem z nią wszystkie jajka wielkanocne, które rano malowały dzieci. Pani Bourke wrzeszczy, jakby się paliło, ja nie mogę znaleźć ślimaka i wszyscy się na mnie gapią. – Buty Alfreda zabębniły o podłogę. – Pani Bourke bije mnie po nogach!

A to suka, pomyślała Ellen.

Po pięćdziesięciodwuletniej twarzy Alfreda płynęły łzy czterolatka.

– Muszę teraz stanąć przed dziećmi, przeprosić Pam i wszystkich za to, że zniszczyłem jajka, a oni na mnie patrzą, jakbym chciał... obrabować bank.

Ellen miała ochotę bezpardonowo wkroczyć do roku 1963, wyprowadzić Alfreda z przedszkola i zabrać go na lody. Była jednak tylko jedna osoba, która mogła to zrobić.

Podniosła głos:

– Chcę teraz rozmawiać z dorosłym Alfredem. Jesteś tam?

Mężczyzna wyprostował się. Odchrząknął i podniósł brodę, po czym odezwał się, znowu niskim głosem.

– Tak.

– Dobrze, Alfred, chciałabym teraz, abyś cofnął się do dzieciństwa i spojrzał na siebie jako czterolatka z perspektywy człowieka dorosłego. Znowu policzę od pięciu w tył. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... jesteś tam?

Alfred wyprostował plecy.

– Jesteś?

– Tak.

– Widzisz siebie jako czterolatka?

– Tak.

– Co chciałbyś mu powiedzieć?

– Nic się nie stało, stary. Dziewczyny nie lubią ślimaków. Są dziwne, no nie? Chciałeś tylko pomóc. To nie twoja wina.

Ellen zerknęła na zegarek. Sesja się przedłużała. Na następną godzinę zapisana była Mary-Beth McMaster, o ile oczywiście się pojawi. Czas kończyć, trzeba podsumować sesję paroma pozytywnymi sugestiami.

Przed oczami stanęła jej smutna, pulchna twarz Mary-Beth. Zamyślona, przyjrzała się Alfredowi Boyle'owi.

Mary-Beth też była samotna.

„Jestem singlem” – odpowiedzieli obydwoje bez wahania, kiedy podczas wypełniania papierów spytała o bliskie związki. Oboje zrobili to w identyczny sposób: zrezygnowanym, wymownym tonem.

Łączył ich wiek, poza tym nie przychodziła jej do głowy żadna inna wspólna cecha tych dwojga, ale czy da się przewidzieć, jaka mieszanka cech, zdarzeń z przeszłości i chemii sprawia, że ludzie przypadają sobie do gustu?

Dlaczegoż by ich chociaż ciut nie zachęcić? Ledwie dostrzegalnym ruchem palca mogłaby potoczyć ich ku sobie niczym dwie szklane kulki. Jak mogłoby im to zaszkodzić?

Kiedy Alfred kiwnął głową na znak, że jest gotowy, powiedziała:

– Od bardzo, bardzo dawna nosisz w sobie uczucia czterolatka, Alfredzie. Czas zacząć tworzyć nową historię. Kiedy następnym razem napotkasz na swej drodze smutną kobietę, może zechcesz sprawić jej przyjemność komplementem?

Ellen przerwała. Zakładając, że to Mary-Beth będzie ową smutną kobietą, którą Alfred zobaczy jako pierwszą, jak ona zareaguje na komplement? Prawdopodobnie nie jak czteroletnia Pam. W rzeczywistości Ellen nie miała pojęcia, jak Mary-Beth mogłaby odpowiedzieć na komplement. Czy to nie szalony pomysł?

– ...i niezależnie od tego, jak zareaguje, ty będziesz czuł się dobrze. A nawet świetnie. Będziesz czuł się świetnie sam ze sobą.

Ellen się zawahała. Jak daleko ma prawo ingerować?

Oj tam, do diabła.

– Może nawet zdecydujesz się dokądś ją zaprosić. Będziesz mówił wyraźnie i pewnie, będziesz patrzył jej prosto w oczy, a kiedy pojawi się czteroletni Alfred, duży Alfred nie pozwoli mu się wtrącać. Zaprosisz ją na

drinka. Dziś wieczór, jeśli ma czas. Może do Manly Wharf Hotel? Moglibyście usiąść przy stoliku na dworze...

Uwaga, zaczyna ją ponosić. Szybko skończyła.

– A nawet jeśli ta kobieta odpowie „nie”, będziesz pewny siebie, pozytywnie nastawiony i optymistyczny, ponieważ liczy się tylko to, że odważyłeś się postawić krok naprzód. Kiwnij głową na znak, że mnie rozumiesz.

Alfred kiwnął głową, która zwisała mu na piersi. Wyglądał jak pijak, który zgadza się, żeby mu wezwać taksówkę.

Cóż, pomyślała Ellen. Raz kozie śmierć. Co będzie, to będzie.

Wyprowadziła go z transu.

– Jak się czujesz? – Nalała mu szklankę wody.

Wziął szklankę z jej wyciągniętej ręki, odchylił głowę i obficie się napił. Następnie odstawił pustą szklankę na stół i się uśmiechnął. Okazało się, że ma całkiem miły uśmiech.

– Chyba nieźle – odparł. Ze śmiechem pokręcił głową. – Tak, zawsze miałem świetne wycucie, jeśli chodzi o kobiety. O czym marzy każda dziewczynka? Zapewne o wielkim, włochatym ślimaku. Całe lata o tym nie myślałem.

– Chłopczyca może by doceniła tego ślimaka – odparła Ellen.

– Nie sądzisz chyba, że to przyczyna wszystkich moich problemów z wystąpieniami przed publicznością? – spytał.

– Nic nie sądzę. – Ellen złożyła ręce na kolanach i uśmiechnęła się do niego.

– To takie...

– O czym mówisz?

– To takie trywialne. Żenujące. Nie odkryliśmy, że w poprzednim życiu zostałem, no, powiedzmy, ukamienowany przez egipskich mnichów, bo wygłosiłem nudną mowę.

– Jakich mnichów? Egipskich?

– Nie wiem, jestem księgowym, nie historykiem. Tak czy inaczej nie wierzę w życie przed życiem.

To cudownie. Przynajmniej tyle masz wspólnego z Mary-Beth. Będziecie mogli pogadać o braku wiary w życie przed życiem. Może za czasów Cesarstwa Rzymskiego byliście sceptycznymi kochankami.

– Gdybym chociaż miał jakieś naprawdę szokujące, traumatyczne wspomnienia z dzieciństwa – myślał na głos Alfred.

Zastanawiające, ilu pacjentów, którzy mieli naprawdę szczęśliwe dzieciństwo, za wszelką cenę chciało się w nim doszukać czegoś okropnego.

– Najbardziej trywialne zdarzenie może być dla dziecka traumą – odparła Ellen. – A nasza podświadomość takie rzeczy zatrzymuje. Tym zajmiemy się na następnym spotkaniu. Przeprogramowaniem twojej podświadomości. Alfred, będziesz zdumiony pewnością, którą w sobie odkryjesz.

Wypowiedziawszy te słowa, pochyliła się nieco i utkwiała wzrok w oczach Alfreda. Zauważyła, że klienci byli najbardziej podatni na sugestie bezpośrednio po wyjściu z transu. Stwarzało to dobrą okazję do wzmocnienia sesji poprzez dodatkowy, świadomy przekaz.

Spojrzała na zegarek. Dalej, Mary-Beth. Nie odwołuj dziś. Być może czeka na ciebie przeznaczenie.

Przyjęła od Alfreda pieniądze. Kiedy niespiesznie prowadziła go w dół po schodach, zadzwonił dzwonek.

Jest!

– O, to na pewno kolejny klient – wykrzyknęła radośnie, jakby przyjście następnej osoby wprowadziło ją w nieoczekiwane zdziwienie.

– Och, to... dobrze – rzekł Alfred, który w tym momencie musiał już być przekonany, że Ellen ma problemy z gotówką.

Ellen otworzyła drzwi, zza których wyłoniła się ponura, nieuśmiechnięta twarz Mary-Beth. Alfred odstąpił grzecznie na bok, by ją przepuścić.

– Witaj, Mary-Beth! – wykrzyknęła Ellen.

Mary-Beth spojrzała na nią podejrzliwie.

– Witaj!

– Och! – Ellen stuknęła się ręką po głowie (trochę za mocno, bo aktorką była marną). – Miałam ci coś pożyczyć, Alfredzie. Zechcesz poczekać jeszcze sekundę? Za chwilę wracam. Przepraszam, Mary-Beth, tylko chwileczkę. Proszę, usiądźcie sobie, oboje. – Gestem wskazała na dwa wyplatane krzesła stojące w korytarzu obok niskiego stolika z czasopismami.

Wchodząc po schodach, zauważyła, że Mary-Beth usiadła ciężko na jednym z nich i wzięła do ręki kolorowy magazyn.

Alfred nerwowo zakasłał. Nie usiadł. Podszedł do wiszącej na ścianie oprawionej fotografii i przyglądał się jej, jakby rozmyślał nad jej kupnem.

Ellen zniknęła w biurze. Odszukała swoje notatki do publicznych wystąpień na temat autohipnozy. Wzięła też na wszelki wypadek płytę z muzyką relaksacyjną.

Potem postąpiła chwilę przy oknie, patrząc na ocean. Czy znowu dużym palcem u nogi przekraczała granicę etyki zawodowej? Ech, pewnie nie zamienili ze sobą ani słowa. Spojrzała na zegarek. Ciekawe, kiedy zaczną się niepokoić, czy przypadkiem nie zasłabła.

Da im pięć minut. Pięć minut, które mogą nie mieć w życiu obojga najmniejszego znaczenia, albo pięć minut, które mogą zmienić wszystko i na zawsze.

Jakie to będzie pięć minut, Alfredzie i Mary-Beth?

ROZDZIAŁ 16

Nie rozpamiętuj przeszłości, nie rozmyślaj o przyszłości, skup umysł na tym, co się dzieje teraz.

Cytat buddyjski przyczepiony do lustra
w łazience Ellen

– Cóż, pewnie powinnam... to znaczy, zakładam, że nie zechcesz... mam poczekać w samochodzie?

Zatrzymali się przy cmentarzu, na którym leżała Colleen. Jack siedział na tylnym siedzeniu i z pochyloną głową, bezgłośnie poruszając wargami, grał na nintendo. Robił to nieprzerwanie przez całą półtorej godziny, które trwała podróż do Katoomba. Rodzice Colleen przeprowadzili się w Góry Błękitne parę lat przed śmiercią córki, życzyli więc sobie, by została pochowana w pobliżu. Na siedzeniu obok Jacka leżał wielki bukiet ulubionych kwiatów Colleen (żółtych gerber), które Patrick specjalnie zamówił wcześniej, a tego ranka odebrał z kwiaciarni.

(Nie chodziło przecież o to, że kupował kwiaty innej kobiecie. Rywalce do jego uczuć. Kochance. Nie, nic z tych rzeczy. I nie o to, że jeszcze nigdy nie kupił kwiatów jej, Ellen. Kupił, i to nie raz. Dlaczego więc rozmyślała o tych cholernych kwiatkach, jeśli nie było tu nic do myślenia, kompletnie nic?)

– Nie, chciałbym, żebyś poszła. – Patrick wyłączył silnik i odpiął pasy. Odwrócił się do niej i uśmiechnął. Był spięty. Całe rano zachowywał się niespokojnie i nerwowo, na żarty reagował zbyt głośnym śmiechem, był zbyt ostry wobec Jacka, po czym nagle przytulał go, by to zrekompensować. Jego zachowanie kojarzyło się z tremą przed nadchodzącym występem.

– Chciałbym, jak by to powiedzieć, cię jej przedstawić... w pewnym sensie – rzekł cicho.

– Ach – szepnęła Ellen.

– Uważasz, że to dziwne? – Położył dłoń na jej dłoni.

– Oczywiście, że nie – odparła, ale wewnętrzny głos krzyczał w niej na całe gardło: JASNE, ŻE TAK, OCZYWIŚCIE, ŻE DZIWNE! ZWARIOWAŁEŚ?!!

Patrick się odwrócił.

– Jesteś gotowy przywitać się z mamą, kolego?

– Tylko... – odparł Jack, nie podnosząc wzroku, ale za to energicznie poruszając kciukami.

– Jack – powiedział Patrick ostro.

Jack westchnął i odrzucił konsolę na bok.

– Dobra, już idę – mruknął.

Wysiedli z samochodu. Było chłodniej, niż Ellen się spodziewała, owinęła się więc ciasniej kurtką. Rozejrzała się (weszło jej już to w nawyk), by sprawdzić, czy Saskia pojechała za nimi i dziś. Nie było jej jednak widać. Z cmentarza, trzymając się za ręce, wracała jedynie jakaś starsza para. Kobieta uśmiechnęła się do Ellen.

Od czasu incydentu z książką i kwiatem Ellen widziała Saskię tylko raz, kiedy z Jackiem i Patrickiem robili zakupy w supermarkecie. Panowie spierali się o to, które wybrać płatki, a Ellen odwróciła się na moment

i ujrzała zbliżającą się do nich alejką między regałami Saskię z pustym wózkiem. Ich spojrzenia się spotkały. Ellen uśmiechnęła się automatycznie, ponieważ w pierwszej kolejności rozpoznała w niej swoją klientkę Deborah Vandenberg, cierpiącą na chroniczny ból nogi i odnoszącą sukcesy w terapii. Kobieta, z którą miło się gawędziło i żartowało, kobietę w podobnym wieku, która przypominała jej trochę Julię i która z całą pewnością mogłaby być jej koleżanką.

Sekundę później, kiedy uzmysłowiła sobie prawdziwą, raczej dziwną naturę ich znajomości, jej system nerwowy zareagował – nie wiedzieć czemu – dokładnie tak samo jak na silne zmieszanie. Na policzki wypłynął jej krwisty rumieniec, w gardle jej zaschło, a wzrok natychmiast skierował się ku Patrickowi i Jackowi, wciąż pochłoniętym sporem w sprawie płatków. Saskia prawie niedostrzegalnie pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Cicho bądź”, i bezszelestnie przemknęła obok.

„Wszystko w porządku?” – Patrick odwrócił się dopiero w momencie, kiedy Saskia wraz ze swoim wózkiem zniknęła już na końcu alejki.

„Trochę słabo mi się zrobiło” – odparła (och, cięża była w takich sytuacjach taka pomocna).

Od tamtej chwili nieustannie czuła się winna, jakby była z Saskią w zмовie przeciwko Patrickowi. Nie widziała jednak najmniejszego sensu, by mu o tym wspominać. Nienawiść Patricka do swojej eks nabrała bowiem od czasu ich pobytu w Noosa nowego, bardziej intensywnego kolorytu. Czasem, kiedy o niej mówił, Ellen z przerażeniem obserwowała wyraz jego oczu. Wieczorem tego samego dnia, kiedy rozbiła talerz po babci o ścianę, Patrick przywiózł i złożył w korytarzu kolejne pudła (oraz kwiaty, by przeprosić za trzaśnięcie drzwiami i raptowne wyjście z domu) i powiedział: „Była pod moim domem. Ta psychopatyczna suka”.

Dlaczego Saskia na widok Ellen pokręciła głową? Zdecydowanie było w tym coś konspiracyjnego. Przecież zwykle zależało jej na tym, by Patrick ją zobaczył. Czyż nie o to jej chodziło? Jeśli nie o to, to o co? Czy naprawdę myślała, że mógłby do niej wrócić? Kiedy i czy w ogóle to się kiedyś skończy? Saskia stanowiła zagadkę, którą Ellen nieustannie próbowała rozwikłać. Nie potrafiła przestać próbować.

Patrick sięgnął ręką do tyłu i wyciągnął bukiet. Trzymał go obiema rękami, zacisnąwszy palce wokół łodyg jak nerwowy młodzieniec, który za chwilę ma zastukać do drzwi dziewczyny. Uśmiechnął się do Ellen dziwnie, półgębkiem.

– No to co? – rzucił.

Jack rył butem w trawie i wydawał dźwięki przypominające odgłos karabinu maszynowego.

– Jack – rzekł ostrzegawczym tonem Patrick.

– Co?

– Przestań.

– Co mam przestać?

– Chodź. Idziemy.

Jack pobiegł przodem. Ellen szła obok Patricka. Czytała napisy na grobach i zastanawiała się, czy byłoby bardzo niestosowne, gdyby się przyznała, że jest jej niedobrze. Tęsknie myślała o stosiku herbatników z pełnego ziarna, które zapakowała sobie na podróż i zostawiła na blacie w kuchni.

Dzisiaj mijał jedenasty tydzień ciąży i wszystko wskazywało na to, że mdłości, które dotychczas tylko czaiły się gdzieś w tle jak nieprzyjemny szum o średnim natężeniu, zaczęły niespodziewanie przybierać na sile. Rano wymiotowała. Jak dotąd nie wymiotowała nigdy. Nie znosiła nawet tego słowa. Klęczenie na podłodze łazienki z głową pochyloną nad muszlą

klozetową było, po pierwsze, potwornie niewygodne, po drugie – odarte z wszelkiej godności. Chciała zawołać mamę, co było kompletnym absurdem, bo matka nie przychodziła jej z pomocą, nawet kiedy Ellen chorowała w dzieciństwie. Zawsze próbowała ją pocieszyć, opowiadając o znacznie cięższych chorych dzieciach, które tego dnia przyjmowała.

Colleen, jak się okazało, w ciąży nie czuła się źle ani przez sekundę. Co tydzień grała w tenisa, aż do ósmego miesiąca!

Nie, zdecydowanie nie była to tylko kwestia wyobraźni. Od zaręczyn Patrick mówił o zmarłej żonie zdecydowanie częściej. Ellen zaczęła nawet prowadzić mentalny zapis tych wzmianek i wyszło jej, że w zeszłym tygodniu codziennie padał przynajmniej jeden komentarz poświęcony Colleen. Dowiedziała się chociażby, że Colleen co wieczór przykładła słuchawki do brzucha i puszczała dziecku muzykę klasyczną (Ellen zamierzała robić to samo, ale w tej sytuacji zrezygnowała), Colleen miała w ciąży chęć na chipsy z solą i octem, Colleen w czasie pierwszych miesięcy ciąży bardzo schudła, co martwiło Patricka, Colleen nie przeżywała wahań nastroju, Colleen urodziła zupełnie naturalnie i tak dalej, i tak dalej.

Gdyby sprawa dotyczyła żyjącej byłej żony czy dziewczyny Patricka, Ellen z czystym sumieniem zabroniłaby mu wszelkich wzmianek na jej temat, natomiast ponieważ Colleen zmarła, było zupełnie zrozumiałe, że pojawienie się drugiego dziecka wzbudzi w Patricku falę wspomnień związanych z przyjściem na świat Jacka. Poza tym Colleen była matką Jacka, który uwielbiał opowieści o tym, jak mama nosiła go w brzuchu. Ellen uważała więc, że powinna nie tylko uprzejmie słuchać, ale nawet z jasnym, pełnym miłości i współczucia wyrazem twarzy zachęcać Patricka do dalszych zwierzeń, zadając mu coraz to bardziej szczegółowe pytania na temat nieskazitelnej Colleen.

Szczerze mówiąc, doprowadzało ją to do szału.

Kochała Jacka i bardzo chciała, by został starszym bratem jej dziecka. Jednocześnie nie mogła nic poradzić na to, że wciąż wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby Patrick miał zostać ojcem po raz pierwszy i byłiby tylko we dwoje, oboje równie podnieceni, jak wystraszeni perspektywą pojawienia się bobasa.

Mdłości również nie pomagały. Wiedziała, że bywają dokuczliwe, ale nie spodziewała się, że aż tak – że mogą mieć aż takie znaczenie. Rozum podpowiadał jej wprawdzie, że to ohydne, niezdrowe, męczące uczucie nie będzie jej towarzyszyło wiecznie, ale na razie przyćmiewało wszystko. Kiedy wyobrażała sobie, że trzyma w ramionach niemowlę, jej myśli podążały tylko w jednym kierunku, a mianowicie: jak w ogóle zdoła w tym stanie opiekować się dzieckiem?

– To tam, w rogu – odezwał się Patrick.

Jack pobiegł do przodu. Patrick zatrzymał się i dotknął ramienia Ellen.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał i spojrzał jej w oczy.

Czasem tak robił, zawsze kiedy najmniej tego oczekiwała. Przerywał jakąś czynność i przyglądał się jej z bliska, wnikliwie – jego zielone oczy wpatrywały się w nią tak intensywnie, jakby chciały przekazać jej niezwykle ważną wiadomość.

Za każdym razem topniało jej wtedy serce.

– W porządku – odpowiedziała. Nie chciała, żeby przejmował się teraz mdłościami, zarządzał odwrót do samochodu lub cokolwiek.

– Na pewno? Nie jest ci zimno?

– Nie, wszystko dobrze.

– No, już prawie jesteśmy.

Szli dalej, mijając grób za grobem, życie za życiem. Ellen zdarzało się bywać na cmentarzu, ale nigdy nie na grobie kogoś, kogo znała. Jeśli

chodzi o jej dziadków, to oboje zostali skremowani, a ich prochy rozsypane z ulubionej ścieżki nad urwiskiem. Odczuwała oczywiście żal z powodu ich śmierci, ale był to żal łagodny, pełen akceptacji. Zwyczajny smutek, spowodowany utratą ich obecności. Nigdy nie targła nią rozpacz z powodu czyjegoś przedwczesnego odejścia. Zdołała osiągnąć wiek trzydziestu pięciu lat, nie doświadczywszy niczyjej szokującej śmierci.

Przed jednym z grobów dostrzegła świeże kwiaty. Zastanawiała się, czy zostawili je starsi państwo wychodzący przed chwilą z cmentarza.

Zatrzymała się, by przeczytać napis na płycie. Był tu pochowany chłopiec imieniem Liam, urodzony w roku 1970, zmarły dziesięć lat później. Obejrzała się w kierunku parkingu. Samochód tych ludzi właśnie odjeżdżał. Profil kobiety był ledwo widoczny przez szybę.

Ellen szła teraz z tyłu za Jackiem i Patrickiem. Zaburczało jej w brzuchu, usta wypełniły się śliną. W tej chwili nic innego nie miało znaczenia. Ani miłe zachowanie Patricka, ani nawet litość dla tej biednej kobiety. Liczyły się tylko mdłości – przebrzydłe, ohydne mdłości.

Zatrzymali się wreszcie przed lśniąca, szarą płytą nagrobną z wbudowaną w górnej części owalną ramą, w którą oprawiono czarno-białą fotografię Colleen. Nie patrzyła na fotografującego, tylko uśmiechała się do kogoś innego (Patricka?). Włosy rozwiewał jej wiatr, a w oczach błyszczała miłość.

Do Ellen po raz pierwszy dotarła brutalna rzeczywistość śmierci tej pięknej, młodej dziewczyny. Colleen nie powinna leżeć w grobie! Powinna siedzieć z mężem i synem w samochodzie, w drodze w góry, do rodziców, w drugiej ciąży.

Albo jeszcze lepiej – powinna być żyjącą ekszoną Patricka, już nie tak piękną, i zamęczać go nierozsądnymi żądaniami odnośnie do opieki nad dzieckiem i alimentów. W ten sposób Ellen nie byłaby pokrzywdzona

(przecież doskonale opanowałyby sztukę radzenia sobie ze zgryźliwą, wstrętną ekszoną – ba, przepełniającą ją spokojem i akceptacją zagwarantowałyby jej jeszcze większe uznanie w oczach Patricka!).

Na płycie wyryto napis:

Colleen Scott

1970–2002

Ukochana żona Patricka, mama Jacka, córka Millie i Franka

Życie nie trwa wiecznie, miłość – tak.

Prawda.

– To moja mama na moich pierwszych urodzinach – pochwalił się Jack, wskazując palcem na zdjęcie. – Przygląda się, jak otwieram prezent od babci. To była układanka z dinozaurem. Ciągle ją mam.

– Piękne zdjęcie – stwierdziła Ellen.

– A dokładniej, gdybyś chciała wiedzieć, to był tyranozaur – dodał Jack. Wepchnął ręce do kieszeni dżinsów i wspominał dalej: – Bardzo łatwa jest ta układanka. Ma może z pięć kawałków, albo coś takiego. Ułożyłbym ją w trzy sekundy. Albo w sekundę.

– My, uhm, cóż, jakby z nią rozmawiamy – rzekł Patrick, nie patrząc na Ellen. – Wiem, że to trochę głupie...

– Ależ skąd! – zawołała Ellen. Czuła się okropnie. Najokropniej na świecie. Niedobrze byłoby zwymiotować prosto na grób Colleen. Rozejrzała się wokoło. Jeśli dojdzie do najgorszego, skoczy szybko na grób Billa Taylora. Był człowiekiem „łagodnego serca i szczodrego ducha”, więc być może nie będzie miał nic przeciwko.

Patrick ukląkł przed grobem Colleen, po czym pochylił się i ucałował zdjęcie.

O nie, nie, nie.

Jack ukląkł obok taty i bez najmniejszego skrepowania uczynił to samo.

– Cześć, mamó – powiedział.

Więc taka była etykieta? Czy Ellen ma też uklęknąć i ucałować zdjęcie? Nie, na pewno nie. Nawet nie znała Colleen, więc byłoby to zupełnie niestosowne. Już lepszy byłby uścisk dłoni. W takim razie może powinna lekko poklepać grób, jakby klepała ją po ramieniu? Miło cię poznać. Ellen już sobie wyobrażała, jak opowiada to wszystko Julii, która zakrywa oczy rękami i krzyczy: „Horror, co za horror!”.

Patrick ułożył bukiet na grobie. Zaszleścił celofan. Patrick chrząknął. Ellen oddychała przez nos.

– Colleen, to znowu my. Jedziemy do twoich rodziców na lunch. Twoja mama znów robi to risotto z kurczakiem.

Kiedy Patrick mówił, jego głos brzmiał trochę bardziej naturalnie.

– Pamiętasz, jaka była urażona, kiedy jej powiedziałaś, że jest bez smaku? Teraz dodaje tyle czosnku, że wchodząc do domu, nie czujesz nic innego. Dziś jest przepiękny dzień. Szkoda, że cię... oj, wiesz co? W ten weekend drużyna Jacka wygrała mecz! Pierwszy mecz!

Ellen się skrzywiła. Chciał powiedzieć: „Szkoda, że cię z nami nie ma”, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że obok stoi narzeczona w ciąży.

– Daliśmy im popalić – pochwalił się Jack.

– I to jak – dodał Patrick. – A Jack świetnie grał. Naprawdę byłabyś z niego dumna.

– Kibicowałaś, prawda? – dopominał się chłopiec. – Z nieba, znaczy się. Pewnie macie tam taką wielką trybunę, z której wszyscy widzą, jak ich krewni na ziemi uprawiają sporty. I możecie brać sobie, co chcecie do jedzenia i do picia. A jeśli chcecie patrzeć na więcej niż jedną osobę naraz,

to macie taki ekran, który przedziela się na pół, i można przewijać do przodu i do tyłu...

– Dobra, chłopie – przerwał mu Patrick. – Colleen, mamy też dla ciebie inne wiadomości, ważne, prawda, Jack?

Jack miał głupią minę. Patrick głową wskazał mu Ellen i powiedział:

– Dzidzius!

– A, tak – zorientował się Jack. – Być może mama już wie, czy to chłopak czy dziewczyna! Pewnie wie, co? Może widziała w niebie, jak to dziecko schodziło z taśmy produkcyjnej, no, takiej jak w fabryce, bo to fabryka dzieci, i mama to widziała, i powiedziała: „O, to dziecko Ellen, będziesz braciszkiem Jacka! Albo – będziesz jego...”.

– Właśnie – wtrącił się Patrick. – A więc to jest Ellen – powiedział i podniósł na nią wzrok, po czym wziął ją za rękę.

Mam uklęknąć? Tak, chyba uklęknę. A jak mi się zrobi niedobrze? Nie, zdecydowanie uklęknę.

Uklękała. Na jasnych spodniach zrobią jej się plamy od trawy. Wydawało się, że dobrze zrobiła, bo na twarz Patricka wypłynęły nagle skomplikowane emocje, a Jack serdecznie otoczył ramiona Ellen swoim ramieniem, czego nigdy dotąd nie robił.

– Pobieramy się z Ellen i wiem, Colleen, że będziesz z tego zadowolona, bo zawsze pamiętam ten dzień, kiedy mi kazałaś znaleźć sobie kogoś miłego. – Głos Patricka się załamał, a on sam boleśnie ścisnął Ellen za rękę. – A ja powiedziałem, że nie, nie znajdę. Ale znalazłem. Jest bardzo miła. Naprawdę. I jesteśmy z nią szczęśliwi.

– Tak – dodał Jack i delikatnie szturchnął Ellen brodą w ramię.

– Hej, chłopaki – odparła Ellen, bo nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Czuła zapach wilgotnej ziemi, wody kolońskiej Patricka i masła orzechowego – od Jacka. Ręka Patricka przyjemnie grzała, a fala nudności

na moment ustąpiła. Ellen poczuła cudowną ulgę.

Nie, to nie były męczarnie z rodzaju tych, z których dobrze jest później się pośmiać z Julią. Ze względu na swój krępujący, bezwzględny charakter cała sytuacja nabrała dojmująco ludzkiego wymiaru. Była to jedna z rzadkich, przejmujących i do bólu czystych chwil, które stanowiły o cudzie i tragedii życia.

*

Dziś czwarta niedziela miesiąca. Czyli Patrick jedzie na lunch do rodziców Colleen.

Ciągle ten sam rytuał. Nawet dostosowaliśmy do niego plany urlopowe.

Ja wybrałam się tylko raz. Byliśmy już wtedy ze sobą kilka miesięcy. Wizyta nie okazała się udana. Za wcześnie. Nie powinnam była jechać, ale Patrick się napalił. Strasznie nalegał. Zachowywał się, jakby mu się spieszyło, jakby trzeba było to załatwić, skreślić z listy spraw. Odnosiłam wrażenie, że ma to jakiś związek z dobrem jego teściów. Pamiętam, jak mama mi mówiła, że to błąd. „Och, Saskia, nie możesz tam jechać, to będzie zbyt okrutne”. Ale ja, jak idiotka, uważałam, że Patrick wie lepiej.

A mama oczywiście miała rację. Dla Franka i Millie nie było nic gorszego, niż patrzeć na mnie, na Patricka i na podbiegającego do mnie Jacka. Nie otrząsnęli się jeszcze z rozpaczy. Czuć ją było zaraz po wejściu do domu, jakby powietrze przenikał zapach łez (gdyby łzy miały zapach). Na twarzach obojga malował się identyczny szok, podobny do zdumienia po uderzeniu pięścią w twarz. Jej zdjęcia wisiały dosłownie wszędzie. Przypominało to mauzoleum pamięci jednej osoby: Colleen. Colleen jako niemowlę. Colleen pierwszy raz w szkole. Colleen i Patrick. Colleen i Jack. Nie miałam gdzie odwrócić wzroku. Choć pamiętam, co dziwne, że patrząc

na wspólne zdjęcia Colleen i Patricka, nie czułam cienia zazdrości. Przepęniała mnie idiotyczna pewność jego miłości. O niepokój przyprawiały mnie tylko zdjęcia Colleen i Jacka. Stanowiły jawny dowód na to, że nie ja byłam jego matką.

Potem Jack i Patrick jeździli już sami, a ja wykorzystywałam niedzielę na zaległości domowe albo umawiałam się z przyjaciółką, albo ćwiczyłam – zanim, oczywiście, pojawiły się te problemy z nogą. Całkiem dobrze mi z tym było – wszędzie panował spokój i ład, a ja miałam dom tylko dla siebie. Teraz satysfakcja z czasu spędzonego sam na sam ze sobą jest mi zupełnie obca. Mam dla siebie całe życie, godziny po wyjściu z pracy rozciągają się w olbrzymią, pustą przestrzeń, niekończącą się pustynię, którą próbuję wypełnić obserwowaniem Patricka.

Naprawdę byłam kiedyś taka zajęta, taka szczęśliwa? Po pracy biegałam między półkami w supermarkecie, przygotowywałam odżywcze posiłki dla malucha i smakowite kolacje dla jego ojca, chodziłam na imprezy, grille i do kina, kochałam się w niedzielne poranki i w ogóle byłam przeciętnym członkiem rodzaju ludzkiego.

Tamta Saskia wydaje się kimś zupełnie innym, kimś, kogo dobrze znałam, nawet w miarę lubiłam – ale nie mną.

W czwartą niedzielę miesiąca nie zawracałam sobie głowy jazdą za Patrickiem w góry. I tak wiedziałam, dokąd pojedzie. Wiedziałam, jakie zawiezie kwiaty, i wiedziałam, w której kwiaciarni je zamówi. Wiedziałam, że zatrzyma się na cmentarzu, gdzie leży Colleen. Tego dnia, kiedy z nimi pojechałam, chciał, żebym też poszła na grób. Odmówiłam. Uznałam to za pomysł od czapy. Powiedziałam, że gdybym to ja umarła, nie chciałabym, żeby jego nowa dziewczyna w ramach rozrywki odwiedzała mnie na cmentarzu. On na to, że nie sugeruje, abym tam szła w ramach rozrywki.

Tak czy inaczej Jack zasnął w samochodzie, więc zaproponowałam, że zostanę go popilnować.

Przypuszczałam, że niedługo zabierze Ellen w góry. Teraz, kiedy już mieszkają razem, biorą ślub i tak dalej. Kiedy są już w prawdziwym związku, a Jack ma prawdziwą przybraną matkę.

Siedziałam w samochodzie i przyglądałam się, jak wychodzą z domu. Wyglądali jak prawdziwa mała rodzina. Jack nie był dość ciepło ubrany jak na wyprawę w góry w środku zimy. Miał na sobie tylko bluzę z długim rękawem! Chciałam krzyknąć do Ellen: „Ej, Ellen, weź Jackowi kurtkę!”. Ale nie zrobiłam tego. Zawsze starałam się nie denerwować Jacka i nie wprowadzać w jego życie zamieszania.

Ellen mnie nie widziała, ale Patrick – tak. Właściwie to przez parę sekund nie spuszczał ze mnie wzroku. Dopiero potem prychnął, wzruszył ramionami i wsunął na nos ciemne okulary. Jak gangster na pogrzebie, który właśnie zauważył pojawienie się policji.

Dziwne było to spotkanie w supermarkecie. Wtedy akurat ich nie śledziłam. Wpadłam na nich przez przypadek. Zbieg okoliczności. Jakby. Byłam w okolicy, bo wracając z pracy przejeżdżałam koło ich domu, ale nagle przyszło mi do głowy, żeby zrobić zakupy. Nawet nie myślałam o Patricku ani o Ellen – rzadkość. Szukałam płatków owsianych. Nagle nabrałam strasznej ochoty na kruche ciasteczka z płatkami i wiórkami kokosowymi. Od lat nic nie piekłam. Od czasu, kiedy przestałam być z Patrickiem. On i Jack uwielbiali moje ciasta i ciasteczka. Oczywiście, kiedy już dotarłam ze składnikami do domu, nie mogłam się zmusić do pieczenia. Bo niby po co? To Ellen powinna się zajmować pieczeniem ciastek, nie ja.

Ellen mnie zobaczyła i szybko odwróciła wzrok, jakby czuła się winna i zmieszana. Jakby to ona kogoś stalkowała, nie ja.

Tak mnie nazywa Patrick. Stalkerka. Za pierwszym razem, kiedy to usłyszałam, byłam w szoku. Ja stalkuję? Nie jestem jakąś świrniętą nieznajomą. Mieszkaliśmy razem. Chcieliśmy mieć dziecko. Jedynym powodem, dla którego za nim jeżdżę, jest to, że chcę go zobaczyć, rozmawiać z nim, spróbować go zrozumieć.

Ale być może technicznie tak to się właśnie nazywa. Stalkowanie.

W życiu nie przypuszczałam, że w wieku czterdziestu trzech lat będę sama. Nigdy nie sądziłam, że nie będę mieć dzieci. Nie przyszłoby mi do głowy, że będę kogoś nękać.

Pokręciłam do Ellen głową, bo nie chciałam narazić na przykrość Jacka, gdyby Patrick zaczął się zachowywać, jakby spotkał potencjalnego mordercę, nie mnie. Kiedy są razem, staram się być niewidzialna. To mój osobisty kodeks etyczny stalkerki.

Nie widziałam sensu, żeby jechać dziś za nimi w góry. Po pierwsze, nie lubię krętych dróg, po drugie, nie chciałam, żeby Patrick za szybko jechał, kiedy wiezie dziecko. Dojechałam więc tylko do autostrady, żeby się upewnić, dokąd jadą, po czym wróciłam najbliższym zjazdem.

„Bawcie się dobrze!” – zawołałam, kiedy tył ich samochodu zniknął w dali. I nagle stwierdziłam, że niedziela rozciąga się przede mną jak czyjś złośliwy żart. Wracając do domu, wyobrażałam sobie, o czym rozmawiają w samochodzie. Tyle mają tematów, tyle wspólnych planów. Ślub. Dziecko. Co dziś zjeść na kolację. Ciekawe, czy Ellen robi Jackowi kanapki do szkoły. Czy odgrywa rolę mamy z takim samym entuzjazmem jak ja? Do dziś pamiętam śniadanie, które zrobiłam Jackowi, kiedy po raz pierwszy szedł do szkoły. Kanapka z szynką i serem z chleba pełnoziarnistego. Brzoskwinia. Uwielbiał brzoskwinie. Pudełeczko rodzynek. Kartonik soku jabłkowego. Kawałek jego ulubionego chlebka bananowego z masłem.

Dokładnie sobie to wcześniej przemyślałam. Rozmawiałam nawet o tym z mamą.

„Wszystko zjadł?” – Zadzwoiła tego samego dnia wieczorem, żeby spytać.

„Wszystko prócz rodzynek” – odparłam.

Patrick nie miał zielonego pojęcia, co zapakowałam jego dziecku do szkoły. Jedzenie go nie interesuje.

Kiedy odpowiada się za dziecko, wypełnia swoje dni szczegółami jego życia – jego śniadaniem do szkoły, tornistrem, butami, ulubioną koszulką, kolegami, matkami kolegów, programami, które ogląda w telewizji, napadami złości – a potem nagle zostaje się z tej odpowiedzialności zwolnionym, ponieważ przestaje się być potrzebnym, a usługi, które się do tej pory świadczyło, nie są już pożądane, to jest to trudne. Jak bycie zwolnionym z pracy i wyprowadzonym za drzwi przez ochronę.

Właściwie to jest to potwornie trudne.

Jack na pewno musiał o mnie pytać. Na pewno nie rozumiał.

Zawiodłam go. Oskarżam się o małe załamanie, czy jak to nazwać, które przeżyłam w parę dni po tym, jak Patrick ogłosił nasze rozstanie. Nie potrafiłam spać z nim w jednym łóżku, więc przeniosłam się do mojej koleżanki Tammy. *À propos*, ciekawe, co się z nią stało. Tak bardzo starała się zostać moją koleżanką, ale potem jakby wyślizgnęła się z mojego życia. Jak wszystko inne...

Pamiętam, że pięć dni później obudziłam się u Tammy i uświadomiłam sobie, że jest piątek, a więc prosto po szkole Jack idzie na basen. Zawsze poprzedniego wieczoru pakowałam mu rzeczy, a poza tym kto go zawiezie? Pracowałam od wpół do dziesiątej do wpół do trzeciej. Specjalnie zmieniłam sobie godziny pracy, żeby móc odbierać małego ze szkoły. Z przyjemnością zrezygnowałam z pełnego wymiaru godzin. W ten sposób

byłam bardziej elastyczna niż Patrick, a poza tym uwielbiałam odbierać Jacka. Byłam jego mamą. Nie przeszkadzało mi, że nie awansuję, bo nie pracuję na cały etat. Wszystkie matki tak robią – poświęcają karierę dla dzieci.

Zadzwoiłam więc do Patricka, by mu przypomnieć o basenie. I wtedy się to wszystko zaczęło. Mój nałóg. „Stalkowanie” dawnego życia.

Bo Patrick potraktował mnie jak obcą. Jakbym nie miała nic wspólnego z basenem Jacka, podczas gdy zaledwie tydzień wcześniej byłam tam z nim, pomagałam mu włożyć okulary, rozmawiałam z instruktorem, czyby go nie przenieść do bardziej zaawansowanej grupy, i z mamą jednego z chłopców ustalałam termin spotkania, żeby dzieci mogły się pobawić. „Poradzę sobie” – rzekł Patrick. Poirytowany, urażony. Jakbym się wtrącała. Jakbym nigdy nie miała nic wspólnego z Jackiem. „Wszystko pod kontrolą” – dodał. Wściekłość, którą wtedy poczułam, nie równała się z niczym. Nienawidziłam go. I wciąż kochałam. Ale nienawidziłam. Od tamtej chwili trudno mi było rozróżnić te dwa uczucia. Gdybym go tak mocno nie nienawidziła, może potrafiłabym przestać go kochać. Wiem, że to nie ma sensu.

Gdyby chociaż ułatwił mi wyjście z roli swojej żony – bo myślałam o sobie jak o jego żonie – i matki Jacka, gdyby chociaż z szacunkiem mnie wysłuchał, z szacunkiem, na który przecież zasługiwałam, gdyby chociaż usiadł ze mną i pozwolił mi do siebie mówić, wytłumaczyć, jak bardzo mnie zranił, gdyby chociaż powiedział „przepraszam” – tylko tak szczerze – gdyby zrobił coś z tych rzeczy, to myślę, że dałabym sobie spokój. Być może czas uleczyłby rany, jak to się dzieje w przypadku większości ludzi. A ja zamiast tego się zaraziłam. Zaraza się szerzyła. Postępowała jak gangrena. Nie odpuszczała. To jego wina. Zdaję sobie przecież sprawę, że to, co robię, jest nieakceptowalne. W głębi duszy o tym

wiem. Ale to on zaczął. Mama mi opowiadała, że początek jej znajomości z tatą był jak doskonałe *love story*. Myślałam, że ze mną i z Patrickiem jest tak samo. Tyle że się okazało, że z nim jest inaczej. On należy do *love story* hipnotyzerki. A ja gram rolę jego eks w jej *love story*. Nie główną rolę, a drugoplanową.

A może jestem w tej historii czarnym charakterem.

*

W milczeniu odeszli od grobu, wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę domu Millie i Franka.

Jack znowu milczał, pochłonięty grą elektroniczną. Patrick też milczał, skupiony na jeździe krętą górską drogą.

Ellen oparła się o zagłówek. Wciąż odczuwała mdłości, ale były do zniesienia – o ile nie będzie musiała zbyt długo czekać na jedzenie, kiedy już dotrą na miejsce. Wystarczy jej kromka suchego chleba.

Obserwowała świat przesuwany się za oknem niczym film na przyspieszonym podglądzie. Urokliwe, małe górskie wioski, pełne kawiarenek i antykwariatów. Przypomniała sobie romantyczny weekend w górach z Jonem, na samym początku ich znajomości. Pozwoliła wspomnieniu odpłynąć. Jon się żenił. Ona wychodziła za mąż. Życie toczyło się dalej. Nie powinna spuszczać wzroku z drogi, którą ma przed sobą. Tak samo zresztą Saskia. I Patrick, w rzeczy samej.

Zastanawiała się, czy Patrick myśli w tej chwili o Colleen, porównuje ją z Ellen, zastanawia się, jak wyglądałoby dziś jego życie, gdyby nie umarła.

Gdyby tylko umiała czytać w jego myślach. Zerknęła na jego nieodgadniony profil.

Oczywiście był na to sposób.

Prawie co noc przed zaśnięciem Patrick prosił ją o ćwiczenie odprężające. Stało się to nieodłączną częścią ich wieczornego rytuału. Ufał jej całkowicie. Bez większego trudu mogłaby go wprowadzić w głęboki trans i poprosić, by opowiedział o uczuciach do Colleen, a potem za pomocą sugestii pohipnotycznej sprawić, by nie pamiętał prośby.

To byłoby jednak niewłaściwe. Całkowicie nieetyczne. Nie miała prawa bez jego zgody grzebać mu w umyśle. Tak jak czytać jego dziennika.

Byłoby to również niesprawiedliwe, bo on nie mógł zrobić tego samego w stosunku do niej. Wcale by nie chciała, żeby odkrył, że Ellen nie może sobie poradzić z własnymi skomplikowanymi uczuciami do Jona.

Oczywiście nigdy tego nie zrobi. Na coś takiego może sobie pozwolić Danny w stosunku do swoich dziewczyn, o ile oczywiście zwiąże się z kimś na dłużej.

Nie mogła uwierzyć, że w ogóle dopuściła do siebie taką myśl. To do niej niepodobne. Ostatnio miała coraz więcej powodów do rozczarowania własną osobą. Stawała się mniej współczująca, moralna i cierpliwa niż osoba, za którą się dotąd uważała.

O niebiosy, ależ to było kuszące.

– Tato? – zagadnął z tylnego fotela Jack. – Czy po lunchu pójdziemy na spacer w to samo miejsce, co kiedyś?

– Jasne – odparł Patrick. – Chociaż nie, kolego, niestety, chyba wrócimy prosto do domu, bo muszę dziś wieczorem iść na parę godzin do biura.

Jack jęknął.

– Następnym razem, Jack – obiecał Patrick.

– Wieczorem idziesz do pracy? – podchwyciła Ellen.

Patrick zerknął na nią.

– No tak, przepraszam, nie mówiłem ci? Mam trochę roboty. Jestem zawalony papierami.

Ach, więc to oznacza, że ona ma zostać z Jackiem. Dziś wieczorem miała w planie spotkać się z Julią. Wieki jej nie widziała, a Julia nie mogła się doczekać szczegółowej relacji z wizyty u rodziców Colleen. Nie uda się swobodnie pogadać, jeśli Jack będzie się kręcił po domu.

– Więc ja zostaję z Jackiem? – spytała, by się upewnić.

– Na szczęście Jack jest już na tyle duży, że nie potrzebuje opiekunki, prawda, kolego? – rzucił Patrick. – Zajmie się sobą. Pewnie zresztą masz jakąś pracę domową do skończenia, co, Jack?

Ellen stłumiła ciężkie westchnienie. Kiedy Jack i Patrick się do niej wprowadzili, po raz pierwszy doświadczyła przyjemności nadzorowania pracy domowej. To było okropne. Zmuszenie Jacka, by siedział prosto przy stole z ołówkiem w ręce, a książkami rozłożonymi przed sobą, było zadaniem trudnym. Wciąż osuwał się na krzesło, pokładał się na stole, jakby był chory, albo uciekał, bo miał do załatwienia mnóstwo własnych spraw, w które jej nie wtajemniczał.

Ciągle uczyła się z nim postępować. Nie, nie o to chodziło, że się przeciw niej buntował albo że ją traktował jak złą macochę. Zachowywał się w stosunku do Ellen naprawdę przyjaźnie i swobodnie. To ona balansowała na krawędzi przepaści. Zauważyła, że rozmawia z nim innym głosem – żywszym i bardziej donośnym. Przypominało jej to czasy, kiedy miała czternaście lat i była zakochana w jednonogim chłopcu ze szkoły obok. Giles był wobec niej miły, jak wobec wszystkich dziewczyn, które go uwielbiały. Kiedy stali na peronie w oczekiwaniu na pociąg za piętnaście czwarta, gadała jak najęta, by za wszelką cenę zrobić na nim wrażenie, a na jego twarzy malowały się zarazem cierpliwość i rozkojarzenie – tak samo jak na twarzy Jacka. Ta twarz mówiła: serio, w ogóle mnie nie obchodzi, co mówisz, ale jestem miły, nie chcę cię urazić, więc będę się uśmiechać, dopóki się wreszcie nie zamkniesz.

Jeszcze gorzej było, jeśli próbowała zgrywać równiacę, której absolutnie nie zależy na tym, co Jack o niej sądzi, ponieważ był tak samowystarczalny, tak zajęty własnymi sprawami, że w zasadzie zapominał o jej istnieniu. Dokładnie tak samo było z Gilesem.

Cóż, nie na to liczyła. Zawsze z entuzjazmem podchodziła do idei posiadania przybranego dziecka, gotowej rodziny. Powinna się cieszyć, że Patrick traktuje ją jak żonę i zakłada, że to ona dopilnuje odrabiania lekcji. Lepiej by zrobiła, skupiając uwagę na biednym dziecku, które do swych piątych urodzin straciło nie jedną, a dwie matki i prawdopodobnie cierpiało na potworny syndrom odrzucenia.

– Tak! – wrzasnął Jack, wyciągając rękę z grą komputerową w górę.

– Jezu, możesz nie kopać mojego siedzenia? – zdenerwował się Patrick.

Ale czy na pewno Patrick nie powinien najpierw z nią tego uzgodnić? Czy jej czasem nie wykorzystywał? Zakładając, że na pewno będzie miała czas?

Jednak ona również nie uznała za stosowne z nim ustalić, czy może wyjść na kawę z Julią. Zachowała się jak osoba wolna, bez zobowiązań w postaci przybranego syna.

Trudno było stwierdzić, co tu jest fair, a co nie. Rodzice najprawdopodobniej wypracowywali sobie modele postępowania w kwestii opieki nad dziećmi. Będzie musiała o to spytać Madeline.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że dziś wieczorem zabierzesz te wszystkie pudła z korytarza – odezwała się.

Cała sobota upłynęła na rozmaitych zajęciach sportowych Jacka, a Patrick obiecał, że kartony znikną w ciągu weekendu.

– Jasne, nic się nie martw – zapewnił ją Patrick. – Zrobię to, jak wrócę.

Nie robi. Wiedziała o tym. Będzie zbyt zmęczony po wyprawie, a potem po pracy. Nie wystarczy mu czasu. Kiedy wróci, najpierw zajmie

się Jackiem, a potem legnie na kanapie przed ulubionym programem *Sześćdziesiąt minut*. Przypominanie mu wtedy o pudłach byłoby perfidne. Zasługiwałoby na miano „zrządzenia”. Będzie więc musiała przetrwać kolejny tydzień z pudłami na środku przejścia.

Cały ten rozgardiasz okaże się na pewno fatalny w skutkach dla feng shui całego domu. Pamiętała, że główne wejście uznawane jest za „usta chi”, którymi do wnętrza wpływa cała energia. Nic dziwnego, że czuła się ciągle taka poirytowana. Dobra energia zatrzymywała się przed drzwiami!

Chwila nie była oczywiście odpowiednia, by poruszać sprawę kartonów. Nie teraz, kiedy Patrick był tak przejęty spotkaniem z Millie i Frankiem.

Nad słowami nie dawało się jednak panować. Jak nad pokusą, by zjeść ostatnią czekoladkę z pudełka.

– Nie zabierzesz ich – mruknęła w stronę okna, jakby uwagi wypowiedziane cichym głosem się nie liczyły.

– Co mówiłaś? – zapytał ostro Patrick.

– Nic.

– Ellen! Przecież właśnie powiedziałem, że je zabiorę.

– W takim razie mnie słyszałeś.

– Czy wy się kłócicie? – wykazał zainteresowanie Jack.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wzruszające momenty, pomyślała Ellen.

*

Postanowiłam spędzić całą niedzielę przed telewizorem. Parę miesięcy temu Lance z pracy pożyczył mi pierwszy sezon *Prawa ulicy*. Lance z żoną obsesyjnie oglądają seriale. Gość nie przestaje mówić o szeroko zakrojonych postaciach, fantastycznie pomyślanych wątkach i tak dalej –

jak to w telewizji. Zawsze chce mi się na to odpowiedzieć: „Słuchaj, Lance, nie jestem aż taką fanką telewizji. Mam życie”.

Ha, ha. Dobrze.

Jaka szkoda, że „stalking” nie jest zajęciem społecznie akceptowalnym.

Nie wiedzieć czemu, choć wykazywałam skrajny brak zainteresowania, Lance za wszelką cenę chciał mi pożyczyć ten serial. Uparł się, że potem obgadamy odcinek po odcinku. Wiem to, ponieważ innej koleżance z pracy pożyczył serial *Prezydencki poker*, po czym za każdym razem, kiedy ją zobaczył, wypytywał, co sądzi na temat konkretnego odcinka, zamierzał bowiem przeprowadzić dogłębną analizę całości. W końcu dziewczyna zaczęła go unikać. Kiedy widziała, że Lance nadciąga korytarzem, dawała nura do pierwszego lepszego pokoju.

Nie miałam więc wcale zamiaru oglądać *Prawa ulicy*, a Lance przestał już dopytywać, czy widziałam pierwszy odcinek. Nagle jednak okazało się, że serial jest doskonałym sposobem na przetrwanie niedzieli. Będę jeść tosty, czekoladę i dzień przeminie mi bez myślenia o Patricku, Ellen i Jacku. Prawdę mówiąc, nie mogłam się tego doczekać.

Oczywiście, jak to się często zdarza, moje plany spaliły na panewce.

Kiedy podjechałam pod dom, okazało się, że dokładnie w tej samej chwili parkują tam moi nowi sąsiedzi. Jak z zegarkiem w ręce. Co za wyczucie czasu.

Wprowadzili się w piątek. Są tacy okropni, jak się spodziewałam. Mamusia z rozhuśtanym końskim ogonem, tatuś łysy, super. Mała, piegowata dziewczynka z loczkami. Chłopiec z dołeczkami w policzkach. Są uroczy, wysportowani, przyjaźni i rozbrykani. To będzie jak życie drzwi w drzwi z czterema labradorami. Przedstawili mi się i wyrazili nadzieję, że nie będą zachowywać się zbyt głośno. Nalegali, żebym im wyraźnie powiedziała, jeśli będą. I stwierdzili, że muszą mnie kiedyś zaprosić na

drinka. Próbowałam być uprzejma, ale nieprzystępna, żeby wiedzieli, że mi to niepotrzebne, że wystarczy życzliwe machnięcie ręką. Jeff lub agent nieruchomości powinni byli im to wytłumaczyć. Drzwi do garażu się zacinają, wywóz śmieci w poniedziałek wieczorem, z sąsiadką nie wchodzić w kontakty.

Gdy tylko wysiadłam z samochodu, wszyscy rzucili się na mnie i zaczęli koło mnie skakać z wywieszonymi językami i merdającymi ogonami. Prawie podniosłam rękę, żeby ich od siebie odgonić.

– Chcesz do nas przyjść po południu? – spytała dziewczynka.

– Daj Saskii chociaż minutę – odparła ze śmiechem jej matka, pewnie z piętnaście lat młodsza ode mnie. A może i więcej. Nie zapamiętałam nawet, jak miała na imię. Szczerze mówiąc, nie chciało mi się tego pamiętać.

Zapraszali mnie na grilla z okazji parapetówki – tego samego dnia po południu.

– Będzie tylko parę osób – wyjaśniła mama labrador. – Nic oficjalnego.

– Nasza sąsiadka tam, gdzie mieszkaliśmy wcześniej, nazywała się pani Malec – poinformował mnie chłopczyk. – Ale wcale nie była mała, była bardzo wysoka.

– Uhm – odparłam.

Chłopiec przypominał mi trochę Jacka. Może mieli coś podobnego w oczach. Albo chodziło tylko o wiek. Wyglądał mi na pięć lat, czyli tyle, ile miał Jack, kiedy rozstaliśmy się z Patrickiem. Nie chciałam się z nim zaprzyjaźniać. Serce mi pękało już od samego patrzenia na niego.

– Może wpadniesz chociaż na szybkiego drinka – zasugerował ojciec.

– Mamy pyszne kiełbaski – pochwaliła się dziewczynka. – Z chilli.

– Nie naciskamy, broń Boże, absolutnie – dodała mama. – Myśleliśmy tylko, no wiesz, że może nie masz nic innego w planach, a skoro

mieszkamy w tym samym domu... My dotąd nie mieszkaliśmy w bliźniaku, więc pomyśleliśmy sobie... no ale na pewno masz już inne plany, a może wolisz po prostu odpocząć, jest przecież niedziela.

Zamilkła, trochę speszona. Zauważyłam, że mąż rzucił jej dziwne spojrzenie. Wyczuli, że stawiam opór, i zostawiali mi otwartą furtkę. Mili są. Mili, uprzejmi, zwyczajni ludzie. Tylko tego mi trzeba. Mieszkać obok kogoś miłego. Przy nich czuję się gorsza.

To tyle na temat dnia spędzonego w domu przed telewizorem. Odpowiedziałam, że oczywiście, przyszedłabym z przyjemnością, gdyby nie to, że mam już inne zobowiązania, które zajmą mi większość dnia.

Przesadziłam trochę z tym żalem. Nie powinnam była aż tak żałować.

– Innym razem! – zawołał tata.

– Innym razem! – zawołała mama.

– Innym razem! – zawołałam ja.

– Innym razem! – zawołał chłopiec i wszyscy wybuchliśmy serdecznym śmiechem. Biedny dzieciak zmarszczył czoło, bo nie rozumiał, co było w tym śmiesznego.

No świetnie. W takim razie będzie inny raz.

Poszłam więc do domu i spędziłam sporo czasu na przygotowaniach do rzekomego przyjęcia, na które niby się wybierałam. Postanowiłam, że będą to czterdzieste urodziny starej przyjaciółki. Nieoficjalne, ale eleganckie przyjęcie w ogrodzie. Wszędzie będzie biegać pełno dzieciaków, uznałam też, że wezmą catering, bo to zamożni ludzie, mają dom z ogrodem wychodzącym na port, więc jedzenie będzie dobre. A ja wygłoszę mowę! Zabawną, a jednocześnie sentymentalną. Podobną mowę wygłosiłaby Ellen na czterdziestce którejś ze swych przyjaciółek.

Ubrałam się w dzinsy, kozaki i piękny, niebieski top, który dostałam od Tammy na urodziny jeszcze przed śmiercią mamy i którego nigdy nie

miałam okazji włożyć. Doskonale nadawał się na imprezę z okazji czterdziestych urodzin tuż przy porcie, idealnie! Włożyłam też długi szal, który mama dla mnie zrobiła. Wiedziałam, że wszyscy będą go chwalić. Miałam bardzo zdolną mamę, powiem im. Wysuszyłam nawet włosy na szczotce, umalowałam się i włożyłam te długie kolczyki, w których, jak twierdził Patrick, wyglądałam seksownie.

Gdy byłam gotowa do wyjścia, czułam się atrakcyjna jak nigdy dotąd.

Pod wpływem nagłego impulsu chwyciłam składniki na ciasteczka owsiane, które wcześniej kupiłam, i wrzuciłam je do plastikowej siatki. Postanowiłam, że po drodze podrzucę je pod drzwi Ellen. Niech ona je upiecze. Ja jestem zbyt zajęta bujnym życiem towarzyskim.

Kiedy szłam do samochodu, do domu sąsiadów zbliżała się para – na pewno szli do nich na parapetówkę. Mężczyzna trzymał butelkę wina, a kobieta – duży talerz owinięty folią aluminiową.

Uśmiechnęłam się do nich i powiedziałam:

– Dzień dobry! – Jakbym też była osobą. Osobą, która wybiera się na niedzielne przyjęcie.

Odpowiedzieli uśmiechem. Właściwie to uśmiech tego mężczyzny wydawał się szczególnie przyjazny, bynajmniej nie powierzchowny. Uśmiechnął się do mnie tak, jakby mnie znał, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd mnie zna, i prawie tak, jakby – czy to możliwe? – uważał mnie za atrakcyjną.

– Też na imprezę? – spytał.

– Tak, ale na inną – odparłam. – Na czterdziestkę.

– Super, dobrej zabawy! – zawołał i w tej samej chwili drzwi otworzyły się i pojawili się w nich moi nowi sąsiedzi, wykrzykując:

– O, zobaczcie, kto przyszedł! Trafiliście bez problemu?

Szybko skierowałam się do samochodu – zanim zaczęli mnie przedstawiać. Tego typu krępujące sytuacje za czasów Jeffa nigdy się nie zdarzały. Żadne z nas nigdy nikogo nie zapraszało. Kiedy przekręciłam kluczyk w stacyjce i pomachałam nadal stojącym przed drzwiami sąsiadom, zauważyłam, że mężczyzna wciąż mi się przygląda. Podniósł rękę w geście pozdrowienia, a ja poczułam, jak rozlewa się we mnie błogie ciepło. Tak zapamiętałam szczęście.

Wycofałam na ulicę i z przyklepionym do twarzy uśmiechem spojrzałam za siebie, ale stwierdziłam, że nikt już na mnie nie patrzy. Kobieta oddawała właśnie w ręce mojej nowej sąsiadki talerz, a kiedy to zrobiła, mężczyzna położył jej rękę na biodrze i przyciągnął ją do siebie tym samym władczym gestem, jaki Patrick często stosował wobec mnie. Kobieta śmiała się do niego, a mały synek sąsiadów ciągnął go za drugą rękę, chcąc mu coś pokazać.

Błogie ciepło odpłynęło.

Wcale nie uważał, że jestem atrakcyjna. Należał tylko do miłych, życzliwych ludzi, którzy wszystkich lubią, kochają cały świat. To miało sens. Przecież sympatyczni sąsiedzi muszą mieć równie sympatycznych znajomych. Sympatyczni ludzie mają skłonność do gromadzenia się.

Lub, bardzo możliwe, spodobałam mu się, ale w oślizgły, obleśny sposób, na zasadzie: gdybyś była zainteresowana, chętnie zdradziłbym z tobą moją dziewczynę. Może uśmiechał się tak do wszystkich kobiet – na wszelki wypadek, żeby nie stracić żadnej szansy.

A potem pomyślałam: dokąd, cholera jasna, ja mam teraz jechać?

Czterdziestka w domu z ogrodem przy porcie zaczęła się wydawać taka rzeczywista, że prawie nie mogłam się jej doczekać.

Nie miałam dokąd iść. Kiedyś, dawno temu, byli na świecie ludzie, do których mogłam zadzwonić. Zdumiewające, że znajomi mogą przeciec

między palcami, że towarzystwo może zniknąć, jakby w ogóle nie istniało. Jeśli się nie ma rodziny i mieszka w mieście zaprojektowanym tak, by człowiek nie musiał nawiązywać z drugim człowiekiem kontaktu, bo nie ma w nim miejsc, do których można pójść i kiwnąć innemu głową na powitanie, bo zakupy robi się w wielkim, bezdusznym supermarkecie, gdzie przy kasach siedzą nastolatki o kamiennej twarzy, które spoglądają przez ciebie na wylot, jakbyś nie istniał, bo tak naprawdę – nie istniejesz.

Gdybym mieszkała w jednym z miast, które kiedyś sama chciałam projektować, miałabym dokąd pójść, by nie czuć się samotna. Do jasnej, otwartej przestrzeni, gdzie można napić się kawy, poczytać książkę i porozmawiać z innymi.

Co jest całkowitą iluzoryczną bzdurą, ponieważ nie zniosłabym mieszkania w przyjemnym miejscu, w którym byłabym zmuszona do codziennych rozmów – w miasteczku pełnym potwornie miłych ludzi, nieustannie wysyłających promienne uśmiechy, podczas gdy ja tylko chciałabym kupić półlitrowy karton mleka i nie zostać przy okazji zapytana, jak mi minął weekend.

Nie jestem samotna. Po prostu sama. Jestem sama z wyboru.

Dokładnie wiem, co powinnam zrobić, gdybym chciała powrócić na łono społeczeństwa. Mogłabym na przykład obejrzeć *Prawo ulicy* i pogadać o nim z Lance'em, a następnie zaproponować, że pożyczę mu inny serial na DVD, po czym zapytać: „Może któregoś dnia mielibyście z żoną ochotę wpaść do mnie na kolację?”. Chyba widziałam kiedyś jego żonę. Do wielu, bardzo wielu osób z pracy mogłabym zagadać: „Ej, może któregoś dnia po pracy wyskoczmy na drinka?”. Mogłabym też parę miesięcy temu pójść na firmową imprezę, a dziś – na parapetówkę do nowych sąsiadów. Mogłabym nawet zalogować się na portalu randkowym i poznawać mężczyzn, którzy szukają związku, a chociażby seksu.

Nie jestem ułomna towarzysko. Jestem zdystansowana, czasem nieśmiała, ale bez przesady. Mogłabym. Przecież robiłam to, kiedy przyjechałam do Sydney i kompletnie nikogo nie znałam. Brałam wtedy udział. Odpowiadałam „tak” na zaproszenia. Uśmiechałam się, zadawałam pytania i robiłam pierwszy krok.

Teraz mi się nie chce. Jestem za stara, a poza tym – i to jest sedno sprawy – to nie fair. Nie powinnam znowu znaleźć się w tej sytuacji.

Nie mogę znieść pozorów, fałszywego zadowolenia, udawania – na przykład podczas tej rozmowy z nowymi sąsiadami. Gdybym zaczęła, udawałabym przez cały czas. Tak to działa i już.

Kiedyś jednak miałam prawdziwych przyjaciół. Kiedyś byłam żoną i matką, przyjaciółką i córką, a teraz jestem nikim.

Gdybym sobie odpuściła i żyła normalnie, oznaczałoby to, że zgadzam się na to, co zrobił Patrick, potwierdzam słuszność jego działania, powtarzam za nim: tak, widocznie nie było nam pisane.

Pojechałam do domu Ellen. Emocje, które normalnie mi towarzyszą, to jest stały, niegasnący ból, poczucie straty i wściekłość, jeszcze się nasiliły, ponieważ przedtem na chwileczkę znikły.

Zamierzałam tylko zostawić torbę z produktami na ciasteczka przy drzwiach wejściowych – bez żadnej kartki, przecież będą wiedzieć, że to ode mnie – ale już, już, kiedy miałam się odwrócić i odejść z powrotem do furtki, dostrzegłam malutką kamienną sówkę w okularach siedzącą na gzymsie nad drzwiami. Pomyślałam: założę się, że pod tą sówką leży klucz.

I zgadłam.

ROZDZIAŁ 17

NIE MYŚLCIE O NEPALU!

Pomyśleliście o Nepalu, zgadłam? Dlatego przy formułowaniu sugestii należy bardzo uważać na dobór słów. Tu działa tak zwana metoda odwróconego efektu. Wyobraźnia ignoruje zakaz: „Nie pal”, słyszy zamiast tego: „Nepal”.

Fragment dwudniowego kursu „Wstęp do hipnoterapii”, prowadzonego przez Ellen O’Farrell

Rodzice Colleen wyszli na ganek, kiedy tylko samochód Patricka zajechał na podjazd.

– To oni, Frank i Millie – rzekł Patrick dziwnym, pełnym napięcia głosem i pomachał do nich, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

Jack z impetem otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i poleciał do dziadków. Ellen z Patrickiem patrzyli, jak rzuca się na nich i ich przytula. Chyba tylko on zachowywał się tego dnia naturalnie.

– Dobrze – rzekł Patrick, kiedy wysiedli z samochodu.

– Szybko! – zawołała z ganku Millie i ponagliła ich gestem.

Jack zniknął już z dziadkiem w domu.

– Chodźcie do środka, szybko, nie stójcie na zimnie! – nalegała.

– Witaj, Millie! Tak! Dobry pomysł! – odpowiedział Patrick wesołym tonem, którego Ellen nigdy dotąd u niego nie słyszała.

O Chryste, pomyślała.

– Dzień dooooo-bry! – zawołała, chcąc za wszelką cenę pokazać rodzicom Colleen, że jest życzliwa, miła i że bardzo jej przykro z powodu ich straty.

(O Boże, dlaczego krzyknęła „dzień dobry” tak przeciągle, jakby wołała z górskiego szczytu? Na pewno zabrzmiała jak obłąkana).

Millie miała rację. Na dworze było zimno – zmarzli na cmentarzu – a w domu ciepło i przytulnie. Grała przyjemna muzyka, a Millie zaprowadziła Ellen na fotel przy kominku.

– Czego się napijesz? – zapytała. Była drobną kobietą o ptasiej urodzie, ubraną nietypowo dla osób w jej wieku w dzinsy i luźny, biały sweter, który dosłownie na niej wisiał. Kiedyś musiała być piękną, a teraz z jej twarzy i postawy biła pełna rezygnacji akceptacja, jakby chciała powiedzieć: wiem, nie jestem już piękna i nic mnie to nie obchodzi.

Jej mąż Frank również był chudy i bardzo wysoki – jak podstarzały, przygarbiony koszykarz. Ellen wyraźnie widziała bruzdy wyrzeźbione na ich twarzach przez smutek. Przypominały wyblakłe ślady po ostrych pazurach.

Wyglądali na nieśmiałych, ale uśmiechali się uprzejmie i zachęcająco, nie przestając zagadywać o ruch na drogach i pogodę. Serce Ellen ścisnęło się z bólu. Gdyby chociaż nie byli tacy cholernie mili.

– Szczerze mówiąc, Ellen gwałtownie potrzebuje krakersa lub herbatnika – oznajmił Patrick. – Ma straszne mdłości. To przez ciążę, rozumiecie.

Czy sobie to wyobraziła, czy wymawiając słowo „ciąża”, zniżył głos, jakby mówił o czymś wstydlivym?

– Już niosę, oczywiście – odparła Millie.

– Naszykowałam sobie herbatniki na drogę, ale niestety zapomniałam ich zabrać. Przepraszam za kłopot – mówiła Ellen, zupełnie jakby prośba o zwykłego krakersa faktycznie stanowiła olbrzymią niedogodność. W rzeczywistości miała na myśli to, że strasznie jej przykro, że w ogóle tu przyjechała, że żyje, że jest w ciąży i że zajmuje miejsce ich córki.

– Kiedy byłam w ciąży z Colleen, na okrągło jadłam herbatniki – oznajmiła Millie i postawiła przed Ellen talerz ciastek. – Z kolei kiedy ona była w ciąży z Jackiem, nie miała cienia mdłości.

Uśmiechnęła się do wnuka.

– Widzisz, Jack, zawsze byłeś grzecznym dzieckiem, nawet przed urodzeniem. – Zwróciła się z powrotem do Ellen: – Oczywiście nie miałam na myśli, że twój dzidzius jest niegrzeczny.

W czasie gdy Millie mówiła, Ellen rozglądała się po pokoju. Spozrzegła na ścianie oprawione zdjęcie Colleen z Jackiem w ramionach. Chłopiec mógł mieć wtedy z pół roczku, obgryzał nogę pluszowego królika, a matka uśmiechała się do niego z miłością.

I wtedy się to stało.

Nieoczekiwanie zalała się łzami. Zakrztusiła się herbatnikiem, rozbryznięta wokół okruchy i przyciągnęła zdziwione, zaniepokojone spojrzenia wszystkich obecnych.

Co ty wyprawiasz? Wydawało się, że jej ciało właśnie wykonało coś zakazanego w towarzystwie, coś, co można by porównać do głośnego puszczenia bąka. Przestań, rozkazała sobie, ale łzy nie słuchały. Dalej płynęły po jej twarzy.

Powodów było wiele: miłość na twarzy Colleen, ulga po zjedzeniu herbatnika, wejście z zimnego górskiego powietrza do ciepłego domu, wypowiedziane przez Millie słowa „twój dzidzius”, uczucie obcości

i strachu towarzyszące wizycie na cmentarzu, fakt, że jutro miała po raz pierwszy spotkać się ze swoim ojcem. Kto wie, co było prawdziwą przyczyną. Najważniejsze, że emocje jeszcze nigdy nie przysporzyły Ellen takiego wstydu.

– No już – rzekł Frank, podszedł do Ellen, przykucnął na swych długich, pajęczych nogach i łagodnie, okrężnymi ruchami zaczął ją gładzić po plecach.

Szczęściara z tej Colleen. Mieć takiego ojca...

– Co się stało, Ellen? – zapytał Jack, spoglądając na ojca z niepokojem, ale Patricka po prostu zatkało.

Na jego twarzy malowało się pełne przerażenia zdumienie chłopaka, którego dziewczyna właśnie stłukła bezcenny wazon przyszłych teściów. Od chwili kiedy przestąpili próg domu, nie przestawał nawijać – głosem lekkim i swobodnym, w którym jednak dało się wychwycić nutę paniki. Brzmiało to tak, jakby starał się odciągnąć uwagę osoby, która właśnie ma zamiar rzucić się w przepaść, a jedynym sposobem, by doczekać przyjazdu policji, jest gadanie o banałach. Ellen nie pamiętała, by Patrick kiedykolwiek tyle mówił. Poznała po tym, że wizyty u teściów stanowią dla niego wielki wysiłek, że za wszelką cenę stara się podtrzymać rozmowę i sprawić, by nie przerwała jej ani jedna krępująca chwila milczenia, przez którą mógłby wyrzeć na światło dzienne straszliwy smutek. A teraz ona, Ellen, popsowała mu tak ciężko wypracowaną i łatwą do utracenia równowagę.

– Bardzo przepraszam. – Pociągnęła nosem, kiedy już opanowała atak płaczu. – Przepraszam, to muszą być hormony.

Hormony, hormony, hormony. Tylko o nich ostatnio mówiła, a naprawdę ani przez chwilę nie wierzyła, że za jej zachowanie jest odpowiedzialny wyłącznie organizm! Uważała zawsze, że związek między

ciałem a umysłem działa raczej w odwrotną stronę – że to umysł wpływa na ciało, a nie ciało na umysł. Gdy pacjentka żaliła się, że zachowuje się irracjonalnie, a potem winiła za to hormony, Ellen odpowiadała (w dodatku kojącym, przemądrzałym tonem): „Sądzę, że twoje ciało reaguje w ten sposób na jakąś wiadomość wysłaną przez podświadomość”.

Patrick odzyskał wreszcie panowanie nad sobą na tyle, by podejść i ją przytulić.

– Myślę, że jesteś po prostu zmęczona jazdą – powiedział swoim normalnym głosem, a ulga, jakiej doznała, gdy poczuła wokół siebie jego ramiona i jego znajomy zapach, sprawiła, że omal znowu się nie rozpląkała.

– Bardzo przepraszam – powtórzyła drżącym głosem.

– Nic się nie przejmuj – poprosili Frank i Millie.

Gdy jedli, robiła wszystko, żeby się zrehabilitować. Uważnie śledziła wesołą paplaninę Patricka. Wzdłuż i w poprzek stołu trwała nieustanna wymiana poglądów, nie dopuszczano, by ożywiona rozmowa choć na chwilę przygasła. Gdy zbierali się do odjazdu, Ellen stwierdziła, że Frank i Millie są wykończeni. Prawdopodobnie niczego nie życzyli sobie bardziej niż tego, by goście choć na chwilę zamilkli.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się za miesiąc, moja droga – powiedziała Millie na pożegnanie i położyła dłoń na ręce Ellen, której przez straszliwą sekundę się zdawało, że znów zanieśie się szlochem, ale czystą siłą woli udało jej się powstrzymać łzy.

Kiedy opuszczali Katoomba, w samochodzie panowała głucha cisza. Jack chyba drzemał na tylnym siedzeniu. W końcu Ellen dłużej nie wytrzymała.

– Przepraszam cię za tę nieoczekiwaną rzekę łez – powiedziała, mając nadzieję, że dzięki wyrażeniu „rzeka łez” cała sytuacja nabierze charakteru uroczego, a zarazem niespotykanego incydentu.

– Nic się nie stało – odparł Patrick. – Poważnie. Nie przejmuj się tym.
I na tym powinna była zakończyć sprawę.

– To musiało być dla nich bardzo trudne – dodała jednak. – To znaczy spotkanie ze mną, no i dziecko.

– Tak – stwierdził. – Tylko że to ty płakałaś, nie dziecko.

Szpila była tak ostra, że na chwilę zaparło jej dech w piersi.

– Przepraszam – powiedział prawie natychmiast i zdjął jedną rękę z kierownicy, by jej dotknąć. – To miał być żart. Naprawdę głupi. Przy każdym spotkaniu z Frankiem i Millie czuję się winny, że żyję, podczas gdy ona nie. Te wizyty są dla mnie trudne. Krępujące.

Jasne.

– Tak, dla mnie to też było krępujące – powiedziała.

Siedziałam na grobie twojej zmarłej żony! Te zielone plamy nigdy mi się nie spiorą z kolan!

– Przepraszam – powtórzył i położył rękę z powrotem na kierownicy. – Naprawdę. Byłaś dziś wspaniała. Jestem ci wdzięczny, że pojechałaś. Chciałbym jedynie – zaczął, ale urwał, zawiesił głos i potem już tylko milczał, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w szosę przed nimi, jakby prowadzenie samochodu wymagało ogromnej koncentracji.

Co miał zamiar powiedzieć? Chciałbym tylko, żebyś się nie rozpłakała? Żeby Colleen żyła? Ellen gotowała się, wrzała od niewypowiedzianych emocji, których nie potrafiła nawet konkretnie opisać: czy to był wstyd, niechęć, czy może coś w rodzaju strachu. To nie ja, myślała ciągle, ja taka nie jestem.

Odezwała się, kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle:

– Więc nie przypuszczam, żebyś dziś znalazł czas na te pudła.

Już wypowiadając te słowa, w głębi duszy mierzyła się chłodnym spojrzeniem i z dezaprobatą kręciła głową. Och, Ellen, czujesz się winna, że się rozbeczałaś, więc teraz chcesz mu pokazać, że i on nie jest doskonały. Dziecinada! Wybierasz wojnę, bo chcesz, żeby cokolwiek się działo.

– Mówiłem ci już, że muszę iść do pracy – powiedział.

– To może ustalimy inny termin? Przyszły weekend? – zapytała niby lekko i z humorem, ale podobnie jak w przypadku jego żartu niewinne pytanie kryło w sobie stalowe ostrze.

– Nie dręcz mnie, Ellen – rzekł, a kiedy odwróciła się i spojrzała na niego z profilu, stwierdziła, że zacisnął szczękę tak mocno, że jego policzki zrobiły się wręcz wklęsłe.

– Dręczę? W jaki sposób ja cię dręczę?

– Nie tu, nie teraz – syknął, odwracając lekko głowę, by zasygnalizować, że z tyłu siedzi dziecko, jakby Ellen celowo zdecydowała się na kłótnię na oczach jego małego, wrażliwego synka.

Do końca jazdy żadne z nich się nie odezwało. Ellen przez cały czas pławiała się we wspomnieniach pamiętnego weekendu w górach, spędzonego w towarzystwie Jona, wyjątkowo długo zatrzymując się na chwilach, kiedy się kochali. Była to najbardziej pasywno-agresywna rzecz, jaką w życiu zrobiła.

Gdy dotarli do domu, powietrze w samochodzie było gęste od ciszy.

– Na razie – rzucił krótko Patrick, po czym odjechał, zostawiając Ellen i Jacka przed furtką.

Będzie musiała pamiętać, żeby zadzwonić do Julii i odwołać spotkanie, zanim usiądzie z małym do lekcji.

– A to co? – spytała, otwierając drzwi z siatki.

Na pierwszym stopniu leżało coś zawiniętego w folię. Schyliła się i podniosła to. Wydawało się ciepłe.

Jej oddech przyspieszył. Saskia.

*

Decyzja była spontaniczna. Weszłam do jej kuchni z torbą składników w ręce. Czułam się, jakbym wróciła do domu z zakupów. Pomyślałam sobie: Czemu by nie upiec im ciastek?

Cieszyłam się, że mogę przebywać w jej kuchni, używać jej miski, łyżek, blachy do pieczenia. Mam przecucie, że większość tych rzeczy należała do jej babci. Pamiętam, jak mówiła, że nic w odziedziczonym domu nie zmieniła. „W pewnym sensie jestem staroświecka”, powiedziała raz, kiedy wspomniałam, że podoba mi się dywan. W takim razie mamy ze sobą coś wspólnego – oczywiście prócz Patricka.

Czułam dziwny spokój – zupełnie jakbym miała pełne prawo tu przebywać, jakby Ellen, Patrick i Jack wyszli, a ja planowałam sprawić im niespodziankę w postaci świeżych, ciepłutkich ciastek. Tak samo robiłam, kiedy Jack był mały i Patrick zabierał go do parku. Wyobrażałam sobie, jak wracają do domu, słyszę odgłos przekręcanego w drzwiach klucza i łomot butów Jacka w korytarzu.

Kuchnia Ellen pod wieloma względami przypominała mi kuchnię mamy. Być może dlatego czułam się tu wręcz niestosownie swobodnie, jak w domu mojego dzieciństwa. Pamiętam, że jako dziewczynka stawałam na krześle przewiązana fartuchem i pomagałam mamie gotować. Zawsze myślałam, że kiedyś będę tak samo gotować ze swoją córką.

W rzeczywistości robiłam to z Jackiem, z tym że nie zawracałam sobie głowy fartuchem i nie stawiałam go na krześle. Pozwalałam mu po prostu siadać obok na blacie. Uwielbiał to. Mąka we włosach, lepkie paluszki, skorupki od jajek pływające w cieście. Raz pozwoliłam mu użyć trzepaczki

do jajek, a on zaczął nią machać w powietrzu, rozchlapując masę po całej kuchni.

Jak się wytłumaczę, jeśli wrócą wcześniej?

Wiem, że to dziwnie wygląda, ale nie jestem w stanie znieść swojego nie-istnienia w waszym życiu. Może mogłabym się do was wprowadzić, co? Siedziałabym sobie cicho w kącie i patrzyła, jak żyjecie? To jak się udał wyjazd w góry? Może ktoś ma ochotę na świeżutkie ciastko?

Nie wrócili wcześniej. Za to pojawił się ktoś inny.

Wyjmowałam właśnie ciastka z piekarnika, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Podskoczyłam. Z poczucia winy. Nie straciłam jeszcze resztek rozumu. Wiem, że nie należy wchodzić do cudzego domu i piec ciastek.

Najpierw zadzwonił dzwonek, a potem ktoś zaczął walić w drzwi.

Odruchowo pomyślałam, że to Patrick. Sposób pukania do drzwi, sugerujący złość, od razu mi się z nim skojarzył. Wiedziałam jednak, że to bez sensu, bo przecież nie stukałby do drzwi własnego domu.

Potem przyszło mi do głowy, że to policja. Ktoś zauważył, że biorę klucz ze skrytki pod sową, i zadzwonił na policję. Życzliwy sąsiad, na przykład. Ellen należy do osób, których sąsiedzi darzą sympatią.

Odłożyłam blachę na bok i zakradłam się korytarzem, mijając piętrzące się pudła Patricka. Biedna Ellen – w jej domu nie panuje już dawna uduchowiona aura. Zniszczyły ją stare, zakurzone kartony. Ciekawe, czy ona tego nienawidzi czy też jest ponad tego typu ziemskimi problemami. Na ile znam Patricka, te graty jeszcze trochę tam postoją. Wyjrzałam przez małe okienko obok drzwi wejściowych. Stał przed nimi mężczyzna z rękami w kieszeniach i wysuniętą dolną szczęką, gotów na konfrontację. Był po czterdziestce i sprawiał wrażenie, jakby należał do ludzi wyższego gatunku, takich, od których na odległość wyczuwa się pieniądze. Może to

chodziło o jego garnitur, może o przydługie, starannie zmierzwione włosy, a może o sposób, w jaki mocno, stanowczo stał na nogach – jakby chciał zaznaczyć, że to on tu rządzi.

Zaintrygował mnie.

Klient pilnie potrzebujący pomocy?

Dawny chłopak Ellen? Nie wydawał się w jej typie. Zresztą jestem pewna, że Patrick też nie jest w jej typie – zbyt prosty, zbyt zwyczajny. Ona powinna być z jakimś bladym, interesującym poetą, a krzepkiego geodetę oddać mnie.

Kochanek? A może Patrick nie jest ojcem dziecka. To byłoby cudowne. A może ten gość, ten naprawdę rozzłoszczony facet za drzwiami, pokrzyżuje im szyki?

Otworzyłam mu.

ROZDZIAŁ 18

Zabawne, że ludzie traktują hipnoterapię jako coś w rodzaju New Age'u. Tymczasem hieroglify na grobowcach wskazują na to, że Egipcjanie stosowali hipnozę już trzy tysiące lat przed Chrystusem.

Fragment z tekstu na
www.EllenOFarrellHypnotherapy.com

– Madeline, słuchaj.

Julia położyła dłoń na ramieniu Madeline. Ellen spostrzegła, że Madeline lekko się wzdrygnęła. Była środa wieczór. Miały we trzy zjeść kolację w tajskiej knajpce, a potem iść do kina. W knajpce panował straszny tłok – siedziały ściśnięte w boksie dla dwóch osób. Film zaczynał się o dziewiątej, teraz było wpół do ósmej, a kelner dopiero przynosił im karty dań. Spóźnią się do kina jak nic. Madeline będzie poirytowana, Julia przeciwnie – będzie demonstrować, że się tym absolutnie nie przejmuje, ponieważ należy do ludzi wolnych i wyluzowanych, czego nie można powiedzieć o Madeline.

Julia i Madeline nie przepadały za sobą. Udawały, że się lubią, i wyłącznie ze względu na Ellen, która jako „wspólna znajoma” obu zawsze spotykała się z nimi oddzielnie, ale ponieważ wiedziała, że i jedna, i druga chętnie zobaczy nowy film z George'em Clooneyem, stwierdziła, że głupio byłoby którąś pominąć.

Teraz obiecywała sobie, że nigdy więcej. Julia zawsze robiła wszystko, by dać Madeline do zrozumienia, że ma znacznie dłuższy staż znajomości z Ellen – przytaczała opowieści jeszcze ze szkoły, wspominała dawnych znajomych i w ogóle zachowywała się dziwnie młodzieżowo. Madeline z kolei odmawiała uczestnictwa w rywalizacji o długość przyjaźni. Rekompensowała to sobie faktem, że jako jedyna spośród trzech pełni zaszczytną funkcję matki. Z jej twarzy nie zniknęło rozkojarzenie i przygnębienie, jakby bez przerwy musiała słuchać płaczu dziecka. Była w ósmym miesiącu ciąży, więc sytuacja wyglądała gorzej niż zwykle. Jednej ręki w ogóle nie zdejmowała z brzucha. Teraz, kiedy w ciąży była również Ellen, Madeline miała nad Julią przewagę, którą z pełną świadomością wykorzystywała, bez przerwy kierując rozmowę na dzieci. Julia, jako jedyna pijąca, samotnie opróżniała butelkę wina i odpłacała się pięknym za nadobne – przy każdej okazji podkreślała, jak cudowne i bezstresowe jest bezdzietne, niczym nieskrępowane życie i dziko galopująca kariera.

Ellen miała ochotę chwycić obydwie za ręce i wrzasnąć: „Uspokójcie się!”.

– Co? – spytała Madeline, odsuwając rękę poza zasięg Julii. Nie należała do osób, które lubią być dotykane.

Julia wykorzystywała ten fakt i co rusz dotykała Madeline, a także całowała ją ostentacyjnie na powitanie i pożegnanie.

– Jej prześladowczyni zostawia pod drzwiami świeżo upieczone ciasteczka, a co ona robi? Wyrzuca je prosto do kosza i wzywa policję jak każdy normalny człowiek? – spytała Julia. – Oczywiście, że nie! Robi sobie herbatę i zjada je!

– Mam nadzieję, że były bez orzeszków – wtrąca Madeline. – Wiesz, że w ciąży musisz unikać orzeszków ziemnych?

– Orzechy to ostatnia rzecz, o którą powinna się martwić! – wrzasnęła Julia. – Ta wariatka, co upiekła ciastka, na pewno w nie napluła albo coś gorszego. O Boże, rzygać mi się chce na samą myśl, co ona mogła zrobić, Ellen, i co zresztą na pewno zrobiła. Poważnie.

– Jakie to były ciastka, Ellen? – spytała Madeline.

– Gówniane – odparła Julia i zachichotała tak mocno, że przechyliła się na bok.

Madeline odsunęła się od niej. Przywołała na twarz sztywny uśmiech i zwróciła się do Ellen:

– Skąd wiesz, że to od niej? – zapytała.

Julia natomiast, wciąż z pochylonej pozycji, zapytała:

– Były z kawałkami czekolady?

– Były owsiane, a od kogo pochodziły, wiem stąd, że dołączyła karteczkę. „Dziś upiekłam i pomyślałam, że chętnie spróbujecie, pozdrawiam, Saskia”.

– Uch, dostałam gęziej skórki. – Madeline wzdrygnęła się z niechęcią, by pokazać, że w jej doskonale urządzonym życiu coś takiego nie miałyby się prawa zdarzyć.

– Jest coś gorszego – wyznała Ellen.

– Czy to możliwe? – spytała Julia i usiadła prosto. Przed przybyciem Madeline Ellen opowiedziała jej tylko część historii.

– Podejrzewam, że upiekła je w moim własnym domu.

– O. Mój. Boże – wycedziła Julia.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała Madeline spokojnym głosem, tylko dlatego, że Julia zdecydowała się na rolę dramatyczną.

– W kuchni pachniało pieczeniem – wyjaśniła Ellen.

Przypomniała sobie, jak po tym dziwnym, nieudanym dniu w górach stała w kuchni i z łomoczącym w piersi sercem wdychała doskonale wyczuwalny aromat miodu i brązowego cukru. Wspomnienie odwiedzin u babci, gdy ta jeszcze żyła, było nieodparte. Babcia często robiła owsiane ciasteczka. Ciastka Saskii były prawie równie dobre, może nawet lepsze. Bardziej chrupiące.

– Może to tylko kwestia twojej wyobraźni – rzekła Julia.

– Raczej nie – sprzeciwiła się Madeline. – Zmysł zapachu bardzo się wyostrza w ciąży. Kiedy byłam w ciąży z Isabellą, poczułam raz...

– Okruchów nie było? – przerwała Julia. – I innych śladów? Poprzestawianych rzeczy?

– Raczej na odwrót – stwierdziła Ellen. – Piekarnik był za czysty. Musiała go umyć po użyciu.

– Ale po co miałyby przychodzić i piec ciastka w twojej kuchni? – zastanawiała się Julia. – Co ta wariatka próbuje udowodnić? Co chce ci przez to powiedzieć?

– Ja tam nienawidzę gotować w cudzej kuchni – oznajmiła Madeline. – Nigdy nie mogę znaleźć tego, czego potrzebuję.

Julia mrugnęła do niej wolno, po czym znowu zwróciła się do Ellen.

– Co na to Patrick?

– Nie powiedziałam mu – wyznała Ellen. – Jak wróciliśmy z gór, musiał od razu jechać do pracy. Wysadził tylko mnie i Jacka. Nie było sensu mu mówić. Tylko by się wkurzył.

– A Jackowi co powiedziałaś? – zapytała Julia.

– Że moja znajoma je zostawiła – wyjaśniła Ellen. – Zresztą niewiele go to obchodziło.

– Ale nie pozwoliłaś mu ich jeść? – chciała wiedzieć Madeline.

– Nie, pomyślałam, że lepiej nie. Dałam mu za to inne ciastka. Jedliśmy je w czasie odrabiania lekcji.

– Ciastka przed obiadem – mruknęła z dezaprobatą Madeline.

– Ale sama zjadłaś! Nie powinnaś była ich nawet dotykać! – zawołała Julia. – Mogły być zatrute!

– Nie wspomnę już o zagrożeniu dla dziecka – dodała Madeline.

Teraz obie kiwały głowami w pełnej zgodzie. Na ich twarzach malował się identyczny wyraz powagi i odpowiedzialności.

– Wiem – odparła Ellen. – Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

W dodatku tak pięknie pachniały. To głupie, ale najpierw była wkurzona i zdezorientowana na widok tych ciastek, a potem, kiedy wyjęła jedno z torby i trzymała w palcach, przyszło jej do głowy, że dokładnie tego potrzebuje, by poczuć się lepiej. Ciastko okazało się tak pyszne, że od razu wzięła drugie. A więc zjedzenie ciastek poprawiło jej nastrój, zepsuty odkryciem ich na schodach. Dopiero kiedy zjadła trzy z rzędu, pomyślała, że mogą być zatrute. Resztę wieczoru spędziła więc na potajemnej hiperwentylacji i wstukiwaniu w Google haseł typu: „Po jakim czasie działa trucizna?”.

– Od samego początku zachowujesz się w tym względzie dziwnie niepoważnie – osądziła Julia, starając się jednocześnie zwrócić na siebie uwagę kelnera, który znajdował się na drugim końcu sali. – Ta kobieta wchodzi ci do domu. Gwałci twoją prywatność. Dlaczego cię to nie przeraża? I dlaczego ten kelner udaje, że mnie nie widzi? Widzisz mnie, gościu, widzisz, tak, tak!

– Nie wiem – odparła Ellen. – Trochę mnie to jednak przeraża.

Od incydentu z ciastkami czuła się tak, jakby wciąż brakowało jej powietrza, jakby ciągle była spóźniona na jakieś ważne spotkanie. Poprzedniej nocy obudziła się przed świtem z neodpartym przekonaniem,

że zdarzy się coś złego. Że Saskia nie przestanie, dopóki nie zdarzy się coś złego. Ale co? Co musi się wydarzyć?

Czuła podskórnie, że tu nie chodzi już o Saskię i Patricka, ale o Saskię i Ellen. O coś między nimi dwiema. I gdyby tylko przyszło jej do głowy, jak się zachować, może udałoby się jej to jakoś zakończyć. Ale co powiedzieć? I co zrobić? Co, co? Sytuacja kojarzyła jej się z ciągnącą się w nieskończoność chwilą, kiedy zrzuciło się coś cennego ze stołu i zamiast złapać to w powietrzu, zastyga się z wyciągniętą ręką, a kiedy owo cenne coś już się stłucze, myśli się: Przecież mogłam temu zapobiec..

– Powinnaś być totalnie przerażona! – powiedziała ostro Madeline. – I to przez cały czas.

– Wielkie dzięki – odparła Ellen. – Bardzo to krzepiące.

– Ja nie mogę pojąć jednego: Dlaczego nie zgłosicie sprawy na policję? – oznajmiła Julia. – Powinni jej wydać zakaz zbliżania się do ciebie i Patricka, a potem, za każdym razem, kiedy go złamie, powinnaś informować gliny i już byłaby za kratkami, po problemie.

– Patrick był raz na policji – powiedziała Ellen. – I wciąż powtarza, że znowu pójdzie, ale potem nic z tym nie robi. Poza tym to chyba nie aż takie proste, jak ci się wydaje.

– Ja też słyszałam, że zakaz zbliżania się nic nie daje – zgodziła się Madeline.

– Więc skoro on nie idzie na policję, ty to zrób – rozkazała Julia, celując w Ellen palcem i całkowicie ignorując Madeline.

Była krótka chwila – kiedy wzięła do ręki własne rękawice kuchenne, a w zasadzie rękawice babci, i przyszło jej do głowy, że Saskia na pewno z nich korzystała, wkładała je – w której ogarnęła ją wściekłość na zuchwałność tej kobiety. Zdecydowanym krokiem podeszła do telefonu, by zadzwonić na policję, ale zrezygnowała, zanim nawet podniosła słuchawkę.

Jak to udowodni? Czuje pan ten zapach, funkcjonariuszu? I proszę tylko spojrzeć, jaki czysty piekarnik! Nigdy w życiu go tak nie domyłam! Zrobi z siebie wariatkę i tyle.

Poza tym to była sprawa Patricka, który nie wie, czemu, nie był gotowy powierzyć jej policji.

– Nigdy nie sprawiała wrażenia agresywnej – broniła się słabo Ellen.

– Jak dotąd – stwierdziła Madeline.

– Zdajesz sobie sprawę, że zjawi się na ślubie? – dodała Julia. – Kiedy ksiądz powie: „Jeśli ktoś z tu obecnych zna przeszkody, aby ci dwoje zostali połączeni świętym węzłem małżeństwa”, ona zawoła: „Ja znam, ja!”.

– Tej formuły już się chyba nie używa na ślubach – zauważyła Ellen.

Julia jednak się nie poddawała. Ciągnęła, przekrzykując koleżankę:

– Wybiegnie na środek nawy i zawoła: „Ja, ja jestem tą przeszkodą!”.

– Może mieć przy sobie broń – prorokowała Madeline.

– Musisz mieć kamizelkę kuloodporną pod suknią – stwierdziła Julia.

– W takim razie chyba przyjdę bez dzieci – zastanawiała się na głos Madeline.

– Hmm – mruknęła Ellen.

Właśnie dlatego nie poczynili dotąd konkretnych planów ślubnych. Zawsze kiedy zaczynali o tym mówić, rozmowa schodziła na Saskię. „Nawet gdybyśmy wyjechali za granicę, i tak nas wytropi” – mówił Patrick.

Wyraźnie mu ulżyło, kiedy Ellen zaproponowała, że może poczekać z tym do narodzin dziecka, chociaż jego matka na pewno będzie zła, że dziecko przyszło na świat poza małżeństwem.

Mdłości i tak nie pozwalały Ellen czuć się jak panna młoda.

– Wyobrażam sobie, jak musisz jej nienawidzić – stwierdziła Madeline.
– Nawet ja już jej nienawidzę za ciebie. Żeby nie móc spokojnie zaplanować własnego ślubu!

– Ja jej nie nienawidzę – wyznała Ellen. – W każdym razie nie na poważnie. Prawdę mówiąc, nawet lubię z nią rozmawiać.

– No, całkiem niezły pomysł, zaprosz swoją stalkerkę na kawę – prychnęła Julia.

– Zadzwoń do niej teraz i zapytaj, może ma ochotę iść z nami do kina – zawtórowała jej Madeline, rzucając Julii szybki, nieśmiały uśmiech.

Julia zaśmiała się głośniej, niż trzeba. Połączyły siły, by sprzeciwić się głupocie Ellen.

– Może pewnego dnia do niej zadzwonię – rozważała Ellen w zamyśleniu. Pomieszała rurką w szklance z wodą mineralną. – Niewykluczone.

*

Od soboty bez przerwy myślę o mężczyźnie, który przyszedł do Ellen.

– Ellen O’Farrell? – zapytał, kiedy otworzyłam drzwi. Jakby mnie atakował. Cofnęłam się o krok, a drzwi z siatki zostawiłam zamknięte.

– Nie – odparłam. – Nie ma jej w domu.

– Rozumiem, a kim pani jest? – przemówił tonem człowieka, który żąda najlepszej jakości usług i takie otrzymuje. Przypominał deweloperów, z którymi mam częsty kontakt w pracy. Mężczyzn, którzy są bardzo, bardzo pewni swojego miejsca w hierarchii.

– Przede wszystkim kim pan jest? – zapytałam stanowczo. Jako że sama byłam w tym domu nieproszonym gościem, zabrzmiało to dość zabawnie.

– Kimś, kto musi z nią porozmawiać – odparł z rozszerzonymi nozdrzami. – Pilnie.

– Przekażę jej – zaproponowałam i wyobraziłam sobie, że zostawiam na lodówce Ellen jaskrawą samoprzylepną karteczkę z napisem: „Był tu jakiś wściekły facet, który twierdził, że musi z tobą pilnie porozmawiać, pozdrawiam, Saskia”.

– Nie trzeba – burknął. Wyglądał, jakby ze wszystkich sił powstrzymywał się od walnięcia pięścią w ścianę. – Przyjdę kiedy indziej.

– Jak pan sobie życzy – odparłam z wigorem.

I poszedł.

To dziwne, ale kiedy zamknęłam drzwi, czułam, że chcę stanąć w obronie Ellen. Jest tak prostolinijna, jakby wierzyła, że wszyscy są równie mili i szczerzy jak ona. A przecież tacy nie jesteśmy.

Poza tym wiedziałam, że skądś tego człowieka znam, tylko nie mogłam sobie przypomnieć skąd.

*

– Więc opowiadaj, jak poszła wizyta u rodziców zmarłej żony – zażądała Julia, której policzki płonęły już od wypitego w dużych ilościach wina. Ponieważ bez przerwy tarła oczy, rozmazała sobie tusz do rzęs, co nadało jej wygląd seksownego nieładu. W mrocznym świetle restauracji wyglądała dokładnie tak samo jak w czasach licealnych, kiedy podczas krótkiej i średnio imponującej fazy buntu chodziły z Ellen do barów, legitymując się fałszywymi dokumentami. (Matka i chrzestne Ellen robiły w tym wieku znacznie gorsze rzeczy).

– Czekaj, czekaj, chcę najpierw usłyszeć o spotkaniu z tatusiem! – wykrzyknęła Madeline, usiadła prosto i zaplotła ręce pod biustem, na wydatnym brzuchu.

Podczas gdy wykonywała ten ruch, Ellen niechcący trąciła łokciem jej twardego brzucha, w wyniku czego nieoczekiwanie uświadomiła sobie

rzeczywistą obecność dziecka Madeline w odległości zaledwie paru centymetrów od siebie. Już nie idei dziecka, ale rzeczywistego, żywego dziecka, skulonego pod pasiastą ciężową bluzką Madeline i napiętą do granic wytrzymałości skórą. Ellen, naśladowując ruch koleżanki, potajemnie splotła ręce i ułożyła je na brzuchu, jak dotąd miękkim i tylko leciutko, nieprzekonująco wypukłym – może dlatego, że ostatnio za często pozwalała sobie na pizzę? Ubrania robiły się już wprawdzie trochę przyciasne, ale trudno było sobie wyobrazić, że za parę miesięcy będzie miała równie gigantyczny brzuch jak Madeline – brzuch, który wygnie jej kręgosłup do przodu i który sprawi, że ludzie będą z uśmiechem ustępować jej miejsca i pytać: „To ile jeszcze?”.

– Ostatnio życie Ellen coraz bardziej przypomina operę mydlaną, nie? – rzuciła Julia.

– Jak ziarenka piasku przez klepsydrę przesuwają się dni życia Ellen – zaintonowała z amerykańskim akcentem Madeline.

Ellen nigdy wcześniej nie słyszała, by przyjaciółka zmieniała głos, by zażartować.

– Pamiętasz czasy, kiedy była zawsze wyciszona i taka... zen? Nigdy i nic nie zakłócało porządku jej życia – powiedziała Madeline.

– To brzmi, jakbym was denerwowała – wtrąciła Ellen. Zrobiło jej się przykro, jakby właśnie podsłuchiwała rozmowę, w której padły niepochlebne słowa na jej temat.

Julia i Madeline były zbyt zajęte lubieniem się po raz pierwszy w życiu, by zwrócić na to uwagę.

– Och, nie, nie tak bardzo. Dobra, ja byłam pierwsza – przypomniała Julia. – Opowiadaj o rodzinie żony.

– Może lepiej skupmy się na szybkim i wydajnym jedzeniu – rzekła Ellen, ponieważ przy ich stoliku właśnie pojawił się kelner z trzema

gigantycznymi talerzami na przedramieniu.

– Darujmy sobie to kino – zaproponowała Madeline. – Lepiej się odprężmy.

– Jestem za – dodała Julia, po czym usadowiła się wygodnie w boksie i promiennie uśmiechnęła do Madeline.

Ellen przyglądała się koleżankom rozmawiającym z kelnerem, by się upewnić, które danie jest czyje, i odchylającym się uprzejmie, by mógł nałożyć ryż na talerze, i po raz pierwszy odkryła, że są do siebie całkiem podobne. Za ich kontrolowaną swobodą kryła się krucha defensywność, jakby spodziewały się, że za chwilę ktoś je skrytykuje, czego nie zniosą. Obydwie tak mocno przyłgnęły do swych osobowości. Jestem taką osobą i dlatego tak uważam, tak myślę, to robię i mam rację, mam rację, jestem tego pewna!

Choć może robili tak wszyscy, przynajmniej do pewnego stopnia. Może wszyscy dorośli byli tylko dziećmi, starannie przebranymi za dorosłych. Może to było w dorosłym życiu nieuniknione. A może to tylko Ellen przeczuwała, że ma bardziej nieokreśloną, zamgloną osobowość niż koleżanki.

A może to wszystko głupoty i Madeline i Julia były tylko sobą? Ostatnio Ellen coraz bardziej irytował fakt, że wszędzie dopatruje się ukrytych znaczeń, a nie przyjmuje rzeczy takimi, jakimi faktycznie są. Nie mogła tego do końca zrozumieć. Czuła się tak, jakby nagle bez powodu zaatakowała starego dobrego przyjaciela.

– To musiało być strasznie krępujące – zaczęła Madeline – poznać byłych teściów Patricka.

– Jak myślisz, nie spodobałaś im się? – zapytała Julia. – No, w sensie, że zajęłaś miejsce ich ukochanej córki?

– Byli przemili – zaprzeczyła Ellen. – Sprawiali wrażenie, że mają do tego absolutnie swobodne podejście, ale potwornie się wygłupiłam.

– Nie mów – zareagowała Julia, zupełnie jakby Ellen miała kompromitowanie się w zwyczaju. – Co zrobiłaś?

– Zobaczyłam wiszące na ścianie zdjęcie Colleen z małym Jackiem i...

– Skrytykowałaś ją? – zapytała Julia. – Źle wyraziłaś się o zmarłej!

Śmierć przerażała Julię. Zawsze kiedy miała z nią do czynienia, robiła się niespokojna i dziwna, jakby chciała odeprzeć od siebie jej groźbę.

– Myślisz, że zrobiłabym coś takiego? – zapytała Ellen, podnosząc łyżkę.

– Zostaw, to małże! – zaskrzeczała Madeline i wyrwała Ellen sztuciec niemal z samych ust.

– Nieprawda! – Ellen wskazała na talerz przed sobą. – Mam kurczaka.

– Och, no tak, przepraszam – powiedziała Madeline. – Mów dalej.

– W każdym razie uważam, że całe zamieszanie z tym, co można jeść w ciąży, a czego nie można, zaszło za daleko – stwierdziła Ellen. – Francuzi dalej jedzą sery i piją wino, Japończycy jedzą sushi, a ich dzieci mają się świetnie.

Madeline wyduła wargi, jakby nie była przekonana co do jakości samopoczucia francuskich i japońskich dzieci.

– Ja na twoim miejscu bym nie ryzykowała, przynajmniej w pierwszym trymestrze – rzuciła.

Julia zamilkła, słysząc, że rozmowa znów schodzi na niemiłe jej tory, ale po chwili podjęła temat:

– Więc co zrobiłaś, jak zobaczyłaś to zdjęcie?

– Rozplakałam się – wyznała Ellen.

– Rozpłakałaś się? Przecież nawet jej nie znałaś! – Madeline odłożyła widelec, jakby natknęła się na niesmaczny kęs. Widać było, że jest potwornie zażenowana tym, co spotkało Ellen.

– Ale dlaczego płakałaś? – zapytała Julia z wyraźną ciekawością.

– To hormony – osądziła z wyższością Madeline. – Choć nie możesz się tak zachowywać przez następne pół roku! Nie mogłabyś, nie wiem, zahipnotyzować się albo coś takiego?

Najwyraźniej Madeline podeszła do tematu niezwykle poważnie, skoro zasugerowała autohipnozę. Ellen zawsze wiedziała, że koleżanka uważa hipnoterapię za stek new age’owskich bzdur, stratę czasu i pieniędzy, szarlatanstwo, czystą głupotę, ideę błędną, choć podyktowaną najlepszymi intencjami, lub coś w tym rodzaju. Nie wiedziała konkretnie, którego z powyższych określeń użyłaby Madeline, ale sądząc po pełnej uwadze uprzejmości, a zarazem pustce, które malowały się na twarzy koleżanki za każdym razem, kiedy rozmowa schodziła na profesję Ellen, była przekonana, że któregoś z nich na pewno. Ellen nigdy nie naciskała, by poznać prawdziwą opinię koleżanki, bo wiedziała, że ta skłamała, w dodatku nieumiejętnie, i nie chciała jej stawiać w niekomfortowej sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że Madeline bardzo ją lubi i że ostatnią rzeczą, jaką chciałyby zrobić, byłoby zranienie jej uczuć.

Do tej pory Ellen nie przeszkadzał brak równowagi w ich rozmowach. Szczerze mówiąc, towarzyszyło jej przyjemne przekonanie, że jest znacznie dojrzała i dlatego doskonalsza niż pełna uprzedzeń Madeline. Jej przekonanie o własnej wartości nie miało absolutnie nic wspólnego z aprobatą innych. Teraz jednak poczuła do koleżanki silną niechęć. Jej praca była dla niej istotna. Stanowiła ważną część jej życia. Dlaczego Madeline przynajmniej nie próbuje dowiedzieć się na temat hipnoterapii

ciut więcej? Nigdy nawet nie pytała o to Ellen! O czym to świadczyło? O braku szacunku. Prawdę mówiąc, to było wkurzające.

– Mam coś na zębach? – zapytała zdezorientowana Madeline i odwróciła się w stronę lustra na ścianie. – Nie? To czemu tak się na mnie gapisz?

Ellen chrząknęła. Niestosowne byłoby tak bez uprzedzenia wrzasnąć: „Dlaczego nigdy nie rozmawiamy o mojej pracy, Madeline?”.

Co się z nią ostatnio działo? Wszystko wskazywało na to, że ciąża całkowicie odzierała ją z dojrzałości emocjonalnej. W jej życiu pojawiły się nowe, bolesne, niekontrolowane emocje. Po chwilach czystej furii przychodziły momenty beznadziejnej rozpacz. O Boże. Zachowywała się jak własna klientka.

– Przepraszam – odparła Ellen – zamyśliłam się.

– Cóż, osobiście uważam, że chodziło o coś więcej niż hormony – stwierdziła Julia. – Wpędziło cię to w poczucie winy? Świadomość, że będziesz mieć dziecko z jej mężem? Zresztą sama jesteś ekspertką od tłumionych emocji.

Ellen spojrzała na Julię z wdzięcznością. Julia w przeciwieństwie do Madeline zawsze wspierała Ellen w pracy i była z niej dumna. Skierowała do niej mnóstwo znajomych i przyjaciół. Tak, była szczerze oddaną przyjaciółką.

– Teraz też płaczesz? – spytała Julia. – Na samo wspomnienie?

– Nie, przepraszam, ja tylko... – Ellen zaczęła beznadziejnie chichotać. Zobaczyła, jak Julia i Madeline wymieniają spojrzenia.

– Wiem, że kobiety w ciąży to wariatki – stwierdziła Julia – ale czy to już przypadkiem nie przesada?

– Zdecydowanie – orzekła Madeline.

– Wolę nie myśleć, co się działo na pierwszym spotkaniu z ojcem – powiedziała Julia. – Trzeba było wziąć coś na uspokojenie. – Przyłożyła dłoń do czoła. – Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu, którego tak mi brakowało!

Madeline zachichotała, po czym, pełna poczucia winy, zreflektowała się i powiedziała:

– No wiesz, wyobrażam sobie, że spotkanie z ojcem musiało być równie wyczerpujące emocjonalnie, prawda?

– W rzeczywistości – odparła Ellen – było przeciwnie. Nie czułam nic. Absolutnie nic.

– Serio? – Madeline najwyraźniej ulżyło. Już lepiej.

– Okazał się tylko facetem – opowiadała Ellen. – Zwykłym, najzwyczajniejszym facetem. Jak twój dentysta. Albo jak księgowy. Rzedniejące włosy. Okulary. Nie zrobił na mnie żadnego wrażenia.

– Biedny tatuś – zawyrokowała Julia do kieliszka z winem.

– Wiecie, o czym naprawdę mam ochotę pogadać? – Ellen odłożyła nóż i widelec. – O pudłach. O pudłach zawałających mi cały korytarz.

– Nie brzmi specjalnie interesująco – zauważyła Julia.

– To pudła Patricka, tak? – Madeline natychmiast pojęła, o co chodzi.

– Tak jest – odparła Ellen. – Proszę i proszę, a on ich nie sprząta. To mnie doprowadza do szału. Jak sprawić, żeby facet coś zrobił, ale nie zrzędzić?

– Ooo – orzekła Madeline – to jest dopiero pytanie.

*

Olśniło mnie podczas ostatnich wieczornych wiadomości.

Wiedziałam już, kim był ten mężczyzna.

Tylko czego mógł chcieć od Ellen? I czemu był na nią taki wściekły?

*

Ellen nie uruchomiła silnika. Siedziała w samochodzie i napawała się nagłą ciszą, nieoczekiwaną po hałaśliwej gadaninie w restauracji. W uszach jej szumiało, czuła się przestymulowana jak po całonocnym picciu w klubie, a nie po spokojnej, bezalkoholowej kolacji w towarzystwie zaledwie dwóch przyjaciółek. Nie wiedzieć czemu, Julia i Madeline wydały jej się dziś nieco przytłaczające, a ich twarze w restauracyjnym boksie – zbyt bliskie. Twarz Julii o ostro zarysowanych kościach policzkowych, ze zdumiewającymi zmarszczkami wokół oczu (zdumiewającymi, bo Ellen wciąż myślała o niej jak o czternastoletniej koleżance ze szkoły) i pulchna buzia Madeline o łagodnych rysach, z zadartym nosem i różanymi ustami. Ellen wciąż czuła perfumy Julii i słyszała lekko zachrypnięty głos Madeline (którą chyba brało jakieś przeziębienie).

– Jutro wieczorem spotykam się z Samem – oznajmiła Julia, kiedy stały na chodniku przed restauracją już tylko we dwie, bo Madeline poszła pierwsza.

– Ze Śmierdzielem? I co, naprawdę miał wtedy grypę? Wiedziałam! Więc się spotykacie? Czemu nic nie mówiłaś?

– Nie zwracam się tak do niego – rzekła Julia. – I w ogóle, za bardzo się nie ekscytuj i nie zaczynaj planować nam przyszłości. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Ellen zauważyła, że w oczach Julii błysnęła nadzieja.

– Przestań – odezwała się znowu Julia na widok wyrazu twarzy Ellen. – Ani słowa więcej na ten temat. – Ale przytuliła Ellen na pożegnanie mocniej niż zwykle.

Ellen spojrzała na zegarek. Była dopiero dziewiąta. Kiedy przyjedzie do domu, Jack jeszcze będzie na nogach. Chodził spać bardzo późno jak na ósmiolatka, ale cóż ona mogła na ten temat wiedzieć?

Miała oczywiście pewność, że Patrick uszanuje jej sugestię, by Jack kładł się wcześniej, ale w roli rodzica tego samowystarczalnego ośmiolatka czuła się niepewnie i w nie swojej skórze, jakby tylko odgrywała tę rolę na pokaz. Powinna była spytać Madeline, o której zasypiają jej dzieci. Madeline od razu wyprowadziłaby ją z błędu.

Tak miło było wiedzieć, że nie wraca do pustego domu. Kiedy podjedzie, zobaczy rozświetlone okna. Otworzy drzwi i poczuje zapach tacosów, popcornu lub innej późnowieczornej przekąski. Patricka i Jacka zastanie przed telewizorem, konsolą do gier albo ganiających się po całym domu z gałęzią, która niegdyś zwisała z jej sufitu jako przypomnienie o potrzebie uważności, a teraz awansowała na miecz ręczny lub świetlny czy inny rodzaj broni (ich zabawy były czasem takie agresywne!). Patrick zapyta o film. Jack będzie chciał jej opowiedzieć o wydarzeniach dnia. Napiją się kakao, może zjedzą trochę czekoladek, które Jack powinien sprzedawać w ramach akcji charytatywnej w szkole. Patrick ze dwadzieścia razy każe małemu iść do łóżka i w końcu Jack się posłucha.

Tak, bardzo miło wracać do domu tętniącego życiem rodzinnym, o którym zawsze marzyła.

Wciąż jednak nie przekręcała kluczyka.

W porządku. W takim razie przemyśl to na głos, Ellen.

Równie dobrze miło by było wracać do całkiem pustego domu, do kojącej ciszy i korytarza bez pudeł, do kubka herbaty przy książce, do długiej, gorącej kąpieli, w której nikt jej nie będzie przeszkadzał pytaniami, czy szybko przyjdzie do łóżka.

Byłoby, szczerze mówiąc, cudownie – biorąc pod uwagę jej obecny stan ducha i samopoczucie – mieć własny dom tylko dla siebie, własne łóżko – również na własność, i w ogóle móc wrócić do starego życia.

Przypomniała sobie wszystkie noce w ubiegłym roku, kiedy wracała sama do domu, w ciemnościach gmerała kluczem w zamku i wprost marzyła o tym, by w środku ktoś na nią czekał. Ktoś dokładnie taki jak Patrick.

Pomyślała o Saskii, nastawionej tylko na odzyskanie Patricka. Wytrwałej, przez tyle lat. Była przecież atrakcyjną, inteligentną kobietą. Mogła poznać wielu innych mężczyzn, ale chciała tylko jego. Może to szaleństwo, ale konsekwentne.

Ellen zdawała sobie sprawę, że nie kocha Patricka równie mocno. W rzeczywistości nigdy nikogo tak nie kochała. Nie włamałaby się do niczyjego domu. Nie pozwoliłaby się opętać uczuciu i wskutek tego łamać prawo lub czynić rzeczy społecznie nieakceptowalne. W uszach słyszała głosy Julii i Madeline: To dobrze, głupia! To czyste wariactwo! To dojrzałość!

Westchnęła i sięgnęła do stacyjki, ale znowu upuściła rękę na kolana. Chodnikiem, tuż przed jej samochodem, szli młodzi ludzie – chłopak i dziewczyna. Najwyraźniej o coś się kłócili. Nagle dziewczyna odwróciła się na pięcie, machnęła ręką i odeszła. Chłopak patrzył za nią. Idź za nią, pomyślała Ellen. Ona tego chce, chce, żebyś za nią poszedł. On jednak zacisnął szczękę, wzruszył ramionami, wepchnął ręce do kieszeni i ruszył przed siebie.

Pomyślała o wszystkim, co wyznała przyjaciółkom przy kolacji, i o wszystkim, co przed nimi zataiła.

Przez tyle lat prawiała pacjentom banały o tym, że „związek to ciężka, pełna wyrzeczeń praca”. Nigdy do końca nie rozumiała tego, co głosiła.

(A prawdę mówiąc, uważała chyba, że związki rzeczywiście są ciężką pracą, lecz dla innych, bo nie dla niej, nie przy jej wiedzy, umiejętnościach i inteligencji emocjonalnej. Och, ta zarozumiałość!)

Wieczorem po powrocie z gór pogodzili się z Patrickiem, rzecz jasna. Ulga była niezmiernie, niemal warta całej kłótni.

„To była moja wina” – wyznała szlachetnie Ellen.

„Skąd, wina była wyłącznie moja” – upierał się Patrick i opowiedział jej o kłopotach w pracy, a mianowicie o kliencie, który nie chciał uregulować dużego rachunku. Widział też Saskię w samochodzie, kiedy rano wyjeżdżali w góry. Powiedział: „Na pewno podświadomie wyładowałem na tobie stres”.

Starał się, jak mógł, mówić jej językiem. Bardzo miłe.

A potem był zdruzgotany, że musiała odwołać spotkanie z Julią i zostać w domu z Jackiem.

„Czemu mi nie powiedziałaś?” – zawołał. „To przesada!”

„Nie wiem” – odparła Ellen. „Chyba dlatego, że chciałam być jak prawdziwa matka”.

„Jesteś prawdziwą matką” – odparł Patrick. „Super sobie radzisz. Lepiej się nie da. Nigdy bym nie pomyślał, że nie miałaś dzieci”.

„No cóż, przypuszczam, że powinnam ci była powiedzieć”.

„Cicho już bądź, kobieto. Biorę tę kłótnię na siebie” – oznajmił Patrick, a dla potwierdzenia, że czuje się winny, przez następnych dwadzieścia minut masował jej stopy.

Nie było mowy, aby wspomnieć jeszcze o ciasteczkach Saskii. Natychmiast byłoby po masażu, a on zacząłby chodzić tam i z powrotem po całym domu, gryźć się i kłać pod nosem.

A późnym wieczorem rzeczywiście zabrał z korytarza dwa pudła. Wciągnął je do salonu, zostawiając na babcinym dywanie ślady jak po oponach gigantycznej terenówki. Ellen oczyma duszy ujrzała zgrozę na twarzy babci – pamiętała przecież czasy, kiedy starsza pani na kolanach

zbierała z podłogi każdy najmniejszy pyłek czy okruszek, dostrzegalny tylko dla jej oczu.

Przykro mi, babciu.

Reszta pudeł wciąż stała tam, gdzie dotąd, z tym że teraz wyglądały, jakby znajdowały się tam od zawsze. Trudno było wyobrazić sobie korytarz bez nich.

Przekręciła kluczyk i włączyła światła, oświetlając ciemną przestrzeń.

Chłopak, którego przed chwilą widziała, biegł szybko ulicą, pochylony, wymachując miarowo ramionami, jakby uczestniczył w meczu piłki nożnej. Tak! Ellen poczuła łaskotanie w żołądku. Biegł za swoją dziewczyną, żeby wziąć ją w ramiona i ukryć twarz w jej włosach. Jak pięknie.

Równie dobrze mógł biec z zamiarem wybicia jej zębów. Życie nie zawsze bywało takie romantyczne, jak się wydawało. Ellen włączyła się do ruchu.

Człowiek wyobrażał sobie na przykład, że pierwsze w życiu spotkanie z własnym ojcem powinno się wiązać z radosnymi, acz niepewnie drżącymi, delikatnymi emocjami.

Tymczasem poniedziałkowy lunch okazał się niewyobrażalną pomyłką. Dlaczego, na niebiosa, wydawało jej się, że środek dnia będzie lepszy niż wieczór? Oczywiście, że kolacja byłaby stosowniejsza. Spotkali się w kawiarni w północnej dzielnicy Sydney, ponieważ wszyscy troje mieli tego dnia sprawy do załatwienia w okolicy i taki układ wydawał się dogodny. Problem polegał na tym, że w ten sposób lunch nabrał charakteru kolejnego spotkania tego dnia, kolejnej sprawy, którą należy załatwić i wykreślić z listy. Ellen czuła się jak w czasie uprzejmej wymiany zdań towarzyszącej zawieraniu nowej znajomości – zanim ktoś wyjmie teczkę i powie „Dobrze, w takim razie zaczynamy”.

Nawet światło jej przeszkadzało. Było zbyt słonecznie i zbyt prawdziwie. Nie chciała widzieć maleńkich czarnych włosów nad górną wargą ojca. Nie chciała widzieć porów na jego nosie i różowej skóry głowy u nasady włosów. Nie chciała też widzieć, jak sos z kurczaka po marokańsku kapie mu na wargę. A już na pewno nie chciała widzieć, jak jej matka wesolutko wyciera go własną serwetką! (Jej matka! Taka łagodna, kojąca i kobieca. W pewnym momencie podczas rozmowy zaczęła się nawet bawić włosami).

Nękające Ellen mdłości również nie sprzyjały. Prawdę mówiąc, zabarwiały całutki świat na ohydny beżowy kolor. Wieczorami bywało lepiej. Czemu o tym nie pamiętała?

Kiedy wchodziła do kawiarni, sytuacja skojarzyła jej się z randką zaaranżowaną przez internet. Pojawiło się to samo niebywale dziwne uczucie towarzyszące lustrowaniu sali pod kątem obcej twarzy – twarzy człowieka, który być może zostanie twoim życiowym partnerem. Czy potrafię sobie wyobrazić, że cię całuję, budzę się przy tobie, kłócę się z tobą? Tyle że ten konkretny przypadek nie dawał nawet możliwości ucieczki, ponieważ i tak nie liczyło się, jakie wywrze na niej wrażenie. Nie będzie mogła zalogować się ponownie i przeszukać sieci pod kątem innego potencjalnego ojca.

Za pierwszym razem omiotła go wzrokiem i nie zatrzymała się. Idealnie wtapiał się w wypełniający kawiarnię tłum siwowłosych biznesmenów w dobrych garniturach. Dopiero potem ujrzała siedzącą naprzeciwko niego matkę. Prawie jej nie poznała. Przywykła do widoku matki w towarzystwie Mel i Pip, przy czym wszystkie trzy zawsze robiły z siebie miniwidowisko – rozmawiały i śmiały się głośniejsz niż inni. Matka, siedząc przy stoliku z siwowłosym mężczyzną, wydawała się jakaś mniejsza. Zamiast

utrzymywać nienagannie wyprostowaną postawę królowej, pochylała się, a przedramionami opierała o stolik, służalczo przekrzywiając głowę.

Na widok Ellen zerwała się gwałtownie, jakby została przyłapana na niewłaściwym zachowaniu, po czym uśmiechnęła się i pomachała. Na jej twarzy malowała się duma, lecz właściwie natychmiast zastąpił ją strach.

David, jej ojciec, również wstał. Kiedy Ellen podeszła, ucałował ją uprzejmie w oba policzki – jak to w dzisiejszych czasach zwykli robić mężczyźni w pewnym wieku i o odpowiednio zasobnej kieszeni. („To całowanie powoli wymyka się spod kontroli” – powiedziała dziś wieczór przy kolacji Madeline. „Za chwilę się okaże, że należy całować kasjera w supermarkecie”).

– To wielka przyjemność cię poznać, Ellen – rzekł, po czym, kiedy już usiedli, dodał: – Jesteś w moim życiu niezmiernie pożądaną niespodzianką.

Dokładnie w chwili, kiedy wymówił te słowa, pojawiła się kelnerka i rzuciła im na stół laminowane karty dań. W związku z tym David nie był pewien, czy Ellen go dosłyszała, i nie wiedział, czy powinien powtórzyć to, co miał do powiedzenia, czy nie. Ellen natomiast była zbyt zajęta proszeniem kelnerki, aby w trybie pilnym przyniosła jej kromkę najzwyklejszego chleba. Minęła więc chwila, w której powinna potwierdzić, że dosłyszała, i zapewnić go, że w jej życiu on również okazał się wielce pożądaną niespodzianką. Ten krótki, ale niezręczny towarzysko moment spowodował, że wielkomijska maska ojca nieco się przekrzywiła, a Ellen doznała wrażenia, że widzi coś, czego nie powinna zobaczyć – jakby nagle stwierdziła, że ojciec nosi perukę.

Potem zajmowali się tylko rozmową grzecznościową. Gawędzili o weekendzie w Whitsundays. („Cudownie! Wspaniale!” Głos matki był taki przenikliwy. Szczerze mówiąc, brzmiał jak głos cudzej matki). A potem o sztuce, na której byli w teatrze, a potem o powrocie Davida do Sydney –

po tylu latach! Był chirurgiem ortopedą. Planował jeszcze parę lat popracować, a potem przejść na emeryturę.

– Może kupię jacht i popłynę w podróż dookoła świata. Na rok. – Spojrzał na Anne. – Chcesz być pierwszym oficerem?

Anne się rozpromieniła.

– O ile na pokładzie będzie ekspres do kawy – odpowiedziała.

Ellen co chwila powtarzała sobie w myśli: Oto moi rodzice. Jestem na lunchu z rodzicami. Wyobrażała sobie spotkanie z przyjaciółką czy klientem, z kimś, kto nie zna jej historii. To moja mama i mój tata.

Takie niezwykle, a takie przecież zwyczajne.

Ojciec zadawał jej mnóstwo wnikliwych pytań na temat hipnoterapii. Odnosił się w nich szczegółowo, ale jednocześnie bardzo swobodnie do artykułów, które ostatnio przeczytał na ten temat. Nie było wątpliwości, że przygotował się do spotkania. Było to ujmujące, ujmujące aż do bólu. Kiedy uprzejmie, z uwagą słuchał jej odpowiedzi, Ellen czuła, że pieką ją oczy.

Równie oczywiste było, że jak na chirurga w tym wieku i o tym pochodzeniu miał stosunkowo otwarte nastawienie do „terapii alternatywnych”. Matka nie wtrącała swych naturalnych, uszczypliwych komentarzy. Przeciwnie, próbowała nawet chwalić, co prawda w mało konkretny sposób.

– Na wizytę u Ellen czeka się w kolejce – oznajmiła, po czym w tonie rozmowy między lekarzami dodała: – Okazuje się, że odnosi spore sukcesy w leczeniu bólu idiomatycznego.

W takim razie dlaczego nigdy nie skierowałaś do mnie żadnego pacjenta?, pomyślała Ellen. Czy matce się wydawało, że musi dobrze ją sprzedać ojcu? Jakby Anne była samotną matką, z którą dostawało się dziecko w pakiecie. Jak Jack i Patrick.

David z typową ojcowską czułością opowiadał o swoich dwóch synach. Uśmiechał się mimowolnie, nawet wypowiadając ich imiona.

– Mają już dzieci? – spytała Ellen.

Próbowała nie wnikać zbyt głęboko w fakt, że tych dwóch nieznanym mężczyźni (o parę lat młodszych od niej), z których jeden pracował w nieruchomościach, a drugi w marketingu, mieszkających na drugim końcu świata, mówiących z brytyjskim akcentem i z angielską bladą, było jej przyrodni braćmi. Przywodziło to na myśl sytuację, w której człowiek dowiaduje się, że żyjący tylko w jego wyobraźni przyjaciele z dzieciństwa istnieją naprawdę. Kiedy była mała, często pytała mamę, czy ojciec ma inne dzieci, ale matka w zależności od nastroju odpowiadała z żalem lub zdawkowo: „Pewnie ma”.

W wyobraźni Ellen stworzyła sobie braci i siostry – seksownego starszego brata w skórzanej kurtce, na motorze, otoczonego wianuszkami równie przystojnych kumpli, młodszą siostrę, która ją uwielbia, oraz starszą siostrę, która pożycza jej kosmetyki. Oczywiście nadszedł czas, kiedy z tego wyrosła. Teraz nie odczuwała już potrzeby posiadania dwóch młodszych braci. Była zajęta. Dość czasu zajmowało jej utrzymywanie kontaktów ze znajomymi. Co niby miała zrobić: wyszukać ich na Facebooku?

– Nie, nie mam jeszcze wnuków – odparł David. – Callium jest żonaty, ale wygląda na to, że jego żona nie jest specjalnie zainteresowana dziećmi, a Lachlan, wszystko na to wskazuje, zostanie kawalerem. – Przerwał i zmarszczył brew. – Więc to – z wyraźnym zażenowaniem machnął łyżeczką od herbaty w stronę brzucha Ellen – będzie mój pierwszy wnuk! – Po czym się zaczerwienił, jakby przekroczył jakąś granicę.

– Tak – odparła Ellen. Próbowała być wielkoduszna.

– Kto by pomyślał, że zostaniemy dziadkami – mruknęła Anne i Ellen spostrzegła, jak rodzice (jej rodzice!) wymieniają znaczące, sekretne spojrzenia.

Przez cały lunch Ellen wpatrywała się w rysy ojca, szukając w nich potwierdzenia, że noszą ten sam kod DNA. Zwróciła uwagę na małe uszy i dobre zęby, które matka umieściła na liście cech pożądaných. (Na razie nie widziała żadnych poszlak co do „dziwnego poczucia humoru”, ale to pewnie dlatego, że była zdenerwowana. Wszyscy byli. Żadne z ich trojga nie zachowywało się swobodnie). David również musiał jej się skrycie przyglądać, bo w pewnej chwili niespodziewanie powiedział:

– Zdaje się, że masz oczy mojej matki.

Wtedy jeden, jedyny raz podczas całego spotkania niemal poczuła coś doniosłego – poczucie straty tego, co mogło się zdarzyć, ale się nie zdarzyło. Rodziny, której nie przyszło jej poznać? Dziadkowie to był jej czuły punkt.

– Tej samej, która stawiała tarota?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Tak jest. Stawiała. Takie miała zabawne hobby. Ale skąd ty...

– Twoja matka powróżyła mi raz z kart – wyjaśniła szybko Anne. – Nie pamiętasz? Mówiła, że w mojej przyszłości widzi podróż na odległe lądy. Pewnie miała nadzieję, że wyjadę gdzieś daleko, daleko od ciebie. Nie przepadała za mną.

– Myślę, że widziała w tobie zagrożenie. – David się uśmiechnął. – Uwielbiała przecież Jane.

– Jane to twoja żona? – zapytała Ellen, po czym oblała się rumieńcem, ponieważ została poczęta w wyniku zdrady tej właśnie żony, w związku z czym czuła się dziwnie winna.

David chrząknął.

– Tak – powiedział, po czym podniósł filiżankę cappuccino do ust.

Matka Ellen postukiwała łyżeczką o spodek. Przy stoliku obok dwie kobiety sprawdzały coś na laptopie i z pasją rozprawiały o „kiepskiej reakcji”.

– Moja matka zmarła w 1998 roku – rzekł David. – Szkoda, bo bardzo byś się jej spodobała. Byłaby zainteresowana twoim wyborem kariery.

– Mogłaby nie zaaprobować mojego istnienia – rzekła Ellen i uśmiechnęła się, by mu pokazać, żeby się nie martwił, bo ona w ogóle się tym wszystkim nie przejmuje, nie jest już skołowaną nastolatką, te czasy dawno minęły.

– Mimo wszystko – rzekł ojciec. Przygryzał wargę. – Mimo wszystko... – urwał i zerknął na zegarek. – Muszę lecieć. Ellen, to była wielka przyjemność. Mam nadzieję, że niebawem znów się spotkamy. I chciałbym oczywiście poznać twojego przyszłego męża, Patricka, tak? Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko.

Och, jakie to wszystko było obrzydliwie dziwne! Jak koniec randki internetowej, na której mężczyzna próbuje zapewnić o swoim zainteresowaniu kolejnym spotkaniem, ale choć wie, że nie ma żadnych szans, uważa, że mimo wszystko warto próbować.

– Oczywiście! – odparła Ellen, cała w fałszywych uśmiechach.

Ucałował je obie i wyszedł, zatrzymując się po drodze przy ladzie, by szybko i sprawnie uregulować rachunek. Należał najwyraźniej do mężczyzn, którzy automatycznie płacili rachunki.

– No i co o nim sądzisz? – zapytała Anne, nie spuszczając wzroku z pleców Davida, który właśnie opuszczał lokal.

Nie obejrzał się na nie. Idąc, nie odrywał wzroku od iPhone'a. W spojrzeniu pięknych, fiołkowych oczu matki było coś, co przypominało

wyraz twarzy Patricka na grobie Colleen. Czy to tęsknota? Wprawiło to Ellen w naburmuszony nastrój.

– Byłaś na ich ślubie? – spytała bez uprzedzenia.

– Na czym? – zdziwiła się Anne.

– Jego. Davida. Z Jane.

– Och. – Matka przyjęła teraz swą normalną postawę i zniżyła głos o parę oktaw. – Tak, byłam. Byłyśmy we trzy z Mel i Pip. Z grupą znajomych. To był straszny dzień. Było mi tak niedobrze.

– Przez poczucie winy?

– Niezupełnie. Byłam w trzecim miesiącu ciąży.

– O mamó – jęknęła Ellen. A gdyby ta biedna dziewczyna wiedziała, że wśród gości ślubnych znajduje się kobieta, która jest w ciąży z jej nowo poślubionym mężem?

– Nie rozumiem, czemu udajesz takie zdziwienie – odparła. – Zawsze wiedziałas, że był zaręczony z inną.

– Wiem, że wiedziałam – odpowiedziała Ellen. – Przepraszam. Nie wiedziałam tylko, że byłaś na tym ślubie.

Rozumiała, w czym rzecz. Nadmiernie identyfikowała się z panną młodą. Ponieważ podświadomie – nie, w rzeczywistości całkiem świadomie – martwiła się, że tak jak Jane wyjdzie za mąż za mężczyznę wciąż zakochanego w kim innym, nawet jeśli ta osoba już nie żyje.

– Zastanawiałaś się kiedyś, czy mu nie powiedzieć, że jesteś w ciąży? – spytała Ellen.

– Szczerze mówiąc, nie – odparła matka. – Sama przed sobą się nie przyznawałam, jak bardzo mi na nim zależy. Tłumiłam to w sobie, mówiąc twoim językiem. Udawałam twardą feministkę, której zależy tylko na dziecku.

A mnie się podobało, jak udawałaś twardą feministkę, pomyślała Ellen. Podobało mi się, kiedy byłaś taka inna ode mnie. Dzięki temu bardziej czułam się sobą.

– Myślałam, że uznasz to wszystko za romantyczne! – ciągnęła Anne. – Myślałam, że to takie w twoim stylu! Mówiłam Pip i Mel: „Ellen po prostu oszaleje, nie uwierzy!”. A ty masz do tego bardzo negatywne nastawienie. Moja córka, Panna Pozytywna! Panna Współczująca Całemu Światu! Nawet byłej dziewczynie narzeczonego, wariatce, która mu nie daje spokoju! A co byś powiedziała na trochę empatii w stosunku do własnej matki?

– To hormony – odezwała się niepewnie Ellen.

– Och, daj spokój. Nie wyjeżdżaj mi tu z hormonami!

– Dobrze – odparła Ellen. I wtedy przyszło jej do głowy, co powinna powiedzieć. Matka właśnie przedstawiła jej nieznanego mężczyznę. – Jest przemiły – powiedziała. – Oczywiście chodzi mi o Davida. Uroczy. Przystojny. Naprawdę mi się spodobał. – Szczerze mówiąc, nie była to nieprawda.

Efekt był natychmiastowy. Jakby ktoś włączył żarówkę. Matka zaświeciła szczęściem.

– Wiem!

Następne pół godziny spędziły na omawianiu zalet Davida w porównaniu z wszystkimi innymi mężczyznami, z którymi Anne dotąd się spotykała.

– Oczywiście żaden z tych biedaków nie miał u mnie szans – stwierdziła matka. – Dopiero teraz to widzę. Bo jaką mogli mieć szansę, jeśli wciąż byłam zakochana w twoim ojcu? Podświadomie kurczowo trzymałam się przeszłości, prawda? Powinnam była przyjść do ciebie na hipnozę! Mogłybyśmy przepracować moje problemy.

– Ha, ha, nie uwierzę, że to kiedykolwiek mogłoby się zdarzyć – rzekła Ellen.

Dziwnym i nieoczekiwanym pokrzepieniem okazał się błysk w oczach matki, kiedy powiedziała słowo „problemy”. Gdyby nagle zaczęła wypowiadać się z pełnym szacunkiem na temat hipnoterapii, Ellen uznałaby, że to chyba za wiele.

Zajechała przed dom. We wszystkich oknach paliły się światła.

Nie będzie stać przed drzwiami i w ciemnościach gmerać w torebce w poszukiwaniu kluczy. Światło nad drzwiami wejściowymi od lat było popsute, ale – jak wiele innych rzeczy w domu – w ciągu tygodnia od wprowadzenia się Patricka zostało naprawione.

Zaśmiała się na widok sylwetek Patricka i Jacka znienacka pojawiających się w oknach i wymachujących rękami. Jesteśmy w domu, powiedziała do dziecka. Wygląda na to, że twój tata i starszy brat jeszcze nie poszli spać.

Położyła dłoń na brzuchu i nagle – niby wiadomość z przyszłości – poczuła niezwykle bolesny, gorący prąd, przesywający jej piersi. Fakt, że jej ciało doświadczało takich niezwyklej doznań, był jak objawienie.

– Hej, tam w środku. – Tym razem odezwała się na głos. – To trochę boli. Ale w porządku, nie przeszkadza mi to. Odpoczywaj sobie. Rośnij.

I znowu pojawiło się oślepiające uczucie radości. Dziecko. Na miłość boską, będzie miała dziecko z facetem, który ją uwielbia. Nic więcej się nie liczyło.

ROZDZIAŁ 19

Codziennie, pod każdym względem, jest mi coraz lepiej i lepiej.

Klasyczna, świadoma autosugestia autorstwa sławnego psychologa i farmaceuty (ojca autohipnozy), Émile'a Couégo (1857–1926)

– Dobrze dziś spałeś, Jack? – zapytała Ellen.

Był wtorek rano. Siedzieli wszyscy przy śniadaniu. Patrick czytał gazetę, a Jack zachowywał się dziwnie spokojnie. Normalnie przy śniadaniu cały czas podskakiwał, jakby w nocy w głowie gromadziło mu się zbyt wiele myśli, które potem wytrząsał z siebie, jedząc płatki. Dziś jednak głucho walił łyżką o miskę, a pod jego oczami Ellen zauważyła ciemne kręgi. Nie pasowały do jego gładkiej, dziecinnej buzi.

– Miałem naprawdę długi, długi sen – powiedział Jack. – Ciągnął się i ciągnął przez całą noc, jak film, który się nigdy nie kończy.

– Hm – mruknął Patrick, nie odrywając wzroku od gazety. – Zajadaj śniadanie.

– O czym był ten film, co ci się przyśnił? – zapytała Ellen.

– O armagedonie – wyjaśnił Jack.

Patrick odłożył gazetę i pytająco spojrzął na Ellen.

– Wiesz chociaż, co to znaczy? – zapytał syna.

– Jasne, że wiem – odparł chłopiec.

Blado wygląda, pomyślała Ellen.

– To znaczy koniec świata. Sprawdziłem w internecie.

– Mam nadzieję, że dowiedziałeś się wielu mądrych rzeczy – westchnął Patrick.

– Tak – odparł Jack nieuważnie. – Koniec świata nadciąga, wiecie, armagedon.

– Nie, nie nadciąga – sprzeciwił się Patrick.

– Skąd wiesz, tato? – chciał wiedzieć Jack. – Przecież niedawno mówiłeś, że nie wiesz wszystkiego.

Patrick szybkim ruchem złożył gazetę.

– To akurat wiem.

– W moim śnie wszyscy, których znam, umarli – wyznał Jack. – To było trochę straszne. – Wstał i odniósł na wpół zjedzoną miskę płatków do zlewu. – Będę musiał opowiedzieć ten sen Ethanowi. Założyliśmy Klub Armagedonu.

Patrick potrząsnął głową.

– Jak ja chodziłem do szkoły, założyliśmy klub detektywistyczny. Nie moglibyście też takiego założyć?

Jack rzucił ojcu takie spojrzenie, jakby posądzał go o szaleństwo.

– Nie, tato, nie moglibyśmy. – Brzmiał, jakby miał co najmniej trzydzieści lat i był zestresowanym biznesmenem, który odmawia wzięcia na siebie kolejnego projektu, mimo że szczerze chciałby pomóc.

Wyszedł z kuchni, niosąc na swych wątłych ramionach ciężar całego świata.

– A więc armagedon? Wesoły temat do rozmowy przy śniadaniu, nieprawdaż? – rzucił Patrick.

W tle rozlegało się człapanie Jacka po schodach na górę. Patrick odniósł do zlewu swój talerz i zapytał z uśmiechem:

– Cieszysz się?

Wybierali się na pierwsze ciążowe USG.

– Tak – odparła Ellen. – Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć, bo na razie kojarzy mi się tylko z jakimś straszliwym robalem w brzuchu. Potrzebuję dowodu, że siedzi tam prawdziwe dziecko i że to przez nie tak okropnie się czuję.

A prócz tego pomyślała: proszę, nie wspominaj o tym, że Colleen nie miała mdłości, albo o pierwszym USG Colleen.

Patrick otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a Ellen nie dopuściła go do głosu w obawie przed tym, że usłyszy jednak imię „Colleen”.

– Więc pamiętasz, o jedenastej? Spotkamy się na miejscu? W przychodni?

– Właśnie chciałem to powiedzieć – rzekł Patrick. – Możemy iść razem. Jak odwiozę Jacka do szkoły, wrócę tu i posprzątam wreszcie te pudła. Dziś rano, jak tylko otworzyłem oczy, pomyślałem sobie, że w końcu nie po to pracuję na własny rachunek, żeby nie móc sobie wziąć paru godzin wolnego. A te pudła już za długo czekają.

Zanim Ellen miała szansę odpowiedzieć, usłyszeli z góry głos Jacka:

– Taaa-too!

– Pójdę sprawdzić, czego chce pan Armagedon – oznajmił Patrick, po czym przez chwilę milczał ze zmarszczonym czołem. – Ciekaw jestem, czy ten klub to jego pomysł. Po co dzieciak miałby się interesować armagedonem? Co o tym sądzisz? Nie jest to przypadkiem trochę...

– Taaa-tooooo! – rozległo się znowu, tym razem głośniej.

Za pierwszym razem, kiedy Jack w ten sposób wrzasnął, serce Ellen zaczęło walić jak oszalałe. Z miejsca wyobraziła go sobie w kałuży krwi.

Teraz nie była już taka głupia. Pewnie tylko zgubił skarpetkę.

– Idę! – krzyknął Patrick i ruszył w górę po schodach, tupiąc dokładnie tak samo jak syn, tylko trochę głośniej.

Ellen odłożyła łyżkę. Zapatrzyła się w owsiankę i we własne sumienie.

Robi sobie wolny ranek, żeby zająć się pudłami.

Poczuła, że się uśmiecha – z zadowolenia, z nasycenia, po kociemu. O, jak dobrze. Było jej bardzo, bardzo dobrze. Codziennie i pod każdym względem zmieniała Patricka na lepsze.

Uśmiech natychmiast zniknął jej z twarzy. O mój Boże, całe szczęście, że nie przebiera jeszcze palcami, nie odrzuca głowy do tyłu i diabelsko się nie śmieje! Była przecież wiedźmą! Manipulującą, nieetyczną...

Ej, czy to czasem nie przesada? Szczerze mówiąc, nie uważała się za wiedźmę. W głębi duszy nie czuła nic prócz chłodnej, rzeczowej satysfakcji z dobrze wykonanej pracy.

I winę za brak poczucia winy.

Niczego nie planowała – przynajmniej świadomie. Nie kierowała się konkretną intencją, by za pomocą hipnozy nakłonić Patricka do wyniesienia pudeł. Denerwował się klientem, który nie płacił. „Nie odbiera telefonu, nie odpisuje na mejle” – skarżył się jej narzeczony, kiedy poprzedniego wieczoru leżeli już w łóżku. „Ignoruje mnie. Zupełnie jakbym to ja się mylił. Traktuje mnie jak nagabywacza. Jak ja Saskię”.

„Masz ochotę się zrelaksować?” – zapytała Ellen. Od tamtej nocy przed oświadczynami ani razu nie zaproponowała mu ćwiczeń odprężających. Zajmowało ją tyle spraw: ciąża, przeprowadzka Patricka i Jacka, spotkanie z ojcem.

Patrick był wdzięczny. Sęk w tym, że idealnie poddawał się hipnozie. Jak Julia. Miał zdolność koncentracji i wizualizacji. I znacznie bogatszą wyobraźnię niż mu się wydawało.

Poprosiła, by sobie wyobraził, jak zdobywa górski szczyt. Niósł plecak wypakowany wściekłością, zmartwieniami i nerwami, jakich przysparzał mu ten okropny klient. Wspinając się, po kolei wyrzucał z plecaka negatywne emocje, aż w końcu zdjął plecak i wszedł na szczyt. Tam głęboko oddychał czystym, świeżym górskim powietrzem. Z każdym oddechem coraz głębiej i głębiej zapadał się w siebie.

Patrzyła, jak jego czoło stawało się gładziej, a pierś wznosiła się i opadała w rytm głębokich oddechów. Miała wrażenie, że stoją na tym górskim szczycie razem, oddychają tym samym, krystalicznie czystym powietrzem. Mówiła o tym, że to świeże i czyste górskie powietrze pomoże mu podjąć świeże i czyste, zdecydowane działanie. „Zrobisz dokładnie to, co trzeba, aby przejąć kontrolę nad swoim życiem” – powiedziała. „Może zadzwonisz do prawnika, może załatwisz to na piśmie, a może poprzenosisz te pudła, które chciałeś przenieść. Będziesz systematycznie porządkował swoje życie, a pod koniec tygodnia poczujesz, że odzyskałeś nad nim władzę, że oddychasz, że jesteś pełen energii i zapału do działania, jakbyś stał na szczycie z szeroko rozpostartymi ramionami!”

Za pomocą hipnozy nie da się nikogo nakłonić do czynów wbrew sobie, wbrew własnym wartościom, lub do czegoś, czego człowiek nie chce zrobić.

Wielokrotnie wyjaśniała to pacjentom.

Patrick chciał przesunąć te pudła. Chciał się uporać z papierkową robotą w firmie, chciał się skontaktować z prawnikiem. Z własnej i nieprzymuszonej woli przyznał, że ma skłonność do odwlekania stojących przed nim nieprzyjemnych zadań. To, że Ellen miała w usunięciu pudeł z korytarza własny interes, nie zmieniało faktu, że Patrick poczuje się rewelacyjnie, kiedy to zrobi.

„Spróbuj szantażu seksem” – zaproponowała Julia podczas tamtej kolacji.

„Odmawiaj seksu, póki ich nie sprzątnie” – uściśliła Madeline.

Bezsprzecznie łagodna, nieszkodliwa sugestia podczas odprężającej sesji hipnozy była lepszym rozwiązaniem niż zrzęczenie, krzyki lub manipulacja z wykorzystaniem seksu. Te metody przypominały zacofane lata pięćdziesiąte.

Nie instruowała również jego świadomości, by zapomniała o sugestii uprzątnięcia pudeł. Powinien więc być w pełni świadomy tego, co mówiła. Zapyta go o to.

„Masz coś przeciwko temu, że w nocy wspomniałam o pudłach?” – rzuci lekko i swobodnie.

Oczywiście dopiero po tym, jak Patrick je zabierze. Nie ma potrzeby nadmieniać o tym przedwcześnie.

– Pa, Ellen! – Do kuchni wbiegł Jack z tornistrem w ręce.

– Wziąłeś drugie śniadanie? – zapytała.

Zacząła sama przygotowywać małemu śniadania, kiedy zobaczyła, co codziennie daje mu do szkoły Patrick. Dwie kromki sflaczałego białego chleba (kto w dzisiejszych czasach w ogóle jada białe pieczywo? Czy to przypadkiem nie wbrew prawu?), posmarowane pastą vegemite, do tego zielone jabłko. „W każdym posiłku powinien zjadać białko” – oświadczyła. Patrick protestował. Argumentował, że nie jest aż takim seksistą, by oczekiwać, że to ona zajmie się śniadaniem do szkoły tylko dlatego, że jest kobietą, a poza tym od lat robił mu śniadania, a Jack i tak nic innego nie zje, a w ogóle to czy vegemite nie zawiera białka? Nalegała jednak, zdumiona własną siłą przebicia. Kiedy tylko Jack zamieszkał pod jej dachem, stwierdziła, że dbanie o jego dietę należy do jej obowiązków. Za każdym razem, gdy udało jej się zmusić go do zjedzenia czegoś zdrowego,

odczuwała głęboką satysfakcję. Poruszała wargami, kiedy przeżuwał, jakby chciała mu w tym towarzyszyć, zaspokajając wrodzoną, biologiczną potrzebę matkowania. Każdego wieczoru sporządzała sobie mentalną listę rzeczy, które Jack tego dnia zjadł, jakby była zobowiązana przedstawić przełożonemu raport z przyswojonych przez niego składników odżywczych. Jego odbiorcą z całą pewnością nie był Patrick. Jeżeli już, to matka chłopca. Oto czym dziś karmiłam twego syna, Colleen. Mieszanka zdrowych węglowodanów i białek.

Dziś przygotowała mu wrap z ryżem i tuńczykiem, a do tego mały pojemnik sałatki owocowej do zmieszania z jogurtem. Jack wyjął drugie śniadanie z lodówki z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

– Możesz sobie to później połączyć jogurtem – poradziła mu.

Patrzył na nią pustym wzrokiem.

Westchnęła. Może znów się martwił armagedonem, a może biedak tęsknił za kanapkami z vegemite. Jej próby, by go zdrowo karmić, najwyraźniej nie przynosiły efektów, bo wyglądał na wycieńczonego.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Może powinieneś zostać dziś w domu?

– Neeee – odparł Jack. – Przecież po szkole mam iść do Ethana.

Ellen napotkała wzrok Patricka ponad głową Jacka. Gdyby nalegała, żeby mały został w domu, Patrick na pewno by się z nią zgodził. Popierał ją za każdym razem, gdy próbowała walczyć o autorytet, choćby bardzo nieśmiało.

– Dobrze, ale w takim razie idziesz dziś wcześniej spać.

– Zdecydowanie. – Patrick potargał włosy Jacka w ten jeden jedyny, niepowtarzalny sposób, w jaki robią to kochający tatusiowie. – I nie zaglądamy więcej do komputera bez wiedzy dorosłych. Wrócimy jeszcze do kwestii klubów detektywistycznych, dobra?

Jack przewrócił oczami.

Kiedy panowie wyszli do szkoły, Ellen zajrzała do terminarza, by sprawdzić, kto z pacjentów jest umówiony na poranną wizytę, przed wyjściem na USG.

Luisa Bell.

Uch, jakie to smutne, a zarazem niestosowne, że akurat w dniu pierwszego USG ma przyjąć kobietę, która cierpi na „niewyjaśnioną bezpłodność”.

A może potraktować to jako szczęśliwy zbieg okoliczności? Całą duszę i serce włoży w pomoc Luisie.

Ogarnęła ją silna fala mdłości i Ellen rozejrzała się za swym „kamieniem zdrowia”. Był to gładki, biały kamień o przyjemnym kształcie, który znalazła na plaży niedługo po tym, jak poznała Patricka. Postanowiła go użyć do autohipnozy, za pomocą której usiłowała opanować poranne mdłości, lub raczej mdłości trwające cały cholerny dzień. Zasada była taka, że za każdym razem, kiedy przetoczy kamień po brzuchu, podświadomość pomoże jej powstrzymać falę mdłości. Pojawił się jeden problem – nie mogła znaleźć kamienia. Ostatnim razem widziała go w ręce Patricka, który krążył po domu i kłął przez telefon, podrzucając jej kamień. Rozmowę uznała za zbyt poważną, by przerywać ją słowami: „Hej, mógłbyś mi oddać mój kamień zdrowia?”.

Westchnęła więc i zrobiła sobie kubek herbaty imbirowej. Równocześnie wyobraziła sobie matkę prychnącą z pogardą: „Kamień zdrowia, też coś. Napij się lepiej herbaty”.

Godzinę później alejką od furtki nadeszła Luisa. Omal nie zderzyła się z Patrickiem, który wytaczał się właśnie z domu objuczony ogromnym pudłem rzeczy przeznaczonych na cele dobroczynne. Ustąpił Luisie, ponuro kiwnął do niej głową i ruszył do samochodu. Z czoła lał mu się pot, a w

oczach miał szął. Odkąd wrócił ze szkoły, pracował jak wariat, jakby chciał dotrzymać niemożliwego terminu, który sam sobie narzucił.

Gdyby przypadkiem ktoś kiedyś pytał o dowody na działanie hipnozy.

– Przepraszam – rzekła Ellen – ale mój, hm, narzeczony, zabrał się do porządków.

– Och, rzeczywiście, słyszałam, że wychodzisz za mąż – odezwała się Luisa, co chwila przytykając do nosa przemoczoną chusteczkę. Przedstawiała sobą klasyczny obraz kobiety przeziębionej, zupełnie jakby miała za chwilę grać w reklamie telewizyjnej środka przeciwko objawom grypy i przeziębienia. Nos miała czerwony, a oczy przekrwione i zapuchnięte.

Ellen poczuła, jak na jej widok ze współczucia zwięzają jej się zatoki.

– Naprawdę słyszałaś, że wychodzę za mąż? – zapytała Ellen, prowadząc Luisę po schodach na górę. Nie wiedzieć czemu, pomyślała o Saskii. Czy to ona rozpuszcza wieści wśród wszystkich jej klientów?

– Tak, od Patricii Bradbury – powiedziała krótko Luisa.

No tak, matka Julii. Ellen zapomniała, że Luisa była córką jednej z jej przyjaciółek.

Jeśli Luisa wie o zaręczynach, to pewnie również o ciąży. A może ludzie mają na tyle rozsądku, żeby nie przekazywać plotek o cudzych ciążach kobiecie od lat walczącej o dziecko.

– Zrobić ci może herbaty ziołowej? – spytała Luisę, wskazując gestem fotel dla klientów. – Albo z miodem i cytryną, przeciwko przeziębieniu?

– A więc ja nie jestem w ciąży – dobitnie oznajmiła Luisa – ale ty podobno tak.

Nie, jednak nie mają na tyle rozsądku.

– Tak, rzeczywiście. To dopiero początek – wyjaśniła Ellen.

– Słyszałam, że to wpadka – stwierdziła Luisa, po czym głośno pociągnęła nosem i wyszarpała z pudełka Ellen garść chustek. Z agresją wydmuchała nos.

– To prawda, nie planowaliśmy tego – zaczęła ostrożnie Ellen. Usiadła i sięgnęła po teczkę Luisy, którą wcześniej przygotowała sobie na stoliku do kawy.

– W takim razie może zahipnotyzowałaś siebie zamiast mnie. – Luisa gorzko się zaśmiała. Śmiech natychmiast przeszedł w napad natarczywego kaszlu.

– Na pewno wydaje ci się to bardzo niesprawiedliwe – powiedziała Ellen.

– Mówiłaś, że dzięki hipnozie zajdę w ciążę – oskarżycielsko rzuciła Luisa.

– Nic podobnego! – wykrzyknęła Ellen. Nigdy w życiu nie powiedziałaaby czegoś takiego, choć prawdą jest, że z terapią Luisy wiązała wielkie nadzieje. Przez lata praktyki udało jej się pomóc wielu kobietom. Przysyłały jej później wylewne listy z podziękowaniami i zdjęcia niemowlaków. Jedna nawet dała córeczce na imię Ellen na jej cześć.

– Żądam zwrotu pieniędzy – warknęła Luisa. – Tylko po to tu dziś przyszłam. Jesteś oszustką. Wykorzystujesz ludzkie cierpienie i bezradność. Nie mogę uwierzyć, że ktoś mi cię polecił.

Ellen ogarnęła kłująca, gorąca fala podobna do nagłej reakcji alergicznej.

– Luisa – zaczęła – bardzo mi przykro...

– Oddaj mi moje pieniądze.

Nigdy, przenigdy nie zwracaj klientom pieniędzy. Flynn wbił jej to do głowy. Oferujesz profesjonalne usługi. Profesjonaliści nie uznają bezpodstawnych reklamacji. Szanuj się. Szanuj to, co robisz.

– Jesteś szarlatanką. – Głos Luisy drżał, kobieta była na krawędzi łez. – Niby dlaczego mam fundować twojemu dziecku ubranka i pieluszki? Uważasz, że przy gigantycznych wydatkach na in vitro potrzebne nam jeszcze dodatkowe koszty? Mąż mi to powiedział. Powiedział, że metody alternatywne to wszystko bujda, i miał rację.

Teraz płakała, kiwała się do przodu i do tyłu jak osoba złamana bólem. Oczy Ellen wypełniły się łzami współczucia. Co powiedzieć, co powiedzieć?

– Luisa, szczerze uważam, że nadal możemy...

– Zwróć mi tylko pieniądze.

– W porządku – odparła Ellen. – Zwrócę ci. Poczekaj chwilę, wypiszę ci czek.

Wyjęła z szuflady biurka książeczkę czekową i drżącą ręką wystawiła czek na nazwisko Luisy. Nagle nasiliły się u niej wszystkie objawy ciąży – piersi nabrzmiały i stały się gorące, w ustach pojawił się metaliczny posmak, jakby jej ciało starało się jeszcze bardziej jej pokazać, że jest w ciąży, a Lusie nie, i wymusić na niej poczucie winy.

– Mam nadzieję, że nie wróci – burknęła Luisa i wepchnęła czek do torby.

– Nie wróci – zapewniła ją Ellen, która z jednej strony miała ochotę wymierzyć klientce policzek, a z drugiej ją przytulić.

– Dobrze, w takim razie – zaczęła Luisa, ale przerwały jej trzy kichnięcia z rzędu. Przycisnęła zwiniętą w mokrą kulkę chusteczkę do nosa i zapłakаныmi oczami spojrzała na Ellen.

– Wszystkiego dobrego – rzekła Ellen i w bezwiednym geście współczucia dotknęła ramienia Luisy. Biedna kobieta wyglądała tak żałośnie.

– Nie dotykaj mnie! – zażądała Luisa, po czym odwróciła się i zeszła po schodach, przez całą drogę wycierając nos.

Patrick podniósł na nią wzrok z korytarza, gdzie właśnie zarzucał sobie na ramiona dwa ogromne wory na śmieci. Uśmiechnął się uprzejmie, lecz na widok jej nieszczęśliwej miny twarz mu spoważniała. Przeniósł pytające spojrzenie na Ellen, lecz ta tylko wzruszyła ramionami.

Ellen otworzyła drzwi, a Lusia wyszła bez słowa i dziarskim krokiem, wymachując rękami, z wysuniętą do przodu szczęką, jakby chciała położyć czemuś kres, skierowała się do samochodu.

– Coś się stało? – zapytał Patrick, który podszedł i stanął obok Ellen przy drzwiach.

– Wściekła się, że ja jestem w ciąży, a ona nie – odpowiedziała. – Ona... a to kto?

Luisa zatrzymała się przy furtce i wdała w rozmowę z wysokim mężczyzną w ciemnych okularach i stylowym garniturze.

– Znasz go? – spytał Patrick.

– Nie, chyba nie.

Ellen miała złe przeczucia. Obserwowała Luisę pełnym złości gestem wskazującą w stronę domu i pochylonego ku niej mężczyznę całym ciałem chłonącego jej słowa. Był zdecydowanie zanadto zainteresowany tym, co Luisa miała mu do powiedzenia. Kimkolwiek był, Ellen wolała, aby Luisa teraz z nim nie rozmawiała.

– To chyba nie nowy klient, co? – zapytał Patrick. – Bo wygląda na to, że się od niej nieźle nasłucha.

– Nikogo się nie spodziewałam – odparła Ellen. Zmrużyła oczy.

Mężczyzna odwrócił się bokiem, odsłaniając profil. Miał duży, zakrzywiony nos. Było w nim coś znajomego.

– Jakbym go skądś znał – rzucił Patrick i poprawił sobie worki ze śmieciami na ramionach.

– Ja też – dodała Ellen. – Może jest spikerem w telewizji? Aktorem?

Patrzyli, jak Luisa grzebie w torbie, po czym pokazuje coś nieznanemu.

– Chyba pokazuje mu mój czek – domyśliła się Ellen.

– Jaki czek?

– Na zwrot kosztów.

– Zwrot kosztów? Zwracasz jej koszty, bo jesteś w ciąży?

– Później ci wytłumaczę. Co on robi?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął coś, co mogło być wizytówką. Luisa spojrzała na to i uśmiechnęła się.

– O Boże – jęknęła Ellen. – Kto to jest?

– Pójdę tam – stwierdził Patrick. – Nie mogą sobie gawędzić gdzie indziej, tylko na twojej posesji?

– Nie, czekaj – zatrzymała go Ellen. Gryząc paznokcie, patrzyła, jak Luisa pieczołowicie chowa wizytówkę do torby, jakby był to nie wiadomo jak ważny dokument, po czym odchodzi.

Mężczyzna podniósł rękę w geście pożegnania, po czym ruszył przed siebie ścieżką. Po drodze płynnym ruchem zdjął okulary. Wyglądał na rozeźlonego i zdecydowanego – jak pasażer, który idzie zgłosić zgubiony bagaż na lotnisku.

– No dobra – rzucił Patrick, po czym zdjął z ramion worki ze śmieciami i otworzył drzwi z siatki. – W czym mogę panu pomóc?

W jego głosie brzmiała agresja. Ellen pociągnęła go za tył koszulki.

– Patrick, nie... – zaczęła.

– Chciałbym się widzieć z Ellen O’Farrell – rzekł nieznajomy bez uśmiechu.

Większość ludzi, stojąc przed drzwiami obcego domu, choćby pobieżnie by się uśmiechnęła.

– Jest pan umówiony? – zapytał Patrick i wyprostował się.

– Nie – odparł mężczyzna i uniósł brodę, jakby chciał powiedzieć: „I co z tego?”.

Patrick wypiął pierś, a Ellen pomyślała: Patrz, jaki jest rycerski. Patrick odezwał się:

– W takim razie zapraszam po wcześniejszym umówieniu się.

Sprawa zaczynała wyglądać mało przyjemnie. Ellen wysunęła się naprzód.

– Jestem Ellen. W czym... – zaczęła, ale mężczyzna odwrócił się do niej z taką nienawiścią w oczach, że aż się zająknęła. – W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Ian Roman. Moja żona jest pani „klientką”. Rosie. Pamięta ją pani? Miała jej pani pomóc rzucić palenie, ale tak się śmiesznie składa, że dalej pali paczkę dziennie.

To dlatego go rozpoznała. Bogaty mąż Rosie. „Gruba ryba”. Tak go Rosie opisywała. Miał coś wspólnego z rynkiem nieruchomości? Czy był magnatem prasowym? Ellen nie mogła sobie przypomnieć. Wiedziała tylko, że zna jego twarz z gazet.

– Pańskie nazwisko nie ma znaczenia – odezwał się Patrick, choć z subtelnej zmiany tonu jego głosu Ellen domyśliła się, że dokładnie wiedział, kim jest Ian Roman i gdzie na drabinie społecznej należy go szukać – skoro przychodzi pan nieumówiony.

– Chwileczkę – wtrąciła się Ellen. – Mam parę minut. – Wsunęła się między obu mężczyzn i rzuciła Patrickowi spojrzenie, które mówiło:

„Dziękuję, kochanie, już możesz się wycofać”. – Zapraszam do mojego biura, Ian. Tędy. – Specjalnie podkreśliła jego imię. – Mam dziesięć minut, proszę bardzo.

– A więc tutaj rzekomo hipnotyzuje pani ludzi – rzekł Ian Roman, rozglądając się po przyjemnym wnętrzu. Nozdrza rozszerzały mu się przy oddechu, jakby dostrzegał w pokoju coś niesmacznego czy niehigienicznego.

– Proszę usiąść – Ellen wskazała na zielony fotel i nie wiedzieć czemu, może ze strachu, dodała nonszalancko: – i poczęstować się czekoladką.

Ian usiadł, a nawet zechciał rzucić okiem na czekoladki. Podciągnął lekko nogawki spodni. Ellen usiadła naprzeciwko niego. Odgrywała sobie w pamięci ostatnią sesję z Rosie.

Ian nagle się pochylił.

– A więc Rosie zaprosiła ostatnio swoją siostrę. Wróciłem wcześniej i zatrzymałem się na chwilę w holu, by przejrzeć listy. Docierały do mnie strzępy ich rozmowy. Nie podsłuchiwałem, ale nagle mimo woli zacząłem rejestrować, co mówią. Wie pani, co usłyszałem? – Nie czekał na jej odpowiedź. – Usłyszałem słowa żony, że będąc pod hipnozą, odkryła, iż tak naprawdę mnie nie kocha. Świetnie! Ale wie pani co? Okazuje się, że to nie problem, bo teraz będzie poddawała się hipnozie, żeby mnie pokochać. Za sto pięćdziesiąt dolarów za sesję! Zapomnijmy o walce z paleniem. Teraz pomogę ci pokochać męża. Tego, za którego wyszłaś pięć minut temu!

Ellen głęboko zaczerpnęła powietrza. Czuła, że cała drży. Co dziś wisiało w powietrzu? Próbowwała przywołać obojętny i profesjonalny, a jednocześnie empatyczny i troskliwy ton głosu.

– Nie ukrywam, że rozmowa z panem na temat terapii pańskiej żony byłaby z mojej strony nieetyczna, jakkolwiek rozumiem, że...

– Och, rzeczywiście, zachowuje się pani niezwykle etycznie.

Z dołu dobiegł głośny hałas, jakby Patrick upuścił któreś z pudeł. Ellen czuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

Nie jestem szarlatanem. Nie mam powodu czuć się winna.

Tylko że może go miała.

– Rozmawiał pan o tym z Rosie? – zapytała.

– Nie mam jej nic do powiedzenia – odparł Ian. – Nasze małżeństwo, jak wszystko na to wskazuje, jest skończone. Nie potrzebuję kobiety, którą trzeba hipnotyzować, aby nauczyła się mnie kochać. Na litość boską. To musi być jakaś pomyłka. Żałosna pomyłka.

Maska kontrolowanej wściekłości na ułamek sekundy zsunęła się z jego twarzy i tylko tyle było trzeba, by Ellen wszystko zrozumiała. Kochał Rosie i był dogłębnie zraniony, lecz nade wszystko doskwierała mu brutalnie strzaskana duma. To ona nim kierowała. Jego ego doznało prawdziwego wstrząsu i zamierzał walczyć do chwili, gdy rana przestanie boleć.

„Nigdy nie łam męskiej dumy” – mówiła do Ellen babcia. „Mężczyzna, którego duma została złamana, jest podobny do rannego niedźwiedzia, który sieje postrach w lesie”.

Ellen pomasaowała się po brzuchu. Przed spotkaniem z Luisą wypila dwie szklanki wody, aby przygotować się do USG. Rozpaczliwie potrzebowała skorzystać z toalety.

– Miałem przyjemność spotkać po drodze jedną z pani zadowolonych klientek – oznajmił Ian. – Prowadzi tu pani fantastyczną działalność. Często zwraca pani koszty? Ciekaw jestem.

– Naprawdę powinien pan o tym porozmawiać z żoną – powtórzyła Ellen. Zaczynała się plątać. Wiedziała, że jej tożsamość zawodowa słabnie, robi się niepewna i nieprzekonująca. Przed oczami stanęła jej nagle twarz

matki sprzed paru lat: „Ellen, nie mów, że zamierzasz się tym zająć na poważnie”.

Przypomniały jej się wszystkie żarty, prychnięcia i krytyczne uwagi, jakie przychodziło jej znosić. Nagle poczuła się jak prawdziwa szarlatanka.

– Nie jest tak, jak się panu wydaje – powiedziała.

– Założę się, że ma pani coś wspólnego z tymi kretyńskimi imprezami z hipnozą, co? – pastwił się Ian. – Na pewno łatwiej zdzierać z ludzi kasę zbiorowo.

O Boże, jeśli odkryje jej powiązania z Dannym... Jak on sobie poradzi z takim atakiem? A Flynn? Na pewno obaj zniosą to lepiej niż ona.

– Raka też pani leczy? – zapytał. – Ludzie, zapomnijcie o chemii. Wszystko da się załatwić potęgą umysłu.

– Nigdy w życiu nie twierdziłam niczego, co nie jest oparte na faktach – broniła się Ellen. – Na miłość boską, nie jestem znachorką. Jestem w pełni wykwalifikowanym hipnoterapeutą klinicznym. Hipnoterapia jest dziedziną uznawaną przez Australijskie Towarzystwo Medyczne. Lekarze przysyłają do mnie swoich pacjentów.

(Z wyjątkiem mojej własnej matki).

– Pewnie stosownie im się pani za to odwdzięcza.

– Prawdę mówiąc, wcale. (Choć rok temu wysłała doktor Lenie Peterson czekoladki na święta. To coś złego?)

Ian wstał i podszedł do okna. Zastukał zgiętym palcem w szybę, jakby chciał sprawdzić jej wytrzymałość.

– Widok na ocean. Mieszka pani w pięknym domu. Biznes na pewno dobrze się kręci.

– Ten dom należał do mojej babci – zaczęła Ellen. W uszach miała słowa Flynn: „Nie musisz się tłumaczyć ze swojej sytuacji finansowej”.

Ian odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Mówił łagodnym, niemal uprzejmym głosem, jakby prawił jej komplementy.

– Wykończę panią.

– Słucham? – Omal się nie zaśmiała, tak dramatycznie to zabrzmiało.

O czym on mówi?

Uśmiechnął się uroczo.

– Doprowadzę pani firmę do ruiny.

ROZDZIAŁ 20

Jesteśmy niczym więcej jak następstwem tego, co myślimy. Gdy człowiek mówi i czyni według złych myśli, idzie za nim ból. Gdy natomiast człowiek mówi i czyni zgodnie z czystymi myślami, postępuje za nim szczęście – jak cień, który go nigdy nie opuszcza.

Cytat buddyjski, przypięty na drzwiach
lodówki Ellen O’Farrell

Wracałam ze spotkania na budowie do biura i dotarło do mnie, że jestem tylko o parę minut drogi od domu hipnotyzerki.

Nie rób tego, pomyślałam. Później jesteś umówiona ze Steve’em. Musisz odpisać na milion mejli. Jesteś w dobrym nastroju. Czemu zawsze to robisz, kiedy jesteś w dobrym nastroju?

Ale już skręcałam w lewo zamiast w prawo, jakbym nie miała w tej kwestii absolutnie nic do powiedzenia, jakby jej dom promieniował nieprzezwyciężoną siłą przyciągania magnetycznego.

Czułam się nieswojo z tym, co robiłam w sobotę. Wciąż o tym myślałam i nie mogłam się sobie nadziwić. Żebyś śmiała wejść do cudzego domu i piec w nim ciastka? Wyobrażam sobie, jak zareagowałby na to ktoś obcy. Na przykład ci ludzie z budowy, gdzie przed chwilą byłam. Jedna z kobiet mówiła, że w ostatni weekend była w Mudgee. Pomyślałam: Gdybyś tylko wiedziała, co ja robiłam w ostatni weekend. Od razu

zmieniłaby ci się mina, od razu ostrożnie byś się cofnęła, od razu zamiast koleżanki po fachu zobaczyłabyś we mnie dziwną wariatkę.

Nigdy nie czułam, że wkraczając do domu Patricka, postępuję źle, bo nigdy nie przestałam uważać go za własny. Spędziłam w nim najszcześniejsze lata życia. W każdą sobotę rano szorowałam łazienkę. Sama pomalowałam pokój Jacka. Wybrałam dywan do jadalni. Odwiedzanie tych kątów nie było więc ani nielegalne, ani niewłaściwie. Czułam, że miałam do tego prawo, nawet jeśli nikt inny nie wyraziłby zgody.

Ale jeśli chodzi o wtargnięcie do domu Ellen i upieczenie w nim ciastek, no a przede wszystkim otworzenie drzwi wrogo nastawionemu gościowi, czułam, że chyba jednak przekroczyłam granicę.

W poniedziałek obudziłam się o trzeciej nad ranem z bardzo jasną myślą. Muszę zwrócić się o pomoc. Iść na terapię. Prawdziwą terapię. Muszę przestać. Przejrzałam nawet internet pod tym kątem, zapisałam nazwiska i numery paru specjalistów. Wydawało się to odpowiedzialne.

A potem, parę godzin później obudziłam się znowu i wstałam do pracy. W świetle dziennym wszystko wydało się takie zwyczajne, że stwierdziłam: Ej tam, nie potrzebuję żadnej terapii. Mam pracę. Nie mam myśli samobójczych, nie jestem bulimiczką i nie słyszę głosów. Po prostu przestanę i już. Ciastka będą moim ostatnim popisem. Moim prezentem pożegnalnym.

Trwałam w tym postanowieniu do wczoraj. Wieczorem czułam się świetnie. Poszłam nawet do sąsiadów przypomnieć rodzinie labradorów o wywozie śmieci. Była to miła sąsiadka przysługa, której nie wyświadczyłby ktoś, kto potrzebuje terapii. Sąsiedzi skakali koło mnie i merdali ogonami, cali szczęśliwi, bo zapomnieli wystawić kontener, a po przeprowadzce mieli tyle śmieci, że strach, a przy okazji, jak tam niedzielna

impreza?, pytali. Na ułamek sekundy kompletnie zapomniałam o mitycznym przyjęciu z okazji czterdziestych urodzin przyjaciółki, ale potem zupełnie wiarygodnie sobie o nim przypomniałam. Powiedziałam, że impreza była wyśmienita, i zapytałam, czy oni też odnoszą wrażenie, że weekend był tak dawno temu, mimo że jest dopiero poniedziałek. To właśnie praca robi z człowieka, i och, ha, ha, ha, i tra la la, i tak dalej, i czy życie nie jest warte funta kłaków?

Dziś poszłam do pracy, nie myśląc nawet przez chwilę ani o Patricku, ani o Jacku, ani o Ellen, ani o dziecku. Podobało mi się na spotkaniu. Dotyczyło nowego centrum handlowego położonego w świetnym punkcie, z widokiem na ocean. Przyszło mi do głowy biuro Ellen z tymi ogromnymi oknami, przez które widać, jak słońce odbija się od wody. Powiedziałam więc inwestorom, że potrzebujemy czegoś w rodzaju skweru stanowiącego centrum miasteczka, gdzie można siedzieć, pić kawę, patrzeć w niebo i pozwolić kilkuletniemu brzdącowi latać w kółko i udawać, że jest samolotem. Czegoś takiego potrzebowałam, kiedy Jack był mały i jeździłam z nim po zakupy. To dziwne, że czuję, że jestem matką kilkulatka, mimo że on już chodzi do szkoły, a w dodatku już do mnie nie należy. Jakbym zastygła zamrożona w czasie. Inwestorzy stwierdzili: Ha, ha, ha, dobrze, nazwiemy to Odludnym Zakątkiem Saskii, i było w tym tylko troszkę ironii, a więcej flirtu w stylu: „Oczywiście, już się robi” – jakbym była panią, która chciałaby mieć większą kuchnię. Zamierzam jednak walczyć i dopilnować, aby właśnie takie miejsce powstało. Zrobię to dla matek.

Byłam więc pełna animuszu i satysfakcji, doskonale wiedziałam, czemu kocham urbanistykę, a kiedy wsiadłam do samochodu, zadzwonił telefon. To była Tammy.

Moja stara znajoma Tammy Cook. Ta sama, która przygarnęła mnie do siebie, gdy Patrick powiedział „to koniec”.

Wtedy okazała się dobrą przyjaciółką. Dbała o mnie jak o chorą. Robiła mi rosół, herbatę i trzymała za rękę, kiedy leżałam w łóżku, gapiałam się w sufit i próbowałam oddychać, choć czułam się tak, jakby ciężarówka zaparkowała mi na piersi. Pamiętam, że pytałam, kiedy życie stanie się z powrotem takie, jak było, a ona powiedziała: „Stanie się, stanie, zobaczysz, kochana”.

Myliła się, co nie zmienia faktu, że i tak była miłą osobą, taką, co to zwraca się do ciebie „kochana”, mówi, że cię kocha i tak dalej. Sama nie wierzę, że kiedyś miałam taką znajomą. To tak, jakbym sobie przypomniała, że przecież znałam francuski, a teraz nie rozumiem ani słowa.

Kiedy wyprowadziłam się od niej do mojego bliźniaka, wciąż próbowała być blisko. Zapraszała mnie do barów i klubów potańczyć i się napić. Chciała, żebym się wyrwała z tego marazmu, żebym się wzięła w garść, żebym pokazała Patrickowi.

Pamiętam, że myślałam, że to nie fair. Gdyby Patrick zginął w wypadku, mogłabym go opłakiwać latami. Ludzie przysyłałoby mi kwiaty i kartki z wyrazami współczucia, podrzucaliby mi domowe obiady. Wolno by mi było trzymać jego zdjęcia, rozmawiać o nim, wspominać dobre czasy. Ponieważ jednak mnie rzucił i ponieważ żył, mój smutek uznawano za żaloszny i niehonorowy. Kiedy mówiłam, jak bardzo go kocham, nie zachowywałam się jak feministka. On przestał mnie kochać, więc i ja powinnam przestać go kochać. Natychmiast. Ciach, ciach. Wyłączyć te głupie uczucia. Miłość nie jest już wzajemna, więc jest głupia.

I on, i Jack zniknęli z mojego życia dokładnie tak samo, jakby umarli, ale nie można tego było nazwać tragedią. Przecież zerwania zdarzają się

wszystkim i wszędzie. Tak samo było ze śmiercią mamy. Starzy ludzie umierają, taka jest kolej rzeczy. A ona w dodatku chorowała! Więc szczerze mówiąc, było to błogosławieństwo. Co z tego, że już nigdy nie usłyszę jej głosu? Co z tego, że nie przeczytam już Jackowi książki na dobranoc? Co z tego, że nie będę się kochać z Patrickiem?

Daj sobie z tym spokój, dziewczyno, odpuść sobie wreszcie. Wszyscy chcieli, żebym w trybie przyspieszonym jakoś się uszczęśliwiła – obcięła włosy, zapisała się na studia czy kursy wieczorowe, i bardzo ich irytowało, że tego nie robiłam, nie mogłam robić. Nic dziwnego, że Tammy wyślizgnęła się z mojego życia.

I oto pojawiła się z powrotem, po tylu latach. Jej głos w słuchawce brzmiał zupełnie tak samo – zawsze jakby trochę zasapany, jakby właśnie biegła, by złapać autobus.

– Saskia, kochana, wróciłam do Sydney! – oznajmiła.

Nawet nie wiedziałam, że stąd wyjechałaś.

– Nie ma cię na Facebooku! – dodała. – Jak sądzisz, jak mają cię znaleźć znajomi, skoro cię nie ma na Facebooku, ty filistynko?

Zachowywała się tak, jakbyśmy straciły kontakt dokładnie tak samo, jak zwyczajni ludzie. Słowem nie wspomniała o Patricku. Spytała tylko, czy w środę wieczorem mam czas się spotkać na drinka. Ja na to, że pewnie, jasne. Siedziałam w samochodzie, słońce świeciło mi w twarz i myślałam sobie, że nie, to niemożliwe, żebym potrzebowała terapii. Jutro wieczorem spotykam się na drinka ze starą znajomą! Jestem jak najbardziej normalna.

A pięć minut później jechałam już do domu hipnotyzerki.

Tylko przejadę obok, powiedziałam sobie. Nie zatrzymam się. Jack jest w szkole, Patrick w pracy, a Ellen siedzi w swoim fotelu w pasy, w swoim przytulnym, oszklonym, małym gniazdku, częstuje czekoladkami, a jej

płynny, potoczysty głos wznosi się i opada, podczas gdy po ścianach tańczy słońce.

Po drodze myślałam sobie, że szkoda, że nie jestem już Deborah i nie jadę na spotkanie w sprawie bólu nogi. To dziwne, ale bardzo lubiłam te sesje. Ból ostatnio bardzo się nasilił. Nie zwracałam sobie głowy żadną z technik Ellen. Teraz zresztą, kiedy przestałam być Deborah, nie czułam się w obowiązku je stosować.

Ale Patrick był w domu.

Kiedy skręciłam w ich ulicę, ujrzałam, że razem wychodzą. Spieszyli się, jakby byli spóźnieni. Patrick był w dżinsach. Czyli zrobił sobie wolne, ciekawe czemu. Nigdy nie brał wolnych dni w ciągu tygodnia. Ellen również miała na sobie dżinsy i prześliczny, długi, szary, dopasowany płaszcz z uroczymi pomponikami dyndającymi na sznureczkach. Taki strój może nosić tylko ktoś niezwykły, kto ma o sobie wysokie mniemanie. Nie było jeszcze widać ciąży.

Wyglądali jak para. Patrząc na nich, nikt by się nie domyślił, że do siebie nie należą. I proszę, pojawiło się to dziwne uczucie przejmującego, świdrującego bólu – jakby ktoś powoli wbijał we mnie długą, cienką, ostrą, lśniącą igłę.

Dokąd oni mogą iść? Nawet nie próbowałam z tym walczyć. Musiałam wiedzieć. Gdybym chociaż wiedziała, ból by przycichł. Zawsze tak uważałam, choć jednocześnie miałam świadomość, że wiedza boli bardziej.

Ruszyłam więc za nimi. Jechałam służbowym samochodem, bo mój znowu płatał figle, więc Patrick mnie nie rozpoznał. Dlatego nie próbował żadnej ze swoich sprytnych sztuczek, żeby mnie zgubić.

Spieszyli się do szkoły Jacka.

Może jakiś szkolny koncert? Albo mecz? Czyżbym jakiś przegapiła? Myślałam, żeby napisać esemesa i zapytać, nie żebym miała nadzieję na

odpowieź, oczywiście. Ellen jednak została w samochodzie, podczas gdy Patrick poszedł do szkoły. Prawie biegł. Czy to znaczy, że coś się stało?

Jednak parę minut później pojawił się znowu. Szedł pospiesznie z tornistrem Jacka w ręce, a Jack biegł, by za nim nadążyć. Szybko wsiedli do auta i ruszyli.

Nie miałam pojęcia, dokąd mogą jechać tym razem, lecz żądza wiedzy paliła mnie niczym nieugaszone pragnienie. Pochylona, kurczowo ścisnęłam kierownicę i nie odrywałam wzroku od tablicy rejestracyjnej samochodu Patricka.

Ta tablica mi się śni.

Zadzwoił Toby z pracy. Nie odebrałam, włączyła się poczta głosowa. Liczyło się tylko to, żeby za nimi jechać. Zgubiłam ich na światłach na Military Road, kiedy jakaś baba wdepnęła hamulec na żółtym świetle, jakby jej celem życiowym było popsuć mi szyki. Wrzasnęłam ze złości i walnęłam rękami o kierownicę tak mocno, że na pewno będę miała siniaki. To, że ich odnalazłam, zakrawa na cud. Kiedy dojechałam do końca Falcon Street, skręciłam w lewo, w Pacific Highway – w zasadzie bez konkretnego powodu, tylko dlatego, że akurat byłam na lewym pasie. I zobaczyłam ich, jak szli chodnikiem. Ellen wskazała ręką na budynek i zniknęli w środku.

Znalazłam miejsce do parkowania. Nie fatygowałam się do parkomatu. Od razu weszłam do budynku. Coraz bardziej skręcałam się z bólu.

Wkroczyłam do pustego lobby. Zatrzymałam się przy tablicy informacyjnej pełnej nazwisk i tytułów służbowych. Chirurgia szczękowa. Biegli księgowi. Agencja imigracyjna. To mogło być w zasadzie wszystko.

Aż nagle zobaczyłam: Ultrasonografia Sydney.

To tu się wybierali. Zobaczyć dziecko.

Dziecko.

Poczułam się tak, jakby wymierzono mi policzek. Jakby wszyscy troje robili to specjalnie, żeby mnie zranić. Jakby ten budynek został zbudowany w jednym celu – żeby mnie skrzywdzić.

Patrick będzie ją trzymał za rękę, wysłuchają rytmu serca dziecka i wymienią łzawe, ale promienne uśmiechy. Widziałam na filmach, jak to wygląda. Jack pierwszy raz zobaczy braciszka lub siostrzyczkę.

Będiesz najlepszym starszym bratem na świecie, mówiłam mu, kiedy z Patrickiem staraliśmy się o dziecko. Jack twierdził, że wolałby siostrzyczkę. W przedszkolu najbardziej lubił się bawić z dziewczynkami. „Chciałbym mieć siostrzyczkę Jemimę” – oznajmił. „Z czarnymi włosami”. Po czym dodał: „Proszę”. Uczyłam go wtedy dobrych manier. Powiedziałam, że okej. Nawet podobało mi się to imię.

Pomyślałam: Dzięki Bogu, że za nimi pojechałam. W przeciwnym razie nie wiedziałabym nawet, że byli na USG i kiedy. Obudziłabym się o trzeciej nad ranem z gorączkową myślą, że przecież powinni byli już zrobić USG. Leżałabym bezsennie i obsesyjnie rozmyślała nad szczegółami – kiedy byli na badaniu, gdzie, czego się dowiedzieli i w co byli ubrani. A tak miałam przynajmniej pewną kontrolę. Byłam zaangażowana. Istniałam. Oni mogą nie wiedzieć, że wiem, ale ja przynajmniej będę na bieżąco. Mogę rzucić: „O, jak miło was widzieć” – kiedy wyjdą z gabinetu, lub wieczorem wysłać esemesa z zapytaniem, jak tam USG. Mogę też niczego nie robić, a i tak będę brała w tym udział. Od samego początku, od pierwszego testu ciążowego, oczywiście.

Może poproszą mnie na matkę chrzestną?

Och, chyba naprawdę mi odwaliło.

To była duża poczekalnia, pełna nabrzmiąłych, ciężarnych brzuchów, par trzymających się za ręce i prowadzących łagodne rozmowy oraz szczupłych kobiet czytających czasopisma, podczas gdy na ich ustach

igrały tajemnicze uśmiechy. Słowem, pełna ludzi pasujących do społeczeństwa idealnie, niczym elementy układanki. Ludzi czystych i zdrowych, ludzi, którzy kochali i byli kochani.

Usiadłam na pierwszym z brzegu krześle przy drzwiach i chwyciłam jakieś pismo. Po chwili usłyszałam, jak pielęgniarka wywołuje Ellen po nazwisku. Na moment zapanowała cisza i pielęgniarka powtórzyła, głośniejszym głosem niż za pierwszym razem:

– Ellen O’Farrell.

Podniosłam wzrok i stwierdziłam, że Ellen jest w trakcie nalewania sobie dwóch kubeczków wody z dystrybutora. Teraz, zmieszana w ten swój uroczy, dziewczęcy sposób, nie wiedziała, co z nimi zrobić. Torba ześlizgnęła jej się z ramienia, kiedy zbyt raptownie się wyprostowała. Podeszli do niej Patrick z Jackiem. Jack podciągnął jej pasek od torby z powrotem na ramię – taki dorosły, wie, jak się zachować, to ja uczyłam go manier – a Patrick wyjął z jej rąk kubki. Pielęgniarka powiedziała coś, czego nie słyszałam, wszyscy się uśmiechnęli i cała trójka ruszyła korytarzem. Nawet mnie nie zauważyli.

Kobieta, która obok mnie siedziała, zapytała:

– Wszystko w porządku?

Nawet nie wiedziałam, że płaczę.

*

– Gdybyś umarła – zwrócił się Jack do Ellen – to czy dziecko też umrze?

– Jack! – skarcił go Patrick. – Co to w ogóle za pytanie?

Pojechali na wczesną kolację do pobliskiej pizzerii. W oczekiwaniu na pizzę Jack studiował wydruki USG.

– Muszę żyć, żeby dziecko mogło rosnąć – rzekła Ellen. Może powinna go zapewnić, że nie umrze jak jego matka? Czy to tylko dziecięca ciekawość? A może właśnie miał nadzieję, że ona umrze? Może miał już po dziurki w nosie jej zdrowych drugich śniadań.

– Zjadłeś dziś w szkole drugie śniadanie, Jack? – zapytała.

– Więc kiedy nastąpi armagedon i wszystkie kobiety w ciąży umrą – zaczął Jack.

– O rety! Dość już tego armagedonu – rzekł Patrick. – Przez niego masz koszmary w nocy, a potem zasypiasz na lekcji.

– Wcale nie zasnąłem – sprzeciwił się Jack. Odłożył wydruki na stół, a Ellen palcem przysunęła je do siebie. – Tylko na minutę zamknąłem oczy, żeby się lepiej skupić.

– Nie mogli cię dobudzić, kolego – powiedział Patrick.

Dosłownie na chwilę przed tym, jak Ellen i Patrick mieli wyruszyć na USG, zadzwonił telefon. Była to wychowawczyni Jacka z informacją, że Jack oparł głowę na ławce i zasnął na tyle mocno, że nie obudził się, nawet kiedy go przenoszono do gabinetu pielęgniarki. Podejrzewają, że to początek jakiejś choroby, ale w tej chwili sprawiał wrażenie najzupełniej zdrowego. Był wesoły, zadowolony, że ominęły go lekcje, a zamiast nich trafiła się wyprawa na USG.

– Pewnie do tego chrapałeś – stwierdził Patrick. – I nikt w klasie nie mógł się skupić. – Przechylił głowę i przekonująco chrapnął.

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To ty chrapiesz. Ja nie.

– Ja chrapię? Niemożliwe – odparł Patrick. – Ellen, czy ja chrapię?

– Nie – odparła Ellen.

Oczywiście chrapał. Do tego stopnia, że rozważała nawet stosowanie zatyczek do uszu. Podniosła wydruk z USG i przyglądała mu się. Moje,

pomyślała. Moje dziecko. Zerknęła ukradkiem na Patricka i poprawiła się: nasze. Zdjęcie wyglądało straszliwie, jakby uwieczniało nieznane zjawisko paranormalne.

„Wszystko wygląda dokładnie tak, jak trzeba” – stwierdziła lekarka, która przeprowadzała badanie. „Moje gratulacje”. A potem dodała: „Proszę spojrzeć, macha do państwa!” – i wskazała na małą, upiorną rączkę.

Patrick, Ellen i Jack odmachali.

– Chrapiesz, i to w dodatku jak słoń! – Jack wycelował palec wskazujący w ojca. Oparł się łokciami o stół, w wyniku czego obrus zaczął się niebezpiecznie przesuwac. – Chrapiesz jak wulkan!

– Uważaj, kolego – powiedział Patrick i poprawił obrus. – Właściwie to twoja mama kiedyś nagrała moje chrapanie. Rzeczywiście, przypominało wulkan budzący się do życia.

Ding! Czwarty raz w ciągu godziny wspomniał Colleen, pomyślała Ellen. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie mogła przestać zwracać na to uwagi.

– W Ameryce jest wulkan, który nazywa się superwulkan Yellowstone – oświadczył Jack. – I jak wybucha, to robi tak: bum! – Zabębnił pięściami o stół, przewracając szklankę z saszetkami cukru. – I wtedy jest koniec świata. To się może zdarzyć w każdej chwili.

– Serio? – zapytała Ellen.

– Nie sądzę – powiedział Patrick. – Gdzie ta nasza pizza? Czy oni nie wiedzą, że zaraz umrzemy z głodu? Pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie. – Wyjął wydruk z rąk Ellen.

– Masz gdzieś takie moje zdjęcie, tato? – chciał wiedzieć Jack.

– Tak, mama włożyła je do twojej książeczki zdrowia, synu, pamiętasz? Nie raz je widziałeś.

Ding!

Och, Ellen, przestań. Co ten biedny człowiek ma niby zrobić? Ignorować pytania syna? Udawać, że Colleen nigdy nie istniała?

– Idę do ubikacji – oświadczył Jack.

Zawsze szedł do ubikacji, kiedy byli poza domem. To był jego sposób, by powąłęsać się po restauracji i pooglądać wszystko, co go interesowało.

– Założę się, że zaraz się tam zatrzyma, o tam, gdzie jest widok na kuchnię – prowokowała Ellen.

Jack zatrzymał się jak na rozkaz. Stał nonszalancko oparty o dużą roślinę doniczkową, z rękami w kieszeniach, wspięty wysoko na palce, żeby ponad ladą widzieć pizze podrzucane przez kucharzy wysoko w powietrze.

Ellen i Patrick się zaśmiali. Przez chwilę było tak, jakby oboje byli rodzicami chłopca. Patrick się uśmiechnął.

– Zabawny jest. – Podniósł wydruk z badania i przyjrzał mu się. – Ciekawe, dzieciątko, czy ty też pewnego dnia będziesz zamartwiać się armagedonem. A może będziesz uduchowione i krystalicznie czyste jak twoja mama?

– W tej chwili nie czuję się bynajmniej krystalicznie czysta – stwierdziła Ellen. – Co za dzień. Najpierw Luisa żąda zwrotu pieniędzy, potem Ian Roman grozi, że mnie wykończy. Coś mi się zdaje, że ten dzień w pełni zasługuje na miano najgorszego dnia w moim życiu.

– Ian Roman tylko się rzuca – osądził Patrick. – Nie przejmuj się nim. Za chwilę coś innego pochłonie jego uwagę, na przykład kupno kolejnej stacji telewizyjnej lub coś w tym guście. – Przerwał na chwilę. – Powiedz, naprawdę hipnotyzujesz jego żonę, żeby go pokochała?

– Oczywiście, że nie – odparła Ellen. – Nie jestem w stanie sprawić, by ktokolwiek poczuł coś, czego nie czuje. Rosie poprosiła mnie o to, a ja zasugerowałam, żebyśmy zamiast tego popracowały nad jej poczuciem

własnej wartości. Nie można pokochać nikogo, dopóki człowiek nie poczuje się dobrze sam ze sobą. Za dużo nie mogę ci powiedzieć, ale postawiłam sprawę jasno: mogę tylko pomóc jej nabrać wystarczającej pewności siebie, żeby albo go zostawiła, albo walczyła o to małżeństwo.

– Hmmm – mruknął Patrick z wyraźnym powątpiewaniem.

– Co takiego? – zapytała Ellen.

– Nie wiem. Dla mnie to brzmi trochę... jakby... mało realnie?

Ellen poczuła dotkliwą irytację.

– A może i ty jesteś zdania, że jestem szarlatanką i oszustką, co?

– Nie, oczywiście, że nie. Słuchaj. Jestem zwykłym geodetą. Przyziemnym. Nie mam zielonego pojęcia, o czym gadam.

– Jasne – stwierdziła Ellen.

– Hej! Szybka zmiana tematu! Co sądzisz o naszym prześlicznym dzidziusiu? – zapytał i wręczył jej zdjęcie, a ona uśmiechnęła się wbrew sobie.

Nie minęła sekunda, a Patrick zmienionym tonem zagaił:

– Widziałaś ją?

Ellen zaś, nie odrywając wzroku od zdjęcia, odpowiedziała:

– Tak. – Doskonale wiedziała, kogo ma na myśli.

– Muszę wreszcie coś z tym zrobić – stwierdził Patrick. – Jak urodzi się dziecko... – przycisnął palec do zdjęcia – co prawda nigdy nie uważałem, że jest niebezpieczną, ale dziś wyglądała trochę... nie wiem, jak niezrównoważona. Bardziej niż zwykle.

Ellen pomyślała o dzisiejszym spotkaniu z Luisą. Kobieta opętana smutkiem i zazdrością. Pomyślała o twarzy Saskii, kiedy ta wchodziła do poczekalni. Ellen natychmiast ją zauważyła. Saskia sprawiała wrażenie

rozgorączkowanej, zdesperowanej, jakby się spieszyła, by za wszelką cenę zdążyć na samolot.

– Saskia chciała mieć z tobą dziecko? – zapytała.

– A co to za różnica? – odburknął Patrick. – Dla jej zachowania nie ma usprawiedliwienia.

– Tak się tylko zastanawiałam – odparła Ellen.

Chcę ją jedynie zrozumieć.

– Rodzinna supreme? – przerwała im kelnerka.

*

Kiedy dotarli do domu, na poczcie głosowej Ellen czekała wiadomość od dziennikarki nazwiskiem Lisa Hamilton, pracującej rzekomo nad artykułem do „Daily News”. Artykuł ów poświęcony był działaniu hipnoterapii, a dziennikarka rozmawiała już z paroma klientami Ellen.

– Zastanawiałam się, czy byłaby pani zainteresowana skomentowaniem kilku zarzutów postawionych przez te osoby – rozbrzmiewał w telefonie chłodny, obojętny głos, przepełniony pewnością siebie, autorytarny, zabarwiony nutką odrazy.

Ellen odłożyła słuchawkę.

– Coś nie tak? – zapytał Patrick.

– Chyba wiem, w jaki sposób Ian Roman ma zamiar mnie wykończyć.

ROZDZIAŁ 21

Marzenia senne to królewska droga do podświadomości.

Freud, 1900

– Jak szedł ten stary slogan? – zastanawiał się Patrick. – Każda reklama to dobra reklama?

Ellen leżała już w łóżku, a Patrick właśnie wrócił z pokoju Jacka, gdzie sprawdzał, czy syn śpi i czy jest przykryty.

– To nie będzie dobra reklama – stwierdziła Ellen.

Oddzwoniła już do dziennikarki i umówiła się z nią na rozmowę następnego dnia przed południem, o jedenastej. Przez lata pracy wielokrotnie spotykała się z dziennikarzami i zwykle były to spotkania przyjemne. Parę lat wcześniej wzięła udział w seminarium na temat reklamy własnej działalności i od tego czasu aktywnie nawiązywała kontakty z mediami, nie stroniąc od wypowiedzi publicznych. Co roku w grudniu dzwonili do niej dziennikarze pracujący nad artykułami do styczniowych wydań czasopism, poświęconymi zagadnieniom typu: *Jak wytrwać w postanowieniach noworocznych: pytamy naszych ekspertów!*. Udzielała czasopismom o zdrowiu wywiadów dotyczących odchudzania, a wydawnictwom biznesowym – na temat przewycięzania stresu związanego z wystąpieniami przed publicznością. Pisywała też do rubryki

Zdrowie umysłowe lokalnej gazety. Regularnie gościła na antenach audycji radiowych. Była nawet parę razy w telewizji.

Wszyscy dziennikarze, z którymi miała do czynienia, odnosili się do niej jeśli nie z szacunkiem, to przynajmniej z życzliwym zaciekawieniem. A temat był „miękki”. Spojrzenie na świat z punktu widzenia zainteresowania istotą ludzką. Dla kobiet coś nieco innego, zabawnego. Nikt nigdy nie kręcił nosem na to, co miała do powiedzenia. W głębi serca i tak nie wierzyli w hipnozę. Było im raczej wszystko jedno.

Od razu po rozmowie z Lisą Hamilton wiedziała jednak, że czeka ją wywiad diametralnie różny od tych, których przyszło jej udzielać w przeszłości. Sposób bycia dziennikarki nie zmienił się na korzyść, nawet kiedy Ellen wyznała – w cichej nadziei, że wywoła współczucie – że jest w ciąży, cierpi na straszne mdłości i byłaby wdzięczna, gdyby mogły się spotkać o innej porze niż rano. Lisa najwyraźniej nie należała jednak do osób, które za pomocą uroku osobistego, choćby fałszywego, mają nadzieję wydobyć od rozmówcy więcej. Jeśli ma napisać artykuł, który zmiażdży Ellen, musi jej nienawidzić.

Ellen nie miała dotąd doświadczenia w byciu nienawidzoną.

Nie wpływało to dobrze na jej mdłości.

– Pamiętam, jak Colleen mówiła, że to bez znaczenia, jeżeli produkt dostanie złą opinię, ponieważ ludzie i tak nie zapamiętają nic poza jego nazwą – rzekł Patrick, odsuwając kołdrę i wchodząc do łóżka.

Colleen była asystentką w dziale marketingu. Ellen ciekawiło, czy Patrick zdaje sobie sprawę, że kiedy wymawia imię byłej żony, jego wyraz twarzy automatycznie łagodnieje. To samo zaobserwowała u ojca, kiedy wspominał o swoich prawdziwych dzieciach.

No i co z tego, nawet jeśli?

(I w ogóle co to znaczy „prawdziwe” dzieci? Jakież to z jej strony infantylne, głupie i oczywiste. Zachowywała się tak, jakby ojciec ją opuścił. Czy tak podświadomie uważała? A miała nadzieję, że jej podświadomość jest bardziej dojrzała).

– Nie jestem produktem – stwierdziła Ellen, choć na kursie marketingu nauczyła się myśleć o sobie jako o „marce”.

– Wiesz, co mam na myśli – rzekł Patrick. – Nie chcę po prostu, żebyś się tym przejmowała, bo najprawdopodobniej i tak skończy się na niczym. Ten wywiad może nawet nie być związany z wielkim panem Ianem Romanem.

– To jego gazeta – oznajmiła Ellen. – Sprawdziłam w internecie. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności.

– Dzwoniłaś do jego żony? – zapytał Patrick. – W zasadzie to ona jest osobą, która powinna położyć temu kres.

– Zostawiłam jej dwie wiadomości – odparła Ellen. – Ale i tak podejrzewam, że w tej sytuacji niewiele mogłaby zrobić. Roman ma mnie na celowniku. – Przerwała. – Czy właśnie powiedziałam „ma mnie na celowniku”? To straszne, nie mogę uwierzyć, że tak powiedziałam.

Patrick milczał. Leżał na plecach i sprawdzał coś w telefonie. Był uzależniony od swojego blackberry’ego. Ellen śmiała się, kiedy narzekał, że Jack za długo gra na nintendo.

– O Jezu – jęknął Patrick i gwałtownie usiadł.

– Co? – zapytała Ellen, myśląc: Saskia.

– Ten drań chce mnie podać do sądu.

– Jaki drań?

Patrick z niedowierzaniem patrzył na mały ekran.

– No ten klient, co nie chce mi zapłacić. – Zabębnił nerwowo kciukami w telefon. – Dziś mój prawnik wysłał mu formalne wezwanie do zapłaty.

A on nie tylko nie chce zapłacić, ale chce mi wytoczyć proces, bo rzekomo nie wykonałem roboty w terminie. Żarty.

– To pewnie po prostu, jak to się mówi, reakcja na twoje posunięcie – powiedziała Ellen.

– O mój Boże! Co za niesprawiedliwość. – Patrick był sztywny ze złości. – Życzył sobie, żeby praca została wykonana pilnie. Pracowałem dla niego po godzinach. Opuściłem przez tego dupka mecz Jacka, a on ma czelność mówić, że to za długo trwało?

– Twój prawnik będzie wiedział, co z tym zrobić – pocieszyła go Ellen.

Jego widoczna złość wprawiła ją w podenerwowanie. Męska złość zawsze ją onieśmiałała. Była taka fizyczna.

Ellen powiedziała:

– Zadzwoń do niego od razu z samego rana.

– Tak – rzekł Patrick. Wyłączył telefon, wziął głęboki oddech i zerknął na nią. – Koszmarny mieliśmy dzień, prawda?

Ellen wskazała palcem na brzuch.

– Ćśśś. Dzień był wspaniały, nie pamiętasz?

Patrick dotknął jej brzucha.

– Jasne, że wspaniały.

Umieścił telefon na szafce przy łóżku i złożył kołdrę tak, że Ellen była przykryta, a on nie.

Lampki nocne zgasili jednocześnie. Położyli się i odwrócili do siebie plecami.

– Mam płaską poduszkę – rzekł, siadając prosto i wyciągając sobie poduszkę spod głowy.

– Ups – rzekła Ellen.

Zamienili się poduszkami i z powrotem położyli.

Patrick stuknął ją piętą w nogę na dobranoc, ona odpowiedziała mu tym samym.

Byli ze sobą dopiero niecały rok, a już mieli tyle wspólnych obyczajów. To tak, jakby każda para tworzyła własne, całkiem nowe królestwo.

Saskia nie chciała zrezygnować ze swojego.

Ellen zamknęła oczy i pod powiekami natychmiast zamajaczyła jej twarz Iana Romana, jakby czekał za zasłoną, gotowy wyskoczyć w momencie, kiedy będzie próbowała zasnąć.

„Wykończę panią”.

Obiektywnie patrząc, nie mógł chyba doprowadzić jej firmy do upadku? Nawet gdyby artykuł ją oczerniał, nie straciłaby wszystkich klientów, to niemożliwe. Cała nagromadzona przez lata dobra wola nie może zniknąć w ciągu jednej nocy, prawda?

I z powodu zaledwie jednego artykułu?

I, na miłość boską, jak straszny może być taki artykuł? Przecież nie jest przeżartą złem konowalką, oszustką. Nic złego nie zrobiła.

Nie mogli chyba nazmyślać na jej temat?

Cóż, oczywiście, że mogli. Przypomniały jej się artykuły na temat Jennifer Aniston i Brada Pitta, szerzące informację, że aktorzy wrócili do siebie, gdy tymczasem nic podobnego nie zaszło. No ale ona, Ellen, nie była celebrytką. Jej życie nikogo nie obchodziło, podczas gdy cały świat pragnął widzieć Brada i Jennifer znowu razem. Pisano artykuły o takiej treści, bo taka treść była pożądana.

(Ona sama nawet chciała, by Brad i Jennifer do siebie wrócili).

Lisa Hamilton na pewno okaże się dziennikarką na tyle przyzwoitą, by porozmawiać też z innymi klientami Ellen, nie tylko z Luisą. A może nie będzie miała wyboru? Może Ian Roman wezwał ją na dywanik i zażądał:

„Chcę zmiażdżyć reputację tej osoby, mam nadzieję, że zależy pani na pracy”.

A biedna dziennikarka, być może żona stosującego przemoc męża i matka trójki małych dzieci, z których jedno wymaga kosztownego leczenia, musiała za wszelką cenę utrzymać pracę, więc Ellen pójdzie na stracenie.

– Śpisz? – spytał Patrick. Jego głos w cichym pokoju zabrzmiał nieoczekiwanie głośno.

– Nie.

– Ja też nie. – Zapalił z powrotem światło. – Może napijemy się mleka? Herbaty?

– Nie, dzięki. – Ellen ziewnęła i usiadła.

Bez cienia entuzjazmu zaproponował:

– A może w takiej sytuacji należy pomóc sobie seksem?

– Nie czuję się zbyt namiętnie – odparła ze śmiechem Ellen.

– Ani ja – zgodził się Patrick. – Wiesz, chyba pójde napisać obraźliwego mejla do tego klienta. Albo w coś walnę. Albo pójde pobiegać.

– Chodź, zrobię ci relaks – zaproponowała Ellen. Pomyślała, że jej również pomoże, jeśli na chwilę zajmie skołatany umysł innymi sprawami.

– Nie, za dużo masz na głowie – zaproponował.

– Nie, w porządku – upierała się Ellen. – Ja też się przy okazji rozluźnię.

– O Boże, dziękuję. Nie chciałem cię prosić. – Patrick odetchnął z ulgą i położył się obok niej. – Sam nie wierzę, że tak się tym przejąłem.

Dziesięć minut później był już w transie, a Ellen – w tym miłym stanie płynnej półświadomości, który zdarzał jej się zawsze, gdy hipnotyzowała Patricka.

– Chcę, abyś przeniósł się do chwili, kiedy byłeś całkowicie odprężony. Do czasów, kiedy nie miałeś jeszcze stresów związanych z prowadzeniem firmy. Kiedy byłeś swobodny i szczęśliwy. Jesteś tam?

Kiwnął głową.

– Gdzie jesteś?

– W podróży poślubnej – odparł nieswoim, odurzonym głosem.

Ellen zeszywniała.

„Zatrzymaj się, nie idź dalej” – usłyszała w głowie głos Flynna. Przerwała. Zastanawiała się przez chwilę, nasłuchując głębokiego, równomiernego oddechu Patricka.

„Spytaj go” – mówił do niej Danny. „Zapytaj go o to, co chcesz wiedzieć”.

– Co robisz? – zapytała. Nie było w tym przecież nic złego.

W miękkim świetle lampy Patrick wyglądał o dziesięć lat młodziej. Zmarszczki na jego czole wygładziły się, a policzki wydawały się bardziej zaokrąglone.

– Nurkujemy – powiedział.

– Ty i Colleen – upewniła się Ellen.

„Niby kto jeszcze?” – prychnęła Julia w jej głowie. „Och, co za stek bzdur” – westchnęła jej matka. „Opisuje ci tylko wspomnienia. To nie żadna podróż w czasie”.

– Tak, jest cudownie. – Patrick się uśmiechnął. – Col ma na sobie niebieskie bikini.

– Tak? – spytała słabo Ellen.

– Wygląda bosko.

– Super – stwierdziła Ellen.

Julia w jej głowie zataczała się ze śmiechu. Sama tego chciałaś, idiotko.

„Wielce nieprofesjonalnie” – mruknął Flynn.

– Opisz, co czujesz – rzekła Ellen, usiłując nakierować go na właściwy tor.

– Nigdy dotąd nie nurkowałem. Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Nie słyszę nic poza własnym oddechem. Rafa koralowa jest, och, przecież muszę jej powiedzieć!

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Zmarszczki wyszły na wierzch, policzki się zapadły.

– Co powiedzieć? – zapytała Ellen.

Zdarzało się, że w wyniku prostego ćwiczenia relaksacyjnego ujawniały się stłumione, negatywne emocje. Patrickowi nigdy dotąd się to nie przytrafiło. To nie była jednak właściwa sesja. Ellen pomagała mu tylko zapomnieć o wrednym kliencie i ułatwić zaśnięcie.

„I właśnie dlatego nie zalecamy stosowania hipnozy wobec własnego partnera” – rzekł Flynn.

– Żeby poszła do lekarza! Teraz, w tej chwili. Musimy iść do lekarza i złapać tego raka, złapać go, zanim będzie za późno. – Pięść Patryka zaciskała się i otwierała na pościeli. – Boże, jaka ona głupia, jaka uparta. Czują zgrubienie i nic nie mówiła miesiącami, miała nadzieję, że to nic wielkiego, samo zniknie. Tak samo miała nadzieję, że lampka kontrolna oleju w samochodzie sama zgaśnie. Jezu. Ty idiotko, powiedziałem jej. Rozpłakała się. Nie powinna przeze mnie płakać. Ale była odpowiedzialna. Przed Jackiem. Przede mną.

Gniew siał spustoszenie na jego twarzy.

– Czas pozwolić temu wspomnieniu odejść – rzekła Ellen. Jej głos nie był jednak wystarczająco autorytatywny. Zabrzmiął jak głos początkującej hipnotyzerki. Drżał, był wymuszony.

– Nigdy nie pokocham innej kobiety tak jak jej.

– Kiedy doliczę do pięciu – rzekła Ellen.

– Patrzę na Ellen – powiedział Patrick.

Ellen zamarła.

– I myślę, że to nie to samo. Po prostu nie to samo.

*

Kiedy weszli do gabinetu, nie mogłam przestać płakać. Musiałam wyjść, bo robiłam z siebie widowisko. Zza lady wyszła pracownica recepcji i zaczęła się do mnie zbliżać. Na jej twarzy malowały się życzliwe, ale zarazem bardzo stanowcze słowa: „Przykro mi, ale do jasnej cholery, proszę stąd wyjść”.

Domyślałam się, że ludzie nie zawsze płaczą tu z radości. USG nie musi oznaczać dobrych wieści. Kobieta pewnie pomyślała, że straciłam dziecko.

Co mogłam jej powiedzieć? Nie, proszę pani, nigdy nie byłam w ciąży, ale straciłam przybranego syna. Czy to się liczy? To on, ten piękny dzieciak, o tam, poprawia nowej przybranej matce torbę. Wygląda na zmęczonego. Na pewno nie jest odpowiednio żywiony. Za dużo tofu i soczewicy. Za mało białka. I choć nie straciłam prawdziwego dziecka, to straciłam dziecko wymarzone, ponieważ ten mężczyzna, ten, o tam, przestał mnie kochać, a teraz jestem już za stara, a on znalazł sobie kogoś młodszego i ładniejszego.

Odpowiedź brzmiałaby z całą pewnością: Nie, to się nie liczy. Proszę przestać, to się robi coraz bardziej żenujące. Trochę godności. Trochę szacunku dla samej siebie.

Tak, racja.

Zjechałam windą. Wciąż płakałam, ale świadomie nie odczuwałam żadnych konkretnych emocji. Łzy były czymś w rodzaju zapowiedzi dziwnej, nadchodzącej choroby. Czekałam po prostu, aż przestaną płynąć.

Wracałam do samochodu. W pewnej chwili ból nogi stał się nie do zniesienia. Zastosowałam metodę Ellen z wyświetlaczem, ale ból był za silny – jakby ktoś za daleko przekręcił pokrętkę.

Nie mogłam iść. Musiałam usiąść. Rozejrzałam się za przystankiem albo murkiem, ale niczego nie było, więc usiadłam na chodniku jak pijaczka. Nie mogłam uwierzyć, że zaledwie pół godziny wcześniej skutecznie i w pełni profesjonalnie obcowałam z inwestorami, a teraz, proszę, płaczę w rynsztoku.

Podszedł do mnie mężczyzna, który zaparkował samochód dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie siedziałam. Zapytał, czy coś się stało. Miał około siedemdziesięciu lat i przyjazną, zniszczoną wiatrem i słońcem twarz, jakby mieszkał gdzieś na łonie przyrody. Trochę przypominał tatę Patricka. Był przekonany, że skręciłam kostkę, i nie przestawał mówić o przykładaniu lodu i trzymaniu nogi w górze. Trochę trwało, zanim zrozumiał, że z kostką nic sobie nie zrobiłam. Musiałam mu w końcu wyznać całą prawdę o bólu nogi i że nie płakałam z bólu, tylko z „powodów osobistych”. Wyciągnął z kieszeni portfel, a z portfela wizytówkę. Przez chwilę sądziłam, że poleca mi psychoterapeutę, ale powiedział:

– To rewelacyjny fizjoterapeuta. Parę miesięcy temu cierpiałem na koszarne bóle kręgosłupa. Nie do zniesienia. Prawie płakałem. On sobie z tym poradził. Czuję się jak nowo narodzony!

Podziękowałam mu, ale nie chciało mi się tłumaczyć, że byłam już u siedmiu fizjoterapeutów i nie miałam zamiaru tracić ani grosza więcej.

– A w międzyczasie proszę wziąć naprawdę silny proszek przeciwbólowy – rzekł. – I zapomnieć o tym kretynie! W końcu to jego strata! Jeszcze dużo, dużo ryb pływa w morzu i tylko czekają na taką dorodną sztukę jak pani! – Poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu,

a potem najwyraźniej poczuł się skrępowany, jakby uznał, że postąpił głupio, więc szybko wstał, przy czym głośno trzasnęło mu w kolanach. Może powinien znów się zwrócić do tego genialnego fizjoterapeuty.

Jacy ludzie są mili! Jak to się dzieje, że tacy bywają? I skąd oni to biorą, czym się syca? Te uśmiechy, ta troska, ta bezinteresowność. To musi być wykańczające, a z drugiej strony – czasochłonne. Bez przerwy mieć oczy otwarte, czy ktoś nie jest przypadkiem w potrzebie.

Patrzyłam, jak odchodzi, i pomyślałam – po raz pierwszy od wielu lat – że fajnie musi być mieć ojca.

Założę się, że Ellen ma uroczego tatę, tatę, który kołysał ją na kolanach i nazywał swoją księżniczką. Wygląda na taką, co była uwielbiana przez ojca.

Zdołałam dowlec się do samochodu, a kiedy dojechałam do domu, posłuchałam rady tego miłego starszego pana i odnalazłam w szafce ketonal. Wzięłam dwie tabletki i poszłam spać. Kiedy się obudziłam, dziewczynka i chłopiec od sąsiadów bawili się po szkole w ogródku. Próbowалаm pracować, ale umysł miałam mętny, jakby nie swój, i wszystko mnie rozpraszało, a zwłaszcza odgłosy ich zabawy. Wiedziałam, że to fajne dzieciaki, ale wyglądało na to, że dziś bawią się mniej fajnie. Ich relacja wydawała się toksyczna – raz śmiech i wesołe okrzyki, za chwilę łzy i wrzaski w stylu „przestań, zostaw mnie”. Żyłam w świadomości, że dzieci w dzisiejszych czasach siedzą tylko w domu i grają na komputerze.

W końcu dałam sobie spokój z pracą i otworzyłam czerwone wino. Pomyślałam, że wypiję za nowe dziecko Patricka.

I to był mój błąd. Nigdy nie miałam za mocnej głowy.

*

Ellen śniła.

Sny były wyraziste i nie miały końca. Wiedziała, że śni, i próbowała się przebudzić, by sen minął, ale za każdym razem, kiedy wracała do rzeczywistości ciemnego pokoju, odwracała się, poprawiała poduszkę i szturchała Patricka, by przestał chrapać, natychmiast z powrotem zapadała w sen – głową w dół spadała w otchłań wirujących myśli, twarzy i odgłosów.

Jej matka i chrzestne biegły brzegiem morza. Były nagie i śmiały się jak podlotki. Zawsze kiedy tak się śmiały, czuła się wyobcowana.

– Popisują się – powiedziała do ojca, który siedział obok niej na plaży, ubrany, dzięki Bogu, w garnitur i krawat. Na wardze miał sos z kurczaka po marokańsku.

Ellen powiedziała:

– Relacja córki z ojcem to model jej przyszłych związków z mężczyznami. – Rozpierała ją duma, jakby czyniła właśnie jakąś niesamowicie subtelną, ironiczną i błyskotliwą uwagę.

Ojciec czytał gazetę. Rzucił jej spojrzenie pełne czystej odrazy.

– Jest artykuł na twój temat – powiedział.

– Nieprawda – sprzeciwiła się Ellen, zawstydzona i zraniona do granic wytrzymałości.

– Prawda – powiedziała dziewczyna, która siedziała naprzeciwko Ellen i za pomocą żółtej łopatkki uklepywała zamek z piasku.

– Colleen! – zawołała Ellen. Była żona Patricka! Musi być dla niej wyjątkowo miła, ponieważ taką właśnie jest osobą. – Jak się masz?

Zaczęła gorączkowo poszukiwać tematu, który mógłby zainteresować Colleen.

– Słyszałam, że sama szyłaś sobie suknię ślubną – powiedziała. – Musisz być niesamowicie zdolna!

– Zachowujesz się protekcyjnie – mruknęła Julia, która opalała się na brzuchu i właśnie podniosła głowę z ręcznika.

– Nie powinna była zachodzić w ciążę – rzekła Colleen do Julii. – To z jej strony nieetyczne.

– Zapewne. – Julia ziewnęła. – Ale miała dobre intencje.

– To nieetyczne, bo on wciąż kocha mnie – wyjaśniła Colleen z samozadowoleniem.

– Ale ty przecież nie żyjesz! – krzyknęła Ellen, uświadamiając sobie nagle ten fakt. Była głęboko zraniona niesprawiedliwym oskarżeniem.

– Jesteś wyjątkowo piękna – zwrócił się jej ojciec do Colleen.

Colleen lekko przekrzywiła głowę.

– Dziękuję, Davidzie.

– Cóż, w takim razie bardzo mi przykro, że jestem w ciąży – rzekła Ellen. Wiedziała, że zachowuje się kapryśnie, bo jest zazdrosna, że ojciec skomplementował Colleen, ale nie mogła się powstrzymać. Zaczęła nabierać pełne garście piachu i sypać sobie w twarz. – Czym mogę to odkupić? Jak mogę wam to wynagrodzić?

– Ellen. Przestań. Robisz z siebie totalną idiotkę – wtrąciła się Madeline, siedząca na starej kanapie, która kiedyś stała w ich wspólnym mieszkaniu.

– Słyszałaś coś? – zapytał Patrick.

Ellen obudziła się i stwierdziła, że Patrick siedzi obok niej w łóżku i trze oczy.

– To chyba ten wiatr – mruknęła.

Na dworze wyła wichura, od której drżały szyby w oknach. Ellen usiadła i sięgnęła po szklankę z wodą.

– Przepraszam – powiedział Patrick i znowu się położył.

Ellen odstawiła szklanę. Była pusta. Nie pamiętała, żeby przedtem piła. Spojrzała na zegarek. Dopiero czwarta. Ta noc chyba nigdy się nie skończy.

– Mam przedziwne sny – wyznała.

Coś stuknęło – pewnie gałąź lub inny przedmiot wylądował na dachu.

– Ja też – stwierdził Patrick. – To przez ten wiatr.

– Podczas relaksacji coś powiedziałeś – odważyła się zauważyć.

– Mmmm? – mruknął Patrick.

– O Colleen. – Odczekała chwilę.

Patrick chrapnął.

Ellen położyła się i w tej samej chwili zapadła w sen.

Tym razem w dniu własnego ślubu, ubrana w suknię po babci, szła główną nawą kościoła. W wyciągniętych dłoniach, złączonych na kształt kołyski, trzymała swoje dziecko. Było wielkości koralika i kołysało się na jej dłoni na boki.

– Trzymaj ręce poziomo, bo je upuścisz! – krzyknął ktoś z gości.

Ellen odwróciła głowę i stwierdziła, że to jej klientka Luisa w kapeluszu z szerokim rondem.

– Nawet nie potrafisz się zająć dzieckiem! To ja powinnam być w ciąży, nie ty! Oddaj mi je!

– Oddałam ci pieniądze – odparła bez namysłu Ellen. – Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Jestem dobrym człowiekiem.

Szła dalej. Na końcu kościoła widziała Patricka. Patrzył w przeciwną stronę. Obejrzał się, by na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się do niego, ale jego twarz nagle stężała.

– Przestań mnie nękać! – wrzasnął, a jego głos odbił się echem od ścian.
– Wszystko skończone! Nie rozumiesz? Nigdy cię nie kochałem!

Ellen zmroziło.

– Patrick, to nie Saskia, to ja! – krzyknęła. Za wszelką cenę chciała, by jej głos zabrzmiał lekko i radośnie, gdyż mimo wszystko był to ślub, a jednocześnie wystarczająco głośno, by Patrick mógł go usłyszeć na końcu nawy, która zdawała się długa niczym pas startowy.

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołał Patrick.

– Kochanie, nie sądzę, aby cię jeszcze kochał – powiedziała jej matka.

I ona, i chrzestne przypominały druhny z lat osiemdziesiątych. Miały na sobie różowe suknie z tafty z wielkimi, bufiastymi rękawami.

– Ech, ci mężczyźni! – westchnęła Phillipa. – Komu oni potrzebni? Chodźcie, upijemy się.

– Poznasz innego – rzekła Mel.

– I tak mi się nie podobał – prychnęła matka Ellen.

– Jemu się wydaje, że jestem Saskią – oznajmiła Ellen. – Jestem pewna, że to tylko pomyłka. – W rzeczywistości nie była jednak tego taka pewna. Może to ona przez cały czas szwendała się za Patrickiem?

– Zahipnotyzowałaś mnie, żebym uprzętnął te pudła! – wrzasnął Patrick. – To manipulacja!

– Przepraszam! – krzyknęła Ellen.

Zrywał z nią. Ten związek skończy się tak samo jak wszystkie poprzednie. Będzie musiała sama wychowywać dziecko, a jest takie malusieńkie! Zamknęła ostrożnie dłonie wokół koralika i zaczęła biec, ale nogi się pod nią ugięły, jakby zbiegała z urwiska.

Otworzyła oczy.

Nie potrafiła stwierdzić, czy to jeszcze noc czy już dzień. Sypialnię wypełniało dziwne, nieziemskie pomarańczowożółte światło.

Przypominało łunę od pożaru, ale nie czuć było dymu. Słyszała obok siebie chrapliwy oddech Patricka (tym razem nie chrapanie) i głuchy, rytmiczny huk rozbijających się o brzeg fal.

Słyszała lub wyczuwała jeszcze coś. Coś, czego nigdy nie było.

Przy nogach łóżka majaczył długi, ciemny kształt. Ellen wpatrywała się w niego z walącym sercem, czekając, aż oczy przywykną jej do ciemności, a ów cień nabierze znajomych kształtów krzesła czy zawieszzonego na drzwiach szlafroka.

Kształt się jednak poruszył.

Ellen nabrała powietrza.

W ich sypialni stała kobieta i przyglądała się, jak śpią. Ellen rzuciła się do tyłu tak gwałtownie, że boleśnie uderzyła głową o zagłówek.

Colleen. Colleen wstała z grobu i przysła upomnieć się o męża.

– Co to? – zapytał sennie Patrick. Usiadł i zaczął trzeć oczy wierzchem dłoni. W jednej chwili odrzucił kołdrę i na czworakach zbliżył się do końca łóżka.

– Wynoś się! – wrzasnął. – Natychmiast się stąd wynoś!

To nie była Colleen. To była Saskia. W spodniach od piżamy i sportowej bluzie. Włosy miała mokre, przyklejone do skóry, była bez butów.

– Patrick – odezwała się i cofnęła, by uniknąć jego ręki. – Chciałam tylko...

Patrick niezgrabnie runął z łóżka na podłogę.

Ellen spostrzegła, że Saskia trzyma coś w ręce. Były to wydruki USG, które przedtem leżały na stole w kuchni.

– Hej! – wrzasnęła. Nigdy by nie przypuszczała, że jest w stanie wydobyć z siebie tak dziki, nieokrzesany głos. – Oddaj to! – Wyszła z łóżka

i zbliżyła się do Saskii. – To moje!

Z pokoju obok rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Tato!

– Jack – stwierdziła Saskia i odwróciła się bokiem do drzwi.

Patrick wstał, chwycił ją obydwoma rękami i podniósł w powietrze, jakby chciał nią cisnąć o ścianę. Zdjęcia upadły na podłogę. Ellen widziała, że Patrick cały się trzęsie. Spojrzenie miał dzikie, wściekłe.

Zabije ją, pomyślała. Muszę go powstrzymać. Chwyciła Patricka za koszulkę z tyłu.

– Chcę tylko wyjaśnić! – zawołała Saskia, próbując zarzucić Patrickowi ręce na szyję.

Odepchnął ją. Upadła na kolana.

– Tato! – wrzeszczał Jack. – Ellen! Co się dzieje?

– Wynoś się! – Patrick podciągnął Saskię na nogi. – Wynocha stąd, ale już!

– Przepraszam – łkała Saskia. Znowu oparła się o pierś Patricka.

Ellen cały czas ciągnęła go z tyłu za koszulkę. I tak połączeni w dziwnym, intymnym tańcu przesuwali się z mozołem w stronę korytarza.

Świtało. Przez otwarte drzwi biura, znajdującego się po drugiej stronie holu, przez które zwykle widziało się plażę i ocean, teraz wlewało się do wnętrza zamglone, apokaliptyczne pomarańczowe światło. Ellen puściła koszulkę Patricka i zagapiła się na nie.

Co się dzieje? Czy to wojna?

– Tato! Armagedon!

Ellen w ostatniej chwili odwróciła wzrok, by zobaczyć, jak Patrick gwałtownie odpycha od siebie Saskię. Kroki Jacka zadudniły w korytarzu.

Oczy chłopca były szeroko otwarte z przerażenia.

Saskia poślizgnęła się na dywaniku w korytarzu i gwałtownie wyciągnęła rękę, żeby się podeprzeć. Dłonią zahaczyła przy tym o bluzę od piżamy Jacka. Oboje runęli na podłogę i z hukiem, koziółkując, stoczyli się ze schodów.

ROZDZIAŁ 22

Uważaj!

Matki na całym świecie, od zarania dziejów

Ellen z Patrickiem przez długą, niekończącą się chwilę stali na szczycie schodów z dłońmi zaciśniętymi na barierce, a oczami utkwionymi w dwie postaci na dole.

Saskia leżała na plecach. Jedną nogę miała wygiętą pod straszliwym, nienaturalnym kątem, a głowę bezwładnie przechyloną na bok. Włosy przysłaniały jej twarz.

Jack leżał zaś na brzuchu, z prostymi nogami i dłońmi płasko na podłodze, jakby spał w łóżku.

Oboje nie żyją, pomyślała z pełnym przekonaniem Ellen. Dotarła do niej przerażająca świadomość, że takie rzeczy się zdarzają – właśnie takie, bezustannie, codziennie. Ludzie umierają, giną dzieci – w głupich, idiotycznych wypadkach, trwających dosłownie ułamki sekund, podczas gdy ty dalej oddychasz, twoje serce dalej pompuje krew i wszystko zostaje jak dawniej, po staremu. To, co nieakceptowalne, właśnie się zdarzyło i świat oczekuje, że to zaakceptujesz.

Patrick wydał z siebie odgłos zbliżony do psiego skowytu.

Wtedy poruszył się Jack. Patrick zareagował natychmiast. Z łomotem zbiegł po schodach, a zrobił to tak szybko, że idąca za nim Ellen krzyknęła:

– Uważaj!

Jack usiadł w kucki, ostrożnie podtrzymując sobie rękę. Był blady jak ściana.

– Chyba złamałem rękę – stwierdził rzeczowo, odwrócił głowę i zwymiotował na podłogę.

Ellen i Patrick padli na kolana po jego obu stronach.

– Och, kochanie – powiedziała Ellen. Podsunęła do góry rękaw jego piżamy i stwierdziła, że ręka już zaczęła puchnąć i przybierać nienaturalny kształt.

– W porządku, kolego, nic ci nie jest – odezwał się Patrick mało przekonująco. Wyglądał, jakby w każdej chwili mógł zemdleć.

Jack podniósł głowę i otarł usta ręką. Zapłakanymi, zdziwionymi oczami rozejrzał się dookoła.

– Co się stało? Nie rozumiem. Czemu Saskia tu jest?

– Niczym się nie przejmuj – rzekł Patrick i sięgnął po chłopca, jakby chciał go podnieść. – Zawiozę cię do szpitala.

– Nie, nie, lepiej go nie ruszaj – odezwała się Ellen. – Może mieć uszkodzony kręgosłup lub głowę. Połóż go, nie dotykaj tej ręki, a ja dzwonię po pogotowie. Tylko sprawdzę, co z Saskią.

– Zapomnij o niej – syknął Patrick.

– Dlaczego ona tu jest? – dopominał się Jack. Kiedy zobaczył ją poza ramieniem Ellen, oczy mu się rozszerzyły. – Nic jej nie jest?

– Zapomnij o niej i tyle – powtórzył Patrick.

– Nie! – wrzasnął Jack. Jego głos zabrzmiał w cichym, spokojnym domu nieoczekiwanie głośno.

Patrick zbladł.

– Wszystko jest dobrze, Jack.

Jack wyrwał mu się.

– Nie można tak po prostu o niej zapomnieć! Przestań tak mówić! Tylko dlatego, że ty jej nie lubisz. To niesprawiedliwe!

– Wszystko w porządku, synu – kojącym głosem powtórzył Patrick.

– Sprawdź, co jej się stało! – Błada twarz Jacka poczerwieniała. Jego drobna klatka piersiowa unosiła się pod pizamką w ciężkim oddechu, a oczy lśniły furia.

Ellen zagapiła się na chłopca. Nigdy nie widziała, by tak małe dziecko doświadczało równie dojrzałych emocji.

Powiedziała:

– Ja się nią zajmę, Jack.

*

Niektórych fragmentów na pewno nigdy nie zapomnę, a innych pewnie nigdy sobie nie przypomnę.

Na przykład nie pamiętam, żebym wołała taksówkę, ale pamiętam, jak zajechałam nią przed dom Ellen i zapłaciłam kierowcy. Dałam mu dziesięć dolarów napiwku i rozmawialiśmy o tym wietrze. O wyjąłym wicherze. Pamiętam, jak czubki drzew wyginały się w przód i w tył – niczym kobiety lamentujące po stracie dzieci.

Czułam się wykończona i nieokiełznana. Moim jestestwem, wnętrzem lub czymś, cokolwiek to było, zawładnęło szaleństwo. Pamiętam, że dotknęłam włosów i stwierdziłam, że ociekają wodą. Nic nie rozumiałam – przecież nie padało. Musiałam zadzwonić po taksówkę prosto po wyjściu spod prysznic.

Dobrze, że chociaż nie wsiadłam pijana za kierownicę. Jakiś racjonalny głos wewnętrzny kazał mi wezwać taksówkę.

Nie pamiętam, czemu postanowiłam jechać do Ellen, ale jestem w stanie odgadnąć, czym się kierowałam. Prawdopodobnie, stojąc pod prysznicem, wyobrażałam sobie, jak Ellen z Patrickiem przygotowują się do pójścia spać, jak rozmawiają o minionym dniu, o tym, jak wspaniale było po raz pierwszy zobaczyć dziecko. Musiało mi przyjść do głowy: Szkoda, że nie mogę ich zobaczyć.

W tej samej chwili musiałam wpaść na pomysł, że właściwie dlaczego by do nich nie pojechać, właśnie teraz?

A może poczułam przemożne pragnienie, by powiedzieć coś Patrickowi? Na przykład, że go kocham albo że go nienawidzę, że zrozumiałam lub że nigdy nie zrozumiem, że już się z nim żegnam, że to koniec, że przestanę się koło niego kręcić albo że nigdy nie dam mu spokoju, że będę go kochać do końca życia.

Kto wie?

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że stałam w nogach ich łóżka.

Patrick leżał płasko na plecach z otwartymi ustami. Chrapał, jak to on – każde chrapanie było o ton głośniejsze od poprzedniego, aż w końcu przychodziło kulminacyjne, wibrujące, po którym na wpół się budził i przestawał, a parę sekund później zaczynał od nowa. Ellen leżała na boku z rękami złożonymi pod głową jak do modlitwy. Znając ją, spodziewałam się, że tak właśnie sypia, choć i ona pochrapywała – oczywiście znacznie delikatniej i bardziej regularnie niż Patrick. Ich chrapanie brzmiało komicznie, jakby próbowali zagrać wspólną melodię, ale ciągle im się myliło, więc musieli zaczynać od nowa.

Nie czułam zazdrości, gniewu ani bólu. Byłam spokojna i całkiem przyjaźnie do nich nastawiona. Myślę, że to przez to chrapanie. Doznałam więc szoku, kiedy się obudzili i zareagowali tak, jak zareagowali. To

przerażenie na ich twarzach! Chciałam powiedzieć: „Nie, nie, spokojnie, to tylko ja!”.

Patrick zachowywał się tak, jakby nagle stanęło mu na drodze niebezpieczne zwierzę. Jakbym była niedźwiedziem grizzly, który niespodziewanie wyłonił się zza pobliskiego drzewa. To ja! Tylko ja! Saskia! Nie skrzywdziłabym karalucha. I on o tym dobrze wie.

Potem Ellen zaczęła wrzeszczeć coś na temat rzeczy, którą trzymałam w ręce. Spojrzałam i okazało się, że to wydruki z USG jej nienarodzonego dziecka, choć nie pamiętam, żebym je brała.

Zareagowała, jakbym chciała jej ukraść dziecko.

Technicznie rzecz biorąc, to ona ukradła dziecko mnie. Mogłabym nosić pod sercem dziecko Patricka, gdybym wystarczająco długo próbowała. Mogłabym.

Narobili takiego krzyku, że obudzili Jacka. Słyszałam, jak woła. Chciałam więc tylko, żeby się uciszyli. Żeby wiedzieli, że nie ma powodu do niepokoju.

To było jak koszmar – jakbym nagle zdała sobie sprawę, że stoję goła pośrodku centrum handlowego. Cichutki, niepozorny głosik w mojej głowie powiedział: „No, Saskia, przegięłaś”. Co by na to powiedziała mama?

Mamie nie spodobałoby się to, że sięję zamęt w życiu Jacka.

Nikt nie mógł się uspokoić. Patrick nie słuchał. Pchał mnie, napierał. Zauważyłam, że wszystko nabrało kolorów sepii. Jak na starej fotografii. Pogłębiło to surrealistyczną, koszmarną aurę tej nocy.

Pamiętam Jacka biegnącego korytarzem, w piżamie, z oczami i buzią otwartymi z przerażenia. Głos w mojej głowie powtarzał: „Saskia, to przez ciebie”.

A potem, nie wiedzieć jak i kiedy, spadliśmy razem. Próbowałam go chronić, żeby się nie potłukł ani nie zranił. To było straszne.

Więcej już nic nie pamiętam. Obudziłam się dopiero w szpitalu. Poczułam niemiłosierny ból, ból nie do zniesienia, druzgoczący dolne partie ciała, jakby ktoś zrzucił na mnie cegły z dużej wysokości. Zobaczyłam Ellen. Stała przy oknie, plecami do mnie. Musiałam wydać jakiś odgłos, bo od razu się odwróciła i uśmiechnęła. Nie wyglądała na przerażoną. Uśmiechnęła się, jakbym była zwyczajną osobą, a nie niedźwiedziem grizzly.

Powiedziała:

– W nocy była wielka burza piaskowa.

*

To była pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

– Całe Sydney jest pokryte pyłem – rzekła. – Wygląda jak po apokalipsie. Nic dziwnego, że Jack myślał, że to koniec świata. Dla mnie krajobraz jak po wybuchu bomby atomowej.

Saskia patrzyła na nią pustym wzrokiem, jakby Ellen mówiła w obcym języku.

– Podobno widać to z przestrzeni kosmicznej – dodała Ellen. Wzięła głęboki oddech i usiadła na krześle obok łóżka Saskii. – Dlatego karetka tak długo jechała. Miasto pogrążyło się w chaosie.

Saskia powoli powiodła wzrokiem po szpitalnym białym kocu, którym była przykryta.

– Złamałaś miednicę – wyjaśniła Ellen. – I prawą nogę w kostce. Jeśli chodzi o kostkę, to być może czeka cię operacja, ale miednica ma się zrosnąć sama. Tu masz guziczek, trzeba go nacisnąć, jeśli chcesz zwiększyć dawkę środka przeciwbólowego.

Nastąpiła cisza. Oczy obu kobiet się spotkały. Było to szokujące uczucie, ponieważ ich dziwaczny związek wydawał się bardziej intymny

niż związek partnerów seksualnych.

- Nie wiem, czy pamiętasz, co się stało – zaczęła Ellen.
 - Jack – powiedziała bardzo wyraźnie Saskia.
 - Złamał rękę – wyjaśniła Ellen. – Ale poza tym nic mu nie jest.
- Twarz Saskii się wykrzywiła.
- To moja wina.
 - Cóż – stwierdziła Ellen. – Owszem.

*

Jack, gdy był mały, przechodził etap, kiedy bez przerwy robił sobie krzywdę. Uderzał głową o stolik przy kanapie, łokciem – o framugę. Kiedy tylko goił się jeden guz lub siniak, natychmiast pojawiał się następny. Byłam na drugim końcu domu, słyszałam huk, potem chwilę ciszy, a potem pełen udręki płacz, od którego pękało mi serce. Myślałam: Błagam, tylko nie znowu.

Kiedyś Patrick za długo się z nim bawił – minęła już pora pójścia spać. Mówiłam, że dosyć tych harców, wiedziałam, że tylko patrzeć, a mały znowu coś sobie zrobi, zwyczajnie z przemęczenia. Oczywiście miałam rację – nie minęła chwila, a już płakał wniebogłosy i pluł krwią, bo uderzył się w brodę i przygryzł język. Byłam na Patricka po prostu wściekła.

Chyba z tysiąc razy musiałam powiedzieć: „Uważaj!”.

A teraz – właśnie przeze mnie – Jack złamał rękę. Nie da się zmienić faktu, że odpowiedzialność leży po mojej stronie. Nie da się cofnąć wydarzeń poprzedniego wieczoru i obarczyć winą kogoś innego.

Ellen siedziała, nie spuszczając ze mnie wzroku. Wyglądała na wykończoną. Pod oczami miała szare cienie, a jej usta były blade. Zero makijażu. Potargane włosy. Naturalna twarz. Powiedziałabym: nic

nadzwyczajnego. Tyle że nadal było w niej coś krystalicznego. Patrząc na nią, widziało się coś naturalnego i prawdziwego.

Przeze mnie Jack złamał rękę.

Miałam wrażenie, że ktoś trzyma mi przed oczami ekran, na którym wyświetla się po kolei wszystko, co zrobiłam w ciągu trzech ostatnich lat. Każdy esemes, każda rozmowa telefoniczna, list, którego wiem, że Patrick nigdy nie przeczytał, a zwieńczeniem tego wszystkiego była ostatnia noc, sfilmowana w kolorach sepii – mój upadek ze schodów razem z Jackiem.

Zamknęłam oczy, by spróbować od tego uciec, ale się nie udało. Wciąż to widziałam. Nieubłaganie i bezkompromisowo.

Dusiłam się ze wstydu.

– Oddychaj – zarządziła Ellen. – Skup się na oddechu. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Jej głos brzmiał jak stara, znana melodia. W duszy przeniosłam się prosto do jej szklanego pokoju, zawieszzonego nad samym oceanem. Słuchałam zachłannie, jakby jej głos był tlenem.

– O właśnie. Wdech, wydech.

Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że przysunęła się bliżej, tak że jej twarz znajdowała się dosłownie kilkanaście centymetrów od mojej. Wzięła mnie za rękę. Miała zimną dłoń. Moja mama zawsze miała zimne dłonie. „Dłonie zimne, ale serce gorące” – powtarzała.

– Słyszałaś wyrażenie „sięgnąć dna”? – zapytała Ellen.

Nie czekała na odpowiedź. Zauważyłam, że jej głos nieco się zmienił. Mówiła teraz swoim „zawodowym” głosem.

– Ta sytuacja dotyczyka nałogowców, kiedy się załamują, pod każdym względem: fizycznie, duchowo, emocjonalnie. Domyślam się, że coś takiego spotkało teraz ciebie, Saskia. Nie wiem, ale to na pewno okropne uczucie. Musisz czuć się tak, jakby nastąpił koniec świata.

Poczułam w piersiach dziki trzepot – jak uwięziony w klatce ptak.

Ellen mówiła dalej.

– Ale to dobrze. To dobra rzecz, a nawet świetna, ponieważ stanowi punkt zwrotny. To początek poprawy. Początek odzyskiwania dawnego życia. Domyślam się, że próbowałaś już przestać, prawda? – Znowu nie czekała na odpowiedź. – Ale tym razem się uda. Po pierwsze, będziesz unieruchomiona. – W oczach Ellen pojawił się figlarny błysk, jakby powiedziała nie wiadomo jaki dowcip. – Lekarze twierdzą, że nie będziesz mogła chodzić przez jakieś sześć, osiem tygodni, a potem będziesz się poruszała o kulach.

Nie reagowałam. Przyszłość wydawała się niemożliwa. Nie miała znaczenia.

– W tym czasie otrzymasz pomoc psychologiczną – ciągnęła Ellen pewnym siebie, zadowolonym głosem, jakby rozmowa dotyczyła sfinalizowanych przed chwilą planów wakacyjnych. – W ten sposób dobrze spożytkujesz czas i rekonwalescencja szybciej ci minie. A potem, kiedy już staniesz na nogi, sądzę, że powinnaś się przeprowadzić. – Uśmiechnęła się. – Może to zabrzmieć trochę bezczelnie, ale cóż, chyba mam prawo być trochę bezczelna. Uważam, że powinnaś się wyprowadzić z Sydney. Gdzieś daleko. Żeby cię nie kusiło. – Jej ręka zacisnęła się na mojej. – Przypuszczam, że Patrick wystąpi wreszcie do sądu o ten zakaz. Więc nie będziesz mogła się do nas zbliżyć. Będzie musiał to zrobić, ale teraz chcę, żebyś mi obiecała, w tej chwili, że wczorajsza noc była końcem, a dzisiejszy dzień jest początkiem. Końcem twojego starego życia i początkiem nowego. Możesz mi to obiecać?

Czułam, że głowa podskakuje mi do góry i na dół, jakbym była marionetką sterowaną przez Ellen, która pociąga za sznurki. Powiedziałam:

– Obiecuję.

Poklepała mnie po ręce i rzekła:

– Dobrze.

Znowu dotarł do mnie ból. Chwycił i potwornie ścisnął dolne partie ciała. Brałam go do siebie, jakby ktoś zadawał mi go celowo. Próbowalam nie stawiać mu oporu, zaakceptować go jak karę, ale szczerze mówiąc, był zbyt silny.

– Ulżyj sobie trochę – powiedziała Ellen i włożyła mi do ręki coś w rodzaju włącznika światła.

Wcisnęłam guzik. Po paru sekundach poczułam rozlewające się po ciele ciepło – jakby od stóp w górę ktoś nakłuwał mi nogi milionem szpilek i igieł. Ból się zmniejszył.

Zapytałam:

– Czemu tu jesteś? I czemu jesteś dla mnie taka miła?

Czułam się tak, jakbym miała usta wypełnione szklanymi kulkami, jakbym od bardzo dawna nie mówiła.

Ellen już chciała odpowiedzieć, ale nagle zmieniła zamiar. Najwyraźniej zastanawiała się nad własnymi motywami.

– Sama nie wiem. Przerazałaś mnie, ale jednocześnie intrygowałaś. Uważałam nawet, że to ma jakieś dziwne uzasadnienie. To, że nas obserwowałaś, sprawiało, że moje życie wydawało się bardziej interesujące.
– Potrząsnęła głową. – W pewnym sensie się od ciebie uzależniłam.

– Powinnaś mnie nienawidzić – odezwałam się nieswoim, nieznanym, bełkotliwym głosem, jak człowiek po udarze mózgu. – Patrick mnie nienawidzi.

– To dlatego, że nie byłam z tobą emocjonalnie związana, a on tak. Patrick cię nienawidzi, ponieważ kiedyś cię kochał.

– Miło, że tak mówisz – powiedziałam. Poczułam, że cieknie mi z nosa. Chciałam go obetrzeć wierzchem dłoni, ale stwierdziłam, że tkwi w niej

wenflon. Głośno siąknęłam. Wszystko mi było jedno. Nie miałam już nic do stracenia, nie zostało mi ani odrobiny godności.

– Nie jestem aż tak miła – odezwała się Ellen. – Kiedy zobaczyłam w twojej ręce wydruki z USG, miałam ochotę cię zabić. Okazuje się, że jednak mam pewne ograniczenia. Nie chcę, żebyś zbliżała się do mojego dziecka. – Jej spojrzenie błysnęło stałą.

Przyszło mi do głowy słowo „przepraszam”, ale nagle wydało się obraźliwe, nieodpowiednie. Zamiast tego powiedziałam:

– Patrick ma szczęście, że z nim jesteś.

I pomyślałam sobie, że chyba naprawdę tak właśnie uważam, że gdzieś w odległym, szlachetnym zakątku duszy mogłabym się nawet cieszyć jego szczęściem.

Jej twarz drgnęła. Odrobinę, ledwie dostrzegalnie.

– Wciąż kocha żonę – odparła.

– Oczywiście – zgodziłam się. Czułam, że zaczynam tracić kontrolę nad zmysłami. – Ciągle kocha Colleen. Pierwsza miłość i tak dalej, ale co z tego, skoro ona nie żyje, prawda? Zawsze wiedziałam, że kocham go bardziej niż on mnie, ale było mi wszystko jedno, po prostu bardzo go kochałam i tyle. – Ogromna fala zmęczenia ciągnęła mnie nie wiedzieć dokąd.

– Wiem, że tak było. – Ellen podeszła i poprawiła mi koce, jak matka. – Kochałaś go. I Jacka.

Na ułamek sekundy wróciła mi klarowność umysłu. Zapytałam:

– Zahipnotyzowałaś mnie?

Uśmiechnęła się.

– Próbowałam cię odhipnotyzować, Saskia.

I wtedy znowu odpłynęłam. Usłyszałam jeszcze jej słowa:

– Pora zrobić krok do przodu, Saskia, i odrzucić wszystkie wspomnienia o Patricku i Jacku. To wcale nie oznacza, że to nie miało miejsca, że Patrick cię nie kochał albo że nie byłaś wspaniałą mamą dla Jacka. Wiem, że byłaś. To nie oznacza, że cię straszliwie nie zranił. Ale nadeszła pora zamknąć te drzwi. Wyobraź sobie prawdziwe drzwi. Wielkie, ciężkie, drewniane drzwi ze starodawnym złotym zamkiem. A teraz zamknij je. Łup. Przekręć klucz. Wyrzuć go. Drzwi są zamknięte, Saskia. Zamknięte. Na zawsze.

Kiedy znów się obudziłam, w pokoju nikogo nie było. Wydawało mi się, że wizyta hipnotyzerki tylko mi się przyśniła.

ROZDZIAŁ 23

Kochanie! Czekolady chcę codziennie!

Phillipa, matka chrzestna Ellen

Sufrażystki nie po to głodowały, by uzyskać prawo głosu, żebyście teraz wy, dziewczyny, głodowały dla faceta.

Mel, matka chrzestna Ellen

O Boże, jakież wygadywała płytkie bzdury: „zamknij drzwi”, „zamknij je na zawsze”.

Na miłość boską, ta kobieta włamała się do ich domu w środku nocy i przyglądała się, jak śpią. To pewnie schizofreniczka, dwubiegunowa albo Bóg jeden wie kto. Pewnie potrzebuje leczenia psychiatrycznego – farmakologicznego w połączeniu z terapią. Niewinne, sentymentalne komentarze Ellen były jak podawanie jej witamin w momencie, kiedy potrzebowała operacji.

Poza tym metafora z drzwiami nie była najwłaściwsza. Nie zamykało się drzwi przed wspomnieniami. To nic innego jak zachęta to tłumienia przeżyć i emocji. Stosowniejsze byłoby coś z wodą. Oczyszczyć się... lub, eee, nieważne.

Ellen szeroko ziewnęła, nie wysilając się nawet, by zasłonić usta ręką. Wracała ze szpitala. Na ulicach było puściej niż zwykle – ze względu na

burzę piaskową ludzie zostali w domach. Było wietrznie, ale nie aż tak jak poprzedniej nocy. Na niebie wisały ciężkie, ponure chmury, a miasto pokrywała gruba warstwa pomarańczowego pyłu. Wszystko wydawało się brudne. Minęła pustą kafejkę uliczną. Kobieta w szpitalnej maseczce na twarzy myła mopem podłogę. Jakaś matka wysiadała z samochodu z małym dzieckiem na rękach. Narzuciła mu na głowę prześcieradło, podobnie jak chronił przed dziennikarzami swoje dzieci Michael Jackson. Potem przebiegł młody człowiek w szortach i koszulce. Wyglądał jak przybysz z zupełnie innego dnia – słonecznego, czystego, zwyczajnego dnia, kiedy niebo było jeszcze niebieskie...

Czemu w ogóle z nią rozmawiałaś? Wszyscy będą o to pytać. Jesteś jeszcze bardziej świrnięta niż ona! Zaniośłaś jej kwiaty i czekoladki? Kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia?

Spojrzała na zegarek. Było południe. Wróciła myślami do wczesnego poranka. Wydawało się, że od tamtej pory minęły dni, nie godziny.

Kiedy się okazało, że Jack czuje się wystarczająco dobrze, by można go było ruszyć z podłogi, Patrick postanowił jechać z nim do szpitala. Jasne, że nie był w stanie siedzieć i czekać na karetkę, że musiał coś robić, działać, a co najważniejsze, znaleźć się jak najdalej od Saskii. Ellen wyczuwała wrzącą wściekłość, która niczym ciepło wywołane gorączką promieniowała z jego ciała. Ellen zapewniła, że zostanie w domu i poczeka na karetkę dla Saskii.

„Nie zostawię cię z nią” – oznajmił Patrick. Ellen przekonała go jednak, że Saskia była półprzytomna, miała bardzo płytki oddech i z całą pewnością odczuwała ogromny ból, nie stanowiła więc dla nikogo zagrożenia. Poza tym nie mogli przecież zostawić jej samej, a pogotowiu przykleić na drzwiach kartki z informacją, co zaszło. Patrick nie był w nastroju na tego

typu dowcipkowanie. „Wezwijmy policję – powiedział – i niech policja się nią zajmie”. Ellen przekonała go jednak, by skoncentrował się na Jacku.

Karetka przyjechała. Ratownicy powiedzieli Ellen, że zabierają Saskię do szpitala Mona Vale. Przestrzegli ją, by nie próbowała jechać bezpośrednio za nimi, żeby się nie spieszyła, bo Saskia jest w dobrych rękach. Z góry założyli, że Ellen również miała zamiar jechać. Ubrała się więc i pojechała do szpitala, gdzie przesiedziała wiele godzin w zatłoczonej poczekalni, czytając szmatławe czasopisma, z których nie rozumiała ani słowa, otoczona charczącymi astmatykami, zbiorowo cierpiącymi na duszność z powodu zalegającego wszędzie pyłu. W końcu podeszła do niej pielęgniarka i powiedziała, że na parę minut będzie mogła zobaczyć Saskię.

W międzyczasie Ellen rozmawiała przez komórkę z Patrickiem, który zawiózł Jacka do prywatnego szpitala w Manly, gdzie czekali na wynik rentgena ręki. Patrick nie zapytał nawet o Saskię – zakładał najwyraźniej, że Ellen jest w domu, bo kazał jej się przespać.

Jak zareaguje, kiedy usłyszy, że była w szpitalu i rozmawiała z Saskią? Czy uzna to za zdradę? I czy to była zdrada?

Sęk w tym, że rozmowa z Saskią wydawała się nie tylko słuszna. Była imperatywem, i to dla nich obu.

Ellen pomyślała o rozpacz na twarzy leżącej na wąskim szpitalnym łóżku Saskii. Była Patricka przypominała Ellen osobę, która w wyniku kataklizmu straciła absolutnie wszystko. Osobę, która zмага się ze świadomością, że właśnie runęły filary podpierające całe jej dotychczasowe życie.

Czy naprawdę sięgnęła dna? Rozpacz, którą widziała Ellen, mogła być tylko wynikiem fizycznego bólu (pielęgniarka uprzedzała, że będzie silny), a kiedy Saskia stanie na nogi, wróci do dawnych nawyków.

Odezwał się telefon, który leżał na siedzeniu pasażera. Dzwonił Patrick. Pewnie wrócili już z Jackiem ze szpitala i zastanawiali się, gdzie jest Ellen. Ponieważ znajdowała się już tylko parę minut od domu, postanowiła się nie zatrzymywać, by odebrać telefon.

Nie było wątpliwości, że dla Patricka również będzie to punkt zwrotny. Teraz, kiedy na wszystkim ucierpiał Jack, Patrick bez wątpienia zgłosi sprawę na policję. Nawet jeśli Ellen będzie próbowała go przekonać, że nie trzeba, bo Saskia osiągnęła punkt zwrotny i sama się od nich odsunie, i tak jej nie uwierzy. Przypomniła sobie jego wykrzywioną strachem i wściekłością twarz, kiedy w tym niesamowitym świetle poranka rzucał się do niej w poprzek łóżka.

Gdyby się myliła, to jest gdyby Saskia postanowiła jednak nadal ich nękać, nienawiść, którą żywił do niej Patrick, stopniowo by go wyniszczyła. Była jak kwas wyżerający go od środka. Ellen przeczuwała, że ostrzejsze rysy na osobowości Patricka pojawiły się właśnie za sprawą Saskii. Przez większość czasu ukrywał je, przybierając ulubioną pozę wyluzowanego, bezpośredniego Australijczyka. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy lepiej go poznała, a właściwie kiedy poznała go naprawdę, bo skończył się już między nimi etap początkowego zauroczenia, wyraźnie zobaczyła, jak wyłaniają się owe ostrzejsze rysy. Brak zaufania. Niepokój. Gorycz. A przecież tyle już w życiu wycierpiał, zanim nawet poznał Saskię.

Zastanawiała się, jakim człowiekiem byłby dziś Patrick, gdyby Colleen żyła. Pewnie mieliby więcej dzieci. Patrick byłby typowym tatą, zaangażowanym w sprawy szkolne, a decyzje dotyczące domu pozostawiającym żonie. Prostszy, łagodniejszy człowiekiem. Szczęśliwszym.

A maleńkie dziecko, które wczoraj machało do nich z ekranu, w ogóle by nie istniało.

Cóż. Nieważne. Głupie i bezsensowne rozmyślenia.

Znowu ziewnęła. Była nie tylko wykończona, ale i wygłodzona. Poczula nagły wilczy głód, jakiego przed ciążą nie znała. Miała ochotę, kiedy dojedzie do domu, paść na łóżko z gigantycznym talerzem kanapek i herbatą, a potem nakryć się kołdrą i zapaść w głęboki, mocny sen. Powie Patrickowi, że jest zbyt zmęczona, by o czymkolwiek rozmawiać – o przeszłości, przyszłości czy teraźniejszości.

On nie...

Nie myśl o tym, nakazała sobie ostro.

Nie miało to jednak sensu, bo wiedziała, że od ostatniej nocy, pomimo dramatycznych wydarzeń, właściwie o niczym innym nie myślała. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin, składało się na istny koszmar.

Nie kocha mnie tak mocno, jak kochał Colleen. Ma wątpliwości. Patrzy na mnie, a myśli o niej i widzi tylko to, że to „nie to samo”. Nigdy nie pokocha innej tak, jak kochał Colleen.

Badała własne uczucia powoli i ostrożnie, jakby odchyłała ubranie, by zbadać ranę postrzałową.

Czy bolało?

Tak, i to bardzo.

Pomyślała o trzeźwej akceptacji, z jaką Saskia stwierdziła, że Patrick i tak najbardziej będzie kochał Colleen, i nagle doznała oświecenia. Ja nie kocham Patricka tak bardzo jak Saskia.

Saskia nie zważała, czy jest kochana tak samo jak Colleen, a Ellen – tak. Jeśli oddawała kawałek swojego serca, chciała dostać w zamian identyczny. Choć nie, w rzeczywistości wolałaby dostać większy. Tak.

A tak naprawdę to chciała być uwielbiana. Była przecież w ciąży. Zasługiwała na to, by być uwielbianą.

Cóż. To po prostu infantylne, prawda?

Kobiety bez przerwy rodziły dzieci, i to często nie mając troskliwego, adorującego je partnera. Ona takiego miała. Czy to nie wystarczy? I tak jej się poszczęściło. Jej matka przeżyła ciążę i poród w ogóle bez mężczyzny.

Ellen była szczęściarą. Dostała więcej miłości, niż powinno jej przypaść w sprawiedliwym udziale. Być może w tym właśnie tkwił problem. Zepsuto ją, okazując jej zbyt dużo uwielbienia.

Zapomni o tym, co Patrick mówił o Colleen. Nigdy nie będzie o tym myśleć, nigdy nikomu o tym nie powie. Z całą pewnością nie wspomni o tym samemu Patrickowi.

Tak, to może być trudne, ale bez wątpienia – właściwe.

Ktoś z tyłu zatrąbił krótko, uprzejmie. Kiedy tak siedziała i oddawała się cnotliwym rozmyślaniom, światło dawno zmieniło się na zielone. Podniosła rękę w przeproszającym geście i nacisnęła na pedał gazu.

Masz szczęście, powtórzyła sobie.

*

– A więc przez najbliższe miesiące będzie pani potrzebować dużo wsparcia – podsumował mój lekarz. Wydawał się bardzo młody, miał zaczerwienione policzki niemowlaka. Chyba się starzeję.

Przypomniałam sobie, że kiedy mama była w szpitalu, nie mogła się nadziwić, jacy młodzi są lekarze. „Śmiać mi się chce” – szepnęła do mnie. „Mówią tak poważnie, a wyglądają jak dzieciaki poprzebierane za dorosłych”.

Dzieciaki wiedziały jednak, o czym mówią. „Prawdopodobnie dociągnie do Bożego Narodzenia – powiedział mi jeden – ale raczej nie

dłużej”.

Nie było mnie przy niej, kiedy umierała. Musiałam jechać do domu, bo Jack zaczynał szkołę. Śmieszne, że pomyślałam, że to był dom.

Lekarz potwierdził to, co wcześniej mówiła Ellen. Złamana miednica. Złamana kostka. Następnego dnia operacja. Kolejnych sześć tygodni w łóżku.

Zastanawiałam się, jak długo będzie się goić ręka Jacka.

– Nie mam żadnej rodziny – powiedziałam lekarzowi. Nie wiem, czemu to zrobiłam. Może myślałam, że przepisze mi ją na receptę?

– Cóż, w takim razie będzie pani musiała polegać na przyjaciółach – odparł. – Widziałem, że ktoś już panią odwiedził. Pewnie bliska znajoma, bo była bardzo zatroskana. – Oczywiście miał na myśli Ellen.

– Uhm – mruknęłam. – Ale nie sądzę, aby jeszcze przyszła.

– Aha – rzekł. – Cóż, jak już mówiłem, będzie pani potrzebne wsparcie, więc być może trzeba będzie zwrócić się z prośbą do znajomych. Ale proszę się nie martwić. Ludzie uwielbiają pomagać w potrzebie. To im poprawia samopoczucie. Wie pani, czują się wtedy przydatni. Zdziwi się pani, widząc, jak bardzo znajomi się zaangażują.

– Tak, na pewno – stwierdziłam.

Nie mogłam mu przecież wyznać, że nie było nikogo, kto by się mną zajął, że nie miałam, jak każdy przeciętny człowiek, zwyczajnego kręgu znajomych, że nikogo nie mogłabym poprosić o pomoc. Do głowy by mu nie przyszło, że tacy jak ja w ogóle istnieją – ludzie z pozoru normalni i wykształceni, a w rzeczywistości równie szaleni i samotni jak bezdomny kloszard.

Potem przypomniałam sobie, na czym polega różnica między mną a bezdomnym. Ja miałam pieniądze. Zapłacę komuś za to, żeby mnie wspierał, pomyślałam. Na pewno istnieją tego typu usługi.

– Wyjdzie pani z tego – zapewnił lekarz.

Próbowałam się uprzejmie uśmiechnąć, ale mięśnie twarzy się zbuntowały, jakby nie przywykły do uśmiechu, jakbym przedtem nigdy się nie uśmiechała.

Lekarz wcisnął mi do ręki przełącznik do regulacji dawki morfiny i poklepał mnie po ramieniu.

– Proszę regulować sobie ilość środka przeciwbólowego i cieszyć się nim, póki działa, bo wkrótce zaczniemy panią od niego odstawiać.

Wcisnęłam czerwony guzik.

*

Kiedy Ellen dotarła do domu, Jack mocno spał. Leżał w swoim łóżku zwinięty w kłębek na boku, taki drobny i blady. Ręka w gipsie leżała na kocu.

– Zapisali mu silne leki przeciwbólowe – powiedział cicho Patrick, kiedy stali razem w pokoju chłopca i na niego patrzyli. Poprawił synowi kołdrę i położył mu rękę na czole. – Na pewno będzie spał bardzo długo.

Kiedy ramię przy ramieniu schodzili ze schodów, Ellen czuła, jak w Patricku wzbiera furia, jak zaczyna się w nim gotować. W salonie Patrick natychmiast zaczął krążyć w tę i we w tę i gadać jak nakręcony. Nie spytał, gdzie w ogóle Ellen się przez ten czas podziewała. Chciał jej wszystko opowiedzieć – że dzwonił już na policję, że kazali mu zgłosić się jak najszybciej i złożyć pełne zeznania, by można było rozpocząć procedurę wydania wobec Saskii zakazu zbliżania się do nich. Bez przerwy powtarzał, że obrażenia Jacka mogły być znacznie gorsze, że kiedy mały leżał nieruchomo u stóp schodów, myślał już, że on nie żyje i czy ona też tak myślała, i że powinien już dawno wystąpić o ten zakaz zbliżania się wobec Saskii i że nigdy sobie nie daruje, że tego nie zrobił.

– Cały czas się zastanawiam, jak się tu dostała – rzekł w końcu.

– Nie wiem – odparła Ellen zmęczonym głosem. Gdy Patrick mówił, ona położyła się na skórzanej sofie dziadka i nakryła oczy ramieniem. Kiedy tylko weszła do domu, Patrick zaproponował, że zrobi jej herbaty, ale jak dotąd herbaty nie było. – Kiedy zrobiła to ostatnim razem, schowałam klucz gdzie indziej.

– Co? – spytał.

Ellen za późno zdała sobie sprawę z błędu. Otworzyła oczy.

Patrick zatrzymał się w pół kroku i stanął jak wmurowany.

– Co powiedziałaś? Jak to „ostatnim razem”?

Otworzyła usta, by wyjaśnić, i znowu je zamknęła. Rozpaczliwie próbowała znaleźć równowagę między własną uczciwością a jego narastającą wściekłością. Szybko się poddała.

– Tego dnia, kiedy pojechaliśmy w góry, zostawiła przed drzwiami ciastka – wyznała. – Przypuszczam, że upiekła je u mnie w kuchni.

– Co? Włamała się tu już wcześniej, a ty to przede mną zataiłaś?

– Nie byłam pewna, mogłam się mylić. – Ellen usiadła i obronnym gestem założyła ręce na brzuchu. – Miałam takie przeczucie, to wszystko.

Patrick patrzył na nią tak, jakby chciał ją uderzyć. Przed oczami stanęła jej chwila, kiedy chwycił Saskię za ramiona, jakby miał zamiar cisnąć nią o ścianę.

– Nie jestem Saskią – powiedziała mimowolnie.

– Wiem, że nie jesteś – mruknął i niecierpliwie, z niechęcią machnął ręką. – Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam cię denerwować – wyznała. – Wiedziałam, jak cię to wkurza.

– Wyrzuciłaś od razu te ciastka, mam nadzieję.

– Oczywiście – odparła. Uznała, że uczciwość jest przereklamowana.

– Pewnie miały w środku trutkę na szczury. Albo, na Boga, nie wiem, węglika?

– Ona nie chce cię zabić, Patrick. Ona cię kocha.

– Skąd ty możesz wiedzieć, czego ona chce? – zapytał. – Nie masz zielonego pojęcia, czego ona chce. Na Boga Najwyższego, ta kobieta wczoraj w nocy przyglądała się, jak spaliśmy!

– Porozmawiałam z nią w szpitalu – przyznała się Ellen. – Myślę, że na tym koniec. Naprawdę tak uważam. Obiecała mi. A poza tym długo będzie przykuta do łóżka.

Patrick usiadł w fotelu naprzeciwko Ellen. Na tym fotelu jej babcia zwykła oglądać telewizję. Patrick był na niego o wiele za duży i zbyt grubiański. Ellen niemal siłą powstrzymała słowa: „Nie siadaj tam”.

– Rozmawiałś z nią – wycedził Patrick. – Po co to zrobiłaś?

– Pomyślałam po prostu, że jeśli z nią porozmawiam, może uda mi się coś zdziałać.

– W porządku – rzekł Patrick. Przebiegł dłonią po twarzy, skubiąc rosnący zarost. – Miło sobie, dziewczyny, pogadałyście?

– Naprawdę uważam, że sięgnęła dna – zaczęła Ellen.

– Och, jak bardzo mi jej żal – szydził Patrick.

Ellen zamilkła. Miał prawo do sarkazmu.

Przez parę sekund patrzyli sobie prosto w oczy, po czym Patrick odwrócił wzrok i potrząsnął głową.

Wziął głęboki oddech.

– Myślałem, że jesteś po mojej stronie.

– Ależ jestem! – wykrzyknęła natychmiast Ellen.

– Wygląda na to, że nie.

– To głupota.

– Gdyby ciebie prześladował były chłopak, i to w ten sposób, w jaki Saskia prześladowuje mnie, nie wahałbym się. Ukręciłbym mu łeb.

– Czyli ja powinnam rzucić się na Saskię z pięściami? – zawołała Ellen niesprawiedliwie. Musiała za wszelką cenę udowodnić swoją rację.

– Oczywiście, że nie – odparł Patrick zmęczonym głosem. Oparł się ciężko o fotel i przymknął oczy.

W samym środku czoła Ellen dominowało uczucie głuche dudnienia. Nadgarstek swędział ją niemożliwie.

Wina. To właśnie ją czuła, ponieważ w pewnym sensie Patrick miał rację. Bardziej zależało jej na tym, by zrozumieć, co znaczy być Saskią, niż na tym, by postawić się na miejscu Patricka. Dojrzałą reakcją z jej strony byłoby nic nie mówić, nie bronić się i – na pewno – przestać trzymać stronę Saskii.

Zamiast tego powiedziała:

– Myślisz teraz o niej?

– O kim? – Patrick otworzył oczy.

– Myślisz o Colleen?

– O czym ty mówisz? Dlaczego miałbym myśleć o Colleen? Co ona ma z tym wszystkim wspólnego? – Był kompletnie zdezorientowany.

To by było na tyle, jeśli chodzi o jej szlachetne postanowienie w samochodzie. W pewnym sensie miała ochotę cofnąć czas, a wraz z nim zadane pytanie, a w pewnym, podstawowym, instynktownym, sensie pragnęła, by wszystko – co do każdej jednej najdrobniejszej kwestii – zostało otwarcie omówione.

– Wczoraj w nocy mówiłeś, że czasem patrzysz na mnie, ale myślisz o Colleen i wydaje ci się, że to nie to samo i że nikogo nie pokochasz już tak, jak ją kochałeś.

– Tak mówiłem? – zapytał Patrick, po czym na chwilę zamilkł. – Nigdy tego nie powiedziałem!

– Byłeś w hipnozie – przyznała.

Nie powiedział przecież: Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział.

– A więc było tak, jakbym mówił przez sen – odparł Patrick powoli.

– Coś w tym rodzaju – przyznała Ellen. – Byłeś gdzieś między snem a jawą.

– A więc kiedy mamy te sesje hipnozy, pytasz mnie o różne rzeczy? – chciał wiedzieć Patrick. – Na przykład o Colleen? To wszystko po to? Żeby mi poszperać w głowie?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła Ellen. Zaczął dzwonić telefon. Przyszło jej do głowy, że może powinna to wykorzystać jako idealną szansę ucieczki od tej rozmowy, która zdecydowanie nie zmierzała we właściwym kierunku. Spuściła wzrok i stwierdziła, że drapała się w nadgarstek tak mocno, że na skórze pojawiły się kropelki krwi.

– Nie odbieraj, niech zostawi wiadomość – powiedział Patrick.

Siedzieli, nie odrywając od siebie wzroku, a telefon nie przestawał dzwonić.

*

Za sprawą morfiny wszystko się topiło. Sufit zmiękł i wirował, a biały koc, którym byłam okryta, marszczył się jak woda.

Kiedy zamykałam oczy, by nie patrzeć na topniejący pokój, stawały mi przed nimi – jedno po drugim, jak raptownie wykładane z talii karty – wydarzenia całego mojego życia.

Patrick czekający na mnie przed kinem, głęboko zamyślony, taki smutny, a na mój widok twarz mu się rozjaśnia. Mama, jeszcze blondynka, wiezie mnie ze szkoły do domu, patrzy przed siebie na drogę i śmieje się

z czegoś, co powiedziałam. Dzieciaki sąsiadów przyglądają mi się nonszalancko, ufnie. Lance z pracy stoi w moim pokoju i gorliwie wręcza zestaw płyt z *Prawem ulicy*.

Otworzyłam oczy. Przypomniałam sobie, że przecież mam pracę i powinnam kogoś zawiadomić, że przez jakiś czas się w niej nie zjawię.

Zadzwoiłam z telefonu przy łóżku. Odebrała Nina. Kiedy usłyszałam jej znajomy, pełen zadowolenia głos, doznałam przerażającego uczucia – coś w rodzaju tego, jakby mi się śniło, że wchodzę do biura nago. Zabawa skończona. Dowiedzą się prawdy.

Usłyszałam własny głos:

– Nina, to ja. Saskia.

– O, hej, Saskia, nie wiedziałam, że cię dziś nie ma. Słuchaj, chciałam cię zapytać, czy...

– Nina – zaczęłam. Czuję się tak, jakbym mówiła pod wodą. Mocno chwyciłam słuchawkę.

Musiałam zrobić za długą przerwę, bo Nina odezwała się:

– Saskia, jesteś tam?

– Sięgnęłam dna – powiedziałam.

– Słucham?

*

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekł Patrick. Miał szklany wzrok. – W głowie mam tylko ostatnią noc. Nie pamiętam, że mówiłem, no wiesz, to o Colleen.

– Nie powinnam była o tym wspominać – stwierdziła Ellen. Była sobą tragicznie rozczarowana. Gdzieś w głębi domu zaczęła dzwonić jej komórka.

– Możemy o tym pogadać później? – zapytał Patrick. – Chcę teraz iść na policję, póki Jack śpi, i złożyć te zeznania.

– Jasne – powiedziała Ellen. – Wiesz, właściwie to zapomnijmy, że w ogóle...

– Niczego nie będziemy zapominać – przerwał jej Patrick. – Porozmawiamy o tym kiedy indziej. – Uśmiechnął się do niej, a jej nieoczekiwanie zachciało się płakać. – Obiecuję, że dokładnie omówimy to wszystko później, no i oczywiście wszystko naprawimy.

– Dobrze.

Znowu rozdzwonił się telefon w biurze.

– Wygląda na to, że ktoś koniecznie chce z tobą rozmawiać.

– Tak – stwierdziła Ellen, po czym gwałtownie straciła dech w piersi. – O Boże, zapomniałam. Kompletnie zapomniałam.

– O czym?

Ellen spojrzała na zegar nad głową Patricka i siłą woli spróbowała cofnąć wskazówki. Było wpół do trzeciej po południu.

– O tej dziennikarce. Miałam się z nią dziś spotkać w kawiarni, o jedenastej. – Wyobraziła sobie dziennikarkę niecierpliwie stukającą palcami w blat stołu i z irytacją raz po raz spoglądającą na zegarek. I tak była już wrogo nastawiona do Ellen. Teraz pomyśli jeszcze, że Ellen celowo nie przyszła. Bo miała coś do ukrycia.

– Umów się jeszcze raz – powiedział szybko Patrick. – Powiedz jej, że mieliśmy wypadek w domu. To nie twoja wina.

– Tak – zgodziła się Ellen, ponieważ oczywiście było to logiczne, ale w głębi duszy wiedziała już, że sprawa wygląda fatalnie. Utwierdziła się w tym przekonaniu po odsłuchaniu nagrań na komórce i na sekretarce w biurze.

„Czekam w kawiarni, którą pani zaproponowała” – mówiła Lisa, podkreślając nieco słowo „pani”. Słyszalne w tle odgłosy kawiarnianej krzątaniny pogłębiły tylko poczucie winy Ellen. „Artykuł mam zamiar złożyć do druku dziś po południu, więc jeśli się pani do tego czasu nie odezwie, zakładam, że nie ma pani żadnych komentarzy ani nie jest pani zainteresowana odniesieniem się do kwestii poruszonych przez pani byłych klientów”.

Ellen odłożyła słuchawkę, lecz telefon w tej samej chwili niespodziewanie zadzwonił. Ellen poderwała słuchawkę z rozpaczliwą nadzieją, że to szansa na odkupienie. Nie. To była matka.

– Całe rano próbowałam się do ciebie dodzwonić – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Koniecznie musimy porozmawiać.

– Nie mogę teraz – odparła Ellen. – Oddzwonię do ciebie później.

Telefon znowu zadzwonił. Tym razem była to Julia. Niskim, ochrypłym głosem zapytała:

– Zgadnij, kto właśnie wyszedł z mojego łóżka.

– Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać – powtórzyła Ellen. Coraz bardziej przypominało to jakąś żalosalną komedię. – Przepraszam – dodała i odłożyła słuchawkę.

– Oddychaj – przypomniał jej Patrick, który pojawił się w drzwiach biura.

– Cicho bądź.

Zadzwoniła na komórkę dziennikarki. Od razu włączyła się poczta głosowa. Ellen zostawiła wiadomość. Za wszelką cenę starała się, by w jej głosie nie było słycać paniki.

– Mój przybrany syn miał wypadek – powiedziała. – Byłam w szpitalu.

Jej głos nie brzmiał autentycznie. Wydawał się wymuszony i nienaturalny. Czuła się, jakby kłamała, chociażby dlatego, że nigdy nie

używała w odniesieniu do Jacka określenia „przybrany syn”, i dlatego, że nie była w szpitalu z nim, a z Saskią. Patrick nadal stał w drzwiach i na migi nakazywał jej głęboko oddychać. Ellen machnęła ręką, by go odgonić.

Poczucie winy, które ją dręczyło, było nieproporcjonalne. Przecież nikogo nie zamordowała. W rzeczywistości nie zrobiła nic złego poza tym, że zapomniała o spotkaniu.

Dokończyła wiadomość:

– W dalszym ciągu z przyjemnością z panią porozmawiam (z przyjemnością – ha, brzmiała jak telemarketerka!).

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi.

Patrick poszedł na dół, by otworzyć. Ellen zamarła, słysząc głos swojej klientki. To Mary-Beth jak zwykle spóźniła się na wizytę o wpół do trzeciej. O, na przykład Mary-Beth z całą pewnością zasługiwała na cały akapit w artykule atakującym Ellen. Jego autorka mogła łatwo obliczyć, ile kosztowały sesje Mary-Beth przez ostatnich kilka miesięcy – sesje, które nie przyniosły żadnego efektu. A potem mogła przytoczyć cenę tych butów, które Ellen sobie zafundowała, by zaledwie raz włożyć je na nogi.

Jestem złym człowiekiem, pomyślała Ellen. Złym, złym człowiekiem.

(Nigdy nie pokocha mnie tak, jak kochał Colleen).

(W końcu mnie zostawi i zostanę samotną matką jak mama).

(I bez pracy).

(A na domiar złego za pięć krótkich lat stuknie mi czterdziestka. Czterdziestka!)

– Mary-Beth! – zawołała, zdeterminowana. Prężnym krokiem zeszła po schodach.

W tym czasie Patrick zaprosił Mary-Beth do środka.

– Bardzo mi przykro, ale nie będę mogła dziś cię przyjąć. A prawdę mówiąc, nie będę mogła cię przyjąć już nigdy.

Mary-Beth zrobiła zdumioną minę. Ellen zauważyła, że wyglądała dziś jakoś inaczej. Jej cera straciła ziemisty odcień. W ręce miała bukiet kwiatów, a na szyi – długi, żółtozłoty szal.

Patrick spojrzał na Ellen ponad głową Mary-Beth pytająco, ze zmarszczonymi brwiami. W jego zmęczonych oczach wyraźnie dało się wyczytać pytanie: „Co, teraz zamierzasz odsyłać wszystkich klientów?”. Nieznacznie wzruszył ramionami, wszedł na górę i zniknął.

– Wszystko w porządku? – spytała Mary-Beth.

– Nie, nie – odparła Ellen. – Jutro najprawdopodobniej ukaże się w gazecie artykuł, który zniszczy mi reputację.

– W której gazecie? – zapytała bez zastanowienia Mary-Beth, jakby zamierzała natychmiast lecieć do najbliższego kiosku po egzemplarz.

– W „Daily News” – odparła Ellen. – Tak naprawdę to wolałabym, żebyś jej nie czytała, mówiąc szczerze, ale wiesz, chodzi o to, że...

– Cóż. Zobaczymy, co się da z tym zrobić – powiedziała Mary-Beth. – Och, i przy okazji: to dla ciebie. – Wręczyła Ellen bukiet.

– Dziękuję. – Ellen zapatrzyła się w kwiaty. Były żółte, jak szal jej klientki. – Naprawdę nie sędzę, abyś mogła coś na to poradzić. Oczywiście bardzo ci jestem wdzięczna...

– Opowiedz mi wszystko.

– Słucham?

– Oczywiście na tyle, na ile możesz bez naruszania zasady poufności, opowiedz mi, co zaszło.

– Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

– Jestem prawnikiem – oznajmiła Mary-Beth. – Specjalizuję się w sprawach o zniesławienie.

ROZDZIAŁ 24

Ale ja mam małe dziecko.

Pierwsze słowa Colleen Scott, kiedy dowiedziała się, że zostało jej tylko kilka miesięcy życia

Śniło mi się, że Lance z pracy siedzi obok mnie na szpitalnym łóżku, a towarzyszy mu blada, rudowłosa kobieta, której nie znałam.

– Nie, Lance, nie obejrzałam jeszcze *Prawa ulicy* – powiedziałam dla własnej rozrywki.

– Nic nie szkodzi – odparł.

To nie był sen. Lance naprawdę siedział przy moim łóżku.

– Bardzo cię boli? – zapytała rudowłosa. – Jakiś czas temu moja kuzynka złamała miednicę. Mówiła, że ból był gorszy niż przy porodzie.

– Nie znam bólu porodowego – odparłam. Kim była ta kobieta?

– Ja też nie – powiedziała. – Ale to uniwersalny wyznacznik bólu, prawda? Jakby osoby, które nie rodziły, nie były uprawnione do oceny bólu. Choć podobno o wiele gorsze jest rodzenie kamieni nerkowych.

– Czy nie powinniśmy raczej starać się odwrócić jej uwagi od bólu? – zapytał Lance.

– Próbowałam tylko okazać współczucie – odparła kobieta. – Zawsze mówię nie to, co trzeba, kiedy odwiedzam kogoś w szpitalu. – Zerknęła na

mnie i dodała: – Przy okazji, jestem Kate, żona Lance’a. Poznałyśmy się w zeszłym roku na imprezie świątecznej.

– Ach, rzeczywiście – powiedziałam, choć nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek ją widziała. Czyż rok w rok nie wykręcałam się od udziału w tych przyjęciach?

– Pomyśleliśmy, że wpadniemy – oznajmił Lance.

– Po drodze do kina – dodała Kate.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie rozumiałam, czemu mnie odwiedzili.

Zapytałam:

– Na co idziecie?

A dokładnie w tej samej chwili Lance powiedział:

– Przywiozłem kartkę od wszystkich z biura. – Wręczył mi białą kopertę, na której widniało moje nazwisko.

– I czekoladki. – Kate wyciągnęła rękę z pudełkiem czekoladek i pomachała nim niczym hostessa w telewizyjnym programie rozrywkowym. – I kolorowe czasopisma. O, i winogrona. Bardzo mało oryginalnie z naszej strony, co?

Spróbowałam otworzyć kartkę, ale nie mogłam sobie z tym poradzić. Ręce za bardzo mi się trzęsły.

– Daj, ja to zrobię – zaproponował łagodnie Lance.

– Masz ochotę na czekoladkę? – zapytała Kate.

– Może później – odpowiedziałam.

– Mogę ja w takim razie?

– Kate – upomniał żonę Lance.

– Przepraszam – wyraziła skruchę.

– Oczywiście, proszę. – Zerknęłam na kartkę, którą podał mi Lance i przeczytałam nabazgrane notatki.

Saskia! Nie musisz się rzucać ze schodów tylko po to, żeby się wykręcić z udziału w projekcie Eastgate! Wracaj do siebie, i to SZYBKO! Malcolm

Myślę o Tobie, Saskia, wkrótce cię odwiedzę, ściskam, Nina xx

Kochana Saskio, biedaczko! Nie trać ducha! J.D. (Będę w sobotę z ciastem).

– Chcesz, żebyśmy ci coś przywieźli? – zapytała Kate, która pochłaniała już drugą czekoladkę. – Pamiętam, jak mówiłaś, że rodzinę masz na Tasmanii, więc... – przerwała w pół zdania i rzuciła krótkie spojrzenie Lance'owi, jakby się bała, że znów powiedziała coś nie tak.

Ten, skrzepowany, odchrząknął i zapatrzył się w pusty ekran telewizora przy łóżku.

Kate mówiła dalej.

– Ja mam rodzinę w Brisbane, więc rozumiem, co to znaczy, no wiesz. Ludzie mają siostry, matki, kuzynki i kogo tam jeszcze. Więc nie ma kłopotu w razie czego.

Gapiałam się na nich. Na Lance'a. Miał łagodne, senne oczy i szerokie bary, jakby ćwiczył na siłowni. Nie sądzę, abym kiedykolwiek mu się właściwie przyjrzała. Przeniosłam wzrok na jego żonę. Była wyjątkowo chuda, miała płaski biust (chłopczyca – tak by ją nazwała mama), bardzo krótkie włosy i wielkie oczy, niczym leśny duszek. Siedziała na krześle pod dziwnym kątem i zjadała moje czekoladki. A może rzeczywiście rozmawiałam z nią na ostatniej imprezie świątecznej – chyba tak,

o wakacjach w Cradle Mountain. Wyszłam z tej imprezy bardzo wcześnie, by siedzieć w samochodzie pod domem Patricka. Widziałam go wtedy – wrócił do domu i wniósł Jacka do środka na rękach. Mały spał, głowa mu się kiwała.

Znowu pomyślałam o Jacku, o jego złamanej ręce i o Ellen, która powiedziała, że muszę się wyprowadzić z Sydney, i o tym, co by pomyślała ta miła para, gdyby się dowiedziała, co robiłam wczoraj w nocy oraz czym się zajmowałam przez ostatnie trzy lata. Doznałam uczucia, jakbym gwałtownie spadała z dużej wysokości.

– To prawdziwy szok, kiedy coś takiego się stanie – rzekła Kate. – Życie sobie płynie, aż tu nagle łup, dostajesz obuchem w łeb. – Przekrzywiła głowę, by zademonstrować, jak unika obucha, i połowa czekoladek z leżącego na jej kolanach pudełka wylądowała na podłodze.

– Kate – upomniał ją Lance, po czym kucnął i zaczął zbierać czekoladki.

– Uch – jęknęła Kate.

– Nie jestem – zaczęłam.

Chciałam powiedzieć: „Nic nie rozumiecie. Myślicie, że jestem normalną osobą, jak wy, ale nie jestem”. Zabrakło mi słów. Zupełnie jakby moja osobowość uległa całkowitemu rozpadowi. Nadal oddychałam, moje serce pompowało krew, ale mnie samej tam nie było. Była dynamiczna, profesjonalna Saskia, znana Lance’owi, i Saskia świruska, którą znał Patrick, ale teraz wydawało się, że nie istnieje ani jedna, ani druga. Nie miałam pojęcia, jaką naprawdę byłam osobą: zabawną czy poważną, głośną czy cichą. Gdybym przestała pragnąć Patricka, ciekawe, czego bym pragnęła. Czym bym się interesowała? Czy w ogóle istniałam? Tych dwoje miłych, dziwnych ludzi patrzyło na mnie, jakbym istniała, ale mnie samej własna egzystencja wydawała się wątpliwa.

– Pływanie na desce – powiedziałam nagle.

– Och, tak – odparła przyjaźnie Kate, jakby wypowiedź ni z gruszki, ni z pietruszki była absolutnie normalna.

– Wydawało mi się, że Nina wspominała, że spadłaś ze schodów. – Lance zmarszczył czoło. – Że lunatykowałaś czy coś takiego.

Nie pamiętałam, abym mówiła coś takiego Ninie, ale było to logiczne.

– Interesuje mnie pływanie na desce – powiedziałam, po czym zastanowiłam się, czy naprawdę powiedziałam to na głos.

– Tak jak mnie! – zawołała Kate. – Nie to, żebym kiedyś pływała, ale chciałabym spróbować, a w zasadzie to chciałabym się nauczyć prawdziwego surfingu, na normalnej desce. Zawsze miałam zamiar wziąć sobie instruktora.

Lance prychnął, Kate klepnęła go po ramieniu i spojrzała na mnie pogodnie.

– Zdaje się, że nieźle cię nafaszerowali prochami przeciwbólowymi, co, Saskia? – rzucił Lance.

– Nie bądź niegrzeczny – rzuciła Kate. – Przecież mówi całkiem do rzeczy.

– Nie powiedziałem, że nie – zaproponował Lance.

– Czyj to telefon? – chciała wiedzieć Kate.

Rozpoznałam dzwonek swojej komórki. Kate podniosła moją skórzaną torbę.

– Mam odebrać?

Zerknęłam na torbę. Jak to możliwe, że w ogóle miałam ją przy sobie? Po tym wszystkim, co zaszło? Nie wiedzieć czemu, wydało mi się zabawne, że mam przy sobie torbę. Głośno się zaśmiałam.

– Chętnie się dowiem, co cię tak bawi – rzucił Lance.

– Odbiorę – powiedziała Kate, wsunęła rękę do mojej torby i wyłowiła telefon.

– Nie mówiła, że masz odebrać.

– Tu telefon Saskii! – Kate wstała i odeszła od łóżka z moją komórką przy uchu.

Słyszałam, jak mówi: „Tak, tak, jest obok mnie, ale nie martw się, wszystko w porządku, jest po prostu chwilowo w szpitalu”.

– Przepraszam – powiedział Lance. – Kate potrafi być trochę... – Wzruszył ramionami, nie mogąc znaleźć właściwego słowa, by opisać żonę. – Na pewno nie chcesz czekoladki?

– W porządku – odparłam. Wzięłam czekoladkę i patrzyłam na Kate rozprawiającą z ożywieniem. Parę minut później wróciła i odłożyła telefon na szafkę przy łóżku.

– Dzwoniła twoja znajoma, Tammy – powiedziała. – Miałaś się z nią spotkać dziś wieczorem na drinka. Pamiętasz? W każdym razie już tu jedzie. Powiedziałam jej, gdzie cię szukać.

– Musimy się zbierać. – Lance klepnął dłońmi o kolana i podniósł siedzenie z krzesła. – Nie chcielibyśmy cię za bardzo zmęczyć, Saskia.

– To chyba racja – zgodziła się Kate i spojrzała na zegarek. – Choć mamy jeszcze mnóstwo czasu. Moglibyśmy poczekać, aż dotrze tu Tammy i dotrzyma ci towarzystwa, co o tym sądzisz, Saskia?

Miałam szczerzy zamiar powiedzieć coś w rodzaju: „Och, oczywiście, ale nie możecie się przecież spóźnić do kina”, ale z moich ust wyszły zupełnie inne słowa:

– Proszę, zostańcie.

– Oczywiście – powiedzieli chórem.

Był wczesny wieczór. Dom Ellen nieoczekiwanie wypełnił się ludźmi.

Rodzice i brat Patricka przyjechali złożyć autografy na gipsie Jacka i wręczyć mu prezenty na pocieszenie. To samo uczyniła – ku lekkiej irytacji Ellen, której ta nie potrafiła wyjaśnić – matka Ellen. Anne podarowała Jackowi *Księgę rekordów Guinnessa*. Książka okazała się strzałem w dziesiątkę.

Siedzieli wszyscy stłoczeni przy stole w jadalni Ellen i jedli kiełbaski upieczone przez Patricka na grillu. Patrick wrócił z policji w znacznie lepszym stanie. Funkcjonariusze bardzo pochwalili gruby notatnik pełen pedantycznych zapisków dotyczących zachowania Saskii w ciągu trzech ostatnich lat, łącznie z wydrukami mejli, listów i opisami „incydentów”. (Ellen przejrzała go pobieżnie – nie mogła się nadziwić rzeczowym wpisom Patricka: „27 lipca, godz. 00.30 – S tłucze pięściami w mojej drzwi i domaga się, bym ją wpuścił mimo wielokrotnych próśb, żeby odeszła). Powiedziano mu, że zostanie wydany tymczasowy zakaz zbliżania się, który Saskia będzie mogła zakwestionować w sądzie. Najprawdopodobniej usłyszysz też zarzut bezprawnego wtargnięcia na teren prywatny. Wszystko wskazywało na to, że tym razem osoba siedząca za biurkiem na komisariacie potraktowała Patricka z odpowiednim, pełnym szacunku, stanowczym współczuciem. Kiedy wrócił, już nie kipiał. Miał minę człowieka, który właśnie, po długiej walce o sprawiedliwość, został zrehabilitowany.

Komórka Ellen leżała w zasięgu słuchu, na kredensie. Jej właścicielka czekała na telefon od Mary-Beth, która twierdziła, że spróbuje wstrzymać druk artykułu. Ellen nie żywiła specjalnej nadziei. Wydawało jej się mało prawdopodobne, że Mary-Beth – drętwa, ponura Mary-Beth – była zdolna stanąć w szranki z kimś tak potężnym i drapieżnym jak Ian Roman.

„Niczego nie obiecuję” – rzekła po wysłuchaniu całej opowieści. Przez cały czas pochyłym, zdecydowanym pismem robiła zapiski w niewielkim, oprawionym w skórę notatniku. „Ale od razu, kiedy stąd wyjdę, wystąpię o nakaz tymczasowy. Szanse, że go dostaniemy, nie są wielkie, sądy mają na względzie wolność słowa i tak dalej, więc otrzymać go jest prawie niemożliwością, ale będę się starała przekonać prawników »Daily News«, że go dostaniemy. Nie ma wątpliwości, że artykuł jest motywowany złą wolą. I raczej że rzeczywiście splukałby twoją reputację niczym silny strumień wody z rezerwuaru. Tak czy inaczej zamierzam postawić sprawę ostro”.

„Cały czas myślałam, że jesteś sekretarką w kancelarii adwokackiej” – powiedziała słabo Ellen.

„Y-y” – mruknęła bardzo nieprofesjonalnie Mary-Beth i pokręciła głową.

Ellen przypomniała sobie teraz, że Mary-Beth wspominała, iż pracuje w firmie prawniczej. To ona sama założyła, że na pewno jako sekretarka. Czy byłaby wobec niej bardziej cierpliwa, czy okazywałaby jej więcej szacunku, wiedząc, że ma do czynienia z prawniczką? O wstydzie! Odpowiedź brzmiała: tak.

– Wiecie, jaki jest rekord świata, jeśli chodzi o liczbę połamanych kości? – zapytał Jack. Otwarta *Księga rekordów* leżała przed nim na stole i chłopiec, jedząc, wertował ją z zacięciem. Nie czekał na odpowiedź.

– Trzydzieści pięć! – wykrzyknął. Tyle kości złamał sobie naraz facet nazwiskiem Evel Knievel.

– Serio? Nie sądziłam, że w ogóle mamy tyle kości! – zawołała Maureen, która wykazywała duże zainteresowanie księgą, by pokazać, iż wcale nie jest jej przykro, że prezent od niej poszedł w odstawkę.

– W rzeczywistości nasz organizm jest złożony z dwustu sześciu kości – oznajmiła Anne.

– Patrzcie, a to dopiero! – Maureen uśmiechnęła się z zacięciem.

– A niemowlęta mają około trzystu kości, które zrastają się z wiekiem – dodała Anne.

– Musiało być cudownie wychowywać dziecko, mając taką wiedzę medyczną – powiedziała Maureen. – Ja zawsze pakowałam dzieciaki do samochodu i jechałam do lekarza, a potem wychodziłam na idiotkę, bo okazywało się, że to nic poważnego.

Proszę, mamó, tylko nie bądź protekcyjna, pomyślała Ellen.

– Nie, przeciwnie, wydaje mi się, że było znacznie trudniej.

Ellen z ulgą przyjęła fakt, że w uśmiechu, który Anne skierowała do Maureen, było tylko odrobinę majestatu.

– Byłam w pełni świadoma wszelkich zagrożeń. Każda gorączka oznaczała dla mnie pewną śmierć.

– Jeśli już jesteśmy przy gorączkach – odezwał się ojciec Patricka – a raczej nie tyle gorączkach, ile bólach, to ostatnio odczuwam bardzo dziwny ból...

– Tato – mitygował go Patrick.

– George odmawia pójścia do lekarza – powiedziała Maureen – ale kiedy tylko jakiegoś spotka, zaczyna snuć opowieści o swoich dolegliwościach.

– Myślałem po prostu, że ją to zaciekawi – bronił się George.

– Czy uważałbyś to za ciekawe, gdyby ludzie nagle zaczęli ci opowiadać o swoich problemach z elektrycznością? – rzuciła Maureen.

– Z całą pewnością – potwierdził George. – Poszły ci może ostatnio jakieś bezpieczniki, Anne?

– Tak czy inaczej, Ellen, musiało być naprawdę super mieć mamę lekarza – kontynuowała Maureen.

– Mamo – jęknął Patrick.

– Co?

Patrick wzruszył ramionami i odgryzł kawałek chleba z kiełbasą.

– Zawsze strasznie na mnie zrzędziła, jak chorowałam – oznajmiła Ellen.

– Nasza mama identycznie! – odezwał się brat Patricka. – Nie pamiętam u niej większej wściekłości niż wtedy, kiedy dostałem piłkę do krykieta i straciłem przytomność. Dochodzę do siebie i co widzę? Mamę, a ona wrzeszczy: „Simon! Obudź się! W tej chwili!”.

– Myślałam, że nie żyje – rzekła Maureen.

– A więc uważałaś, że ożyję, jak się na mnie ryknie?

– Całkowicie rozumiem – stwierdziła Anne. – Ze strachu człowiek robi się wściekły.

– Ty zrozumiesz, jak sama będziesz miała dziecko, Ellen – dodała Maureen.

Ellen, która niczego nie pragnęła bardziej niż tego, by być całkowitym przeciwieństwem własnej matki, i z rozrzewnieniem wyobrażała sobie scenę, kiedy chłodną dłonią dotyka rozgorączkowanego czoła dziecka, odpowiedziała:

– Tak, na pewno. Z całą pewnością.

– A tata nie był na mnie wściekły, jak złamałem rękę – pochwalił się Jack. – Był wściekły na Saskię.

Przy stole zapadła grobowa, pełna napięcia cisza.

– Ponieważ to była jej wina – odezwał się Patrick.

– To był wypadek – oznajmił Jack. – A tak naprawdę to ty, tato, ją tak jakby pchnąłeś.

– Tak, kochanie, to był wypadek, ale twój tata ma na myśli to, że Saskia nie powinna była tu przychodzić w środku nocy – powiedziała Maureen.

– I jak poszło na policji? – zapytał syna George.

– Zgłosiłeś Sasię na policję, tato? – Jack przekręcił głowę i oskarżycielsko spojrzał na ojca. – Pójdzie do więzienia?

– Nie pójdzie do żadnego więzienia – zapewnił go Patrick. – Ale sam rozumiesz, że nie powinna się włamywać do naszego domu. Policja powie jej tylko, że nie wolno jej więcej do nas przychodzić.

– No tak, ale pewnie na moje mecze będzie dalej przychodzić – rzekł Jack.

Ellen wstrzymała oddech.

– Mój Boże – westchnął George.

– O czym ty mówisz, Jack? – Patrick z uwagą odłożył kanapkę na talerz.

– Przychodzi na wszystkie moje mecze – wyjaśnił Jack.

– Nigdy jej nie widziałem – stwierdził Patrick.

– To pewnie masz zepsuty wzrok – zbył go lekceważąco Jack. – Stoi zawsze daleko. Pod drzewem albo gdzieś. Zawsze ma na sobie taką niebieską, płaską czapkę.

– Beret? – mruknęła Anne.

– Boże, to chyba ja jej zrobiłam niebieski beret na drutach – jęknęła Maureen.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę, że się koło ciebie kręci, każę ją aresztować.

– Nie zrobisz tego! – wykrzyknął Jack.

– Zrobię.

- Jeśli to zrobisz, więcej się do ciebie nie odezwę.
 - W porządku – powiedział Patrick. – Nie odzywaj się.
 - Chłopcy. – Maureen bezradnie wyciągnęła ręce w kierunku ich obu.
- Zaczęła dzwonić komórka Ellen.

– Odbiorę, przepraszam na chwilę. – Wzięła aparat i pospieszyła do kuchni. – Mary-Beth?

– Tak, witaj, Ellen. Wstrzymują publikację artykułu. Dziennikarka zgodziła się wysłuchać najpierw twojej wersji wydarzeń. I odnoszę wrażenie, że gotowa jest w ogóle zrezygnować. Większość dziennikarzy jednak ma zasady, a ta akurat jest wściekła, że Ian Roman chce ją wykorzystać dla osobistej zemsty. Mimo że to on rządzi jej światem.

Ellen poczuła, jak całe ciało wiotczeje jej z ulgi.

– Och, dziękuję – powiedziała. – Nie wiem, jak ci dziękować, Mary-Beth.

– Nie ma sprawy – odparła jej klientka.

Ellen dosłyszała w tle głębokie dudnienie męskiego głosu.

– A przy okazji, Alfred prosi, żeby cię pozdrowić.

– Alfred? – zapytała Ellen. – Alfred Boyle?

Mary-Beth się zaśmiała. Ellen nie przypomiwała sobie, aby kiedykolwiek słyszała jej śmiech.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo chodzi.

Ellen zachichotała. Ciut nerwowo.

– Kazał ci powiedzieć, że wystąpił dziś przed dwustoma księgowymi i rozśmieszył ich do łez. To naprawdę coś. Rozśmieszyć księgowych.

– Cudownie – powiedziała Ellen.

– Będę z tobą w kontakcie, jeśli chodzi o dalsze postępowanie – rzekła Mary-Beth. – Ale sądzę, że kiedy dziennikarka i redaktor poznają twoją

wersję, artykuł trafi do archiwum.

– Będziesz musiała mi wystawić rachunek – powiedziała Ellen. (Czy prawnicy liczą sobie za minutę?)

– Nie żartuj – odparła wesoło Mary-Beth i bez uprzedzenia odłożyła słuchawkę.

Ellen zwiesiła głowę, przymknęła oczy i postukała się komórką w czoło. A więc pomysł zapoznania Mary-Beth i Alfreda był trafiony. Musi o tym pamiętać w rozmowie z dziennikarką – jeśli w ogóle przyjdzie jej z nią rozmawiać. „Hipnoterapeutka kliniczna, wprowadzając w trans, kojarzy klientów w pary”. To na pewno doda jej wiarygodności.

– Wszystko w porządku?

Ellen otworzyła oczy. Stała przed nią matka z miską sałatki w ręce.

– Pomyślałam, że zacznę sprzątać. Przy stole robi się trochę nerwowo. Nic dziwnego. Ta Saskia to wariatka jak nic.

– Saskia już z nami skończyła – stwierdziła Ellen. – Dziś z nią rozmawiałam.

– Zahipnotyzowałaś ją? – odparła bystrze, ale automatycznie Anne, jakby z przyzwyczajenia. Następnie, zanim Ellen zdążyła odpowiedzieć, odstawiała miskę na stół i oznajmiła: – Słuchaj, muszę z tobą pomówić. O twoim ojcu.

– Pobieracie się – zgadła Ellen. Już miała przed oczami ten dyskretny, elegancki ślub. Matka ubrana na fioletowo, by podkreślić kolor oczu. Wszędzie furkoczą metki znanych projektantów, a między wypielegnowanymi dłońmi lśnią delikatne kieliszki szampana. Takie śluby ogląda się tylko w rubrykach towarzyskich. Pomyślała, że mięśnie twarzy będą ją boleć od udawanego uśmiechu. – Mel i Pip będą druhnami? – zapytała. – A ja mogłabym nieść kwiaty! Córka jako dziewczynka z kwiatami. Mała, urocza dziewczynka w ciąży.

– Ellen.

– A moi przyrodni bracia mogliby być paziemi w orszaku ślubnym. Paziemi wielkoludami.

– Rozstaliśmy się.

– O nie! – Tym razem Ellen napawała się byciem wstrętną i złośliwą, co okazało się całkowicie niestosowne i przykre. (A w rzeczywistości cieszyłaby się ogromnie, gdyby rodzice się pobrali. Ich ślub byłby piękny i wzruszający. Co się z nią działo?) – Dlaczego? – zapytała. Na pewno wrócił do żony, o to chodzi. Albo zainteresował się młodszym rocznikiem. A może to wina Ellen? Może mu się nie spodobała? (Ach tak, słuchaj wewnętrznego dziecka, które domaga się uwagi).

– Zerwałam z nim – wyznała Anne. Usiadła przy stole w kuchni i wygrzebała z miski pomidorka koktajlowego.

– Ale czemu? – Ellen przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko niej. – Wyglądałaś na, cóż, wyglądałaś na całkowicie zadurzoną.

– Wiem – odparła matka. Spojrzała na Ellen, uśmiechnęła się słabo i wzruszyła ramionami. – Byłam zadurzona. Słuchaj. Czuję się idiotycznie.

W tej samej chwili z jadalni dobiegł uniesiony głos Patricka:

– Czy moglibyśmy ewentualnie porozmawiać o czymś innym niż Saskia? No nie wiem, na przykład o armagedonie? Kto chce porozmawiać o armagedonie?

– Nie musisz się tak czuć – odparła Ellen.

– Byłam taka głupia – mówiła matka. – Przy tym wszystkim, co się działo w twoim życiu. – Zrobiła ruch głową w stronę jadalni. – Ślub, przybrane dziecko, ciąża, nękająca wariatka i co tam jeszcze, a ja ci na dodatek dorzucam ojca!

– Mamo, jestem dorosła – powiedziała ponuro i niezwykle fałszywie Ellen, choć w duszy myślała dokładnie tak samo. – Powiedz mi lepiej,

czemu zerwałaś.

– Przez ostatnich trzydzieści pięć lat byłam zakochana we wspomnieniu – wyjaśniła Anne. – To czyste wariactwo, zawsze temu przeczyłam, ale za każdym razem, kiedy się z kimś umawiałam, porównywałam go z twoim ojcem. Z kimś, z kim tak naprawdę nigdy nie byłam w związku, kogo w ogóle nie znałam. Oczywiście żaden nie dorastał mu do pięt – zachichotała – i to pod wieloma względami.

– Mamo – wzdrygnęła się Ellen – daj spokój.

– Przepraszam. A więc kiedy zaczęliśmy się spotykać, byłam niemożebnie szczęśliwa. David wydawał się równie uroczy jak kiedyś. A właściwie, powiedzmy szczerze, nadal uważam, że jest uroczy. Wciąż zasługuje na miano najmiłszego faceta, jakiego znam.

– Więc w czym problem? – spytała Ellen.

– Cóż. Zaczęłam zauważać dziwne uczucie, które mnie ogarnia, kiedy spędzam ponad godzinę w jego towarzystwie. Na początku nie potrafiłam tego nazwać, ale w ubiegłym tygodniu mnie olśniło. To nuda.

– Nuda – powtórzyła Ellen. Nagle zrobiło jej się bardzo żal ojca.

– Cholerna nuda – potwierdziła Anne.

– No ale tak może być...

– Nie – ucięła Anne stanowczo. – On nie jest stworzony dla mnie. Nigdy nie był. Nie ma wystarczająco dużo do powiedzenia! A do tego zdarza mu się dosłownie nic nie robić. Pewnego dnia rano siedział w fotelu przez dwadzieścia minut, dwadzieścia minut! I dosłownie nic nie robił. Nie czytał. Nie mówił. Gapił się w okno. O co w tym chodzi?

– Być może w ciszy kontemlował piękno natury – rzuciła Ellen. – Albo wykorzystał wolną chwilę na medytację i praktykowanie wdzięczności. Albo ćwiczył uważność...

– To było pytanie retoryczne, Ellen. Szczerze, myślałam, że mózg mu się wyłączył. Tak czy owak, jak mówią młodzi, bardzo elokwentnie zresztą: nieważne. Nie obchodzi mnie, co on robi, kiedy nic nie robi. Wiem tylko, że mnie to wkurza. Oczywiście zostaniemy przyjaciółmi. Wszystko odbywa się na przyjacielskiej stopie. Powiedział, że bardzo chciałby się z tobą jeszcze zobaczyć, o ile oczywiście sobie życzysz.

– Bardzo chętnie – odparła Ellen.

Prawdę mówiąc, myśl o spotkaniu z ojcem była teraz absolutnie akceptowalna, a nawet przyjemna. Ellen przypomniała sobie deszczowe niedzielne popołudnia, kiedy jako dziecko leżała na dywanie, zahipnotyzowana spływającymi po szybie kroplami, a mama bez ustanku wchodziła do pokoju i z niego wychodziła, powtarzając: „Ellen, co ty robisz? Chodźmy na dwór! Porozmawiajmy! Zróbmy coś!”. Być może okazałoby się, że ona i ojciec mogą razem przebywać, nie zamieniając ani słowa. Obywając się bez krępujących, uprzejmych rozmów zapoznawczych. Że mogą ze sobą po prostu być. Ojciec i córka. A jeśli okaże się, że nie czują do siebie nic z wyjątkiem życzliwości, to też dobrze.

– A więc w wieku lat zaledwie sześćdziesięciu sześciu – zaczęła Anne – być może osiągnęłam gotowość do życia w prawdziwym związku. Dopiero teraz pozbyłam się głupiej obsesji na punkcie romansu, który nigdy nie istniał. Być może nawet odważę się poszukać sobie nowego faceta w sieci. Podobno to ostatnio modne wśród takich staruszków jak ja. A u ciebie jak się sprawdziło!

– Rzeczywiście – stwierdziła Ellen.

Patrick nigdy nie pokocha nikogo tak, jak kochał Colleen. Może i się sprawdziło, ale nie aż tak świetnie.

– A jeśli już o tym mowa – powiedziała Anne ściszym głosem – to od jakiegoś czasu chciałam ci powiedzieć, że Patrick coraz bardziej mi się

podoba. Serio. Bardzo. Trochę to trwało, zanim się z nim oswoiłam, ale...

– Cicho, on tu jest! – syknęła Ellen.

– No to co, przecież mówię same miłe rzeczy. Lubię sposób, w jaki na ciebie patrzy. Masz rację. Jon był zabawny, ale tak na ciebie nie patrzył.

– Jak Patrick na mnie patrzy? – spytała Ellen.

– I jest dobrym ojcem.

– Mogę wam przerwać?

W progu stała Maureen z naręczem talerzy.

– Mówiłam właśnie, jakim dobrym ojcem jest twój syn – powiedziała Anne, wstała i wzięła od Maureen część naczyń.

Maureen się rozpromieniła.

Nagle rozległo się dudnienie po schodach. Jack wrzasnął:

– Nie znoszę cię!

Uśmiech Maureen zniknął. Zapanowała jednak nad sobą i zaczęła za pomocą noża zeskrobywać z talerza resztki jedzenia.

– Ten wicher naprawdę wyprowadza ludzi z równowagi, prawda? Ciekawa jestem, Anne, czy to ma uzasadnienie medyczne.

*

Musiałam zasnąć, bo wydawało mi się, że ledwie mrugnęłam, a pojawiła się Tammy. Ona, Lance i Kate siedzieli teraz na ustawionych półkolem obok mojego łóżka krzesłach i zajadali czekoladki.

Tammy zmieniła włosy – z długich, ciemnych na krótkie, rudoblond. Błąd, pomyślałam.

Lance i Tammy gadali do siebie jak nakręceni, używając dziwnego slangu. Co chwila wzruszali ramionami i wysuwali brody.

– Próbują naśladować handlarzy narkotykami z Baltimore – wyjaśniła Kate, kiedy spostrzegła, że się obudziłam. – Właśnie odkryli, że oboje uwielbiają *Prawo ulicy*. Czasem Lance potrafi tak nawijać przez całe weekendy. Wyobrażasz sobie? Okej, w porządku, gdyby rzeczywiście przypominał handlarza narkotyków, to nawet mogłoby być sexy.

– Tammy? – powiedziałam.

– Saskia, moja kochana! – Tammy wstała i nachyliła się, by pocałować mnie w policzek. Musiała używać tych samych perfum co pięć lat temu, bo natychmiast ogarnęła mnie fala wspomnień. – Jak dobrze cię widzieć! Ale miałaś siedzieć koło mnie w barze, a nie leżeć w szpitalu. Lance i Kate twierdzą, że lunatykowałaś i spadłaś ze schodów. Coś strasznego! Od dawna lunatykujesz?

– Od naszego ostatniego spotkania – powiedziałam tajemniczo.

Ellen z pewnością doceniłaby głębię tej uwagi. Tammy jednak wzięła ją dosłownie.

– Serio? A można się z tego wyleczyć? Wiesz, właśnie w drodze do szpitala myślałam o tym dniu, kiedy się ostatni raz widziałyśmy. Rzucił cię wtedy jakiś facet. Ten geodeta. Jak mu było? Pete? Patrick? A zresztą, to było tak dawno, że już pewnie nie pamiętasz.

Och, jak się śmiałam.

*

– El-len!

To Patrick wołał ją z góry.

– Boże, co tam się stało? – spytała matka Ellen, zdziwiona.

– Podejrzewam, że chodzi o Jacka. Potrzebuje pomocy – wyjaśniła Maureen. – Kobiecej ręki. – Uśmiechnęła się do Anne porozumiewawczo, co absolutnie nie wywarło pożądanego efektu.

Ellen szybko wytarła ręce w kuchenną ścierkę. Specjalnie sprawiała wrażenie, że krząta się i uwija, bo wiedziała, że widok córki w roli idealnej gospodyni wkurzy Anne. Ruszyła do pokoju Jacka. Obaj panowie siedzieli na podłodze, oparci plecami o nakryte narzutą w Ben 10 łóżko małego i z rękami zwisającymi bezwładnie między sterczącymi w górę kolanami. Nie patrzyli na siebie.

– Czy możesz wyjaśnić temu upartemu dzieciakowi, dlaczego Saskia nie może się do nas zakradać w środku nocy? – poprosił Patrick, kiedy Ellen pojawiła się w drzwiach. Wyszeptał bezgłośnie: „Ratuj”.

– Nie jestem głupkiem, tato – zawołał rozgorączkowany Jack. – Wiem, że nie powinna była tego robić.

– W porządku, więc w takim razie o co chodzi? – zapytał Patrick. – Czemu jesteś na mnie taki wściekły?

Ellen usiadła na podłodze obok chłopca. Spojrzała na chude, bezbronne nogi Jacka w spodniach od dresu, wyciągnięte do przodu.

– Jak się czułeś, Jack, kiedy twój tata i Saskia się rozstali? – odezwała się.

Jack i Patrick zastygli, jakby podniosła potwornie wstydlivy temat. Na miłość boską, pomyślała. Nagle poczuła się bardzo odważna. W końcu trzeba wyłożyć kawę na ławę! Nie ma co dalej krążyć na paluszkach wokół tematu Saskii, koniec z tym.

– Przecież nie o tym... – zaczął Patrick.

– Chciałabym się dowiedzieć – przerwała mu Ellen.

Sam prosiłeś mnie o pomoc, kolego.

– Nie pamiętam za bardzo – odparł Jack. – Byłem wtedy mały, miałem z pięć lat. – Zapatrzył się w dal, jakby próbował ogarnąć niezmierną otchłań, oddzielającą wiek lat ośmiu od pięciu.

– To prawda, byłeś mały. – Patrick spojrział na Ellen triumfująco. – A więc chodzi o to, że...

– Ej, ale jedną rzecz pamiętam – przerwał mu chłopiec. – Myślałem, że to ma coś wspólnego z jej kulką na szczęście.

Twarz Patricka spochmurniała.

– Co takiego?

Jack zabębnił palcami o gips.

– Z kulką, która przynosiła jej szczęście? – powtórzyła Ellen.

Odpowiedział jej Patrick. Mówiąc, nie spuszczał oczu z Jacka.

– Saskia miała dużą, kolorową szklaną kulkę, która należała kiedyś do jej ojca, i za każdym razem, kiedy była zdenerwowana, brała ją do ręki. Podarowała ją Jackowi, jak szedł do pierwszej klasy. – Przerwał na chwilę i odchrząknął. – Powiedziała, żeby ją nosił w kieszeni, bo mu da magiczną moc.

– To nie była broń – wyjaśnił Jack. Podniósł oczy na Ellen. – Nie przekształcała się na przykład w miecz świetlny ani nic takiego. W ogóle nic nie robiła, prawdę mówiąc.

– Ja też wziąłem ze sobą kulkę Saskii na spotkanie z pierwszym w historii klientem własnej firmy – wyznał Patrick. – Trzymałem ją w dłoni, kiedy czekałem w recepcji.

Jeszcze nigdy nie wspominał nic miłego, co dotyczyłoby Saskii. Teraz Ellen pierwszy raz spojrziała na ich historię z innej strony.

– I zgubiłem tę kulkę w szkole – powiedział Jack. – Szukałem i szukałem, pani mi pomagała, ale nie znaleźliśmy. Nie chciałem tego mówić Saskii, bo wiedziałem, że się zmartwi. I następnego dnia ona sobie poszła. Więc pomyślałem, że to dlatego, że zgubiłem jej kulkę.

Patrick spojrział w oczy Ellen ponad głową Jacka.

– Myślałeś, że to przez ciebie – uściśliła Ellen.

– Myślałem, że była na mnie zła – wyjaśnił. – I tata też, bo przeze mnie odeszła, i że dlatego nie możemy o niej rozmawiać.

– O synu. – Patrick przycisnął dwa palce do czoła. – To niemożliwe.

– Tak było – odparł Jack wesoło.

– Ale przecież to nie miało z tobą absolutnie nic wspólnego! – wykrzyknął Patrick. Oczy mu błyszczały. Objął Jacka w ramionach. – Synku, Saskia cię kochała! Zrobiłaby dla ciebie wszystko! Ona...

Jack wzruszył ramionami, by zrzucić z siebie rękę ojca.

– Spokojnie, tato. Wiem, że to nie było przeze mnie. Ty i Saskia rozstaliście się jak rodzice Ethana. Mówiłem tylko, co wtedy myślałem, jak jeszcze byłem mały. – Ziewnął. – Dobra, czy mogę już poczytać *Księgę rekordów*?

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy! – wykrzyknął Patrick.

Jack przewrócił oczami.

– No dobra.

– Chcę się upewnić, że rozumiesz...

– Nie musisz być dla niej taki niedobry – powiedział Jack i zaczął zakładać ręce na piersi, ale uświadomił sobie, że nie da rady przez gips. – Tylko tyle chcę powiedzieć. A ty się zachowujesz tak, jakby ona była morderczynią i mordowała ludzi! Nie złamała mi ręki specjalnie. To był wypadek.

– Taaak – powiedział Patrick zmęczonym głosem. – Wiem, synu, masz rację, ale to skomplikowane...

– Hej wam. – W drzwiach pokoju pojawił się Simon. – Muszę lecieć. Jestem umówiony.

Jack wykorzystał to jako szansę, by umknąć na dół.

– To pa! – zawołał. Wychodząc z pokoju, przybił wujkowi piątkę.

– Wyglądacie oboje jak przemieleni przez maszynkę. – Simon rzucił im z góry znaczące spojrzenie, pokręcił głową ze zdziwienia i ruszył na dół po schodach.

– Wielkie dzięki – zawołała za nim Ellen.

Patrick wstał i podał rękę Ellen, by dźwignąć ją z podłogi.

– Rzeczywiście czuję się jak przemielona przez maszynkę – mruknęła.

Patrick przyciągnął ją do siebie i Ellen na chwilę oparła czoło na jego piersi. W głowie wirowały jej myśli. Biedny, mały Jack, myślał, że to jego wina. Biedna Saskia, straciła swój talizman. Biedny David, mama go rzuciła, bo jest za nudny. Biedna ja, bo Patrick nie kocha mnie naprawdę, będę miała maleńkie dziecko i, o Boże, jak mnie bolą piersi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho Patrick prosto do jej ucha.

– Naprawdę? – zapytała.

Kiedy poszli na dół, stwierdzili, że Anne dała sobie spokój z pomocą przy sprzątanii i siedzi przy kuchennym stole z kieliszkiem białego wina, a Maureen wkłada brudne naczynia do zmywarki.

– Cóż. Muszę pędzić – odezwała się Anne, gdy zobaczyła Ellen. – Jestem umówiona na drinka z Pip i Mel. Otworzyli nowy bar w centrum, musimy go sprawdzić.

– Jedziesz teraz do centrum? – Maureen spojrzała na kuchenny zegar. Była ósma wieczór. – Boże.

– Dla nas to normalne, wszystkie jesteśmy prawdziwymi sowami! – odparła Anne.

Zachowywała się tak, jakby do owego incydentu z ojcem Ellen w ogóle nie doszło. Jego pojawienie się nie wstrząsnęło gruntownie życiem Ellen. Wywołało tylko dziwaczne, małe wybrzuszenie na jego płaskiej powierzchni.

Anne wyszła w końcu razem z Simonem, który – jak się niespodziewanie okazało – był umówiony w klubie na tej samej ulicy co ona, w związku z czym się ucieszył, że zaoszczędzi na taksówce do centrum.

– Anne, jak to miło z twojej strony – powiedziała Maureen bardzo nieszczęśliwym głosem.

Kiedy Ellen i Maureen skończyły sprzątać kuchnię (szafki nie lśniły tak od czasów babci), ojciec Patricka zaproponował, żeby zagrać w monopoli. Wypatrzył grę na półce i już zacierał ręce, obiecując, że w ciągu godziny wszyscy przez niego zbankrutują.

Zaczął rozstawiać planszę i z uwagą rozkładać banknoty na kupki. Patrick zapytał nagle, czy on i Ellen mogliby zostać zwolnieni z gry.

– Chcielibyśmy się szybko przejść na plażę – powiedział, pytająco unosząc brwi w stronę Ellen, która skinęła głową.

Może pomoże jej to rozwiać złe myśli.

– Jest zima i środek nocy, a do tego wieje! – zaproponowała Maureen. – A twoja żona jest w ciąży!

– Jest wiosna, a poza tym dopiero wpół do dziewiątej – rzekł Patrick. – Wieje słabo i nie sędzę, aby dziecko miało coś przeciwno.

– I nie jestem jego żoną – dodała Ellen.

Zapadła krępująca cisza.

– Tak! – dodała szybko. – To znaczy, na pewno nią będę.

– No to idźcie w takim razie – powiedziała Maureen i odprowadziła ich badawczym spojrzeniem, spojrzeniem eksperta oceniającego stan ich związku i doszukującego się w nim rys grubości włosa, które mogłyby spowodować ewentualne pęknięcia. Następnie, już ze zmienionym wyrazem twarzy, dodała: – Jak wrócicie, to my z George'em wymkniemy się na tenisa pod gwiazdami.

– Och, moja żona potrafi być złośliwa – mruknął George. – Hej, kochanie, mam tu dla ciebie żelazko. – Podniósł pionek w kształcie małego żelazka.

– Wiesz doskonale, że zawsze biorę pancernik. – Maureen usadowiła się u szczytu stołu i pogrzechotała kostką, zamkniętą w złączonych dłoniach. – No chodź, Jack! Nie myśl sobie, że ci odpuszczę tylko dlatego, że masz rękę w gipsie!

Patrick miał rację. Wiatr ucichł. Przyjemnie było iść plażą opatulonym w kurtkę i szalik. Piasek wciąż jeszcze był pomarańczowy od pyłu, ale słone, chłodne powietrze już go nie zawierało. Oboje głęboko oddychali, kierując się ku ubitemu, mokremu piachowi tuż przy samej wodzie.

Szli obok siebie, ale się nie dotykali. Ellen skoncentrowała się na rytmicznym, głuchym dudnieniu fal o brzeg i na własnym oddechu.

– A więc – zaczął Patrick.

– No co?

– Rozłożył mnie na łopatki.

– Jack?

– On, oczywiście. Wziąłem to za dobry znak, że w ogóle nie pytał o Saskię! W życiu nie przyszło mi do głowy, że winił się za jej odejście. – Głos mu się załamał. – Biedaczysko. – Ellen zauważyła, że kiedy Patrick się denerwował, zaczynał mówić dokładnie jak jego ojciec.

– Dzieci myślą, że są centrum wszechświata – powiedziała Ellen. – Dlatego się za wszystko winią.

– Sądzę – dodał Patrick – że przez lata był na mnie wściekły za Saskię.

– Możliwe. – Ellen powstrzymała się od dalszych komentarzy. Sam musiał do tego dojść.

Przez parę minut szli w ciszy, po czym Patrick powiedział cicho:

– Była dla niego dobrą matką. Ona... – Zabrakło mu słów i spojrzał w niebo, na gwiazdy, jakby szukał natchnienia. Potem wziął głęboki oddech i zaczął mówić szybko, nie patrząc na Ellen, jakby się spodziewał, że na plaży mogą być tajni agenci, i chciał jej przekazać pilne informacje w dużym skrócie. – Po śmierci Colleen niezbyt dobrze sobie radziłem. Nigdy nie czułem takiego bólu, bałem się go jak ognia. Myślałem sobie: Co jest? To boli! Przyjąłem więc cudowną strategię oporu. Pamiętam, jak się uparłem, że nie będę przechodzić przez te całe bzdurne siedem stadiów żałoby. Jeśli cię boli myślenie o niej, to nie myśl i tyle. Zajmij się czymś. Dlatego rozkręciłem firmę. Tak jakbym myślał, że jeśli będę się wystarczająco starał, jeśli mentalnie zacisnę zęby, to zdołam uniknąć bólu. Całkiem nieźle mi to wychodziło, możesz sobie wyobrazić. Byłem chodzącym, gadającym, oddychającym robotem. Za to wszyscy byli pewni, że sobie świetnie radzę. Potem na konferencji poznałem Saskię i wiesz, spodobała mi się. Pewnie nawet ją pokochałem w dziwaczny sposób, jak robot. I na dodatek ona wcale nie zauważyła, że jestem robotem! Robiliśmy razem różne rzeczy, uśmiechała się do mnie i co jakiś czas myślałem sobie, trochę mnie to dziwiło, że ona jest szczęśliwa, że nie udaje. I myślałem, cóż, wszystko jedno, bo taki teraz jestem i koniec, a poza tym Jack jest szczęśliwy. Patrz pod nogi.

Jedna z fal rozbiła się znacznie dalej niż inne. Zbliżał się do nich szybko szeroki język białej piany. Patrick jedną ręką podniósł Ellen, ratując jej buty przed zmoczeniem, po czym postawił ją z powrotem na suchym piasku. Nagła i nieoczekiwana bliskość, ciepło jego ciała sprawiły, że Ellen ogarnęło dziwne pragnienie, tęsknota za tym mężczyzną, jakby nie szła plażą ze swoim partnerem, ale z kimś nieosiągalnym – przyjacielem czy dalekim znajomym.

– Saskia tak bardzo weszła w rolę matki – rzekł Patrick. – Mam o to żal do Colleen.

– Słucham? – Ellen była zarazem zdezorientowana i szczęśliwa, po raz pierwszy słysząc zarzuty pod adresem biednej Colleen.

– Colleen była cudowną matką, ale broniła wstępu na swoje terytorium. Kiedy tylko próbowałem jakoś pomóc przy Jacku, nie pozwalała mi, jakbym był dosłownie przygłupim błaznem, przy którym dzieciak nie jest całkowicie bezpieczny. Więc kiedy umarła, myślałem z przerażeniem, że nie dam rady go sam wychować. Źle go ubiorę, będzie mu za zimno albo za gorąco, nie będę go dobrze karmił, kupię zły krem do pupy i tak dalej. O niczym nie miałem pojęcia, więc małym ciągle zajmowały się babcie. Oczywiście zachowywały się jeszcze gorzej niż Colleen, jakby facet nie potrafił nawet zmienić pieluchy. A potem poznałem Saskię, która tak chętnie weszła w rolę Colleen, w rolę matki, że oczywiście jej na to pozwoliłem. Siedziałem i patrzyłem, dałem na to zgodę. Jack ją kochał, a ona kochała Jacka. Nie powinienem był do tego dopuścić. – Zerknął na Ellen. – Chociaż nie wiem, bo może właśnie teraz dopuszczam, żeby to samo się stało z tobą. Przecież robisz mu drugie śniadania.

– Lubię mu robić drugie śniadania – odparła ostrożnie Ellen. Czowała wokół siebie obecność wszystkich kobiet z życia Jacka: babć, Colleen i Saskii, które kiwały głowami do Patricka i wymądrzały się po babsku, wszystkie tak samo: „Dawaj mu kanapki z białego chleba!”.

– No – ciągnął Patrick – więc tym razem staram się zachować większą równowagę. Nie chcę ci oddać syna ze słowami: masz, ty się nim zajmuj. A kiedy urodzi się nasze dziecko, to chcę się angażować, rozumiesz? Od samego początku.

– Masz znacznie więcej wprawy ode mnie, jeśli chodzi o dzieci – powiedziała Ellen.

Patrick uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Prawda. Będę ekspertem. Ale wytrenuję cię, kochana, powiem ci, co i jak.

– Więc nie jesteś już robotem? – zapytała Ellen. – I czy dlatego zerwałeś z Saskią?

A może nadal jesteś robotem, a ja kolejną Saskią?

– Pewnego dnia zacząłem płakać – zaczął znowu Patrick. – W samochodzie. To było strasznie dziwne. Płakałem przez całą drogę z Gordon do Mascot. I wciąż się to powtarzało. Za każdym razem, kiedy sam jechałem autem, płakałem. Czasem widziałem, jak na światłach gapią się na mnie ludzie z innych samochodów. Patrzcie, dorosły facet płacze za kierownicą. Ciągnęło się to tygodniami. Aż nagle obudziłem się pewnego ranka i poczułem się inaczej. Jakbym był długo chory, po czym nagle obudził się i stwierdził, że wyzdrowiałem. Nie, nie czułem się szczęśliwy. Czułem się, jakby szczęście było tylko potencjalnie możliwe. Spojrzałem na śpiącą obok Saskię i natychmiast wiedziałem, że muszę z nią zerwać, że koniecznie muszę to zrobić i że przez jakiś czas musimy być z Jackiem sami. Zobaczyłem to z oślepiającą jasnością. Ale ona właśnie niewiele wcześniej dowiedziała się o chorobie swojej matki, więc stwierdziłem, że to odłożę.

– A potem jej matka umarła.

– Tak – potwierdził Patrick. – I w końcu jej powiedziałem. Chyba miałem jakieś durne przeświadczenie, że ona się nie zmartwi, że w zasadzie to robię jej przysługę, ponieważ znajdzie kogoś, kto pokocha ją, jak trzeba. Jej reakcja mnie zszokowała. Okazało się, że nie potraktowałem jej poważnie. Jakbym myślał: nie możesz mnie naprawdę kochać, bo przecież prawdziwego mnie tam nigdy nie było. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak sędzę – odparła Ellen, całkiem już zdyszana.

Im dłużej Patrick opowiadał, tym bardziej przyspieszał kroku, a ona starała się za nim nadążyć.

– Przepraszam – zorientował się. – Może na chwilę usiądziemy?

Podeszli do miejsca, w którym zaczynał się suchy, miękki piasek i usiedli obok siebie, twarzami do morza, opierając się o siebie ramionami.

– I chyba dlatego tak się ociągałem z tym zakazem zbliżania się – wyjaśnił Patrick. – Bo w głębi duszy wiedziałem, że ją źle potraktowałem, choć nie umiałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą. No, na przykład już jechałem na policję, ale myślałem sobie: Jezu, przecież ta kobieta odpieluchowała mi dziecko. Poświęciła karierę, żeby zajmować się moim synem. Jestem jej dłużnikiem. A potem myślałem: Ej, kiedyś jej przejdzie. Powinienem być do tego podejść poważniej. Podjąć działania już po Noosa, kiedy to wszystko zaczęło dotyczyć również ciebie. Na myśl, co mogło się stać wczoraj w nocy: tobie, Jackowi albo dziecku, brrrr. – Wzdrygnął się.

– Być może nic by to nie dało – powiedziała Ellen. – Nawet gdybyś poszedł na policję.

Patrick podniósł jedną rękę, jakby chciał zapytać: „kto wie?”.

– Dobrze, dosyć już – oznajmił. – Dosyć o Saskii. – Podniósł głowę i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. – Boże, błagam, dosyć już o Saskii.

– Tak – zgodziła się Ellen. Przed oczami stanęła jej biała twarz Saskii. Ciekawa była, co ta kobieta robi w tej chwili, czy odwiedza ją ktoś z rodziny albo znajomych i co się dzieje w jej dziwnym, zbełtanym umyśle.

Patrick wziął głęboki oddech.

– Tak czy inaczej powód, dla którego chciałem przejść się z tobą na spacer, jest zupełnie inny. Chciałem porozmawiać o tym, co powiedziałem wczoraj w nocy o, hm, o Colleen – wyznał całkowicie innym tonem. Mówił

teraz sztywno i oficjalnie, jakby brał udział w nieznanym procedurach sądowych.

– Dobrze – zgodziła się Ellen.

Jej żołądek natychmiast zacisnął się w węzeł i stwierdziła, że tak naprawdę w ogóle nie chce, żeby Patrick o tym mówił. Słowa jeszcze bardziej skomplikują sprawę, utrudnią ją. Dziwne to wszystko. Zawsze jej się wydawało, że słowa są po to, by na wszystko znaleźć odpowiedź – przecież leczyła ludzi właśnie słowami. „Nie blokujcie komunikacji!” – powtarzała zawsze osobom borykającym się z trudnościami w związkach. A teraz rozmowa wydawała jej się czymś okropnym. Tak musi się czuć mężczyzna, załamany za każdym razem, kiedy słyszy od kobiety: „Musimy porozmawiać”. A kiedy ona w absolutnej szczerości obnaża przed nim swoją duszę, myśli: „Kobietko, zamknij się wreszcie” – bo wolałby, żeby ta nagość pozostała przysłonięta.

– Chodzi o to... – zaczął.

– Ej, to nie twoja mama? – zapytała Ellen, wskazując postać z trudnością brnącą przez piach, jakby szła, omijając miny lądowe.

– Telefon do Ellen! – Po plaży rozniósł się jej zdumiewająco donośny, wyraźny głos. – Jakaś pilna sprawa!

ROZDZIAŁ 25

Przyjaźń to jedyne lekarstwo na nienawiść, jedyna gwarancja pokoju.

Cytat buddyjski na tablicy korkowej Ellen
O'Farrell

Ostatecznie Tammy wyszła razem z Lance'em i Kate. Zabrała się z nimi do kina. Nie było wątpliwości, że się zaprzyjaźnią. Zapomniałam już, że Tammy ma taką łatwość nawiązywania kontaktów. W ten sam sposób poznała przecież mnie.

Kiedy już wszyscy stali w drzwiach, przyszła pielęgniarka. Zajrzała do sali, gdy właśnie wszyscy się śmiali z czegoś, co przed chwilą powiedziała Kate. Pielęgniarka przeprosiła i dodała:

– Wrócę, jak wyjdą pani goście.

Myślała, że jestem normalną osobą, która ma normalnych znajomych – znajomych, którzy szczerze mnie lubią i lecą do szpitala natychmiast, gdy dowiedzą się o wypadku. Nie wiedziała, że Lance to kolega z pracy, z którym nigdy nie spotykałam się na gruncie towarzyskim, na którego nawet niespecjalnie zwracałam uwagę jako na człowieka, a jego żonę w ogóle widziałam pierwszy raz w życiu. I że to, że mnie odwiedzili w szpitalu, uważam za dziwne. I że Tammy jest osobą, z którą od trzech lat

nie miałam kontaktu. No i że nikt z moich gości nie znał prawdy o tym, w jaki sposób złamałam miednicę.

Najdziwniejsze zaś było to, że Lance, Kate i Tammy najwyraźniej byli zdeterminowani, by kontynuować tę farsę. Wszyscy zamierzali nadal mnie odwiedzać. Rozpoczęli wspólny projekt – pomoc dla Saskii w czasie sześciu tygodni jej przymusowego pobytu w łóżku. A może wszyscy zapisali się na jakiś internetowy kurs pracy nad sobą i zobowiązali do regularnych aktów filantropii?

Lance miał zamiar przynieść mi przenośny odtwarzacz DVD, żebym w końcu obejrzała sobie to *Prawo ulicy*. „Teraz już nie masz wymówki” – rzekł. Łagдона, zaczepna nuta w jego głosie sprawiła, że pomyślałam, że on być może, nie wiedzieć czemu, mnie lubi.

Kate postanowiła zaś nauczyć mnie robić na drutach. Przyszło jej to do głowy, kiedy Tammy stwierdziła, że powinnam skorzystać z okazji i zrobić coś, co zawsze chciałam zrobić, ale nigdy nie miałam czasu. Na przykład nauczyć się hiszpańskiego albo czegoś innego. Odparłam, że zawsze chciałam umieć robić na drutach, co nie było ani prawdą, ani kłamstwem. Jedynie mówiłam, że chciałabym dziergać, ale nigdy nie przywiązywałam do tego wagi. Teraz, gdy tylko o tym wspomniałam, twarz Kate rozpromieniła się tak samo jak twarz Lance’a przy rozmowie o *Prawie ulicy*. Lekcje robienia na drutach były więc zaplanowane.

Od słowa do słowa zostało uzgodnione, że Tammy zamieszka u mnie przynajmniej do czasu, gdy wypiszą mnie ze szpitala. Odkąd wróciła do Sydney, mieszkała u siostry, ale ponieważ ta doprowadzała ją do szału, propozycja, by zatrzymać się u mnie, wydawała się świetnym wyjściem. Miała odwieźć do domu moje ciuchy, a jutro po operacji przywieźć mi jakieś inne.

Zastanawiałam się, co sobie pomyśli o moim domu. Zero książek, zero obrazków na ścianach, zero zdjęć na lodówce. Gdybym wiedziała, że się zjawi, wystylizowałabym wnętrze na jej przyjazd. Na stole w kuchni została napoczęta butelka wina i opakowanie środków przeciwbólowych. A poza tym – wszystko było przerażająco puste i sterylne. W lodówce i szafkach tylko podstawowe produkty: mleko, chleb i masło. Zero ciastek, herbatników czy innych smakołyków. Na pewno zauważy, jak się zmieniłam, i nie zawaha się tego skomentować. Często do mnie wpadała, kiedy mieszkałam z Patrickiem, i docinała mi, że taka ze mnie domatorka – w wazonach kwiaty, w puszcze zawsze świeżo upieczone ciasteczka. A teraz mój dom przypominał raczej mieszkanie nałogowego samotnika, seryjnego zabójcy.

Kiedy już zjadłam kolację – która, według etykiety na tacce, miała być posiłkiem „lekkim”, a była najbardziej treściwym, jaki miałam w ustach od wielu miesięcy, bo normalnie na kolację wystarczała mi miseczka musli – położyłam głowę na poduszce i wsłuchałam się w przemysłowy szum szpitala. Szybkie kroki na korytarzu, pobrząkiwanie wózków, podniesione głosy, przyciszone głosy.

Większość ludzi poczułaby się pewnie na moim miejscu samotnie – nagle zagubiona w szpitalnym labiryncie, ale ja – przeciwnie. Odgłosy szpitalnego życia dziwnie dodawały mi otuchy. To była moja wioska. Wioska ludzi chorych, smutnych, załamanych – takich jak ja.

Nadciągnęła nowa, nabrzmiała fala bólu. Niczym dobrze wytresowany szczur automatycznie nacisnęłam guzik, by zwiększyć dawkę morfiny.

Zastanawiałam się – z przyzwyczajenia – co teraz robią Patrick, Ellen i Jack. Czy małego bardzo boli ręka i czy Patrick poszedł w mojej sprawie na policję. Morfina jednak robiła swoje. Nie chciało mi się myśleć.

Rozmyślałam, owszem, ale w zwolnionym tempie. Nie odczuwałam pragnienia, by u nich być i patrzeć, co robią.

A potem myśli odpłynęły w innym kierunku – w stronę Kate, Lance’a i Tammy. Ciekawe, czy podobał im się film, zastanawiałam się. Ciekawe, czy poszli do tej koreańskiej knajpki, o której mówili. Wyobraziłam sobie, jak Lance i Tammy udają handlarzy narkotyków z Baltimore, a Kate przewraca oczami.

Chyba zanim zasnęłam, głośno się zaśmiałam.

*

– Niestety nie zrozumiałam, kto dzwoni, przepraszam – rzekła zasapana Maureen, przekazując Ellen komórkę. – Przepraszam, że wam przerywam, ale ta pani chyba płacze.

– Oczywiście, nic się nie stało. – Ellen nerwowo wzięła słuchawkę. Co teraz? Odchrząknęła. – Halo?

W słuchawce dało się słyszeć pociąganie nosem i zduszony damski głos.

– Ellen, posłuchaj, bardzo, bardzo przepraszam, że dzwonię o tej porze, tak późno, ale dosłownie przed chwilą się dowiedziałam i musiałam się z tobą skontaktować natychmiast, żeby ci powiedzieć i przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. Było nie do przyjęcia.

Głos był znajomy, ale Ellen nie mogła przyporządkować go do niczyjej twarzy. Ktoś mocno przeziębiony. Widziała ostatnio kogoś mocno przeziębionego. Kto to był?

– Nie jestem pewna...

– Ellen, jestem w ciąży.

– Luisa! – wykrzyknęła Ellen, a przed oczami stanęła jej wykrzywiona złością, blada twarz Luisy żądającej zwrotu kosztów terapii.

Jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, nie było wątpliwości. Oczywiście, że była w ciąży. Twarz miała tak samo wymiętą, jaką Ellen widziała co rano w lustrze. Luisa była jednak taka zła, że nie jest w ciąży, że Ellen nie zwróciła uwagi na oczywiste symptomy.

– Lekarz próbował się do mnie dodzwonić. Mieliśmy właśnie robić kolejną próbę in vitro, ale zadzwonił i mówi: „Nie może pani poddać się zabiegowi”, ja na to: „Dlaczego, w czym problem?”, a on: „Problem w tym, że jest pani w ciąży”. Naturalna ciąża! Po tylu latach! I wszystko dzięki tobie! To dzięki tobie jestem w ciąży!

– Oj, chyba raczej dzięki mężowi – powiedziała Ellen.

– Nie mogę uwierzyć, że domagałam się zwrotu pieniędzy. Jestem upokorzona własnym zachowaniem. Oszalałam z zazdrości, nie wiem, co się ze mną stało, po prostu mi odbiło! – Lekko zniżyła głos. – I nie wiem, czy wiesz, ale w „Daily News” ma się ukazać artykuł na twój temat.

– Tak – odparła Ellen – wiem.

– Tak strasznie, strasznie cię przepraszam, ale kiedy od ciebie wychodziłam, wpadłam prosto na Iana Romana. Trochę mnie onieśmielał, to fakt, a może to dlatego, że mam słabość do celebrytów. Oczywiście szukam tylko wymówki dla mojego naganego zachowania. Więc Ian Roman dał mi namiary na dziennikarkę, z którą się spotkałam, a ona przeprowadziła ze mną wywiad i teraz nie mogę przeboleć, co jej nagadałam. Nagrałam się jej co najmniej trzydzieści razy na sekretarkę, by wycofać wszystkie pomówienia, ale jeśli artykuł się ukáže, będziesz musiała mnie zaskarżyć. Mówię poważnie. To jedyne wyjście. Podaj mnie do sądu, a zapłacę ci wszystkie pieniądze, jakie mam. Nie mam za dużo, ale oddam ci wszystko, co mam. Zasłużyłam sobie na to. – Przerwała i stłumionym głosem, jakby mówiła do kogoś innego, powtórzyła: – Ale

kiedy to prawda! Zasłużyłam na to! – Wszystko wskazywało na to, że mąż Luisy bynajmniej nie miał ochoty zostać pozwany.

– Szczęśliwie udało nam się chwilowo wstrzymać ten artykuł – powiedziała Ellen.

– Och, dzięki Bogu! W każdym razie kiedy ta dziennikarka do mnie oddzwoni, wszystko sprostuję. Powiem jej, że czynisz cuda.

– Proszę, nic takiego jej nie mów – zaprotestowała Ellen. – Poważnie.

– Cóż, mam zamiar powiedzieć jej prawdę. To dziecko jest cudem. Och, przepraszam, Ellen, muszę kończyć, właśnie przyjechali moi rodzice, ale dziękuję, szczerze i jeszcze raz z całego serca, naprawdę przepraszam. – Pisnęła z zachwytem: – Tato, nie mogę przecież pić szampana!

Ellen usłyszała męski głos:

– Ale dziadek chyba może!

– Moje gratulacje – powiedziała. – Gratuluję całej rodzinie – dodała, lecz Luisa odłożyła już słuchawkę.

Ellen zrobiła głęboki wdech. Wydech. Trochę się rozczuliła na myśl o przyszłym dziadku z butelką szampana. O Chryste, to przecież sam początek. Jeśli ciężę Luisy uważa się za jej zasługę, to czy gdyby, nie daj Boże, wydarzyło się coś złego, zostałaby również obarczona winą? Tak czy owak jej reputacja zawodowa została choć na parę dni ocalona.

Wróciła do jadalni. Patrick, pochylony nad krzesłem matki, śledził przebieg gry w monopoli, podczas gdy jego ojciec okrążał pionkiem planszę, żałośnie kręcąc głową.

– Płacisz, płacisz! – krzyczał wniebowzięty Jack. – Potrójny czynsz!

– Chyba doprowadziłeś dziadka do bankructwa, kochanie – powiedziała Maureen z nadzieją. – Czy to oznacza koniec gry?

– Wszystko w porządku? – Patrick spojrział na Ellen.

– Tak – odparła. – Później ci powiem.

– Dawaj kasę, dziadku. – Jack wyciągnął do George’a dłoń.

– Późno już, musimy zaraz kończyć – oznajmił Patrick.

– Ale mówiłeś, że jutro nie idę do szkoły – zaprotestował Jack.

– Tak, ale dlatego, żebyś odpoczął.

– Cały dzień spałem – powiedział Jack. Rzeczywiście wydawał się tryskać zdrowiem i energią. Spojrzenie miał jasne, pełne życia.

– Widać, że go roznosi – powiedziała Maureen. – Za to wy słaniacie się na nogach. Może Jack przespałby się dziś u nas?

– Nie wiem – wahał się Patrick. – Po tym, co się wczoraj stało, wolałbym raczej...

– Zabierzemy go na śniadanie do McDonalda w ramach nagrody specjalnej – ciągnęła jak gdyby nigdy nic, skupiona na grzechotaniu kostką w zamkniętych dłoniach.

– Tak, tak! – wykrzyknął Jack. – Na ziemniaczki!

– Mamo... – zaczął Patrick.

Ellen widziała, że nie miał energii, by się spierać. Jej własna matka będzie miała trudną przeciwniczkę w bitwie o pozycję w rodzinie.

Godzinę później Ellen i Patrick mieli dom do swojej dyspozycji, jednak zamiast położyć się spać, zajadali pianki i grali w *Dragon Blade Chronicles* na konsoli Jacka. Ellen, odkąd miała przybranego synka, intensywnie brała udział w walkach wojowników ninja.

– Niezła jesteś – stwierdził Patrick, kiedy pokonała go po raz piąty. – Jak na hippiskę, która żywi się wyłącznie soczewicą.

– To strasznie wciąga – stwierdziła Ellen. – A soczewica, jakby co, nie jest moją ulubioną rośliną strączkową.

– Jaką?

– Lepiej siedź cicho i jedz swoje pianki.

Przez chwilę nie odzywali się, żując słodczyce.

Wreszcie Patrick chrząknął i ostrożnie powiedział:

– W porządku, dosyć tego. Nie doszliśmy jeszcze do najważniejszego punktu rozmowy.

– Dajmy temu spokój – odezwała się Ellen. – Mówię szczerze. Zagrajmy jeszcze raz. – Wzięła konsolę.

Patrick wyjął jej urządzenie z rąk i odłożył na stolik przy kanapie.

– Czy po raz pierwszy powiedziałem coś takiego pod wpływem hipnozy? – zapytał.

– Tak.

– Kiedyś mówiłaś, że hipnoterapia jest całkowicie odruchowa – stwierdził – i że żaden hipnotyzer nie sprawi, że pacjent zrobi lub powie coś, czego nie chce zrobić czy powiedzieć. Ja na pewno nie chciałem powiedzieć w twojej obecności niczego takiego.

Może twoja podświadomość chciała, pomyślała Ellen.

– No właśnie, ale tu się sprawy komplikują, bo nie jestem tylko twoją terapeutką, ale też twoją partnerką – uświadomiła mu profesjonalnym tonem. – Z klientami nie chodzę do łóżka! – Zaśmiała się nieudolnie, ale Patrick zachował powagę. – Myślę, że byłeś po prostu w półśnie, w połowicznym transie. Tak czy inaczej, zupełnie nie ma to znaczenia...

– Nie ma znaczenia? Ależ oczywiście, że ma! – rzekł Patrick. – Usłyszeć coś takiego na twoim miejscu? Sęk w tym, że przez to masz zupełnie wypaczony obraz moich uczuć. Odkąd mi to powiedziałaś, nie przestaję myśleć, jak ci to wyjaśnić.

– W porządku – mruknęła Ellen. Gdyby tak obrzydliwie nie złamała etyki zawodowej, zapewne nigdy nie doszłoby do tej okropnej, żenującej rozmowy.

– Miałaś kiedyś wątpliwości co do naszego związku? Porównywałaś mnie z którymś z twoich eks? Miewałaś myśli, których wolałabyś, żebym nigdy nie poznał?

– Nie wiem. Chyba tak. – Zmarszczyła czoło. W czasie trwania ich związku przez jej głowę przetoczyło się mnóstwo myśli i uczuć, o których wolałaby, żeby się nigdy nie dowiedział.

– A tego dnia, kiedy pojechaliśmy do rodziców Colleen, a ja tak wstrętnie się zachowywałem? Pomyślałaś sobie: Rany, w co ja się wpakowałam?

– Nie, nie za bardzo pamiętam. – Doskonale pamiętała, jak przez całą drogę powrotną do domu celowo wspominała weekend spędzony w górach z Jonem.

– Na pewno miałaś chwile zwątpienia. Założę się, że chętnie byś mnie udusiła, kiedy trzymałem te pudła w korytarzu, ale sęk w tym, że ty nigdy nie wypowiesz ani jednej myśli na głos.

– Tak – stwierdziła Ellen.

Patrick nie spuszczał z niej wzroku. Uciekła spojrzeniem.

– To znaczy nie. – Ogarnęła ją żałość. Przez cały dzień czekała, aż zaprzeczy temu, co powiedział, albo że jakoś to wyjaśni, i choć i tak by mu nie uwierzyła, to trwała w gotowości, by rozpocząć proces oszukiwania samej siebie. Teraz zaś musiała po prostu z uśmiechem pogodzić się z tym, że jej mąż za każdym razem, kiedy na nią spojrzy, będzie żałował, że nie jest jego pierwszą żoną. – Rozumiem – powiedziała dzielnie.

– Nie, nie rozumiesz – zaprzeczył.

– No dobrze.

– Myślisz, że miłość jest czarno-biała. Wszystkie kobiety tak myślą. I się mylą. Kobiety są naprawdę inteligentne poza chwilami, kiedy bywają naprawdę głupie.

Dała mu kuksańca w ramię.

– Auć. Okej. Czekał, bo wciąż nie wyrażam się jasno. – Zaczął gryźć wewnętrzną stronę policzka, a frustracja, która malowała się na jego twarzy, przypominała udrękę.

– W porządku. – Potarła go po ramieniu w miejscu, gdzie go uderzyła. – Rozumiem.

– Mówiłem ostatnio za często o Colleen? – zapytał nagle.

Ellen wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Przepraszam. – Wziął ją za rękę. – Myślę o niej bez przerwy od dnia naszych zaręczyn, kiedy powiedziałaś mi o dziecku. To dlatego, że czuję się taki szczęśliwy. Nawet mimo Saskii kręcącej się bez przerwy w pobliżu. Taki szczęśliwy nie byłem od czasu, kiedy Colleen była w ciąży. I przez to ciągle o niej myślałem, przypominały mi się różne rzeczy. – Pogładził kciukiem kostki jej dłoni. – Colleen mówiła, że się jeszcze zakocham i że będę miał więcej dzieci, ale ja się upierałem, że nie. Twierdziłem, że już nigdy nie będę szczęśliwy. Ale jestem. Czasem myślę sobie, mówiąc szczerze, że to, co mam teraz, jest lepsze niż to, co było z Colleen. Głębsze, dojrzałe. Po prostu... lepsze. A potem dziękuję Bogu i internetowi, że cię poznałem! A potem czuję się źle wobec Colleen, bo to tak, jakbym się cieszył, że ona nie żyje.

– Tak – odparła. Nie była pewna, czy mu wierzy. A może mówił to tylko po to, żeby sprawić jej przyjemność?

– Nie wiem, czy mi wierzysz, ale tak właśnie jest. Nie miewasz czasem myśli, które sobie same przeczą? Czy to możliwe: myśleć coś jednego dnia, a następnego coś zupełnie na odwrót?

– Chyba tak. No tak. – Prawdę mówiąc, nie podobała jej się taka rola. Było to z lekka upokarzające. To ona była osobą, która ma zadawać mądre

pytania i delikatnie prowadzić osoby o słabszej inteligencji emocjonalnej ku głębszemu zrozumieniu świata.

– Ale najgłupsze w tym wszystkim jest to, że w głębi duszy czuję potrzebę zrekompensowania tego Colleen, chociażby przypominając sobie wszystko, co dobrego z nią przeżyłem. Jako pokutę. Więc im lepiej jest mi z tobą, tym więcej o niej myślę. Rozumiesz? Nie wiem. Może to ma związek z katolicyzmem.

– Nie, nie, rozumiem.

– Oczywiście nie porównuję ciągle was obu, jak dwóch wojowników ninja. Szczerze mówiąc, przez większość czasu mam dość powierzchowne myśli – na przykład myślę o kotletach cielęcych albo o tym, jak pokonać Jacka na czwartym poziomie *Tomb Raidera*. I tak dalej.

Ellen wzięła dwie pianki i zgmiotła je w palcach.

– Kiedy zmarła Colleen, wszyscy zaczęli ją traktować jak świętą. Z rozpaczą na twarzach, jakby nasze małżeństwo było idealne, jakbyśmy się nigdy nie kłócili. I chyba to kupiłem. Byłem młodszy. Wszystko było prostsze. Więc pewnie dlatego powiedziałem wczoraj w nocy to, co powiedziałem. Oczywiście, że nigdy nie będę kochał żadnej kobiety tak, jak kochałem Colleen, bo już nigdy nie będę miał osiemnastu lat i nie zakocham się po raz pierwszy w życiu, ale to nie znaczy, że nie kocham ciebie. Dokładnie tak samo jest w odwrotną stronę – nigdy nie kochałem Colleen tak, jak kocham ciebie.

Ellen nagle, nieoczekiwanie ziewnęła, a Patrick wybuchnął śmiechem.

– To przypadkiem nie ja powinienem ziewać, a ty w kółko gadać o uczuciach? W każdym razie, reasumując, kocham cię z całego serca. Nie mniej, nie gorzej, nie połowicznie. Kocham cię. Nie mam innego wyjścia, jak do końca życia ci to udowadniać. Rozumiesz to, szalona hipnotyzerko?

– Położył rękę z tyłu jej głowy i pocałował ją mocno, jakby odjeżdżał na wojnę i właśnie żegnał ją na stacji.

Przez jej żyły do całego ciała uwolniło się uczucie zupełnego spokoju. Nie chodziło nawet o to, co powiedział, ale o dwie głębokie bruzdy między jego oczami, które pojawiały się tylko w chwilach największej koncentracji i które pozostawały tam przez cały czas, kiedy mówił, jakby naprawdę bardzo zależało mu na tym, żeby zrozumiała. Albo może dlatego, że była tak strasznie, potwornie śpiąca, a Luisa była w ciąży, natomiast artykuł został wstrzymany.

– Chyba rozumiem – powiedziała, kiedy już zaczerpnęła powietrza.

– Całe szczęście, bo nie sądzę, abym kiedykolwiek w życiu tyle gadał o tym, co czuję, ile przez ostatnie dwie godziny. – Wręczył jej piankę. – Proszę. Ostatnia pianka. To właśnie jest miłość. A teraz chodźmy wreszcie spać.

ROZDZIAŁ 26

Enrique Penalose, były burmistrz Bogoty, stolicy Kolumbii, uważał, że powinno się budować „miasta radości”. Jego celem było tworzenie infrastruktury miejskiej z założeniem, że ma podnosić poziom szczęścia. Czy jako urbaniści możemy projektować szczęście? I czy je projektujemy?

Cytat z wykładu, w którym brała udział
Saskia Brown po śmierci matki. Zapisała
w notesie: „projektować szczęście”.

Było ciepłe niedzielne popołudnie jakieś dwa tygodnie po wypadku, czy też zająciu, czy zdarzeniu, czy jakkolwiek to nazwać. Przeniesiono mnie do innej sali, z wyjściem na dziedziniec, gdzie mnie czasem wywożono, żebym zaczerpnęła świeżego powietrza. W powietrzu czuć było jaśmin i zapowiedź lata.

Operacja kostki przebiegła zdaniem lekarzy dobrze, a miednica zrastała się tak, jak trzeba. Nie miałam już podajnika morfiny, przynoszono mi zwykłe środki przeciwbólowe w plastikowych kubeczkach.

Obok mnie, na krześle dla gości, siedziała żona Lance’a – Kate. Obie robiłyśmy na drutach. Udzieliła mi już dwóch lekcji. Nie chciała pieniędzy ani za druty, ani za wełnę, które mi kupiła. Pierwszym projektem, do którego się zabrałam, była czerwona czapeczka z wielkim białym

pomponem. Miała być dla mnie. Przyszło mi do głowy, że może zrobię coś dla Jacka albo nawet dla mamy Patricka, Maureen, która kiedyś wydzierała mi beret. Na przeprosiny, pomyślałam. I na pożegnanie. To byłby miły gest. Jednak w tej samej chwili, kiedy o tym pomyślałam, wyobraziłam sobie potężne, dębowe drzwi niczym ze średniowiecznego zamku. Zatrzasnęły mi się przed samym nosem.

Kate stwierdziła, że jestem urodzoną dziewiarką. Nie rozumiałam, czemu była dla mnie taka miła. Nie wyglądała mi na „świętoszkowatą” – jak moja mama nazywała niektóre panie z naszego kościoła – te z anielskimi uśmiechami na twarzach, zawsze w gotowości, kiedy trzeba było przynieść ciasto lub torbę używanej odzieży, lecz zawsze zbyt zajęte pracą charytatywną, by przyjąć zaproszenie mamy na herbatę. Przez cały czas właśnie je winiałam za to, że jestem niewierząca.

Polubiłam Kate. Była trochę dziwna. Nie ekscentryczna, tylko trochę inna. Odzywała się zawsze jakby nieco za późno albo za wcześnie, wciąż coś upuszczała. Była życzliwa, ale nie sztuczna. Nie popisywała się, nie była pozerką. Czułam się w jej towarzystwie jakoś swobodnie.

Powiedziała, że po tym, jak poznaliśmy się rok wcześniej na imprezie świątecznej w firmie, namawiała Lance’a, żeby zaprosił mnie do nich na kolację, ale on za bardzo się krępował. Obydwoje z Lance’em pochodzili z Brisbane i mieszkali w Sydney dopiero rok.

– Chcieliśmy poznać nowych ludzi – mówiła. – Widzisz, teraz, kiedy jesteś uwięziona w łóżku, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Będę cię nękać.

Zaśmiałam się, trochę za głośno.

Kate chrząknęła i obie zamilkłyśmy. Słuchałam delikatnego klekotania naszych drutów i przytłumionych odgłosów szpitala, które na dobre stały się tłem mojego życia.

– A jeśli już jesteśmy przy nowych znajomościach, to wiesz, w weekend wybrałam się z Tammy na jogę – wyznała nagle Kate. – Odebrałam ją od ciebie z domu.

– Wiem – powiedziałam. – Tammy mi mówiła.

Tammy odwiedzała mnie co parę dni, przynosiła książki, filmy, jedzenie i plotki o ludziach z naszego dawnego kręgu znajomych, z którymi stopniowo odświeżała kontakty. Lubiłam jej wizyty, lecz zawsze byłam po nich strasznie zmęczona. Wizyty Kate dawały mi więcej spokoju. Może chodziło o te druty.

– Czy to nie dziwne? – spytała Kate. – Że byłam u ciebie pod twoją nieobecność?

Może i trochę to było dziwne, ale w ogóle nie przywiązywałam do tego wagi.

– E tam – stwierdziłam.

– Trochę się martwiłam, że możesz się czuć, jakbym ci odbierała koleżankę – oświadczyła Kate na ten swój dziwny, dziecięcy sposób. Uświadomiłam sobie, że wydaje się inna właśnie przez swoją szczerość. Sprawiała wrażenie, jakby nie miała żadnych hamulców, jeśli chodzi o swoje wypowiedzi. Trochę przypominała hipnotyzerkę.

– Przez lata nie utrzymywałyśmy z Tammy kontaktów – powiedziałam. – Więc jest jak najbardziej do wzięcia.

Kate się uśmiechnęła.

– Jak już staniesz na nogi, możemy chodzić na jogę we trzy. Po jodze poszłyśmy na kawę do tej cukierni, gdzie dają najlepsze ciasto czekoladowe, jakie w życiu jadłam. Szczerze, było takie pyszne, że chciało mi się płakać.

Nie odpowiedziałam. Wolałam nie wyobrazić sobie dnia, kiedy wyjdę ze szpitala i będę musiała stanąć z życiem twarzą w twarz. „Domyślam się,

że musi pani odliczać dni do wyjścia” – powiedziała jedna z pielęgniarek, a ja na to, że owszem, oczywiście, ale w innym sensie. Na samą myśl o powrocie do domu, do mojego prawdziwego życia, robiło mi się niedobrze.

– Po jodze to raczej herbaty ziołowej powinnyście się napić – powiedziałam.

– Wiem, kofeiną tylko zaburzyliśmy przepływ energii – odparła Kate.

I znowu dziergałyśmy w milczeniu. Lubiłam rytmiczne ślizganie się drutów – na wierzch, pod spód, na wierzch, pod spód – i satysfakcję z osiągniętego efektu, kiedy przybywało gotowych rządków.

– Widzę, że cię wciąga – skomentowała Kate.

– To hipnotyzuje – odparłam i przed oczami stanęła mi twarz Ellen, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam ją jako Deborah i kiedy stałyśmy w jej pokoju nad oceanem. Wydawało mi się, że to było wieku temu.

Następnego dnia po operacji kostki była u mnie policja. Mężczyzna i kobieta. Oboje wydawali mi się strasznie młodzi, co nie przeszkodziło mi poczuć przerażenia, upokorzenia i płonąć ze wstydu. Co by mama o mnie pomyślała? Darzyła policję wielkim szacunkiem. Odczytali mi upomnienie. Różniło się trochę od tych, które znałam z amerykańskich seriali policyjnych. Było oschłe, nie miało w sobie tego przepychu, i dlatego było przerażające.

„A więc w jaki sposób pani tu trafiła?” – zapytał policjant, wskazując na szpitalne łóżko, po czym wyciągnął notes. Opowiedziałam. Słuchali oboje. Na ich twarzach nie widziałam ani śladu emocji.

Pewnie słyszeli gorsze rzeczy.

Zapytali, czy zdawałam sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach nękanie uznaje się za przestępstwo. Oświadczyli, że nakładają na mnie tymczasowy zakaz zbliżania się do Patricka ze skutkiem natychmiastowym,

czyli nie wolno mi zbliżać się do niego, do jego domu czy miejsca pracy na odległość mniejszą niż sto metrów, oraz że prawo zabrania mi go „napadać, molestować, dręczyć, zastraszać, nękać i grozić mu”. Będę miała prawo zakwestionować ów zakaz podczas rozprawy sądowej. Powiedzieli to tonem jasno wskazującym, że i tak nie mam na to żadnych szans. Karą za złamanie zakazu zbliżania się jest grzywna w wysokości pięciu tysięcy dolarów lub dwa lata pozbawienia wolności.

Napadać. Molestować. Dręczyć. Zastraszać. Nękać. Grozić.

Słowa te na zawsze wypaliły piętno w mojej głowie. Użyto ich w odniesieniu do mnie – grzecznej dziewczynki. Przewodniczącej samorządu szkolnego. Pacyfistki. Do osoby, która płakała, kiedy po raz pierwszy i jedyny w życiu dostała mandat za przekroczenie prędkości.

Prócz zakazu zbliżania się do Patricka został mi postawiony zarzut włamania się i bezprawnego wtargnięcia na teren cudzej posiadłości. Policjantka wręczyła mi pozew sądowy. Kiedy go od niej brałam, ręka tak mi się trzęsła, że wyslizgnął się z niej i prawie upadł na podłogę. Złapała go w ostatniej chwili i ostrożnie odłożyła na szafkę nocną. Wtedy na ułamek sekundy w jej oczach zamiast oficjalnej obojętności ujrzałam litość.

A potem wyszli – z niebieskimi czapkami pod pachą, z bronią w kaburach. Trzy godziny później serce nadal waliło mi jak oszalałe.

– Dzięki robieniu na drutach poznałam Lance’a – oznajmiła Kate. – Siedział obok mnie w autobusie, ja dziergałam, a on spytał, co to będzie.

– Świetny sposób na podryw.

– Wiem. Bardzo kreatywny – zgodziła się Kate. – A ty? Jesteś sama, prawda?

Odparłam:

– Od trzech lat nie jestem w związku, ale chyba nie mogę powiedzieć, żebym przez ten czas była sama.

– To znaczy? – Kate podniosła na mnie wzrok, ale nie przestała poruszać drutami.

Nie miałam zamiaru niczego tłumaczyć. Ledwo ją znałam. Mogłam spokojnie milczeć, ale nagle, nie wiedzieć czemu, słowa same się ze mnie wylały. A raczej wytoczyły jak spieniona woda.

*

Przyszedł za wcześnie, pomyślała Ellen, podchodząc do drzwi.

To ojciec. Chciał z nią spędzić trochę czasu. Mieli jechać, co było bardzo dziwne, na jakąś imprezę lokalną w Parramatta, na Festiwal Oliwy.

To był jego pomysł.

– Może być ciekawie – powiedział, kiedy zadzwonił z propozycją wyjazdu. – Odbywa się to w Elizabeth Farm. To najstarsza zachowana australijska osada zbudowana przez Europejczyków. – Nie było wątpliwości, że czytał na głos. Odchrząknął. – Brzmi ciekawie, przynajmniej zobaczylibyśmy coś nowego.

Spotkania z ojcem ciągle kojarzyły jej się z randkami w sieci (strasznie to było niestosowne), ale David niestety przypominał jej pewien typ męczyzny – takiego, co koniecznie chce zrobić na kobiecie wrażenie i dlatego wynajduje ciekawe, niebanalne pomysły.

Na myśl, że ojciec wyszukuje w internecie „imprezy”, którymi mógłby zainteresować trzydziestopięcioletnią córkę, ścisnęło jej się serce. Identycznie zachowywałby się pewnie, gdyby poznali się trzydzieści lat wcześniej, tylko wówczas celem ich wypraw byłoby wesołe miasteczko, gdzie wygrywałby dla niej na strzelnicy gigantyczne pluszaki.

Nie musimy robić nic specjalnego, wystarczy, że porozmawiamy, chciała powiedzieć, ale nie była wcale pewna, czy będą mieli o czym. Niech szlag trafi jej matkę, cholera jasna!

Otworzyła drzwi z przylepionym do twarzy pełnym uwielbienia uśmiechem, jakiego oczekiwaliby każdy ojciec. Zastała za nimi kobietę w ogromnych okularach przeciwsłonecznych i wciśniętej na oczy czapeczce z daszkiem.

– Szybko – rzuciła kobieta. – Wpuść mnie.

– Słucham?

Kobieta szybkim ruchem uniosła okulary, odsłaniając znajome, okrągłe niebieskie oczy.

– Przepraszam za ten dramatyzm. To ja, Rosie. Cały dzień łążą za mną fotografowie.

Ellen otworzyła drzwi. Ian Roman nie odezwał się od czasu swojej wizyty sprzed dwóch tygodni. Ani on, ani dziennikarka. Ellen przestała w końcu nagrywać się na komórkę Rosie.

– Czemu za tobą łążą? – zapytała.

– Nie widziałaś dzisiejszej gazety? – domyśliła się Rosie. Zdjęła okulary i czapkę. Była opalona i śliczna. Wyglądała na szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

– Nie – odparła Ellen.

Serce jej przyspieszyło. Mary-Beth twierdziła, że artykuł się nie ukaże, ale Ellen i tak, za każdym razem, gdy przewracała strony gazety, drżała na myśl, że zaraz zobaczy własną podobiznę i nazwisko pod jakimś okropnym nagłówkiem. Zaczęła silnie współczuć wszystkim, którzy kiedykolwiek padli ofiarą mediów. Zabawne. Zawsze uważała, że ma obfite zasoby współczucia, a tu się okazało, że aby rzeczywiście komuś współczuć, trzeba znaleźć się dokładnie w takiej samej sytuacji.

Rosie wyszarpnęła z torby szmatławą gazetę, złożoną na pół. Rozprostowała ją i wycelowała palec w pierwszą stronę, na której widniało czarno-białe zdjęcie Iana Romana w towarzystwie wysokiej, długonogiej

piękności. Wychodzili, jak się zdawało, z hotelu. Sugestia była jawna, ale dodatkowo podkreślał ją nagłówek: *Roman romansuje!*.

Ellen przeczytała pierwszy akapit.

Ian Roman, znany magnat prasowy, ożenił się zaledwie trzy miesiące temu, ale wygląda na to, że miesiąc miodowy młodej pary skończył się na dobre.

– Ian ma romans z jakąś modelką – wyjaśniła Rosie. – Fotografowie nie dają mi spokoju, bo potrzebują mojego zdjęcia, na którym będę załamana i żałosna.

– Strasznie mi przykro – powiedziała z ubolewaniem Ellen.

– Oj tam. – Rosie lekceważąco machnęła ręką. – On to robi, żeby zachować twarz. Myślał, że od niego odejdę, więc chciał być pierwszy. Mógłby przynajmniej zapłacić fotografom, żeby za mną nie łazili. Ale słuchaj. Ian mi mówił, że u ciebie był.

– Rzeczywiście, miałam przyjemność go poznać – rzekła Ellen suchym, lodowatym głosem swojej matki. Czasem się przydawał, rzeczywiście. Poprowadziła Rosie do salonu.

– Kawy, herbaty? Czegoś zimnego?

– Nie, nie. Dzięki, wpadłam tylko na chwilę. Przepraszam, że tak bez uprzedzenia. – Rosie usiadła w skórzanym fotelu dziadka naprzeciwko Ellen. Miała tak krótkie nogi, że czubki jej balerinek ledwie dotykały podłogi. Pochyliła się i złożyła ręce, jakby chciała błagać o wybaczenie.

– Chciałam tylko osobiście przeprosić cię za wszystko, co cię przeze mnie spotkało. Wyjechałam i nie wzięłam ze sobą komórki. Dopiero dziś rano odsłuchałam twoje wiadomości i przyjechałam prosto tutaj.

Ellen skrzywiła się na wspomnienie tamtego fatalnego dnia.

– Pewnie brzmiałam jak histeryczka, ale...

– O Boże, przecież miałaś powód! Mogę sobie wyobrazić, co ci nagadał. On się zachowuje jak, no nie wiem, Rambo albo Tony Soprano.

– Chciał mnie... zastraszyć. Powiedział, że zrujnuje mi karierę.

– Co za dupek. – Rosie wyjęła z torby gumę, rozwinęła ją i zaczęła gwałtownie żuć. Wskazała palcem na usta. – Guma z nikotyną. Przestałam wreszcie palić.

– Cóż. Jak powiedział twój mąż, nie okazałam się zbyt pomocna.

– Żartujesz? Każdemu bym cię poleciła! – Rosie żuła z zapamiętaniem, zapatrzona w dal, prawdopodobnie zastanawiając się nad powodem, dla którego miałyby komukolwiek polecać usługi Ellen.

– Więc Ian podsłuchał, jak rozmawiałaś o mnie ze swoją siostrą – przypomniała Ellen.

– Nie miałam pojęcia. – Rosie oparła się o fotel. Jej stopy dyndały teraz w powietrzu. – Myślałam, że podsłuchiwanie moich trywialnych rozmów jest poniżej jego godności. I oczywiście źle mnie zrozumiał. Opowiadałam siostrze, że poprosiłam cię, żebyś za pomocą hipnozy pomogła mi się w nim zakochać. Ona na to, że jestem kretynką. Tak czy inaczej później siostra mnie namówiła, żebym wyjechała z nią i jej rodziną na wakacje do Queensland. Było cudownie. Zwyczajne wakacje nad morzem. Budowałam z siostrzenicami zamki z piasku. Jadłam kanapki z krewetkami. Ianowi by się to nie spodobało. To wszystko tylko potwierdziło, jak bardzo się różnimy. Ja jestem taka... przeciętna.

– Nikt nie jest przeciętny – odparła Ellen jak automat.

– Ja jestem – sprzeciwiła się Rosie. – Jestem wyjątkowo przeciętna. Nie mam pojęcia, czemu on zainteresował się takim hobbitem jak ja. Nie jestem w jego typie. Modelka z gazety tak. Pasowałaby do jego jachtu.

– Nie wiem, Rosie – stwierdziła Ellen. – Ale wydaje mi się, że naprawdę cię kocha. Dlatego był taki zły.

– Nie – zaprzeczyła Rosie. – Chodziło tylko o jego dumę. Tak czy inaczej już po wszystkim. Oboje popełniliśmy błąd. Naprawdę wcale go nie kochałam. Zresztą wiesz. Sama mi pomogłaś do tego dojść.

– Sądzę – odezwała się Ellen – że nie pozwoliłaś sobie go pokochać, polubić czy nawet poznać, bo byłaś za bardzo zajęta zastanawianiem się, czemu zwrócił na ciebie uwagę. Prawdopodobnie zaślepił cię wizerunek Iana Romana. Pieniądze. Władza. Mentalność oligarchy. Być może zwyczajne wakacje na plaży przypadłyby mu do gustu, i to bardzo.

Rosie mrugnęła, nie przestając żuć.

– Wybrał ciebie – ciągnęła Ellen. – Choć przecież mężczyzna o jego pozycji mógłby zdobyć każdą. Wybierać i przebierać. A on nie wybrał supermodelki, tylko ciebie.

Próbowała powiedzieć: to, że wybrał kogoś o tak przeciętnym wyglądzie, jak ty, świadczy o tym, że to właśnie w tobie dostrzegł coś niezwykłego, co z kolei oznacza, że nie jest taki pusty, jak myślimy.

Przypomniały jej się słowa Patricka: „Wy, kobiety, uważacie, że miłość jest albo czarna, albo biała”.

Rosie zmarszczyła brwi. W jej oczach coś błysnęło. Spojrzała na swoje ręce, przytupnęła. A potem na oczach Ellen jej twarz stężała – decyzja została podjęta. Nie. Zabrakło jej poczucia własnej wartości, odwagi lub czegoś innego. Jej małżeństwo z Ianem Romanem było definitywnie skończone.

– Nieważne – stwierdziła Rosie. – Teraz i tak już za późno, bo mnie zdradził. Z nami koniec. Nie przejmuj się. Ja się w każdym razie nie przejmuję. Jak już mówiłam, przyszedłam cię przeprosić i zapewnić, że on nie będzie już cię nachodził. Zapowiedziałam mu, że jeśli zobaczę w gazetach

cokolwiek złego o tobie, udzielię bardzo szczerego wywiadu na temat mojego małżeństwa z Ianem Romanem, w którym poruszę również kwestię pewnych niezwykle ciekawych natręctw seksualnych, z czego się nigdy nie podniesie. Nic ci więc nie grozi.

– Dziękuję.

– Nawiasem mówiąc, on nie ma żadnych dziwaczych natręctw – dodała Rosie, wstając i sięgając po torbę. – Sam seks był naprawdę niezły.

Można to uznać za mało logiczne, ale Ellen poczuła smutek, że małżeństwo Rosie się rozpadło. Rosie nie kochała Iana Romana, a wstrętny Ian Roman zapewne popijał w tej chwili szampana na swoim jachcie w towarzystwie supermodelki. Tylko że, być może, Ian i Rosie mogliby być ze sobą szczęśliwi, gdyby nie duma obojga.

Rosie wyciągnęła rękę. Uśmiechnęła się. A potrafiła to robić naprawdę pięknie.

Po jej wyjściu zjawił się ojciec Ellen. Zatrzymał się i otworzył przed nią furtkę.

– Pacjentka? – zapytał, kiedy Ellen zapraszała go do środka.

– Klientka – poprawiła go Ellen. – My nie mamy pacjentów. – Odprowadziła wzrokiem Rosie i powiedziała: – Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że podeszłabym do niej całkiem inaczej.

– Po fakcie – powtórzył ojciec. – Zawsze jest na to odrobinę za późno.

*

– No tak – stwierdziła Kate, po czym w milczeniu rozejrzała się po sali, jakby szukała natchnienia. Nie spojrzała mi w oczy. – Niech to jasny szlag.

Gdy mówiłam, nie przerwała mi ani słowem. Wciąż tylko dziergała, od czasu do czasu kiwała głową, czasem unosiła brew. Nie miałam pojęcia, co myśli. Powiedziałam jej wszystko, co się stało, i wszystko, co zrobiłam. Nie

próbowałam w żaden sposób zmniejszać ciężaru moich czynów. Gdyby chociaż dało się wszystko zwalić na trudne dzieciństwo, ale szczerze mówiąc, nie mogłam nikogo za nic winić. Wina, wyznałam, leżała absolutnie i całkowicie po mojej stronie.

– Nie wiedziałaś, że odwiedzasz wariatkę – powiedziałam w końcu.

Och, jak dobrze było jej wszystko opowiedzieć. Nie potrafiłam przestać. Czułam się, jakbym paznokciami zdrapywała z siebie okropny strup, a kiedy było po wszystkim, siedziałam przed nią odarta do żywego i obnażona, przepełniona żalem i potwornym poczuciem straty. Naprawdę ją polubiłam. Mogłyśmy się zaprzyjaźnić. A teraz wszystko zepsułam.

– Ee tam – mruknęła Kate. – Sama też robiłam różne wariactwa.

– Serio?

Kate przechyliła głowę i chwilę się namyślała.

– No nie. Nie aż takie. Tak tylko powiedziałam, żeby ci poprawić nastrój.

– Dzięki.

Dzierała dalej.

– Założę się, że jesteś Skorpionem, co? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

– Tak, ale ja w to...

– Nie wierzysz. Nie wierzysz w astrologię. Skorpiony nie wierzą. Ale wszystkie Skorpiony są pełne pasji. Groźne, tajemnicze. Zawsze chciałam być Skorpionem. Albo Lwem. A jestem Wagą. Wagi są niezdecydowane. – Jej druty nie przestawały się poruszać. – Sama też w to nie wierzę, nie myśl sobie. – Odwiązała trochę wełny z nadgarstka. – Musiałaś go naprawdę kochać – stwierdziła. – I tego jego synka.

– Tak – przyznałam. – Ale teraz myślę, że gdybym ich naprawdę kochała, „dałabym im wolność”, czy coś tam, jakkolwiek brzmi ten głupi

frazes. To, że ich kochałam, to żadne usprawiedliwienie.

Od tamtej nocy bez przerwy miałam przed oczami twarz Patricka, kiedy rozpoznał mnie stojącą w nogach łóżka. Nie, że zobaczył przy łóżku kogoś, ale zobaczył mnie. To ja byłam jego koszmarem. Stałam się jego koszmarem na własne życzenie.

– Wiesz, co według mnie powinnaś zrobić? – zapytała Kate.

– Powinnam iść na terapię – odparłam zmęczonym głosem. I ona, i hipnotyzerka miały rację. Potrzebowałam „profesjonalnej pomocy”.

– Pewnie tak, jeśli chcesz – przytaknęła Kate. – Ale miałam na myśli, że powinnaś przestać.

– Przestać.

– Tak, to moja niezmiernie mądra rada. Przestać.

– Po prostu... przestać.

Kate zaczęła chichotać.

– Tak, tak bym powiedziała, gdybym była twoją terapeutką. Saskia, po prostu przestań. Zaczynj zamiast tego robić na drutach.

Wzięłam do rąk druty. Kate się uśmiechnęła.

– O to chodzi. Widzisz, już jesteś wyleczona. Należy się dwieście dolarów.

Wyglądało na to, że niebiosa postanowiły zesłać mi całkowicie nową przyjaźń. Byłam ciekawa, czy to nie sprawka mojej mamy. Wyobraziłam ją sobie w drugim życiu, jak tańczy z ojcem w rozgwieżdżonej sali balowej. Może kiedy z Jackiem spadliśmy ze schodów, mama oznajmiła: „Mówiłam, że z tego nie wyrośnie! Potrzebuje całkiem nowej przyjaźni”. A potem ją natchnęło: „Wiem! Druty! Zawsze chciałam, żeby robiła na drutach”. I pobiegła wypełnić niezbędne dokumenty.

– Dziergaj, nie nękaj – mruzczała Kate. – Powtórz: Dziergaj, nie nękaj.

*

Festiwal Oliwy niespodziewanie okazał się cudowny.

Przecież to było oczywiste. Ellen nie pojmowała, czemu użyła słowa „niespodziewanie”. Zawsze uwielbiała tego typu imprezy: festyny szkolne, targi rzemiosła, uliczne jarmarki ze straganami. Uwielbiała chodzić po małych stoiskach, lubiła łagodnych i szczerych ludzi, wystawiających na białych obrusach organiczne produkty z własnej uprawy lub hodowli: miód, dżem, chutney, wino lub, jak w tym przypadku, oliwki i oliwę. Uwielbiała dźwięk dzwoneczków poruszanych wiatrem i zapach olejków. To były jej klimaty, jej ludzie (Julia powiedziałaaby: „nadziani hippisi”).

Wraz z ojcem przechadzali się alejkami między rzędami białych namiotów. Ich płócienne dachy i boki lekko trzepotały na wietrze. Wdychała śródziemnomorską mieszankę zapachów: czosnek, świeże pieczywo i wisterię, a wiosenne słońce delikatnie pieściło jej ramiona. Przepęniało ją głębokie, sycące zadowolenie.

Częściowo wynikało ono z tego, że stopniowo do niej docierało, że to nie randka, a niebezpieczeństwo, że ojciec będzie próbował nagle ją pocałować, nie istnieje. Częściowo zaś z tego, że na dobre przeszły jej mdłości. Ulga była porównywalna z uczuciem, które towarzyszy odprowadzeniu (wreszcie) nieproszonego gościa do drzwi.

Najprawdopodobniej zaś jego przyczyną był fakt, że zanim wyszli z domu, Patrick pokazał jej ojcu zdjęcia z USG. Ojcu łąza zakręciła się w oku i nie wiedział, co powiedzieć, dzięki czemu diametralnie zmienił się jego status w oczach Ellen: nie był już tylko puentą w dowcipnej historii jej życia, ale stał się człowiekiem z krwi i kości. Przez całą drogę, kiedy Ellen siedziała na miejscu pasażera i patrzyła, jak ojciec prowadzi (sprawnie i zwyczajnie, tak samo jak Patrick), czuła, że coś w niej mięknie, łagodnieje. Dlaczego nie miałabym być sentymentalna, pomyślała. Przecież

to mój ojciec. To dozwolone. Jeśli chcę, mogę go lubić. Mogę sobie pozwolić na to, by go polubić, nawet bardzo.

Zatrzymali się przed jednym ze stoisk. Drobną i bardzo poważną kobietą od razu przystąpiła do żarliwego wykładu na temat kryteriów przyznawania oliwie statusu extra virgin Australijskiego Towarzystwa Oliwy z Oliwek. Wyjaśniała to tak szczegółowo, jakby sądziła, że Ellen z ojcem chcą wystąpić o przyznanie statusu extra virgin własnej oliwie, ale mają na to niewielkie szanse.

– No proszę! – podsumował David, kiedy kobieta wreszcie skończyła. – To bardzo interesujące... Ellen, a może spróbujemy?

Ellen zanurzyła kawałek chleba w niewielkim naczyniu ze złocistą oliwą.

– Fantastyczna. – Uniosła głowę i w geście przesadzonego zachwyty przewróciła oczami. Bo rzeczywiście była fantastyczna, choć wcześniejsze doświadczenia nauczyły ją, że na jarmarkach wszystko smakuje wspaniale, a po przywiezieniu do domu zaczyna przypominać produkt kupiony w supermarkecie. Liczyły się bowiem świeże powietrze i siła przekonywania. Ellen była więc odrobinę zahipnotyzowana.

– Pozwól, że kupię ci butelkę – powiedział David i wyciągnął z portfela banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Proszę, jaki miły tata – rzekła kobieta.

David kaszlnął w pięść, a Ellen uśmiechnęła się do niego ze współczuciem.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Och, najmocniej przepraszam, nie jesteście państwo córką i ojcem?

– Nie, nie, ma pani rację, jesteśmy – oparła szybko Ellen.

– Tak przypuszczałam – stwierdziła kobieta z nutą delikatnej przygany w głosie, jakby myślała, że tych dwoje chce ją wykiwać. Wręczyła

Davidowi resztę i butelkę z oliwą w białej papierowej torbie. – Macie identyczne podbródki.

Ellen i David jednocześnie dotknęli swoich podbródków koniuszkami palców, po czym opuścili ręce.

Zjedli spaghetti przy białym plastikowym stole pod wielką markizą. Rozmawiali miło, ale trochę z wysiłkiem, jakby byli dwojgiem przypadkowych ludzi, którzy za wszelką cenę starają się nawiązać znajomość w oczekiwaniu na autobus, który coś długo nie przyjeżdża i skazuje ich na dalszą konwersację.

– Przykro mi, że rozstaliście się z mamą – rzuciła Ellen po długiej dyskusji na temat różnic między wiosną w wydaniu australijskim i brytyjskim.

– Mnie również – powiedział David. – To pewnie moja wina. Nie powinienem był pchać się w nowy związek, nie otrząsnąwszy się przedtem po poprzednich przejściach.

– Po poprzednich przejściach – powtórzyła zbita z tropu Ellen.

– Cóż, żona zostawiła mnie po trzydziestu latach małżeństwa – wyjaśnił. – To był dla mnie szok. Nie chodziło nawet o innego mężczyznę. Powiedziała, że „zapomniała, jak to jest być sobą”. Ja na to: „Bądź sobą, nie mam nic przeciwko temu”. Ale najwyraźniej miałem. – Jak ekspert nawinął spaghetti na widelec i ze smutkiem je kontemplował.

– Tak mi przykro – rzekła Ellen. Na gwałt usiłowała zmienić swoje spojrzenie na jego osobę. – Zdawało mi się, że to ty odszedłeś lub przynajmniej że było to wzajemne.

– Z całą pewnością nie było to wzajemne.

– Mama o tym nie wspominała – zaczęła Ellen.

– Trochę przed nią zatuszowałem, że odejście żony tak bardzo dało mi w kość – wyznał.

– Mówiła, że to o niej cały czas myślałeś. – Miała nadzieję, że ojciec nie dosłyszy ledwo wyczuwalnego oskarżenia w jej głosie.

Ojciec rzucił jej spojrzenie pełne skruchy.

– Tak mówiła? – Odepchnął od siebie talerz i położył ręce na oparciach krzesła. – Nie kłamałem. Przez te wszystkie lata myślałem o niej od czasu do czasu, czasem nawet marzyłem, co nie znaczy, że nie kochałem Jane.

Teraz Ellen odepchnęła swój talerz.

– Choć, oczywiście, zdradzałeś ją, kiedy byliście zaręczeni – powiedziała szybko i żartobliwie, by pokazać, że nikogo nie ocenia. Następnie wskazała ręką samą siebie, owoc tej niewierności. – Nie jeden raz, jak słyszałam.

– Tak – potwierdził David. – Byłem młody i głupi, a twoja mama była cudowna. Te oczy! – Po chłopięcemu wzruszył ramionami. – Chyba dobrze, że to zrobiłem, co?

Ellen nie wiedziała, czy powinna być oczarowana jego dowcipem czy nie.

A więc takie niejasne, mało sprecyzowane okoliczności towarzyszyły jej pojawieniu się na tym świecie. Niezbyt szalona miłość, niezbyt ciemny występ, niezbyt odważny akt feminizmu.

– Tak czy owak – podsumował David – twoja matka i ja wciąż jesteśmy przyjaciółmi, a mówiąc między nami, nie tracę jeszcze do końca nadziei.

– Naprawdę? – zapytała Ellen. Zastanawiała się, czy mu mówić, iż nie sądzi, żeby jeszcze miał szanse, ale z drugiej strony, cóż ona wiedziała? Przez ostatnich parę miesięcy nauczyła się, że absolutnie wszystko, co uważa za stałą, może w ułamku sekundy ulec zmianie. Nic nie jest gwarantowane. Buddyści wiedzieli, o czym mówią.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, obserwując przygotowania do jakiegoś występu, który, wszystko na to wskazywało, miał się za chwilę zacząć

pośrodku przestrzeni pod markizą.

– Patrick wygląda na dobrego człowieka – rzekł David. – Ma syna, prawda? Z poprzedniego małżeństwa?

– Jacka – odparła Ellen. – Jest dziś na urodzinach kolegi. Jego matka zmarła, kiedy był malutki.

– Próba – powiedział czyjś głos do mikrofonu. – Próba mikrofonu, raz, dwa, trzy, raz.

– Więc nasze relacje są oczywiście dość trudne – Ellen usłyszała własny głos. Tak się właśnie działo, kiedy za długo rozmawiało się z kimś obcym na przystanku. Rozmowa nabierała niestosownie osobistego charakteru.

– Czemu? – zapytał David.

Pytanie całkowicie zbiło Ellen z tropu. Czy to nie było jasne? Większość znanych jej kobiet powiedziałyby pewnie: „Och, oczywiście, mogę sobie wyobrazić, bo moja siostra spotykała się z wdowcem i skończyło się to koszmarne...”.

– To znaczy, wydaje mi się, że jeśli jego żona zmarła, to... – Przerwał jej przeraźliwy pisk, który wydobył się z mikrofonu. Wszyscy podskoczyli i zatkali uszy.

Pisk się skończył, a czyjś głos powiedział do mikrofonu:

– Bardzo przepraszamy.

David rzekł:

– Wiesz, nie sądzę, abyś miała się czym martwić.

– Czemu?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Ellen – zaczął.

(Pomyślała, że chyba po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, podczas gdy ona co chwila mówiła „David, to”, „David, tamto”, ponieważ

zawsze, kiedy kogoś dobrze nie znała, nadużywała jego imienia).

– Ellen. Ten człowiek wieształ ci dziś rano zasłony.

– No tak, wiem...

– To najczarniejsza robota. Jak mawiał mój tato.

– Naprawdę najczarniejsza?

– I z wielkim zapalem pokazywał mi zdjęcia dziecka. Mnie to nie wygląda na trudne relacje.

Nagle rozległ się łomot gitary, a na scenę wbiegły trzy tancerki flamenco, wywijając obfitymi spódnicami i zadziornie podrzucając głowami. Na ich ślicznych, młodych twarzach malowała się istic królewska godność i zawziętość.

– *Olé!* – zakrzyknął ojciec Ellen, po czym uniósł ręce i udawał, że gra na nieistniejących kastanietach. Był to potwornie głupi odruch typowego ojca, który każdą szanującą się córkę nastolatkę lub syna nastolatka przyprawiłby o śmierć ze wstydu.

– *Olé!* – zawtórowała mu Ellen. Oparła się plecami o krzesło, by podziwiać taniec, a kiedy to zrobiła, poczuła, że ostatnia wątpliwość co do prawdziwości uczuć Patricka, wątpliwość, o której istnieniu nawet nie wiedziała, spokojnie odpływa w nicość.

A więc to tak było mieć ojca.

*

– Puk, puk.

Za drzwiami szpitalnej sali rozległ się głos Tammy.

– Tylko nic jej nie mów – zdążyłam powiedzieć do Kate. Nie chodziło o to, żebym myślała, że Tammy będzie mnie osądzać, choć oczywiście osądzałyby, lecz o to, że wiedziałam, że będzie zdecydowanie zbyt zainteresowana, zaintrygowana i zafascynowana. Będzie ochać, achąć,

piszczyć i zadawać pytania, jedno za drugim. Będzie chciała godzinami analizować moje motywy i reakcje Patricka. Nie da mi spokoju.

– Jasne, że nie. – Kate odłożyła druty. – Nie powiem nawet Lance’owi.

Powie Lance’owi. Powie mu, i to natychmiast po jego powrocie do domu. Nie ma mowy, żeby zataić tej rangi tajemnicę przed partnerem.

Miałam jednak przeczucie, że choć Lance przez chwilę będzie przekonany, że straszna ze mnie zołza i wariatka, i zadowolony, że nigdy się ze mną nie umówił oraz że będzie współczuł Patrickowi, to za parę lat, gdy Kate poruszy ten temat, odpowie niejasno: „Tak, tak, ale o co tam chodziło?”. Nie należał do ludzi łasych na informacje o życiu prywatnym innych. Wierzyłam też, że swego rodzaju wrodzona etyka, moralność czy niechęć do plotek nie pozwolą mu rozgłaszać tego w pracy. A zresztą i tak mi się zdawało, że nie będę już tam pracować, ponieważ wszystko ulegnie zmianie.

– Siema, laski – burknęła Tammy.

I ja, i Kate przewróciłyśmy oczami. Tammy i Lance wciąż gadali slangiem z *Prawa ulicy*.

Tammy wróciła jednak do normalnego głosu.

– Ej, wy, babcie z drutami – wykrzyknęła i rzuciła na moją kołdrę parę listów. – O, przy okazji: Janet i Peter kazali cię pozdrowić.

– Janet i Peter? – powtórzyłam tępo.

– Twoi sąsiedzi – wyjaśniła Tammy.

A, rodzinka labradorów z domu obok. Próbowалам przywołać sobie w pamięci ich twarze, ale nie umiałam. Może po prostu nigdy im się nie przyjrzałam.

– Byłam u nich wczoraj na kolacji – oznajmiła Tammy.

Ciekawie było obserwować, jak ktoś inny mieszka u ciebie w domu i żyje twoim życiem, demonstrując ci tym samym, jak takie życie może –

czy powinno – wyglądać. Tammy na pewno się nie zawahała, kiedy ją zaprosili. „Jasne! Co przynieść?” – zareagowała.

– Mili są – ciągnęła. – Graliśmy z ich dziećmiakami w monopoly.

– Nienawidzę gry w monopoly – stwierdziła Kate i chwyciła za druty.

– Nieważne. W każdym razie planujemy urządzić imprezę z okazji twojego powrotu do domu – dodała.

– Imprezę? – zapytałam. – Ja nie chodzę na imprezy.

– Co ty gadasz? – zawołała Tammy. – Opowiadałam im o imprezie z okazji Halloween, którą kiedyś zrobiłaś. Pamiętasz? To była jedna z najlepszych imprez w moim życiu.

Tak, pamiętałam. Było to, gdy właśnie zaczęłam się spotykać z Patrickiem, ale jeszcze nie mieszkaliśmy razem. Zaszalałam i udekorowałam całe mieszkanie lampionami z dyni i pajęczynami. Porozkładałam nawet po kątach suchy lód w miseczkach, aby uzyskać efekt grozy w postaci mgiełki. Wszyscy się przebrali. Patrick był Drakulą. Co chwila mnie wyginał, aby móc zanurzyć kły w mojej szyi. Ja byłam Morticią – miałam długą, czarną perukę i pajęczą kryzę wokół szyi. Pamiętam zdjęcia z tej imprezy. W życiu nie widziałam szczęśliwszej Morticii.

Ale ta babka, co urządziła tamto przyjęcie, nie istnieje, pomyślałam sobie.

– Upiekłaś ciasto dyniowe – powiedziała Tammy. – Przepyszne było.

– W życiu nie jadłam ciasta dyniowego – stwierdziła Kate.

– Upiekę ci – powiedziałam i ani się obejrzałam, a zrobiłam sobie w głowie listę składników: serek śmietankowy, cynamon, imbir. Uderzył mnie fakt, że tak strasznie chcę upiec ciasto dyniowe dla Kate, Lance’a i Tammy, a może nawet i dla szczęśliwej rodziny sąsiadów. Chcę patrzeć, jak ludzie je zajadają i proszą o dokładkę. Ile to już czasu nie miałam

żadnych gości? Ile to już czasu nie przygotowałam dla nikogo poczęstunku?

Przypomniały mi się ciasteczka owsiane, które upiekłam w kuchni Ellen. Wzdrygnęłam się na samo ich wspomnienie. Aby odwrócić uwagę, sięgnęłam po jeden z listów.

– Wygląda na to, że wpadłaś w oko bratu Janet – powiedziała Tammy. – Więc na tym przyjęciu zamierzamy was zeswatać.

– Bratu Janet? – Co za bzdury. – Nawet go nie znam. – Przejrzałam koperty. Rachunki. Reklamy. I znów rachunki.

– Widział cię raz, jak wychodziłaś z domu – wyjaśniła Tammy. – Twierdzi, że poznaliście się już przedtem. Na Avalon Beach, jak pływałaś na desce. I co ty na to?

Wzięłam do ręki kopertę, na której ktoś wypisał mój adres schludnym, skądś mi znanym pismem. W prawym dolnym rogu koperta była wypukła.

– Rzeczywiście, byłam parę razy na desce – odparłam, potrząsając kopertą. Przypomniałam sobie mężczyznę o wełniastych włosach, jego cień padający na mnie tamtego poranka, kiedy leżałam na piasku w czerwonej sukience. Poprzedniego wieczoru pojawiłam się zniecka u rodziców Patricka, których właśnie odwiedziła Ellen.

Potem przypomniałam sobie faceta w czapeczce z daszkiem idącego chodnikiem w kierunku drzwi sąsiadów, kiedy ja wychodziłam na tę niby „czterdziestkę”. Rzeczywiście, spojrział wtedy na mnie tak, jakby mnie już znał.

Nałożyłam na siebie te dwie osoby i stwierdziłam, że tak, mogłyby być jedną i tą samą. Poczulałam się dziwnie. Jakbym musiała się cofnąć w czasie i przeanalizować swoje życie pod kątem rzeczy, które mnie ominęły.

– Ale on ma dziewczynę – odparłam, bo przypomniałam sobie jeszcze gest, którym objął kobietę, z którą szedł na parapetówkę. I jaka poczułam

się beznadziejnie samotna, widząc ten ruch.

– Właśnie się z kimś rozstał – oznajmiła Tammy. – Więc jest z powrotem do więzienia. Będziesz musiała się pospieszyć, żeby ktoś ci go nie sprzątnął sprzed nosa.

– Kim jest z zawodu? – zapytała Kate. – A może to za płytkie pytanie? Powinnam zapytać: O czym marzy, jakie ma nadzieje?

– Uwaga – rzekła Tammy dramatycznie – z zawodu jest... stolarzem.

– Niemożliwe. – Kate opuściła druty na kolana.

– Tak!

– W życiu w to nie uwierzę!

Roześmiałam się, słysząc ich przekomarzenia. Zapomniałam, że istnieje taki rodzaj śmiechu. Niemądry, dziewczęcy nieopanowany chichot. Myślałam, że jestem za stara na chichoty, ale okazuje się, że z tego się nie wyrasta. Powinnam była o tym wiedzieć. Mama, kiedy miała już powyżej siedemdziesiątki, raz w miesiącu spotykała się na lunchu z dawnymi koleżankami z klubu tenisowego. Byłam akurat u niej, kiedy spotkanie odbywało się w jej domu. Pamiętam, jak weszłam i usłyszałam dochodzące z salonu wybuchy śmiechu. To one śmiały się jak nastolatki.

Zapomniałam już, że najlepszą rzeczą, jeśli chodzi o umawianie się z facetami, były nie same randki, ale mówienie o nich. Analizowanie potencjalnych „chłopaków” w gronie przyjaciółek.

– Zaprosicie mnie na tę imprezę? – spytała Kate. – Chcę poznać stolarza.

– Jasne – odparła Tammy. – Zastanawiam się, czy uda nam się wymyślić coś, co sprawi, że będzie musiał się popisać stolarką podczas imprezy.

– Na przykład zamontować półkę?

– Najlepiej coś, w obliczu czego Saskia będzie bezradna i bezbronna.

– Dość już tego feminizmu! – powiedziałam kategorycznie.

Kate strzeliła palcami.

– Podjazd dla inwalidów! Żeby mogła wjeżdżać wózkiem!

– Lekarze twierdzą, że jak wrócę do domu, będę już chodzić – zaprotestowałam. W przyszłym tygodniu mieli zamiar postawić mnie na nogi i nauczyć poruszać się o kulach.

– Och. – Kate była rozczarowana. – Na pewno?

O kopercie, zaadresowanej starannym pismem, przypomniałam sobie dopiero po wyjściu dziewczyn. Odwróciłam ją i zobaczyłam dane nadawcy: Maureen Scott.

Mama Patricka. Jasne. Była jak moja mama. W kółko wysyłała kartki. Kiedy byłam jeszcze z Patrickiem, Maureen pisała do nas z byle powodu. „Kochani Patricku, Saskio i Jacku. Bardzo dziękujemy za miły wieczór w sobotę. Sałatka była przepyszna”.

Dlaczego do mnie teraz pisała? Żeby mi powiedzieć, że przegięłam? Złamałaś rękę mojemu wnuczki, ty wredna suko?

Otworzyłam. Bładofioletowy papier ze wzorkiem z łądyżek lawendy wydawał się znajomy. Widocznie używała tej samej papeterii przez lata.

Przeczytałam:

Kochana Saskio,

Jack chciał ci wysłać kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia (sam ją kupił za własne kieszonkowe), więc obiecałam mu, że odnajdę twój adres i ją wyślę. Patrick nie wie, że mały do Ciebie pisze, więc byłabym wdzięczna (ze względu na okoliczności), gdybyś nie odpisywała. Saskia, powinnam była powiedzieć Ci to już dawno: byłaś cudowną matką dla Jacka, a ja, jako jego babcia, powinnam była dopilnować, abyś mogła utrzymywać z nim kontakt. Bardzo mi

przykro. Zawsze będę tego żałować. Jack wyrósł na świetnego chłopaka. To dzięki Tobie.

Mam nadzieję – i modlę się o to – że teraz już dasz radę pchnąć swoje życie do przodu. Że będziesz szczęśliwa. Wiem, że twoja mama bardzo by tego pragnęła.

Ucałowania

Maureen

Kartka przedstawiała siedzącą na szpitalnym łóżku żyrafę z termometrem w pysku. Jack napisał:

Kochana Saskio,

mam nadzieję, że szybko wyzdrowiejesz. Mi zdejmują gips w przyszłym tygodniu. Tata nie pozwala mi Cię odwiedzić. Szkoda.

Całuję, Jack

PS Pamiętam nasze miasta z ciastoliny. Były super.

PPS To szczęśliwa kulka dla Ciebie – w zamian za tamtą, którą zgubiłem.

W rogu koperty znajdowała się szklana kulka. Wzięłam ją pod światło i przyjrzałam się delikatnym, kolorowym smugom spletanym w środku. Łzy napłynęły mi do oczu.

Płakałam długo. Nie był to rozpaczliwy, konwulsyjny szloch. Płynęły ze mnie ciche, oczyszczające łzy – jak długi, rzęsisty deszcz w niedzielne popołudnie.

Kiedy wreszcie przestały płynąć, wydmuchałam nos, zgasłam światło i zasnęłam – najgłębiej od lat. Chyba nic mi się nie śniło. Czułam się jak zwierzę, które zapadło w stan hibernacji, by przetrwać zimę. Przebudzenie

przypominało wyjście z ciemnej, głębokiej jamy na świeże wiosenne powietrze.

Przetarłam oczy pięściami. Poczułam zapach niedosmażonego bekonu i niedobrej kawy. Przy moim łóżku stała Sally, opryskliwa salowa, która co rano przywoziła śniadanie. Z hukiem postawiła tacę na szafce nocnej i obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem spod uniesionych brwi.

– Dobrze się spało? – spytała.

– Cudownie – odpowiedziałam.

ROZDZIAŁ 27

Zanim zobaczysz swoje dziecko na własne oczy, nie zrozumiesz, jak silna może być miłość i troska o jego przetrwanie oraz dobrobyt.

Baby Love (klasyczny australijski poradnik dla młodych rodziców) autorstwa Robin Barker

– Tak, to mój nos. Tak, to strasznie zabawne. A teraz może wreszcie skupisz się na jedzeniu, co?

Dziecko wypuściło z rączki nos Ellen i położyło paluszki na jej ustach. Ellen zaczęła udawać, że je zjada.

– Mniam, mniam, mniam.

Dziecko się uśmiechnęło, po czym odwróciło główkę i chwyciło ustami brodawkę. Piło zachłannie, w pełni skoncentrowane, z jednym paluszkiem uniesionym do góry, jakby chciało powiedzieć: „Czekaj, zaraz wrócimy do rozmowy”.

Ellen na moment zamknęła oczy. Czuła ciepłe, przyjemne łaskotanie, jakby wraz z mlekiem płynęło tysiąc maleńkich magnesów. Sześć miesięcy temu nie znała tego uczucia. Dziś było równie znajome jak kichnięcie.

Ale czasami wydawało się jednak ciut niezwykle.

Grace przez parę minut jadła, kręcąc maleńką rączką, jakby dyrygowała orkiestrą. Nagle odchyliła główkę, a jej powieki zatrzepotały.

– Gdzie się podziała moja mała dziewczynka?

Na dźwięk głosu ojca mała tak szybko szarpnęła główką, odwracając ją w kierunku, skąd dochodził, że pociągnęła za sobą sutek. Kapnęło z niego parę kropel mleka.

– Hej, maleńka, dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry! – Patrick przykucnął na podłodze tuż obok Ellen.

Dziecko pisnęło z zachwytem, zagruchało i zaczęło się zwiijać w ekstazie prawdziwej miłości. Patrick wyciągnął ręce i spojrzał na Ellen, szukając jej aprobaty.

– W porządku, już się najadła.

Patrick wziął dziewczynkę w ramiona i nachylił twarz nad jej szyjką.

– Ho, ho, ho, czuję krew jakiegoś pysznego niewiniątka – zażartował.

Ellen, nie spuszczać wzroku z Patricka, zapięła biustonosz i guziki koszuli.

– Mój Boże, w życiu nie widziałam, żeby komuś do tego stopnia odbiło na punkcie dzieciaka – powiedziała poprzedniego wieczoru Anne, obserwując, jak Patrick bawi się z małą. W jej głosie wyraźnie brzmiała dezaprobata, a nawet zrzędlivość.

Ellen się zastanawiała, czy chodziło o żal, że na punkcie Ellen nikt tak nie wariował, czy o zazdrość, że Anne wychowała ją w pojedynkę, czy o przekonanie, że w takim zachowaniu było coś niemęskiego albo niewłaściwego.

– Przepraszam – powiedział Patrick i posadził sobie dziecko na biodrze. Pocałował Ellen w czubek głowy. – Witaj – dodał.

– Oj tam, nie zawracaj sobie głowy mną – wzruszyła ramionami Ellen.

Osobiście nie uważała, żeby zachowanie Patricka było niemęskie. Przeciwnie – nie mogła się na niego napatrzeć, gdy zajmował się Grace. Już w szpitalu, kiedy wwieziono ją na wózk do sali, w której czekał Patrick, tulący nowo narodzoną córeczkę do gołej piersi (położne kazały mu

kangurować dziecko, dopóki Ellen nie dojdzie do siebie, rozpiął więc koszulę i przygarnął ją niczym śpiącego koalę), poczuła potężną falę uczuć – coś jak pożądanie, tylko że nie było to pożądanie, a coś innego. Coś porównywalnego z karmieniem piersią. Całkowicie nowe doznanie. Zastanawiała się, czy to tylko kwestia biologii – satysfakcja, że twój samiec nawiązuje silną więź z potomstwem, i wynikające z niej przekonanie, że nie opuści swojego stadła, ale będzie odpędzał czyhające wokół lwy, tygrysy czy inne drapieżniki. A może po prostu sama utożsamiała się z Grace, a Patrick zaspokajał jej stłumioną potrzebę posiadania ojca?

Wszystko jedno. Cokolwiek to było, czuła wdzięczność. Teraz całe marudzenie, związane z tym, czy Patrick czuje coś jeszcze do Colleen czy nie, wydawało jej się czystą głupotą. Ellen z czułością, a jednocześnie – potępieniem przypominała sobie siebie sprzed roku. I po co było tak dramatyzować! Miłości starczyło, by obdzielić wszystkich.

Miłości starczyło nawet na to, by sobie poradzić z telefonem od Harriett w ostatni poniedziałek z samego rana. Zadzwoiła, by jej obwieścić, iż żona Jona spodziewa się bliźniąt.

(No, w każdym razie prawie starczyło. Pomogło jej wspomnienie o tym, jak okropnie Jon reagował na brak snu. Miała nadzieję, że jego bliźniaki będą zdrowe i żywotne, zwłaszcza o trzeciej nad ranem).

Telefon od Harriett uświadomił Ellen, jak rzadko wracała teraz myślami do dawnych chłopaków. Narodziny Gracie sprawiły, że kompletnie przestali ją obchodzić. Wcześniej czerpała satysfakcję z miłości do Patricka między innymi dlatego, że w porównaniu z uczuciami do poprzednich partnerów wypadła tak korzystnie. Jakby związek z Patrickiem rozpoczął się od całkowitej negacji poprzednich związków. Tak, i pod tym względem jesteścieśmy górą! Podziwiajcie nasze udane życie seksualne! Patrzcie, jacy jesteścieśmy szczęśliwi!

Z tym że nikt ich nie podpatrywał (już). Nikogo nie obchodzili.

Jej miłość do Patricka była teraz tylko faktem, nieodłączną częścią jej życia, zupełnie jakby trwała od zawsze.

Ellen zastanawiała się czasem, czy owo cudowne zadowolenie nie wynika przypadkiem z tego, że podczas karmienia piersią uwalnia się oksytocyna, tak zwany hormon miłości, zwiększający poziom zaufania i empatii, a zmniejszający wszelkie obawy.

No tak. Zamierzała karmić piersią, dopóki tylko Grace będzie chciała ssać. („Musisz mi obiecać, że nie pójdziesz w ślady matek hippisek i przestaniesz karmić piersią, zanim mała pójdzie do szkoły” – powiedziała Anne. „A co w tym złego?” –zapytała niewinnie Ellen).

Grace Lily Scott, która dostała imiona po obu prababciach ze strony mamy, urodziła się przez zaplanowane cesarskie cięcie w walentynki. Poród naturalny nie wchodził w grę ze względu na „łożysko przodujące”. Dla Ellen przez chwilę oznaczało to koniec świata. Zawsze sobie wyobrażała, że urodzi naturalnie, bez pomocy środków farmakologicznych, wspomagając się umiejętnościami hipnotycznymi, których przecież nauczyła tyle przyszłych mam. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że sama nie będzie miała szansy ich wypróbować.

„Tak, rozumiem twoje niezadowolenie” – skomentowała to Julia. (Dosłownie przed chwilą wprowadziła się do Śmierdziela i wręcz tryskała szczęściem, na który to stan składała się również cudowna wiadomość, iż nowa żona jej byłego męża rzuciła go dla innego. Karma najlepszego sortu). „Bo w zasadzie cesarskie cięcie nie wpisuje się w twój styl. Ty powinnaś rodzić w domu, wśród świec, kadzidełek i śpiewnych intonacji”.

„Niezupełnie” – fuknęła Ellen, choć Julia trafiła w samo sedno.

„Zawsze wiedziałam, że nie zechcesz się kalać parciem” –stwierdziła Madeline, zanim przyznała, że mówi tak z czystej zazdrości, gdyż jej

szesnastogodzinna męka, by wydać na świat małego Harry'ego, nie należy do najprzyjemniejszych wspomnień. (Madeline wyznała również ostatnio, że nigdy nie pytała Ellen o hipnoterapię, czyli o pracę, z obawy, że Ellen uważa ją za zbyt mało uduchowioną albo zbyt płytką. Ellen nie mogła w to uwierzyć).

„Nie naturalny poród czyni matką, kochanie” – orzekła matka Patricka.

„Gdybyś żyła sto lat temu, mogłabyś całymi dniami rodzić naturalnie, by w końcu naturalnie wykrwawić się na śmierć” – ucięła matka Ellen.

Oczywiście ostatecznie nie miało to żadnego znaczenia. Za pomocą autohipnozy starała się utrzymać stabilne ciśnienie krwi w trakcie zabiegu. Nie było żadnych komplikacji.

„Pańska żona to najspokojniejsza i najbardziej pogodna pacjentka, jaką kiedykolwiek miałem” – powiedział Patrickowi anestezjolog.

„Powinien pan ją widzieć, jak bierze udział w walkach ninja” – odparł Patrick.

Ellen trwała we własnej oazie spokoju do chwili, gdy położna pokazała jej dziecko. Wtedy Ellen zachłysnęła się powietrzem – jakby właśnie wyciągnięto ją z dna basenu. Wszyscy bardzo się przestraszyli, a jej zabrakło słów do tego stopnia, że nie była w stanie wyjaśnić, że ma się świetnie, tylko, o Boże, czy widzicie, Boże, przecież to prawdziwe dziecko. Najwyraźniej podczas gdy w pełni świadomie urządziła pokój dziecięcy i czytała poradniki dla rodziców, w głębokiej podświadomości uważała, że urodzi rybę, pluszaka czy cokolwiek innego, ale nie dziecko.

– To jak, co robimy, kiedy mama będzie hipnotyzować? – odezwał się Patrick do Grace. – Chcesz iść na plażę? Ze mną i z bratem? Czy zostać w domu i trochę pogadać?

Grace włączyła się do rozmowy w języku niemowląt, nie odrywając od Patricka spojrzenia wielkich oczu. Ich fiołkowy kolor odziedziczyła po

babci, co ogromnie schlebiało Ellen, która specjalnie ubierała małą tak, by go podkreślić. Prawie nigdy się nie zdarzało, by w czasie spaceru z Grace ktoś się nie zatrzymał i tego nie skomentował. Za każdym razem Ellen udawała zdumioną i skrępowaną, jakby taka sytuacja zdarzała się po raz pierwszy.

„Ma oczy po babci” – wyjaśniała skromnie.

– Dobrze – Patrick z szacunkiem kiwał głową, podczas gdy Grace gaworzyła dalej. – Tak, rozumiem. Jasne. Nie jesteś pewna. Trudna decyzja, tak? To dlatego, że jesteś kobietą, wiesz?

– Hej – wtrąciła się Ellen.

– A w rzeczywistości to pewnie dlatego, że wdałaś się w mamę i zbyt dokładnie analizujesz sytuację. Myślisz: Ale co to oznacza, że tatuś weźmie mnie na plażę? Czy podświadomie pragnie powiedzieć coś jeszcze? Czy może tłumi swoje autentyczne pragnienia?

– Nawet cię nie słucham. – Ellen wstała i wyciągnęła rękę nad głowę.

Ellen zaczęła niedawno znowu przyjmować klientów – w niepełnym wymiarze godzin. Jej matka i chrzestne zajmowały się Grace w każdą środę przed południem. Ubierały ją jak królową i brały do restauracji, karmiły kaskami wędzonego łososia, tartą czekoladą i Bóg jeden wie czym jeszcze. Natomiast mama Patrica przejmowała dzieci w czwartkowe popołudnia. Urządzała małej długie, ciepłe kąpiele, karmiła ją papką z dyni i nigdy nie odsyłała do domu bez różowej kokardy, wpiętej w delikatne, słodko pachnące włoski. Kiedy Grace przysła na świat, Jack niespecjalnie się nią interesował, ale teraz, gdy zaczynała zwracać na niego uwagę, uznał za życiową misję rozśmieszanie jej za pomocą najbardziej wymyślnych wersji zabawy w a kuku. Maleńka miała specjalny rodzaj śmiechu zarezerwowany tylko do zabaw ze starszym bratem.

Patrick przejmował stery w soboty i wtedy Ellen pracowała najdłużej, przyjmując aż czworo klientów.

Czas oczekiwania na wizytę wynosił teraz około trzech miesięcy, ale nie chciała na razie więcej pracować. Posiadanie małego dziecka przypominało połączenie nowej, męczącej pracy, pełnego pasji romansu i przeprowadzki za granicę, do kraju o obcej kulturze i innym języku. Dziecko wypełniało jej myśli, serce i zmysły. Chciała je wdychać, pochłaniała je całą sobą.

Miłość do Grace wydawała się ciągle balansować na nieuchwytnej granicy między radością a przerażeniem.

„Dzieci są bardzo wytrzymałe” – mówiła matka Patricka, kiedy Ellen wyrażała zaniepokojenie jakimś zdarzeniem czy obserwacją.

Spontaniczną reakcją Ellen było: „Żartujesz? Przecież mogą umrzeć we śnie!”.

Pewnego razu, kiedy w odwiedzin przyszła Anne – sama, bez chrzestnych – Ellen, wychodząc z pokoju dziecięcego, dokąd udała się sprawdzić, czy u małej wszystko w porządku, powiedziała:

– Tak strasznie ją kocham, że...

– Aż do bólu – odpowiedziała Anne. – Wiem, wiem. I to się nie zmieni. Tylko się do tego przyzwyczaisz.

Ellen spojrzała w oczy matki, które teraz przypominały jej oczy córeczki. Zawsze wiedziała, że zawzięty, wręcz wrogi wzrok, jakim patrzyła na nią matka, to próba ukrycia potężnego uczucia. Zupełnie jakby miłość była słabością. Zawsze uważała to za jedną z najgorszych wad matki. Gdyby tylko była bardziej podobna do mnie! Otwarta na miłość! Teraz zaś po raz pierwszy zrozumiała, że matka nie odpychała miłości. Ona ją dźwigała. Ellen w końcu pojęła, że kochać można aż do bólu. Bólu w samym środku klatki piersiowej.

Na szczęście za każdym razem, kiedy jej uczucia zaczynały być niemożliwie widoczne, na ziemię sprowadzały ją banalne strony macierzyństwa. Nie dało się żyć w uniesieniu, zmieniając przepełnioną pieluchę bądź prowadząc dochodzenie, czemu awokado i serek wiejski stały się nagle niejadalne, lub też nieustannie się zastanawiając, czy mała jest zmęczona, głodna czy może ząbkuje i czym jest monotonne „buuu”, które wydaje, a przede wszystkim co można zrobić, żeby przestała.

– Chyba pójdziemy na plażę – zdecydował Patrick. – Odciągnę Jacka trochę od komputera.

– Dobra, czapeczka Gracie jest na komodzie – stwierdziła Ellen. – A krem z filtrem...

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą – przerwał jej Patrick.

– Jasne – powiedziała Ellen. – Trochę dziś wieje, więc...

– Ellen. Odrobinę szacunku dla ojca.

– Dobrze, dobrze. Tylko... a zresztą...

– Och, to ją zaraz zabije – powiedział Patrick dziecku. – Tyle chciałyby powiedzieć. Tyle wydać poleceń.

Ellen przewróciła oczami.

– Idę się przebrać do pracy – oznajmiła. Miała na sobie dżinsy i poplamioną dziecięcym jedzeniem koszulkę. – Bawcie się dobrze.

Patrick podniósł rączkę Grace i nią pomachał.

– Pa, mamusiu!

Ellen, ociągając się, patrzyła na dwie pary skupionych na niej oczu.

– Kształt oczu ma po tobie. Kolor po mamie, a kształt po tobie.

– I popatrz, oboje mamy identyczną łysinę – zażartował. Trzymając Gracie pod paszki, schylił głowę, by zademonstrować jej czubek.

Ellen wyszła z pokoju, ale w połowie korytarza zawróciła i wsadziła głowę w drzwi.

– Gdybyś szukał jej sweterka to jest w tej torbie na drzwiach już nic więcej nie powiem!

Idąc w górę po schodach, dosłyszała słowa Patricka:

– Nic się na to nie poradzi, Grace, ona jest niemożliwa.

Dwadzieścia minut później, przebrana, stała przy oknie z ręką na zawieszanej przez Patricka zasłonie. Widziała go, jak szedł w poprzek plaży z dzieckiem na biodrze, parasolem pod pachą i torbą plażową na ramieniu. Jack poruszał się przed nimi tyłem. Pewnie próbował rozśmieszyć Grace. Ellen zmrużyła oczy. Tak, Patrick ubrał Grace w niebieski sweterek.

Patrzyła, jak zatrzymują się niedaleko wody, Patrick przekazuje dziecko Jackowi, a sam na kolanach wbija parasol w piach. Zawsze robił to tak starannie, jakby spodziewał się co najmniej cyklonu.

– Pospiesz się – powiedziała do szyby. – Mała jest za długo na słońcu.

Patrick przestał kopać i podniósł wzrok w kierunku domu, jakby ją usłyszał. Podniósł obie ręce nad głowę i zaczął nimi wymachiwać, niczym człowiek wzywający pomocy w górach. Ellen się zaśmiała i odmachala, choć wiedziała, że to bez sensu.

Od czasu, kiedy poznała Patricka, zmieniła się nawet jego mowa ciała. Jego ruchy były teraz bardziej zamaszyste, swobodniejsze. Od ich ostatniego kontaktu z Saskią minął rok. W Patricku z każdym miesiącem zachodziły coraz większe zmiany. Stawał się bardziej odprężony, wesoły, szczęśliwy, ufny, rzadziej bywał zły i sfrustrowany. Krzątając się przy pracach wokół domu, wyśpiewywał z amerykańskim akcentem piosenki country o niewiernych kobietach i kamiennych sercach. Ellen miała wrażenie, że przedtem w ogóle nie знаła prawdziwego Patricka, że

zakochała się w kimś chorym, kto dopiero teraz wyzdrowiał. Czuła się, jakby nieoczekiwanie dostała coś gratis. Niespodziewany bezpłatny dodatek do zamówienia.

Dlatego gniew na Saskię poczuła z pewnym opóźnieniem. Podobnie było z żalem do samej siebie – dopiero teraz widziała, że nie rozumiała ceny, którą Patrick zapłacił za bycie nękanym – i jaką jeszcze za nie zapłaci.

Pewnego razu, kiedy Gracie miała zaledwie parę tygodni, oglądali razem program dokumentalny o kobiecie latami nękaną przez byłego męża.

„Dokładnie tak się czułem” – odezwał się w pewnym momencie Patrick.

Ellen była zdumiona. Nawet nie pomyślała o Patricku.

Własna ignorancja ją przeraziła. Ellen nawet nie zarejestrowała faktu, że Patrick może odnieść ten program do własnych przeżyć. Z całego serca współczuła bohaterce reportażu. Co ta kobieta przeżyła! Dla tego, co wyczyniał jej mąż, nie było usprawiedliwienia. Nie miała najmniejszej ochoty zastanawiać się nad jego motywami. Był po prostu złym człowiekiem. Łajdakiem, którego powinien spotkać pełny wymiar kary przewidzianej przez prawo. Ellen siedziała przed telewizorem ze śpiącą Grace na ramieniu, kobieta na ekranie płakała, a ją uderzył fakt, że w stosunku do Patricka nigdy, przenigdy nie okazała takiego samego współczucia czy troski, jakie odczuwała teraz do nieznajomej kobiety z telewizji. Nie znajdowała słów, by opisać własne uprzedzenia, własną krótkowzroczność.

„Przykro mi, że musiałeś przez to wszystko przechodzić” – powiedziała do Patricka.

„Ech, kobiecie musiało być znacznie trudniej”. – Wzruszył ramionami.

Kiedy jechali samochodem, Patrick z przyzwyczajenia co chwila patrzył w lusterko. Robił to znacznie częściej niż przeciętny kierowca. Kiedy zaś szli do restauracji, najpierw omiatał spojrzeniem salę, jakby w poprzednim wcieleniu był szpiegiem. Nie marszczył już jednak brwi i nie przybierał ciągle ostrożnego, defensywnego wyrazu twarzy. Bezsensowność minęła, wróciła energia. Słowem: Patrick odmłodził.

„Czuję się, jakbym miał remisję jakiejś strasznej choroby” – wyznał kiedyś. „Za każdym razem, kiedy sprawdzam mejle i esemesy i nie widzę imienia »Saskia«, mam wrażenie, że wygrałem na loterii”.

Ellen i Patrick wciąż się nie pobrali. Zaczęli jednak powoli, niezobowiązująco, od niechcienia o tym wspominać. Rozmawiali o charakterze tej uroczystości. Do Patricka najbardziej przemawiał pomysł ślubu za granicą, co według Ellen świadczyło o tym, że nadal nie jest do końca uzdrowiony – w dalszym ciągu mu się wydaje, że Saskia może się znienacka pojawić.

Ellen za to się zastanawiała, czy Saskia rzeczywiście wyprowadziła się z Sydney, czy wciąż cierpi na ten nieznośny ból nogi i czy poznała kogoś nowego. Chciałaby się tego dowiedzieć, ale była zbyt przesądna, by choćby wpisać nazwisko Saskii w Google. Obawiała się, że jeśli to zrobi, Saskia jakimś sposobem z powrotem zjawi się w ich życiu.

Patrzyła na Patricka, który umocował już parasol, przejął małą od Jacka i zaczął nią bujać w powietrzu. Ellen wiedziała, że mała chichocze i chwyta go za włosy. Miała tłuściutki, cudowny chichot – najbardziej jadalny odgłos, jaki Ellen kiedykolwiek słyszała.

Jack biegał po piachu. Nagle stanął na rękach i szedł na nich przez parę sekund. Długie nogi trzymał wyprostowane w górze.

– Uważaj – wymamrotała do szyby.

Tego ranka przy śniadaniu rozmawiali o nadchodzących szkolnych zawodach sportowych.

„Wszystkim powiedziałem, że wygrasz wyścig matek, bo zahipnotyzujesz inne zawodniczki! Łup, łup, łup! Jedna za drugą, wszystkie padną na ziemię!”

Nie mogła uwierzyć, jak swobodnie i automatycznie zaliczył ją do grona matek. Natychmiast posłała Colleen mentalne przeprosiny.

Pomyślała, jak by to było, gdyby to ona wiedziała, że wkrótce umrze, a Grace będzie wychowywać kto inny. Zanim urodziła dziecko, z przyjemnością oddawała się potajemnym, melancholijnym rozmyśleniom o własnym pogrzebie. Teraz nie mogła znieść myśli, że nie ona miałyby podejmować najważniejsze decyzje dotyczące życia małej.

Tak mi przykro, Colleen, że tak się stało, ale przysięgam – staram się, jak mogę. Kocham Jacka. Naprawdę go kocham.

Choć nie aż do bólu. Nie tak jak Grace.

Ale to nic, myślała, to jeszcze nie powód, by nie spać po nocach. Jest mnóstwo sposobów kochania. Przyszła jej do głowy świeża, dopiero się rodząca relacja z ojcem, rosnąca między nimi sympatia i wzajemny szacunek. To, że różniła się od relacji z synami, nie umniejszało jej wyjątkowości i wartości.

No tak, ale Jack był dzieckiem, nie dorosłym, i jeśli podświadomie wyczuje, że Ellen kocha go inaczej lub mniej niż Gracie, jego psychika poważnie na tym ucierpi. Może więc powinna poświęcić parę późnych wieczorów i pomartwić się, czy przypadkiem nie jest złą macochą.

Westchnęła. Gdyby tylko wygrała ten wyścig matek! Niestety. Biegaczką była fatalną. Poważnie rozważała symulację kontuzji.

Teraz Jack latał jak szalony wokół parasola, najpewniej sypiąc piachem na Patricka i w oczy dziecka. Hmmm. Nie wyglądał na takiego, co ma złą

macochę.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

To nowy klient, który znalazł ją w internecie, umówiony na pierwszą wizytę. Przez telefon jego urywany głos był pełen z wątpienia, desperacji. Twierdził, że potrzebuje pomocy, by rzucić palenie, ale Ellen podejrzewała, że naprawdę chodzi o co innego. Wiedziała, że jest dla niego ostatnią deską ratunku.

Jeszcze raz spojrziała na rodzinę i odwróciła się, by pójść na dół i sprawdzić, jak może pomóc.

ROZDZIAŁ 28

Proszę powiedzieć mojej córce, że bardzo ją kocham.

Ostatnie słowa matki Saskii, wyszeptane do pielęgniarki, która przykucnęła przy jej łóżku, by odplątać rurkę kroplówki. „Proszę?” – zapytała zirytowana, lecz było już za późno.

Nie zrobiłam wszystkiego, co mi kazała hipnotyzerka, ale rzeczywiście chodziłam na psychoterapię. Przez rok, raz w tygodniu.

Nie miałam wyboru.

Kiedy rok temu, na początku lata wypisali mnie ze szpitala, ubrałam się w najlepsze, niewariackie ciuchy i stawiałam się przed sądem. Czekając, aż mnie wywołają, wróciłam myślami do chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałam Patricka. W Noosa. Brałam wtedy udział w warsztatach *Przyjazne dla środowiska projektowanie budynków*, a on wszedł spóźniony i szukał miejsca. Zobaczyłam, jak lustruje wzrokiem salę, i pomyślałam: „Usiądź koło mnie”, a on spojrzał mi w oczy i się uśmiechnął.

To był początek, a teraz był koniec.

Rozprawa trwała rekordowo krótko. Nie protestowałam przeciwko wydanemu w stosunku do mnie zakazowi zbliżania się do Patricka i przyznałam się do tego, że bezprawnie wtargnęłam do domu Ellen. Kara

została zawieszona pod warunkiem, że przez rok moje zachowanie będzie nienaganne i że rozpocznę terapię psychologiczną.

Moja pani psychiatra nie odzywała się za często – zazwyczaj pozwałała mi głądzić, ale kiedy już się odezwała, czułam się jak przyszpilony do kartki motyl. Zaczynało się zawsze od Patricka.

– Jak myślisz, jak musiał się czuć Patrick, kiedy do niego wydzwaniałaś?

– Jak sądzisz, jakie myśli wywołała u Patricka twoja obecność w tym miejscu?

– Wydaje ci się, że tamtej nocy Patrick się bał?

Co za ironia losu: przez ostatnie trzy lata nie robiłam nic innego, tylko rozmyślałam o Patricku, a mimo to w ogóle o nim nie myślałam.

– Nigdy nie byłam wobec niego agresywna – mawiałam.

– Agresja bywa nie tylko fizyczna – odpowiadała ona. – Odebrałaś mu wszelką władzę.

– Nigdy nie chodziło mi o władzę. Kochałam go. Po prostu chciałam z nim być.

– Przemyśl to dobrze, Saskia.

Nie ustępowała mi ani na milimetr. Miałam wrażenie, że stawia mnie przed lustrem i za każdym razem, kiedy próbuję odwracać wzrok, na siłę kieruje moją twarz prosto w szklaną taflę. A gdybym zasłaniała oczy rękami, delikatnie układałaby je wzdłuż mojego ciała.

W końcu jednak się poddałam i stanęłam przed lustrem bez protestów.

Nie było to nic przyjemnego.

Psychiatra suchym, klinicznym tonem wymieniła potencjalne skutki, jakie moje zachowanie mogło wyrzucić na Patricku: niepokój, depresja, stres pourazowy.

- Nie sędę, szczerze mówiąc – zaczęłam, ale przerwałam.
- To udokumentowane – powiedziała.
- Coś takiego – rzuciłam.
- Wiedziałaś o tym – rzekła. – Sędę, że w głębi duszy dokładnie wiedziałaś, co mu wyrządzasz.
- Co, może mam mu wysłać kartkę z przeprosinami? – spytałam w końcu głupio, kretyńsko.

Dowcip był tak kiepski, że nawet nie zareagowała. Patrzyła tylko na mnie, wbijając mi świdrujące spojrzenie w samo serce – jak szpilę, więc najpierw zaczęłam trzepotać skrzydłami, potem się wiercić, a wreszcie zamarłam.

Żartowałam tylko z tą kartką. Kiedy wyszłam ze szpitala i wróciłam do domu, ani razu nie spróbowałam się skontaktować z Patrickiem. Przestałam też chodzić na mecze Jacka. Nawet mnie nie kusiło. Naprawdę. Można to porównać z jedzeniem. Jakbym kiedyś uwielbiała jakąś potrawę, ale strasznie się po niej pochorowała. Więc choć pamiętałam jej cudowny smak, zawsze kiedy po nią sięgałam, przypominałam sobie, jak fatalnie się po niej czułam. Pożądanie tuszowane przez wstręt.

Dużo mówiłyśmy o smutku: z powodu straty mamy, Patricka, Jacka, dzieci, których nigdy nie urodzę. Mówiłyśmy o tym, że wzięłam cały ten smutek i skierowałam go przeciw Patrickowi niczym broń, że zwróciłam swoją złość i ból na zewnątrz, od siebie. Tak jakbym dostała do rąk miecz ognisty i wymierzyła nim w Patricka w szalonej, desperackiej i, jak się okazało, nieskutecznej próbie, by samej uniknąć poparzenia.

Sporo chusteczek jej zużyłam.

Rozmawiałyśmy o tym, że decyzja Patricka o zerwaniu nie miała tak naprawdę nic wspólnego ze mną, że dotyczyła tylko jego osoby i jego smutku z powodu śmierci Colleen.

– Gdyby na tej konferencji poznał Ellen, prawdopodobnie zerwałby z nią w identyczny sposób – orzekła moja terapeutka.

– Nie, oni są bratnimi duszami – sprzeciwiłam się. – W ich przypadku to prawdziwa miłość.

– Nie. Tu chodziło tylko o czas – upierała się.

Rozmawiałyśmy o przyjaźni i o tym, jak wyslizgnęłam się z sieci stosunków towarzyskich. Rozmawiałyśmy o zainteresowaniach – innych niż śledzenie twojego eks. Rozmawiałyśmy o tym, jak sobie radzić w przyszłych relacjach i z przyszłym odrzuceniem.

Przestałam zużywać tak dużo chusteczek.

Aż nagle pewnego dnia, kiedy się u niej pojawiłam, zaczęłyśmy rozmawiać o filmie, który widziałam w weekend, i o nowym przepisie na rybę, który wypróbowałam, i o tym, że obie chciałybyśmy zacząć jeść więcej ryb. Na koniec spotkania psychoterapeutka powiedziała, że nie widzi potrzeby umawiania się za tydzień, więc się nie umówiłyśmy. Zamiast do niej poszłam na pedicure.

Ellen powiedziała, że powinnam się wyprowadzić z Sydney, ale nie zrobiłam tego.

Za bardzo brakowałyby mi znajomych.

Tammy wciąż ze mną mieszka. Często spotykamy się z sąsiadami, Janet i Pete'em. Ich dzieciaki ciągle do nas wpadają. Zostałyśmy nawet z nimi w ostatni weekend, a Janet i Pete sobie gdzieś wyszli.

Spotykałam się też przez parę miesięcy z bratem Janet, tym od surfowania. Z Tobym. Zabawny, miły człowiek. Przez pewien czas stanowił swego rodzaju rozrywkę, ale ponieważ i on, i – jak się okazuje – ja byliśmy świeżo po rozstaniu, oboje zachowywaliśmy się trochę dziwnie, nadwrażliwie, więc nasz związek samoistnie, w przyjaznej atmosferze, wygasł.

Wciąż się lubimy, co jest dla mnie całkiem nowym doświadczeniem. Nigdy nie utrzymywałam przyjaznych kontaktów z byłym chłopakiem. Naprawdę nie rozumiem, jak to działa i jakie zasady mają tu zastosowanie, ale na razie wszystko gra. No, może czasem wyczuwa się między nami pewne skrępowanie. Gadamy ze sobą, ale unikamy kontaktu wzrokowego.

Kate sądzi, że jesteśmy sobie przeznaczeni i widać to po sposobie, w jaki on na mnie patrzy (wydawało mi się, że wcale na mnie nie patrzy, ale najwyraźniej robi to, kiedy nie widzę). Sama nie wiem. Kate jest teraz w ciąży i reaguje nadmiernie sentymentalnie. Wczoraj wieczorem zadzwoniła z informacją, że byli z Lance'em na USG, okazało się, że to chłopiec, i chcą, żebym była matką chrzestną. Ja. Powiedziała: „Jeżeli uważasz, że za krótko się znamy i że nadużywam twojej uprzejmości, to powiedz szczerze”. A potem dodała: „Saskia, halo, jesteś tam?”.

Mój chrześniak urodzi się w przyszłym roku.

A jeśli już jesteśmy przy dzieciach, to widziałam dziś hipnotyzerkę z dzieckiem.

Spotkanie nie było celowe. Ani razu nie złamałam warunków nakazanych przez sąd. Sumiennie unikałam okolic, w których mogłabym się na nich natknąć.

Był wczesny wieczór. Szłam Circular Quay. Byłam umówiona z Kate i Tammy na drinka w barze przy operze, a potem do teatru. Kate kupiła jakieś tanie bilety przez internet. Wieczór był cudowny, po nabrzeżu między portem promowym a operą spacerowało mnóstwo ludzi.

Ellen szła prosto na mnie. Pchała wózek – nowoczesny, duży, kolorowy. Ledwie zdążyłam zerknąć na dziecko. To była dziewczynka. Miała na sobie fioletową sukieneczkę, spod której wystawały pulchne nóżki w białych skarpetkach.

Stałam jak zamurowana. Ktoś za mną powiedział:

– Uwaga!

Zobaczyłam, że twarz Ellen nagle się rozpromienia. Myślałam, że to na mój widok, więc też się uśmiechnęłam – zawsze uważałam, że w normalnych okolicznościach mogłybyśmy się polubić. Poza tym naprawdę chciałam jej powiedzieć, że to strasznie dziwne, ale po złamaniu miednicy i kostki niezdiagnozowany ból nogi minął jak ręką odjął.

A potem zdałam sobie sprawę, że ona wcale nie uśmiecha się do mnie, tylko do kogoś, kto idzie za mną. Unosi rękę i macha. Nawet nie odwróciłam głowy, by sprawdzić, czy to Patrick, Jack czy ktoś inny. Szłam dalej. Zniknęłam w tłumie.

PODZIĘKOWANIA

Pisząc tę książkę, wiele się dowiedziałam na temat cudownego świata hipnoterapii. Jestem ogromnie wdzięczna Lyn Macintosh za czas, który poświęciła, by wprowadzić mnie w tajniki swojego fascynującego zawodu. Za wszelkie pomyłki i nieścisłości odpowiadam oczywiście ja sama.

Dziękuję przyjaciołom – Markowi Davidsonowi za wyjaśnienie mi pewnych procedur policyjnych, Janelle Atkins za odpowiedzi na pytania z dziedziny urbanistyki oraz Jackie Mikhael za to, że poddała się hipnozie tylko po to, by później wszystko mi dokładnie opowiedzieć.

Dziękuję mojemu tacie, Berniemu Moriarty’emu, za to, że przybliżył mi zagadnienia geodezji, i mamie, Diane Moriarty, za to, że każdej napotkanej osobie opowiada o moich książkach.

Jak zawsze dziękuję też siostrom – Jaclyn Moriarty i Nicoli Moriarty, które jako pierwsze czytają moje brudnopisy, oraz Katrinie Harrington, która sprawdzała ostatnią roboczą wersję.

Dziękuję wszystkim wspaniałym pracownikom Pan Macmillan Australia, którzy z brudnopisów robią książki, a zwłaszcza: Cate Paterson, Alexandrze Nahlous, Susin Chow, Clarze Finlay, Samancie Bok i Louise Cornege. Dziękuję również wszystkim w Curtis Brown, szczególnie zaś Fionie Inglis.

Od czasu, kiedy wyszła moja ostatnia książka, zaprzyjaźniłam się z dwiema wspaniałymi autorkami – Dianne Blacklock i Ber Carroll.

Występowanie z nimi na wszelkich imprezach to wielka przyjemność. Wspólnie wydajemy biuletyn „Book Chat”. Aby go zasubskrybować lub śledzić mojego bloga, serdecznie zapraszam na stronę: www.lianemoriarty.com.

Teksty źródłowe

Przy pisaniu tej powieści korzystałam z następujących źródeł:

Banyan C., Kein G., *Hypnosis and Hypnotherapy*, 2001.

Hypnosis: A Comprehensive Guide, 2008.

Elias J., *Finding True Magic*, 2006.

Roy Hunter C., *The Art of Hypnosis*, 2010.

Reid Meloy J., *The Psychology of Stalking*, 1998.

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Podziękowania](#)

[Teksty źródłowe](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału
Hypnotist's Love Story

Copyright © 2012, LMM Creative Pty Ltd

Projekt okładki
Magda Kuc

Fotografia na okładce
© Rekhka Arcangel / Arcangel

Redaktor inicjujący
Bogna Rosińska

Redaktor prowadzący
Anna Steć

Opracowanie tekstu
CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz

ISBN 978-83-240-7234-7



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek